

*Przeklęte
dusze*
TOM 2

HER SOUL FOR REVENGE

HARLEY LAROUX

hot level 

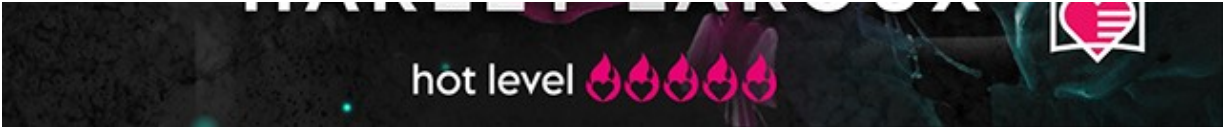




*Przeklęte
dusze*
TOM 2

HER SOUL FOR REVENGE

HARLEY LABOUX



hot level 🔥🔥🔥🔥🔥



HARLEY LAROUX

HER SOUL
FOR REVENGE

*Przeklęte
dusze*
TOM 2

Przełożyła Gabriela Iwaszk



TYTUŁ ORYGINAŁU: *Her Soul for Revenge. Souls Trilogy*

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Nowak

Redakcja: Katarzyna Kusońc

Korekta: Anna Zawadzka

Projekt okładki: © Opulent Designs

Adaptacja okładki: Łukasz Werpachowski

Copyright © 2021 by Harley Laroux

Copyright © 2023 by Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo

Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp. k.

Copyright © for the Polish translation by Gabriela Iwasyk, 2023

Published by arrangement with Weaver Literary Agency

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-401-6

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

Wszystkim, którzy kiedykolwiek zagubili się w mroku.

HARLEY LAROUX

Książka zawiera sceny przemocy, opisy brutalnych i perwersyjnych praktyk seksualnych, a także elementy horroru, które mogą wywoływać niepokój. Zostały w niej opisane sceny zażywania narkotyków, porusza temat śmierci członka rodziny, traumy, zaburzeń lękowych, zespołu stresu pourazowego, wzmianki o samobójstwie i przemocy domowej. Treść powieści to fikcja literacka, która nie stanowi realistycznego odzwierciedlenia tego, czym jest praktyka BDSM. Książka jest przeznaczona dla dorosłych czytelników i czytelniczek.

Juniper

Dziadek mówił, żebym nigdy nie odpowiadała, kiedy ktoś mnie zawoła z lasu. Nieważne, czy będzie to brzmiało jak głos mojej matki, brata, czy nawet najlepszej przyjaciółki. Powtarzał mi to w kółko, odkąd byłam małą dziewczynką, ledwie na tyle dużą, żeby dreptać po podwórku, a co dopiero zapuszczać się samej w las.

– Jeśli las zawoła cię po imieniu, nie odpowiadaj. Uciekaj.

Nigdy nie wytłumaczył, dlaczego mam tak robić. Nie musiał. Trzymałam się tej zasady, nawet gdy byłam już nastolatką. Gdy jechałam na rowerze wijącą się dróżką, a drzewa ze świstem przemykały obok mnie, wsłuchiwałam się w trzask gałęzi i szmer sosnowych igieł. Czasami wyobrażałam sobie, że słyszę wśród nich swoje imię, i mocniej naciskałam na pedały, a serce waliło mi jak szalone do chwili, kiedy dotarłam do szkoły i znalazłam się za żelaznym ogrodzeniem otaczającym jej teren.

Tata twierdził, że to wszystko gównem prawda.

– W tych lasach nie czai się nic, czego nie mogłabyś zabić – oznajmił. – Nie zapominaj o tym, Juniper. Po prostu zachowuj się rozsądnie i nie szwendaj się sama po zmroku.

Każdy mieszkaniec Abelaum, niezależnie od tego, kim był, wiedział swoje na temat lasu. Wiedział, kiedy można wychodzić na zewnątrz, iść na wycieczkę, a kiedy lepiej porządnie zaryglować drzwi. Wyrażano to przekonanie na różne sposoby, ale generalnie wszyscy wierzyli w to samo – te lasy nie są bezpieczne.

Zagrozenie, czymkolwiek było, nigdy nie zostało nazwane po imieniu. Sosnowe lasy budziły w ludziach nieokreślony niepokój; przyzwyczaili się, że należy unikać niektórych szlaków i dróg. Starsze osoby robiły niewielkie talizmany z gałązek, sznurka i rybich ości, które wieszały przed swoim domem albo wokół podwórka. Dziadek trzymał je na palikach ogrodzenia okalającego pastwisko, na którym skubały trawę jego konie, oraz na granicy lasu.

Nadszedł jednak rok, kiedy jedna z kłaczy zniknęła. Od tej pory konie spędzały noce w stajni.

Gdy miałam piętnaście lat, wiedziałam już, że te opowiadane ściszym głosem historyjki nadają się tylko do straszenia dzieci. Droga z osiedla przyczep kempingowych, na którym mieszkaliśmy, do szkoły miała sześć i pół kilometra, ale jeśli zdecydowałam się na skrót przez las, dystans skracał się do dwóch i pół kilometra. Zaczęłam tamtędy jeździć, kiedy miałam czternaście lat, pedałując przez las tak szybko, jak tylko mogłam.

Nie bałam się lasu. Jednak kiedy zbyt długo przebywałam wśród tych drzew, zaczynałam czuć niepokój, jakby moja przedłużająca się obecność niezwykle je irytowała. Dlatego nie ociągałam się i pędziłam przed siebie ile sił w nogach. Nie zamierzałam igrać z losem.

Mimo że jechałam skrótem, i tak zazwyczaj spóźniałam się do szkoły, szczególnie kiedy mama przez całą noc kłóciła się ze swoim chłopakiem, a ja nie potrafiłam odciąć się od ich wrzasków i zasnąć.

Tym razem na śniadanie miałam tylko energetyk wygrzebany z głębin lodówki, który wypiałam duszkiem przed wejściem do klasy, kiedy czekałam na dzwonek oznajmiający przerwę na lunch. Nie zdążyłam na trzy pierwsze lekcje i nie zamierzałam wchodzić w połowie zajęć pana Thorne'a, żeby dostać ochrzan oraz kolejny wykład na temat spóźnialstwa.

Rozległ się dzwonek, a ja schowałam się we wnęce niedaleko wodotrysków z wodą pitną i przyglądałam się uczniom, którzy wylegli na korytarze. Wreszcie dostrzegłam podskakujący w oddali, wysoko upięty brązowy kucyk Victorii i rzuciłam się pędem przez tłum, żeby ją dogonić.

– Znowu się spóźniłaś, dziewczyno? – Victoria spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. – Zobaczysz, skończy się tak, że pan Thorne znowu zadzwoni do twojej mamy.

Wzruszyłam ramionami.

– I tak nie odbierze... Chyba wyłączyli jej telefon. – Niecierpliwie pociągnęłam ją za rękaw. – No i jaaak? Załatwiłaś?

– Ciii... – Szybko rozejrzała się wokół, po czym sięgnęła do torebki, akurat kiedy dotarliśmy do jadalni. Ostrożnie uniosła woreczek strunowy, tylko na tyle, żebym zobaczyła niewielki kwadracik złożonej folii aluminiowej.

Uśmiechnęłam się do niej szeroko, a ona odwzajemniła uśmiech, nucąc pod nosem:

– Czas na małą wycieczkę z kwaskiem!

Ławki na trawniku były w większości zajęte. Dzień był słoneczny, po nieskazitelnie błękitnym niebie leniwie płynęło kilka białych, puszystych obłoczków, pogoda była niespotykane ładna jak na październik. Krążyliśmy między stolikami, a Victoria zastanawiała się na głos, czy powinniśmy opuścić teren szkoły, żeby kupić sobie mrożoną kawę. Jednak moją uwagę przykuły nie jej kofeinowe rozkminy, a całkiem inna rozmowa.

– Pod spodem jest cała sieć tuneli górniczych. Równie dobrze mogą być i tutaj, pod naszymi stopami. Nikt nie wie, jak głęboko sięgają. – Rozległ się nerwowy śmiech, a ja dostrzegłam Jeremiaha, brata bliźniaka Victorii, w którego jak urzeczony wpatrywały się dwie nowe uczennice przebywające u nas na wymianie. – Jednak coś poszło zdecydowanie nie

tak... Wiercili zbyt głęboko w tej starej kopalni srebra, natrafili na podziemny system rzeczny i cała kopalnia została zalana. Większość górników utknęła w zapadliskach.

– Cholera jasna – wyrwało się jednej z dziewczyn. Jej ręka z jedzeniem znieruchomiała w połowie drogi do ust; była zbyt pochłonięta opowiadaną przez Jeremiaha historią, żeby jeść. Cały Jeremiah – nie wystarczyło mu, że przyciąga uwagę jako gwiazda szkolnej drużyny piłki nożnej, musiał jeszcze straszyć nowe dziewczyny lokalnymi legendami.

– Czyli że oni nadal są tam na dole? – zapytała druga dziewczyna. – To znaczy nie wydobyto ciał?

– Przeżyło tylko trzech – oznajmił ponuro Jeremiah. – Przetrwali dwa tygodnie, żywiąc się martwymi ciałami swoich przyjaciół.

– Bleeeee! – wrzasnęły chórem dziewczyny, a mnie wtedy przyszło do głowy, że nastraszę Jeremiaha, i podkrađłam się do niego od tyłu. Chłopak był pochylony do przodu, dla lepszego efektu zniżył głos, a Victoria spojrzała na mnie znacząco, wymownie wywracając oczami.

– Jednak górnicy twierdzili, że życie zawdzięczają czemuś innemu – wyszeptał, a jego widownia zamarła w nerwowym oczekiwaniu. – Legenda mówi, że podczas budowania kopalni ze snu zbudziło się coś bardzo starego i potężnego. Niektórzy mówią, że to potwór. Zdaniem górników to pradawny Bóg. Bóg, który okazał im łaskę w zamian za...

– Dasz sobie w końcu spokój z tymi opowieściami z dreszczykiem? – Znienacka chwyciłam Jeremiaha za ramiona, a on prawie rozlał swój napój. Jego słuchaczki zrobiły niezadowolone miny. Victoria usiadła na ławce naprzeciwko, posyłając dziewczynom jeden z tych swoich lodowatych uśmiechów, a one pospiesznie się oddaliły.

Nikt nie pogrywał sobie z Victorią – ani z Jeremiahem, jeśli już o tym mowa. Kent Hadleigh, ich ojciec, był najhojniejszą darczyńcą szkoły.

W podziękę za szczodrość jego imieniem nazwano jedno ze skrzydeł liceum, nic więc dziwnego, że Victoria i Jeremiaś mogli tu robić, co im się podobało.

Nie miałam pojęcia, dlaczego rodzeństwo Hadleigh chce się ze mną przyjaźnić, szczególnie że nawiązywanie znajomości nie było moją najmocniejszą stroną. Większość ludzi uważała mnie za sukę, a to dlatego, że albo w którymś momencie udało im się mnie wkurzyć, albo znali kogoś, kto mnie wkurzył. Z Victorią łączyły mnie właściwie tylko dwie rzeczy – ona również była uważana za sukę, poza tym obie byłyśmy zapalonymi imprezowniczkami.

Różnica polegała na tym, że ona zawsze miała pod ręką jakiegoś dilerka, który załatwiał to, czego akurat potrzebowałyśmy. Zresztą jej rodzina była niezwykle szczodra. W ubiegłym roku jej mama zorientowała się, że chodzę w dziurawych butach, wzięła mnie na zakupy i kupiła mi nowe ubrania.

– Do cholery, naprawdę musiałaś mi zepsuć ten podryw? – westchnął ciężko Jeremiaś. – Byłem o krok od zdobycia ich numerów!

– Och, jak mi przykro...! Jeremiaś stracił okazję, żeby zaliczyć... – powiedziała Victoria fałszywie smutnym głosem, jednocześnie wyciągając lusterko, żeby nałożyć na usta kolejną warstwę błyszczki. – Prawdziwy dramat! – Przerwała, przenosząc wzrok za mnie i intensywnie się w coś wpatrując nad moim ramieniem. – A niech to...! Szajbuska na dwunastej.

– Cześć wszystkim!

Odwróciłam się. Za mną stała Everly Hadleigh; jej długie jasne włosy układały się wokół twarzy w złocistą aureolę. Zazwyczaj trzymała się z grupką utalentowanych artystycznie uczniów; jak zwykle miała na sobie długi, luźny czarny fartuch poplamiony na dole białą farbą. Ręce miała

splecione za plecami, a jej głos był tak cichy, że z trudem przebijał się przez toczony wokół ożywiony rozmowy.

Victoria wydeła usta i rozejrzała się dokoła.

– Czy ktoś coś powiedział, Juniper? Czy to tylko wiatr?

Parsknęłam śmiechem, ale nie czułam się z tym dobrze. Nie miałam problemu z Everly. Owszem, była cholernie dziwna i o wiele za miękka, żebym się chciała z nią zaprzyjaźnić, ale Victoria jej nienawidziła. Wiedziałam dlaczego. To żadna tajemnica, wszyscy to wiedzieli.

– Pożyczylibyście mi kilka dolarów? – zapytała Everly, a jej głos wydawał się jeszcze bardziej cichy. – Meredith zapomniała zostawić mi pieniądze na lunch.

– Przecież wiesz, że mama ma wystarczająco dużo na głowie – ofuknęła ją Victoria, grzebiąc w torebce. – W końcu musi się przede wszystkim skupić na własnych dzieciach, prawda?

Skrzywiłam się. Pani Hadleigh – Meredith – nie była mamą Everly. Kiedy osoba tak znana w mieście jak Kent ma romans z własną sekretarką, zaczynają krążyć plotki. A kiedy w efekcie romansu rodzi się dziecko, jest jeszcze gorzej. Ludzie mówili, że mama Everly była niestabilna emocjonalnie i dlatego dziewczyna mieszkała z Kentem i Meredith.

Jednak jej mama nadal pracowała w Towarzystwie Historycznym z Kentem. Nie potrafiłam tego zrozumieć, ale z drugiej strony byłam ostatnią osobą, która miała prawo oceniać dziwną sytuację rodzinną innych ludzi. W końcu u mnie nie było lepiej.

– Proszę... – Everly przełożyła włosy przez ramię i zaczęła nerwowo szarpać sukienkę palcami. – Kupię sobie coś w automacie.

– Hmm, niech ci będzie – powiedziała niezadowolonym tonem Victoria, wyjmując z portfela pięciodolarowy banknot. Wyciągnęła rękę

w stronę Everly, ale kiedy ta chciała wziąć pieniądze, szybko ją cofnęła. Everly westchnęła, ramiona jej opadły.

– Będę za ciebie robić zadanie z matematyki – zaoferowała. – Przez cały tydzień.

Victoria z uśmiechem położyła rękę na sercu, po czym wreszcie wręczyła siostrze gotówkę.

– Ajajaj, Ev, jak miło z twojej strony...! – Gdy tylko Everly się odwróciła, Victoria przestała się uśmiechać. – A tak przy okazji, Jerry, to później biorę samochód.

Jeremiah spojrział na nią z wściekłością, a ja skorzystałam z okazji i podwędziłam mu kilka frytek.

– Yyyy, nie. Jedziemy z Brendonem pograć w HyperBowl.

– W takim razie zabierzesz się z Brendonem. – Victoria wzruszyła ramionami.

– Nie ma mowy, ostatnim razem też wzięłaś samochód! Niech mama cię podwiezie.

– Jerry, biorę samochód. Pytanie, czy w bagażniku będzie twoje martwe ciało, czy też nie.

Kłótnia trwała do końca przerwy, ale ostatecznie dostałyśmy samochód, a Jeremiah jakimś cudem nie zginął.

– Co powiedziałaś mamie? – zapytała Victoria, ścisząc muzykę, żeby dało się rozmawiać. Pozwoliłam jej wybrać miejsce, w którym wieczorem weźmiemy kwas, więc jechałyśmy teraz wzdłuż zatoki na północ, gdzie las był gęsty, a domy nieliczne i oddalone od siebie. Moim zdaniem hotel albo dom znajomych byłby lepszym miejscem na nasz pierwszy odlot, ale przyjaciółka upierała się, że na zewnątrz będzie bardziej „magicznie”.

– Mama przynajmniej do jutra będzie na kacu – wyjaśniłam. – Nie zauważyłaby, nawet gdybym zniknęła na tydzień.

– Szczęściara z ciebie. – Victoria wyduła wargi. – Mojej mamie nic nie umknie. Powiedziałam jej, że zostajemy na noc u Kim.

Bmw X5 skręciło z asfaltowej drogi w wąską, poprzecinaną wybojami polną dróżkę. Ziemia była jasnozielona od mchu, wokół przewróconych drzew i ich masywnych korzeni rosły bujne paprocie. Victoria zaparkowała, otworzyła okna oraz szklany szyberdach, po czym zgasiła silnik. Wokół rozlegały się wyłącznie odgłosy lasu: szum wiatru w koronach drzew, śpiew ptaków, skrzypienie konarów nad naszymi głowami.

– Zostajemy tutaj – zdecydowała. – Jest idealnie.

Nie byłam pewna, kiedy kwas zaczął działać. Czas całkowicie stracił znaczenie gdzieś pomiędzy położeniem na język tabletki LSD a chwilą, gdy kolory wokół mnie zaczęły się rozmazywać i łączyć w dziwną mozaikę. Z mojego telefonu leciał kawałek *You Are a Memory Message to Bears*, a ja mogłabym przysiąc, że ten utwór nie ma końca. Mijały godziny, a on trwał i trwał.

Wysiadłyśmy z auta. Wyciągnęłam ramiona w stronę nieba, bo byłam pewna, że uda mi się dosięgnąć chmur. Czułam pod palcami każdą chropowatość suchej kory przewróconego drzewa, na które się wspierałam. Powietrze było tak orzeźwiające – jak napój, w który włoczono zbyt dużo dwutlenku węgla – że aż zaczęłam chichotać. A potem nie mogłam przestać, bo wszystko, na co spojrzałam, wydawało mi się ogromnie zabawne.

– Czujesz to? – Głos Victorii brzmiał jak puszczonego z magnetofonu na zwolnionych obrotach, co mnie jeszcze bardziej rozśmieszyło. Kiwnęłam głową, zaśmiewając się do łez, po czym znowu kiwnęłam głową, na co przyjaciółka też wybuchnęła śmiechem.

Czas zaczął się zmieniać. Mogłam go odmierzać krokami i oddechami. Mogłam go odmierzać tymi przedziwnymi falami, które podnosiły się w mojej piersi, jednocześnie ją ściskając i wypełniając jakby powietrzem spod skrzydeł ptaka. Efekty działania kwasu potrafią nadciągać falami, ale ile minut trwają te fale? Ile godzin? Może całą wieczność?

Słońce było już nisko nad horyzontem, a ja leżałam w trawie, obserwując kalejdoskop drzew na tle bladoróżowego nieba. Wszystko pulsowało, rozmazywało się i mieniło.

Nagle pojawiła się nade mną twarz Victorii. Wyglądała dziwnie, ale w tym momencie wszystko wyglądało dziwnie.

– Juniper, powinniśmy się przejść.

Potrząsnęłam głową. Miałam nadzieję, że ona również to widzi: kolory, wirowanie, oddech całego świata. Podała mi rękę, a mnie przyszło na myśl, że jej ręka i głowa wcale nie są połączone.

– Chodźmy się przejść. Wstawaj. Muszę ci coś pokazać.

Chciałam leżeć w trawie i czekać, aż urośnie tak wysoka, że całkiem mnie zakryje, aż stanę się jak ta przewrócona sosna pokryta porostami i małymi kępkami mchu. Jednak Victoria już ciągnęła mnie do góry, więc chwyciłam ją za rękę i z trudem powlekłam się za nią w głąb lasu.

Słońce już zaszło. Las tonął w szarawym świetle, a na niebie było pełno chmur. Po raz pierwszy od sama nie wiem kiedy spojrzałam na zegarek, ale nie potrafiłam odczytać godziny. Cyfry były zaledwie niezrozumiałymi znakami na tarczy, na dodatek zamazanymi i dziwnie trójwymiarowymi; gdybym chciała, mogłabym pogłodzić palcami ich krawędzie. Pospiesznie opuściłam nadgarstek i w tym samym momencie zorientowałam się, dokąd Victoria mnie prowadzi.

– Nie powinniśmy tutaj przychodzić – zauważyłam, kiedy przed nami wyłoniły się z ciemności górujące nad drzewami wiekowe iglice katedry

pod wezwaniem Świętego Tadeusza. Na trzeźwo nigdy nie przestraszyłabym się tego miejsca. Legendy osnute wokół katedry były właśnie tylko legendami – starymi, wyszanyymi z palca opowieściami. Pokrywająca mury świątyni farba już dawno się złuszczyła, drewno pod nią było ciemne i upstrzone plamami wilgoci. Spomiędzy starych desek wyrastały porosty i grzyby. Pod trzema iglicami zdobiącymi fasadę znajdował się ogromny witraż przedstawiający stojącą nad morzem kobietę. W wysoko uniesionej dłoni trzymała sztylet.

To miejsce miało swoją historię, podobnie jak wszystko w Abelaum. Położone było blisko White Pine, głębokiego szybu górniczego, z którego ratownicy wydobyli na światło dzienne jedynych, którzy przetrwali w zalanej kopalni. Wieść gminna niosła, że trzech ocaleni górnicy zatrzymali się tutaj i ofiarowali katedrę pradawnemu Bogu, który, jak utrzymywali, darował im życie w okrytej mrokiem zalanej głębinie.

Istota z głębin, tak go nazywali. Od czasu do czasu nadal można było usłyszeć, jak jakiś staruszek mamrocze pod nosem na ten temat. Jednak dla naszego pokolenia była to tylko kolejna opowieść z dreszczykiem. Tak jak te o Wielkiej Stopie albo Diabie z New Jersey.

W tym miasteczku historia i legendy tak ściśle splatały się ze sobą, że praktycznie nie dało się ich od siebie oddzielić.

Stary kościół powinien być całkowicie martwy, jak zbielące kości, ale powietrze wokół niego drgało, jakby gorące unosiło się nad dachem samochodu w upalny dzień. Gwałtownie przystanęłam, ciągnąc do tyłu Victorię, a ona spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego nie? – zapytała. – Przecież już tam byłaś, Juni. Obie tam byłyśmy. – Wzruszyła ramionami. – To tylko stary kościół.

– Nie... nie teraz... – wyjąkałam, próbując wyszarpnąć rękę z jej uścisku, jednak albo byłam słabsza, niż sądziłam, albo ona trzymała mnie

naprawdę mocno. – Nie na haju. Wracajmy. Chcę wracać do lasu.

Victoria potrząsnęła głową.

– Tylko na chwilę, proszę cię. Chcę tylko wejść do środka.

Wiedziałam, że coś tu jest nie tak, choć nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Czułam dym, jakby z ogniska. Wokół nas zapadała coraz głębsza ciemność, a my zbliżyliśmy się do katedry; przez pokryte grubą warstwą brudu okna dostrzegłam poświatę. O zmroku świerszcze powinny głośno cykać, tymczasem panowała tu całkowita cisza.

Jednak Victoria była moją najlepszą przyjaciółką.

Drzwi prowadzące do katedry tym razem nie były zamknięte na łańcuch. Kiedy bywałyśmy tutaj wcześniej z Victorią – żeby pić albo palić, albo robić to, czego zapragnęły nasze zbuntowane młode serca – zawsze musiałyśmy się wślizgiwać do środka tylnym wejściem. Teraz jednak łańcucha nie było, a kiedy Victoria pchnęła drzwi, dotarło do mnie, że nie jesteśmy same.

Ktoś był wewnątrz. Ktoś czekał.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałam dobiegający z lasu za moimi plecami szept.

Usłyszałam, że las woła mnie po imieniu.

Chciałabym zapomnieć wszystko, co pamiętam.

Chciałabym, żeby przestały mnie dręczyć koszmary.

Chciałabym wymazać z pamięci tamtą noc.

Noc, kiedy coś zawołało mnie po imieniu, a ja zrozumiałam, dlaczego dziadek powtarzał, że w takiej sytuacji powinnam uciekać.

Dach kościoła zapadł się całe lata temu, w sklepieniu utworzyła się ogromna dziura, przez którą wpadało światło księżyca oświetlające leżącą

poniżej stertę gruzu. Jednak ławki nadal znajdowały się na swoich miejscach, ułożone w równe rzędy, jakby w oczekiwaniu na wiernych, którzy je zajmą.

Gdy Victoria otworzyła drzwi, dotarło do mnie, że tym razem ławki nie są puste.

Ponad dwadzieścia par oczu zwróciło się w naszą stronę. Ponad dwadzieścia znajomych osób wstało, kiedy znalazłyśmy się w środku. Przyglądałam się im, nic nie rozumiejąc. Myślałam, że to mój umysł pod wpływem kwasu płata mi figle. Wszyscy mieli na sobie białe peleryny, a kiedy przechodziłam obok nich, rząd za rządem, nakładali na twarze maski w kształcie czaszki jelenia.

Był tam pan Thorne, podobnie jak pani Malcolm, moja nauczycielka historii. Mike, który pracował na stacji benzynowej. Pani Kathy, ta dziwaczna staruszka mieszkająca niedaleko uniwersytetu. Na środku kościoła płonęło ogromne ognisko, Victoria poprowadziła mnie wokół niego. Miałam wrażenie, że utknęłam w jakimś dziwnym gabinecie osobliwości w wesołym miasteczku, i z niewinnym zaciekawieniem przyglądałam się otaczającym mnie dziwom.

Dopóki nie okrążyłyśmy ogniska i nie znalazłyśmy się przed amboną.

Przed nami stał ubrany na biało Kent Hadleigh ze splecionymi przed sobą rękami. Tuż obok ustawiła się Meredith, obok niej Jeremiah. Kobieta u boku Kenta wydawała mi się znajoma, ale nie mogłam sobie przypomnieć jej imienia i nazwiska.

Aż do chwili, gdy w cieniu za amboną dostrzegłam Everly.

Kobietą stojącą koło Kenta był nie kto inny jak Heidi Laverne – recepcjonistka Kenta, jego kochanka oraz matka Everly.

Zmarszczyłam brwi. Victoria puściła moją rękę i zajęła miejsce obok matki i Jeremiaha. Uśmiechnęła się do mnie, ale mój otumaniony przez

kwasi umysł zobaczył na jej ustach złowieszczy grymas. Teraz mogłam mierzyć czas uderzeniami serca. Puk puk, puk puk. Serce boleśnie objęło się o moją klatkę piersiową. Z każdym uderzeniem próbowało wpompować adrenalinę w moje kończyny. Połowa mojego umysłu była święcie przekonana, że to wszystko jest halucynacją. Że to nie dzieje się naprawdę. Że to tylko kolejna fala.

Jednak druga połowa mojego umysłu była pewna, że dzieje się tu coś bardzo, bardzo niedobrego.

Powinłam wyjść. Powinłam natychmiast opuścić to miejsce.

Ale kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że drzwi kościoła zostały zamknięte, a członkowie zgromadzenia, w swoich maskach i białych pelerynach, przysunęli się bliżej. Miałam przed sobą mur zamaskowanych postaci, wpatrujących się we mnie zimnymi oczami wyzierającymi z ciemnych oczodołów.

Na zewnątrz zasnuwające niebo chmury wydały z siebie pierwszy groźny pomruk.

– Czekaliśmy na ciebie, Juniper – oznajmił Kent. Powoli obróciłam się w jego stronę. Victorii podano białą pelerynę, właśnie wkładała ją na ramiona. Potrząsnęłam głową, kiedy jej twarz zniknęła za maską, tak jak twarze innych.

Co to, kurwa, ma być? Co tu się, do cholery, dzieje? Czy to tylko halucynacje?

Zacząłam się wycofywać, szybko, potykając się o pokrywające posadzkę odłamki gruzu. Jednak nie dotarłam daleko. Kent skinął głową i nagle poczułam mocny uścisk na ramionach, kiedy z dwóch stron chwyciły mnie zamaskowane postaci i siłą pociągnęły z powrotem w stronę ambony. Nie wiedziałam, co się dzieje, poza tym nienawidziłam, kiedy

dotykali mnie obcy ludzie. Gwałtownie rzuciłam się do tyłu, szarpałam się i zapierałam. Dlaczego wszyscy tylko się gapili?

– Puśćcie mnie! – Próbowałam im się wyrwać, bo ich maski wyglądały zdecydowanie zbyt realistycznie, w końcu byłam pod wpływem psychodelików. Ale oni jakby mnie nie słyszeli. Zaciągnęli mnie przed Kenta, a następnie zmusili, żebym uklękła.

W chwili, kiedy moje kolana uderzyły w brudne deski podłogi, brutalna prawda wreszcie do mnie dotarła. To wcale nie był wymysł mojego otumanionego narkotykami umysłu. Cholera jasna, to się działo naprawdę...!

– Nie bój się, moja droga. Wszystko jest w porządku. – Głos Kenta był spokojny, prawie kojący. Uśmiechnął się do mnie i lekko dotknął zimnymi palcami mojego policzka. Szarpnęłam się do tyłu, usiłując wyrwać się przytrzymującym mnie mężczyznom.

– Co to, kurwa, ma być? – wrzasnęłam, choć głos mi drżał. – Puśćcie mnie! Niech pan im powie, że mają mnie puścić.

Kent potrząsnął głową, jakbym była dzieckiem zwracającym się do niego z jakąś niedorzeczną prośbą.

– Bóg cię wezwał, moja droga. Czekał na ciebie od bardzo dawna.

Roześmiałam się, choć to wcale nie było zabawne. Miałam wrażenie, że niewidzialna pięść od wewnątrz uderza mnie w żebra – to moje serce było tak, jakby próbowało się wyrwać z klatki, w której było uwięzione.

– Niech pan się nie wygłupia – powiedziałam. – Niech pan im każe przestać. To nie jest zabawne. To nie jest, kurwa, zabawne...!

Kent odwrócił się, podniósł ze znajdującej się za nim ambony maskę i włożył na głowę. Stał się kolejną czaszką z pustym spojrzeniem, a ubrana na czarno kobieta spojrzała na mnie z góry, uważnie mi się przyglądając.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Juniper! Juniper Kynes! – wydyszałam, nadal próbując się wyrwać. – I wiem, kim pani jest! Nazywa się pani Heidi Laverne! Znam was wszystkich! – Wrzeszczałam w ich stronę, mając nadzieję, że ich wystraszę. Nie wiedziałam, co zamierzają, ale znałam ich nazwiska, znałam ich twarze. Mogłam komuś o tym powiedzieć. Mogłam ich oskarżyć.

Oskarżyć... ale o co?

Heidi powoli pokiwała głową.

– To jej szuka Pan. To ją wzywa.

– Pan ją wzywa – wymamrotało zgromadzenie zgodnym chórem.

Świat wokół mnie wirował. Na ścianach tańczyły dziwaczne wzory, a na deskach pod moimi stopami oraz w porach i piegach na twarzy Heidi wiły się nieskończone pętle. Kobieta zrobiła krok do tyłu, po czym z fałdów czarnej sukni wyjęła nóż i podała go Kentowi.

Poczułam się, jakby jedna część mojego umysłu nagle się wyłączyła. Dokładnie ta, która była jeszcze zdolna do logicznego myślenia – to ona zorientowała się, co nadchodzi, i postanowiła mnie odłączyć.

Odłączyła tę część mnie, która chciała krzyczeć.

Odłączyła oszalałą walkę, bo nie było sensu tracić energii.

Znieruchomiałam i zamilkłam, tylko po policzkach płynęły mi gorące łzy.

– Bracia i siostry! – Potężny głos Kenta zabrzmiał w przestronnym pomieszczeniu, odbijając się echem wśród krokwi. – Pradawny Bóg od dawna obdarza nas swoją łaską i cierpliwością, jednak również od dawna czekał na tę chwilę! Dzisiejszej nocy zaczniemy wypełniać przysięgę złożoną przez naszych przodków. Dzisiejszej nocy na Ziemi rozpocznie się nowa era. Dzisiejszej nocy złożymy Istocie z głębin pierwszą ofiarę.

– Amen – zgodnym chórem odpowiedzieli zgromadzeni, a mnie przeszedł lodowaty dreszcz odrazy. Nie mogłam oderwać wzroku od noża,

w którego ostrzu odbijał się blask ognia, kiedy Kent powoli obrócił go w rękach, klękając przede mną.

– Panie Hadleigh... – zdołałam wyszeptać drżącym głosem. – Proszę...!

– Znasz tę historię, Juniper? – powiedział tak lekkim i radosnym tonem, jakby się zwracał do dziecka. – Dawno temu trzech mężczyźni zostali uratowani z tragicznie zalanej kopalni. Było ich tylko trzech. Jedyni ocaleni spośród kilkudziesięciu górników.

– Słyszałam tę opowieść. – Szlochałam, wpatrując się w ostrze. Świadomość, że stanie się coś strasznego, a ja w żaden sposób nie mogę temu zapobiec, całkowicie mnie sparaliżowała. – Dziadek mi ją opowiadał, ponieważ jego pradziadek był tam na dole...

– I właśnie jego pradziadek ocalał – dokończył Kent. Jednym gładkim ruchem rozciął mi koszulkę.

Zalała mnie fala wstydu i upokorzenia, moja skóra płonęła, za to w żołądku czułam lodowatą bryłę lodu. Próbowałam wyślizgnąć się z przytrzymujących mnie rąk, które teraz zdzierały ze mnie resztki zniszczonej koszulki.

– Proszę, proszę, nie róbcie tego, proszę...

– Twój przodek został ocalony. Nadszedł czas, żeby odwdzińczyć się Bogu za jego łaskę – oznajmił stanowczym głosem Kent.

A potem zaczął nacinać moją skórę.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. W próżni, która mnie pochłonęła, rozlegał się jedynie głos Kenta.

– Twoja dusza została obiecana Istocie z głębin, moja droga. Przeminięło sześć pokoleń i obietnica musi zostać wypełniona. Trzy ocalone życia w zamian za trzy dusze.

– Trzy ocalone życia w zamian za trzy dusze – powtórzyli jak echo zebrani.

Krzyczałam zachrypniętym głosem:

– Nie, nie, to tylko legenda, to tylko legenda, to nie jest prawda! To nie jest prawda! W kopalni nie ma żadnego Boga! To nie jest prawda!

Dlaczego oni to robili? Dlaczego? Dorośli nie powinni wierzyć w takie historyjki, opowiadali je, żeby nastraszyć małe dzieci. Nastolatki powtarzały własne wersje tej historii, jeszcze bardziej przerażające, popijając tanie wino w ciemnych miejscach. Nie było w niej nic prawdziwego.

Nacięcia paliły, naznaczając moją skórę, jakby nóż był rozpalony do czerwoności. Moja klatka piersiowa była cała we krwi, na ten widok ponownie zakręciło mi się w głowie i poczułam, że jeszcze bardziej pograżam się w tej bezpiecznej, spowitej mrokiem próżni.

Kiedy się ocknęłam, zorientowałam się, że jestem niesiona w deszczu. Lodowato zimne krople uderzały w moją skórę, zmywając strumyczki krwi płynące z nacięć na piersi. Co oni mi zrobili? Co oni mi, do cholery, zrobili?

Zamierzali mnie zabić?

Wrzucono mnie do błota. Próbowałam się czołgać, próbowałam się poruszać, ale prawdopodobnie czymś mnie odurzili, bo moje mięśnie nie chciały nawet drgnąć. Dłonie miałam zesztyniałe, palce napięte i obolałe. Przez szum deszczu przebijał się jakiś odgłos, jakby rozłupywanego drewna. Otoczyły mnie białe peleryny, a ja wyciągnęłam w ich stronę ręce, zaciskając zabłocone palce na materiale, mając nadzieję, że ktoś przyjdzie mi z pomocą, błagając, żeby się nade mną zlitowali.

Jednak oni nie mieli litości. Miałam piętnaście lat, a oni po prostu obserwowali mnie w milczeniu. Kilkadziesiąt osób.

Nikt mi nie pomógł.

Nikt się nawet nie ruszył.

– Victorio! – wykrzyknęłam jej imię w stronę tłumu pozbawionego twarzy. – Victorio, pomóż mi!

Jednak ona mi nie pomogła. Nawet nie drgnęła. W końcu to ona mnie tutaj przyprowadziła.

– Oddajcie ją Bogu.

Wlekli mnie po błocie, aż zobaczyłam przed sobą otwarty szyb górniczy. Zacisnęłam palce na ich rękach, walczyłam, aż całkowicie opadłam z sił.

Nic już nie mogłam zrobić.

A oni wrzucili mnie w ciemność.

Zane

Trzy lata później

Na Ziemi są miejsca przeklęte, całkowicie przesiąknięte złem. Miejsca, które znają ból, które zakosztowały krwi i chcą więcej. Miejsca, w których gromadzi się ciemność i nawet w środku dnia spowija je cień.

Te miejsca przypominają nam dom; podejrzewam, że właśnie dlatego tak przyciągają demony. Nie chcę przez to powiedzieć, że Piekło jest jakimś nędznym, nieprzyjemnym miejscem. Wręcz przeciwnie, Piekło jest nieskończenie fascynujące, nawet dla nieśmiertelnych. Jest rozległe, o wiele bardziej przestronne niż Ziemia. Ma w sobie ciemność, ma w sobie ból, a niektóre obszary są przesiąknięte niewyobrażalnym nieszczęściem i cierpieniem. Należy jednak pamiętać, że jego mieszkańcy istnieją od wieków, ba! – od tysiącleci. Było świadkiem wojen, powstań, narodzin i końca kolejnych miast i kultur. Jest pełne magii i wspomnień.

Abelaum, tak jak Piekło, zostało zbudowane na fundamentach magii i wspomnień. Było piękne; przyciągało do siebie dociekliwe umysły i usidlało je, jak pająk tkający sieć. Niektórzy ludzie zostawali tu na zawsze, inni szybko wyjeżdżali.

Jednak Abelaum miało coś, czego nie miało nawet Piekło: Abelaum miało Boga.

Bogowie i demony nigdy nie żyli ze sobą w zgodzie. My odebraliśmy Bogom Piekło, a Oni w rezultacie musieli zadowolić się Ziemią, słabi

i pogrążeni we śnie. Jednak mali wścibscy ludzie jak zwykle posunęli się za daleko. Ich ciekawskie ręce nie przestawały kopać, a ciekawskie umysły wreszcie zdołały coś obudzić.

Ludzie i Bogowie to niedobra kombinacja. Daj człowiekowi wiedzę, a on uwierzy, że jest mądry. Daj człowiekowi magię, a uwierzy, że jest silny. Daj człowiekowi religię, a uwierzy, że jest nieomylny.

Demony powinny unikać Bogów, choć miasteczka takie jak Abelaum mocno je intrygowały. A jednak znowu wylądowałem w Abelaum, wróciłem tu po kilku latach nieobecności. Zawsze wracałem i będę wracać, dopóki jest tu Leon.

My, demony, nie podchodzimy lekko do łączących nas więzi. Kiedy jeden z nas zostaje wezwany, a następnie uwięziony przez jakiegoś cholernego ludzkiego czarownika, nie pozostawiamy go własnemu losowi. Leon i ja przed wiekami związaliśmy się przysięgą, a więź między nami nigdy nie została zerwana. I nie zostanie. Może i nie jesteśmy już, tak jak wcześniej, kochankami, jednak relacje, które przetrwały setki lat, muszą mieć swoje przyływy i odpływy, jak ocean.

– Jak to, kurwa, boli – syknął Leon, odsłaniając ostre zęby, podczas gdy ja zajmowałem się oparzeniami biegnącymi w poprzek jego ramion. Nie wiedziałem, z jakiego powodu jego wzywający ukarał go tym razem. Leon miał wybuchowy charakter i nie mogłem go za to winić. Zawsze był pechowym gościem, a bycie wezwanym i uwięzionym przez tę rodzinę z piekła rodem – Hadleighów – stanowiło wisienkę na torcie prześladowających go nieszczęść.

– Nie musisz opatrywać tej rany – burknął gniewnie. – To nic nie zmieni.

– Owszem, zmieni. – Próbował podnieść głowę i wstać, ale bezceremonialnie popchnąłem go z powrotem w dół. Nawet jego jasne

włosy były przypalone. Człowiek, który go wzywał, posługiwał się brutalnością jak bronią i używał bólu, żeby wymusić posłuszeństwo. – Wiem, że te rany się zagoją, Leonie, ale nie możesz tak zupełnie o siebie nie dbać. Szybciej wrócisz do pełni sił, jeśli rana będzie czysta.

– Pierdolony Kent – wymamrotał. – Przysięgam, że go zabiję.

Kent Hadleigh – człowiek, któremu prastary Bóg dał wiedzę, magię i religię. Niebezpieczny zestaw, szczególnie w rękach kogoś, kto uważa się za nietykalnego.

– Za co ci się tym razem oberwało? – Wyrzuciłem zakrwawioną szmatkę. Wracalem do Abelaum tak często, że postanowiłem kupić tu sobie dom, co było przydatne nie tylko w celu zapewnienia Leonowi miejsca, w którym mógł spokojnie dochodzić do siebie. Ludzie o wiele łatwiej obdarzają cię zaufaniem, jeśli masz dom, samochód, robisz wrażenie człowieka majątnego i wpływowego. A dla mnie, jako łowcy dusz, zdobycie ludzkiego zaufania było kluczową kwestią.

– Za tę dziewczynę – wyjaśnił Leon. – Wypuścili ją dzisiaj. Minęły trzy lata, a Kent dalej się wścieka, że udało jej się uciec. Powiedział mi, żeby ją odnaleźć... ale pieprzyć go! Pieprzyć jego rozkazy. Jeśli o mnie chodzi, dziewczyna może dać nogę. Z kolei Kent może złamać każdą kość w moim ciele, a ja i tak mu jej nie przyprowadzę. – Przyjaciel parsknął gorzkim śmiechem.

Ta dziewczyna. Wiedziałem, o kogo chodzi, tylko dlatego, że Leon wszystko mi opowiedział – jak Kent namówił córkę, żeby zwabiła tę dziewczynę do lasu, jak on i pozostali członkowie sekty zebrali się w starym kościele, jak najpierw ją pocięli, a następnie wrzucili do kopalni.

Pierwsza ofiara złożona ich okrutnemu Bogu.

Jednak udało jej się wydostać i uciec, nawet Leon nie był w stanie jej złapać.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, jakim cudem piętnastoletnia śmiertelniczka zdołała się wymknąć Leonowi. To, że przetrwała ucieczkę przez las – zakrwawiona, zagubiona i otumaniona narkotykami – po prostu nie mieściło się w głowie.

– Dlaczego ją zamknęli? – zapytałem. – Ostatnio słyszałem, że cała policja jej szukała.

– Próbowwała zabić Victorię Hadleigh. – Leon odchylił głowę na oparcie kanapy i zamknął złote oczy. – Gliniarze tańczą tak, jak im Kent zagra. Cholerni ludzie. Tak łatwo ich przekupić. – Westchnął. – Zamknęli tę dziewczynę w jakimś szpitalu i stwierdzili, że ma urojenia. Nie sądzę, żeby jej to specjalnie przeszkadzało. Przynajmniej przez ostatnie trzy lata była bezpieczna. Ale teraz... wypuścili ją i jest zdana wyłącznie na siebie. – Jego głos był coraz cichszy i słabszy, powoli zasypiał. My, demony, rzadko śpimy, ale jeśli zapadamy w sen, to dlatego, że rozpaczliwie tego potrzebujemy. – Bóg zna jej zapach. Będzie ją ścigał. Dziewczyna może się przygotować na ostrą jazdę bez trzymanki. – Ziewnął. – Muszę się zdrzemnąć. Tylko minutkę. Minutka...

I już spał jak zabity.

Przekłete miejsca rodzą przeklętych ludzi. Byłem nimi zafascynowany. Ludzie, których głęboko skrzywdzono, ale przetrwali; ludzie, którzy nie mają swojego miejsca, bo nigdzie nie pasują. Lubiłem polować na outsiderów, dusze mające za sobą trudne historie, dusze poorane głębokimi bliznami. To właśnie one najzacieklej się broniły, dzięki czemu zwycięstwo było jeszcze słodsze, kiedy wreszcie ulegały.

Ta dziewczyna – ta, która uciekła Kentowi Hadleighowi i jego sekcje – z pewnością była outsiderką. Ale choć bycie wyrzutkiem społecznym jej nie zabiło, z pewnością się to uda ścigającym ją potworom. Wyczuwałem

ich zapach – wśród drzew czaili się Eldowie. Nie będą się mogli oprzeć unoszącej się wokół niej magii, zapragną jej skosztować.

Prawdopodobnie dziewczyna nie przetrwa nawet tej nocy.

Leon odpoczywał, więc postanowiłem się powłóczyć po okolicy. W powietrzu było zbyt dużo energii, czułem mrowienie na karku, co oznaczało, że nadciągają zmiany. Granica między Ziemią, Piekłem oraz wszystkimi innymi niezliczonymi krainami stała się płynna. Ta granica na zmianę powiększała się i zmniejszała, jak księżyc, a niektórzy uważali, że w końcu całkowicie zniknie, pogrążając wszechświat w chaosie.

Nie byłem pewny, czy w to wszystko wierzę, natomiast wiedziałem na pewno, że w Abelaum pojawiły się nowe demony, których tu nie było jeszcze kilka dni temu. To właśnie ich zapachem kierowałem się, zaciekawiony, zagłębiając się w mrok nocy.

W ten sposób dotarłem do niewielkiej knajpki usytuowanej nad wodą, której migający neon zapewniał, że jest otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Zapaliłem skręta na parkingu i próbowałem zajrzeć przez okna do środka. Siedziały tam trzy demony, każdy osobno. Dwa z nich rozpoznałem, były to łowczynie dusz, podejrzewałem, że trzeci tak samo. Zorientowały się, że tu jestem, i rzucały mi nieufne spojrzenia przez okno, sącząc kawę i grzebiąc widelcem w jedzeniu, którym wcale nie były zainteresowane.

Co one tutaj, do diabła, robiły?

Nadal paliłem, kiedy wiatr nagle zmienił kierunek. Skunksowy, ziołowy zapach marihuany rozwiął się w powietrzu, a jego miejsce zajął ostry odór żelaza i rozkładu. Odwróciłem się w stronę drzew i wbiłem spojrzenie w ciemny zarys lasu. W mroku rozległo się przeszywające wycie; ten rodzaj rozpaczliwego zwierzęcego krzyku, który brzmi prawie jak ludzki.

Zaciągnąłem się głęboko, po czym powoli wypuściłem dym. Najpierw demony, teraz bestie... wszyscy się tu zebrali.

Niespiesznym krokiem wszedłem do środka, a demony szybko spuściły głowy. Przebywałem w tej okolicy dostatecznie długo, żeby wyrobić sobie renome, i zdobyłem wystarczająco wiele dusz, żeby zyskać sławę łowcy, z którym nie warto sobie pogrywać. Te demony były młode, niedoświadczone. Być może próbowały zdobyć swoją pierwszą duszę. Tylko czyją?

Podszedłem do baru i stuknąłem kilka razy w drewniany blat, żeby przywołać zdenerwowanego kelnera. Oczy prawie mu wyszły na wierzch, palce mu drżały. Nie wiedział, że zebrani w jego knajpce goście są istotami z innego świata, ale instynkt podpowiadał mu, że jest w niebezpieczeństwie.

– Poproszę czarną kawę – powiedziałem. Przypatrywałem się, jak drżącymi rękami napełnia kubek kawą z dzbanka. – Spokojna noc?

Wzruszył ramionami.

– Dziwna noc. Coś dzisiaj jest nie tak. – Spojrzał ze zmarszczonymi brwiami za okno, wręczając mi kubek. – Słyszałeś to wycie? Zazwyczaj nie ma tutaj wilków.

– To nie były wilki – odparłem enigmatycznie. Usłyszałem, że ktoś biegnie w stronę knajpki. Nie najlepsza noc na przebieżkę. – Kiedy będziesz szedł do samochodu, weź ze sobą kogoś do towarzystwa.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – chciał wiedzieć. Nagle oczy rozszerzyły mu się jeszcze bardziej i wbił spojrzenie gdzieś za mnie. – Co to, kurwa...?

Odgłos biegnących kroków był coraz bliżej i bliżej...

Drzwi gwałtownie się otworzyły, dzwoneczki zawieszane na klamce zabrzęczały alarmująco. Powoli się odwróciłem, wyczuwając rosnące

napięciu. Tuż przy drzwiach stała młoda kobieta z długimi, zmierzwionymi brązowymi włosami. Była wysoka i szczupła, miała na sobie plecak i zabłocone buty. Zresztą całe ubranie miała w błocie – w błocie... i we krwi.

Zastygła w bezruchu, czujnie wodząc wzrokiem po wnętrzu knajpki. Wszystkie pary oczu zwróciły się w jej stronę, a trzy z nich były naprawdę wygłodniałe. Jej zapach był upajający, słodki, z odrobiną magii. Jednak krew, którą była pokryta, nie należała do niej. Od razu rozpoznałem tę woń.

To była krew potworów. Dziewczyna walczyła z Eldami.

– Hej! – zawołał ostro kelner. – Hej, ja cię znam! Juniper Kynes! Ty... ty powinnaś siedzieć w więzieniu. Próbowłaś zabić tamtą dziewczynę!

Nowo przybyła wzięła głęboki wdech, po czym przetarła rękawem zakrwawioną twarz. Przeszła przez salę, kierując się w stronę łazienki. Kelner prawdopodobnie jej nie słyszał, ale mruknęła pod nosem:

– To ona pierwsza próbowała zabić mnie.

Zamknęła się w toalecie. Każdy demon w knajpce był spięty do granic możliwości, wręcz paliły się, żeby zdobyć jej duszę. Roześmiałem się po cichu, upijając łyk parującej kawy. Młode łowczynie dusz – takie jak te tutaj – rozpaczliwie pragnęły łatwych ofiar, chciały zawierać pakt z ludźmi, których nie musiały przekonywać, że magia i potwory istnieją.

A ta dziewczyna już to wiedziała. Miała okazję poznać świat od najgorszej strony. To jednak nie znaczyło, że będzie łatwą ofiarą. Co to to nie.

– Powinienem zadzwonić po gliny – powiedział kelner, zerkając podejrzliwie w stronę łazienki. Dźwięk lejącej się wody gwałtownie ustał, a drzwi ponownie się otworzyły. Juniper ostrożnie wyszła i rozejrzała się po pomieszczeniu szeroko otwartymi oczami. Poruszała się jak przestraszone

zwierzątko, w każdej chwili gotowe rzucić się do ucieczki. Jak wilk... młody wilczek oddzielony od stada, samotny i ścigany.

Naprawdę fascynująca istota.

Podeszła do baru, podejrzliwie mi się przyglądając.

– Muszę coś zjeść.

Chłopak potrząsnął głową.

– Nie. Wyjdź stąd. – Powoli sięgnął po telefon.

Dziewczyna błyskawicznym ruchem wyjęła pistolet i wycelowała w kelnera. Drugą ręką sięgnęła po ukryty w przymocowanej do uda pochwie nóż i uniosła ostrze w moją stronę. Niewinnie podniosłem ręce.

– Żeby wam nic głupiego nie przyszło do głowy...! – syknęła przez zaciśnięte zęby, głos jej drżał. – Po prostu spakuj mi coś, kurwa, do jedzenia. Obojętnie co. Włóż jedzenie do torby. Teraz.

Kelner skinął głową i z twarzą bladą jak prześcieradło zniknął w kuchni. Juniper nie opuszczała wycelowanego we mnie noża, nerwowo zerkając to na mnie, to na siedzące za mną demony. Oczywiście nie mogła wiedzieć, kim naprawdę jesteśmy. W miejscach publicznych zawsze przybieraliśmy ludzki wygląd.

– Wiesz, że on właśnie dzwoni po gliny...? – odpowiedziałem. Dziewczyna podskoczyła na dźwięk mojego głosu, jej oddech gwałtownie przyspieszył, gdy gorączkowo spoglądała raz na mnie, raz na drzwi wiodące na zaplecze.

– Kurwa mać! – Wdrapała się na bar i sięgnęła pod ladę, prędko zabierając kilka paczek ciasteczek i małe opakowania krakersów, które wrzuciła do torby. Ponownie przeskoczyła przez bar i wybiegła z knajpki, akurat kiedy z kuchni dobiegło wołanie:

– Gliny już tu jadą!

Kelner ostrożnie wychylił się z kuchni. Za nim stał kucharz, potężny mężczyzna z patelnią, którą zamachnął się jak kijem do bejsbola. Naprawdę wystraszyli się tej walecznej kobiety.

Byłem pod wrażeniem.

Demony natychmiast ruszyły w ślad za swoją ofiarą, wszystkie naraz rzuciły się do drzwi. Z westchnieniem przełknąłem resztę kawy. Nie byłem zainteresowany... a przynajmniej... nie byłem zainteresowany aż do teraz. Jednak biorąc pod uwagę liczbę czyhających nią łowców oraz mając w pamięci ten rozpaczliwy, a jednocześnie waleczny błysk w jej oczach, kiedy wymachiwała w moją stronę nożem, cóż mogłem poradzić, że poczułem się zaintrygowany.

Opuściłem jadłodajnię szybciej, niż powinienem. Oszołomiony kelner musiał pomyśleć, że po prostu zniknąłem, zostawiając po sobie tylko pusty kubek. Łowczynie były już na parkingu, zmierzały w kierunku drogi, wesoło gawędząc i obstawiając, która pierwsza dopadnie kobietę. Znalazłem się tuż przed nimi.

Gwałtownie przystanąły, natychmiast porzucając ludzką powierzchowność. Trzy pary złotych oczu ostrożnie mi się przyglądały; pazury miały wysunięte, a łowczynie, której nie znałem, nawet wyszczerzyła zęby. Uśmiechnąłem się pogardliwie.

– Nie warcz na mnie, moja droga. To niegrzeczne – odezwałem się, a łowczynie stojąca obok niej mocno szturchnęła ją w żebra. – Tyle zamieszania z powodu jednej małej śmiertelniczki, co?

– Przecież wiesz, że chętnie zawrze pakt – zabrała głos Amiria. Znałem ją; była świeżą łowczynią dusz, która jeszcze nie zawarła swojego pierwszego układu. Nie mogła się tego doczekać, widziałem w jej oczach niecierpliwość. – Ale my byliśmy tu pierwsi, Zane. Choć raz pozwól nowicjusze zdobyć duszę.

Z uniesionym podbródkiem zrobiłem krok w ich stronę. Tylko jeden krok, a one wszystkie gwałtownie się cofnęły. Parsknąłem śmiechem na widok ich zdenerwowania.

– Chyba nie tym razem. Możecie mi wierzyć, świeżynki, tutaj jest pełno duszyczek. Znajdźcie sobie kogoś egoistycznego, zachłannego, kogoś, kto chce przeżyć życie na bogato, nie troszcząc się zbytnio o to, co będzie potem. Właśnie z taką osobą łatwo dobijecie targu. Ale ta dziewczyna...

Błyskawicznie się przemieniłem. Moje żyły stały się czarne jak płynące tuż pod skórą strumyczki atramentu, a zęby się wyostrzyły. Zebrałem wokół siebie energię i zagęściłem ją, tworząc okalający mnie całun ciemności. Owszem, może i była to tania sztuczka, ale demony zrozumiały przekaz. Pokazałem im, jaką mocą dysponuję – wystarczającą, żeby je wszystkie zniszczyć, tu i teraz, jeśli ośmieliłyby się mi sprzeciwić.

– Ta dziewczyna jest moja.

Juniper pokonała solidny kawał drogi, podczas gdy ja pozbywałem się konkurencji. Wypatrzyłem ją maszerującą wzdłuż krętej drogi, nadal z pistoletem w ręku. Szła środkiem, rozglądając się nerwowo w prawo i lewo. Las podkradł się aż do granicy asfaltu, gęste krzewy jeżyn uformowały po obu stronach jezdni ściany splątanych, ciemnych gałęzi. Niewyraźne zarysy koron drzew wznosiły się wysoko, a pod konarami czyhały w cieniu potwory.

Słyszałem, jak przemykają wśród drzew.

Kobieta również je słyszała.

Odwróciła się z uniesioną bronią. Otoczył ją gorzki zapach strachu, bo w jej żyłach zawrzała adrenalina. Ostra woń przerażenia sprawiła, że serce mocniej mi zabiło. Kobieta szeroko otwartymi oczami wpatrywała się

w ciemność. W powietrzu unosił się coraz bardziej intensywny odór rozkładu, kiedy przemykająca pod drzewami bestia podkradła się bliżej.

Jednak potwór czmychnął, gdy tylko się zbliżyłem. Samotny Eld nie ośmieliłby się ze mną walczyć.

– Musisz mierzyć w głowę. To jedyny sposób, żeby je zabić.

Prawie wyskoczyła ze skóry na dźwięk mojego głosu. Wycelował we mnie broń, ściskając niewielki pistolet obiema dłońmi, a jej wyprostowane ramiona drżały.

– Kim, do cholery, jesteś? – wyrzuciła z siebie, po czym zmrużyła oczy.
– Ty... ty byłeś w tamtej knajpce. Śledziłeś mnie.

– Śledzi cię całkiem spora gromada różnych stworzeń, mała wilczyco, a wszystkie mają wobec ciebie o wiele gorsze zamiary niż ja. – Spojrzałem w stronę drzew. Zbliżało się jeszcze więcej potworów, widziałem ich ciemne kształty mknące przez noc. Miały długie kościste kończyny oraz obrzydliwe zgarbione ciała. Gdy się poruszały, przypominały pająki. – Musisz się gdzieś schronić. Jeśli podróżujesz po zmroku, powinnaś jechać autem.

Nie opuściła broni, ale ciekawość zaczęła w niej brać górę nad strachem.

– Te stwory... wiesz, czym one są?

– To Eldowie – wyjaśniłem. Moje złote oczy były ukryte za brązowymi, pazury również były niewidoczne. W jej oczach byłem zwyczajnym człowiekiem, przynajmniej na razie. Nie było sensu straszyć jej jeszcze bardziej. – To prastare bestie z czasów, gdy świat był jeszcze młody. Jednak magia potrafi obudzić je ze snu. Magia... i Bogowie.

Dziewczyna zrobiła minę, jakby właśnie coś ją tknęło. Opuściła broń.

– Jesteś jednym z nich, prawda? Jednym z Libiri?

Potrząsnąłem głową.

– Nie, nie mam nic wspólnego ze śmieszną sektą Kenta Hadleigha. Nie jestem zainteresowany złożeniem cię w ofierze prastaremu Bogu. Byłoby to marnowaniem twojej duszy. – Uważnie się jej przyjrzałem, pod wycięciem koszulki zauważyłem blizny. Były to rytualne znaki wyryte w jej ciele, kiedy próbowano przeznaczyć ją na ofiarę. – A to taka piękna, poraniona dusza.

Zaczęła się cofać.

– Kim ty, do diabła, jesteś? I czego ode mnie chcesz?

– Na razie absolutnie niczego. – Moje oczy zmieniły barwę na złotą, a dziewczyna zeszywniała. Wysunąłem pazury, zęby mi się wyostrzyły. Młoda kobieta potknęła się i prawie upadła, nadal się cofając. Z trudem trzymała się na nogach. – Ale pewnego dnia, mała wilczyco, być może zapragnę wszystkiego.

Wystrzeliła.

Pocisk trafił mnie w ramię. Poczułem jakby lekkie uszczyknięcie. Z zaciekawieniem spojrzałem na ranę i wsunąłem w nią palec, żeby wydłubać pocisk. Dziewczyna z przerażeniem przyglądała się, jak upuszczam zakrwawiony kawałek metalu na ziemię.

– No, no, ale z ciebie flirciara... – Parsknąłem cichym śmiechem. – Zrób to jeszcze raz, Juniper, a być może dojdę do wniosku, że chcesz się zabawić.

– Kim ty, kurwa mać, jesteś? – Wyglądała, jakby zaraz miała rzucić się do ucieczki. Potrząsała głową, nie mogąc pojąć, co się właśnie dzieje przed jej oczami.

– Jeszcze się spotkamy – powiedziałem. – Wytrzymaj kilka lat, Juniper, nie pozwól się zabić. Lubię wojowniczkę. Pościg za nimi jest o wiele ciekawszy. Wytrzymaj, a kiedy ponownie się spotkamy, być może będę miał dla ciebie pewną propozycję.

– Nie chcę twoich propozycji – oświadczyła. – Trzymaj się ode mnie z daleka!

Cmoknąłem z dezaprobatą.

– Teraz tak mówisz. Ale lata będą mijać, niebezpieczeństwa będą się mnożyć, a ty może zmienisz zdanie. Choć może i nie. – Wzruszyłem ramionami. – Wybór zawsze należy do ciebie. Jednak ja ponownie się z tobą spotkam. A teraz znajdź sobie jakieś schronienie. Z dala od tego lasu. Poczekał do rana, zanim ponownie ruszysz w drogę. Juniper Kynes... – W ułamku sekundy przebyłem dzielący nas dystans. Stałem nad nią, a ona spojrzała na mnie swoimi wyzywającymi, ale przerażonymi oczami. Uśmiechnąłem się do niej szeroko, prezentując komplet ostrych zębów. – Uciekaj!

Posłuchała mnie i popędziła przed siebie ile sił w nogach. Eldowie chętnie by za nią podążyli, ale ich powstrzymałem, przynajmniej tej nocy. Może w przyszłości dam małej wilczycy szansę, żeby o siebie zawalczyła.

Było w niej więcej zawziętości, niż się spodziewałem. Tyle ognia w tak poranionym człowieku...! Upolowałem już wystarczająco wiele dusz, żeby móc pozwolić sobie na wybredność. Teraz ruszałem w pogoń powodowany kaprysem, nie koniecznością.

A tym razem zapowiadał się doprawdy fascynujący pościg.

Juniper

Kiedy kolejni ludzie powtarzają ci, że jesteś szalona, zaczynasz kwestionować własną poczytalność. Wnikliwie analizujesz swoje wspomnienia, jedno po drugim, rozdrabniasz je, aż zaczynają się mieszać i zamazywać, pograżają się w chaosie, a ty nie jesteś już pewna, czy są prawdziwe. Historia, którą opowiedziałam już tak wiele razy – sanitariuszom, policjantom, matce i bratu, ciągle od nowa, z narastającą rozpaczą – przeniknęła mój umysł, stała się nicią łączącą naiwną dziewczynę, którą byłam wtedy... i kobietę, którą się stałam.

Większość ludzi w którymś momencie życia fantazjuje o niebezpieczeństwie – o tym, że uciekają, walczą, a także o tym, że ogólnie są zbyt sprytni, żeby ucierpieć. Jednak te fantazje mają się nijak do prawdziwego zagrożenia. Czasem patrzysz, jak niebezpieczeństwo zbliża się do ciebie niczym pociąg towarowy, a jedyne, co możesz zrobić, to stać bez ruchu. Jedyne, co możesz zrobić, to mu się poddać.

Czasami nie ma ucieczki, nie ma walki. Czasami cholernie złe rzeczy po prostu ci się przydarzają.

Te cholernie złe rzeczy zmieniają cię. Nie patrzysz już na świat tak jak wcześniej. Zdajesz sobie sprawę, że dobre wychowanie, moralność, kultura, społeczeństwo, przyjaciele i rodzina to jedno wielkie oszustwo. To idee, których kurczowo się trzymamy, żeby uczynić naszą egzystencję bardziej znośną. A kiedy te wszystkie podnoszące na duchu bzdury zostają nam brutalnie odebrane, pozostaje nam tylko jedno – przetrwać.

Walka o przetrwanie jest brudna. Nie ma w niej miejsca na moralność i wielkoduszność. Przetrwanie nie jest czarno-białe, nie da się jednoznacznie powiedzieć, co jest dobre, a co złe. Przetrwanie ma kolor wszystkich odcieni czerwieni; to przelana krew przeciwnika i krew płynąca z własnych ran.

Przetrwanie zapewniła mi broń, alkohol był moim paliwem, a ostry seks łagodził ból istnienia.

Tamtej nocy nie mogłam znaleźć miejsca bardziej przypominającego klub niż ten obskurny bar. Neony przymocowane do ścian z surowego drewna, stare tablice rejestracyjne przybite do sufitu oraz stoły bilardowe zajmujące większość przestrzeni. W drodze do tego miejsca przez wiele kilometrów nie mijałam żadnej miejscowości, a jednak w pobliżu musiało być jakieś miasteczko, ponieważ bar był zatłoczony.

Było już późno, a zespół grający przeboje The Misfits był tak pijany, że jego członkowie ledwo byli w stanie ustać na nogach. Odstawałam od reszty towarzystwa, bo byłam od nich mniej więcej dekadę młodsza. Jednak przy biodrze miałam gnata, poza tym wymiatałam w bilard, więc nikt nie ośmielił się mi podskakiwać. Musiałam wygrać, żeby zdobyć pieniądze na benzynę i rano stąd odjechać, więc trochę oszukiwałam, żeby pomóc szczęściu.

Okłamać, okraść, uciec. W walce o przetrwanie nie ma miejsca na moralność.

Ustawiłam się do strzału, kij bilardowy oparłam między kciukiem a palcem wskazującym. Nagle ktoś przycisnął się do mojego tyłka, a na karku poczułam gorący oddech. Szorstka ręka ześlizgnęła się po moim przedramieniu i grube, tłuste paluchy chwyciły mnie za nadgarstek.

– Trzecia gra z rzędu, dziewczyno – odezwał się. To był Will, facet, z którym od godziny grałam. Kawał chłopca, robotnik rolny z łysą głową

i przystrzyżoną brodą. – Wiesz, nie za bardzo jest mi w smak dawać pieniądze oszustce.

Próbowałam się wyprostować, ale jego ogromne ciało całkowicie mnie zablokowało. Westchnęłam ciężko.

– Nie jestem oszustką, Will. Problem w tym, że nie potrafisz przyznać się do porażki.

Szarpnął mnie i mocno chwycił za dzinsową kurtkę, zmuszając, żebym spojrzała mu prosto w twarz, po czym przycisnął mnie do stołu bilardowego. Jego kumple zachichotali, a ja szybko przebiegłam wzrokiem bar. No tak, ludzie się gapili, ale nikt się nie podniósł z miejsca.

No jasne. Nikt się nie kwapił, żeby mi pomóc.

– Nawet nie próbuj sięgać po broń, suko – wycedził przez zęby, kiedy zauważył, że moja ręka przesuwana się w stronę pistoletu. Jego oddech cuchnął alkoholem i tytoniem do żucia. – Możemy się dogadać, co ty na to? Możesz zatrzymać pieniądze, ale musisz na nie zapracować. Do diabła, moi kumple i ja chętnie damy ci zarobić. – Nie puszczając mojej kurtki, przycisnął mi palce do warg, po czym wcisnął mi je do ust.

Palant. Naprawdę myślał, że go nie ugryzę?

Skowycząc, gwałtownie cofnął rękę, a ja splunęłam jego krwią na drewnianą podłogę, po czym obdarzyłam go szerokim uśmiechem. Jednak Will nie miał zamiaru puścić mi tego płazem i wymierzył mocny cios pięścią prosto w policzek, aż wylądowałam na ziemi w opłakania godnym stanie.

Super.

– Pierdolona dziwka! – sapnął głośno, wycierając zakrwawione palce o kurtkę. – Ja cię, kurwa, oduczę gryzienia...

Sięgnęłam po broń, wycelowałam i nacisnęłam spust.

Jego potylica pękła jak dojrzały melon, a wokół nas wybuchł chaos.

Kumple Willa ruszyli w moją stronę, klienci rzucili się do drzwi, a pijany w trzy dupy zespół nie przerywał koncertu, zupełnie się nie przejmując, że ktoś właśnie dostał kulkę w łeb. Jednak to był dopiero początek. Nad moją głową zakołysał się groźnie kij bilardowy, więc ponownie wystrzeliłam, trafiając ofiarę w ramię, a zaraz potem – między oczy. Uchyliłam się przed ciosem kolejnego napastnika, kopnęłam go w jaja, a kiedy zgiął się przede mną wpół, mój pocisk zgrabnie zanurzył się w tyle jego głowy.

Nieważne, kto zginie. Nieważne, ile krwi zostanie przelane. W głowie kołatała mi się jedna jedyna myśl: muszę przetrwać, nieważne w jak bardzo pojebany sposób.

Bójka barowa natychmiast pociągnęła za sobą kolejne. Wokół panowało kompletne zamieszanie – rozbite butelki, odgłosy strzałów, wrzaski i przekleństwa. Idealna okazja, żeby szybko się stąd zmyć. Pospiesznie przeszukałam kieszenie mężczyzn, których właśnie wyprawiłam na tamten świat, znalazłam kolejny banknot studolarowy oraz dwudziestkę, wcisnęłam je do kieszeni, po czym przyłgnęłam do ściany i ruszyłam w stronę drzwi.

Byłam już prawie przy wyjściu, kiedy ktoś pchnął mnie w plecy – na tyle mocno, że na moment zabrakło mi tchu i upadłam na podłogę. Próbowałam się czołgać, ale jakaś ręka chwyciła mnie za kostkę i pociągnęła do tyłu.

– Myślisz, że tak łatwo się z tego wywiniesz, ty pieprzona...

Nagle słowa zamieniły się w dzikie wrzaski, a zaciśnięta na mojej kostce ręka się rozluźniła, by po chwili upaść koło mojej głowy, odcięta i tryskająca krwią na brudną podłogę.

Co to... co to, kurwa, ma być?

Odwróciłam się. Mężczyzna, który próbował mnie zatrzymać, teraz kurczowo trzymał się za ramię i wrzeszczał, z niedowierzaniem wpatrując się w zakrwawiony kikut, w miejsce, gdzie jeszcze przed momentem była jego ręka. Jednak jego krzyki szybko przeszły w bulgot, a krew z poderżniętego gardła chlusnęła na białą koszulę. Z wybałuszonymi oczami patrzyłam, jak pada na podłogę, a mężczyzna, który go załatwił, trąca stopą jego ciało.

– Hmmm, trochę nabałaganielem – zauważył. Był wysoki, barczysty, na kurtce miał ciemnoczerwone plamy, a na głowę naciągnięty kaptur, spod którego zerknęły na mnie dziwnie jasne oczy o kolorze płynnego miodu. Pod dolną wargą miał piercing typu snake bites, srebrne kółeczka lśniły w barowym świetle, a w brwi – sztangę. Szyję – oraz, jak podejrzewałam, resztę ciała – miał całą w tatuażach. W zamyśleniu podrapał się zakrwawionymi palcami po policzku, po czym wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Wszystko w porządku?

Te oczy były znajome. Obudziły we mnie jakieś stare wspomnienie, mgliste i prawie już puszczone w niepamięć. Czy już go kiedyś spotkałam?

Nieważne. Zerwałam się na równe nogi, ignorując pomoc, i wybiegłam za drzwi. Nie miałam czasu na pogawędki z cholernie gorącym zabójcą. Przykro mi, proszę pana. Czas stąd spierdalać.

Na zewnątrz powietrze było gęste od tumanów kurzu wzniecanych przez pospiesznie opuszczających parking stałych bywalców baru w ciężarówkach, które następnie pędem oddalały się długą, ciemną drogą. Podbiegłam do swojego jeepa, szarpnięciem otworzyłam drzwi i uruchomiłam silnik, naciskając pedał gazu, żeby szybko ruszyć. Odłożyłam pistolet na fotel pasażera, wrzuciłam wsteczny, zerknęłam na

drzwi baru... i zobaczyłam, że wściekły właściciel właśnie wybiegł na zewnątrz ze strzelbą w rękach.

Cholera. Cholera.

Dodałam gazu, potężne koła jeepa nabrały rozpędu na nieutwardzonym parkingu, i z piskiem opon wyjechałam na drogę. Bar położony był na totalnym zadupiu, co oznaczało, że miałam przed sobą długi odcinek prostej drogi i mogłam wycisnąć ze staruszka, ile tylko się da.

Za oknami przemykały drzewa, cyprysy i sosny okalające drogę. Noc wypełniona była śpiewem cykad, a że wzdłuż starej drogi nie stały lampy, jedynym światłem był żółty blask moich reflektorów. Oddaliłam się od baru o kilometr, potem trzy kilometry, wreszcie siedem. Dopiero wtedy moje serce trochę zwolniło.

Jedyna radiostacja, jaką udało mi się złapać, nadawała bluesa Delty. Muzyka grała cicho, a ja jechałam z odsuniętymi szybami, pozwalając zimnemu powietrzu owiewać mi twarz. Miałam zamiar jechać przez całą noc; nie planowałam się zatrzymać aż do dwunastej w południe nazajutrz. Niektórzy radzą sobie ze stresem, ostro trenując, jednak mnie pomagało zmęczenie. Kiedy byłam całkowicie wykończona, mój umysł nie miał siły na sny.

Nie miał siły na koszmary senne.

Nagle coś bardzo mocno uderzyło w bok jeepa, aż walnęłam głową w drzwi i gwałtownie zjechałam z drogi. Z całej siły nadepnęłam na hamulec, dzięki czemu udało mi się zatrzymać samochód, zanim wjechał w drzewo. Uderzenie w głowę było tak silne, że zaczęłam krwawić i miałam wrażenie, że świat wokół mnie wiruje. Sięgnęłam na tylne siedzenie i nerwowo grzebałam pod kocem, aż moje palce dotknęły chłodnej, gładkiej lufy strzelby SPAS 12.

Miałam przecucie, że tym razem pistolet kalibru dziewięć milimetrów nie wystarczy.

Wyskoczyłam z jeepa, zostawiając włączone reflektory, żeby widzieć w ciemności. Radio nadal grało, a łagodne, melancholijne dźwięki bluesa brzmiały upiornie w mroku pod drzewami. Ostrożnie rozglądałam się wokół, nie tracąc czasu na wytarcie powoli skapującej po twarzy krwi. Między drzewami działo się zbyt wiele. Wszystko trzeszczało i skrzypiało, a cykady koncertowały do wtóru ze świerszczami oraz pohukującą sową.

Może to był tylko jeleń. Jechałam szybko i nie uważałam. Może...

W lesie nagle zapadła cisza. Wokół słychać było tylko szum drzew. Wiatr zmienił kierunek i przyniósł zapach śmierci, ostry i kwaśny w zimnym powietrzu.

Podniosłam lufę dokładnie w momencie, kiedy z mroku wyłonił się zwalisty, niekształtny stwór i ruszył w moją stronę.

Eldowie wyglądali inaczej w każdym miejscu, w którym byłam. W Abelaum przypominały dziwaczne, zmutowane wilki. W Nowym Jorku przybrały postać masywnych, rozrośniętych szczurów. A tutaj... tutaj wyglądały jak pieprzone krokodyle.

Stworzenie weszło w światła reflektorów, otwierając ogromną, pełną zepsutych zębów paszczę. Smród był porażający, jakby ktoś w środku gorącego lata zostawił na słońcu surowe mięso. Ciało stwora było długie, pokryte grubą łuską, ale wygięte, jakby chciał się poruszać na tylnych łapach. Przednie łapy miał zbyt długie – nagie kości i pokryte łuskami zgniłe ciało. Tylnie łapy były grube, umięśnione; poczwara prawdopodobnie mogła skoczyć szybciej, niż zdołałabym strzelić.

Musiałam się pospieszyć.

Padł strzał, ogłuszając mnie na chwilę, a bestia skoczyła, dokładnie tak jak przewidziałam. Wydała z siebie głębokie, gardłowe warknięcie,

prześlizgując się obok i mijając mnie dosłownie o kilka centymetrów, bo gwałtownie rzuciłam się do tyłu. Strzeliłam jeszcze raz, pocisk trafił potwora w ramię. Jak tak dalej pójdzie, stracę całą amunicję, zatapiając kolejne naboje w jego ciele, podczas gdy musiałam trafić w głowę.

Puściłam się biegiem, próbując zwiększyć odległość między nami. Myślałam, że kieruję się w stronę drogi, ale musiałam się pomylić i zagłębiałam się w las. Eld deptał mi po piętach.

Odwróciłam się, jednocześnie podnosząc broń, jednak nie miałam czasu, żeby wycelować. Nacisnęłam spust, a bestia gwałtownie drgnęła, bo pocisk wyrwał jej wielką dziurę w boku, przez którą zaczęły wylewać się wnętrzności. Rzuciła się na mnie i z rykiem powaliła na ziemię, kłapiąc paszczą tuż nad moją twarzą.

Musiałam użyć broni, żeby powstrzymać potwora, więc przycisnęłam strzelbę do jego gardła, próbując się podnieść. Jednak nie doceniłam przeciwnika; tutejsi Eldowie byli więksi niż ci, których spotkałam wcześniej. Paskudny oddech owiał mi twarz, a obrzydliwa szara ślina ściekała z długiego, czarnego języka. Ramiona zaczęły mi się trząść. Czułam, że zaraz opadnę z sił. Musiałam... po prostu musiałam...

Udało mi się unieść nogę i z całej siły kopnąć stwora w zraniony bok. Odsunął się chwiejnym krokiem, wydając z siebie piskliwy wrzask, tak głośny, że myślałam, że pękną mi bębenki. Z trudem się podniosłam, ale bestia ponownie ruszyła w moją stronę.

Strzeliłam.

Juniper

Pocisk oderwał potworowi głowę. Ten upadł i zwinął się jak robak, przez chwilę wstrząsały nim gwałtowne drgawki, po czym zastygł w bezruchu. Odetchnęłam ciężko, po czym, próbując złapać oddech, przyglądałam się, jak jego ciało zamienia się w błoto i robaki. Każdy Eld umierał tak samo; wystarczyło kilka sekund, żeby wszystko oprócz czaszki całkowicie się rozpadło.

Przedtem wpadałam w panikę, kiedy musiałam stawić im czoła. Serce waliło mi tak mocno, że aż bolało. Jednak teraz miałam za sobą całe lata walki z Eldami. Kiedyś myślałam, że można je spotkać wyłącznie w Abelaum, ale nie, Eldowie byli wszędzie.

Ciągnęło je do mnie jak muchy do miodu, ale ja już się ich nie bałam. Na świecie były gorsze potwory, o wiele gorsze. Potwory takie jak...

– Potrafisz sama o siebie zadbać. Urocze.

Błyskawicznie się odwróciłam z bronią gotową do strzału. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale z całą pewnością nie spodziewałam się jego. Wyłaniającego się z mroku gorącego zabójcy z baru. Ciuchy miał jeszcze bardziej zabrudzone krwią, a na ustach niebezpieczny uśmiezek – typu „zjem się żywcem i będę się przy tym świetnie bawił”.

Zmarszczyłam brwi.

– Jasne, że tak. W barze też dałabym sobie radę, gdybyś mi nie przeszkodził.

Uniósł ręce w geście niewinności. Nawet wnętrza dłoni miał wytatuowane, zdobiły je wymyślne pentagramy i dziwne runy.

– Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Po prostu też się chciałem trochę zabawić.

Prychnęłam, ale nie odłożyłam broni. Nie ze mną te numery.

– Hmm, w takim razie dostałeś to, czego chciałeś, co? Robisz wrażenie niezwykle spokojnego jak na faceta, który właśnie kogoś zabił. Często to robisz?

Wzruszył ramionami.

– Nie na tyle często, żeby nie czuć tego przyjemnego dreszczyku emocji. Ty też wyglądasz na kogoś, komu zabijanie nie jest obce.

Spojrzałam w dół na resztki kości, błoto i robaki, które pozostały po Eldzie. Niewielu ludzi wiedziało o ich istnieniu. Właściwie tylko ci, którzy mieli pecha się na nie natknąć. A kiedy już się na nie natknęli, rzadko mieli tyle szczęścia, żeby przeżyć i o tym opowiadać.

Spojrzałam na niego sceptycznie.

– Miałeś już do czynienia z tymi stworzeniami?

– Widuję je w tej okolicy – powiedział. – Wiesz, że jeśli pokażesz komuś jedną z tych czaszek, powiedzą ci, że to po prostu resztki starego krokodyla?

Kiwnęłam głową. Byłam tak zdesperowana, że kiedyś zabrałam ze sobą czaszkę Elda, którego zabiłam, i zaniosiłam ją do miejscowego weterynarza. Gdybym udowodniła, że te potwory istnieją, może ludzie zaczęliby mi wierzyć również w innych kwestiach. Jednak tak się nie stało. Weterynarz powiedział, że to nic innego jak czaszka wilka w stanie znacznego rozkładu.

– Zapalisz? Dobrze ci to robi. – Pokazał mi cienkiego, własnoręcznie skręconego jointa, ale miał na tyle rozumu w głowie, żeby się do mnie nie zbliżać. Miał rację, potrzebowałam się najarać. Alkohol już ze mnie wyparował, a w głowie kotłowało mi się tysiąc myśli. Ten facet miał

w sobie coś dziwnego, poza tym za cholerę nie mogłam zrozumieć, jakim cudem znalazł się tutaj, w samym środku lasu. Ale jak by na to nie patrzeć, uratował mi w barze tyłek, choć nigdy bym się do tego głośno nie przyznała. Nie zauważyłam, żeby miał ze sobą broń – przynajmniej nic nie rzuciło mi się w oczy – a gdyby zaczął brykać, wystarczy jeden strzał z mojej strzelby, a zostanie z niego miazga. Chyba nie zaszkodzi, jeśli z nim zapalę.

Skinęłam głową.

– Chodźmy stąd. Niedaleko stoi mój jeep.

– Kawałek stąd jest rozlewisko – powiedział. – Dosłownie kilka kroków. Ładnie wygląda w blasku księżyca i w ogóle.

Rzuciłam mu groźne spojrzenie, poprawiając broń.

– Próbujesz mnie namówić na samotny spacer w środku nocy z tobą, przystojniaku?

Niewinnie uniósł ręce.

– Hej, przecież to ty masz strzelbę! Co by nie powiedzieć, masz nade mną przewagę.

W zamyśleniu ściągnęłam usta.

– Prowadź. Tylko żeby ci nic głupiego nie przyszło do głowy... Tobie też mogę odstrzelić głowę.

– Będę grzeczny jak aniołek – zapewnił żartobliwie, składając ręce jak do modlitwy. Wywróciłam oczami. Typowe. Gorący kłamca!

Po zaledwie kilku minutach dotarliśmy nad wodę. Drzewa się rozstały, a nam ukazał się widok na płynącą wśród mokradeł rzekę, lśniąca srebrzyście w blasku księżyca. Mężczyzna usadowił się obok korzeni cyprysa, oparł się wygodnie o pień drzewa, po czym wyjął zapalniczkę i zapalił skręta.

– Jak masz na imię? – zapytał, kiedy już otulił nas ziołowy aromat marihuany.

– A ty? – Nie lubiłam podawać takich informacji, nawet w miejscu tak odległym od domu. Niezależnie od tego, jak daleko uciekłam, moja przeszłość zawsze mnie dogoniła. Bałam się, że wypowiem swoje imię, a w oczach rozmówcy zobaczę znajomy błysk.

„Juniper, ta dziewczyna, która zaginęła? Myślałem, że cię zamknęli. Przecież jesteś szalona! Widziałaś ostatnio jakieś potwory? Czy ty nie próbowałaś zabić...?”

– Zane – przedstawił się, podając mi skręta. Zaciągnęłam się powoli i głęboko, rozkoszując się jego smakiem. Minęło zbyt dużo czasu, odkąd paliłam dobre zioło. – A ty nie musisz się przedstawiać, jeżeli nie chcesz. Nie ma problemu.

– Pochodzisz z tych okolic? – zapytałam, pokaszując, i podałam mu skręta. Potrząsnął głową.

– Nie. – Wypuścił z ust kłęb dymu, który otulił mu twarz. Prawdopodobnie zioło zaczęło już działać, ale – do cholery! – facet naprawdę dobrze wyglądał. Miałam wrażenie, że w tych jego brązowych oczach o miodowym odcieniu, dziwnie znajomych, migotają złote drobinki. Podał mi skręta i zatopił wzrok w przeciwległym brzegu rzeki. Miał mocną szczękę, a pod krótko ostrzyżonymi włosami dostrzegłam kolejne tatuaże.

– W takim razie skąd jesteś?

– Bywałem w różnych miejscach. Tu i tam. A pochodzę z Piekła.

Potrząsnęłam głową, ale nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Trzeba przyznać, że drań jest wygadany!

– Co ty nie powiesz? Dlaczego stamtąd wyjechałeś? Nie lubisz upałów? Wzruszył ramionami.

– Wszystkie potwory są tutaj, na Ziemi. Pomyślałem, że dołączę do nich. A ty skąd jesteś?

Zawahałam się.

– Ze stanu Waszyngton.

– Piękne miejsce. Mam tam kumpla. Właściwie to nawet mi go przypominasz.

Dzięki marihuanie przyjemnie kręciło mi się w głowie, a jak zwykle obolałe mięśnie powoli zaczęły się rozluźniać. Dawno nie czułam się tak zrelaksowana.

– Przypominam ci go? W jaki sposób?

– Wiele przeszedł – wyjaśnił. – Stał się przez to zgorzkniały. Wściekły. Zdarza mu się kogoś zabić. – Wzruszył ramionami. – Ale, do cholery, kiedy jest wściekły, świetnie się pieprzy.

Roześmiałam się, nie mogłam się powstrzymać.

– Nie ma to jak seks napędzany złością, co?

– Jest najlepszy!

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, dzieląc się resztką skręta. Mieniące się w wodzie światło księżyca, świerszcze cykające w zaroślach i uczucie bycia na haju – to wszystko razem sprawiało, że czułam się cholernie dobrze. Tak dobrze, że zaczęłam wędrować wzrokiem po siedzącym w pobliżu mnie piekielnie atrakcyjnym męskim ciele. Facet dotrzymał słowa i trzymał dystans. Jednak dostrzegłam na jego dzinsach wybrzuszenie. I, do cholery, było ogromne.

– Naprawdę będziesz trzymał ręce przy sobie? – zapytałam zadziornie.

Zerknął na mnie. Mogłabym przysiąc, że w tym dziwnym świetle, pomiędzy srebrem księżyca a żywą czerwienią końcówki skręta, jego oczy miały kolor płynnego złota, jak słońce tuż przed zachodem.

– A co? – Po jego twarzy znów błąkał się ten niegrzeczny uśmieszek. – Chciałabyś, żebym cię wykorzystał?

Wywróciłam oczami, zwilżając językiem usta.

– Sam się przekonaj.

Zmienił pozycję. Ja siedziałam po turecku na ziemi, a on przysunął się i kucnął koło mnie. Był tak wysoki, że nawet w tej pozycji spoglądał na mnie z góry.

– Niebezpieczne słowa, szczególnie z ust uzbrojonej kobiety.

Uśmiechnęłam się znacząco, uniosłam broń i wycelowałam w jego głowę.

– Boisz się?

Och, ten jego szelmowski uśmiech...!

Chwycił mnie za kostkę i pociągnął. Znalazłam się pod nim, leżąc na plecach, on jedną ręką unieruchamiał moje ramię, a drugą trzymał mnie za gardło, używając tylko tyle siły, żebym nie ruszyła się z miejsca. Pochylił się, jego usta znajdowały się zaledwie kilka milimetrów od moich. Oszłamiająco pachniał, ziołem i whiskey, brązowym cukrem i dymem.

Zauważyłam, że pod srebrną sztangą w brwi ma niewielki tatuaż z krzyżem świętego Piotra. Jego palący wzrok błądził po moim ciele, aż wreszcie zatrzymał się na moich oczach.

– Mówiłaś serio...?

– Proszę, niech pan mnie nie krzywdzi – wydusiłam z siebie z uśmiechem na ustach, choć ścisnął mi gardło. – Jestem tylko niewinną dziewczyną.

Parsknął cichym śmiechem dobywającym się z głębi jego klatki piersiowej.

– Och, można o tobie powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że jesteś niewinna. A co do krzywdzenia, właśnie to zamierzam ci zrobić.

To dziwne, być dręczonym koszmarami sennymi pełnymi bólu i śmierci, a potem budzić się i rozpaczliwie pragnąć tego na jawie. Być może to zboczenie, fetysz – nazwijcie to, jak chcecie – ale ja po prostu nie mogłam oprzeć się pragnieniu, żeby przejąć te rzeczy, które mnie raniły, żeby je kontrolować, używać ich. Może dzięki temu pewnego dnia staną się mniej przerażające. Może pewnego dnia koszmary senne przestaną mnie dręczyć.

Potwory istniały naprawdę, a Bogowie byli źli, więc świat i tak zmierzał do Piekła, niezależnie od moich dziwacznych seksualnych preferencji.

Przycisnął usta do moich, a ja rozchyliłam wargi, spijając jego smak, jakby to był pierwszy łyk whiskey w zimną noc. Ścisnął moje gardło, całując mnie, a paznokcie – o wiele ostrzejsze, niż się spodziewałam – zatopił w mojej skórze. Jego język pieścił mój, czułam gładki, okrągły metalowy piercing – właściwie to nie jeden, a dwa – i jęknęłam cichutko, kiedy przygryzł moją wargę. Zdyszani, oderwaliśmy się na chwilę od siebie, a on szepnął:

– Hmmm, naprawdę myślałaś, że będę delikatny?

Jedną ręką nadal trzymał mnie mocno za szyję, a drugą zsunął w dół i szarpnął moje dżinsy, aż guziki wyskoczyły z dziurek. Szorstko pieścił dłonią moje majteczki, jednocześnie coraz mocniej ściskając mnie za gardło i pomrukując:

– Czuję, jaka jesteś mokra. Mała dziwka! Naprawdę chciałaś, żeby jakiś nieznajomy przeleciał cię w środku lasu? Taka z ciebie twardzielka, a teraz w głowie ci tylko mój kutas.

Gdyby odezwał się do mnie w ten sposób w barze, od razu dostałby w twarz. Jednak doświadczenie bycia poniżaną, kiedy wsuwał rękę do

moich majtek, a jego palce natrafiły na przesiąkającą przez materiał wilgoć, było kolejną dziwną pozycją na mojej popieprzonej liście podniet. Pocierał palcami moją łechtaczkę, a moje nogi mimowolnie drgnęły.

Kiedy wsunął we mnie dwa mokre od mojego podniecenia palce, gwałtownie nabrałam tchu i z trudem stłumiłam jęk. Mężczyzna przycisnął czoło do mojego, tak że nie mogłam uniknąć ani jego spojrzenia, ani widoku tego szelmowskiego uśmiechu, i zaczął mnie pieprzyć palcami, mówiąc:

– Nie zamykaj teraz oczu, dziewczyno. Próbujesz powstrzymać te urocze westchnienia, bo nie chcesz, żebym je usłyszał, hmmm?

Nie rozumiałam, skąd, do cholery, wiedział, że staram się nawet nie pisnąć, jednak kiedy zgiął trzymane we mnie palce, nie wytrzymałam. Przycisnął to wrażliwe, znajdujące się głęboko we mnie miejsce, a w efekcie natychmiast poczułam skurcz w brzuchu i machinalnie zacisnęłam uda. Mężczyzna użył swoich nóg, żeby rozszerzyć moje i przytrzymać je w tej pozycji. Nie zdjął mi nawet do końca dżinsów, a ja i tak miałam kompletnie przemoczone majtki i byłam bliska orgazmu.

Dźwięki, których nie potrafiłam powstrzymać, były żałosne, a na dodatek coraz intensywniejsze. Im głośniej jęczałam, tym bardziej on się śmiał, a mnie się coraz bardziej wydawało, że jego zęby są teraz o wiele ostrzejsze niż wcześniej. Jednak było ciemno, każdy nerw w moim ciele pulsował, a orgazm, który tak rozpaczliwie próbowałam powstrzymać, wstrząsnął mną z jeszcze większą intensywnością.

Przez moment nie byłam w stanie oddychać. Mężczyzna nie przestał pieprzyć mnie palcami, nie przestał masować otwartą dłońią mojej nabrzmiałej łechtaczki ani zginać palców w ten sposób, by sięgały magicznego miejsca. Nie zdołałam się powstrzymać i wytrysnęłam na jego rękę. Boże, jakie to było niesamowicie gorące, kiedy się ze mnie śmiał,

kpiąc sobie, że tak się posypałam. Jakbym miała jakiś wybór... Wysunął ze mnie palce, włożył je do ust i dokładnie oblizał.

– Cholera, dobrze smakujesz – mruknął pod nosem. Włożył mi palce do ust i przycisnął do języka, żebym mogła skosztować swojego smaku na jego skórze. Jęknęłam, kiedy wepchał palce tak głęboko, że oczy zasły mi łzami i prawie się zadławiłam.

– To już za dużo? – Zakrztusiłam się, więc wyciągnął palce i uderzył mnie w policzek – zapiekło, a ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu. – Jeśli masz dość, powiedz, a przestanę.

Gdybym chciała, żeby przestał, walnęłabym go strzelbą, jednak ani mi w głowie było, żeby go zatrzymywać.

Już miałam mu ostro odpowiedzieć, rzucić mu wyzwanie, ale on jakby wyczuł, co się święci. Przewrócił mnie na brzuch, usiadł na mnie okrakiem i zaczął ocierać się o mój goły tyłek, jednocześnie drapiąc mnie po plecach paznokciami. Boże, miał na sobie dżinsy, a ja i tak czułam, jaki jest ogromny...! Mogłabym też przysiąc, że ma prawdziwe pazury i zostawia na moich plecach głębokie rysy.

– Mam zamiar porządnie wypieprzyć tę cipeczkę – wyszeptał mi do ucha, mocno ściskając mnie za tyłek. Próbowałam się odwrócić, żeby na niego spojrzeć, ale przycisnął mi głowę do ziemi.

– Już to słyszałam – odparłam bez tchu. – Zobaczymy, jak sobie poradzisz.

Jakby właśnie tak mnie nie rozgrzał, że moje majtki praktycznie można było wykręcać...! Jakby nadal nie kręciło mi się w głowie pod wpływem orgazmu.

– Ach, więc tak stawiasz sprawę...? – parsknął niskim i mrocznym śmiechem. – Jeśli nie dam rady, masz pełne prawo strzelić mi w ten

cholerny łeb, bo, szczerze mówiąc, będzie mi się należało, jeśli nadal będziesz w stanie tak pyskować, kiedy z tobą skończę.

Usłyszałam, że ściąga pasek i rozpina rozporek. Jedną ręką przytrzymał mi kark, a drugą podniósł mi biodra, zmuszając mnie do wypięcia tyłka, po czym włożył we mnie grubego kutasa.

Krzyknęłam i przygryzłam swój nadgarstek, na którym opierałam głowę, ponieważ niemiłosiernie mnie rozciągnął, wchodząc we mnie. Cholera, to nie był normalny rozmiar...! Choć byłam śliska i tak bardzo podniecona, że w głowie miałam całkowity mętlik, on i tak wydawał się zbyt duży. Każdy jego centymetr mnie rozciągał, każdy – sprawiał mi ból.

– Aaaa... Cholera... – Głos mi się załamał, a on chwycił mnie za twarz, jednocześnie do końca we mnie wchodząc.

– Będiesz teraz błagała o litość? – mruknął, ściskając moje policzki.

Ugryzłabym go w rękę, gdyby nie trzymał mnie tak mocno. Jednak w tej sytuacji byłam w stanie tylko wydusić z siebie:

– Nie.

Gra wstępna dobiegła końca. Pieprzył mnie, a moja pulsująca cipka zaciskała się na nim, balansując na cienkiej krawędzi bólu i rozkoszy. Ręka, którą przytrzymał mnie za twarz, zmusiła mnie do otwarcia ust, dwoma palcami przycisnął mój język. Drugą rękę wsunął pode mnie i drażnił moją łechtaczkę, nie przestając ostro mnie pieprzyć. Poczułam, że zbliża się kolejny nieokiełznany orgazm. Krzyczałam coraz głośniejsze; gdy próbowałam się opanować, było jeszcze gorzej – albo lepiej – już sama nie wiedziałam.

Ugryzł mnie w ramię, tak mocno, że przebił skórę. Jęknęłam, gdy poczułam ostry, piekący ból, a następnie zadrżałam, kiedy jego język łapczywie przesunął się po ranie. Nogi mi się trzęsły, pewnie głębokie, urywane oddechy nie dostarczały mi wystarczającej ilości tlenu. Jego kutas pulsował wewnątrz mnie, mężczyzna z każdym pchnięciem wydawał

z siebie zwierzęcy pomruk. Myśl o tym, że we mnie dojdzie i napełni mnie swoim nasieniem, za bardzo mnie podnieciła. Wyciągnięcie go nie wchodziło w grę, chciałam, żeby nasienie tego dziwnego nieznanego wypływało ze mnie przez resztę nocy.

Przez jego brutalnego kutasa oraz palce na mojej łechtaczce wiłam się na ziemi. Musiał być już blisko, bo puścił moją twarz, przyciągnął obiema rękami moje biodra i pieprzył mnie jak szalony. Byłam wolna, więc obróciłam głowę w jego stronę w momencie, kiedy dochodziłam, a jego kutas zadrżał we mnie.

Chciałam zobaczyć jego twarz, malującą się na niej przyjemność. Chciałam zobaczyć, jak wygląda, kiedy mnie pieprzy.

Jednak zamiast tego zobaczyłam, że jego brązowe oczy w odcieniu miodu miały teraz barwę płynnego złota. Pomiedzy rozchyłonymi, ozdobionymi piercingiem ustami dostrzegłam dwa rzędy ostrych zębów. Pod skórą rąk i szyi rysowały się grube czarne żyły. Rysy jego twarzy były wystrzone, a mięśnie – nabrzmiałe. Długie ciemne pazury wbijały się w moje biodra, a z ran sączyły się strumyczki krwi.

– Kurwa...

Zobaczyłam, kim jest, ale i tak doszłam na jego kutasie. I tak wstrząsnął mną nieopanowany dreszcz, gdy spuścił się we mnie, ściskając mnie jeszcze mocniej, kiedy szczytował. Jednak w chwili, gdy poluzował uścisk, czym prędzej wydostałam się spod niego, niezdarnie obróciłam i próbując złapać oddech, chwyciłam strzelbę i wycelowałam.

Teraz sobie go przypomniałam. Już wiedziałam, gdzie się wcześniej spotkaliśmy.

Mężczyzna klęczał na ziemi z odrzuconą do tyłu głową, uśmiechając się ustami pełnymi ostrymi, przerażających zębów. A jego kutas... cholera, nic dziwnego, że wydawał mi się nienaturalny. Wszystko w tym gościu było

nienaturalne; jego kutas był gruby i pofałdowany, nabrzmiały po bokach i od spodu, a główkę miał przechyloną i czerwoną jak wiśnia. Potrząsnęłam głową, odciągając kurek strzelby, a on otworzył oczy i wbił we mnie spojrzenie.

– Teraz mnie pamiętasz, mała wilczyco?

Ogarnęło mnie zimne przerażenie. Noc mojej ucieczki z Abelaum pamiętałam jak przez mgłę. Weszłam do jakiejś knajpki. Wycelowałam ukradzioną z przyczepy mamy broń w Bogu ducha winnego kelnera, ponieważ byłam głodna i nie miałam pieniędzy, poza tym za cholere nie wiedziałam, co mam robić. Tamtej nocy miałam towarzystwo, lasem podążał za mną Eld. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, kim są Eldowie.

To on mi powiedział. Ten mężczyzna, ten... potwór. Wyjaśnił mi, kim są Eldowie.

– Ajajaj, i co teraz? Przestraszyłaś się mnie? – Otworzył usta i wysunął język. Miałam rację co do kolczyków, ale było coś jeszcze: jego język był rozwidlony, a oba koniuszki przebite. – Nienawidzę tego przebrania. Tylko z nim kłopot. Ale gdybym go nie używał, wy, ludzie, uciekalibyście z krzykiem na mój widok. – Przerwał. – Chociaż chwila... Lubię, kiedy uciekacie z krzykiem.

Nie byłam w stanie jednocześnie ubierać dżinsów i celować, więc siedziałam gołym tyłkiem na ziemi, nie przestając w niego mierzyć.

– Natychmiast powiedz mi, kim jesteś, bo inaczej odstrzelę ci głowę.

– Nie możesz mnie zabić tą zabaweczką. Powinnaś o tym wiedzieć, bo już raz próbowałaś.

Tamtej nocy nabój wbił się w jego ciało, a on nawet nie drgnął. Patrzyłam, jak go wygrzebuje, jakby wcale nie czuł bólu. Ale i tak nie opuściłam broni.

– Nie zaszkodzi spróbować. Ta strzelba jest o wiele większa.

Spoglądał na mnie z tym pieprzonym uśmieszkiem na twarzy.

– Od naszego spotkania minęło już kilka lat. Na pewno dowiedziałaś się tego i owego. Myślę, że wiesz, kim jestem.

Z trudem przełknęłam ślinę. Próbowałam o tym nie myśleć. Próbowałam zapomnieć. Jednak ten mężczyzna nie był pierwszym przedstawicielem swojego gatunku, którego spotkałam. Te złote oczy, ostre zęby, pazury...

Tej nocy, kiedy Libiri próbowali mnie zabić, tej nocy, kiedy wyczołgałam się z ciemności kopalni i pomknęłam przez las, ścigało mnie w mroku podobne do niego stworzenie. Nieugięte i bezlitosne, a ja wiedziałam, że to Kent Hadleigh wysłał je za mną, żeby mnie do niego sprowadziło.

Zawlekłoby mnie do kopalni, gdyby tylko mnie złapało. Wrzuciłoby mnie z powrotem w mrok.

Jasne, że dowiedziałaś się tego i owego. Szperałam po starych stronach internetowych, wchodziłam na zamknięte fora, czytałam zakurzone, dawno zapomniane książki, zalegające na zapleczu biblioteki. Pieczołowicie gromadziłam te rzadkie klejnoty wiedzy, odrzucając całą masę przeróżnych teorii spiskowych i plotek, a wszystko po to, żeby coś zrozumieć z tego popieprzonego świata, w którym przyszło mi żyć.

– Demonem – wyplułam z siebie to słowo. – I to nie pierwszym, którego spotykam. To jest ten twój przyjaciel w stanie Waszyngton, o którym wspominałaś, co? Ty też służysz Kentowi Hadleighowi?

– Powiedziałem ci poprzednim razem: pracuję na własny rachunek – przypomniał. Wstał, ja też niezgrabnie się podniosłam, usiłując jednocześnie wciągnąć na tyłek dzinsy i nadal w niego mierzyć.

– Juniper Kynes – odezwał się, przeciągając samogłoski. – Dziewczyna, która uciekła. Ofiara, która... uniknęła swojego losu. Dusza, która

wymknęła się prastaremu Bogu. – Zachichotał. Ruszył w moją stronę, a jego twarz i ciało stopniowo się zmieniały. Płynne złoto jego oczu ochłodziło się i przybrało kolor ciemnego miodu. Grube czarne żyły na szyi zniknęły, zęby skróciły się i wyrównały. Pazurów też już nie było. Cofałam się, próbując się nie potknąć o powyginane korzenie i strącone przez wiatr gałęzie.

Jednak on nie poprzestał na tych przemianach; zniknęły nawet jego tatuaże, a oczy się powiększyły. Był teraz zwykłym chłopakiem z sąsiedztwa, ładniutkim i niewinnym słodziakiem z ogromnymi oczami. Jednak jego uśmiech był niebezpieczny, niezależnie od zmiany wyglądu.

– Od tamtej nocy miałem cię na oku. Czy ta twarz wydaje ci się znajoma? Może mignęła ci w tłumie, w klubie albo na poboczu drogi? Choć pewnie nie zwróciłaś na mnie uwagi, co?

Śledził mnie. Przez cały ten czas, okrągłe trzy lata, podążał za mną. To przerażające, że taki potwór potrafił tak bezbłędnie wtopić się w tłum, ale nie ulegało wątpliwości, że właśnie tak było. Drapieżniki muszą do perfekcji opanować sztukę kamuflażu, żeby podkraść się do ofiary.

Demony maskowały się, żeby wzbudzić w nas, ludziach, poczucie bezpieczeństwa, a przyciągały nas swoją atrakcyjnością – tylko po to, żeby nami manipulować, żeby zrobić z nas swoje ofiary, które chętnie oddadzą im wszystko. Ciało i duszę.

– Nie dawałem ci wielkich szans, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, Juniper. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że przetrwasz tak długo. Ale powiedziałem ci, że jeszcze się spotkamy. Jesteś naprawdę fascynującym okazem małej śmiertelniczki. Powinnaś zginąć już tyle razy, a jednak... ty po prostu... idziesz naprzód. Imponujące. Naprawdę imponujące.

Potknęłam się i prawie upadłam, ale plecami uderzyłam o pień drzewa, więc kurczowo do niego przywarłam. Nie miałam już dokąd pójść.

Nie mogłam uciekać. Dogoniłby mnie.

Nie mogłam się schować. Wyczułby mój zapach.

Mogłam strzelić, ale kula by go nie zabiła.

Podszedł do mnie niespiesznym krokiem i oparł się ręką o pień drzewa nad moją głową. Wylot lufy wcisnął się w jego pierś, ale jego to w żaden sposób nie ruszało.

– Czego, do cholery, chcesz? – zapytałam. Powinnam go zastrzelić, tu i teraz, jednak coś mnie przed tym powstrzymywało. Coś, co nie do końca rozumiałam, a już na pewno nie potrafiłam tego wyjaśnić.

– Ciebie.

Zwyczajne słowo, a ja poczułam, jakby olbrzymia bryła lodu spadła mi na żołądek. Mężczyzna nachylił się nade mną, a ja znowu mogłam nacisnąć spust. Powinnam była to zrobić. Być może powstrzymała mnie jakaś niezdrowa ciekawość, ale na pewno nie strach.

Dobrze wiedziałam, że gdyby chciał mnie zabić, już dawno by to zrobił.

Pochylił się i wyszeptał mi do ucha:

– Wyraziłem się dostatecznie jasno. Czas na twój ruch. Kiedy będziesz zmęczona ciągłym uciekaniem, znajdź mnie. A do tego czasu nie pozwól się zabić, mała wilczyco. Chcę się jeszcze z tobą zabawić.

Jechałam przez noc w ciszy, radio było zgaszone, a okna zamknięte. Powoli wzbierała we mnie złość, napięcie rosło, aż wreszcie nie wytrzymałam. Cipka mnie bolała, łechtaczka pulsowała wspomnieniem niedawnej rozkoszy. Walnęłam pięścią w kierownicę.

– A niech to, kurwa...!

W ciągu ostatnich kilku lat wpakowałam się w niejedną niebezpieczną sytuację, ale dzisiaj przeszłam samą siebie. Podejmowanie ryzyka było dla mnie codziennością, czasami wręcz go nie dostrzegałam, nawet w przypadku tak oczywistych sytuacji jak pieprzenie się z nieznajomym w nocy w samym środku lasu. Większość ludzi wzdrygnęłaby się na samą myśl o tym, a ja szłam w to jak w ogień.

Nie wspominałam nawet o cholernym kondomie, choć zawsze miałam kilka w schowku, tak na wszelki wypadek. Zbyt wiele długich nocy spędziłam w barach i klubach, żeby pozwolić sobie na brak zabezpieczenia. Nie żeby dzisiejszej nocy coś mi to dało. Gdy dotarłam do jakiegoś miasteczka, zatrzymałam się przy pierwszej całodobowej aptece i kupiłam tabletki „dzień po”. Tego mi jeszcze brakowało, wpadki i demonicznego dziecka, o ile to w ogóle było możliwe.

Podążał za mną. Podążał za mną aż z Abelaum. Ile razy się na niego natknęłam, nawet o tym nie wiedząc? Ile razy nasze spojrzenia się spotkały? Ile razy podszedł naprawdę blisko, a ja nie miałam o tym pojęcia?

Powinnam być przerażona, a jednak wcale się go nie bałam. Nie w taki sposób, w jaki można się było spodziewać.

Dopiero w świetle dziennym, kiedy dojechałam do kolejnego miasta i wreszcie zwolniłam, zauważyłam niewielki skrawek papieru przyklejony do deski rozdzielczej. Zatrzymałam się na najbliższej stacji benzynowej i kiedy tankowałam, sięgnęłam po karteczkę i przeczytałam pospiesznie nagryzoloną wiadomość. „Interesy albo przyjemność. Zadzwoń, kiedy będziesz gotowa zawrzeć ze mną pakt”.

Poniżej widniał numer telefonu.

Pakt z demonem. Układ, w którym w zamian za wszystko, czego chciałam, musiałabym oddać wszystko, co mi jeszcze zostało. Powinnam

od razu wyrzucić te karteczkę. Powinnam o nim zapomnieć i nadal uciekać. Uciekać, tak jak zawsze.

Lecz zachowałam ten skrawek papieru. Wsunęłam go do portfela, a w czasie naprawdę ciemnych nocy, kiedy byłam pijana i samotna, myślałam o tej propozycji. Zastanawiałam się, co by było warte układu z demonem.

O wiele za często myślałam o jego smaku, jego zapachu i jego języku.

Myślałam o zemście i o domu – czyli miejscu, do którego, jak sobie obiecałam, nigdy nie miałam wrócić.

A jednak tam wróciłam. I to o wiele szybciej, niż się spodziewałam.

Juniper

W pokoju szpitalnym jakby zatrzymał się czas; w kółko rozlegały się tam te same ciche odgłosy: miarowe pikanie monitora pracy serca, dzwonienie deszczu o szyby, szmer kroków przechodzących przez korytarz pielęgniarek. Już nie zaglądały do mnie tak często. A jeśli już, to szybko i cicho. Dawały mi tabletki, które miały odpędzić koszmary i pomóc mi przypomnieć sobie, co się naprawdę wydarzyło.

Nadal jednak dręczyły mnie koszmary, a moje wspomnienia pozostały bez zmian.

Gdybym tylko mogła jeszcze raz porozmawiać z policjantami, uwierzyliby mi. Na pewno. Gdybym tylko mogła porozmawiać z innym lekarzem, zrozumiałby, że wcale sobie tego nie wymyśliłam.

Gwałtownie odwróciłam głowę w stronę drzwi, ale osobą, która właśnie weszła, nie była pielęgniarzka. To był Marcus z rękami wepchniętymi głęboko do kieszeni wiatrówki. Przez chwilę się wahał, czy podejść bliżej.

– Hej, braciszku. – Mój głos brzmiał tak słabo. Potrzebowałam napić się wody. Chciało mi się pić już od godziny, ale nikt nie przyszedł, choć naciskałam guzik.

– Hej. – Podeszedł do łóżka, ale błędził wzrokiem po ścianach, jakby się bał na mnie spojrzeć. Zawsze był dobrym dzieciakiem – spokojnym i pracowitym. Odwrotnie niż ja. Kiedy mama na niego wrzeszczała, nie odpowiadał jej tym samym. Koło łóżka stało krzesło, ale na nim nie usiadł.

– Jestem zaskoczona, że mama pozwoliła ci przyjść. – Próbowałam się uśmiechnąć, żeby moje słowa zabrzmiały lekko, ale nadal były ciężkie jak

cegła. Mama była tu tylko pierwszego dnia, kiedy się obudziłam, potem już nie. Właśnie wtedy usłyszałam, jak rozmawia na korytarzu z lekarzem i mówi mu z rozpaczą w głosie: „Skąd, do cholery, mam wziąć na to pieniądze? Już i tak wpadłam w długi przez ten szpital, a teraz mam jeszcze płacić za jej lekarstwa?”.

– Mama nie wie. – Zerknął w stronę drzwi. Miał tylko trzynaście lat, prawdopodobnie przyjechał tu na rowerze. – Lepiej się czujesz?

– Trochę. – Ze złością spojrzałam na kroplówkę podłączoną do mojego ramienia. – Czułabym się o wiele lepiej bez tych wszystkich pieprzonych igieł.

Przestępując z nogi na nogę, wyciągnął rękę z kieszeni i wręczył mi małe opakowanie chrupek Hot Cheetos. Chwyciłam je, jakby to było czyste złoto.

– Nathan mówił, że kiedy mu usunęli wyrostek, nie wolno mu było jeść hot cheetosów, a ja wiem, jak bardzo je lubisz...

– Kurczę blade, no pewnie, że tak! – Rozerwałam torebkę i pospiesznie wrzuciłam do ust kilka pikantnych chrupek. – O mój Boże... Uratowałeś mi życie!

Uśmiechnął się słabo, po czym wreszcie usiadł, a właściwie przycupnął na brzegu krzesła.

– No więc, yyy... czy ty... to znaczy... – Z trudem przełknął ślinę. – Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby wrócić do domu?

– Muszę jeszcze raz porozmawiać z policją – wyjaśniłam. – Uważają, że wymyśliłam sobie to wszystko, bo byłam na haju, ale to nieprawda. – Potrząsnęłam głową. – Wiem, co się zdarzyło. Pamiętam wszystko. – Prędko kiwnęłam głową, choć samo mówienie o tym przyprawiało mnie o ból w klatce piersiowej. Monitor pracy serca zaczął szybciej pikać. – Tym razem mi uwierz. Na pewno.

Marcus gryzł dolną wargę. Nie patrzył na mnie. Serce mi się ścisnęło.

– Ty... ty mi wierzysz... prawda?

Nerwowo stukał stopą o podłogę.

– *Nie wiem, Juni. Chodzi o to, że... no wiesz... wszyscy mówią...*

– *Wszyscy, czyli kto? – zapytałam ostro. – Kim są, do cholery, wszyscy i dlaczego wierzysz im, a nie mnie?*

Wyglądał na skołowanego. Przez chwilę grzebał w kieszeni, po czym wyciągnął telefon. Pokazał mi ekran, na którym było nagranie z lokalnych wiadomości. Monitor pracy serca jeszcze przyspieszył. To była Victoria, mówiła do mikrofonu, który podsunął jej reporter.

– *Po prostu pobiegła w stronę lasu – mówiła. Miała szeroko otwarte oczy, a spojrzenie tak niewinne, jakby naprawdę nic z tego nie rozumiała. Na twarzy nieskazitelny makijaż. Ubrana była w cholerny szkolny mundurek. – To miał być tylko eksperyment, rozumie pan? Myślałam, że będzie fajnie, ale ona zaczęła się zachowywać, jakby ktoś ją ścigał. Krzyczała, żebym dała jej spokój, mówiła, że próbuję ją zabić. A potem zaczęła się ciąć, to było... Boże... – Zakryła ręką usta, jakby nie była w stanie powiedzieć więcej. Niezła z niej aktorka. I te pieprzone krokodyle łyż.*

– *To było straszne. Chcę tylko, żeby doszła do siebie.*

Nagranie dobiegło końca, a ja zacisnęłam zęby. Marcus nadal na mnie nie patrzył.

– *Ja sobie tego nie zrobiłam, Marcusie – powiedziałam cicho. – Uwierz mi, proszę. To nie ja. – Ale on wstał i wepchnął telefon z powrotem do kieszeni. Szybkim krokiem, ze spuszczoną głową ruszył w stronę drzwi. – Marcus, proszę cię! Nie... nie zostawiaj mnie!*

Zatrzymał się. Światłówka nad moim łóżkiem migiała, wydając z siebie irytujący dźwięk, jakby był w niej uwięziony jakiś owad. Mój brat westchnął ciężko.

– Już za późno, Juni.

Potrząsnęłam głową.

– Nie... O czym ty mówisz? Nie jest za późno, ja...

Światło zgasło. Zaskoczona spojrzałam w górę, wokół świetlówek unosiła się blada poświata. W pokoju było cicho. O wiele za cicho.

Monitor pracy serca zatrzymał się.

Wpatrywałam się w jego pusty ekran. Za monitorem było okno, ale krople deszczu już nie uderzały o szybę. Zamiast tego na szkle szybko skraplała się para wodna. Strumyczki wody spływały w dół, gromadziły się na parapecie i zaczynały skapywać na podłogę.

Czułam zapach wody morskiej. Pleśni. Mokrej ziemi. Spojrzałam na Marcusa, który już nie był odwrócony tyłem. Patrzył prosto na mnie, a jego oczy były białe... szczęka mu opadła. Spojrzałam w dół i krzyknęłam, bo zobaczyłam grube szare macki, które pięły się w górę po jego nogach, owijały się wokół klatki piersiowej, pochłaniały go...

– Nie! – Próbowałam wyrwać kroplówkę z ramion. Chciałam zerwać się z łóżka, żeby mu pomóc, ale byłam przywiązana. Moje ręce i nogi zostały unieruchomione. Nie mogłam nic zrobić. – Marcusie, uciekaj!

– Już za późno, Juni. – Głos nie dobiegał nawet z jego ust. Odbijał się echem wokół mnie, podczas gdy macki wpychały się do jego otwartych ust, do jego oczu. – Już za późno.

Obudziłam się gwałtownie, zlana potem i bez tchu. Było tuż przed świtem, bezkresne niebo było bladożółte i w odcieniu chłodnego błękitu. Plecy mnie bolały od spania w jeepie, ale byłam zbyt zeszywniała, żeby się przeciągnąć. Serce mi waliło, poza tym umierałam z zimna.

Włączyłam silnik i podkręciłam ogrzewanie, po czym oparłam głowę o kierownicę. Wczorajszego wieczoru poszłam spać wcześniej, choć zwykle

odwlekałam to w nieskończoność. Jednak byłam głodna, a pieniędzy starczyło mi tylko na benzynę. Sen wydawał się jedynym dobrym sposobem, żeby odsunąć od siebie głód, ale w ten sposób miałam też więcej czasu na koszmary.

Boże, jak ja ich nienawidziłam...!

Głód zaatakował mnie ze zdwojoną siłą. Miałam wrażenie, że mój żołądek zaczął trawić sam siebie, jednak po tym koszmarze na samą myśl o jedzeniu zbierało mi się na mdłości. Będzie lepiej, jeśli ruszę w drogę. Może po kilku godzinach podróży mój brzuch się uspokoi.

Zerknęłam na leżący na fotelu obok telefon. Na ekranie wyświetlała się wiadomość, że dostałam esemesa. Wzięłam komórkę i zmarszczyłam brwi – prawdopodobnie kolejna głupia reklama...

A jednak wiadomość była od mamy.

Zaschło mi w ustach. Szczerze mówiąc, byłam pewna, że już dawno temu zgubiła mój numer. Nigdy do mnie nie pisała. Nigdy nie dzwoniła. Mogłam umrzeć lata temu, a ona ani by o tym nie wiedziała, ani by jej to specjalnie nie obeszło. Myślę, że dla niej umarłam w dniu, kiedy zaginęłam w lesie.

Część mnie nawet nie chciała przeczytać tej wiadomości. Część mnie chciała po prostu ją usunąć.

Część mnie szczerze, rozpaczliwie miała nadzieję, że może jednak matce nadal na mnie zależy.

Odblokowałam ekran i przeczytałam:

„Nawet nie wiem, czy nadal masz ten numer.

Marcus nie żyje.

Jeśli Cię to w ogóle obchodzi.

Pogrzeb jest w niedzielę. Jeśli przyjedziesz, nie rób, kurwa, scen”.

Chyba na chwilę straciłam przytomność, tak po prostu, na poboczu drogi, bo choć wbiłam wzrok w otaczające mnie bezkresne pola, niczego nie dostrzegłam. Myślę, że zapomniałam o oddychaniu. Moje płuca się zamknęły, w głowie miałam pustkę, widziałam tylko braciszka, jak stoi bezradnie i mówi mi, że jest za późno, gdy tymczasem owijają się wokół niego te złowieszcze macki.

Nie. Nie.

Zdrętwiałymi ze strachu palcami wyszukałam w komórce lokalne wiadomości z Abelaum i zobaczyłam jego zdjęcie razem z krzykliwymi nagłówkami:

„Obiecujący piłkarz, kapitan uniwersyteckiej drużyny znaleziony martwy”

„Morderstwo na kampusie Uniwersytetu w Abelaum. Śledztwo w toku”

„Brak podejrzanych w sprawie śmiertelnego napadu z użyciem noża”

Miałam wrażenie, że wydobywający się ze mnie krzyk wściekłości dosłownie wyrwał się z mojej piersi, zostawiając w niej ziejącą ranę. Szloch, który nastąpił potem, pozbawił mnie powietrza w płucach. Zaczęłam się dusić. A jednak to nie wystarczyło, żeby wyrzucić kotłującą się we mnie bezsilną wściekłość. Waliłam pięścią w kierownicę, aż palce mnie rozbolały, a na skórze zakwitły fioletowe sińce.

Brak podejrzanych. Brak pierdolonych podejrzanych. Gówno prawda...! Mój brat został zadźgany na śmierć w środku uniwersyteckiego budynku, a oni mają czelność mówić, że nie mają podejrzanych.

Policjanci nie musieli nikogo podejrzewać, ponieważ wiedzieli. Marcus zawsze był dobrym chłopcem; w przeciwieństwie do mnie, nigdy nie pakował się w kłopoty i unikał niebezpiecznych sytuacji. Ale był moim bratem, a kiedy Bóg żąda krwi, ofiara musi zostać złożona.

To Hadleighowie za tym stali. Wiedziałam, że to oni.

Przez te wszystkie lata, które spędziłam w drodze, wydawało mi się, że ich przechytryłam. Nigdy mnie nie odnaleźli, nigdy nie udało im się wpaść na mój trop. Dopóki ciągle się przemieszczałam, dopóki się nie wychylałam, dopóki nikomu nie zdradzałam swojego imienia i nazwiska – byłam bezpieczna.

Jednak teraz... teraz byłam bezpieczna, bo zamiast mnie zginął Marcus.

Policja przy pierwszej okazji zawiesi śledztwo. W końcu Kent Hadleigh miał ich w kieszeni. Wiedziałam, jak to działa; sama przez to przechodziłam. Ciągle od nowa opowiadałam im swoją historię, aż wszystko pomieszało mi się w głowie, a oni, kurwa, wmawiali mi, że to się nigdy nie zdarzyło.

Powiedzieli mi, że ceremonia w kościele nie miała miejsca; nie było białych peleryn ani masek w kształcie jelenich czaszek. Powiedzieli mi, że nie zostałam wrzucona do nieczynnego szybu; ponoć od dziesięcioleci jest zabity deskami. Powiedzieli mi, że w mroku nie czają się potwory, a po lesie nie ścigał mnie demon; to wszystko były narkotykowe zwidy, a ja mam problem i potrzebuję pomocy.

Lecz się mylili. To wszystko się wydarzyło. Dowodem były moje blizny.

To powinnam być ja. Kiedy wbijałam paznokcie w dłonie, a moją pierś wstrząsał szloch, właśnie ta myśl zanurzyła swoje okrutne pazury głęboko w moją głowę: to powinnam być ja.

Nie musiałam wracać, ale właśnie w tamtym kierunku ruszyłam. Zmarli pozostali zmarłymi, a z matką nie chciałam się spotkać. Nie chciałam płakać na pogrzebie ani oglądać woskowej twarzy brata w trumnie.

Nie wracałam do Abelaum, żeby opłakiwać brata. Wracałam, żeby zrobić to, czego nie chciał zrobić nikt inny. Oskarżenia nie pomagały.

Władze nie pomagały. Od lat uciekałam i myślałam, że udało mi się przechytryć los, ale pradawny Bóg zawsze znajdzie sposób, żeby dostać to, czego chce.

Zabrał mojego brata. Bóg, Hadleighowie i wszyscy ich mali, chorzy zwolennicy – oni działali bez strachu. Zabijali bez wahania. Nawet się z tym specjalnie nie kryli, bo byli pewni, że nikt nie odważy się im przeciwstawić. W końcu mieli po swojej stronie Boga. Kto się odważy sprzeciwić Bogu?

Ja. Mogę to zrobić. Sprzeciwiłam Mu się już wcześniej, teraz zrobię to ponownie.

Nie będzie sprawiedliwości, jeśli sama o to nie zadbam.

Juniper

Abelaum było innym światem.

Mgła zalegała na ulicach dłużej, niż powinna, sprzeciwiając się słońcu i nie dopuszczając jego ciepła. Budynki z cegły ociekały wilgocią, mech okrywał chodniki i wpełzał na ściany domów. Zatoka była nieruchoma, powierzchnia wody przypominała lustro, w którym odbijały się okalające ją drzewa.

Z zewnątrz mogłoby się wydawać, że Abelaum to bezpieczne, spokojne miejsce. Jednak za fasadą hipsterskich knajpek i małych piwiarni krył się niepokój, przez który ludzie po zmroku nie wychylali nosa za drzwi. Przy stole dzielono się plotkami o zaginionych turystach. Najmłodszy uczniowie wymieniali się lokalnymi legendami jak kartami z Pokemonami.

Drzewa też były dziwne. Ich powykręcane korzenie wystawały z ziemi, jakby próbowały uciec. Wiedziałam, co się kryło pod tymi drzewami. Wiedziałam, jakie ukryte w cieniu niebezpieczeństwo czekało na zachód słońca. Jednak zło nie ukrywało się tylko w mroku. Przechadzało się również w świetle dnia, wystrojone w drogie włoskie garnitury, z czarującym uśmiechem na ustach i idealną rodzinką u boku, zawsze ponad podejrzeniami.

To miasteczko było pełne potworów.

W czasie pogrzebu padał ulewny deszcz. Grzmoty, które rozlegały się nad naszymi głowami, oraz przecinające chmury błyskawice sprawiały wrażenie, jakby pradawny Bóg się śmiał; śmiał się z mojego strachu,

z mojej z góry skazanej na przegraną walki. Jak kot bawiący się myszą. Może właśnie na tym polegała największa ironia losu – nieważne, jak daleko udało mi się uciec, On i tak zdołał mnie zmusić do powrotu.

Przyglądałam się pogrzebowi z pewnej odległości. Bez problemu pokonałam żelazne ogrodzenie otaczające cmentarz Westchurch, ale schowałam się za drzewami i naciągnęłam głęboko na czoło kaptur czarnej peleryny przeciwdeszczowej. Z tego miejsca miałam dobry widok na osłonięte białym baldachimem rzędy plastikowych krzeseł ustawionych przed prostokątną dziurą w trawniku.

Nie mogłam płakać, bo łyzy blokował mur wściekłości tak gruby, że nawet rozpacz nie była w stanie go pokonać.

Patrzyłam, jak zamykają trumnę i opuszczają Marcusa w dół. Z daleka wyglądał normalnie. Jakby spał. Minęły lata, odkąd spotkałam się z nim twarzą w twarz. Za to oglądałam jego zdjęcia na Facebooku, fotki ze studniówki, jego szeroki uśmiech, kiedy został kapitanem drużyny piłki nożnej. Powinnam była wiedzieć, że jest w niebezpieczeństwie. Jeremiaห์ Hadleigh był z nim w drużynie. Widziałam ich wspólne fotografie. Zauważyłam, że oznaczają się w postach na Facebooku.

Powinnam była wiedzieć. Powinnam była go ostrzec.

Choć i tak by mi nie uwierzył.

Była tam moja matka, siedziała w pierwszym rzędzie, w jej długich brązowych włosach srebrzyły się siwe pasma. Była chudsza, niż ją pamiętałam, siedziała skulona, milcząca i zastygła w bezruchu, wpatrzona w trumnę. To samo robiła, kiedy odszedł tata – tkwiła przy kuchennym stole i wpatrywała się przed siebie nieruchomym wzrokiem, jakby całkiem uleciało z niej życie.

Myślę, że kiedy kogoś tracisz, jakaś część ciebie odchodzi razem z tą osobą i już nigdy nie wraca.

Tyle że tam, dokąd odszedł Marcus, nic na niego nie czekało – ani życie, ani miłość, ani nawet spokój.

Prawie wszystkie dzieciaki w Abelaum znały tę legendę, ale ja wiedziałam, że jest prawdziwa. Bóg w kopalni zawarł układ z trzema mężczyznami – on darował im życie, a za to oni w szóstym pokoleniu mieli się odwdzięczyć za Jego litość. Trzy darowane życia oznaczały oddanie Mu trzech dusz.

Ocaleni wrócili do normalnego życia. Założyli rodziny. Mieli dzieci, wnuki, prawnuki. I tak dalej, i tak dalej. Abelaum zostało wybudowane na starej kopalni, więc połowa miasteczka miała wśród przodków pracujących w niej górników. Historia ocalonych stała się mitem. Jednak ci, którzy oddali się we władanie Istocie z głębin, nigdy nie przestali działać. Werbowali nowych wyznawców, obserwowali i czekali. Czekali na dzień, kiedy będą mogli złożyć ofiarę.

I oto nastał ten czas – szóste pokolenie. Baranki ofiarne.

Kiedy żałobnicy wstali i powoli zaczęli się rozchodzić, matka stanęła samotnie nad grobem. Ukryła twarz w rękach, a ja poczułam nieprzyjemny ścisk w żołądku, gdy zobaczyłam, kto do niej podszedł. Wysoki i szczupły, z gładko zaczesanymi srebrnymi włosami, ubrany w uszyty na miarę garnitur, Kent Hadleigh objął ją za ramiona i pozwolił jej wypłakać się na swojej piersi.

Byłam uzbrojona i miałam pewność, że trafię. Ręka by mi nie zdrząła, gdybym wycelowwała w jego głowę, nie zawahałabym się przed naciśnięciem spustu. To nie zakończyłoby sprawy, ale przynajmniej byłby to cholernie dobry początek.

Musnęłam palcami pistolet umocowany na biodrze, pogładziłam jego zimną powierzchnię. Boże, ależ by to było satysfakcjonujące, przyglądać się, jak jego krew i mózg rozbryzgują się na trawie...! Nie potrafiłam na

niego patrzeć i nie widzieć go takiego, jakim był tamtej nocy – przyodziany w białą pelerynę, z maską w kształcie czaszki jelenia na twarzy, obojętny na moje krzyki.

To ja miałam być ofiarą, ale skoro nie mogli mieć mnie, wzięli Marcusa.

Opuściłam rękę. Zostawiłam broń w spokoju. Zabijając Kenta, rozpętałabym wojnę, na którą nie byłam gotowa. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Około północy chmury zaczęły odpływać. Zimne niebo pełne gwiazd spoglądało z góry na niewielki cmentarz, wilgotną trawę i mgłę nadciągającą od strony drzew. Nienawidziłam pogrzebów – szlochania, ceremonii, pustych słów kaznodziejów, łzawych przemówień. Jednak otoczona ciszą nocy, przyglądając się z daleka grobowi brata, poczułam, że mogę się z nim naprawdę pożegnać.

Marcus zawsze był mało mówny. Z bólem pomyślałam, że nawet nie wiem, czy taki pozostał. Jako dziecko zawsze ostrożnie dobierał słowa. Nigdy szybko nie wpadał w gniew. Myślał o innych; będąc dzieckiem, zrywał dmuchawce i wręczał mi, kiedy miałam urodziny. Zawsze uważałam, że życie z mamą go złamie, że przejmie jej gniew i jej smutek. Myślałam, że da się złapać w tę samą pułapkę wiecznego cierpienia.

Nigdy się nie dowiem, czy był szczęśliwy. Nigdy się nie dowiem, czy nadal był dobry. Jakaś część mnie miała nadzieję, że się nie zmienił, ale może to egoistyczne z mojej strony. Ludzie nigdy nie pozostają tacy sami jak wtedy, kiedy się ich znało. Mijają minuty, godziny, miesiące, lata – a oni powoli stają się nieznajomymi i trzeba poznawać ich od nowa.

Szczerze mówiąc, to było dziwne; czułam ból po stracie osoby, która żyła tylko w moich wspomnieniach. Nie wiedziałam, kim się stał, już go nie

znałam. Łączyła nas jedynie przeszłość.

Zabrali mi wszystko. Rodzina Hadleighów oraz sekta, na której czele stali. Nie musieli mnie zabijać, i tak byłam żywym trupem. Co mi zostało? Matka, która mnie nienawidziła. Nie miałam przyszłości, domu, nadziei. Tylko wściekłość, tak głęboką, mroczną i ognistą, że mogłam się z nią porwać na samego pradawnego Boga.

Powoli ogarniało mnie zmęczenie, ale nie chciałam zasypiać. Zamierzałam spędzić pod drzewami całą noc, mając nadzieję, że rano odzyskam jakiegokolwiek poczucie sensu. Nigdy nie miałam planu na życie, bo w planach nie ma miejsca na Bogów i potwory. Jednak teraz czułam, że muszę wiedzieć, dokąd zmierzam. Potrzebuję czegoś konkretnego, na czym będę mogła się oprzeć, co rozświecili mrok.

Mrok gromadził się wokół mnie od tak dawna, że już nawet przestałam wierzyć, że wreszcie się rozproszy.

Przez trawę sunęła mgła, w końcu otuliła grób Marcusa. Był środek nocy, ulice były puste. Pewnie teraz mogłabym bezpiecznie podejść do mogiły i przez chwilę posiedzieć z bratem, ale wydawało mi się to zbyt intymne. Nie zasługiwałam na to, żeby znaleźć się tak blisko niego.

Nagle dostrzegłam jakiś ruch w pobliżu grobu.

Natychmiast znieruchomiałam, napinając każdy mięsień. Dostałam gęsiej skórki na plecach, przypatrując się, jak ciemna postać przecina trawnik. Jasne włosy... tatuaże... złote oczy.

Ogarnęła mnie panika. Nogi mi drżały, czułam mrowienie, każdy nerw w moim ciele domagał się, żebym natychmiast brała nogi za pas. Miałam wrażenie, że na płucach zacisnęły się jakieś szorstkie, chłodne dłonie. Nie śmiałam nawet drgnąć. Jeżeli będę zbyt ciężko oddychać, on to usłyszy.

Co, do diabła, robił tu ulubiony demon Kenta Hadleigha?

Staralam się, aby każdy mój oddech był tak powolny i miarowy, jak to tylko możliwe, choć kusiło mnie, żeby w ogóle nie oddychać. Położyłam dłoń na broni, choć dobrze wiedziałam, że pocisk go nie zabije. W głowie miałam prawdziwą gonitwę myśli: uciekać... ukryć się... walczyć... albo czekać.

Czekałam więc, tkwiąc nieruchomo w cieniu. Gdyby spojrzał w moją stronę, na pewno by mnie dostrzegł. Przyszła mi do głowy szalona myśl, że Kent wysłał go po mnie, i serce zaczęło mi jeszcze mocniej bić. Ale nie, Kent nie mógł wiedzieć, że wróciłam do Abelaum; nawet moja matka o tym nie wiedziała.

Demon błąkał się przez chwilę po cmentarzu, zerkając na mijane groby, aż wreszcie dotarł do świeżo przekopanego skrawka ziemi, gdzie spoczął Marcus. Zagotowała się we mnie wściekłość, kiedy przystanął, przeczytał informację na nagrobku... po czym zaczął kopać.

Musiałam przygryźć język, żeby nie zacząć krzyczeć. Wbiłam paznokcie w korę znajdującego się za mną drzewa, jakbym szukała w nim oparcia. Gdybym pobiegła w kierunku demona, gdybym spróbowała z nim walczyć, w mgnieniu oka by sobie ze mną poradził. Głowę miałam pełną fantazji o zastrzeleniu go, a zabiciu go, ale dobrze wiedziałam, że te myśli są właśnie tym – fantazjami.

Musiałam się uzbroić w cierpliwość. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej musiałam czekać na właściwy moment.

Demon nie przestawał kopać, jego oczy były jak światła ostrzegawcze w mroku nocy. Słyszałam, jak te jego przeklęte pazury drapią w drewno, kiedy dotarł do trumny. Zmusiłam się, żeby nie odwracać wzroku, kiedy demon wyciągnął mojego brata z grobu i przerzucił go sobie przez ramię.

– Pobudka! Wstawać! – powiedział, wyczołgując się z dziury i rzucając bezwładne ciało Marcusa na trawę. – Daj mi teraz chwilkę, kolego. Nie

chcemy przecież, żeby twoja matka dowiedziała się, że grób jej syna został zbezczeszczoney.

Boże, zbierało mi się na wymioty...! Mogłabym go za to zabić, chętnie odstrzeliłabym mu ten łeb. Jednak choć szalałam z wściekłości, to zdawałam sobie sprawę, że demon jest tylko narzędziem. Wykonuje polecenia Kenta Hadleigha.

Ale po co kraść martwe ciało...?

Demon przerzucił sobie zwłoki Marcusa przez ramię, jakby to był worek mięsa, którym można pomiatać. Krew zawrzała mi w żyłach, ale musiałam się opanować. Nie mogłam się poruszyć, musiałam czekać i obserwować. Musiała minąć dobra chwila, odkąd demon zniknął mi z oczu, żebym odważyła się walnąć zaciśniętą pięścią w pień drzewa, przelękając krzyk, który wyrywał mi się z gardła.

Hadleighowie przypieczętowali swój los, kiedy próbowali mnie zabić. Wbili pierwszy gwóźdź do własnej trumny, kiedy zamordowali Marcusa. A kolejny – kiedy ukradli jego ciało.

Zamierzałam ich wszystkich zabić. Niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztować. Niezależnie od tego, co będę musiała poświęcić.

Niezależnie od tego, jaki układ będę musiała zawrzeć.

Zane

Polowałem na dusze od ponad pięciuset lat.

Było to lukratywne zajęcie, a poza tym im dłużej się to robiło, tym było łatwiej. Dostarcz do Piekła jedną duszę, a zyskasz władzę. Dostarcz dwie, a władza się podwoi. I tak dalej, i tak dalej.

Zbierz odpowiednią ilość dusz, a Piekło zacznie ci uprzyjemniać życie różnymi luksusami, a konkretnie mówiąc, ludzkimi pieniędzmi. Zdobywanie zaufania śmiertelników okazało się o wiele prostsze, kiedy mogłem im zaimponować drogimi rzeczami.

Jednak najlepsze polowania nie były łatwe. I wcale nie chciałem, żeby takie były; lubiłem ten dreszczyk, który budzą wyzwania. Być może dlatego tak mnie ciągnęło do różnych oryginałów, dziwaków, małych świrów o morderczych skłonnościach. Być może dlatego to ich dusz pożądałem najbardziej.

Jak mi Lucyfer miły, kochałem morderców.

Nieważne, czy to człowiek, czy demon – istota z krwią na rękach i uśmiechem na twarzy zawsze była dla mnie fascynująca. Zepsuci mali śmiertelnicy rzadko stanowili dla mnie zagrożenie; ale, do cholery, byli tacy słodcy, a na dodatek wyjątkowo cenili sobie swoje dusze, co wprost niesamowicie mnie kręciło.

Lubiłem słodkie istoty. Lubiłem je miażdżyć i łamać, żeby zobaczyć, co powstanie z tych wszystkich małych, pokruszonych kawałków. Być może moja definicja „słodczy” była nietypowa.

Taka, powiedzmy, Juniper Kynes. Urocza. Mordercza. Zepsuta. Postanowiłem, że będzie moja.

Polowałem na nią już od czterech lat. Nie powiedziałbym, że miałem na jej punkcie obsesję – to nie brzmiało dobrze. Wolałem określenie zaintrygowany. Albo zdeterminowany. W końcu w każdym polowaniu nadchodził taki moment, kiedy to ofiara musiała wykonać swój ruch. Nie mogłem tak po prostu zabrać jej duszy, musiała ją oddać z własnej woli.

Od lat czekałem na chwilę, kiedy moja mała wilczyca przestanie przede mną uciekać. Wiedziałem, że to się stanie. Nie mogła bez końca mi się opierać.

Wilk potrzebuje stada. Wilk nie potrafi polować w samotności.

Wystarczyło, żeby napisała dwa proste słowa: „Chcę pogadać”.

Uśmiechnąłem się, widząc tę wiadomość na ekranie komórki.

„Interesy czy przyjemność? Jestem zajęтым demonem, nie mam czasu na gadki-szmatki”.

„Pieprz się”.

Parsknąłem głośnym śmiechem i uzbroiłem się w cierpliwość. Dziewczyna nie zamierzała mi tego ułatwiać, a mnie się to bardzo podobało – lubiłem wyzwania. Chciałem o nią zawalczyć.

Kolejna wiadomość: „Chcę zawrzeć pakt”.

Dobrze, że byłem sam, bo natychmiast przestałem wyglądać jak człowiek. Nie potrafiłem ukryć pazurów, bo aż się paliłem, żeby je w nią wbić.

„Zaproponuj czas i miejsce”.

„Bar U Joanie w Blackhook, na wybrzeżu. Późny wieczór”.

Podejrzywałem, że wybrała to miasteczko, bo czuła się tu bezpieczna. Leżało daleko od Abelaum i składało się z zimnej plaży, paru uliczek

z domami i starymi zakładami usługowymi, z których połowa stała pusta. Na niewielkiej przystani cumowały łodzie rybackie, a trochę wyżej przycupnął bar U Joanie.

Byłem tak podekscytowany, że przybyłem na miejsce przed czasem. Bar był mały, na ścianach wisiały fotografie przedstawiające rybaków z połowem. Wybrałem stolik w rogu, z którego miałem widok na cały lokal, i obserwowałem gawędzących przy barze i spokojnie popijających piwo w łóżach ludzi. Od czasu do czasu ktoś rzucił w moją stronę podejrzliwe spojrzenie, ale nikt nie sprawiał problemów. Instynkt podpowiadał im, żeby się ode mnie trzymać z daleka.

Blackhook znajdowało się prawie dwie godziny jazdy samochodem od Abelaum, a i tak nie było całkowicie wolne od wpływu Boga. Plugawa obecność Istoty z głębin była wyczuwalna nawet tutaj, ostra woń przenikała powietrze jak wszechobecny odór pleśni i zgniłych ryb. Mieszkańcy pewnie nawet już tego nie zauważali. Jednak zepsucie, które swój początek miało w Abelaum, szerzyło się, jak to każde zepsucie ma w zwyczaju.

Szczególnie teraz, kiedy Kentowi i Libiri udało się złożyć pierwszą ofiarę.

Całe Abelaum mówiło tylko o tym – o smutnym losie brata Juniper. Przypuszczałem, że zdecydowała się wrócić na wieść o śmierci brata, ale byłem ciekaw, czego ode mnie zażąda. Być może nowego życia gdzieś daleko od Abelaum. Może pieniędzy. A może będzie chciała śmierci Kenta Hadleigha, czym, oczywiście, chętnie się zajmę, choć pewnie nie będzie łatwo. Nie bez powodu Leon jeszcze go nie zabił.

Najlepsze polowania były trudne, ale najlepsze układy były proste. W końcu kiedy pakt został już zawarty, dobrym posunięciem było jak najszybsze zajęcie się kolejnym. Czekwały na mnie następne miejsca do zwiedzenia, duszyczki do zebrania, ludzie do wypieprzenia, przyjemności

do przeżycia. Niemniej zastanawiałem się, jak by to było spędzić z nią trochę czasu i wycisnąć dla siebie kilka dodatkowych korzyści z naszego układu.

Była cholernie dobrą partnerką do pieprzenia. Piękna i niebezpieczna. Anomalia zrodzona z krwi i bólu, przerażenia i poświęcenia. Śmiertelniczka, która – na przekór wszystkiemu – zlekceważyła Boga i przeznaczenie, po czym, zakrwawiona i złamana, rozpoczęła nowe życie.

Moja własna mała wilczyca, bestia w ciele człowieka. Okruch przeznaczenia.

Wyczułem ją, na długo zanim stanęła w drzwiach. Pachniała zniewalająco. Jak wiciokrzew w pełnym rozkwicie o poranku, jak ziemia po deszczu, jak sosnowe igły zgniecione pod stopami. Jej zapach był dziki i orzeźwiający, kiedy go raz poczułeś, nie mogłeś się od niego uwolnić. Gdy weszła do baru, miałem wrażenie, że oglądam burzę przetaczającą się przez góry.

Miała na sobie potargane džinsy, trapery tak sfatygowane, że sznurówki były w strzępach, i czarną bluzę z kapturem ozdobioną z przodu napisem „Trasher”. Długie, zmierzwione brązowe włosy upięła w kucyka, odsłaniając wygolony bok głowy. A jej twarz... kurwa mać. W ciemnych oczach szalała burza, a pełne, mokre od alkoholu usta drżały. Jej skóra była brązowa od słońca, a wzdłuż szczęki biegła wąska, blada blizna – jakby ślad po ranie zadanej ostrzem noża.

Stanęła pod drzwiami, kołysząc się lekko i nie przejmując się kroplami deszczu na twarzy.

Była pijana. Wcale mnie to nie dziwiło.

Rozejrzała się po barze i zauważyła mnie; w jej oczach zapaliła się błyskawica. Był moment strachu i zawahania, ale nie cofnęła się. Nie podeszła też prosto do mnie. Najpierw ruszyła w stronę baru, gdzie objęła

na powitanie starszą kobietę serwującą napoje i po przyjacielsku poklepała po plecach kilku siwych rybaków pochylonych nad kuflami.

Była wśród przyjaciół i chciała, żebym o tym wiedział.

Odchyliłem się na oparcie krzesła, uśmiechając się szeroko. Urocze! Naprawdę sądziła, że bar pełen ludzi wystarczy, żeby mnie powstrzymać...?! Miała szczęście, że nie chciałem jej skrzywdzić; przynajmniej nie w sposób, jakiego nie pragnęłoby jej mroczne, pokręcone serduszko.

Zamieniła kilka słów z barmanką, po czym ruszyła w moją stronę. Oczywiście miała czujne, ale szła pewnym krokiem. Usiadła na krześle naprzeciwko mnie.

– Tym razem zapamiętałaś, jak wyglądam – zauważyłem. – Czuję się wyróżniony.

– Niepotrzebnie – stwierdziła chłodno. Głos miała głęboki i nieco zachrypnięty. Wiedziałem jednak, jak brzmi, kiedy mięknie z rozkoszy lub podnosi się z bólu. – Zawsze staram się pamiętać przydatne rzeczy. Mam nadzieję, że się nie mylę, zakładając, że okażesz się użyteczny.

– Mam nadzieję, że się nie mylę, zakładając to samo w stosunku do ciebie. – Skinąłem w kierunku barmanki, która nas obserwowała jak jakiś pieprzony jastrząb, i podniosłem dwa palce na znak, żeby nam nałała. Łypnęła na mnie spod oka i sięgnęła po kufle.

– To Joanie – wyjaśniła Juniper. Skrzyżowała ramiona na piersi, plecy miała proste. – Prowadzi z żoną ten bar od dwudziestu lat. Większość stałych bywalców bez wahania by cię zastrzeliła, gdybyś czegoś spróbował.

Uśmiechnąłem się podstępnie.

– Wiem. To tutaj trafiłaś, kiedy po raz pierwszy opuściłaś Abelaum. Joanie dała ci pracę i przygarnęła pod swój dach. Zostałaś tutaj, dopóki Eldowie cię nie wytropili. – Zacisnęła zęby ze złości, a ja tylko

uśmiechnąłem się szerzej. – Kiedy zaczęli się tu kręcić każdej nocy, postanowiłaś odejść.

Z trudem przełknęła ślinę, ale nie spuszczała ze mnie oka.

– Dlaczego, do cholery, włączyłeś się za mną przez cały ten czas? Co jest we mnie takiego wyjątkowego?

– Dobry łowca podąża w ślad za swoją ofiarą – wyjaśniłem. – Czeka na właściwy moment, żeby odebrać swoją nagrodę. – Uśmiechnąłem się, kiedy Joanie przyniosła dwa piwa, stawiając przede mną kufel z trochę większym impetem, niż to było konieczne. Gdy się oddaliła, zapytałem: – A tak właściwie to co jej, do cholery, naopowiadałaś? Że jestem twoim okropnym, niewiernym byłym chłopakiem? A może niesympatycznym kuzynem?

– To moja sprawa – odparła. – Nie obchodzi ich, kim jesteś. Dla nich liczy się jedynie to, żebym wyszła stąd żywa.

– I tak się stanie. Dlaczego miałbym cię po prostu zabić po tych wszystkich podchodach? Można nawet powiedzieć, że przez te wszystkie lata naprawdę się do ciebie przywiązałem. – Pochyliłem się nad stołem. Nie umknęło mi, że dziewczyna natychmiast stężała, gdy się zbliżyłem. – Ale zjawiałaś się tutaj, żeby ubić ze mną interes. Na początek powinnaś wiedzieć jedno: układy są bolesne. I takie mają być. A pakt ze mną? Zaboli jeszcze bardziej.

Zmrużyła oczy.

– Dlaczego?

– Bo ja tego chcę. Tak się złożyło, że uwielbiam, kiedy ludzie cierpią, żeby dostać to, czego pragną. A kiedy nadchodzi ta chwila, kiedy człowiek jest gotowy zawrzeć ze mną układ, to znaczy, że bardzo tego pragnie.

Prychnęła.

– Spróbuj się zatrudnić w studiu BDSM. Wygląda na to, że świetnie się tam odnajdziesz.

– Och, już to przerabiałem. Uznali, że moje pomysły są nieco zbyt... ekstremalne. Ale ja tylko spełniałem zachcianki masochistów. Jak mógłbym powiedzieć „Nie, nie każę ci się zamknąć i nie doprowadzę cię do krzyku” klientowi, który mnie błagał, żebym to zrobił...?

Jej wyraz twarzy nie zmienił się.

– Za dużo gadasz. Przykro mi, ale muszę cię rozczarować: nie boję się bólu.

– Nie powinnaś mówić mi takich rzeczy, Juniper. – Udało mi się powstrzymać uśmiech, choć gdy to usłyszałem, przeszły mnie przyjemne ciarki. Nie ma nic bardziej ekscytującego niż rzucający mi wyzwanie człowiek, nic rozkoszniejszego niż śmiertelnik, który udaje, że się nie boi. – Bo to brzmi całkiem, jakbyś chciała mnie sprowokować.

– Nie interesują mnie twoje gierki. Chcę zawrzeć z tobą pakt, Zane. Co proponujesz?

– To ty mi powiedz, co proponujesz, mała wilczyco. – Machnąłem ręką.
– Powiedz mi, czego pragnie twoje serce, a ja ci to dam.

Zmrużyła oczy, przez chwilę milczała. A potem...

– Chcę zniszczyć Libiri.

Ach, więc o to chodzi. Akurat tego się nie spodziewałem.

– Zniszczyć... no tak. Chodzi ci o to, żeby zabić Kenta Hadleigha?

– Ja chcę zabić Kenta. Chcę zabić Jeremiaha, Victorię i Meredith. Chcę zmieść tę rodzinę z powierzchni ziemi, a potem zrobić to samo z ich poplecznikami. Chcę zamordować tych najbardziej lojalnych. Chcę, żeby wszyscy, którzy kiedykolwiek ich popierali, do końca swojego żalosnego życia drżeli ze strachu, że po nich też przyjdę. – Rozparła się na krześle

i skrzyżowała ramiona na piersi. – I chcę to wszystko zrobić sama, własnymi rękami. Potrzebuję tylko wsparcia.

– To dosyć... ambitny plan. – A na dodatek czasochłonny. Bardzo czasochłonny. Stracę czas, który mógłbym poświęcić na rozpoczęcie kolejnego polowania.

Posłała mi bezczelny uśmiezek.

– Chcesz mi powiedzieć, że to przerasta twoje możliwości?

– Chcę ci powiedzieć, że będzie z tym wiele problemów. Zniszczenie Libiri oznaczałoby wybicie połowy mieszkańców Abelaum.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam z tym problemu. Można to zrobić w prosty sposób: spuścmy bombę atomową na miasteczko. Łatwizna.

Roześmiałem się.

– Jestem pod wrażeniem, że dla ciebie prosty sposób to uzyskanie dostępu do broni jądrowej, ale obawiam się, że są pewne granice tego, co mogę dla ciebie zrobić. Czasy są takie, że nie mogę tak po prostu zmieść miasteczka z powierzchni ziemi. Rada Piekła padłaby trupem, gdybym zawarł taki układ. Nie wolałabyś raczej zacząć wszystkiego od nowa? Mogę ci zaproponować dom gdzieś daleko stąd, pieniądze, za które kupisz wszystko, o czym zamarzysz... nowe życie?

– Dla mnie już nie ma nowego życia. Zabili mojego brata. – Powoli pokiwała głową, po czym gwałtownie zamrugła oczami, żeby pozbyć się łez, które nagle się w nich zebrały. – Nie zacznę wszystkiego od nowa. Jeśli się nie pozbędziesz zarazy, będzie się rozprzestrzeniała. Jedyne, o czym marzę, to zemsta. – Zacisnęła dłonie w pięści i dodała zniżonym głosem: – Nieważne, czego ode mnie zażadasz. Moja dusza, moje cierpienie... Zapłacę każdą cenę. Mówisz, że układy z tobą są bolesne. Cóż, to samo mogę powiedzieć o układach ze mną. Ja się nie boję. A ty?

Co za kobieta. Do diabła, co za kobieta...!

– Och, Juniper... – Potrząsnąłem głową. – Nawet nie wiesz, o co prosisz.

Lało jak z cebra, krople deszczu bębniły głośno o stary dach baru. Było już późno, w knajpce została tylko barmanka, kilku pijaczków i my. Juniper zamknęła na chwilę oczy i zacisnęła usta w cienką, twardą linię. Chciała zawrzeć trudny układ, więc warunki też nie będą łatwe. Skoro miałem być odpowiedzialny za pomoc w dokonaniu zemsty, zamierzałem zażądać nie tylko jej duszy.

Stukałem palcami w blat stołu. Kiedy Juniper otworzyła oczy i ponownie na mnie spojrzała, na jej twarzy nie malował się lęk.

– Nieważne, czego będziesz chciał – powtórzyła. – Oddam ci duszę. Skażę się na wieczne potępienie. Możesz mnie torturować. Pieprzyć. Ranić. Zgodzę się na wszystko. Ale chcę, żeby wszyscy zginęli.

Na myśl o zrobieniu jej tych trzech rzeczy z trudem utrzymałem się w swoim ludzkim przebraniu. Przesunąłem się na krześle, żeby znaleźć lepszą pozycję dla sztywnego kutasa w dzinsach.

– Twoja dusza to tylko zadatek. Cena będzie wysoka, bo i zadanie jest niełatwe.

Trzeba przyznać, że dziewczyna umiała utrzymać pokerową twarz. Potrafiła ukryć każdą emocję tak szybko, jakby nigdy jej nie było.

– Dawaj. Czego chcesz?

Przez chwilę skupiłem się na piwie, piłem powoli i cieszyłem się jego smakiem. Ludzki alkohol w ogóle nie działał na mój gatunek, ale smak był przyjemny.

– Na początek twoja dusza – zacząłem. – Twoje ciało również będzie moje. Twoja rozkosz, twój ból... i twoja uległość. To wszystko będzie moje. W zamian pomogę ci dokonać zemsty, której pragniesz.

Cena nie była wygórowana. W końcu skoro miałem tkwić przy niej przez cały czas, kiedy będziemy realizować jej plan, równie dobrze mogę się przy okazji trochę zabawić. Przez chwilę milczała, rozważała moją propozycję. Byłem niezły w odgadywaniu ludzkich myśli, wyczuwałem emocje, potrafiłem się zorientować, czy nie naciskam zbyt mocno lub zbyt słabo. Ale ona była twardym orzechem do zgryzienia. Potrafiła wszystko starannie ukryć.

Wreszcie odezwała się cichym głosem:

– Nie będę uległa.

– W takim razie obawiam się, że nie dojdziemy do porozumienia.

Na zewnątrz uderzył piorun, butelki z alkoholem zadzwoniły za barem. Juniper syknęła, ze złością odwracając głowę. A jednak nie wstała. Nie wypadła z baru jak burza. Ze wzrokiem utkwionym w strumienie deszczu spływające po szybie powiedziała cicho:

– Nie mogę tego zrobić. Nie mogę.

– „Nie mogę” to nie to samo, co „nie zrobię”, prawda? – zauważyłem z szerokim uśmiechem.

– Umiem tylko walczyć. – Podniosła na mnie wzrok; w jej oczach był gniew, ale głębiej kryła się rozpacz. Zabawne, że nie chciała się zgodzić na jedno małe słowo. Jednak ja nie zamierzałem się czepiać.

– W takim razie walcz ze mną – podpowiedziałem. – Walcz ile dusza zapagnie, ale wiedz, że i tak przegrasz. Za każdym razem. Miej świadomość, że koniec końców i tak będziesz moja, choćbyś stoczyła nie wiem jak zażartą walkę. – Zerknęła na mnie podejrzliwie, pewnie zastanawiając się, gdzie jest haczyk. – A jeśli nie będziesz już mogła tego znieść, błagaj o litość. My, demony, może i jesteśmy okrutne, ale nawet my rozumiemy, że czasami należy okazać litość.

Prychnęła gniewnie. Po rozpaczy nie został nawet ślad, a jej miejsce zajęła duma.

– Ja nie błagam.

– Pod moimi pazurami będziesz błagać – zapewniłem. – Jeśli kiedykolwiek poprosisz o litość, okażę ci ją. Jeśli zgodzisz się na moje warunki, dostaniesz to, czego chcesz. Zabijemy Hadleighów. Zniszczymy Libiri. Zmieciemy z powierzchni ziemi wszystko, czego udało im się dokonać. – Wlałem do gardła resztkę piwa. – Ostatni raz taki układ zawarłem w średniowieczu. Wtedy zdarzało mi się wygrywać wojny i zabijać królów. Szczerze, to wprowadziłaś mnie w nieco nostalgiczny nastrój.

Zacisnęła zęby tak mocno, że na szyi wyszła jej bladoniebieska żyła. Nie podobało jej się, że zebrało mi się na wspominki, ale nic mnie to nie obchodziło. Zdobycie jej zgody na to, żeby robić z nią wszystko, na co będę mieć ochotę, było warte czasu, który musiałem poświęcić, żeby zawrzeć ten układ.

– To poważna decyzja – powiedziałem, a ona spojrzała na mnie ze złością, bo wyrwałem ją z zamyślenia. – Twoje ciało i dusza za zemstę. Chcę tego wszystkiego, Juniper. I żeby nie było nieporozumień, kiedy dobijemy targu, będę cię posiadał w każdym znaczeniu tego słowa. Mówisz, że nie boisz się bólu... – Pochyliłem się w jej stronę, a jej ciało natychmiast się spięło, gotowe do walki. – Ale mnie się wydaje, że po prostu zapomniałaś, jak odczuwać ból.

Wyciągnąłem rękę i leciutko musnąłem palcem ledwo widoczną linię blizny, wyglądającą z wycięcia jej podkoszulka. Taka twarda kobieta, a miała tak miękką skórę...! Bez mrugnięcia wytrzymała mój wzrok.

– Raz zostałaś zraniona – powiedziałem cicho – więc postanowiłaś, że już nigdy nie poczujesz bólu, prawda? Jeśli nie czujesz bólu, to się go nie boisz.

Uśmiechnęła się powoli.

– Prawie. Ale nie do końca. Raz zostałam zraniona, więc postanowiłam, że ból nie będzie mnie już ranił. Od tamtej pory sprawia mi cholerną przyjemność. Ból mnie napędza. A czasami jest jedyną rzeczą, która przypomina mi, że żyję.

– W takim razie myślę, że świetnie się dogadamy, Juniper Kynes. – Wstałam, a ona drgnęła, gdy moje krzesło zaszurało o drewnianą podłogę. – Wracaj do domu. Prześpij się, wytrzeźwiej i jeszcze raz sobie to wszystko przemyśl. Jeśli nadal będziesz chciała zawrzeć pakt, idź jutro w nocy do lasu i wejdź tak głęboko, jak tylko będziesz mogła. Znajdę cię.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, które jednak szybko zmrużyła, zerkając na mnie podejrzliwie.

– Do lasu... Dlaczego?

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

– Ponieważ tam nikt nie usłyszy twoich krzyków.

Juniper

Wyszedł, a ja zostałam jeszcze przy stoliku, niemrawo kończąc piwo. Byłam pijana w trzy dupy; tylko w ten sposób udało mi się zebrać na odwagę, żeby się z nim spotkać. Wypita wcześniej whiskey zmieszała się w żołądku z piwem i w rezultacie siedziałam teraz oparta ciężko o stół, z opuszczoną głową, próbując powstrzymać wymioty.

Co ja, do diabła, zrobiłam? Myślałam, że Zane skwapliwie skorzysta z okazji i przejmie moją duszę, kiedy tylko mu ją zaoferuję. Przyszłam tutaj, gotowa zmusić się do tego aktu odwagi, ale on kazał mi wytrzeźwieć i przemyśleć to wszystko.

Nie było nad czym myśleć. Wiedziałam, co muszę zrobić. Nie miałam innego wyjścia, tylko to – sprzedać swoją nieszczęsną duszę i oddać się na łaskę demona.

Podskoczyłam, czując na plecach dotyk czyjejś ręki. Jednak była to tylko Joanie. Długie brązowe włosy miała związane z tyłu, a w stwardniałej dłoni trzymała szklankę wody.

– Wyglądasz jak kupa gówna – powiedziała, swoim zwyczajem waląc prosto z mostu. Ta kobieta nie traciła czasu na uprzejmości. – Za dużo wypiałś.

Wzruszyłam ramionami.

– Za dużo? W jakim sensie? Nie wyjdzie mi to na pierdolone zdrowie?

Zmrużyła ostrzegawczo oczy.

– Nie cwaniakuj mi tutaj! Nadal mogę ci skopać tyłek.

Mówiła prawdę. Wzięłam wodę i wypićam tyle, ile byłam w stanie. Joanie oparła się o stół i bacznie mi się przyglądała.

– Słyszałam o twoim bracie. Bardzo mi przykro, Juniper.

Takie słowa powinny przynosić pociechę. Dla mnie jednak były jak igły powoli i nieubłaganie wbijające się w moje serce. Niespiesznie pokiwałam głową, po czym przełknęłam resztę wody.

– Jest, jak jest.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Dlaczego to sobie robisz? Wiem, że cierpisz. – Usiadła naprzeciwko mnie z rękami złożonymi na stole. – Minęło dużo czasu, Juniper. Wiesz, że nasze drzwi zawsze są dla ciebie otwarte. Jeśli będziesz potrzebowała dachu nad głową, ja i Alice zawsze chętnie...

– Nic mi nie jest – zapewniłam szybko. – Mam się gdzie zatrzymać.

Kiwnęła głową, ale miałam wrażenie, że mi nie wierzy. Znała moją historię, przynajmniej wersję przedstawianą w wiadomościach i szeptaną między ludźmi. Gdy w wieku osiemnastu lat wypuszczono mnie ze szpitala, już wiedziałam, że nie warto się starać, żeby ktoś mi uwierzył.

– Czy ten twój, yyy... przyjaciel sprawia ci kłopoty? – zapytała.

– Nie. Za to ja będę dla niego problemem.

Parsknęła krótkim śmiechem, klepnęła mnie w ramię i wstała.

– To rozumiem! Zamień ich życie w piekło, Juniper! A teraz nie musisz się nigdzie spieszyć. I tak jeszcze trzeba tu ogarnąć. Daj znać, kiedy będziesz wychodzić, to otworzę ci drzwi.

Wróciła do przecierania baru, a ja dopićam piwo. Zamienię ich życie w piekło, a jak...! A to będzie dopiero początek.

Tata odszedł, kiedy miałam dziesięć lat, ale myślę, że on i mama rozstali się o wiele wcześniej. Nie przypominam sobie, żeby mieszkał z nami

w przyczepie. Za to pamiętam dni spędzone z nim w niewielkim kamiennym domku w lesie.

Tak naprawdę to nie był dom, ale w dzieciństwie tak go nazywałam. Była to zbudowana z kamienia chatka myśliwska. Znajdowała się na pólakrowym kawałku gruntu, który – jak twierdził tata – należał do rodziny od czasów założenia Abelaum. Chatka stała nad szemrzącym strumykiem i była ze wszystkich stron otoczona lasem, spokojna i odludna. Tata spędzał w niej kilka weekendów w roku, polował i łowił ryby, zawsze też starał się zabrać ze sobą mnie i Marcusa.

To tata nauczył mnie posługiwać się bronią. Dzięki niemu umiem też polować, patroszyć ryby i oprawiać jelenie. Wyjaśnił mi, że nie należy bać się ciemności, ponieważ nie może się w niej kryć nic, przed czym nie potrafiłabym się obronić.

Miałam jedenaście lat, kiedy umarł. Nigdy wcześniej nie byłam na pogrzebie. Marcus płakał, a mama była dziwnie milcząca. Czułam się, jakby ktoś uderzył mnie w pierś tak mocno, że wybił w niej dziurę. Zamiast serca miałam ogromną bolesną ranę, która miała się już nie zagoić. Ten żal nigdy mnie nie opuścił, z czasem tylko trochę przycichł.

Tata zostawił mi chatkę i ziemię, na której stała. Jedną ze spraw, którymi się zajęłam przed ucieczką ze stanu Waszyngton, było upewnienie się, że to miejsce prawnie należy do mnie. Tata pewnie miał nadzieję, że sprzedam działkę i pójdę na studia, ale ja nie potrafiłabym rozstać się z tym terenem. To było jedyne miejsce, w którym czułam się jak w domu; jedyne, z którym nadal czułam więź łączącą mnie z tatą.

Dobrze, że miałam jeepa, bo prowadząca do chatki wąska droga gruntowa nie była używana od tak dawna, że prawie całkiem zarosła. Sam domek z kolei był o wiele bardziej zniszczony, niż kiedy ostatni raz tu byłam. Okno od frontu było rozbite, a ściany całe w graffiti. W środku

szczury dobrały się do poduch na kanapie oraz wygryzły dziury w łóżku na poddaszu. Na szczęście studnia nie wyschła, ale kiedy odkręciłam kran na zewnątrz, najpierw charczał, a potem przez kilka minut wypływał brązową wodę.

Zdarzało mi się nocować w gorszych miejscach. Owszem, chatka była w marnym stanie, ale wiązało się z nią tyle wspomnień. To tutaj tata przytulał nas przy ognisku. Zajadaliśmy s'mores i słuchaliśmy opowieści o duchach, łowiliśmy ryby w rzece i goniliśmy się po podwórku, ja i Marcus. Właśnie tutaj tata po raz pierwszy podał mi strzelbę i powiedział: „Juni, twoje ręce nie mogą drżeć. Kiedy atakuje cię niedźwiedź, nie masz czasu na myślenie. Zachowaj spokój. Weź głęboki oddech. I naciśnij ten pieprzony spust”.

Zebrałam trochę drewna na podwórku i rozpałam ogień. Wątpiłam, czy uda mi się usnąć, mimo że byłam wyczerpana. W alkoholowym otumanieniu po głowie krążyło mi tysiące myśli: układy z demonami, cena duszy, koszt zemsty.

Od dawna wiedziałam, że pewnego dnia nadejdzie czas na zemstę.

Ekipa poszukiwawcza potrzebowała prawie czterdziestu ośmiu godzin, żeby mnie odnaleźć, kiedy ostatkiem sił wywlekłam się z kopalni i na oślep pobiegłam w las. Kiedy się wreszcie na mnie natknęli, byłam odwodniona i półprzytomna, musieli mnie przywiązać do noszy, zanim trafiłam do ambulansu. Ze szpitala wypuszczono mnie z opakowaniem tabletek i zaleceniem terapeuty, żeby „mieć mnie na oku”. Wróciłam do szkoły z kuchennym nożem w plecaku, podczas drugiej przerwy pomaszerowałam prosto do Victorii i próbowałam poderżnąć jej gardło.

Victoria usiłowała mnie zabić. Wydawało mi się słuszne, że nie pozostałam jej dłużna.

Wiele z tego, co się wydarzyło, kiedy odnalazła mnie policja, było w mojej pamięci niewyraźne, jak rozmazana plama. Nie spałam, prawie nie jadłam. Wątpiłam we wszystko, co widziałam i co słyszałam. Siedziałam na kozetce, a lekarze spokojnie i cierpliwie powtarzali mi, że mam urojenia. Policjanci się ze mnie śmiali. Przyjaciele i rodzina się ode mnie odwrócili. A ja w kolejne bezsenne noce bałam się zamknąć oczy, ponieważ wiedziałam, że gdy tylko to zrobię, otoczą mnie koszmary. Przerazała mnie też myśl o wyjściu z domu, bo nadal słyszałam wzywający mnie głos.

Potem nastąpiły długie miesiące ciągnących się spraw w sądzie, spotkań z prawnikami, konsultacji z psychiatrami. Oceny mojego stanu psychicznego i badania. Gadanie mojej matki, jakie to mam szczęście, że Hadleighowie okazali się tacy wyrozumiali. Wreszcie decyzja: przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Przeniesienie do placówki z zamykanymi na klucz drzwiami i cichymi korytarzami. Jeszcze więcej lekarstw. Obserwacja dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

W szpitalu przynajmniej nie musiałam znosić mojej matki, która patrzyła na mnie, jakbym była szczurem przemykającym się po jej domu. Przynajmniej las znajdował się za solidnym murem z cegły, więc choć czasem słyszałam w nocy dochodzące z oddali wycie, to skończyło się drapanie w okno. Przynajmniej udało mi się przeżyć do osiemnastych urodzin, kiedy to poinformowano mnie, że jestem „wyleczona”.

Jednak po trzech latach w szpitalu miałam fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Eldowie nie mogli mnie tam dorwać. Dopiero kiedy wyszłam, zorientowałam się, jacy byli nieustępliwi.

Podążali za mną wszędzie, niezależnie od tego, jak daleko od Abelaum się znalazłam. Musiałam poznać ich słabe punkty, nauczyć się, gdzie strzelać, ranić nożem, uderzać. Dowiedziałam się, że w ciemności nigdy nie

jest bezpiecznie, ale w świetle dziennym – zazwyczaj tak. Nauczyłam się, jak manewrować wśród niezliczonych legend i mitów, jak wyłuskać z nich okruchy prawdy – prawdy, której mogłam użyć, żeby się ochronić, żeby pojąć sens tego wszystkiego, co się wydarzyło.

Niezależnie od tego, gdzie się skryłam, niezależnie od tego, jak daleko uciekłam – pradawny Bóg wiedział. Przyłgął do mnie jak plama, której nie można się pozbyć. Nawiedzał mnie w snach. Zaciskające się macki. Niekończąca się ciemność. Wizje niemożliwych rzeczy, pokręconego, nierealnego świata.

Bóg panował nad Libiri, a Libiri mieli w garści Abelaum. Byli jak rozrastające się szeroko korzenie, duszące wszystko, co im stanie na drodze. Zdobywali nowych wyznawców, szeptał i zachęcał. Potrafili przyciągnąć uwagę dociekliwych umysłów, a bojaźliwym dodawali otuchy. Istota z głębin patrzy. Istota z głębin jest miłosierna. Istota z głębin powstanie.

Złożyć ofiary. Uwolnić Boga. Być lojalnym sługą, kiedy ludzkość upadnie pod panowaniem starożytnego bóstwa.

Marcus był pierwszy. Miały zostać złożone jeszcze dwie ofiary. Dwie kolejne tragedie. Nie pozwolę im wygrać. Nie pozwolę im sprawić, że te pokręcone wizje, które nawiedzają mnie w koszmarach sennych, staną się rzeczywistością.

Próbowaliłożyć mnie w ofierze, ale im się to nie udało. To przez nich zostało ze mnie tylko tyle – stałam się cieniem ich podłości, echem bólu, burzą, którą sami stworzyli.

Burzą, która ich zniszczy, nawet jeśli po drodze będzie musiała zniszczyć też samą siebie.

Juniper

Biegłam w ciemności, płuca mnie paliły, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Poszarpane rany na mojej klatce piersiowej nadal krwawiły, cała byłam pokryta błotem. Suche gałązki i kamienie raniły moje gołe stopy, gałęzie smagały mnie po twarzy. Nie wiedziałam, gdzie jestem ani dokąd zmierzam. Lasy były bezkresne, a ciemność tak nieprzenikniona, że mój wzrok nie sięgał dalej niż jakiś metr przede mną.

Zdołałam wyczołgać się z kopalni. Wyrwałam sobie paznokcie, próbując utrzymać się na błotnistych oślizgłych ścianach szybu. Zdarłam gardło, wzywając pomocy.

To nie był koszmar senny. To wszystko było zbyt realne.

Zatrzymałam się, chwiejąc się na obolałych nogach. Noc wydawała mi się pełna niewyraźnych kształtów, mój przerażony umysł dostrzegał w mroku nieistniejące widma. Jednak błyszcząca w ciemności przede mną para złotych oczu była prawdziwa.

Zastygłam w bezruchu, sparaliżowana strachem. Nie wiedziałam, co to jest, ale wiedziałam, że to nie człowiek.

Polowanie trwało.

Minęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni postawiłam stopę w lasach okalających Abelaum. Bogaty zapach wilgotnej gliny z odrobiną pleśni i ostra woń sosen wystarczyły, żebym poczuła ucisk w klatce piersiowej, przez który nie mogłam złapać tchu. Stałam na skraju lasu, wpatrując się w mrok, i z całego serca pragnęłam pobiec w przeciwnym kierunku. Ten

impuls zawładnął całym moim umysłem, wyrwał mi się rozpaczliwy krzyk, którego nie potrafiłam stłumić, a moje ręce i nogi drżały w przeczuciu niebezpieczeństwa.

Czekałam, wsłuchując się w wiatr szepczący między konarami górujących nade mną drzew. Nasłuchiwałam, czy nie odezwie się nawołujący mnie głos. Czekałam na zimny dreszcz pełznący w górę mojego kręgosłupa, który czułam, kiedy On kierował na mnie swój wzrok. Istota z głębin była uwięziona pod ziemią, ale Jej wpływy sięgały o wiele dalej – jak sieć korzeni, która coraz bardziej się rozrasta, zachłanna i głodna.

Jednak las, przynajmniej dzisiejszej nocy, milczał.

Byłam zupełnie trzeźwa. To dzisiaj zawrę umowę. Teraz już wiedziałam, że nie chodzi tylko o moją duszę. Seks, władza, dominacja – ten demon grał w jakąś sadomasochistyczną grę, w której przypadła mi rola zarówno nagrody, jak i pionka. Skoro właśnie tego chciał, skoro miało mi to zapewnić jego pomoc – niech i tak będzie.

Brzydziłam się sama sobą, a jednak nie dało się ukryć, że demon niesamowicie mnie pociągał. Świetnie się przy nim bawiłam, a przecież powinnam być przerażona. Jednak doskonale pamiętałam, jakie to uczucie mieć go w sobie, doskonale pamiętałam jego smak. Moje zdradzieckie ciało pragnęło bólu, którego z nim doświadczyło, rozkosznej udręki bycia zniewoloną przez demona.

Odetchnęłam głęboko i zanurzyłam się w mrok lasu. Serce boleśnie objało mi się o żebra. Czułam, że się duszę, ale to nie był tylko strach. To było podekscytowanie. Perwersyjny dreszczyk podniecenia. Radosne oczekiwanie.

Żądza i pożądanie oraz – dziwna sprawa – nadzieja.

Przez lata zmagalam się z różnymi przeciwnościami, żeby przetrwać. Nauczyłam się, jak zrobić z siebie żywą broń. Wkrótce jednak będę miała

do dyspozycji nową broń. Wreszcie będę mogła stanąć do walki z moimi wrogami jak równy z równym.

Demon nie udzielił mi szczegółowych wskazówek. Im dłużej szłam – wyostrzone zmysły usiłowały wyłapać każdy niezwykle sygnał – tym bardziej niespokojna się stawałam. Każdy krok był okupiony wewnętrzną walką, toczyłam bitwę z własnymi myślami. Ciemność nie była bezpieczna, a ja od wielu lat wiedziałam, że kiedy zachodzi słońce, zaczyna się polowanie.

Jednak to polowanie było nieco inne. Tym razem chciałam być schwytana.

Deszcz stłumił wszystkie dźwięki oprócz niewyraźnego białego szumu. Trzymałam pistolet w gotowości, ponieważ oprócz depczącego mi po piętach demona w ciemności czaiły się również inne potwory, które chętnie by mnie dorwały. Poza tym, jeśli przez przypadek postrzelę Zane'a, bo zbyt szybko się do mnie podkradnie... dobrze mu to zrobi. Widziałam tę dziką radość w jego oczach, kiedy mówił o bólu i cierpieniu.

Dwa świry, które lubią ból – jeden śmiertelny i jeden nieśmiertelny. Ale będzie z nas para...

W górze zaszeleściły liście, a ja prawie wystrzeliłam z pistoletu, kiedy jakiś ptak, trzepocząc skrzydłami o sosnowe igły, strącił z gałęzi napęczniałe krople wody. Zakląłam pod nosem, ocierając twarz. Skierowałam latarkę na znajdujące się w pobliżu gęste krzaki jeżyn, jednak snop światła nie mógł przebić się przez ciemność.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Nie byłam sama.

– Biedna mała wilczyca... Zrobiliśmy się trochę nerwowi, co?

Błyskawicznie się odwróciłam i wycelowałam w niego. Ale zobaczyłam tylko pustą ciemność. Zacisnęłam zęby, próbując uspokoić rozszalałe serce.

– Nie igraj, kurwa, ze mną – wymamrotałam gniewnie.

Jego śmiech odbił się echem wśród drzew. Rozbrzmiewał wszędzie wokół mnie, a potem dobiegł mnie głos, który zdawał się szeptać mi prosto do ucha:

– Och, Juniper, dokładnie to zamierzam robić, poigrać trochę z tobą. Właśnie dostałem nową maskotkę; byłoby marnotrawstwem się z nią nie pobawić.

Nie odwróciłam się. I tak by go tam nie było. Opuściłam broń i zmusiłam się, żeby wsunąć ją z powrotem do kabury, choć aż swędziały mnie ręce, żeby nacisnąć na spust. Ponownie rozległ się śmiech, a ja kątem oka dostrzegłam płomienne oczy rozbłyskujące w mroku.

– Nie mów, że ta mała wilczyca zamierza mnie ugryźć...?

Powoli odwróciłam głowę. Zane stał między drzewami, z jego ciała buchał taki żar, że deszcz zamieniał się w parę, zanim dotknął jego skóry. Jedną ręką opierał się o stojący obok cedr, a kiedy ruszył w moją stronę, przeorał pazurami drewno, zostawiając głębokie dziury w korze. Nie ruszyłam się ani o milimetr, kiedy on nagle przyspieszył, przemieszczając się w moim kierunku, tak że przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że zniknął. Kiedy ponownie się pojawił, stał nade mną, ogromną ręką obejmując mnie za gardło, aż pazury zagłębiały się w moją skórę.

– Jesteś gotowa, Juniper? Gotowa na pakt przypieczętowany krwią?

Zdecydowanie pokiwałam głową, próbując nie gapić się na jego znajdujące się tak blisko mojej twarzy zęby, co zupełnie mi się nie udało. Miał budzące grozę kły, stworzone do rozrywania na strzępy żywego ciała. Zęby drapieżnika. Zmusiłam się, żeby ponownie spojrzeć mu w oczy, i powiedziałam:

– Najpierw warunki. Powiedz mi, jakie są warunki.

Wiedziałam, że demony mogą przeinaczyć twoje słowa. Zawieranie z nimi układów było ryzykowne, ponieważ robiły wszystko, żeby nie

wywiązać się ze swoich zobowiązań. Nagle przyszło mi do głowy, że powinnam się tu pojawić lepiej przygotowana. Mogłam to wszystko spisać. Gdyby mnie było stać na prawnika, poprosiłabym o sporządzenie takiej umowy. Oczywiście o ile znalazłabym prawnika, który nie uznałby, że całkowicie postradałam zmysły.

Jednak byłam tu tylko ja, moje niepewne słowa oraz uśmiechający się do mnie z góry demon.

– W porządku – zgodził się, nie dając mi ani centymetra wolnej przestrzeni, żeby odetchnąć. Dzisiejszej nocy był dziki, porzucił ostatnie pozory bycia człowiekiem. Spoglądał na mnie z żądzą, z nieopanowanym pożądaniem. – Oferuję ci swoją pomoc, w każdej formie, w jakiej będę w stanie ci jej udzielić, w zniszczeniu sekty Libiri. Zobowiązuję się, że nie zakończę twojego śmiertelnego życia. Zobowiązuję się również, że nie wyrządę ci krzywdy, poza krzywdą, której sama będziesz chciała.

Zastanawiałam się nad każdym słowem. Próbowałam znaleźć możliwe furtki, przez które będzie mi później próbował umknąć, jednak nie mogłam się skupić, gdy otulał mnie jego zapach, gdy był tak niebezpiecznie blisko. Jak mogłam myśleć jasno, kiedy trzymał mnie za gardło i przyciskał do mnie ciało?

– Jednym z warunków paktu jest zobowiązanie, że mnie nie zabijesz? Ty tak serio?

– To formalność – powiedział cicho. – Ale chyba jest ci na rękę.

– A kolejnym, że mnie nie skrzywdzisz, chyba że sama będę chciała? O co, do diabła, w tym chodzi?

Uśmiechnął się szeroko, prezentując komplet ostrych zębów.

– Dobrze wiesz, o co w tym chodzi. Powiedzmy, że to coś w rodzaju hasła bezpieczeństwa. Nie zrobię ci krzywdy, jeśli nie będziesz tego chciała.

W głowie kłębiły mi się różne myśli, ale cóż mogłam na to poradzić? W końcu miałam oddać swoją duszę. Kiedy dobijemy targu, nie będzie już odwrotu. Serce kołatało mi się w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć i uciec – uciec z tego lasu, z tego miasteczka, z tego stanu. Uciekać i uciekać, tak jak to robiłam od lat.

Jednak to się nigdy nie skończy, jeśli przez cały czas będę uciekać.

– A co w zamian? – Zane’owi rozszerzyły się oczy. – Co mnie możesz zaoferować, mała wilczyco?

– Swoją duszę – odparłam. Następnie wydusiłam z obrzydzeniem przez zaciśnięte zęby: – Oraz ciało. Będziesz mógł ze mną robić, co tylko będziesz chciał, pod warunkiem że mnie nie skrzywdzisz... bardziej, niż będę tego chciała.

Zacisnął zęby, a ja z trudem stłumiłam jęk, który chciał mi się wyrwać.

– Mogłabyś również dodać, że mnie nie zabijesz?

– Nie. Tego ci nie obiecuję.

Mruknął z dezaprobatą, kręcąc głową.

– Ojoj, robi się niebezpiecznie... Nigdy nie będę pewny, czy nie spróbujesz mnie zamordować w chwili, gdy najmniej będę się tego spodziewał. – Udał, że drży. – Czuję dreszczyk emocji...!

Próbowałam nie patrzeć w dół, ale trudno było nie zauważyć wybrzuszenia na jego dzinsach, szczególnie że było do mnie przyciśnięte.

– Jesteś chorym skurwielem.

– Właśnie w tym tkwi sekret dobrej zabawy: w chorym skurwysyństwie. Tylko czekaj, aż znajdziesz się w Piekło. Są tam całe miasta zbudowane wokół koncepcji maksymalizowania wszystkiego, co chore i skurwysyńskie. – Zachichotał, a ja miałam wrażenie, że umyka mi jakiś żart. Prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie byłam w Piekło.

Nigdy nie widziałam jego Piekła. Za to dobrze poznałam własne Piekło.

– Więc... – Jeszcze bardziej się zbliżył, jego usta znajdowały się zaledwie milimetry od mojej skóry. – Jesteś gotowa na upuszczenie krwi?

Na samą myśl o tym rozbolał mnie żołądek, a ręce drżałyby jak szalone, gdybym nie zacisnęła ich w pięści. Emocje splatały mi się w coraz bardziej zaciskający się węzeł. Z całych sił walczyłam, aby uratować duszę, a teraz... teraz po prostu ją oddawałam, jakby była środkiem płatniczym, który można wymienić na coś innego.

Jednak bywałam już w gorszych tarapatach. Nie mogłam się teraz wycofać.

– Jak to zrobimy?

– Demony zawierają układy przypieczętowane krwią – oznajmił, odsuwając rękę z mojego gardła. Odetchnęłam, powoli i spokojnie. – Jesteś taką odważną małą wilczycą. Zastanawiam się, czy będziesz płakać, kiedy ci upuszczę trochę krwi.

– Nie miałbyś nic przeciwko, co? – zadrwiłam. Sięgnęłam po nóż schowany w przymocowanej na udzie pochwie i wyjęłam go. – No dobrze. Gdzie mam...

– Odłóż tę swoją zabaweczkę – powiedział, a jego głos był teraz głębszy, tak jak kiedy go po raz pierwszy usłyszałam w tym lesie; rozbrzmiewał wokół nas, pozornie wypełniając sobą całą przestrzeń. Demon cofnął się, podniósł szponiastą rękę, a powietrze zadrgało między jego palcami jak nad rozgrzaną jezdnią w lecie. Z mglistego blasku powoli sformowało się ostrze, wąskie i opalizujące, gładkie jak szkło. Gwałtownie zamrugałam oczami, przekonana, że mam jakieś omamy.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko na widok szoku malującego się na mojej twarzy.

– No co? Nigdy nie widziałaś ostrza stworzonego z eteru?

– Nawet nie wiem, co to, do cholery, jest.

– To ta sama materia, na którą wpływam, kiedy robię to... – Poczułam coś na plecach, jakby ktoś przebierał po nich palcami, choć przecież nikt mnie nie dotykał. Niewidzialne palce przesunęły się w górę po mojej szyi i zmierzwiły mi włosy; odczucie było tak realistyczne, że aż się wzdrygnęłam i dotknęłam głowy z tyłu.

– Niektórzy nazywają go piątym elementem – wyjaśnił. – Trzeba praktyki, żeby uformować z niego ciało stałe. Praktyki, kilku stuleci oraz kilkudziesięciu dusz zdobytych dla Piekła. Najwyraźniej mam talent.

Nie tylko talent, ale i ogromne ego. Jednak w ręce miał nóż, więc darowałam sobie wywrócenie oczami.

– Co teraz? Skaleczysz mnie i już z głowy?

Zrobił krok w moją stronę, a ja – machinalnie, instynktownie – zrobiłam krok w tył. Zatrzymał się, spojrzał na mnie zwężonymi oczami i wyciągnął ostrze w moim kierunku. Wsunął mi pod brodę jego koniuszek, powierzchnia narzędzia była ostra jak lód, czułam delikatne mrowienie na skórze. Wokół ostrza unosiła się blada poświata, widoczna nawet w ciemności pod drzewami.

– Nigdzie mi się nie spieszy, Juniper.

Proste zdanie, a moje ciało przeszył dreszcz.

– Twoja dusza już została wcześniej ofiarowana – powiedział, wpatrując się w moją klatkę piersiową, jakby przez koszulkę widział blizny. – Co prawda tamten rytuał odbył się wbrew twojej woli, ale metoda jest mniej więcej taka sama, niezależnie od tego, czy ofiarę składa się Bogu, czy demonowi. Tyle że skoro wtedy nie robiłaś tego z własnej woli, Bóg musiałby cię dorwać w swoje szpony, żebyś należała do niego. Ale dzisiaj nikt cię nie zmusza. – Nasze oczy się spotkały, a nieposkromiona żądza w jego spojrzeniu wręcz mnie przeszyła. – Przelejesz dla mnie krew. Oznaczysz swoje ciało moim imieniem. I wtedy to się stanie.

– Mam to zrobić sama? – Próbowałam nie zerkać na lśniące przy moim gardle ostrze. Byłam na siebie zła, bo żołądek mi się ścisnął na ten widok i powoli ogarniała mnie panika. Mój umysł krzyczał na wspomnienie innego noża, innego czasu.

– Boisz się? – Jego głos był teraz bardziej miękki, prawie czuły. Czemu, do cholery, miałby się przejmować moim strachem?

– Nie boję się. – Z trudem przełknęłam ślinę. – To nie jest strach.

Nie, to nie był strach. To był ściśnięty żołądek, płuca pełne lodowatego powietrza, drżące ręce i wirowanie w głowie. To była bitwa, którą toczyłam w ciszy, wojna przeciwko mojemu własnemu umysłowi. Nie mogłam się teraz wycofać, musiałam stawić temu czoła.

– Nie chcesz tego kontrolować? – Zane cofnął się i błyskawicznym ruchem przerzucił nóż uchwytem w moją stronę. Przyglądał mi się z zaciekawieniem, jakbym była zagadką, której nie potrafi rozwiązać. – Jeśli nie chcesz, nie musisz tego robić sama.

– W takim razie ty to zrób – odparłam szybko. – Ja nie mogę. Mój umysł mi na to nie pozwoli, to... – Musiałam przerwać, głos mi się trząsnął. Tylko nie teraz. Weź się w garść. – ...te złe wspomnienia.

– Mmmm, rozumiem. – Zaczął się powoli przechadzać, podzuczając nóż. Raz łapał go za ostrze, raz za rączkę, i tak w kółko. – Mogę to za ciebie zrobić, jeśli tego właśnie chcesz. Tylko czy wytrzymasz?

Utkwiłam wzrok w ostrzu, ale tak naprawdę go nie widziałam. Zamiast tego miałam przed oczami własną krew. Słyszałam, jak krzyczę z bólu. Wokół siebie widziałam stare belki kościoła. Czułam zapach dymu i kurzu. Nadal wyczuwałam zimną obojętność tych wszystkich ludzi, którzy w milczeniu przypatrywali się mojemu cierpieniu.

Kręciło mi się w głowie. Wbiłam paznokcie w dłoń, żeby nie zemdleć. Nagle poczułam, że bijący od Zane'a żar zbliża się do moich pleców,

poczułam na karku jego oddech.

– Zjawiłaś się tu z własnej woli, Juniper – powiedział. – A jednak głowę masz pełną wspomnień, których nie potrafisz się pozbyć.

Miał rację. Czułam się, jakby wciągał mnie coraz głębiej jakiś wir, z którego nie potrafiłam się wyrwać. Zacisnęłam powieki, ale to nie pomogło. Z całej siły napięłam ciało, skupiając się po kolei na każdym mięśniu i bezustannie przypominając sobie, gdzie jestem. Napnij się mocno, wytrzymaj. Rozluźnij po jednym mięśniu naraz.

Jednak nie potrafiłam uciec od wspomnień. Nie potrafiłam się ukryć. Nie potrafiłam wymazać z pamięci widoku noża raniącego moją skórę i płynącej krwi...

Poczułam dreszcz przesuwany się po karku, a następnie wzdłuż kręgosłupa. Przywołał mnie do rzeczywistości tak zniecka, że aż wyrwał mi się cichy krzyk i gwałtownie otworzyłam oczy. Znowu słyszałam wiatr szumiący w koronach drzew i dźwięk padającego deszczu. Jego chłodne krople były prawdziwym błogosławieństwem na mojej rozpalonej skóry.

– Pozwól, że pomogę ci pokonać twojego pierwszego wroga, mała wilczyco.

Juniper

– Żałujesz czegoś, kiedy dopadają cię te wspomnienia?

Skinęłam głową. Było mi tak zimno, że z moich ust wydobywały się obłoczki pary. Zane stał za mną bez ruchu, czułam na plecach bijący od niego żar, a jakaś głupiutka część mnie pragnęła się do niego przytulić. Zatrącenie się we wspomnieniach było wyczerpujące, jakby każde z tych ciężkich, bolesnych uderzeń serca zabierało mi po trochu energii, aż nie zostało nic.

– Żałuję, że nie uciekłam – przyznałam. – Żałuję, że nie walczyłam bardziej zażarcie. Boże, ja... – Ugryzłam się w język. Musiałam. Wiedziałam, że nie warto tak się wywnętrzać. Demon taki jak on w odpowiednim momencie użyje tych informacji przeciwko mnie. Lepiej dać sobie spokój ze zwierzeniami. – Oczywiście, że czuję żal.

Okrążył mnie i stanął przede mną. Nóż zniknął z jego ręki, po prostu rozpląnął się w powietrzu, a ja przez chwilę byłam przerażona, że zmienił zdanie. Zaraz mnie odtrąci, zaraz zrezygnuje z paktu, i co ja, do cholery, wtedy zrobię?

Jednak on zapytał:

– Czy poczułabyś się spokojniejsza, gdybyś tym razem uciekła? Gdybyś walczyła? Czy poczułabyś się lepiej, gdybym wziął siłą to, co chcesz mi dobrowolnie zaproponować? Jeśli teraz uciekniesz, a ja cię złapię... – Wyciągnął rękę w moją stronę, a ja przygotowałam się na to, co miało nastąpić. Pazury przesunęły się lekko po moim gardle, wzdłuż nabrzmiąłych żył. – To będzie dokładnie to, czego pragniesz.

To nie miało żadnego sensu, pragnąć, żeby mnie pokonał, chcieć, żeby mnie wziął siłą. Jednak wiedziałam, co ma na myśli. Pragnęłam ostrego, perwersyjnego seksu na długo przed tym, zanim to zrozumiałam. Bycie zmuszaną do uległości przynosiło mi ulgę, pod warunkiem że był to mój wybór. W ten sposób próbowałam się pozbyć przerażających wspomnień i wymyślić je na nowo, tym razem po swojemu.

Może byłam bardziej rozbita psychicznie, niż sama przed sobą się do tego przyznawałam. Czasami jednak przetrwanie okazuje się być popieprzonym doświadczeniem, czasem człowiekowi jest potem trudno i czuje się złamany. Ten świat jest pełen dziwnych rzeczy, pełen bólu, strachu i podłości. Nauczyłam się, że również te rzeczy są częścią życia.

– Chcesz, żebym z tobą walczyła – powiedziałam. – Ale przecież wiesz, że wygrasz.

– Tak samo jak ty. Wiesz, jak potoczy się ta gra. Wiesz, jaka jest stawka. Wiesz, jak to się skończy. Teraz tkwisz w sieci nierozwiązanych spraw z przeszłości. Walczysz ze wspomnieniami o wiele bardziej zażarcie, niż będziesz walczyć ze mną.

Całkiem jakby chciał, żebym się czuła bezpieczna. Jakby chciał znaleźć sposób, żeby ta sytuacja stała się dla mnie bardziej komfortowa. Ale to przecież nie miało sensu.

– Nie robisz tego z dobroci serca – zauważyłam – tylko dla własnej korzyści.

– A czy moje motywy mają znaczenie? Oboje jesteśmy tutaj, bo tego chcemy. – Gdy spoglądał na mnie, jego źrenice się powiększyły: złoty kolor jego oczu był teraz zaledwie wąską obwódką wokół czarnej otchłani. – Oddanie swojej duszy jest formą zniszczenia. Rozrywasz samą siebie na kawałki, żeby zyskać coś nowego. Dlatego zdecydowałeś się to zrobić. Uwielbiam niszczyć, Juniper. Kiedy będziesz do mnie należeć, będę cię

niszczył, będę cię wciąż od nowa niszczył. Zniszczę twój ból... strach...
żał...

Jak mogłam zabić coś, co nie mogło krwawić, czego nie mogłam
uchwycić? Nie byłam w stanie zmierzyć się ze wspomnieniami, więc je
zakopałam.

Uśmiechnęłam się z goryczą.

– Wiesz, że nie możesz mnie naprawić.

Potrząsnął głową, wynurzając się z mroku drzew.

– Naprawić cię? Ach, mała wilczyco, absolutnie nie mam takiego
zamiaru. Ja chcę tylko zobaczyć, jak rozbite kawałki twojego serca lśnią.
Chcę poczuć, jak ostre się stały. – Teraz okrywał go mrok – widziałam
tylko jego oczy i wyszczerzone w szerokim uśmiechu ostre zęby.

Powoli znów wyjęłam nóż z pochwy. Nie ufałam Zane'owi; sam ten
pomysł był absurdalny. A jednak nadal tu byłam. Nadal chciałam mu oddać
duszę. Czy to dowód mojego zaufania?

– Nie potrafię udawać, że walczę. Jeśli powiesz mi, żeby walczyć,
zrobię to naprawdę.

– Mam nadzieję. Chcę zobaczyć, jak moja mała wilczyca gryzie.

Od lat byłam sama. Przez cały ten czas ani razu się nie zdarzyło, żeby
ktoś wskazał na moją obolałą, poranioną duszę i powiedział: „Ta należy do
mnie. Tej właśnie chcę”. Budziłam zainteresowanie jedynie Bogów
i potworów, od których zawsze uciekałam.

Ale ten potwór był inny. Był dziwny. Nie mogłam od niego uciec,
ponieważ wcale tego nie chciałam.

I właśnie dlatego puściłam się biegiem.

Kiedy zaczęłam biec, coś we mnie pękło i ogarnęła mnie panika.

Opanowała całe moje ciało, każdy jego kawałek. Chwyliła moje mięśnie i ścisnęła je, jakby zanurzając w niej swoje okrutne palce, których nie mogłam z siebie strząsnąć, choć sprawiały mi ból. Umieściła kowadło w moich płucach, więc każdy mój oddech był zbyt płytki, brakowało mi tlenu. Moja głowa była zimna; zimna i lekka jak balonik, który zaraz pęknie.

Panika to dziwna rzecz, kiedy odczuwasz ją od tak dawna. Nigdy nie staje się normalnością, ale zaczyna się wydawać znajoma. Staje się niezbyt lubianym znajomym, z którym chciałoby się nie mieć już nic wspólnego, ale z drugiej strony jego długa nieobecność budzi niepokój. To byłoby podejrzane, gdybym nagle nie odczuwała paniki. Mogłoby to oznaczać, że za bardzo się odsłoniłam, że poczułam się zbyt bezpiecznie.

Dzięki panice byłam bezpieczna, wściekła i nie traciłam ducha walki.

To nie Zane'a się bałam. To nie pakt, o który zresztą sama poprosiłam, napęniał mnie czystym przerażeniem. To były haki w moim ciele, które wlekły mnie w kierunku przeszłości, z powrotem do miejsca, gdzie nie miałam ani władzy nad swoim losem, ani wyboru...

Trzęsąc się z wycieńczenia, ponownie wymacałam punkt zaczepienia na pokrytej błotem ścianie szybu i ze szlochem spróbowałam się podciągnąć. Jednak ramiona tak bardzo mi drżały, że ześlizgnęłam się na dół. W ciemność.

Nie byłam tutaj sama. Nie powinno tu być żadnego życia, żadnego dźwięku, żadnego ruchu... Ale ja słyszałam ich chrapliwy oddech, ich pomruki. W ciemności przemykały ich niezgrabne sylwetki, powoli mnie otaczając. Mocno objęłam ramionami krwawiącą pierś, gwałtownie dygocząc i szeptając do siebie: Nie. Nie, nie... nie...

Miały białe oczy w przypominających czaszki głowach, czarne języki oraz ostre kły, z których na mój widok wpływała szara obrzydliwa ślina. W

jeszcze głębszym mroku czaiły się istoty blade jak sam księżyc, o skórze tak przezroczystej, że można było przez nią dostrzec pulsujące czerwone błony ich wnętrzości.

Przerazający głos wołał mnie po imieniu. Wzywał mnie głębiej w ciemność.

Zatrzymałam się. Przyłgnęłam plecami do grubego pnia drzewa i tarłam pięścią o szorstką korę, aż skóra zaczęła mnie palić. Musiałam sobie przypomnieć, że to nie to samo. Byłam tutaj z własnego wyboru. Miałam wrażenie, że mój umysł rozpadł się na dwie części; jedna walczyła o to, aby pozostać tu i teraz, a druga robiła, co mogła, żeby mnie ponownie otumanić wspomnieniami.

Chciałam tego. Potrzebowałam tego. Pobiełam.

Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Przede mną rozciągał się bezkresny las. Nie było żadnego szlaku czy ścieżki, którymi mogłabym podążyć. Paprocie smagały mnie po nogach, kiedy biegłam, a gałęzie drapały mi twarz. Nie miałam pojęcia, dokąd zmierzam.

Deszcz przerodził się w ulewę, a ja znowu stanęłam, próbując złapać oddech, a jednocześnie dojrzeć coś w ciemności. Uciekałam przed kimś, kto mógł z łatwością mnie wywęszyć, był o wiele szybszy i słyszał bicie mojego serca. Nie miałam się gdzie ukryć. Nie miałam szans uciec.

Choć przecież nie musiałam uciekać, nie wolno mi o tym zapominać. Tym razem nie było nic złego w byciu złapaną.

Adrenalina nie odróżniała tej sytuacji od prawdziwego niebezpieczeństwa. Chciałam zawrzeć układ z demonem, choć nie miałam pojęcia, czy mogę mu ufać. Każde jego słowo mogło być kłamstwem. Może miałam umrzeć w tym lesie. Może właśnie po raz ostatni nabierałam powietrza do płuc.

Jednak w głębi duszy wiedziałam, że tak nie jest. Z jakiegoś powodu, pomimo paralizującego strachu i dręczących wspomnień, wiedziałam, że Zane nie zamierza mnie zabić. Chciał mnie tylko złapać. I zranić. I dopilnować, żebym stała się jego własnością.

Nie wiem dlaczego, ale ta myśl wydawała mi się ekscytująca.

A jeśli mam być szczerą i odważnie zaglądać nawet do najmroczniejszych zakątków swojej duszy – ta myśl mnie podnieciła.

Wspięłam się na przewróconą sosnę i ześlizgnęłam się po znajdującym się za nią niewielkim zboczem, kuląc się tuż przy ziemi, z której sterczały wbijające mi się w plecy konary i próbując oddychać powoli i głęboko. Zawsze być o krok przed przeciwnikiem. Nie tracić czujności. Być gotową zabić. Demon chce, żebym z nim walczyła, więc to, kurwa, zrobię. Chce osiąść moją duszę, ale ja nie mam zamiaru mu to ułatwić.

Trzask.

Zastygłam w bezruchu. Powolny wdech, policzyć do dziesięciu. Powolny wydech, policzyć do dziesięciu. Spojrzeć w górę.

Z góry patrzyły na mnie złote oczy; demon uśmiechał się szeroko, prezentując komplet ostrych zębów.

– Witaj, mała wilczyco.

Zaatakowałam go nożem, jednocześnie rzucając się w bok, żeby mu umknąć. Zraniłam go, ale nie było czasu na upajanie się sukcesem. Odzyskałam równowagę; po trochu biegnąc, a po trochu ślizgając się, ruszyłam w dół coraz bardziej stromym zboczem, co chwila potykając się o pnącza i wystające korzenie. Gdzieś w pobliżu był wąwóz. Zauważyłam go, kiedy szłam na spotkanie. Jednak teraz było ciemno choć oko wykol, a ja w czasie pospiesznej ucieczki straciłam orientację w terenie.

W rezultacie znalazłam wąwóz, po prostu w niego wpadając.

Zaliczyłam twarde lądowanie w błocie, przez moment nie mogłam złapać tchu. Przewróciłam się na plecy, z trudem oddychając, a moje ciało obmywała płynąca tu woda. Musiałam wstać, musiałam uciekać. Nade mną rozległ się stłumiony śmiech Zane'a, gałązki skrzypiały pod jego stopami, gdy przechadzał się tuż poza zasięgiem mojego wzroku.

– Ajajaj, mała wilczyco...! Pomyśl, zanim popędzisz przed siebie. A teraz nie panikuj.

Zerwałam się na równe nogi, jednak kiedy spojrzałam na krawędź wąwozu, nie dostrzegłam tam Zane'a. Błyskawicznie się odwróciłam, przeszukując wzrokiem las oraz drugą stronę wąwozu. Nic. Podniosłam nóż, aby być w gotowości; głowę miałam lekką od nadmiaru substancji chemicznych, które właśnie trafiły do mojego krwiobiegu.

Jedną ręką chwycił mnie od tyłu za gardło, a drugą złapał za nadgarstek ręki, w której trzymałam nóż. Odrzuciłam do tyłu głowę, uderzając go w twarz, ale równie dobrze mogłabym walnąć w mur z cegły. Pod wpływem uderzenia zakręciło mi się w głowie, przez moment miałam mroczki przed oczami, a potem otaczający mnie las zniknął.

Długi ciemny korytarz kopalni. Szare światło. Kapiąca z góry woda. Wylaniające się z mroku macki, pełznące w moim kierunku...

– Hej, hej, ocknij się, do cholery!

Uderzył mnie w policzek, wrywając mnie z koszmarów, które niecierpliwie czyhały na mnie na granicy świadomości. Pchnął mnie, a ja oparłam się o ścianę wąwozu i odwróciłam w jego stronę.

– Nie pozwól Mu sobą zawładnąć. On wykorzysta każdą chwilę twojej słabości, jeśli mu na to pozwolisz. Odbierze ci przyjemność, ból, życie. Nie pozwól Mu na to.

Gwałtownie zamrugałam oczami, trzymając nóż w gotowości – przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe, biorąc pod uwagę, że czułam

się, jakby właśnie wyrwano mnie ze snu.

– Skąd... skąd ty to wiesz?

Zadrżał, jakby próbował opanować pokusę, by znowu mnie chwycić za gardło. Zamiast tego zaczął chodzić w tę i w tę, przez cały czas zaciskając i rozluźniając pięści.

– Powiedzmy, że Bogowie i demony nie najlepiej się ze sobą dogadują.

– Obnażył zęby, a z głębi gardła wydobył mu się groźny pomruk, zanim stwierdził z zawziętością: – On nie ma prawa odciągać cię ode mnie, Juniper. Bogowie są zazdrośni, ale ja też taki jestem. Tylko ja mam prawo cię dręczyć.

Rzucił się w moją stronę, a ja chlasnęłam go nożem. W szramie ciągnącej się od ust do policzka, tuż obok oka, zaczęła się gromadzić krew, która następnie pociekła mu po policzku. Zaczęłam się powoli wycofywać, a tymczasem on podniósł rękę i dotknął rany, po czym z zaciekawieniem przyjrzał się zakrwawionym palcom.

– Wygląda na to, że mała wilczyca potrafi kąsać – zachichotał. – To dobrze. To bardzo dobrze, Juniper. Cholera, przez ciebie mi stanął.

Niepotrzebnie spoglądałam w dół. Niepotrzebnie byłam taka ciekawska. A przede wszystkim zupełnie niepotrzebnie zrobiło mi się tak gorąco na widok nienaturalnie, wręcz przerażająco wielkiego kutasa napierającego na spodnie. Coś się niespokojnie poruszyło w moim brzuchu, jakby zagnieździł się tam wąż z zębami ociekającymi pożądaniem.

Nie powinien budzić mojego pożądania. Nie on. Nie potwór.

Rzuciłam się do ucieczki. Nie miałam pojęcia, jak blisko mnie jest, nie miałam czasu o tym myśleć. Potraktowałam wystający z ziemi głaz jak trampolinę, wylądowałam twardo po drugiej stronie wąwozu i natychmiast zaczęłam się wspinać w górę. Nie oglądaj się, nie zatrzymuj się. Uciekaj, uciekaj...

Jednak on mnie wyprzedził. Uderzyłam w niego z taką siłą, że przewróciłam się na tyłek, tyle że tym razem on nie pozwolił mi wstać. Przyparł mnie do ziemi, a ja szarpałam się jak szalona, próbując gdziekolwiek ugodzić go nożem. Ze śmiechem złapał mnie za ręce, po czym otarł się o mnie biodrami. Przycisnął do mnie twardego i grubego kutasa, od którego dzieliła mnie zaledwie cienka warstwa naszych ubrań. Gorąco rozprzestrzeniało się po całym moim ciele, lokując się wreszcie zdradziecko między nogami. Zane uśmiechnął się, a krew ze zranionej wargi dostała mu się do ust i zabarwiła na czerwono ostre zęby.

– Co teraz, Juniper? Mam ci pozwolić jeszcze uciekać? – Użył kolana, żeby unieruchomić mój nadgarstek, a wolną ręką złapał mnie za twarz i ścisnął. – Otwórz usta, mała wilczyco. Skosztuj krwi, którą przelałaś.

Pod wpływem jakiegoś szaleństwa posłusznie otworzyłam usta, a on wsunął w nie zakrwawione palce. Krew miała smak ostry jak żelazo, ale jednocześnie dziwnie słodki, aż moje ciało przeszył dreszcz.

– Więcej – szepnęłam, a on poruszył brwią, nieznacznie się przesuając. Właśnie tego potrzebowałam. – Więcej! – Uwolniłam rękę i dźgnęłam go nożem. Nawet nie próbował zrobić uniku. Pozwolił, żeby ostrze przecięło mu na piersi koszulę i zostawiło czerwoną pręgę na jego wytatuowanym ciele.

Ja jednak nadal byłam unieruchomiona, z łatwością mógł znowu chwycić mnie za rękę.

– O kurwa, tak...! – jęknął przez zaciśnięte zęby i przytrzymał moją dłoń, żeby zlizać z noża krew. – Moja dziewczynka!

Napięłam się z całej siły, aż każdy mięsień mnie bolał.

– Nie... jestem... twoja...! – Wyrzucałam z siebie każde słowo jak przekleństwo, manewrując biodrami w ten sposób, żeby go z siebie zrzucić.

Puścił mnie i odskoczył do tyłu z nienaturalną prędkością, ale nie dlatego, że wygrałam tę walkę.

Po prostu chciał się ze mną pobawić trochę dłużej.

Niedbałym szarpnięciem pozbył się zniszczonej koszulki i rzucił ją na poszycie leśne, ściągając do tyłu ramiona. Jego pierś pokrywało arcydzieło sztuki tatuażu, detale czarno-białych obrazów budziły podziw. Linie i cienie, oszałamiająco realistyczne twarze, wszystko było zachwycające – szczególnie pokryte rozmazaną krwią.

Otworzył ramiona i posłał mi szelmowski uśmieszek.

– Więcej, mała wilczyco? Chcesz więcej? W takim razie sama musisz to sobie wziąć. Zrań mnie.

Ruszyłam na niego z całym impetem. Jakby moje życie od tego zależało. Jakbym miała szansę wygrać. Jednak, tak jak w niektórych snach, każdy mój ruch był zbyt wolny. Zane zrobił unik z taką łatwością, jak gdyby mój atak był dziecinną igraszką. Odskoczył na bok, potem znalazł się za mną i ze śmiechem mnie popchnął, tak że znowu padłam na kolana.

– No dalej, mała wilczyco...! Ugryź mocniej!

Mózg mi się gotował, ale nie ze strachu. To było jak uwolnienie wszystkich moich tłumionych lęków. Zwykle zmuszałam się, żeby nie krzyczeć, powstrzymywałam pragnienie, żeby walczyć, i dziką ochotę, żeby uciekać. Jednak nie dzisiaj. Tej nocy pozwoliłam sobie wyrwać się na wolność. Zasupłane wspomnienia, które tak mnie ograniczały, wreszcie się poluzowały.

Chce, żebym ugryzła mocniej? W takim razie, kurwa, zrobię to!

Kiedy ponownie znalazł się blisko mnie, zamachnęłam się i wbiłam mu nóż głęboko w bok. Przez jego twarz przemknął grymas bólu, a ja gwałtownie odskoczyłam, z trudem łapiąc oddech, zaszokowana, że w ogóle pozwolił mi się ugodzić.

– Tak, teraz naprawdę to poczułem... Kurwa, tak!

Byłam głupia, myśląc, że go zranię. Chwytał mnie za włosy i zmusił do pozostania na kolanach, podczas gdy on wyciągał nóż z rany. Spojrzał na niego z jękiem, ale to nie był jęk bólu, tylko rozkoszy. Z błyszczącymi w ciemności oczami podsunął ostrze do moich ust i syknął:

– To twoja sprawka... Częstuj się!

To chore, ale naprawdę miałam na to ochotę. To chore, ale na samą myśl o tym zrobiło mi się gorąco, a kiedy popatrzyłam na ranę, którą mu zadałam, poczułam się cholernie podniecona. Przesunęłam językiem po metalowym ostrzu, a on bacznie mi się przyglądał. Kiedy oblizałam usta i podniosłam na niego wzrok, zauważyłam, że mięsień w jego ramieniu drgnął.

– Jak smakuje? – chciał wiedzieć.

– Jak twój ból – odparłam. – I jest to cholernie dobry smak.

– Cholera, to moja dziewczyna!

Szarpnął mnie na bok, aż wylądowałam w błocie. Poluzował uścisk, ale tylko po to, żeby wcisnąć but między moje łopatki, zanim zdołałam się podnieść. Mocniej – jeszcze mocniej – dosłownie wgniótł mnie w ziemię. Uklęknął obok, nie zdejmując stopy z moich pleców, i z szerokim uśmiechem wpatrywał się we mnie, jak z policzkiem w błocie rzucam mu gniewne spojrzenia.

– Twardo walczyłaś, mała wilczyco – powiedział. Podłużna rana na jego policzku już się goiła, została po niej tylko cienka czerwona kreska. Po ranie w boku wkrótce również nie pozostanie nawet ślad. – Teraz moja kolej, żeby upuścić ci trochę krwi.

Zane

Gdy tylko się zorientowała, że walka dobiegła końca, natychmiast opadło z niej całe napięcie. Westchnęła pode mną, a krople deszczu lśniły na jej rzęsach jak klejnoty, kiedy podniosła na mnie wzrok. Nie było to pokorne spojrzenie – co to to nie! Jej ciemne oczy były twarde i dumne, nie było w nich ani odrobiny lęku, tylko spokój. Cisza po burzy, westchnienie ulgi, gdy to, co najgorsze, jest już za nami.

Na przestrzeni wieków polowałem na setki ludzi, co często kończyło się gorzkim rozczarowaniem, gdy nie potrafili sprostać moim wymaganiom. Wojownicy, mordercy, zbrodniarze, zabójcy ze wszystkich sfer społecznych – polowałem na nich, bo szukałem wyzwania. Nie chciałem ofiar, które się poddają, gdy nadal można walczyć.

Pragnąłem dusz ludzi, którzy budzą się rano i ruszają na wojnę z całym światem. Ludzi, którzy buntowali się przeciwko marności swojego krótkiego, pozbawionego znaczenia życia. Takie dusze zabierałem do Piekła, takie dusze stawały się moją własnością.

Juniper miała w sobie to wszystko. Gdy nad nią uklęknąłem, przeszył mnie prąd, a nawet nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz poczułem taki dreszcz poza granicami Piekła. Była walecznym, odważnym, dzikim małym stworzonkiem.

A z jakiegoś powodu, kiedy widziałem, że ogarnia ją ból, którego źródłem były wspomnienia, chciałem tylko ją od niego uwolnić.

To nie było częścią naszej umowy. Wcześniej opanowała mnie szalona zazdrość, kiedy zdałem sobie sprawę, że jej umysł nadal jest opleciony

mackami Boga. Jej dusza należała do mnie – do mnie. Nikt inny, żadne inne stworzenie nie miało prawa dręczyć duszy, która była moja.

Nigdy nie byłem typem zazdrośnika, ale dzięki temu zdobycie jej duszy będzie jeszcze bardziej satysfakcjonujące.

Rana w boku szczypała, kiedy się goiła. Chętnie bym spowolnił ten proces, choćby po to, żeby czuć ten dreszcz trochę dłużej. Kiedy mnie pchnęła nożem, kurwa, mało co, a bym od razu doszedł. Nie chciałem przestawać, naprawdę nie chciałem, ale jeśli się czegoś nauczyłem o tej walecznej kobiecie, to że prędzej całkowicie opadnie z sił, niż się podda. Dlatego to ja musiałem to zakończyć, a wyraz ulgi na jej twarzy sprawił, że w mojej piersi obudziło się jakieś dziwne uczucie.

Gładziłem ją przez chwilę po twarzy, nie mogąc się nadziwić, że jej chłodna od deszczu skóra jest taka miękka, po czym pochyliłem się nad nią i przyłożyłem nóż do jej szczęki.

– Ostatnia szansa – mruknąłem. – Nadal tego chcesz?

Nie odwróciła wzroku. Drgnęła, gdy chłodne ostrze dotknęło jej skóry, ale powiedziała:

– Mamy umowę, Zane. Zrób to. Weź mnie.

Niebezpieczne słowa w ustach tak kruchej istoty. Chciałem, żeby krzyczała; chciałem, żeby błagała. Tak dobrze sobie radziła z nożem, czy w takim samym stopniu poradzi sobie pod jego ostrzem? Czy będzie krwawić tak samo pięknie, jak walczyła?

Wyrzuciłem jej nóż. Równie dobrze mogłem go użyć, ale – cóż – może po prostu jestem cholernym snobem. Jednak stworzenie własnego ostrza, połączenie drżących, migotliwych smug eteru w piękne i śmiertelne narzędzie, było o wiele bardziej satysfakcjonujące niż posłużenie się kutym metalem.

Usiadłem okrakiem na jej plecach i przeciąłem ostrym nożem jej kurtkę, od kołnierza aż po sam dół. Gwałtownie nabrała tchu, kiedy krople deszczu spadły na jej nagie ciało, i natychmiast dostała gęsiej skórki. Zaczęła się wiercić, napierając na mnie biodrami. Jęknąłem, chwyciłem jej długie, mokre włosy i powiedziałem:

– Ruszaj tak biodrami, a zobaczysz, co się stanie. Ani się obejrzysz, a ten kutas będzie rznął twoją cipkę.

Ciężko dyszała, kiedy szarpnąłem ją za włosy, i ponownie – tym razem z rozmysłem – wygięła grzbiet i wcisnęła tyłek między moje nogi.

– Chcesz mnie przestraszyć czy też może... zachęcić? – wyszeptała, a ja prawie straciłem panowanie nad sobą.

Zerwałem z niej strzępy ubrania, zostawiając tylko czarny stanik. Obróciłem ją na plecy i uważnie przyjrzałem się bliznom na jej skórze. Słowa i symbole, runy będące zapisem od dawna martwego języka – dowód złożenia jej w ofierze pradawnemu Bogu. Próbowwała je ukryć za tatuażami, ale nie było to możliwe. Twarz jej stężała, kiedy zauważyła, że na nie patrzę.

– Są cholernie brzydkie – stwierdziła. Głos miała zachrypnięty, jakby wyduszenie z siebie tych słów przyszło jej z wielkim trudem. Przesunąłem pazurem w dół po jej klatce piersiowej, a ona znów wygięła grzbiet i syknęła.

– Każdy fragment twojego ciała to pokusa – powiedziałem, zbliżając twarz do jej piersi. Przesunąłem językiem wzdłuż jednej z jej blizn, podążając za nią w poprzek jej klatki piersiowej i rozkoszując się każdym centymetrem jej pięknego ciała.

Widziałem w jej oczach, kiedy jej umysł zbaczał na manowce, kiedy te wspomnienia oddalały ją od rzeczywistości i kradły cenne chwile jej krótkiego śmiertelnego życia. Trudno było się pogodzić z takim

marnotrawstwem, a poza tym doprowadzało mnie to do szoku – gdybym mógł wziąć na siebie ból schowany w tych starych bliznach, zrobiłbym to bez wahania.

Przeciąłem stanik, a przylegający materiał odskoczył, zostawiając ją obnażoną w zimnym deszczu, ze stojącymi sutkami. One też były wytatuowane, jak reszta jej ciała, każdy był ozdobiony Kwiatem Życia. Koniuszkiem noża trąciłem jej sutek, a potem drugi, następnie wziąłem do ust jeden z nich. Gwałtownie nabrała powietrza, gdy mój język drażnił nabrzmiały pączek, trącając go i wsysając, zanim leciutko go ugryzłem. Z drugą piersią zrobiłem dokładnie to samo, a dziewczyna pode mną zaczęła się więc i drżeć.

Przesunąłem się niżej, szarpnięciem rozpiąłem jej dżinsy i ściągnąłem z niej. Czekala mnie jednak niespodzianka – nie miała na sobie majtek. Podniosłem na nią wzrok, uśmiechając się szeroko i przesuwając pazurem po jej udzie.

– Bez majteczek, co? Czyżbyś próbowała zachęcić mnie, żebym cię zerznął?

Wstałem, pociągając ją za sobą. Jedną ręką trzymałem ją za włosy, w drugiej nadal miałem nóż. Zmusiłem ją, żeby przede mną uklękła, i przytrzymałem ją w tej pozycji, a ona podniosła swoją piękną twarzyczkę i spojrzała na mnie buntowniczo. Nigdy nie spotkałem tak demonicznej śmiertelniczki...! Powstrzymanie się przez zabawieniem się z nią tak ostro, jak miałem na to ochotę, było czystą torturą, ale za to zagrało idealnie z moim masochizmem, przypominającym o sobie za każdym razem, kiedy musiałem nad sobą zapanować.

– Przecież nie muszę tego robić, prawda? – odparła. – Nie sądzę, żebyś panował nad tym, co masz w spodniach, mam rację?

Parsknąłem śmiechem.

– Serio? Myślisz, że nie mam go pod kontrolą? – Delikatnie przesunąłem nożem po jej obojczyku. – Gdybym nie potrafił się opanować, nie miałabyś okazji cały czas pyskować. Twoje usta byłyby zajęte czymś zupełnie innym.

Ona też się roześmiała, ale jej śmiech był ostry, jakby podszyty strachem, a zarazem nieokiełznany, jakby pełen ekstazy.

– I to mówi demon...! Dużo gadasz, a nic nie...

– Tutaj cię naznaczę – powiedziałem, stukając nożem w jej klatkę piersiową i z satysfakcją przyglądając się, jak uśmiech znika jej z twarzy. – W tym miejscu, tuż pod tą piękną twarzą, żeby nikt nigdy nie patrzył na to ciało, nie zdając sobie sprawy, do kogo ono należy. Będzie bolało, Juniper. – Uśmiechnąłem się szeroko, a ona nerwowo przełknęła ślinę. – Nie odlatuj mi tu.

Naciąłem jej skórę. Wzdrygnęła się, ale nie wydała z siebie żadnego odgłosu. Zatrzepotała powiekami, po czym zamknęła oczy, nagle ogarnięta strachem, którego słodko-gorzki zapach wypełnił powietrze.

– Zostań ze mną, Juniper. Powtarzaj moje słowa. Pamiętaj, kim jesteś.

Gdybym na to pozwolił, bolesne wspomnienia natychmiast by ją pochłonęły, ale ja nie zamierzałem tracić jej nawet na cholerną sekundę. Wzięcie w posiadanie duszy było świętym rytuałem; nawet jeśli było brudne i pełne krwi. Chciałem, żeby uczestniczyła w tym całym sercem. Nie po to ją ścigałem przez te wszystkie lata, żeby w kulminacyjnym momencie odpłynęła.

Chciałem jej strachu, jej rozpaczliwego bólu, jej pełnego nienawiści pożądania. Widziałem to w jej oczach – walkę z podnieceniem, zakłopotanie i obrzydzenie, że pragnęła tego coraz bardziej. Cierpiała przez własną żądzę. Pograżyła się w całkowitym zepsuciu, pozwalając się porwać strumieniowi rozkoszy i bólu.

Akt dobrowolnego złożenia się w ofierze, mnie i tylko mnie. Oddanie własnej duszy, tak starożytne i pierwotne jak sama Ziemia. Ciało i krew, pożądanie i pragnienie. Libiri potraktowali ją jak owieczkę prowadzoną na rzeź, ale ona była wilczycą, a wilk nie pochyla przed nikim głowy, jeśli sam tego nie chce.

Otworzyła oczy. Chwyciła mnie za ramię tej ręki, którą trzymałem jej włosy, uniosła podbródek i zacisnęła zęby.

– Nie przestawaj. Chcę tego. Potrzebuję tego.

– Powtarzaj za mną, mała wilczyco. Bądź odważna. Ja, Juniper Kynes, oddaję swoją duszę...

– Ja, Juniper Kynes, oddaję swoją duszę...

– Na warunkach uzgodnionych między nami.

– Na warunkach... – Syknęła, kiedy nóż przesunął się niżej. – Na warunkach uzgodnionych między nami.

Naznaczałem ją swoim własnym znakiem, miała nosić na sobie moje imię. Wszystkie demony mają dwa imiona – to, którego używamy, komunikując się między sobą, oraz to, które odnosi się do naszego prawdziwego „ja”. Imię, za pomocą którego można nas wezwać i zmusić do służby, jest tym samym, którego stosujemy, obejmując w posiadanie dusze. Posiąść czyjąś duszę to powierzyć tej osobie najbardziej wrażliwą część samego siebie.

– Zawieram ten pakt z własnej woli.

– Zawieram... Zawie... O kurwa! – Znowu zamknęła oczy, bo z nacięć popłynęły strużki krwi. Byłem ostrożny, zagłębiałem nóż tylko na tyle, na ile to było konieczne, żeby zostały blizny. – Zawieram ten pakt z własnej, kurwa, woli.

Uśmiechnąłem się szeroko. Jeszcze tylko jedna linijka. Poczułem ciepło w sercu. Jej zapach był teraz mocniejszy, a umysł – bardziej otwarty. Kiedy

wyciągnąłem w jej stronę niewidzialną rękę i zacząłem delikatnie gładzić ją po plecach, wszystko stało się o wiele prostsze.

Teraz była nieodwracalnie ze mną związana.

Podpowiedziałem jej ostatnie słowa, przesuwając nóż w dół między jej piersiami, a ona powtórzyła:

– Wraz z tą przelaną krwią moja dusza staje się twoja, na zawsze, nawet kiedy moje ziemskie życie dobiegnie końca. Nikt inny nie może jej osiąść; tylko ty będziesz ją chronił i mógł nazywać swoją własnością.

Wzięcie w posiadanie duszy było czystą ekstazą. Słowa nie miały znaczenia, to krew i chęć zawarcia paktu były kluczowe dla rytuału. W ostatnim momencie, kiedy ukończyłem swój znak, dosłownie zabrakło mi powietrza w płucach. Ona cichutko westchnęła, zatapiając paznokcie w moje ramię. Zawarcie takiego paktu mogło uleczyć rany, mogło nawet obudzić kogoś, kto miał właśnie zasnąć snem wiecznym.

Dwa istnienia związane w jedno, dwa żywioły życia splecione razem. Przeszły mnie przyjemne ciarki, a mój kutas tak intensywnie dawał o sobie znać, że wreszcie stwierdziłem, że nie wytrzymam już ani sekundy dłużej.

Spuściłem spodnie i wytarłem brzeg zakrwawionego noża o sztywną pałę. Zadrzałem, bo ostrze okazało się wyjątkowo zimne. Juniper obserwowała mnie szeroko otwartymi oczami, oddychając głęboko, a w powietrzu unosił się zapach jej słodkiego i ostrego podniecenia. Z jękiem chwyciłem kutasa.

– A teraz użyjesz tych swoich pyskatek usteczek, żeby mi pokazać, jak przykro ci jest, że mnie dziabnęłaś.

– Myślisz, że będę cię przeproszać? – zapytała. Była oszołomiona przez nagłą utratę krwi i obniżający się poziom adrenaliny, ale wyczułem, że poziom dopaminy w jej krwi rośnie.

– Nie wydaje mi się, żebyś była w stanie wypowiedzieć choć jedno pieprzone słowo – burknąłem. – Ponieważ w ramach przeprosin będziesz zajęta moim kutasem.

Zerknęła na wspomnianą część ciała, którą mocno trzymałem w ręce. Zawsze lubiłem patrzeć, jak śmiertelnik wzdryga się na jego widok. Mój kutas nie był stworzony do wchodzenia w ludzkie ciało, a jednak miałem zamiar go w nią włożyć – dziewczyna może krwawić, może krzyczeć, ale go weźmie.

– Gotowa? – zapytałem cicho, a ona przeniosła wzrok z powrotem na moją twarz. Drżała; był to ten rodzaj subtelnych dreszczy, które przeszywały ją falami. Ludzie są delikatni, a choć ona była taka waleczna, to nie zamierzałem psuć swojej małej maskoteczki.

Wytrzymała mój wzrok. Z twarzą zalaną deszczem powiedziała:

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie otwórz usta, Juniper.

Rozchyliła wargi, a ja wcisnąłem między nie kutasa. Prawie się nie mieścił; było mi tak ciasno, że aż jęknąłem z rozkoszy, ale parłem do przodu, aż dziewczyna zadrżała, krztusząc się. Pieściła mnie językiem, liżąc korony okalające główkę. Przytrzymałem ją za włosy, jej oczy napęłniły się łzami, kiedy próbowała wziąć mnie jeszcze głębiej do gardła.

Najpierw się nie spieszyłem, chciałem dać jej czas, żeby się rozluźniła, ale powoli miałem dość tych ceregieli. Zacząłem pieprzyć jej usta, ostro, mocno i szybko. Chwyciła mnie za ramię, żeby się czegoś przytrzymać; jej paznokcie zagłębiły się w moją skórę. Każdy skurcz jej gardła mnie nakręcał, a ona zachłannie pieściła mnie językiem, smakowała mnie, jakby nie mogła się mną nasycić. W środku było tak ciasno, że nie miałem szans uniknąć jej zębów, ale zawsze lubiłem ból. Podniosła na mnie wzrok, jej łzy mieszały się z deszczem, a usta szczelnie mnie obejmowały.

– Wyglądasz seksownie, kiedy przepraszasz...!

Usta miała tak wypełnione, że z trudem udało jej się uśmiechnąć. A jednak to zrobiła, a jej język owinał się wokół mnie, kiedy pieprzyłem jej gardło. Była taka ciasna, taka ciepła, a na dodatek radziła sobie naprawdę dobrze. Jaja mi się skurczyły, a brzuch napiął, ogarnęła mnie ekstaza i wystrzeliłem, napełniając jej usta nasieniem. Przyłgnęła do mnie, nie mogąc przełykać, a ja pompowałem, aż nasienie wylewało jej się z ust. Kiedy wyjąłem z niej kutasa, rozpaczliwie zaczerpnęła tchu, a sperma ciekła jej po brodzie. Podniosłem ją.

– Twoje usta już zostały ukarane. Teraz pora na tę ciasną cipeczkę.

Przycisnąłem Juniper do pnia rosnącej w pobliżu sosny i wymierzyłem mocnego klapsa, najpierw w jeden pośladek, a potem w drugi. Krzyknęła, po czym syknęła, bo szorstka kora drażniła jej nagie piersi. Jedną ręką unieruchomiłem jej nadgarstki nad głową, a drugą sięgnąłem między nogi, uważając, żeby świeże nacięcia na jej klatce piersiowej nie ocierały się o drzewo.

– Jak to możliwe, że nadal jesteś twardy? – Odwróciła głowę i gapiła się na mnie z niedowierzaniem, a ja przycisnąłem sztywnego kutasa do jej tyłka. Moje palce wślizgnęły się między mokre z pożądania wargi sromowe, jej łechtaczka była gorąca i nabrzmiała. Schowałem pazury i zacząłem ją ostro pieścić, aż jej nogi zaczęły drżeć.

– Dopóki jesteś mokra, ja jestem twardy – powiedziałem po prostu, kłusując ją w ucho, aż jej oczy wywróciły się białkami do góry. Otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, a ja wcisnąłem głęboko w nią dwa palce, próbując rozszerzyć jej pulsującą cipkę. Poruszała razem ze mną biodrami, wyginając plecy, żebym mógł dostać się jeszcze głębiej.

Jednak ja miałem dla niej coś o wiele lepszego niż dwa place.

Cofnąłem rękę i chwyciłem ją za biodra, wpychając w nią kutasa. Skamlała cichutko, gdy zagłębiałem się w nią centymetr po centymetrze, znów nie mogła złapać tchu. Gdy już cały byłem w środku, jej cipka zacisnęła się na mnie, a ja całkowicie z niej wyszedłem, po czym znów się w nią zagłębiłem. Dziewczyna krzyczała, prawie dusząc się z gorączkowego pożądania. Przyciągnąłem do siebie jej biodra i pieprzyłem ją bezlitośnie, aż kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Musiałem objąć ją ramieniem, bo inaczej osunęłyby się na ziemię. Sięgnąłem między jej nogi i energicznie pieściłem łechtaczkę. Kiedy cała zadrżała, po czym całkowicie osłabła w moich ramionach, uśmiechnąłem się triumfalnie.

– Masz już dość, hmmm? – Zdołała pokręcić głową, moja mała wojowniczką.

– Proszę... – jęknęła. – Chcę dojsć... Pozwól mi dojsć...

Nie odpuszczała, a ja nie dałem się prosić. Czułem pod palcami jej gorącą łechtaczkę, jej cipka zacisnęła się na mnie, zbliżając się do wielkiego finału.

– Dochodzę... O kurwa...!

– Do kogo należysz, Juniper? – syknąłem, zaciskając pazury na jej gardle i nie przestając jej pieścić. – Powiedz moje imię. Pochwal się, do kogo należy ta cipeczka.

– Do Zane’a... – Głos jej się załamał, kiedy wykrzyczała moje imię, a po chwili doszła. Wstrząsnęły nią konwulsje, na moment straciła oddech, a następnie gwałtownie zadrżała w moich ramionach.

Juniper

Byłam naga, zakrwawiona, pokryta błotem i przemoknięta do szpiku kości. Twarz miałam umazaną nasieniem, podobnie jak nogi. Drżałam, kiedy Zane odwrócił mnie twarzą do siebie, chwycił za podbródek i szepnął:

– Moja. Tylko moja, od teraz na zawsze.

Jego słowa były jak ciepły koc, który otulił moje wycieńczone ciało. Dotarłam do granic swojej wytrzymałości, czułam się całkowicie wyeksploatowana. Było mi tak dobrze, że miałam ochotę płakać, ale nie chciałam, żeby w takiej sytuacji zobaczył moje łzy. Nadszedł czas, żeby okazać trochę dumy i znowu być silną, ale byłam pewna, że jeśli spróbuję zrobić kilka kroków, zemdleję.

Poza tym w niczym by to nie przypominało eleganckiego omdlenia na szezlongu. Padłabym twarzą w błoto i naprawdę wyglądałabym jak siedem nieszczęść.

Musiałam wziąć się w garść. Wyjść z tego lasu. Iść do domu. Przespać się. Rozpaczliwie potrzebowałam snu.

Ale czy w ogóle zasnę po tym wszystkim? Po tym, co zrobiłam...

Sprzedziałam duszę. Zawarłam pakt z demonem. Pozwoliłam mu robić ze sobą rzeczy, na które, jak sądziłam, nigdy się nie zgodzę, bo nigdy nikomu na tyle nie zaufam. Pozwoliłam mu przywołać wspomnienia, które mnie przerażały, pozwoliłam mu ranić się w taki sposób, że powinnam go za to zabić.

A jednak zgodziłam się na to wszystko. Zaufałam mu.

– Zostań ze mną, Juniper – powiedział Zane, akurat gdy zaczęło mi się mienić przed oczami. Jego ciało było tak blisko, że było mi ciepło; miałam ochotę wtulić się w niego. Chciałam wchłonąć jego żar i zwinąć się przy nim w kłębek. Obejmował mnie ramieniem, prawie całym swoim ciężarem opierałam się o niego.

Musiałam zebrać siły, żeby się podnieść. Musiałam teraz robić wrażenie cholernie słabej.

Spróbowałam go odepchnąć. Spróbowałam. Jednak, ponownie, miałam wrażenie, że mam do czynienia z murem z cegieł.

– Puść mnie. Ja... ja idę do domu. Przecież już po wszystkim.

– Jeśli pozwolę ci iść, przewrócisz się.

– Pieprz się, ja... Nic mi nie będzie. Puść mnie!

Zrobił to, a pode mną ugięły się kolana. Przytrzymałam się na rękach, ale głowa mi opadła, byłam otumaniona i półprzytomna. Niejasno zdawałam sobie sprawę, że w błocie koło mnie znajdują się jego buty.

– Wiesz, Juniper, cenię sobie to, co do mnie należy. A jeśli pozwolę ci leżeć w błocie, nie będzie można powiedzieć, że odpowiednio się tobą opiekuję, co?

– Zamknij się. – Oddychać powoli i głęboko. Właśnie tego potrzebuję. Spokojne, głębokie oddechy i zaraz wstanę. – Już po wszystkim. Po prostu... po prostu...

– Po prostu mam cię zostawić samą w lesie? – prychnął. – Po prostu mam zostawić moją nową maskotkę, żeby sama sobie radziła po tym, jak wypieprzyłem ją prawie do nieprzytomności? – Przykucnął obok mnie i pociągnął mnie za włosy, tak że musiałam na niego spojrzeć. Uśmiechał się przebiegle. – Nie sędzę, Juniper. Zabieram cię do domu.

Moje ciało postanowiło się poddać, zanim zrobił to mój umysł. Byłam zbyt zmęczona, zbyt przytłoczona. Poza tym od pogrzebu prawie nie jadłam

ani nie spałam, co też nie pomagało. Zazwyczaj się zajeżdżałam, ale tym razem przegięłam.

Nagle zaczęłam mieć mroczki przed oczami. Przemknęło mi przez myśl, że zaraz wyląduję twarzą w błocie, ale poczułam, że Zane mnie chwyta, podtrzymuje, a następnie bierze na rękę. Chciałam się mu wyrwać – przecież, do cholery, nic mi nie było! Jednak gdy moja głowa opadła na jego pierś, nie byłam w stanie wykrzesać z siebie nawet tyle siły, żeby coś powiedzieć, a co dopiero walczyć. Nawet padający na twarz deszcz nie przeszkodził mi zasnąć.

Zane

Głowa mi pękała od nadmiaru myśli, a skóra mrowiła w każdym miejscu, w którym dotykało mnie jej bezwładne ciało. Mógłbym tak iść bez końca, wcale nie chciałem się zatrzymywać. Jednak w ten sposób mógłbym ją zabić, a tego absolutnie nie chciałem.

Była moja. Po tylu latach podążania za nią, wyczekiwania, obserwowania – wreszcie była moja. Moja nowa zabaweczka, moja poraniona lalka; a nie kolekcjonowałem zabawek, żeby je naprawiać. Nie, zepsute zabawki interesowały mnie najbardziej. Były ostre i niebezpieczne jak odłamki roztrzaskanego szkła, a ja nie mogłem się oprzeć i przesuwałem po nich palcami, aż zaczynałem krwawić.

Przez najbliższy czas będę się brandzlować, wspominając, jak mnie pchnęła nożem – ta zaciekłość na jej twarzy, pierwotna dzikość, kiedy zamachnęła się i mnie dźgnęła. Kurwa, na samą myśl dostawałem gęsiej skórki...! Mój kutas nadal był twardy, nie mogłem się doczekać, gdy przy pierwszej okazji znowu zanurzę go w tej ciepłej, wrażliwej cipce.

Ludzie zawsze są tacy ciaśni, małe biedaki. Nie zostali stworzeni, żeby pomieścić demoniczne kutasy, ale potrafią się przystosować, rozciągnąć. Odrobina cierpliwości i wezmą go całego.

Jednak – jak jej powiedziałem, zanim zasnęła – przede wszystkim musiałem się o nią troszczyć. Byłem potworem, ale nie lubiłem marnotrawstwa. Chciałem, żeby odzyskała siły, żebym znowu mógł się z nią zabawić.

Schroniła się w niewielkiej górskiej chacie. Poprzedniej nocy zakradłem się tam za nią i czuwałem, bo nie uśmiechało mi się, że pojawią się Eldowie i zrujnują mi interes, jeszcze zanim wszystko zostanie dopięte. Jednak nie zamierzałem zabierać jej z powrotem do tego miejsca – śmierdziało moczem i szczurzymi odchodami. To nie było miejsce dla człowieka.

A przynajmniej nie dla mojego człowieka. Jej dusza była teraz związana z moim jestestwem, to uczucie było ciągle nowe i ciężkie, znajome, ale dziwne. Każda dusza była trochę inna – niektóre były ciepłe, inne zimne, ciężkie albo lekkie, miękkie lub ostre. Jej była ognista i niebezpieczna. Podporządkowanie mi duszy oznaczało, że wszechświat ciągnie za owinięte wokół nas sznureczki, zaciska coraz bardziej i bardziej, zbliżając nas do siebie, aż staniemy się nierozłączni. Niekiedy było to niepokojące uczucie, jakby zagmatwania. Jej dusza wywierała na mnie stały nacisk, jakby przez cały czas ciągnęło ją w inną stronę.

Była wojowniczką z krwi i kości, jej dusza też była waleczna. A mnie się to bardzo podobało.

Gdy dotarłem z nią do domu, była całkowicie przemoczona, ale mimo zimnego deszczu nawet nie drgnęła. Była niewyspana, niedożywiona, odwodniona. Trudno było uwierzyć, że kobieta tak biegła w sztuce przetrwania była absolutnie beznadziejna, jeśli chodziło o zadbanie o samą siebie.

Jej dusza należała teraz do mnie, więc rany na jej ciele goiły się trochę szybciej niż wcześniej. Nacięcia na jej klatce piersiowej już zaczęły się zasklepiać, krwawienie ustało. Jednak szybka regeneracja pogłębiała również jej wyczerpanie, bo organizm pracował bardziej intensywnie i szybciej, niż był do tego stworzony.

Będzie tak spała jeszcze dobrą chwilę, więc chciałem, żeby było jej wygodnie.

Miałem kilka sypialni, ale w żadnej z nich nie spałem. Łóżka wstawiłem tam tylko po to, żeby zachować pozory, bo kto, do cholery, nie ma w domu łóżka? Używałem ich tylko do pieprzenia się, ale dlaczego pieprzyć się w łóżku, skoro można to robić dosłownie wszędzie? Seks w łóżku jest pozbawiony polotu, ale... odbiegłem od tematu.

Postanowiłem, że położę ją w największej sypialni, żeby miała miłą niespodziankę, kiedy się obudzi.

Tyle że była cała we krwi i błocie. Kładzenie jej w takim stanie w czystej pościeli nie wydawało się dobrym posunięciem. Dlatego najpierw umieściłem ją w wannie i puściłem gorącą wodę. Poruszyła się, właściwie drgnęła, i na moment otworzyła oczy, kiedy poczuła dotyk wody. Cholera, była naprawdę wykończona! Myślałem, że się obudzi i sama umyje, ale tak się nie stało.

No tak. Cholera. Nie miałem w zwyczaju świntuszyć z nieprzytomnymi ludźmi; to było wbrew moim zasadom. W końcu co to za zabawa, skoro nawet nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, a używanie podstępu, żeby przeżyć chwilę przyjemności, było żałosne. Jednak tym razem chodziło o coś innego. Nie zamierzałem kłaść jej do łóżka całej w błocie. Zbyt duże ryzyko, że w ranach rozwinie się infekcja, a stracić człowieka z tak błahego powodu trąciło amatorszczyzną.

Zdjąłem słuchawkę prysznicową ze stojaka i opłukałem Juniper, dokładnie zmywając błoto z jej skóry i włosów. Robiłem to powoli, ponieważ nie chciałem wyrywać jej teraz ze snu. Kiedy ją myłem, miałem okazję dokładnie się przyjrzeć wszystkim tatuażom na jej ciele. Zwróciłem uwagę na dumnie umieszczoną na środku klatki piersiowej głowę szarego wilka otoczoną gałęziami sosny, jakby drapieżnik wyglądał z lasu. Między gałęziami były białe kwiaty, tchnienie delikatności, którego się nie spodziewałem.

Tatuaże miały ukryć stare blizny, ale nie były w stanie ich całkowicie zakryć. Ktokolwiek ją tak poranił – podejrzewałem, że był to Kent Hadleigh – obszedł się z nią brutalnie i nieostrożnie. Rany musiały mieć postrzępione brzegi, dlatego zasklepiły się w nierówne blizny. Dziewczyna prawdopodobnie wyrywała się i rzucała, przez co nóż się osuwał.

Nagle ogarnęła mnie irracjonalna wściekłość. Musiałem na chwilę przerwać, żeby zapanować nad ślepą furią. Na samą myśl o tym, że ktoś inny ją przytrzymał, zranił wbrew jej woli, zadał jej cierpienie, do czego, nie miał, kurwa, żadnego prawa...

Na pierdolonego Lucyfera, to mnie rozwścieczyło! Nic dziwnego, że widok noża w pierwszej chwili wzbudził w niej takie przerażenie. Zwykle nie reagowałem w tak gwałtowny sposób; Ziemia była pełna brutalnych, okrutnych, niesprawiedliwych rzeczy, a ja zazwyczaj zbywałem to wzruszeniem ramion. Jednak kiedy chodziło o nią, kiedy sprawa dotyczyła mojej małej wilczycy, było inaczej. Ostrożnie posługiwałem się nożem, żeby blizny, które jej zostaną, były cienkie. Starłem się ciąć wzdłuż linii jej tatuaży.

Nie mieli prawa tak brutalnie obchodzić się z jej ciałem, powinni byli okazać mu szacunek. Na widok mojego znaku na jej skórze kutas znowu mi stanął, co stanowiło niebezpieczną kombinację z moim gniewem. Skończy się tak, że coś zniszczę, jeśli nad sobą nie zapanuję. Musiałem iść pobiegać. Musiałem złapać oddech z dala od niej.

Dlaczego, do diabła, tak się przy niej nakręcałem?

Wytarłem ją ręcznikiem i położyłem na łóżku. Poruszyła się niespokojnie, kiedy jej głowa dotknęła poduszki, ale tylko cichutko westchnęła i obróciła się na bok, ściskając w dłoniach podciągniętą aż pod brodę kołdrę. Miała taką miękką skórę, jakbym dotykał jedwabiu. Kiedy

przesunąłem ręką po jej ramieniu, dostała gęsiej skórki. Rozparłem się wygodnie w pluszowym fotelu stojącym w kącie pod oknem.

Miałem ochotę jej ciągle dotykać. Chciałem poznać każdy centymetr jej ciała, niespiesznie wodzić dłońmi wzdłuż każdej blizny, policzyć piegi na jej plecach. Pragnąłem znowu poczuć pod palcami to miękkie, ciepłe, śmiertelne ciało.

Jednak próbowałem zachowywać się, jak należy, próbowałem być *dżentelmenem*. Sztuka panowania nad sobą jest cholernie trudna...!

Jej usta poruszyły się, przez sen wymawiała jakieś bezgłośne słowa, a moje pazury wsunęły się w tkaninę objijającą fotel. Te niegrzeczne usteczka wokół mojego kutasa, zachłanne i rozpalone – przygryzłem kłykcie tak mocno, że aż zaczęły krwawić. Mój penis szalał, próbując się wyrwać z dżinsów. Koniec z dotykaniem, Zane. Koniec z pieprzonym dotykaniem.

Zostawiłem ją, zaniósłem jej ubrania na dół i włożyłem do pralki – przynajmniej te, które nie nadawały się do wyrzucenia. Co prawda wolałbym, żeby została nago, ale ona nigdy się na to nie zgodzi.

Muszę ochłonać, zanim się obudzi.

Juniper

Obudziłam się w obcym pokoju, w obcym łóżku.

Przez dłuższą chwilę leżałam, bezradnie mrugając powiekami, bo nic z tego nie rozumiałam. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni spałam – albo padłam nieprzytomna – i nie obudziłam się zrana zimnym potem i udręczona koszmarami. Tym razem nic mi się nie śniło, a przynajmniej nie pamiętałam żadnych snów. Moje ciało było obolałe, każdy mięsień mnie bolał, a na klatce piersiowej czułam uporczywe klucie.

No właśnie, klucie. Teraz wszystko mi się przypomniało: zrobiłam coś nie do pomyślenia. Sprzedałam demonowi duszę w zamian za masowe morderstwo. Zamierzałam zabić Kenta Hadleigha i jego sektę, a demon miał mi w tym pomóc.

Sadystyczny, szalony demon, który się śmiał, kiedy ugodziłam go nożem, i pieprzył mnie tak, jak seryjny morderca zabijał swoją ostatnią ofiarę – ostro, szybko i brutalnie, z pełną pasji i przemocy radością.

Powoli usiadłam, a kołdra zsunęła się z moich piersi. Byłam w szoku, że jestem taka czysta, moje włosy nadal były lekko wilgotne. Nie pamiętałam, że bym brała prysznic, czy to znaczyło...

Czy to znaczyło, że ten demon mnie wykapał?

Na myśl o tym aż się wzdrygnęłam. Trudno mi było uwierzyć, że zadał sobie trud i mnie umył. A potem poświęcił czas, żeby mnie położyć do łóżka i otulić kołdrą. Był zbyt miły, zbyt troskliwy. Taka życzliwość robiła wrażenie pułapki, co natychmiast wzbudziło moją podejrzliwość.

Sama potrafiłam o sobie zadbać; w lesie chyba wyraziłam się dostatecznie jasno. On to całkowicie zlekceważył, jakżeby inaczej, jednak jeśli zostawiłby mnie w spokoju, tak jak mu powiedziałam, świetnie bym sobie poradziła sama. Kilkuminutowa drzemka i pomaszerowałabym do domu.

Ciężko westchnęłam i krzywiąc się, spróbowałam przeczesać ręką splecione włosy. Okłamywałam samą siebie. Duma nie pozwalała mi tego przyznać, ale wczoraj w lesie potrzebowałam pomocy Zane'a. Sama nie dotarłabym w bezpieczne miejsce.

Pokój, w którym przebywałam, był przestronny, znajdowało się w nim kilka wyściełanych foteli, telewizor oraz wielki ciemny kufer u stóp łóżka. Położona na drugim końcu pokoju łazienka była wykończona szarym kamieniem, a zasłony na sięgających od podłogi do sufitu oknach po lewej były zaciągnięte. Nie słyszałam szumu deszczu, ale sączące się przez nie światło było blade i przytłumione.

Gdzie, do cholery, była moja spluwa?

Wyślizgnęłam się z łóżka, drewniana podłoga pod moimi stopami była chłodna. Poszłam do łazienki, gdzie w wielkim lustrze nad umywalką z brązu odbijało się całe moje nagie ciało. Było to ciało pokryte bliznami, śladami po oparzeniach i tatuażami; ciało, którego często nienawidziłam, a które rzadko kochałam. Po tym, jak Libiri mnie pocięli, poszarpane rany napuchły i pokryły się strupami, żeby potem powoli się zagoić i zamienić w blade blizny. Nie byłam w stanie patrzeć w lustro, te blizny nieustannie przypominały mi o horrorze, który przeżyłam, o bólu i udreće, która nadeszła później. Udrećka, kiedy nikt mi nie wierzył, kiedy traktowali mnie jak zwichrowane dziecko rzucające absurdalne oskarżenia.

Wreszcie przykryłam blizny tatuażami. Przynajmniej mogłam patrzeć w lustro, bo widziałam w nim sztukę, którą sama wybrałam.

Jednak teraz nosiłam nowe blizny; blizny, które w cudowny sposób zagoiły się między ostatnią nocą a dzisiejszym porankiem. Były to cienkie linie, nie takie poszarpane i nierówne jak pozostałe. Nie rozumiałam tych znaków, ale były proste, skupiały się w głowie wilka wytatuowanej na mojej piersi. Nowe blizny w ogóle nie naruszyły tatuaży. Raczej się w nie wtopiły.

Ze zmarszczonymi brwiami przesunęłam palcami po bladych, nieznanych mi liniach. Pozwoliłam demonowi przyłożyć nóż do mojej skóry. Nawet nie wiem, jak zdołałam to znieść, skąd znalazłam w sobie tyle odwagi, żeby uklęknąć i to zaakceptować. Ale to zrobiłam, a na myśl o tym zalała mnie potężna fala ulgi. Stawiłam czoło swojemu lękowi. Przeżyłam na nowo jeden z najbardziej przerażających momentów mojego życia i...

Nic mi nie było. Przetrwałam.

Gdy patrzyłam na te nowe blizny, nie czułam obrzydzenia, jakim napawały mnie te stare. To ja je wybrałam, podobnie jak tatuaże. Były dziwne, ale należały do mnie.

Ochlapałam twarz zimną wodą, po czym przekopałam cały pokój w poszukiwaniu swoich ubrań i broni. Jednak nie znalazłam nic, co by należało do mnie, a w szufladach nie było żadnych ubrań. Przeklinając pod nosem, zerwałam z łóżka białe prześcieradło i owinęłam wokół siebie, motając je w taki sposób, żebym mogła swobodnie poruszać rękami, po czym otworzyłam drzwi sypialni.

Korytarz ciągnął się na lewo, u szczytu schodów był podest z drewnianą balustradą, z którego można było zobaczyć niższe piętro. Przez duże okna nad drzwiami wejściowymi sączyło się szare światło, za nimi dostrzegłam podwórko i drzewa w oddali. Zakradłam się na dół i znalazłam się w korytarzu, który rozwidlał się i prowadził na lewo do kuchni, a prosto – do salonu. Wślizgnęłam się do kuchni, a kiedy przekonałam się, że jest

pusta, wybrałam największy nóż z bloku stojącego na blacie. Nie miałam zamiaru kręcić się po nieznanym mi domu nieuzbrojona.

Salon był przestronny, na jego środku pyszniła się kanapa. Dywan pod moimi stopami był czysty i miękki. Przeciwległa ściana była przeszklona, rozpościerał się stamtąd widok na jezioro z drewnianym pomostem, na który można było zejść po schodach za domem. Piękny widok, dokładnie taki, o jakim marzą ludzie.

To na pewno nie był dom Zane'a. Czy demony w ogóle mają domy? Czy ich potrzebują?

Coś się za mną przesunęło, w lustrze dostrzegłam mignięcie nad ramieniem. Stałam bez ruchu, ale mocniej zacisnęłam rękę na nożu. Wielka ciemna postać poruszała się bezszelestnie, była coraz bliżej i bliżej...

Błyskawicznie się odwróciłam i zadałam cios nożem. Był ostry, wbił się głęboko, aż po rękojeść, w nagą wytatuowaną klatkę piersiową.

O... cholera...

Zane syknął, spojrzął na nóż, po czym powoli podniósł wzrok na mnie. Cofnęłam się o krok, potem jeszcze jeden.

– Juniper, och, Juniper... – Westchnął, chwycił nóż i szarpnięciem wydobyl go z rany. Ostrze ociekało krwią, ale sama rana nie krwawiła. Machnął nożem w moją stronę, uśmiechając się cierpko.

– Koniec zabawy, mała wilczyco. Wiesz, to boli.

– Nie podkradaj się tak do mnie – powiedziałam, prawie dotykając plecami okna. – Przestraszyłeś mnie.

Spojrzął na mnie, znacząco unosząc brew.

– Bo to właśnie robią demony. Podkradamy się i straszymy.

– W takim razie spodziewaj się, że jeszcze nie raz cię dźgnę.

Wywrócił oczami. Miał na sobie opuszczone nisko na biodra joggery, spod których wystawała czarna gumka jego slipów. Mięśnie na jego kłacie drżały, a dosłownie każdy kawałek skóry pokryty był tatuażami. Obrazy mężczyzn i kobiet w kajdanach i związanych sznurem, zawieszonych, zakneblowanych – praktycznie była to pornografia.

Rana po nożu nie była już wcale widoczna.

– Mmmm, jeśli chcesz mi grozić, to musisz zapamiętać jedną rzecz. – Ruszył w moją stronę. Nie miałam gdzie uciekać, mogłam jedynie wyzywająco unieść podbródek i patrzeć na niego twardym wzrokiem, kiedy gładził mnie ostrzem po policzku. – Ból mnie podnieca. Groźby mnie podniecają. Dlatego mam wrażenie, że właśnie ze mną flirtujesz. – Uśmiechnął się znacząco. – Zachowuj się, chyba że chcesz, żebym cię potraktował jak bardzo bardzo niegrzeczną dziewczynkę.

Przełknęłam ślinę. Mojej cipce te słowa najwyraźniej wystarczyły, żeby się rozgrzać do czerwoności. Zacisnęłam uda, ale on tylko uśmiechnął się szerzej. Cholera, wyczuwał mój zapach! Nawet nie potrafiłam przed nim ukryć swojego irracjonalnego podniecenia.

Chciałam odzyskać swój nóż. Może i oddałam mu duszę, ale przebywanie w jego towarzystwie bez broni było wkurzające.

– Gdzie są moje ubrania?

– Są już wyprane, suszą się. Niedługo będziesz mogła je włożyć.

Zmrużyłam oczy.

– Ty... wyprałeś moje ubrania? Ty robisz pranie?

– Niestety, ludzkie normy społeczne zmuszają mnie, żebym zakrywał ciało ubraniami – wyjaśnił. – Więc tak, robię pranie. Myślałaś, że demony utrzymują czystość za sprawą jakichś magicznych sztuczek?

Kilka razy otworzyłam usta, bo nie mogłam znaleźć właściwych słów.

– Nic nie wiem o demonach. Myślałam, że wy po prostu... – Zamachałam rękami. – ...rozpływacie się w powietrzu czy coś w tym stylu, kiedy akurat nie ścigacie ludzi w lesie.

Roześmiał się, potrząsając głową, po czym odwrócił się, żeby odnieść nóż do kuchni. Poszłam za nim, bo nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić.

– Nie, mała wilczyco, nie rozpływamy się w powietrzu. Jeśli jesteśmy na Ziemi, przez większość czasu nie zmieniamy naszej fizycznej formy. Unoszenie się wokół Ziemi w postaci duchowej energii to okropny pomysł. Wszystko by się nam pomieszało.

Nie byłam pewna, co miał na myśli, ale nie dopytywałam. Odłożył nóż do zlewu i oparł się o blat, a kiedy stukał pazurami w szafki, żyły na jego umięśnionych ramionach nabrzmiały pod skórą tak, że aż ślinka mi pociekła.

Ślinka pociekła? O Boże, czy ja do końca zwariowałam...?

Demon uśmiechnął się znacząco, jakby widział te moje absurdalne myśli.

– Jesteś głodna?

Owszem, byłam, i to w każdym tego słowa znaczeniu.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

– W moim interesie jest utrzymać cię przy życiu – powiedział. – Pozwól, że podzielę się z tobą pewną ciekawostką. Handel duszami jest nadzorowany przez Radę Piekła. To coś w rodzaju naszego rządu. Teraz słuchaj. Jakiś czas temu pewien demon, absolutny idiota, postanowił przekonać cały bar pijanych ludzi, żeby oddali mu dusze. Następnie dokonał masakry ich wszystkich, żeby nie wypełniać swojej części umowy. Rada nie spogląda przychylnym okiem na polowanie na dusze na zasadzie kup-i-zamorduj. Postanowili powstrzymać ten proceder. Nie mam więc

zamiaru ryzykować, że umrzesz z tak głupiego powodu jak śmierć głodowa, bo naprawdę wolałbym nie ściągać na siebie uwagi Rady. A teraz zapytam jeszcze raz: jesteś głodna?

Miałam ochotę mu powiedzieć, że nie umrę po zaledwie jednym dniu bez jedzenia... ale prawdę mówiąc, byłam głodna. Kiwnęłam głową.

– Och, co za ulga! Popatrz, popatrz, wreszcie przyznajesz, że masz jakieś potrzeby. Brawo. – Udał, że klaszcze, po czym chwycił leżący na blacie pęk kluczy i podrzucił w powietrze. – W takim razie w drogę!

– Nie jestem ubrana, palancie – przypomniałam, gdy przechodził obok mnie, kierując się w stronę drzwi. Dotyk jego ramienia na mojej nagiej skórze wystarczył, żeby po plecach przebiegł mi przyjemny dreszczyk. Cholera, ten demon był śmiertelną pułapką, kuszącą swoim świetnym wyglądem. – Ty też nie masz na sobie prawie nic!

– To jakiś problem? – Odwrócił się z ręką na gałce u drzwi. Całkowicie mnie tym zaskoczył, moje oczy natychmiast powędrowały w dół, gdzie na spodniach widniało imponujące wybrzuszenie. Pospiesznie odwróciłam wzrok, zacisnęłam zęby i skrzyżowałam ramiona na prześcieradle, którym byłam owinięta. – Mmmm, tak myślałem.

Naprawdę nie planowałam wsiadać do jaskrawopomarańczowej acury NSX, którą demon zaparkował na podwórku, ale aż trzęsłam się z głodu. Niedługo do niczego nie będę się nadawać, jeśli szybko nie uzupełnię kalorii. Wślizgnęłam się do samochodu, niechętnie przyznając sama przed sobą, że skórzany fotel, w którym się usadowiłam, jest bardzo wygodny. Zane uruchomił silnik, zerkając w moją stronę z bezczelnym uśmiechem na ustach.

– No co? – warknęłam wreszcie, bo nie przestawał się gapić.

– Spodobał ci się ten samochód. – To nawet nie było pytanie.

– Po co demonowi samochód? – chciałam wiedzieć. – Albo dom?

Wyjechaliśmy na wąską drogę okoloną klonami. Silnik ryknął i auto z piskiem opon popędziło wijącą się drogą z taką prędkością, że wcisnęło mnie w fotel, a żołądek się we mnie wywrócił.

– Dlaczego miałbym nie mieć samochodu? – Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć silnik. – Potrafię biec szybciej niż jakikolwiek człowiek, ale nie mogę tego robić w miejscach publicznych. Członkowie Rady padliby na zawał, gdybym się zaczął w ten sposób popisywać. – Rozparł się wygodnie w fotelu, trzymając jedną rękę na kierownicy. – Pozostaje mi popisywać się w inny sposób.

Powoli zaczęłam rozpoznawać drogi, którymi się poruszaliśmy. Znajdowaliśmy się kawałek na północ od Abelaum i zmierzaliśmy na południe drogą biegnącą wzdłuż zatoki. Nie miałam zamiaru powiedzieć tego na głos, ale ten samochód robił wrażenie. Musiał też kosztować fortunę.

– Masz jakąś pracę czy coś w tym stylu? – zapytałam, próbując nie patrzeć w jego stronę, żeby znowu nie ulec pokusie zerknięcia w dół.

– Jestem łowcą dusz.

– I Piekło ci za to płaci? W końcu kupiłeś dom i samochód.

– Jeśli dbasz o Piekło, Piekło dba o ciebie – wyjaśnił. – Łowcy dusz mogą liczyć na hojność Rady.

To wszystko brzmiało jak wyjęte żywcem z powieści fantasy. Łowcy dusz, Piekielna Rada, sam fakt, że Piekło istnieje. Zamilkłam, a Zane pogłośnił radio, a z systemu audio zaczęły się wydobywać głośne dźwięki *Twisted* zespołu Missio. Poruszał głową w rytm muzyki i najwyraźniej świetnie się bawił, podczas gdy ja rzucałam w jego stronę gniewne spojrzenia.

Był miły, ale nie wolno mi było zapomnieć, że jest potworem; potworem, z którym zawarłam pakt wyłącznie z jednego powodu – żeby zniszczyć Hadleighów i ich sektę.

Jednak chyba nie zaszkodzi, jeśli przy okazji, w ramach bonusu, zaliczę parę dobrych rżnięć. Choćbym chciała, nie mogłam temu zaprzeczyć. Tak bardzo mnie kręcił, że wystarczyło, że na niego spojrzałam, a przechodziły mnie ciarki. Wystarczyło, że pomyślałam o jego kutasie, a moja cipka sama zaczynała ćwiczyć mięśnie Kegla.

Wreszcie zwolnił, bo wjeżdżaliśmy do centrum Abelaum. Minęliśmy kampus uniwersytecki, wysokie kamienne budynki częściowo ukryte za drzewami. Dawno dawno temu myślałam, że może będę tam studiować. Ale to było, zanim moje życie roztrzaskało się na tysiąc kawałków, zanim się zorientowałam, że ten uniwersytet to po prostu kolejna pułapka, w którą Libiri zwabiają przyszłych wyznawców.

Przejeżdżaliśmy obok barów, butików, kawiarni, aż zatrzymaliśmy się na parkingu Dick's Drive-In.

Zane wysiadł, ale ja się ociągałam.

– Człowieku, mam na sobie pieprzone prześcieradło!

Jednak on po prostu ruszył przed siebie w stronę okienka do zamawiania, nie przejmując się, że nie ma na sobie koszulki. Mruknęłam gniewnie, walnęłam pięścią w tablicę rozdzielczą tak mocno, że aż zabolęło – po czym poszłam za nim.

Minęło chyba ze sto lat, odkąd jadłam porządnego burgera, i tylko to mnie usprawiedliwiało.

Na szczęście nagi tors Zane'a maszerującego dumnie w kierunku okienka całkowicie przyćmił prześcieradło, którym byłam owinięta. Myślę, że kobieta, która przyjmowała nasze zamówienie, nie zauważyła, że tam

jestem, nawet kiedy składałam zamówienie. Doskonale ją zresztą rozumiałam.

Wróciliśmy do samochodu, a ja, oszołomiona zapachem jedzenia, dorwałam się do papierowej torby jak wygłodniałe zwierzątko. Dopiero kiedy pochłonęłam pierwszego burgera, zorientowałam się, że Zane mi się przygląda, uśmiechając się z zadowoleniem.

– No co? – zapytałam z twarzą upačkaną sosem i sałata, która wypadła z kanapki, na prześcieradle.

– Tylko podziwiam moją maskotkę – wyjaśnił. – Obawiałem się, że będziesz uparta i nie będziesz chciała jeść.

– Nie jestem twoją pieprzoną maskotką – wymamrotałam.

– Hmm, a ja dokładnie pamiętam, jak w nocy zapewniałaś, że jesteś moja... – Boże, on był nie do zniesienia! I ten jego głupi, bezczelny uśmieszek. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Najwyraźniej moje nagłe zainteresowanie sprawiało mu przyjemność, więc przestałam zwracać na niego uwagę. Zajęłam się drugim burgerem i nawet nie spojrzałam w jego stronę, a on nucił pod nosem piosenkę lecącą w radiu. Nie zamówił sobie jedzenia, tylko duży napój gazowany, który popijał, rytmicznie poruszając głową.

– Gdzie zaatakujemy najpierw, mała wilczyco? – zapytał, kiedy skończyłam drugiego burgera i wygodnie rozparłam się na skórzanym fotelu, obrzydliwie objedzona, za to w pełni usatysfakcjonowana. – Który z twoich wrogów ucierpi jako pierwszy?

Musiałam się nad tym chwilę zastanowić. Nie wybiegałam myślą tak daleko w przyszłość. Zatrzymałam się na sprzedaniu duszy i tym samym zapewnieniu sobie pomocy demona, nie miałam jednak pojęcia, co dalej. Wściekłość i rozpacz nadal nie pozwalały mi jasno myśleć, więc nie było

mi łatwo zdecydować, z której strony dobrać się Hadleighom do tyłka, dopóki...

Dopóki Marcus nie spocznie spokojnie w grobie.

– Ciało mojego brata zostało skradzione – powiedziałam. – W noc po jego pogrzebie ktoś zakradł się na cmentarz i je zabrał. Widziałam, jak to się stało. – Odwróciłam się w jego stronę. – Kent Hadleigh ma demona, który dla niego pracuje. To właśnie on ukradł ciało mojego brata. Muszę się dowiedzieć, co z nim zrobił, a następnie je odzyskać.

Zane skinął głową.

– Znam tego demona. Zapytam go o to.

– A potem go zabij. Musi zniknąć, żeby łatwiej nam było dobrać się do Kenta.

Zane parsknął śmiechem i ponownie uruchomił silnik.

– Przykro mi, ale tego nie zrobię.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami, a serce gwałtownie mi przyspieszyło.

– Zawarliśmy układ. Zgodziłeś się pomóc mi zabić...

– Zgodziłem się pomóc ci zniszczyć Libiri – powiedział. Nie patrzył na drogę, kiedy kierował. Wyglądał sobie spokojnie przez okno, jakby był pasażerem przyglądającym się pędzącemu światu. Cholernie mi to działało na nerwy. – Leon cię nie skrzywdził i nigdy tego nie zrobi. Nie jest jednym z nich.

Byłam wściekła, serce waliło mi jak szalone. Właśnie tego się obawiałam – że demon zacznie obracać kota ogonem, żeby się wymigać od wypełnienia swoich zobowiązań.

– Nie skrzywdził mnie? – naskoczyłam na niego. – Mówisz, że mnie, kurwa, nie skrzywdził? Był tam tej nocy, kiedy wrzucili mnie do kopalni! Ścigał mnie, on mnie, kurwa, całymi godzinami ścigał! Gdyby mnie

dopadł, zawlókłby mnie tam z powrotem i jeszcze raz zrzucił na dół, żebym zginęła!

Oparłam ręce na desce rozdzielczej, żeby przestały się trząść. Obawiałam się, że zaraz zwrócę burgery, żołądek mi się ścisnął.

– Juniper, posłuchaj mnie.

Zacisnęłam powieki. Głęboki wdech i wydech. Wdech dziesięć sekund i wydech dziesięć sekund...

– Znam Leona od dawna...

– Przestań, kurwa, powtarzać jego imię – syknęłam. Miałam ochotę zwinąć się w kłębek. Nie cierpiałam czuć się taka irracjonalna i wcale mi się nie podobało, że nie potrafię opanować paniki. – Chcę, żeby zginął. Zrobię to sama, jeśli...

– Nie, nie zrobisz.

Otworzyłam oczy i wbiłam w niego spojrzenie. Miałam ochotę go udusić. Miałam ochotę ponownie dźgnąć go nożem. Jak on śmie mi to robić? Jak on śmie zabierać mi wszystko, co mi zostało, a następnie odmawiać mi...

– Leon nienawidzi Hadleighów tak samo jak ty, Juniper – wyjaśnił, a jego głos brzmiał dziwnie, prawie... smutno. A przecież to niemożliwe, żeby był smutny. – Wiem, słyszałem tę historię. Kent Hadleigh wysłał go w pogoń za tobą, kiedy wydostałaś się z kopalni. Jednak Leon nie mógł cię znaleźć. Nie udało mu się ciebie schwytać i zapłacił za to wysoką cenę. Nie miał wyboru.

– To chory, sadystyczny potwór.

– Rodzina Hadleighów więzi go od prawie stu lat. Wyobraź sobie, że musisz znosić obecność Kenta Hadleigha każdego pieprzonego dnia, i to przez lata. Wyobraź sobie, że ma nad tobą władzę, że może cię krzywdzić i torturować za pomocą magii, może ciągle od nowa łamać twoją wolę. Nie

masz nadziei na ucieczkę, nie możesz liczyć nawet na śmierć. Leon w mgnieniu oka zabiłby tę rodzinę, gdyby tylko mógł.

Tym razem nie miałam wątpliwości – jego głos był smutny, a nawet pełen bólu. Nie mogłam tego pojąć.

– Dlaczego tak ci na nim zależy? – warknęłam. – Kim on dla ciebie jest?

– Jesteśmy ze sobą związani.

Zmarszczyłam brwi, nic z tego nie rozumiejąc, a on wysunął swój rozdwojony język i wskazał na dwie metalowe sztangi, którymi był przebity.

– Związani, Juniper. Naznaczyliśmy się nawzajem. Byliśmy przyjaciółmi... braćmi... kochankami... – Machnął ręką. – Pierdolona semantyka. Nie ma na to dobrego słowa w ludzkim języku. Po prostu musisz mi uwierzyć, kiedy ci mówię, że choć tak bardzo go nienawidzisz, on nie jest naszym wrogiem. Nie zabijesz go, i ja też nie.

Byłam za bardzo zła, żeby myśleć logicznie, zbyt wściekła, żeby wziąć kilka głębokich oddechów, czego tak bardzo potrzebowałam. Gdy tylko zaparkowaliśmy przed domem, wypadłam z auta jak burza, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zane dopadł mnie, zanim dotarłam do drzwi.

Otoczyła mnie ciemność, jakby ktoś nagle zgasił słońce. Niewidzialne łańcuchy spętały mi kostki, unieruchamiając mnie w miejscu. Kątem oka dostrzegłam zbliżającego się do mnie Zane'a, mroczną postać z rozświetlonymi, zwężonymi oczami rzucającymi w moją stronę gniewne spojrzenia.

– Jesteś pierdolonym kłamcą! – powiedziałam, zaciskając pięści. Nie miałam zamiaru odwracać się, żeby spojrzeć mu w twarz. – Wycofujesz się ze swojej części umowy...

– Z niczego się, kurwa, nie wycofuję. – Zazgrzytał zębami tuż przy moim uchu, a mnie przeszył dreszcz strachu. – Przypomnijmy sobie parę zasad, Juniper. Nie wydajesz mi rozkazów. Zawarliśmy układ, jesteśmy partnerami. Może to budzi twoją odrazę, że sprzedałaś się potworowi, jesteś ze mną z własnej pierdolonej woli. A teraz przestań wstrzymywać oddech, bo mi tu wreszcie zemdlejesz.

Wzięłam powolny, gorzki oddech. Mrok ustąpił, tak jak poranna mgielka rozprasza się, gdy nastaje świt. Łańcuchy krępujące moje kostki zniknęły. Zane objął ręką moje gardło i lekko pogłaskał mnie pazurami po szczęce. Wzdrygnęłam się, bo pazury były zaskakująco zimne w porównaniu z ciepłem jego skóry.

– W takim razie co, jeśli Leon stanie nam na drodze, kiedy będziemy próbowali dopaść Kenta? – wydusiłam z siebie. On jeszcze mocniej zacisnął palce, nadal trzymał mnie za szczękę, jakby domagając się mojej uwagi.

– Nie stanie. Leon zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nie stawać w obronie Hadleighów. Możesz go nienawidzić, ile chcesz, Juniper. Wiele istot nienawidzi tego niebezpiecznego skurwiela. – Puścił mnie, a ja odwróciłam się w jego stronę, krzyżując ramiona na piersiach. Bez tej nadnaturalnej ciemności i teatralnie głębokiego głosu był tylko ładnym chłoptasiem z pazurami, spiczastymi zębami i dziwnymi oczami. Gniewnie zmarszczyłam brwi.

– Skończyłeś już z tymi popisami? – zapytałam. Szeroko otworzył oczy.

– Czy ja skończyłem z popisami? A ty, mała wilczyco? Skończyłaś już z tymi awanturami?

Zacisnęłam zęby i przełknęłam cisnące mi się na usta wściekłe słowa. Serce powoli się uspokajało, obezwładniająca panika odpuszczała. Leon. Nie wiedziałam, że tak ma na imię. Gdy poznałam jego imię, nie budził już

we mnie takiej grozy; tak jak zjawa w pełnym słońcu nie wydaje się już tak przerażająca.

– Zdobędę informacje, których potrzebujesz – oznajmił Zane z ciężkim westchnieniem, drapiąc się po głowie. – Dowiem się, gdzie znajduje się ciało twojego brata.

Zane

Poznałem Leona, kiedy bez przerwy przesiadywał na cmentarzu we Francji, zazdrośnie strzegąc grobu zmarłego człowieka, którego kiedyś kochał. Zakochał się w śmiertniku, który nie oddał mu swojej duszy, i śmierć rozdzieliła ich na zawsze. Leon nie był w stanie tego udźwignąć.

Teraz może to się wydawać absurdalne, bo w ciągu kilku stuleci, które minęły od tamtego czasu, Leon nabrał zwyczaju zabijać każdego, kto potraktował go choć odrobinę źle. Jednak w głębi serca był romantykiem. W rzadkich przypadkach, kiedy kogoś polubił, mocno się do tej osoby przywiązywał – można powiedzieć, że nawet obsesyjnie.

To głupota pokochać człowieka. Ludzkie życie jest ulotne, poza tym ludzie nie postrzegają lojalności w ten sposób, co nasz gatunek. Więź między demonami rzadko zostaje złamana, podczas gdy ludzie porzucają się nawzajem przy pierwszej lepszej okazji. Powiedziałem to wszystko Leonowi. Mówiłem mu, że musi zapanować nad swoimi szalejącymi emocjami. Musiał pogrzebać swój żal. On jednak szalał z gniewu – miały nim najdziwsze emocje.

Ale ja wiedziałem lepiej. Polowanie na dusze doprowadziło mnie do setek istot ludzkich na przestrzeni wieków. Do niektórych coś czułem, ale tylko na tej zasadzie, na jakiej czuje się coś do mającego sentymentalną wartość przedmiotu. Byli wyjątkowi, to na pewno, ale koniec końców ich czas przemijał i trzeba było się ich pozbyć.

Juniper zachwiała moją pewnością w tym względzie.

Była tylko kolejną duszyczką, fascynującym wyzwaniem, przyjemną maskotką. Tyle że była przy tym tak cholernie trudna. Wściekała się na mnie, a jej kortyzol skakał tak wysoko, że nawet mnie doprowadzało to do szaleństwa. Tłumaczyłem sobie, że to całkowicie normalne – jej dusza dopiero co została połączona z moją, więc, chcąc nie chcąc, jej gwałtowne emocje mogły mieć wpływ również na mnie.

A jednak to było coś więcej. Tutaj nie chodziło tylko o współodczuwanie emocji.

Ja nie chciałem, żeby była wściekła. Wkurzyły mnie jej oskarżenia, że próbuję wymigać się od swoich zobowiązań, jakbym chciał ją oszukać czy coś takiego. Miałem zamiar dotrzymać słowa. Jak zawsze.

Czy winiłem ją za tę wściekłość? Oczywiście, że nie. Jednak niesamowicie mnie frustrowało, że nie potrafiłem przemówić jej do rozumu i wyprowadzić ją z błędu. Trudno było o niej myśleć w kategoriach rozrywki, kiedy panika w jej oczach – bezgraniczna, rozdzierająca serce – sprawiała, że czułem się, jakby moją pierś przygniatał ogromny głaz.

Zawsze szukałem poranionych duszyczek. Nigdy nie przejmowałem się ich okropnymi przeżyciami. Takie było życie – brutalne, niesprawiedliwe, okrutne. Jedyne, co można było zrobić, to korzystać z przyjemności, folgować sobie i rozkoszować się każdą kroplą radości, jaką uda się wyssać z życia.

Znalazłem Leona na kampusie uniwersyteckim, pilnował budynku otoczonego żółtą taśmą policyjną.

– Co to jest? – Z zaciekawieniem trąciłem palcem taśmę. – Pachnie krwią. Krwia i magią.

– Odsuń się, okej? – Przyjaciół rzucił mi groźne spojrzenie od strony schodów, gdzie stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. – Jeszcze ktoś

pomyśli, że nie wykonuję swoich obowiązków. To tutaj zginął ten dzieciak, Marcus. Nie mogą pozbyć się plam krwi z kamienia.

– A to co ma być? – Chwyciłem między palce jego obcisłą koszulkę. Na piersi miała naszyty napis *Agencja Ochrony PNW*. – Bawimy się w ochroniarza, co? Dorwałeś już jakieś niegrzeczne, wścibskie studentki?

– Tylko jedną – mruknął, z irytacją wygładzając koszulkę. – Jeszcze nie wymyśliłem, jak ją ukarać.

Parsknąłem cichym śmiechem i zapaliłem skręta.

– Hmmm, jeśli potrzebujesz pomocy, możemy zrobić burzę mózgów i wspólnie wymyślić karę, która sprawi, że dziewczyna będzie piszczeć.

Na kampusie panował popołudniowy spokój. Studenci spieszyli się na kolejne zajęcia, a niektórzy usadowili się w grupkach na trawie i wspólnie powtarzali materiał. Leon z nieskrywanym obrzydzeniem rzucał gniewne spojrzenia na każdego, kto ośmielił się podejść zbyt blisko.

Demon zbyt często wzywany i zbyt długo przetrzymywany wbrew swojej woli zmienia się na niekorzyść. Mam szczęście, że nigdy nie przyszło mi tego doświadczyć. Po kilku stuleciach kolekcjonowania dusz i rośnięcia w siłę mag musiałby dysponować naprawdę potężną mocą, żeby mnie wezwać, jeżeli udałoby mu się poznać moje imię.

– Powinienem ci powiedzieć, że tu nie wolno palić – poinformował.

– Przyjąłem. Kiedy masz czas? Chciałbym wyskoczyć na miasto. Pogadać. Minęło mnóstwo czasu, odkąd Kent pozwolił ci gdzieś wyjść.

– Dzisiaj. – Przerwał, żeby obrzucić długim, ciężkim, nienawistnym spojrzeniem parę studentów, którzy przystanęli przed budynkiem, żeby sobie cyknąć fotkę telefonem. To wystarczyło; studentom zrzędył miny i pospiesznie odeszli. – W mieście jest festiwal. Kent chce, żebym miał oko na wszystko.

– Po co? – jęknąłem. Położyłem się na znajdujących się za nim kamiennych schodach tylko dlatego, że go to wkurzało, a wkurzanie Leona bawiło mnie o wiele bardziej, niż powinno. – Co za nudne zajęcie dla demona! Czy on nigdy nie daje ci niczego interesującego do roboty?

– W ten sposób mogę przynajmniej choć na chwilę od niego, kurwa, odetchnąć. – Spojrzał na mnie ze złością. – Powinienem ci powiedzieć, żebyś się tutaj nie kładł.

– Dobra robota, na medal, ależ z ciebie grzeczny mały demon... Hej, uważaj...! – Skoczyłem na równe nogi w momencie, gdy podniósł but, żeby zmiażdżyć mi nim twarz. – Zachowuj się, palancie! Już wstaję. – Głęboko zaciągnąłem się skrętem i dmuchnąłem mu dymem w twarz, po czym odskoczyłem, zanim zdążył mi przywalić. Miałem wrażenie, że zaraz złamie mi kark – to było doprawdy urocze.

– W takim razie do zobaczenia jutro! – Oddalając się, wyrzuciłem skręta przez ramię, na co kilku mijających mnie studentów obrzuciło mnie zniesmaczonym spojrzeniem. Kłapnąłem w ich stronę zębami, żeby się nie gapili. – Ten mały pub w okolicach Main Street! Rose and Thyme. Będę czekał.

Tego wieczora na ulicach był tłok, a w pubie jeszcze większy. Pijani ludzie obijali się o stoły, ściany i siebie nawzajem; coraz bardziej podnosili głos, usiłując się wzajemnie przekrzyczeć. Jeśli zebrać grupę ludzi pod znacznym wpływem alkoholu, można oczekiwać szczególnego rodzaju chaosu. Jak szczeniaki, które puszczono luzem i pozwolono im robić, co tylko zechcą.

Leon jednak nie widział w nich nic uroczonego.

– Następny, który na mnie wpadnie, może się spodziewać, że wyrwę mu kręgosłup z pieprzonego ciała – warknął. Oparł głowę o ścianę i szybko

przeczesywał wzrokiem tłum. Nie mieliśmy żadnych szans upić się podawanym tutaj piwem. Jednak, podobnie jak z większością jadalnych rzeczy na Ziemi, popijaliśmy je, ponieważ miały przyjemny smak, nie ze względu na efekt.

– Wyluzuj, młody. – Potrząsnąłem głową, opadając swobodnie na oparcie krzesła. – Na tym polega zabawa. Zataczający się pijani ludzie... kufle pełne zimnego, sfermentowanego napoju... ty, traktujący mnie jak powietrze...

Natychmiast skupił się z powrotem na mnie.

– Jestem rozkojarzony.

– Myślę, że chodzi o coś więcej niż zwykle rozkojarzenie – zauważyłem, zerkając przez ramię. Nie było trudno zorientować się, na co się gapił. Wystarczyło odnaleźć wpatrującą się w niego kobietę, która błyskawicznie odwróciła wzrok, gdy dostrzegła, że się jej przyglądam. Miała za duże ubrania, stopy w ciężkich butach zwisały z barowego stołka, a oczy wydawały się większe za grubymi szklami okularów. Nie potrafiła powstrzymać się od popatrywania w naszą stronę. Nieposkromiona ciekawość kazała jej raz po raz kierować na nas wzrok. Jednak nie była tylko przypadkową, ciekawską istotą ludzką.

Siedziała przy stoliku z Victorią Hadleigh.

Uniosłem brew, spoglądając w kierunku Leona.

– Młoda Hadleighówna może robić jakieś problemy?

Potrząsnął głową.

– Ma to gdzieś. W przeciwieństwie do Jeremiaha nie podlizuje się cały czas Kentowi. Nie obchodzi jej, co robię.

– A ta druga kobieta? Ta, na którą się gapisz?

– To nowa studentka. Raelynn Lawson. Upierdliwa. Zbyt ciekawska. Bez przerwy wtyka nos w nie swoje sprawy.

– Niech zgadnę, nie poznała się jeszcze na Hadleighach?

– Niestety – mruknął pod nosem. – Ale to nie do końca jej wina. Victoria i Jeremiaś wybrali ją na swoją nową maskotkę. Ciągłe się wokół niej kręcą. – Zmrużył oczy. – To dziwne. Czego oni, do cholery, mogą od niej chcieć?

– Na szczęście to nie twój problem. – Zachichotałem, jednak on zrobił taką minę, że odechciało mi się śmiać. – Cholera jasna, to jednak twój problem. – Ponownie się odwróciłem. – Drobną kobietką, nerwową, niemogącą przestać na nas zerkać. – O nie!

– Nie zaczynaj – jęknął. – To nie mój problem. Jestem po prostu... zaintrygowany. To dziwaczne.

– Właśnie tak to się zaczyna, Leonie – przypomniałem. – Jednego dnia to nie twój problem, a kolejnego wpadasz w obsesję. Skoro dziewczyna ma coś wspólnego z Hadleighami, to lepiej trzymaj się od niej z daleka. – Ale on tylko burknął gniewnie, a moje słowa odbiły się od jego zakutej pały jak piłeczka pingpongowa. – Kurwa mać, musimy się wreszcie wyrwać z tego Abelaum. Uwolnić od Kenta. Za długo już to trwa.

Przesunął ręką po włosach, jeszcze bardziej je mierzwiąc.

– Facet jest nie do zniesienia. Cała rodzinka jest... nie do zniesienia. Chcę ich zabić. Czy proszę o zbyt wiele? Jedna malutka okazja, żeby powoli i dokładnie oderwać im ręce i nogi, w obu przypadkach zaczynając od palców.

– Powinienem jeszcze raz przedstawić ten problem Radzie. Demon nie powinien tkwić w niewoli przez ponad sto lat. To nie jest normalne. W pewnym momencie powinni interweniować. – Przerwałem. Chciałem z nim normalnie pogadać, ale nie wolno mi było zapominać, że muszę go wypytać o interesującą mnie sprawę.

Niewiele rzeczy trzymałem w tajemnicy przed Leonem, ale to... to mogła być jedna z nich. Nie był zbyt dobrze nastawiony do Juniper. To nie było nic osobistego – po prostu wiązały się z nią złe wspomnienia. Jednak nie miałem ochoty go informować, że zawarłem układ z kobietą, która wiele lat temu zdołała mu umknąć.

Powinna była już nie żyć, a on drogo zapłacił za jej przetrwanie.

– Co się właściwie stało, że Kent cię wypuścił? – zagailem. – Skąd ten pomysł, żebyś został ochroniarzem?

– Libiri złożyli ofiarę. – Ciągłe wlepiął wzrok w dziewczynę za moimi plecami, kompletnie nią zauroczony. – Ten dzieciak... Marcus. To był on. Libiri złożyli go w ofierze prastaremu Bogu, a mnie kazali wrzucić ciało chłopaka do kopalni. No i się zaczęło. Kent chce, żebym dopilnował, żeby Eldowie za bardzo się nie naprzykrzali okolicznym mieszkańcom. Jeśli zaczniesz przybywać ciał, może mieć kłopoty. Kurwa, jeśli potrzebuje mnie tylko do takich spraw, to co mi szkodzi pobawić się w ochroniarza? To łatwizna. Poza tym dzięki temu przez większość czasu zostawia mnie w spokoju.

„Wrzucić ciało chłopaka do kopalni”. Och, Juniper będzie zachwycona. To dopiero będzie wrzód na dupie...!

Wolałbym usłyszeć, że ciało leży na dnie oceanu. Byłoby je łatwiej wydobyć niż z kopalni.

– Wygląda na to, że sprawy wreszcie zaczynają się układać po myśli Kenta – zauważyłem. – To chyba dobrze dla ciebie.

– Kto to wie. Staruszek zachowuje się ostatnio trochę dziwnie.

– To znaczy?

– Jest nerwowy. Spięty. – Poruszył opartymi na przedramieniu palcami i w zamyśleniu wpatrzył się w jakiś punkt w oddali. – Nadal jest

wybuchowy, ale uchodzą mi na sucho rzeczy, za które wcześniej słono bym zapłacił.

– Może wreszcie poddał się twojemu urokowi osobistemu.

Leon prychnął gniewnie.

– Jasne. A zajęło mu to zaledwie kilka dekad. Nie, coś jest na rzeczy. Być może śmierć Marcusa wzbudziła takie zainteresowanie, że ziemia zaczęła mu się palić pod nogami. – Wlał do gardła resztkę piwa i zdecydowanym ruchem odstawił kufel. – Ale dość już o tym starym skurwielu. Co u ciebie? Znowu wyruszyłeś na łowy?

– Mam kogoś nowego na oku – potwierdziłem. – Zbliżam się do sfinalizowania sprawy. – Kłamałem jak z nut: pakt został już co prawda zawarty, ale schody dopiero się zaczynały. Tyle że wstydzilem się powiedzieć o tym kumplowi. Jeszcze by pomyślał, że nie wiem, co robię, że zachowuję się jak zdesperowany żółtodziób, zgadzający się na wszystkie warunki.

Uśmiechnął się znacząco.

– Twarda sztuka, co?

– Czeka nas niezła zabawa... o ile wcześniej mnie nie zabije.

– I ty mnie opieprzasz, że okazałem cię zainteresowania jakiemuś człowiekowi... – Potrząsnął głową. – Podczas gdy sam próbujesz zawrzeć pakt z ludźmi, którzy mogą cię zabić.

– Lubię, kiedy ktoś może mnie zabić. Lubię, kiedy ktoś próbuje mnie zabić. Na przykład ty.

Obruszył się.

– Nigdy nie próbowałem cię zabić!

– Gówno prawda, próbowałeś. Niejeden raz.

– Dramatyzujesz. Prawie kogoś zabić na wyraźną prośbę tej osoby to coś innego.

– Mogę ci wyliczyć, ile razy próbowałeś mnie uśmiercić. Po pierwsze, we Francji...

– To też się nie liczy. Wtedy zabijałem wszystko i wszystkich, którzy się do mnie zbliżyli. Popełniłeś błąd, kręcąc się blisko mnie.

Wywróciłem oczami i podniosłem do góry drugi palec.

– Incydent w Toronto.

– To była twoja wina.

Trzeci palec.

– Nowy Jork. Przed klubem.

Przez chwilę milczał.

– To było... Tak naprawdę nie chciałem tego zrobić. – Uniosłem brew, a on wzruszył ramionami. – Gdybym naprawdę tego chciał, byłbyś martwy.

– Nie byłbym. Nie dałbyś rady mnie zabić.

Podniósł się.

– Muszę zapalić skręta, jeśli mamy dalej się kłócić.

Dołączyłem do niego.

– Akurat mam trzy. Wyjdźmy na zewnątrz.

Jego wzrok trochę za długo zatrzymał się na tej kobiecie, kiedy wychodziliśmy. Głupek próbował mi wmówić, że jest tylko zaintrygowany. Znałem Leona o wiele za długo, żeby pomylić to spojrzenie z niewinną ciekawością.

Miałem nadzieję, że kiedy to wszystko się skończy, będzie mógł swobodnie zaspokajać swoją ciekawość. Przynajmniej w tym jednym w pełni zgadzaliśmy się z Juniper – oboje chętnie zobaczylibyśmy Hadleighów martwych.

Zane

Zimne powietrze i marihuana stanowiły mieszankę idealną – te dwa składniki zawsze wystarczały, żebym natychmiast się rozluźnił. Zioło, które ludzie hodowali na Ziemi, miało się nijak do swojego odpowiednika w Piekło – zapach był podobny, ale efekty minimalne. Jednak w jaraniu było coś nostalgicznego. Kiedy paliłem, przypominałem sobie, jak wpatrywałem się w piekielne Morze Czarne ze szczytu onyksowych klifów, odpoczywając po całym dniu.

To było, zanim na poważnie zająłem się łowieniem dusz; odkąd się na tym skupiłem, przez większość czasu jestem na Ziemi, gdzie szukam kolejnych celów.

– Byłeś ostatnio w domu? – zapytał Leon, jakby czytał mi w myślach. Tak rozpaczliwie tęsknił za Piekłem, że aż go to zżerało od środka. Spędził wiele lat odcięty od wszystkiego, co nadawało życiu demona sens i blask. Panująca w Piekło wolność, rozrywkowość piekielnych miast oraz piękno piekielnej przyrody – sam za tym tęskniłem, z tym że ja mogłem tam w każdej chwili wrócić. Leon nie miał takiej możliwości.

– Dobrą chwilę temu – odparłem. – Będzie z dziesięć lat od ostatniej wizyty.

– Mmmm... – Głęboko się zaciągnął, po czym podał mi skręta, a jego wzrok poszybował gdzieś za mnie. – Proszę, proszę... Chyba ktoś bardzo chciałby wiedzieć, o czym rozmawiamy.

Błyskawicznie odwróciłem głowę. Raelynn, drobniutka kobietka z pubu, stała na rogu budynku i nieudolnie udawała, że nie interesuje jej

nasza rozmowa.

Parsknąłem cichym śmiechem, potrząsając głową.

– Zabawimy się z nią? – zapytał Leon. Głos miał przesiąknięty pożądaniem; natychmiast się zorientowałem, że ma na tę dziewczynę ochotę. Poczułem przyjemny dreszczyk, choć to nie mnie pragnął. Leon zawsze był ostrym zawodnikiem, jednym z niewielu, których próg bólu mógł się równać z moim.

Już wcześniej się dzieliliśmy: mężczyznami, kobietami, innymi demonami. Jednak dzisiaj myślami byłem gdzie indziej.

Minęło tylko kilka godzin, a ja bez przerwy się zastanawiałem, co porabia teraz Juniper.

– Dajesz, bracie – powiedziałem. – Jest twoja. – Leon uśmiechnął się od ucha do ucha, a ja chrząknąłem. – Schowaj te zęby, dzieciaku. Wyglądasz trochę za ostro. – „Trochę” to mało powiedziane, bo na jej widok każdy jego ząb się wyostrzył.

Kurwa, ale go wzięło...!

Ogarnął się trochę, następnie ją zawołał, a ona już nawet nie próbowała udawać, że nie podsłuchiwała, i podeszła.

– Usłyszałybyś więcej, gdybyś podeszła bliżej – zauważyłem, kiedy szła w naszą stronę, zerkając to na Leona, to na mnie. Instynkt podpowiadał ludziom, żeby traktować nas nieufnie, i zwykle tak robili, choć sami nie rozumieli dlaczego. Jednak instynkt samozachowawczy tej dziewczyny najwyraźniej szwankował – trochę zbyt chętnie nawiązywała nowe znajomości, żeby jej to miało wyjść na dobre.

– To Zane. – Leon skinął głową w moim kierunku w ramach prezentacji. Dokładnie mi się przyjrzała, jakby właśnie odkryła nowy, interesujący okaz i chciała zapamiętać każdy szczegół.

– Bracia? – zapytała.

– Nie sądzę, żeby ludzie pieprzyli swoich braci. – Leon zachichotał, potrząsając głową.

Pomyślałem, że nie zaszkodzi dolać oliwy do ognia, żeby zrobiło się jeszcze bardziej niezręcznie. Jako wzorowy skrzydłowy dorzuciłem szybko:

– Niektórzy to robią. Bracia z przywilejami.

Czułem narastającą irytację Leona.

– Nie jest to dobrze odbierane.

– Tak jakbyś się przejmował, co jest dobrze odbierane. – Podałem mu skręta. Raelynn przez cały czas stała obok, paląc e-papierosa o słodkim zapachu i trochę zbyt pożądliwie gapiąc się na Leona.

Leon będzie miał problem z tą małą.

Nakręcał się już samą jej obecnością, a teraz przysunął się do niej i zapytał:

– Dlaczego tutaj jesteś, Rae?

– Wyszłam na papierosa. – Była tak beznadziejną kłamczuchą, że nie mogłem powstrzymać śmiechu.

Leon nie odpuszczał.

– Nie, nie, nie. Dlaczego przyszłaś tutaj?

Biedna dziewczyna aż się skręcała pod jego spojrzeniem. Jeśli naprawdę szpiegowała dla Libiri, to zdecydowanie nie była w tym dobra – prawie zmoczyła majtki tylko dlatego, że Leon tak długo na nią patrzył.

– Chciałam się dowiedzieć, jaki jesteś – wyjaśniła. – Zaciekawileś mnie.

– Ciekawość jest niebezpieczna – zauważyłem. – Słyszałem, że ciekawość zabija kotki... Tak się mówi?

Leon wywrócił oczami, po czym strzepnął na ziemię resztę skręta.

– Mniej więcej. Coś ci powiem, serduszko. Dołożę starań, żeby ta zabawa była dla ciebie trochę łatwiejsza, trochę bezpieczniejsza. Ponieważ podoba mi się ta gra. Chcę się z tobą zabawić.

Czekała mnie rola trzeciego koła u wozu, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Zresztą zawsze miałem w sobie coś z podglądacza – gdy ograniczałem się do patrzenia, odmawiałem sobie przyjemności, a to samo w sobie było dla mnie taką rozkoszą jak tortury. Podniecenie, wytrzymanie napięcia, jeszcze większe pobudzenie, aż do cholernego bólu... O tak...! To zdecydowanie była moja bajka. Dlatego pozwoliłem Leonowi się nią zająć. Przysłuchiwałem się, jak szepcze jej do ucha różne brudne obietnice, aż dziewczyna zaczęła drżeć jak osika. Potem przyparł ją do ściany i wsunął rękę w jej dzinsy.

Wystarczył jeden cichy kobiecy jęk, a zrobiłem się twardy jak skała – moje myśli zaś popędziły w kierunku Juniper.

Przesunąłem się w stronę wylotu uliczki, żeby stanąć na czatach. Raelynn jęczała i wiała się w ramionach Leona, obejmowała go za szyję i słała się na nogach. Mój kutas z taką siłą napierał na spodnie, że aż wbiłem pazury w dłonie, żeby nie stracić panowania nad sobą.

Niczego tak nie pragnąłem, jak wrócić do domu i wypieprzyć Juniper do nieprzytomności. Jej ciało należało do mnie, mogłem je torturować bólem i rozkoszą, mogłem z nim robić, co tylko chciałem. Ta kobieta była tak nabuzowana, że to prawdziwy cud, że nie eksplodowała. Pragnęła chwili zapomnienia, pragnęła wyrzucić z siebie to wszystko. Może i mnie nienawidziła, ale na pewno nie nienawidziła tego, co z nią wyprawiałem.

Nie pozwalała sobie na chwilę swobody... ale ja potrafiłem sprawić, że się rozluźniała. Zauważyłem to w lesie, kiedy ją złapałem i poinformowałem, że walka jest skończona. Oddanie się w moje ręce

uwolniło ją – co z tego, że tylko na moment – od rozpaczliwej potrzeby, żeby walczyć. Chętnie znowu podaruję jej chwilę ulgi.

W ramach samoudręczenia nie przestawałem się przyglądać, jak Raelynn drży, a słodki zapach jej podniecenia prawie doprowadzał mnie do szału. Wziąłem głęboki wdech i zacisnąłem ręce za plecami, bo nie mogłem już dłużej ukrywać pazurów.

Miałem zamiar zajechać Juniper po powrocie do domu. Jeśli chciała informacji, proszę bardzo, ale nic za darmo!

Raelynn przestała nad sobą panować, Leon zakrył jej ręką usta, żeby stłumić jęki. Kurwa, dobrze tak wyglądał – ręce obejmujące jej twarz, napięte ciało, zaciśnięte szczęki, prowadził ją właśnie na sam szczyt...

Co tu dużo gadać, jestem po prostu wiecznie napalonym facetem, dla którego dzień bez orgii jest dniem straconym. Zawsze chcę więcej: więcej podniet, więcej przyjemności, więcej bólu.

Leon musiał ją podnieść, kiedy dochodziła na jego palcach. Nadal przyciskał dłoń do jej ust, a jej powieki zatrzepotały, po czym zamknęła oczy. Gdy oparła się o ścianę, żeby złapać oddech, przyjaciel uniósł dłoń, a na widok lśniącego podniecenia na jego palcach pociekła mi ślinka.

– To było, kurwa, niesamowite – powiedziałem, obejmując go ramieniem, a on wysssał jeden palec. Kolejny palec podał mnie, a ja wylizałem go do czysta dokładnie w takim tempie, żeby zabrakło mu tchu.

– Zawsze środkowy palec – wymamrotałem.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Dla ciebie? Zawsze. – Był tak podniecony jak ja, a ja wiedziałem, że aż go skreca, żeby w niej zanurzyć kutasa. Ale w ten sposób zdradziłby swoją prawdziwą naturę. Przy odrobinie wysiłku potrafiliśmy ukryć większość swoich demonicznych cech, jednak dopilnowanie, żeby nasze

kutasy choć trochę przypominały ludzkie, było praktycznie poza naszym zasięgiem. Odsunął się, a dziewczyna drżącymi palcami zapięła dżinsy.

– Dzięki za wspólną zabawę. Do zobaczenia na kampusie, laleczko.

Niespiesznie oddaliliśmy się Main Street, omijając zataczające się grupki pijanych ludzi, po czym skręciliśmy w stronę jeziora. Wzdłuż brzegu płonęły ogniska, a my stanęliśmy w cieniu drzew i obserwowaliśmy wszystko z oddali.

– Wpadłeś jak śliwka w gówno – zauważyłem, kiedy gapił się na swoją dłoń, jakby jej soki na stałe wniknęły w jego skórę. Potrząsnął głową.

– To tylko zabawka.

– Taaa, jasne... Przynajmniej zawrzyj z nią układ, żeby zdobyć jej duszę. Niech będzie z tego jakiś pożytek.

Zmarszczył brwi.

– Może mi być trudno wypełnić moją część umowy, skoro Kent trzyma mnie za jaja.

Obaj w tym samym momencie poczuliśmy ten zapach – wiatr zmienił kierunek i w moje nozdrza uderzył smród psującego się mięsa, obrzydliwie słodki i lepki. Prychnąłem z obrzydzeniem, a Leon odwrócił się i spojrzał uważnie między drzewa.

– Pierdolony Eld – mruknął pod nosem. – I pierdoleni ludzie ustawiający się do nich w kolejce, jakby chcieli z siebie zrobić cholerny mięsny bufet. – Oczy mu się zaświeciły, lśniąca złoto zastąpiło bladą zieleń tęczówek, która zwykle służyła mu za kamuflaż. Z palców wystrzeliły mu pazury, a zęby się wydłużyły.

– Mam ci pomóc? – zapytałem. Potrząsnął głową.

– Nieee, potrzebuję spuścić trochę pary. – Poruszył w obie strony głową, aż strzeliło mu w karku, rzucił w moim kierunku ostatnie spojrzenie, po czym ruszył ku drzewom. – Do zobaczenia!

Zniknął w lesie, ja także musiałem już się zbierać. Miałem nadzieję, że Juniper nie będzie jeszcze spała, kiedy wrócę, bo ja też poczułem potrzebę, żeby spuścić trochę pary.

Zane

Dotarłem do domu po północy, wszystkie światła były już zgaszone. Poczułem się o wiele bardziej rozczarowany, niż powinienem, kiedy się zorientowałem, że Juniper prawdopodobnie już śpi. Nawiasem mówiąc, dlaczego ludzie musieli tyle spać...? To nie powinno mieć dla mnie żadnego znaczenia, przecież w każdej chwili mogłem wrócić na miasto i wybrać sobie kogoś w tłumie napalonych, zdesperowanych ludzi, chętnych, żeby się ze mną zabawić.

Tyle że wcale nie chciałem jakiegoś człowieka. Pragnąłem niepokornego podporządkowania Juniper. Chciałem jej rozpaczliwego pożądania. Chciałem zobaczyć w jej oczach to płomienne, wściekłe światło, kiedy z rozkoszy rozpadała się na milion kawałków.

Nie byłem takim dupkiem, żeby tak po prostu wejść i ją obudzić. To będzie cholernie długa noc...

Wyczułem dziwny zapach, ale nie mogłem go skojarzyć, dopóki nie znalazłem się przy drzwiach. Łaski cynamonu i kilka gałązek szaławii, związane razem i tłące się w miseczce przed drzwiami. Szałwia i cynamon były również rozrzucone na parapecie i na schodach wiodących na werandę.

Ich aromatyczny zapach pomagał odstraszyć Eldów. Metoda nie była niezawodna, jednak sposób był stary jak świat i na pewno lepsze to niż nic.

Drzwi były zamknięte na klucz, co mnie całkowicie zaskoczyło. Nigdy nie zamykałem drzwi, bo nie miałem powodu. A skoro tego nie robiłem, nie miałem też ze sobą kluczy.

Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Zwykle zamki ryglowe były banalnie proste do otworzenia. Wystarczył niewielki impuls z mojego umysłu i zamek odskoczył, a ja wszedłem do przedpokoju.

Wyczułem jej strach, gdy tylko zauważyłem ją przyczajoną w drzwiach kuchennych z pistoletem wycelowanym w moją głowę.

Posłałem jej nonszalanckie spojrzenie i uśmiechnąłem się szeroko, a ona westchnęła z ulgą.

– Spodziewałaś się kogoś innego, mała wilczyco?

Wstała, znużonym gestem potarła ręką kark i popatrzyła na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Gdy słońce zaczęło zachodzić, usłyszałam wycie bestii – wyjaśniła. – Co miałam robić, siedzieć z założonymi rękami i liczyć na to, że nie spróbują dostać się do środka?

Nie zmrużyła oka. Czuwała w ciemności, z bronią, czekając, aż potwory wedrą się do domu. Na myśl o tym ścisnęło mi się serce, tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłem ją wpadającą w panikę z powodu Leona.

Być może nie powinienem był zostawiać jej samej. Być może postąpiłem okrutnie, tak po prostu...

Ale nie. Ona nie potrzebuje, żebym ją niańczył. Nie bez powodu udało jej się tak długo przetrwać, a moja potrzeba zapewnienia jej bezpieczeństwa to zwykła próżność.

– Mądra dziewczynka – pochwaliłem ją, zamykając za sobą drzwi. – Teraz możesz odpocząć. Nie odważą się tu zajrzeć, kiedy jestem w domu. Jeśli chcesz, możesz nadal we mnie celować. To mnie kręci.

Zachichotała drwiąco.

– Co cię nie podnieca? Z tobą jest coś porządnie nie tak. – Z bronią w ręku pomaszzerowała do kuchni i sięgnęła do lodówki po piwo. Musiała zrobić zakupy, kiedy mnie nie było.

– Biorąc pod uwagę moją naturę, nic dziwnego, że lubię popieprzone rzeczy. Chcesz mi powiedzieć, że ciebie by to nie podnieciło? Nie ściemniaj. Uważam, że w tym momencie ten pistolet jest przedłużeniem twojej ręki. – Rzuciła mi gniewne spojrzenie, ale ja i tak czułem się dobrze. Co za ulga znaleźć się z powrotem w prywatnej przestrzeni, gdzie nie musiałem udawać, że jestem człowiekiem. Mogłem zrzucić przebranie, rozluźnić pazury i zęby. Utrzymywanie ludzkiego wyglądu wymagało ode mnie nieustannego wysiłku. – Wyobraź sobie, Juniper: ty, unieruchomiona przy ścianie, a ja wciskam lufę tego pistoletu głęboko w ciebie... – Jeszcze mocniej zmrużyła oczy, ale nie była w stanie ukryć swojego zapachu. Proszę, proszę. Co za pokręcona mała dziwka...! – Właśnie tak myślałem.

– Przecież ci nie odpowiedziałam, dupku! – Odłożyła broń na ladę, otworzyła piwo i upiła łyk. Oczy miała czerwone ze zmęczenia, jednak robiła dobrą minę do złej gry i była jeszcze bardziej bezczelna niż zwykle. – Rozmawiałeś z nim?

Co za wściekła mała istotka...! Postanowiła sobie, że nigdy nie wypowie jego imienia.

– Taaa. Powiedział, że Kent jest ostatnio nerwowy. Coś nie idzie po jego myśli, tyle że nie wiadomo, o co chodzi. Może warto to sprawdzić.

Kiwnęła głową.

– Racja. A co z Marcusem?

– Mam dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć?

Nie wyglądała na rozbawioną.

– Zła wiadomość. Dawaj.

– Aj, no cóż, zła wiadomość na pierwszym miejscu zepsuje ci radość z dobrej wiadomości.

– Po prostu mi powiedz, Zane.

Westchnąłem teatralnie, ale, szczerze mówiąc, im bardziej nieміło się zachowywała, tym większą miałem ochotę, żeby rzucić ją na ladę i wypieprzyć z niej tę całą arogancję.

– Jak chcesz. Zła wiadomość jest taka, że twój drogi brat Marcus znajduje się w kopalni White Pine.

Zacisnęła palce na puszcze z piwem, zgniatając metal.

– Kurwa mać! Skurwiel tak po prostu wrzucił go do kopalni?

– Tak. Szkoda, że tak się stało, ale formalnie rzecz biorąc, twój brat znów jest pogrzebany – zauważyłem. – A przynajmniej jest pod ziemią.

Gdyby jej spojrzenie mogło zabić, już bym nie żył.

– W takim razie jaka jest dobra wiadomość?

– Jak by ci to powiedzieć... Hmm, dobra wiadomość jest taka, że dowiedziałem się, gdzie znajduje się ciało. – Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. – Mówiłem ci, że zła wiadomość zepsuje ci radość z dobrej!

– Jak ja cię, kurwa, nienawidzę! – To niesamowite, jak szybko ta kobieta się ruszała! Błyskawicznym ruchem wyrwała nóż z drewnianego bloku i wzięła zamach, żeby nim we mnie rzucić – tyle że chwyciłem ją za nadgarstek, zanim zdołała wystrzelić swój pocisk. Warknęła na mnie z wściekłością i rzucała się jak szalona, unieruchomiona między mną a ladą, kiedy się nad nią pochyliłem.

– Nie zabijaj posłańca, mała wilczyco – powiedziałem cicho. – Chyba będę musiał ukryć przed tobą ostre i niebezpieczne narzędzia.

– Nawet, kurwa, o tym nie myśl! – warknęła. – Przecież i tak bym cię nie zabiła. – Z całej siły napierała na moją dłoń, ale nie miała ze mną najmniejszych szans. – Prawdopodobnie całkiem by ci się to spodobało. Stanąłby ci, gdybym znów cię zraniła nożem!

– I tu mnie masz! – przyznałem. – Z kolei tobie się podoba, kiedy przejmuję kontrolę. – Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, a jej miotające

błyskawice oczy wyraźnie się rozszerzyły. Czułem, że jej biodra ocierają się delikatnie o moje, zamykając wolną przestrzeń między nami. Całe godziny tęsknoty za nią, spotęgowanej przyglądaniem się Leonowi i jego napalonej zabaweczce, miały wkrótce znaleźć swój finał w ogromnej eksplozji.

Pragnąłem jej. Chciałem ją wziąć teraz.

A ona, pomimo swojej wściekłości, też tego chciała.

Pochyliłem głowę, aby mój oddech owiewał jej szyję. Natychmiast dostała gęsiej skórki, a jej puls nieznacznie przyspieszył.

– Powiedz „nie”, Juniper – kusilem. – No dalej...! Powiedz mi, że tego nie chcesz, a ja bez wahania przestanę. Nie ściemniam.

Zacisnęła zęby, a jej oddech nadal drżał, kiedy moje usta wędrowały wzdłuż jej ucha. Kurwa, jak wspaniale pachniała...! Jej skóra wydzielala aromatyczny zapach potu, była miękka i ciepła. Miałem ochotę ją ugryźć. Miałem ochotę poczuć smak jej krwi na języku i słuchać, jak wściekłość w jej głosie roztapia się w nieodpartą rozkosz.

Powoli przesuwalem się w dół, nie przestając całować jej szyi, a mój oddech pieścił ją tak samo jak moje usta. Zatrzymałem się na obojczyku, na łagodnym zaokrągleniu ramienia, a następnie zacząłem ją kąsać. Jutro rano będzie cała w sińcach. W ten sposób nie zapomni, że jest moja.

– Jakie to urocze. Waleczna Juniper lubi delikatne pocałunki.

Próbowała prychnąć, ale z jej ust wydobyło się miękkie westchnienie.

– Ja... Ja wcale...

– Wcale nie jesteś urocza? Owszem, jesteś. Urocze wściekłe maleństwo.

Warknęła, jakby chciała odgryźć mi głowę, ale nadal drżała przy każdym moim ukąszeniu. Jej podniecenie pachniało coraz mocniej, a mnie aż ślinka ciekła. Chciałem wsunąć jej rękę w spodnie i sprawdzić, jak bardzo jest śliska, ale jeszcze bardziej chciałem, żeby błagała, żeby to zrobił.

Chciałem, żeby tego pragnęła.

– Uwolnię teraz twój nadgarstek – oznajmiłem – więc bądź ostrożna z tym nożem.

Uśmiechnęła się szelmowsko, obserwując mnie spod oka.

– A co? Boisz się, że zrobię ci ziaziu?

Wydałem z siebie głęboki pomruk, będący jednocześnie ostrzeżeniem i obietnicą.

– Jeśli spróbujesz mnie ugodzić, będę musiał cię ukarać.

Nadal była spięta i nadal złośliwie się uśmiechała. Gdy tylko puściłem jej nadgarstek, natychmiast zrobiła to, przed czym ją ostrzegałem.

Próbowała mnie zranić, choć dobrze wiedziała, jakie będą konsekwencje; a być może ponieważ wiedziała, jakie będą konsekwencje.

Jeśli zamierzała sprawdzić, czy spełnię swoją groźbę, byłem gotów od razu jej udowodnić, że to nie były czcze pogrózki.

Chwyliłem ją ponownie, zanim zdołała wymierzyć cios, a ona wykręciła się tak szybko, że poślizgnęła się i wylądowała na podłodze. Nóż wypadł jej z ręki, a zanim udało jej się go odzyskać, już byłem na jej plecach i przyciskałem ją do chłodnych płytek podłogowych.

– Ajajaj, Juniper, Juniper... – cmoknąłem z dezaprobatą. – Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką. W atakowaniu nożem nie ma nic sympatycznego.

– Taaa, a ty niby chcesz, żebym była sympatyczna...! – wycodziła, obnażając z wściekłością zęby i rzucając się pode mną. Miała rację – podobała mi się właśnie taka. Słusznie wkurzona, gotowa zaprzeczać do ostatniego tchu, że wszystko, co robi, przybliży ją do tego, czego tak rozpaczliwie pragnie – dobrego, ostrego rżnięcia.

Mocnym chwytem unieruchomiłem jej nadgarstki za plecami i przesunąłem pazurami po jej ramionach. Syknęła z bólu, a jej biodra

gwałtownie się uniosły, idealnie wpasowując się między moje nogi i uderzając mnie prosto w jaja.

– Co mówimy, jeśli chcemy przestać, Juniper? – Chciałem się upewnić, że pamięta, dopóki jeszcze nie zatraciła się zupełnie w naszej walce i zachowała resztki logicznego myślenia. – Przypomnij mi to słowo. Wypowiedz je teraz, bo inaczej kończymy zabawę.

Zacisnęła zęby, przez chwilę bezskutecznie próbowała złapać oddech, zmęczona po przepychankach ze mną, aż wreszcie udało jej się wyszeptać:

– Litości.

– Mamy to. A teraz... – Podniosłem ją, nadal nie uwalniając jej rąk, i popchnąłem w stronę lady, gdzie przechyliłem ją twarzą do blatu. – Mówisz, że coś jest ze mną nie tak ze względu na moje upodobania, ale... – Powoli położyłem rękę na pistolecie i patrzyłem, jak rozszerzają się jej oczy. – ...nasze upodobania aż tak bardzo się od siebie nie różnią. Jesteś dokładnie tak samo pokręcona jak ja.

Wziąłem broń i wyrzuciłem magazynek, po czym sprawdziłem, czy w komorze nie zostały kule. Szybki ruch palcem i pistolet był zabezpieczony. Nieczęsto miałem do czynienia z ludzką bronią, jednak z zasady wolałem poznać podstawowe zasady działania przedmiotów, które mogły zabić, nawet jeśli sam z nich nie musiałem korzystać. Pieszczotliwym ruchem dotknąłem metalowym przedmiotem jej boku, przesuwając go po żebrach i miękkiej wypukłości biodra. Każdy centymetr jej ciała był spięty, a kiedy lufa dotarła do uda, dziewczyna wstrzymała oddech.

– Czuję zapach twojej słodkiej cipeczki, Juniper – powiedziałem z uśmiechem, a ona zatrzepotała powiekami, na chwilę zamknęła oczy, po czym otworzyła je szerzej niż wcześniej. Boże, uwielbiałem się przyglądać,

jak z tym walczy – z własnym podnieceniem, rozkoszą, z nieposkromionym pragnieniem. – Pochwal się, majtki już przemoczone?

– Sam się przekonaj – odparła. Włosy jej opadły na twarz, a policzki się zaróżowiły. Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

– Chciałabyś, co? – Zadrzała, a jej biodra znowu do mnie przylgnęły. Wygięła plecy w niemym błaganiu, żebym nie zwlekał. Mocniej chwyciłem jej nadgarstki i przesunąłem broń między jej nogi, trącąc uda zimnym metalem. Zacisnęła nogi, wstrząsną ją dreszcz, gwałtownie nabrała tchu.

– Chciałabyś, żebym cię dotykał, zaspokajał, doprowadzał do orgazmu, podczas gdy ty będziesz udawać, że wcale tego nie chcesz. Bez szans, Juniper. – Pochyliłem się nad jej plecami, opierając się o nią, żeby dobrze poczuła mój ciężar. – Jeśli chcesz więcej, będziesz musiała mnie o to błagać.

– Ja nie... ja nie błagam. – Otarła się o pistolet, ale pieśczoła stłumiona przez materiał dzinsów jej nie wystarczała, przynajmniej tak się domyśliłem, słysząc niezadowolone sapanie.

– Myślę, że jednak tym razem to zrobisz – szepnąłem jej prosto do ucha. – Spójrz na siebie, kleisz się do mnie jak suka w rui. Cholernie cię tam swędzi, co? Jak długo wytrzymasz, hmmm? Ile jeszcze... – Przesunąłem wylotem lufy tam i z powrotem, dokładnie w miejscu, gdzie pod ubraniem kryła się łechtaczka. – ...będziesz w stanie to znieść, Juniper?

Z jej ust wyrwał się cichutki, ledwo słyszalny jęk. Wstrząsały ją drgawki, ale robiła, co mogła, żeby ukryć ogarniające ją pożądanie.

– No właśnie... – Pozwoliłem sobie delikatnie z niej zadrwić. – Przyjemnie, co? Ale nie tak przyjemnie, jak by mogło być. – Puściłem jej nadgarstki, żeby odpiąć guzik przy jej dzinsach. Zacisnęła ręce na ladzie i gwałtownie nabrała tchu, po czym ponownie ścisnęła usta. – Nie pozwolę

ci skończyć tak długo, jak to będzie konieczne. Dopóki nie usłyszę tego słowa.

– Jakiego słowa? – Głos jej się łamał. Biedne napalone maleństwo. Nie mogła bez końca powstrzymywać jęku.

– „Proszę” – wymamrotałem, trąc ją pistoletem i parskając śmiechem, bo natychmiast próbowała się o niego ocierać. – „Proszę” – wyszeptalem to słowo przeciągle, prosto do jej ucha i zacząłem poruszać biodrami w tym samym tempie, co bronią, celując lufą między jej nogi. – Proszę... Wyduś wreszcie z siebie to cholerne „proszę”...

Oddychała coraz szybciej, serce jej waliło. Próbowała opuścić dzinsy, jakby w ten sposób zamierzała mnie zachęcić to wykonywania szybszych ruchów. Osiągnęła wręcz odwrotny efekt – postanowiłem, że nie odpuszczę jej szybko. Chwyciłem ją za rękę, zanim udało jej się ściągnąć spodnie, a ona chciała mi ją wyrwać, siłowała się ze mną.

– Ajajaj, Juniper, serio...? – Ponownie przywołałem ją do porządku; przywarła do mnie, a ja objąłem ją wolną ręką i chwyciłem za gardło. Podniosłem broń i pogładziłem ją lufą po policzku. – Mam przestać? Tylko słowo, a przestanę, mała wilczyco.

– Nie. – Wypluła to słowo, jakby było przekleństwem, jakby ją doprowadzało do szału. – Nie przestawaj... Cholera... Nie... przestawaj...!

– Nie przestawać? Ach, pewnie masz na myśli, żebym nadal się nie spieszył.

Ściągnąłem ją na podłogę, a ona zakłęła, gdy przycisnąłem jej twarz do płytek. Podniosłem jej biodra, tak żeby opierała się o mnie tyłkiem. Nie uniosła głowy, kiedy gwałtownym ruchem opuściłem jej dzinsy do kolan. Majtki miała mokre, ciasno przylegające do cipki. Trąciłem ją pistoletem, dotykając lufą najbardziej wilgotnego miejsca. Choć rozkoszowałem się jej cierpieniem, biorąc ją na przetrzymanie, w ten sposób torturowałem

również siebie. Pragnąłem dorwać się do niej ustami, chciałem poczuć na języku jej smak.

– Zane... – wyjęczała moje imię, a ja miałem wrażenie, jakby właśnie dołała benzyny do tłącego się we mnie pierwotnego ognia. Nie byłem w stanie dłużej się opierać, pragnienie, żeby ją wziąć, całkowicie mną zawładnęło. Zatopiłem pazury w jej biodrach i roześmiałem się, widząc, jak drżą mi ręce.

Cholera, dziewczyna wiedziała, jak do mnie dotrzeć... Praktycznie okręciła sobie mojego chuja wokół paluszka.

– Wiesz, co powiedzieć, Juniper. – Pistoletem odsunąłem na bok jej majtki i aż się oblizalem na ten widok. Metal błyszczał od jej podniecenia, gdy delikatnie przesunąłem po niej lufę, a jej uda zadrżały pod wpływem chłodnego dotyku.

Odezwała się cichym, stłumionym głosem, ale słowa, które padły z jej ust, były okrutne:

– Nie sądzę, żebyś był w stanie dłużej czekać. Chcesz tego... za bardzo tego pragniesz.

Oczy mi się rozszerzyły. Ta śmiertelniczka myśli, że ma silniejszą wolę ode mnie?

– Proponujesz niebezpieczną grę, Juniper.

Rozchyliła nogi nieco szerzej, na tyle, na ile pozwoliły jej zwinięte dzinsy.

– Myślę, że... oboje wiemy... oboje jesteśmy świadomi, że demony nie potrafią się oprzeć... pokusie.

Przesunąłem językiem w górę jej uda, następnie po wypukłości jej pośladka, a wreszcie ugryzłem ją jak brzoskwinię. Jęknęła, ale się nie ugięła.

– Owszem, chcę zanurzyć kutasa w tej gorącej cipce – warknąłem. – Ale ty się złamiesz, zanim to zrobię.

Wypięła się trochę bardziej, mocniej przyciskając się do wylotu broni. Nie poruszałem teraz pistoletem, po prostu go trzymałem, ale ona nie potrzebowała niczego więcej. Wygięła plecy i napała mocniej, jęcząc, kiedy lufa się w nią wślizgnęła. Cipka zacisnęła się wokół niej, śliska i napęczniała z podniecenia. Dziewczyna kołysała się do przodu i do tyłu, pieprząc pistolet. Kiedy spojrzałem na jej twarz, posłała mi z podłogi szelmowski uśmiech.

– Chciałbyś, żeby to był twój kutas – stwierdziła, oblizując swoje miękkie idealne usta. – Ale ja mogę dojść na spluwie. Nie robi mi to żadnej różnicy.

Nie mogła się powstrzymać, musiała wbić mi szpilę. Ręka sama mi wystrzeliła, chwyciłem ją za twarz i ścisnąłem jej policzki, ale ona nie przestawała się śmiać. Wepchnąłem w nią pistolet, głęboko i mocno.

– Nie robi ci to różnicy? Serio? Myślisz, że pozwolę ci dojść, chociaż ciągle mi się stawiasz?

– Tak właśnie myślę – wyrzuciła z siebie bez tchu, a po jej udach pociekły soki. – Nawet jeśli teraz nie dokończysz, zamknę się na górze i dojdę bez ciebie.

Pochyliłem się nad nią, ściskając ją mocniej i nie przestając pieprzyć pistoletem.

– Myślisz, że zamknięte drzwi to dla mnie, kurwa, jakiś problem? Wyrwę je razem z pierdolonymi zawiasami, Juniper. Przywiążę cię do łóżka i zaczekam, aż będziesz ze łzami błagać, żeby pozwolił ci dojść!

Zatrzepotała rzesami, oczy jej się wywróciły białkami do góry. Kurwa mać, moje groźby nie robiły na niej najmniejszego wrażenia, wręcz przeciwnie – zbliżyły ją do wielkiego finału. A ja nawet nie chciałem

przestać... Chciałem zobaczyć, jak ta wspaniała cipka się kurczy, a potem tryska. Kutasa miałem tak twardego, że aż bolało; pulsujący organ domagał się, żebym go w niej zanurzył.

– Nie zdołasz się oprzeć. – Jawnie sobie ze mnie drwiła; oczy jej błyszczały, a policzki były zaróżowione z rozkoszy. – Wiesz, że chcesz to poczuć... ach... tak bardzo chcesz poczuć, jaka mokra jestem...

Klnę się na pierdolonego Lucyfera, jeśli natychmiast się nie zamknie...

– O Boże! – jęknęła, a ja poczułem dodatkowy opór, kiedy próbowałem głębiej wepchnąć w nią broń, jej ścianki się zacieśniały. – Ja... ja zaraz dojdę...

Co do tego nie było, kurwa, wątpliwości.

Gwałtownie podniosłem ją z podłogi i rzuciłem na plecy.

– Masz czelność, żeby wzywać Boga...! – warknąłem. – To moje imię będziesz krzyczeć!

Odepchnąłem broń, która pomknęła po śliskich płytkach, a sam rzuciłem z siebie dżinsy, praktycznie rozrywając materiał. Dziewczyna chichotała – nie mogła złapać tchu, ale i tak śmiała się, kurwa, ze mnie. Zerwałem z niej spodnie i porwałem w strzępy majteczki. Leżała teraz przede mną naga.

Miałem ochotę ją rozerwać.

Miałem ochotę zjeść ją żywcem.

Kurwa, chciałem, żeby ta ciasna, mokra dziurka zamknęła się wokół mnie.

Chwyciłem ją za gardło, zgiąłem jej nogi tak bardzo, że kolanami prawie dotknęła ramion. Nawet teraz nie odpuściła i wyszeptwała chrapliwym głosem:

– Wiedziała... wiedziała, że nie masz... silnej woli.

Wszedłem w nią ostro i bezlitośnie. Byłem o wiele większy niż pistolet, więc krzyczała, kiedy ją rozciągnąłem, a nogi jej zaczęły się trząść. Pieprzyć liczenie się z czasem, pieprzyć to całe czekanie...! Każdy jej krzyk dodatkowo mnie nakręcał, a kiedy jej głos zaczął drżeć tak jak jej ciało, nadeszła moja kolej na śmiech.

– Bezczelna mała dziwka – jęknąłem, ściskając ją za gardło.

Zacisnęła palce u stóp. Oczy wywróciły jej się białkami do góry. Ścisnąłem ją za szyję, kiedy dochodziła, i przyglądałem się, jak wyraz jej twarzy zmienia się z przyjemności na czystą ekstazę. Dałem jej dokładnie to, czego chciała; miała rację, nabijając się ze mnie. Było w niej coś, było coś w sposobie, w jaki jej ciało napinało się i pulsowało wokół mnie, w jaki jej paznokcie wbijały się w moje plecy, a usta rozchylały, co rozpałało najbardziej mroczne zakątki mojej duszy. Przy niej moja silna wola przestawała, kurwa, istnieć.

Doszedłem, wstrząsany potężnym dreszczem, wypełniając ją do pełna, rozkoszując się jej cichutkim pojękiwaniem, kiedy mój kutas pulsował wewnątrz niej. Nie mogła złapać tchu, trzęsa się, uda miała lepkie od swojego podniecenia i ociekające moim nasieniem. Wstałem i oparłem się o ladę, a ona leżała u moich stóp, próbując odzyskać oddech.

– Wiedziałam! – oznajmiła z triumfem w głosie. – Wiedziałam, że cię przetrzymam.

Miałem ochotę huknąć w ten marmurowy blat tak mocno, żeby przełamał się na pół.

Powoli usiadła i oparła się o szafki, nadal chichocząc, nadal z trudem łapiąc oddech, nadal cholernie z siebie zadowolona.

– Jutro jedziemy do White Pine. Trzeba wydobyć stamtąd Marcusa. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko. – Chyba że masz stracha.

– Niczego się, kurwa, nie boję – warknąłem. Doszedłem tak intensywnie, że przez moment widziałem wszystko jak przez mgłę, a i tak ciągle chciałem więcej. Byłem uzależniony, wpadłem w pieprzoną obsesję. A tymczasem ona była cholernie z siebie zadowolona.

Miałem problem. Ogromny problem.

Przykucnąłem, obrzucając gniewnym spojrzeniem jej piękną twarzyczkę, na której wyraźnie malował się wyraz triumfu.

– Jeszcze nawet nie zacząłem porządnie cię rznąć, dziewczyno. Myślisz, że wygrałaś tę rundę? Tylko narobiłaś mi ochoty, żebym się ostrzej za ciebie wziął.

Jednak ona uśmiechnęła się promiennie i pokazała mi z podłogi środkowy palec.

– A ja już cię porządnie zerznąłam, mój mały demonie. Runda pierwsza dla mnie!

Juniper

Przyzwyczałam się do samotności. Tak było bezpieczniej. Często się przeprowadzałam i nigdzie nie zagrzewałam miejsca na dłużej. Nie używałam prawdziwego nazwiska i nikomu nie ufałam. Rzadko miałam okazję korzystać z życia towarzyskiego i przyjemności. Nigdy nie byłam specjalnie sympatyczna, więc niełatwo mi było zdobywać nowych przyjaciół. Jednak w ciągu lat, które minęły, odkąd opuściłam Abelaum, nauczyłam się, że relacje z ludźmi są jak kamień u szyi. Przywiązywanie się do kogoś albo pozwalanie, żeby ktoś przywiązał się do mnie, było wręcz absurdalnie głupie. Stanowiłam niebezpieczeństwo dla każdej osoby, do której się zbliżyłam; byłam chodzącą przynętą na przekłętę, obdarzone magicznymi mocami potwory.

Związki były trudne, ale za to seks był łatwy. Był to mój ulubiony sposób na rozładowanie emocji, tylko tak mogłam choć na chwilę zapomnieć o nieustannie dręczącym mnie niepokojem. Jednak przygody na jedną noc nie dawały mi nic więcej. Dobry seks – czyli taki, po którym byłam obolała i upojona orgazmem – trafiał mi się rzadko.

Przynajmniej tak było do tej pory.

Przez Zane'a mój mózg zamienił się w wypełnioną pożądaniem sieczkę. Jego zapach mnie rozpraszał, a w tym domu był dosłownie wszędzie. Nie mogłam nawet spokojnie poleżeć na kanapie, bo również tutaj czułam jego woń. Moje ciało stawało w płomieniach za każdym razem, kiedy go widziałam. Następnego dnia rano, kiedy próbowałam przyrządzić sobie

śniadanie, żeby się wzmocnić przed czekającym nas ciężkim zadaniem, poczułam na sobie ciężar jego wzroku.

Nie potrafiłam patrzeć na kuchenną ladę tak samo jak wcześniej. Jajka smażyły się na patelni, a ja wpatrywałam się w nią ze złością, a w uszach nadal dźwięczały mi moje własne żalosne jęki. Niech to, przez niego zrobiłam się taka zdesperowana...! Zmusił mnie do wydawania zupełnie nowych dla mnie dźwięków, nawet nie wiedziałam, że jestem w stanie wydusić z siebie coś takiego...! Nigdy nie traktowałam broni jako erotycznego gadżetu, a on, Boże święty, doprowadził mnie do takiego stanu, że wypieprzyłam własny pistolet. Tyle dobrze, że on był tak samo napalony; tyle dobrze, że poddał się pierwszy. A orgazm, który przeżyłam, był...

Pospiesznie wyłączyłam kuchenkę, bo prawie spaliłam jajka. Zakląłam ze złością, ale i tak położyłam je na talerzu obok tosta. Nie miałam zamiaru marnować dobrego jedzenia.

Naprawdę myślałam, że kiedy zawrzemy pakt, Zane – jak dżin z cudownej lampy Aladyna – będzie znikał, kiedy akurat nie będę go potrzebować. Ale byłam naiwna! Teraz, kiedy byliśmy już na zawsze związani, kiedy podpisaliśmy pakt krwią i nasieniem, nie mogłam się go pozbyć.

Zresztą nawet nie chciałam.

Kolejna rzecz, jakiej się nauczyłam w ciągu lat spędzonych na walce o przetrwanie, to zawsze udawać pewną siebie, nawet kiedy wiedziałam, że mam przejebane. Jeśli wystarczająco wiarygodnie odgrywałam brawurę, miałam szanse na przetrwanie kolejnego dnia.

Jechaliśmy w kierunku White Pine, promienie słoneczne przedzierały się przez chmury, byłam dobrej myśli. Adrenalina w moich żyłach szalała, a ja

niecierpliwie bębniłam palcami w drzwi samochodu. Miałam przytroczony do uda pistolet, strzelbę na plecach, nóż przy kostce i demona przy boku.

Tym razem będzie zupełnie inaczej. Jestem teraz starsza. Silniejsza. Nie jestem już bezbronna.

Wjechaliśmy głęboko w las. Drzewa były okolone winoroślą, a wokół ich korzeni skupiły się paprocie, z obu stron otaczały nas ściany wibrującej zieleni. Z radia dobiegały głośna muzyka, akurat leciał kawałek KennyHoopla, a ja kiwałam głową w jego rytm.

Próbowałam myśleć tylko o tym, co się będzie działo później, kiedy już to zrobimy. Pochowam Marcusa koło chatki taty, na podwórku, gdzie jako dzieci spędziliśmy tak wiele weekendów na wspólnej zabawie. Chatka leżała na odludziu, w spokojnym miejscu. Jeśli demon Kenta ponownie będzie próbował odnaleźć jego ciało, wątpię, czy będzie szukał akurat tam.

Jednak gdy skręciliśmy z asfaltu w wijącą się między drzewami wąską leśną dróżkę, mój entuzjazm osłabł. Żołądek miałam ściśnięty, a na piersi czułam duszący ciężar. Droga kończyła się metalową bramą z zardzewiałym napisem „Wstęp wzbroniony”.

Zane wyłączył silnik.

– Wszystko w porządku? – Przytaknęłam. – Nie kłam, Juniper.

– Nic mi nie jest – odparłam, dokładając starań, żeby zabrzmiało to krótko i szorstko. Gwałtownym szarpnięciem otworzyłam drzwi, zatrzasnęłam je za sobą i oparłam się o nie. Nic mi nie będzie. Dam sobie radę. Kilka razy głęboko odetchnęłam, wciągając do płuc świeże, rześkie powietrze. Ale pod ostrym zapachem sosen wyczuwalne było coś innego, coś chorego i zepsutego.

To właśnie tutaj – dokładnie w tym miejscu – Victoria i ja wiele lat temu spróbowałyśmy kwasu. Leżałam wtedy w tej trawie i gapiłam się na

konary nade mną. Potem błąkałam się po lesie, a Victoria prowadziła mnie za rękę.

Katedra pod wezwaniem Świętego Tadeusza znajdowała się za ogrodzeniem, budynek krył się wśród drzew. Nie byłam tutaj od tamtego czasu. Lekarze próbowali mnie namówić, żebym wróciła do świątyni i sama się przekonała, że jest pusta, ale odmówiłam. No i co z tego, że kościół nie był już wypełniony odzianymi w białe szaty członkami sekty? No i co z tego, że nie można było znaleźć dowodu na to, co tam się stało?

Ta katedra nigdy nie była pusta. Była pełna wspomnień, pełna bólu.

– Juniper.

Gwałtownie obróciłam głowę, ale Zane nawet nie wysiadł jeszcze z auta. Pewnie chciał mi dać chwilę dla siebie. Wiatr szumiał w koronach drzew, suche jesienne liście drżały. Zmarszczyłam brwi. Skoro to nie Zane się odezwał, zatem...

– Juniper.

Chmury zasłoniły słońce, znalazłam się w cieniu i poczułam wspinający się po kręgosłupie chłód. Odwróciłam się powoli i badawczo przyjrzałam się drzewom. Zieleń była głęboka i soczysta. Każdy centymetr terenu pokryty był roślinnością, a las wokół mnie wydawał się oddychać. Wiatr, śpiew ptaków, trzaskanie gałęzi...

W głowie zabrzmiało mi echo słów dziadka: „Jeśli las zawoła cię po imieniu, nie odpowiadaj. Uciekaj”.

Istota z głębin wiedziała, że tu jestem.

Podskoczyłam, kiedy drzwi samochodu się otworzyły. Zane oparł ręce na dachu, przyglądając mi się wyczekująco.

– Spróbujmy jeszcze raz. Wszystko w porządku?

Pewność siebie. Zawsze należy być pewną siebie.

– Tak. Najzupełniej. – Powoli ściągnął brwi. – Nic mi nie jest. Pospiesz się, bo zaraz kończy się dzień. Chodźmy do kopalni.

Szłam przodem, a każdy kolejny krok wydawał mi się cięższy od poprzedniego. Dróżka wiodąca w głąb lasu była wąska, ledwo mieściła się na niej jedna osoba. Miałam ze sobą tylko broń oraz niewielki plecak ze sprzętem do wspinaczki – uprzężą, linami, hakami. Poprzednio wydostałam się z szybu bez sprzętu, ale to, że mi się udało, należy traktować w kategorii cudu.

Każda cząstka mojego ciała wzdragała się przed powrotem w to miejsce, każdy krok był walką z szalonym pragnieniem, żeby zawrócić. Zdawałam sobie sprawę, że ta cała wyprawa to głupota, w końcu Marcus nie żył. Nie zwrócę mu życia, niezależnie od tego, gdzie pochowam jego ciało. Jednak byłam już w tej kopalni, byłam w tej ciemności. Przerazenie, które budziło we mnie to miejsce, pozostanie ze mną już na zawsze, a myśl, żeby zostawić tam własnego brata, była nie do zniesienia. To po prostu nie wydawało się w porządku.

Na niebie gromadziło się coraz więcej chmur i przez to robiło się coraz zimniej, lada moment spadnie deszcz. Mocno chwyciłam paski plecaka, a zęby zacisnęłam tak bardzo, że rozboleła mnie żuchwa. Ścieżka częściowo była zarośnięta, musiałam przekraczać krzaczki i pleniące się pnącza.

Zatrzymałam się w miejscu, gdzie dróżka się rozwidlała. Rozprostowałam ścierpnięte palce u rąk, próbując odzyskać w nich czucie. Na prawo ścieżka opadała w dół, stawała się coraz szersza, w miarę jak zbliżała się do katedry. Na lewo wznosiła się w górę...

Zamknęłam oczy. W uszach słyszałam jakby ryk dalekich fal, jednak w tym hałasie kryła się cisza. Ta przerażająca, dusząca cisza, która cię

otacza, kiedy jesteś pod ziemią, a jedyny dźwięk, który do ciebie dociera, to leniwe kapanie wody w oddali.

– Nie odpływaj, mała wilczyco.

Otworzyłam oczy. Zane szedł zaraz za mną, dzieliło nas zaledwie kilkanaście centymetrów. Nie dotykał mnie, ale miałam wrażenie, że na moim karku spoczywa ręka. Jednak nie było to przerażające, a raczej krzepiące, dodawało mi otuchy.

W mojej piersi wezbrało rozpaczliwe pragnienie, żeby poczuć wokół siebie jego ramiona. To kolejna rzecz, bez której nauczyłam się obywać – dotyk, szukanie pociechy w objęciach drugiego człowieka, intymność trzymania kogoś za rękę. W ciągu ostatnich kilku lat decydowałam się na fizyczną bliskość, tylko jeśli zamierzałam się z kimś pieprzyć. Seks też był rodzajem dopuszczenia kogoś do siebie, ale intymność zwykłego fizycznego kontaktu była o wiele bardziej intensywna.

Wzięłam głęboki oddech i skręciłam w lewo. Ramiona demona były ostatnim miejscem, w którym powinnam szukać ukojenia.

Gałęzie drzew zwieszały się nisko nad ścieżką, a korzenie kłębiły się pod nogami, musiałam poruszać się bardzo ostrożnie, żeby się nie potknąć. Zaczęły padać zimne krople deszczu, a las zamilkł. Atmosfera była napięta, całkiem jakby świat wstrzymał oddech. Uważnie wpatrywałam się między drzewa, żeby nie przeoczyć żadnego podejrzanego ruchu. Eldowie zwykle nie wychodzili na światło dzienne, ale były również inne bestie, który mogły nas ścigać.

Coś trzasnęło pod moją stopą, więc się zatrzymałam. Na ściółce leżał zgnieciony drobiazg, trójkąt z gałązek związany sznurkiem. Podniosłam go i z zaciekawieniem obracałam na dłoni połamane kawałki. Między sznurek wplecione zostały rybnie ości, a na gałązkach były niewielkie nacięcia.

– Mój dziadek robił takie talizmany – powiedziałam. – Rozwieszał je na werandzie i w stajni. Mówił, że ochronią konie.

– Mają mniej więcej taką skuteczność jak świece zapalone, żeby stłumić zapach martwego ciała – zauważył Zane.

Wyrzuciłam amulet i ruszyłam przed siebie, ale wkrótce zauważyłam, że między drzewami jest ich o wiele więcej. Najpierw dostrzegłam tylko kilka, tu i tam. Jednak po chwili było ich już kilka tuzinów, zwisały z niskich gałęzi nad naszymi głowami, a Zane musiał się pod nimi schylać. Kołysały się na lekkim wietrze, a dźwięk uderzających o siebie patyczków wydawał się dziwnie upiorny w cichym lesie.

Ścieżka nie wiodła już pod górę. Gwałtownie się zatrzymałam.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziałam. – To tutaj.

Przed nami był szyb górniczy White Pine. Znajdował się na zboczu wzgórza, a na starych deskach, które zasłaniały wejście, dostrzegłam stare plamy oraz wypalone znaki – dziwne runy, przypominające blizny na mojej piersi. Obok stał wbity w ziemię wyblakły znak „Uwaga: otwarty szyb! Zakaz wstępu”. Wejście zostało zabite deskami, jednak drewno przybite w poprzek było wyraźnie nowsze niż obudowa – blade i szorstkie, a na gwoździach nie było ani śladu rdzy.

Szyb niedawno został otwarty, prawdopodobnie kiedy wrzucili do niego ciało Marcusa.

Gdy podeszliśmy bliżej, poczułam ściskające mnie za gardło przerażenie. Spomiędzy desek sączyło się zimne powietrze, tak lodowate, że dostałam gęsiej skórki. Pachniało mokrymi kamieniami, morskim powietrzem i pleśnią. Zane zaczął odrywać deski, a wtedy poczułam inny zapach. Obrzydliwie słodki, od którego natychmiast zrobiło mi się niedobrze. Zapach gnijącego ciała.

Zane zajrzał w mroczną głębie, krzywiąc usta.

– Przyznam, że nie mam najmniejszej ochoty, żeby się znaleźć tak blisko Boga. – Prychnął. – Szczerze mówiąc, to miejsce jest obrzydliwe.

Obrzydliwe – to delikatnie powiedziane.

Rozpadało się na dobre, a ja zaczęłam przygotowywać sprzęt wspinaczkowy. Szyb został zniszczony podczas zalania kopalni, ścieżka wiodąca w dół prawie już nie istniała. Zostało tylko krótkie, strome, błotniste zbocze, gwałtownie spadające do zalegającej poniżej wody. Pamiętałam, jak ślizgałam się w błocie, próbując znaleźć jakiś punkt zaczepienia, zagłębiając palce w mokrej ziemi, ale ciągle osuwając się w dół...

Potrząsnęłam głową. Zero myśli, tylko działanie. Zero emocji, tylko przetrwanie.

– Juniper.

– Co? – Podniosłam głowę, ale Zane jedynie zmarszczył brwi. – No co?

– Nic nie mówiłem.

Podkręciłam tempo. Nie mogłam teraz stracić odwagi. Przywiązałam linę do dużego głazu przed szybem, żeby zapewnić sobie asekurację. Starłam się nie spoglądać w ciemność i nie myśleć, jak to będzie zjeżdżać w dół. Przymocowałam latarkę do kurtki, jeszcze raz sprawdziłam linę i oznajmiłam:

– Jeśli go znajdziemy, to ty go poniesiesz. Ja nie jestem wystarczająco silna.

Zane skinął głową, rozciągając ramiona nad głową.

– Taaa...

Wychylił się za krawędź szybu i spojrzał w ciemność z wyrazem rezygnacji i obrzydzenia na twarzy. Zacerpnął głęboko tchu.

– Ach, słodki zapach gnicia – powiedział.

Następnie skoczył, znikając w mrocznej czeluści.

– Nie myśleć – mruknęłam do siebie. – Tylko nie myśleć. – Mocno chwyciłam linę, napięłam ją i odwróciłam się tyłem do szybu. Gdybym dobrze się przyjrzała starej drewnianej konstrukcji, pewnie znalazłabym w drewnie ślady swoich paznokci. Gdybym myślała o tym wystarczająco długo, pewnie usłyszałabym własne krzyki odbijające się echem wśród drzew.

Gardło miałam ściśnięte, a język suchy jak trociny. Odnalazłam stopami krawędź i balansowałam na niej, mając ciemność za plecami. Ciemność z moich koszmarów sennych.

Przechyliłam się do tyłu i ruszyłam w dół.

Lina rozwijała się pomału, kiedy, krok po kroku, schodziłam. Szybko otoczyła mnie ciemność, światło mojej latarki padało na gładką ścianę błota przede mną. Wreszcie zorientowałam się, że jestem już prawie na miejscu, i powoli oddychając, opuściłam się na sam dół.

Wylądowałam w kilkunastocentymetrowej wodzie wypełniającej większość groty. Odpięłam uprząż, zostawiając zwisającą linę, żeby potem wspiąć się po niej z powrotem na górę. Zane już pokonał wodę i sprawdzał rozwidlające się korytarze na końcu groty. Nie miał dla mnie radosnego, sarkastycznego słowa na powitanie, a jego milczenie jeszcze pogłębiło mój niepokój.

Po raz ostatni szarpnęłam za linę, żeby się upewnić, że jest dobrze przymocowana. Przy okazji zauważyłam, że z błotnistej ściany coś wystaje. Ze zmarszczonymi czołem wydłubałam to z błota. Cienki... prawie przezroczysty... koloru kości...

Paznokiec.

Natychmiast go upuściłam, zbierało mi się na wymioty. Powietrze było gęste, przygniatający ciężar otaczającej mnie ziemi sprawił, że dopadła

mnie klaustrofobia i poczułam mrowienie skóry pod włosami. Brnęłam przez wodę, unosząc wysoko broń, żeby nie zamokła. Woda nie była taka zimna, jak się spodziewałam, ale to nie poprawiało sytuacji. Jej letnia temperatura wydawała się dziwnie złowieszcza.

– W prawo czy w lewo? – zapytałam cicho. Zane wskazał podbródkiem na korytarz, przy którym stał, zmrużonymi oczami wpatrując się w ciemność. Skierowałam światło latarki na wąski tunel, ale poza jego zasięgiem nadal panował gęsty mrok.

– Na ziemi są ślady wleczenia – wyjaśnił. – Poza tym wyczuwam ten zapach.

– Jaki zapach?

– Jego ciała.

Zane ruszył przed siebie wąskim tunelem. Sklepienie znajdowało się tak nisko, że musiał się pochylić; nawet ja ocierałam się o nie głową. Wkrótce ja też to poczułam – obrzydliwy zapach gnicia, jakby stare mięso zostawione na słońcu. Bezustannie zerkałam do tyłu, bo nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie obserwuje. Nie licząc odgłosu naszych kroków, wokół panowała upiorna cisza.

Na końcu tunelu znajdowała się niska grotka. Z jej dna wystawały stalagmity, a wokół rozrzucone były szczątki starej wagonetki. Ze ścian wyrastały kępki białych grzybów, które, gdy odwróciłam od nich światło, emanowały bladą poświatą. Zapach był obrzydliwy, w desperacji podniosłam brzeg koszulki, żeby zakryć sobie nos. Zane ponownie się zatrzymał i zaczął obwąchiwać powietrze, marszcząc brwi.

– Co się dzieje? – wyszeptałam, ale mój głos i tak zabrzmiał zbyt głośno.

– Jego ciało jest już niedaleko. – Zane odwrócił się powoli w moją stronę. – Przygotuj się.

Wyciągnęłam strzelbę. Skradaliśmy się naprzód, woda w kałużach rozpryskiwała się pod naszymi butami. Grota się rozszerzyła, stalagmity i stalaktyty wyglądały jak zęby jakiejś monstrualnej bestii więżącej nas między szczękami. Omiotłam światłem latarki grootę i zauważyłam dziwne rysy na kamieniach. Jakby ślady pazurów. Było tu też więcej grzybów – wyrastały z dna groty, ze ścian, a nawet ze sklepienia.

Nagle Zane się zatrzymał. Skierowałam światło w jego stronę, następnie spojrzałam za niego.

Znaleźliśmy Marcusa.

Tyle że coś innego znalazło go przed nami.

Juniper

Ciało Marcusa znajdowało się na ciągnącym się przez całą szerokość groty podwyższeniu, na szczycie skupiska stalagmitów; leżało powykręcane między stożkami. Było wzdęte, skóra przybrała nienaturalny kolor, a oczodoły były puste – wyjedzone do czysta. Nie byłam w stanie zrozumieć tego, co widziałam. W żaden sposób nie potrafiłam znaleźć związku między tymi zmaltretowanymi szczątkami a bratem z moich wspomnień.

Nagle dotarło to do mnie i ogarnęło mnie dziwne, zimne odrętwienie, jakby krew w moich żyłach zamieniła się w lód.

Coś przywlekło tutaj Marcusa i to coś – te stwory – nadal tutaj były.

Były tak nieruchome jak głazy, które je otaczały. Miały długie, blade jak kości kończyny. Ich głowy – przypominające czaszki, z mlecznobiałymi oczami i cienkimi, ostrymi kłami – zwieszały się z ich długich szyj. Wyglądały, jakby były rozciągnięte – wszystko w nich było nieproporcjonalne, zbyt długie, zbyt chude. Zamiast stóp miały rozdwojone kopyta, a ich kolana wyginały się do wewnątrz, jak u jakichś długonogich ptaków. Z ich ciał zwieszały się wiotkie szmaty, jednak materiał niepokojąco przypominał skórę.

Nie ruszały się. Ramiona wisały im bezwładnie wzdłuż ciała. Tylko ich głowy chwiały się leciutko i tak powoli, że gdybym się w nie uważnie nie wpatrywała, w ogóle bym tego nie zauważyła.

Przysunęłam się bliżej Zane'a, tak cichutko, jak potrafiłam. Spojrzał na mnie, a ja bezgłośnie wyszeptałam:

– Co to jest?

Potrząsnął głową, przyciskając palec do ust. Zrozumiałam, co chce mi przekazać.

Zane zaczął się zakradać na drugi koniec groty, kuląc się tuż nad podłogą. Wspiął się na podwyższenie, a ja uniosłam strzelbę i wycelowałam w znajdujące się najbliżej niego stworzenie. Istoty nadal się nie ruszały, nie licząc delikatnego kołysania głowami. Zane przeczołgał się przez wzniesienie; oczy miał szeroko otwarte i nieruchome, szokująco jasne w ciemności. Był teraz tuż obok Marcusa, na odległość ramienia od najbliższego stworzenia. Powoli sięgnął między stożkami i podniósł uwięzione między nimi ciało. Głowa brata bezwładnie poleciała do tyłu, a z jego fioletowych, skurczonych ust pociekła dziwna czarna ciecz.

– Juniper.

Zadrżałam, ale się nie odwróciłam. Głos dochodził z tyłu, zduszony szept odzywał się gdzieś nad moją głową. Musiałam to zignorować. Po prostu, kurwa, olać. Nie opuściłam strzelby, gdy Zane zaczął się skradać z powrotem w moją stronę.

– Wróciłaś do mnie.

Mocniej zacisnęłam ręce na strzelbie. Nie mogłam już dłużej sobie wmawiać, że głos rozbrzmiewał tylko w mojej głowie. Wtargnęłam na Jego terytorium. Te ciemne, zalane korytarze były jego królestwem. Wiedział, że tu byłam. Wiedział.

– Tak długo mi się opierałaś.

Gdzieś za mną rozległ się dziwny, miękki dźwięk, jakby coś oślizgłego wysunęło się z wody. Powoli wypuściłam powietrze z płuc, a kolejnego oddechu nie byłam już w stanie zaczerpnąć ze względu na smród. Serce waliło mi tak mocno, że aż bolało, rozpaczliwie potrzebowałam powietrza. A jednak trwałam w bezruchu. Zane był już prawie przy mnie, przez ramię

miał przewieszzonego Marcusa, a stworzenia nadal wyglądały, jakby nic nie zauważyły. Byliśmy tak blisko...

– Już nie możesz uciekać.

Odgłos mokrego sunięcia był teraz tuż przy moich stopach. Poczułam, że coś dotyka mojego buta. Powoli spojrzałam w dół.

Wokół moich kostek owijały się grube, szare, oślizgłe macki.

Z krzykiem odskoczyłam, potykając się na nierównym gruncie. Gwałtownie zamachnęłam się strzelbą, żeby użyć jej jak maczugi i odepchnąć stworzenie, które próbowało owinać się wokół mojego ciała. Jednak z płytkich kałuż i z błota wyłaniały się kolejne macki i wiły się dokoła mnie. Przyparta do ściany, zaczęłam strzelać, właściwie na oślep. Ślizgały się w górę po moich nogach, zaciskały się wokół moich ramion, zakrywały moje usta, kiedy próbowałam gryźć. W końcu zaczęły się owijać wokół mojej głowy, a ja mocno zacisnęłam powieki, przypominając sobie swoje koszmary, w których macki wypychały gałki oczne mojego brata...

– Juniper!

Gwałtownie uniosłam powieki. Zane pochylał się nade mną, jedną ręką unieruchamiał moje nadgarstki, a drugą zasłaniał mi usta. Wyłączył moją latarkę, więc jedynym światłem była blada poświata unosząca się wokół grzybów. Oczy miał szeroko otwarte, zęby obnażone. Za nim na ziemi leżało ciało Marcusa.

Nie było macek. Ani jednej. Były tylko blade stworzenia na podwyższeniu – i wszystkie podniosły głowy, żeby spojrzeć w naszym kierunku.

Klik, klik, klik.

Jedno z nich wyprostowało kark, rozległ się odgłos jakby trzaskających stawów. Próbowałam powstrzymać oddech, moja skóra była zimna od potu. Czy były ślepe? Czy mogły nas zobaczyć, jeśli się nie ruszaliśmy? Mijały

sekundy, a stworzenia szybko poruszały podniesionymi głowami do przodu i do tyłu, jak węże biorące na cel ofiarę.

Nagle jedno z nich się odezwało.

– Kto się skrada w mroku? – wyszeptało chrapliwym głosem. Pozostałe dwa natychmiast zadzwoniły zębami, a dźwięk rozszedł się echem po pieczarze. Zane pozostawał w całkowitym bezruchu, nie mrugał oczami, nawet nie oddychał.

Nagle jedna z istot szarpnęła się do przodu i popędziła w dół ze szczytu podwyższenia, wydając nieprzyjemny odgłos trzaskających stawów. Głowa kiwała się gwałtownie na długiej, przypominającej kręgosłup szyi, aż zęby jej dzwoniły.

– Słodkie mięsko. Miękkie żywe mięsko. Gdzie jesteś?

Zapach pleśni był teraz tak silny, że prawie zagłuszył smród rozkładającego się ciała. Zakręciło mi się w głowie – sama nie wiedziałam, czy to od tego zapachu, długotrwałego wstrzymywania oddechu, czy może ze strachu. Istota poruszała się szybko, ale niepewnie, miotając się po całej grocie, podczas gdy pozostałe kołysały się na podwyższeniu, próbując nas wypatrzeć w mroku.

Nagle stworzenie przystanęło. W jego białych, szeroko otwartych oczach odbijała się luminescencyjna poświata emitowana przez grzyby. Przez jaskinię przeszedł dźwięk, jakby nagły przeciąg albo powiew wiatru. Temperatura tak spadła, że aż zadrżałam.

– Istota z głębin przemawia – wyszeptało stworzenie, a dwa inne natychmiast przestały dzwonić zębami. – Chce żywego mięsa. Gdzie...

Podniosłam broń. Musiałam być gotowa do strzału.

Jednak nawet tak cichy odgłos wystarczył, żeby nas zdradzić. Stworzenie z wrzaskiem rzuciło się w moją stronę.

Zane błyskawicznie postawił mnie na nogi i popchnął w kierunku tunelu. Chwycił Marcusa i uniósł z taką łatwością, jakby był szmacianą lalką. Potykałam się w ciemności, bo bez latarki nic nie widziałam, a Zane bez trudu mnie wyprzedził. Niezdarnie próbowałam w biegu włączyć latarkę, jednak zahaczyłam stopą o kamień i upadłam, boleśnie tłukąc sobie bok.

Usiłując złapać oddech, przewróciłam się na plecy. Światło latarki padło na bladą twarz stojącego nade mną stworzenia.

Nacisnęłam na spust; siła wystrzału odrzuciła je do tyłu, ale tylko na sekundę. Pozostałe były tuż za nim, szybko przemieszczały się w moją stronę. Nawet to, które postrzeliłam, zadrżało na ziemi, po czym z powrotem się podniosło, choć z głowy ciekło mu gęste czarne błoto. Dziura w jego głowie prędko zniknęła, jej brzegi się zasklepiały.

Wystrzeliłam jeszcze raz, i jeszcze raz, a stworzenia przyjmowały kolejne pociski, w ogóle się tym nie przejmując.

Staralam się przeładować broń, ale ręce mi się trzęsły, więc naboje spadły na ziemię i potoczyły się w ciemność. Niezdarnie próbowałam je wymacać, podczas gdy stworzenia mnie otoczyły; zęby im szczękały, a głowy się chwiały. Gdy omiotło je światło latarki, zauważyłam, że wokół ich kopyt wyrastają te dziwne grzyby.

– Delikatne mięsko – szepnęło jedno z nich i zadzwoniło zębami. – Istota z głębin cię wzywa.

Znalazłam pocisk, który poturlał się pod wąski występ skalny. Nie mogłam go jednak dosięgnąć; moja ręka nie mieściła się tak daleko. Chwyciłam stojące przede mną stworzenie i ściągnęłam w dół ociekającą lodowatą wodą kościstą rękę...

Nagle ścianami kopalni wstrząsnął ryk, aż wzbił się kurz, a na nasze głowy poleciały kamienie. Nade mną przeleciał jakiś kształt, z impetem

uderzył w stworzenie i przewrócił je. Niezgrabnie stanęłam na nogi i zaczęłam uciekać, machając latarką jak szalona, co pogłębiało ogólny chaos. To był Zane; unieruchomił jednego potwora na ziemi, podczas gdy inne uczepliły się jego pleców, chwytając go tak mocno, że na jego skórze rozkwitły czerwone plamy. Rzucił się na nie z pazurami, rozrywając cienką skórę na ich brzuchach i wypruwając z nich korzenie i błoto. Kolejne stworzenie strącił z pleców, złapał je za czaszkę i uderzał nią w kamienie tak długo, aż błoto ochlapało ścianę.

Gdy jeden potwór zdychał w przedśmiertelnych drgawkach u jego stóp, pozostałe gwałtownie odskoczyły w tył, by po chwili wycofać się w mrok, trzeszcząc stawami i dzwoniąc zębami.

Zane odwrócił się w moją stronę, a ja po raz pierwszy zobaczyłam, że białka jego oczu stały się całkiem czarne, złociste tęczęwki zaś wyglądały jak wąskie pierścienie ognia na nocnym niebie. Chwycił mnie za ramię i pociągnął, a kiedy okazało się, że nie biegnę wystarczająco szybko, zarzucił mnie sobie na plecy i z niewyobrażalną prędkością pomknął tunelami kopalni. Nie walczyłam z nim, nie próbowałam się opierać. Było mi wszystko jedno, że niósł mnie, jakbym była dzieckiem – wszystko, byle znaleźć się jak najdalej od tych stworzeń. Wszystko, byle wyrwać się z tego paskudnego miejsca.

Posadził mnie na ziemi, kiedy tylko wyszliśmy na świeże chłodne powietrze. Miałam ochotę paść na kolana tylko po to, żeby poczuć trawę pod rękami, jednak zmusiłam się, żeby wstać. Dopiero teraz zaczynałam odczuwać ciężar tego wszystkiego; był o wiele bardziej przytłaczający, niż sobie wyobrażałam. Marcus leżał w trawie nieopodal. Zane popędził przodem, żeby go wynieść na powierzchnię, a następnie wrócił po mnie.

Zrobiłam to wszystko dla trupa. Zaryzykowałam swoje życie, zaryzykowałam wszystko dla gnijącego ciała.

Przełknęłam żal. Przełknęłam cisnące się do oczu łzy i wyrywający się z gardła szloch. Te stworzenia zniszczyły jego ciało, rozszarpały je, zjadły. Marcus na to nie zasługiwał. Zasługiwał na coś lepszego.

Zane przesunął ręką po głowie, po czym zajął się oglądaniem ciemnofioletowych siniaków na swojej skórze. Koszulę miał podartą, a na ramieniu i szyi postrzępione rany od ugryzień. Nie chciałam się gapić, ale im dłużej patrzyłam, tym jego obrażenia wydawały mi się gorsze. Ziejące rany, ugryzienia, a ze sposobu, w jaki powoli zaciskał i rozprostowywał palce, zorientowałam się, że są połamane.

Wrócił po mnie. On...

On ocalił mi życie.

Dlaczego, do cholery, to zrobił? Dlaczego miałoby mu zależeć?

– Powinniśmy się zbierać – oznajmił zachrypniętym głosem. Jego oczy znowu były po prostu złote, a nie czarne jak noc. – Golумы tak łatwo nie odpuszczą. Zaraz się tu zjawią.

– Golумы? – Zerknęłam z powrotem w stronę kopalni. – One... One wiedziały, kim jestem. Powiedziały, że Istota z głębin mnie pragnie...

– Są sługami prastarego Boga. – Pokuśtykał do miejsca, gdzie leżał Marcus, podniósł go i znowu przerzucił sobie przez ramię. Przez jego twarz przemknął grymas bólu. – Bogowie są zazdrośni. Bogowie są zaborczy. To, że zamiast ciebie dostał twojego brata, wcale nie oznacza, że już cię nie pragnie. A Golумы nie odpuszczą, skoro już się obudziły. – Spojrzał na mnie, a zmarszczka na jego czole się pogłębiła. – Słyszałaś Jego głos? Przemówił do ciebie?

Przeszedł mnie zimny dreszcz na wspomnienie tego szeptu... tych macek owijających się wokół moich nóg.

– Słyszałam Go. Widziałam Go.

Zaklął, skręcając w ścieżkę. Schodziliśmy zboczem w dół, potem szliśmy przez las, a on nie odezwał się ani słowem. Kiedy dotarliśmy do samochodu, owinął Marcusa w koce, które ze sobą przywieźliśmy, i włożył go do bagażnika. Dopiero kiedy siedział w samochodzie obok mnie, na moment odchylił głowę i westchnął ciężko.

– To było, kurwa, beznadziejne.

Zachichotałam – a potem wybuchnęłam śmiechem. Nie żeby to było zabawne, ale śmiałam się, bo nie mogłam płakać. Byłam wykończona, całe napięcie ze mnie opadło. Opłakiwałam brata, byłam przerażona i skołowana. Śmiałam się, bo gdybym tego nie robiła, zaczęłabym krzyczeć.

– Taaa, to naprawdę... To naprawdę było do dupy. – Potrząsnęłam głową i wreszcie odważyłam się zerknąć w jego kierunku. – Ale cuchniesz...!

– Co ci mogę powiedzieć... W końcu cały jestem w płynach, które wypłynęły z trupa. – Kiedy już ruszyliśmy, zerwał z siebie strzępy, które zostały z jego koszulki, i wyrzucił je przez okno. – Radzę na razie zatkać nos.

Nie włączaliśmy radia, podczas jazdy towarzyszyły nam jedynie szum silnika i bębnienie deszczu. Oparłam głowę o zimną szybę, ale tak naprawdę chciałam... chciałam... oprzeć głowę na jego ramieniu.

To było głupie. Po prostu oznaka słabości. Nie zrobię tego, ale, mój Boże, pragnę tego do bólu. Miałam wrażenie, że odległość między naszymi fotelami wynosi milion kilometrów, poza tym minęło tyle czasu, odkąd tak prostu... kogoś... dotknęłam.

Nie w czasie seksu, nie dla przyjemności. Mam na myśli zwykły dotyk.

Zerknęłam w jego stronę, nasze spojrzenia się spotkały. Uratował mi życie. Pozwolił się poturbować, żeby ocalić mi życie, a ja nie rozumiałam,

dłaczego to zrobił.

– Jesteś ranna? – zapytał.

– Nie. – Choć tak naprawdę powinnam powiedzieć: „Tylko dzięki tobie. Zawdzięczam ci życie. Dziękuję, że po mnie wróciłeś”.

Jednak tego nie powiedziałam. Nie odważyłam się.

Juniper

Po kilku godzinach dotarliśmy do mojej chatki. Samochód nie był w stanie wspiąć się po najbardziej stromym odcinku drogi, więc Zane wziął na ręce zawiniętego w koce Marcusa i w ten sposób wspinaliśmy się razem po zboczu wzgórza. Miałam wrażenie, że stopy mam z ołowiu, każdy krok był udręką. Byle nie zasnąć. Musiałam znaleźć w sobie jeszcze trochę siły.

– Możesz nas tu zostawić – powiedziałam, kiedy dotarliśmy do chatki. – Zakopię go.

Zane położył ciało na ziemi, po czym ze zmarszczonymi brwiami zlustrował malutki domek.

– Masz tu chociaż ogrzewanie?

– Mam kominek. Ale co cię to właściwie obchodzi? – Skrzywiłam się. Co mnie napadło? Ostre słowa tak łatwo wypadały mi z ust, wypowiadałam je bez namysłu. Może i był demonem, ale nie zasługiwał na coś takiego.

Cholera, nie potrzebowałam jeszcze większego poczucia winy.

– Proszę – powiedziałam cicho. – Po prostu... po prostu mnie tu zostaw. Chcę być teraz sama.

Nadal rozglądał się po podwórku i nie wydawał się zadowolony.

– No dobrze. Zadzwonź, kiedy będziesz gotowa.

Poruszał się tak szybko, że można było odnieść wrażenie, że po prostu zniknął. Ani słowa więcej, żadnego sprzeciwu. Skrzywiłam się, patrząc na miejsce, gdzie przed chwilą stał. Wbiłam paznokcie w dłonie. Nawet mu nie podziękowałam. Tylko czy powinnam to zrobić? Czy byłam do tego

zobowiązana? W końcu uratował mnie tylko dlatego, że zawarliśmy pakt, dlatego że...

Dlatego że...

– Kurwa mać. – W drodze po starą łopatę walnęłam pięścią w ścianę. Jej metalowa część była zardzewiała, a kijek pełen drzazg, ale nie miałam pod ręką nic lepszego. Do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin, choć szybko się ściemniało, bo niebo zasnuwały chmury. Musiałam uwinąć się do zachodu słońca, więc choć bolał mnie dosłownie każdy mięsień, zaczęłam kopać.

Po drugiej stronie podwórka leżało zwalone przez burzę drzewo. Tata powtarzał, że porąbie je na opał, jednak ono zostało jednym z moich i Marcusa ulubionych miejsc do zabawy, kiedy byliśmy dziećmi. Drzewo wydawało mi się wtedy wielkie, w moich wspomnieniach nadal takie było. Ogromne i pokryte mchem, stało się domem dla rodziny wiewiórek i niezliczonych małych robaczków.

Lubiłam się wspinać na ten pień, wyobrażając sobie, że to Mount Everest. Wdrapywałam się na szczyt i podawałam rękę Marcusowi, bo był za mały, żeby samemu się wspiąć.

Właśnie tutaj wykopałam mu grób, koło tego martwego drzewa.

Mijały godziny, było coraz ciemniej. Ramiona mnie bolały, w krzyżu mi strzelało, ale nie przestawałam kopać. Szorstki trzonek zdarł mi skórę na dłoniach, całe były w bąblach, które popękały i krwawiły. Jednak nie zatrzymywałam się.

Kiedy wreszcie grób był gotowy, przeciągnęłam ciało Marcusa przez podwórko. Musiałam użyć koca, bo nie byłam na tyle silna, żeby go unieść. Tak bardzo urósł, co, oczywiście, nie powinno mnie dziwić. Kiedy ostatnim razem go widziałam, był jeszcze chłopcem. Dopiero zaczęła mu się mutacja. Żałowałam, że nie mogę ściągnąć z niego koca. Żałowałam, że nie

mogę zobaczyć jego twarzy. Nie chciałam jednak patrzeć na to, co się z nim stało. Nie mogłam patrzeć na jego gnijące ciało i wyłupane oczy.

Nie chciałam zapamiętać go w ten sposób.

Pragnęłam zachować we wspomnieniach chłopca biegającego po podwórku z patykiem udającym miecz, z rozwiązanymi sznurówkami, ubranego w swoją ulubioną czerwono-żółtą koszulkę Tonka Truck. Pragnęłam go zapamiętać, jak stoi na starym pniu i śmieje się wesoło z małych wiewiórek, które właśnie wyszły z gniazda.

Usiadłam na skraju grobu i machałam nogami, jego ciało leżało obok. Chlipnęłam, wytarłam rękawem nos, przy okazji rozsmarowując brud po całej twarzy. Gardło miałam ściśnięte. Serce mnie bolało. Oczy piekły tak bardzo, że nie pomogło nawet intensywne mruganie.

Położyłam rękę na kocu.

– Przepraszam – wyszeptałam. Czułam coraz większy ból. – Tak bardzo cię przepraszam.

Zwiesiłam głowę. Rozpłakałam się. Pozwoliłam ogarnąć się cierpieniu. Podałam się bólowi. Cierpiałam i nic na całym świecie, absolutnie nic nie mogło tego zmienić.

Kran na zewnątrz nie działał, więc nie mogłam umyć rąk. Zawsze miałam ze sobą zapas chusteczek nawilżanych, ponieważ często pokonywałam długie trasy bez dostępu do prysznicy, dlatego umyłam się za ich pomocą najlepiej, jak mogłam. Została mi tylko paczka fasolki i krakersy. Nadal nie miałam paliwa do generatora prądu, więc opalany drewnem kominek był moim jedynym źródłem światła.

Miałam ochotę wziąć gorący prysznic. Chciałam szklaneczki zimnej whiskey. Nawet koca. Marzyłam o tym, żeby wyciągnąć się na miękkiej kanapie. I wtulić się w czystą pościel. Boże, chciałam przestać płakać.

Nie powinnam była mieszkać w domu demona nawet przez te kilka dni. Całe lata spędziłam w drodze, spałam w samochodzie, pod gołym niebem albo w obskurnych pokojach hotelowych, jeśli akurat miałam taką możliwość. Niepotrzebnie pozwoliłam sobie na tę chwilę wygody. Wygoda nie była częścią mojego życia. Nie potrzebowałam jej. A nawet na nią nie zasługiwałam.

Uciekłam stąd i pozwoliłam Marcusowi zginąć. Nie było mnie tu, żeby go chronić. Nie byłam w stanie nawet ochronić jego ciała. Jedyne, co mogłam, to dopilnować, żeby Hadleighowie za to zapłacili. Nieważne, jak bardzo bolało. Nieważne, jak samotna się czułam. Jutro rano wstanę i zastanowię się, jaki powinien być następny krok. Wymyślę sposób, żeby ich zranić, tak jak oni zranili mnie.

Zwinęłam się w kłębek koło kominka, ponieważ było za zimno, żeby spać w łóżku po drugiej stronie pokoju. Nie było mi wygodnie, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

– Musimy wracać do zamku! Szybko! Tam będziemy bezpieczni!

Błyskawicznie przebiegłam na drugą stronę podwórka, zostawiając Marcusa z tyłu. Podciągnęłam się do góry po zarośniętej mchem kłodzie – naszym „zamku” – czepiając się palcami szorstkiej kory, aż byłam na samej górze. Triumfalnie podniosłam ramiona, przyglądając się, jak mój mały braciszek próbuje się za mną wspiąć.

– Jesteś za wysoko, Juni! – Wydął usteczka i cofnął się, krzyżując ramiona na piersi. – Jak niby mam się dostać do zamku?

– Oczywiście twój rycerz ci pomoże! – Zeszłam na czworakach kawałek w dół i wyciągnęłam do niego rękę. Wciągnęłam go tak wysoko, że teraz sam mógł się wspiąć na szczyt kłody. Stanął obok mnie i wspólnie przyglądaliśmy się podwórku z naszego punktu widokowego.

Oparłam ręce na biodrach.

– Nasi wrogowie nigdy nas nie pokonają!

Marcus sceptycznie zmarszczył nosek.

– *Ale... co... z ich armią?*

– *Żadna armia tu nie dotrze!* – zawołałam. – *Jesteśmy zbyt wysoko, nie mają szans dostać się do zamku!*

– *A co ze smokiem?* – zapytał z posepnym wyrazem twarzy. *W końcu to była bardzo poważna narada wojenna. – Co, jeśli mają smoka, Juni?*

– *W takim przypadku twój rycerz go pokona* – wyjaśniłam. *Wyrwałam ze szlufki paska patyk i zaczęłam nim wymachiwać. – Nie lękaj się, książę Marcusie! Twój rycerz nie boi się ani armii, ani smoków!*

Zachichotał i klapnął sobie na kłodzie. Usiadłam obok niego, nie wypuszczając patyka z rąk. Rycerz zawsze powinien mieć przy sobie swój zaufany miecz.

– *Ja też nie boję się smoków* – powiedział.

– *Świetnie. Pamiętaj: dopóki jesteśmy w zamku, nic nam nie grozi. Jesteś bezpieczny, kiedy masz obok siebie swojego rycerza, który cię obroni.*

Znowu zachichotał, wymachując nogami, tak że uderzał piętami o drewno. Słońce już zachodziło, niebo zabarwiło się na różowo i pomarańczowo, jakby wśród chmur zaczęły się topić lody. Tata niedługo każe nam wracać do środka, a my pomkniemy jak szaleni przez podwórko, przedzierając się przez siły wroga. Gdy tylko dotrzemy do domu, zaatakuje nas smok, a ja go pokonam i nasze królestwo znowu będzie bezpieczne.

W końcu rycerz niczego się nie boi. Wie, że nikt go nie pokona.

– Juni? Co to jest?

Podniosłam wzrok. Marcus wskazywał swoim małym paluszkiem na drugi koniec podwórka, w kierunku drzew rosnących nad strumykiem.

Słońce było coraz niżej, ze wszystkich stron nadciągały cienie. Wyteżyłam wzrok.

– Nic nie widzę, książę Marcusie. Czy to smok?

Potrząsnął głową. Miał dziwną minę, jakby to już nie była zabawa.

– Nie, Juni. Popatrz!

Nadal uparcie wskazywał paluszkami między drzewa, a ja poczułam na plecach zimny dreszcz. Zeskoczyłam z kłody – oczywiście jako książę miałam obowiązek odważnie stawić czoła niebezpieczeństwu. Spojrzałam między drzewa, spodziewając się, że zobaczę przemykającego w cieniu jelenia, a może kojota.

Jednak było zbyt ciemno.

Potrząsnęłam głową, odwracając się z powrotem w stronę brata.

– Marcus, nie widzę...

Marcusa nie było. Został tylko długi, wąski pas świeżo przekopanej ziemi u podnóża martwego drzewa, a mnie ponownie przeszedł zimny dreszcz.

Spojrzałam na swoje dłonie – długie, pokryte zgrubieniami i bliznami, brudne palce. Przy pasku nie miałam już patyka, za to w rękach trzymałam broń. Nie byłam już dzieckiem. Stara kłoda nie była już naszym bezpiecznym zamkiem. A Marcus...

Marcus był...

Spomiędzy drzew za moimi plecami dobiegło wycie.

Obudziłam się i gwałtownie usiadłam. Ogień w kominku już prawie zgasł, zostały w nim tylko tłące się polana. Ręce i stopy miałam lodowato zimne. Przez chwilę siedziałam, powoli oddychając i uważnie nasłuchując. Słyszałam wiatr wyjący wśród drzew, jęk konarów, szemrzący w oddali strumyk.

Słyszałam wycie.

Zerwałam się na równe nogi, złapałam broń i odsunęłam na bok zasłonę. Niebo się rozchmurzyło, podwórko było zalane srebrnym światłem księżyca. Eldowie skowycieli i szarpali się między sobą, ich ciała były zgarbione i okropnie poszarpane, gdy tak się kłębiły. Było ich dużo – za dużo. Sześć, siedem, a z tyłu, za drzewami, czały się kolejne. Wszystkie zebrały się po drugiej stronie podwórka, wokół martwego drzewa...

Gdy zorientowałam się, co zrobiły, z piersi wyrwał mi się wściekły, pełen rozpaczony krzyk.

Wykopały Marcusa.

Wykopały go.

A teraz walczyły nad jego ciałem, warczały na siebie i kłapały zębami, wydając przy tym chrapliwe pomruki. Szarpały Marcusa, ciągnęły go za ramiona i rozerwały koc, w który go owinęłam, a z ich pysków ciekła ślina.

Nie myślałam. Nie byłam w stanie myśleć. Kiedy wybiegłam na podwórko, mój umysł był ziemią jałową, na której szalała rozpalona do białości wściekłość.

Strzelałam bez namysłu, chaotycznie, jeszcze raz i jeszcze raz. Bestie na moment się rozpięzchły, ale wkrótce znów zaroilo się od nich na podwórku. Odcięły mi drogę do domu. Gdy mnie otoczyły i zaczęły atakować, ich przerażające krzyki wypełniły nocną ciszę. Kiedy tylko zastrzeliłem jednego, na jego miejsce natychmiast pojawiał się następny. Powietrze było ciężkie od ich obrzydliwie słodkiego zapachu, aż wywracał mi się żołądek.

– Zostawcie go w spokoju! – wrzeszczałam na nie, jakby mogły mnie zrozumieć, jakby za ich martwymi białymi oczami mogła się kryć choćby odrobina człowieczeństwa. Musiałam przeładować strzelbę, więc machnęłam nią, żeby odgonić potwory. Jeden z nich do mnie doskoczył

i złapał w zęby metalową kolbę. Inne zaczęły gryźć mnie w nogi. Chwyciły moją broń i próbowały mi ją wydrzeć...

Wreszcie wyrwały mi ją z rąk i rzuciły się na mnie.

Szarpały mnie pazurami, rozdzierając mi ubranie. Powinno mnie to boleć, ale byłam ogarnięta ślełą furią. Nie zabiorą go. Drugi raz na to nie pozwolę. Nie będą pasły się na nim, jakby to był kawałek mięsa. Nie pozwolę im odebrać sobie brata! Nadal miałam przytroczony do uda nóż, teraz wyszarpnęłam go i zaczęłam na oślep atakować. Jednak ciała potworów były zgniłe, więc nie robiło im żadnej różnicy, kiedy dosięgało je moje ostrze. Jeden zatopił zęby w moim ramieniu i wykręcił głowę, wbijając się we mnie tak głęboko, że, pomimo szoku i adrenaliny, ból wreszcie we mnie eksplodował.

Próbowałam podkulić nogi, żeby chronić brzuch. Próbowałam im się wyrwać i walczyć. Wrzeszczałam na nie i machałam im ostrzem przed oczami. Ale było ich zbyt wiele. Było ich tyle, że walczyli o mnie między sobą, tak samo jak przedtem o Marcusa. Komu przypadnie najlepszy kawałek mięsa, kto uszczknie choć kęsa. Skuliłam się z rękami nad głowę i przyciągniętymi do klatki piersiowej nogami. Czułam wbijające się w plecy pazury i kłapiące koło głowy zęby. Otaczał mnie ich smród, dławiałam się nim, nie mogłam oddychać.

Zamierzały pożreć mnie żywcem.

Zane

Sam nie wiedziałem, co tam jeszcze robiłem. Minęło już wiele godzin, a ja nadal siedziałem w samochodzie zaparkowanym na poboczu wąskiej, krętej drogi u podnóża góry. Powinienem być w domu, spać i pozwolić ranom spokojnie się goić. Powinienem być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Jednak, chociaż mój samochód śmierdział jak rozkładające się zwłoki, nie byłem w stanie odjechać.

Właściwie to dlaczego Juniper chciała zostać w tym zrujnowanym miejscu? Szyby były powybijane, chatka śmierdziała pleśnią i szczurzymi odchodami. To odludzie, idealne miejsce, żeby znalazły ją tam bestie. A jednak chciała zostać tam sama ze swoim na wpół zjedzonym, martwym bratem. Pomimo nadciągającego mroku chciała samodzielnie, bez żadnej pomocy, wykopać mu grób.

– Kurwa mać! – Z jękiem odchyliłem do tyłu głowę. Musiałem stąd odjechać. Musiałem iść na miasto i kogoś zerznąć, żeby sobie przypomnieć, że nasz układ to jedynie transakcja biznesowa, korzystna dla obu stron, ale całkowicie bezosobowa. Zresztą na tym etapie wyrażenie „korzystna dla obu stron” wydawało się raczej naciągane. Włóczenie się po kopalni, w której śpi prastary Bóg, walka z Golumami, pogrywanie z sektą, która praktycznie zbudowała Abelaum – ilość piętrzącej się przed nami pracy i niebezpieczeństw była wręcz przytłaczająca.

Powinienem to wszystko traktować na luzie. Jeśli Juniper umrze, to umrze. Ja i tak dostanę jej duszę. Poza tym świat był pełen duszyczek, wręcz proszących się, żeby je przygarnąć.

Jednak nie czułem się w porządku, zostawiając ją teraz samą. Dlatego nadal tu siedziałem, dlatego nie mogłem tego po prostu olać i jechać do domu.

Noc była chłodna, nie ma opcji, żeby było jej wystarczająco ciepło w tej rozklekotanej chatce. Prawdopodobnie zresztą jeszcze nie skończyła kopać grobu, choć było ciemno i w żadnym razie nie powinna już kręcić się na zewnątrz. Jej oczy, zanim ją zostawiłem, wyrażały taką rozpacz, taki bezmiar cierpienia, że nie mogłem o nim, kurwa, zapomnieć. Wiem, że kazała mi odjechać tylko dlatego, że chciała sobie popłakać w samotności.

Jej smutek to jej sprawa, nie moja. Jednak więź między naszymi istnieniami sprawiała, że czułem jej ból, że czułem się pusty w środku, odkąd ją opuściłem. Nie było powodu, żebym się czuł aż tak przywiązany, nie miało sensu aż tak się angażować.

– Kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa. *Kurwa*. – Wysiadłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi, po czym pomaszerowałem z powrotem poprzecinaną koleinami drogą gruntową. Nie zaszkodzi sprawdzić, czy nie zmieniła zdania odnośnie do nocowania w chatce. Byłaby głupia, gdyby się przy tym upierała. Zresztą jaki miało sens, żeby teraz zostawała sama? Żadnego. Absolutnie żadnego sensu. Byłoby wygodniej, gdyby trzymała się mnie. Moglibyśmy swobodnie planować dalsze kroki. Moglibyśmy szybciej sobie z tym wszystkim poradzić.

A jeśli, mimo wszystko, nie będzie chciała się ze mną zabrać? Nic się nie stanie. Jej strata.

Ból w piersi się wzmógł, zacisnąłem zęby. Potrzebowałem jej z powrotem w domu, koniec kropka. Nie było sensu, żeby tutaj zostawała, żeby samotnie cierpiała w jakiejś zimnej, gównianej chatynce, zamiast być ze mną.

Przystanąłem i zacząłem węszyć. Zapach sosen, wilgotnej ziemi, znajdującego się w pobliżu jelenia oraz... krwi.

Nasłuchiwałem. Gałęzie nad moją głową trzaskały, zwierzęta przemykały przez paprocie, jednak świerszcze milczały.

A z oddali dobiegało... wycie. Szczekanie. Te pieprzone, przypominające krzyki odgłosy wydawane przez Eldów.

Krew zastygła mi w żyłach. Nie tylko bestie krzyczały.

Pędem pokonałem zbocze wzgórza i w kilka minut byłem na jej podwórku. Gdy przedarłem się przez drzewa okalające tę nieszczęsną chatkę i zobaczyłem potężną hordeę bestii walczących o coś leżącego na ziemi, poczułem się, jakby ktoś wbił mi w pierś rozpalony do czerwoności nóż, a następnie go przekręcił.

Nie ma takiej opcji, żeby podnieść rękę na moją małą wilczycę i przeżyć.

Wrzasnąłem tak głośno, że bestie się wzdrygnęły, a część z nich odskoczyła do tyłu, odsłaniając swoją zdobycz, tak że wreszcie mogłem ją zobaczyć. Leżała bezwładnie na ziemi, jej ubranie było w strzępach, a wokół rozlewała się kałuża krwi.

Na ten widok całkiem straciłem zdolność logicznego myślenia. Wypełniała mnie dzika, okrutna żądza krwi, która sięgała mojej najgłębszej siły i domagała się, abym jej użył. Potwory warczały na mnie, ale nie miały żadnych szans. Kiedy je dopadłem, miażdżyłem ich czaszki i łamałem kości, a następnie odrzucałem ich obrzydliwe cielska na drugą stronę podwórka. Zebrałem wokół siebie energię, zagaściłem ją i wykorzystałem, żeby je odepchnąć, rzucić na ziemię, po czym wywrzeć na ich głowy taki nacisk, że zaczynały eksplodować. Przywołanie energii było tak łatwe jak oddychanie, o wiele prostsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Każda zdobyta dusza zwiększała moją moc, lecz rzadko wykorzystywałem swój pełen potencjał. W tym jednak momencie, który dłużył mi się jak wieczność, zrobiłbym wszystko, żeby zostawiły ją w spokoju. Nawet kiedy je miażdżyłem, rozrywałem, a ich zjełczała krew opryskiwała mi twarz, bez przerwy oglądałem się na nią z nadzieją, że zobaczę, jak się rusza, próbuje wstać albo... albo przynajmniej otwiera oczy.

Nie pozwoliłem uciec ani jednej bestii. Kiedy zrozumiały, że nie mają ze mną szans, i próbowały dać nogę do lasu, nadal je ścigałem i miażdżyłem w rękach ich zgniłe głowy. Wreszcie, gdy ostatnia martwa bestia osunęła się pod moje stopy, zapadła całkowita cisza, bo ciało gwałtownie uległo rozkładowi i zostało z niego tylko błoto i robaki.

Żaden nie przeżył.

Juniper leżała skulona na boku, krwawiącymi ramionami obejmowała się za głowę. Serce mi się ścisnęło. Ręce miałem całe we krwi, ściekała mi z pazurów. A jednak wyciągnąłem rękę i ostrożnie położyłem na niej.

Powoli nabrała tchu, a choć jej oddech był płytki, poczułem niewyobrażalną ulgę.

Podniosłem ją; wiedziałam, że muszę działać szybko. Jęknęła, ramiona, którymi zakrywała twarz, opadły, a pięść słabo uderzyła w moją pierś. Bestie poszarpały jej plecy, pogryzły jej ręce i nogi. Czego potrzebuje człowiek, żeby takie rany się zagoiły? Lekarza, oczywiście, ale komu, do cholery, mogłem zaufać w Abelaum? Na samą myśl o tym, że ją komuś oddam, że kto inny będzie jej dotykał... Kurwa, prędzej wyrwę mu ręce, niż na to pozwolę!

Położyłem ją w samochodzie. Uniosłem jej opadającą głowę, otarłem krew i brud z jej ust. Jakimś cudem udało jej się ochronić brzuch, jednak jej ramiona i nogi były poszarpane.

Poruszyła ustami, a ja zamarłem. Zadrżała, podkurczyła palce, bezwładne ręce spróbowały znowu objąć brzuch. Powieki jej drgnęły, zacisnęły się... po czym otworzyła oczy.

Spoglądała na mnie całkowicie zdezorientowana, powoli mrugając. Następnie opuściła wzrok na moją rękę na jej nadgarstku, a potem rozejrzała się po samochodzie, jakby nie mogła zrozumieć, gdzie się znajduje. Cofnąłem dłoń, ale musiałem zacisnąć palce na uchwycie, żeby się powstrzymać przed dotknięciem jej. Ponownie podniosła na mnie wzrok.

– Co... co się stało... z Marcusem?

Miałem ochotę nią potrząsnąć, bo bardziej się martwiła o martwego brata niż o swoje wykrwawiające się ciało. Miałem ochotę potrząsnąć samym sobą, bo strasznie się o nią martwiłem, a kiedy się odezwała, poczułem taką ulgę, że na moment straciłem dech i nie byłem jej w stanie odpowiedzieć.

Kiedy w końcu udało mi się coś z siebie wydusić, było to:

– Co ty, do cholery, sobie myślałaś, walcząc całkiem sama z tyloma Eldami?

Próbowała usiąść, ale tylko się skrzywdziła i z powrotem opadła na plecy.

– Co... co, do diabła... miałam robić? – syknęła, mrużąc z bólu oczy. – Wykopali go. Próbowali... próbowali go zjeść...

– Ciebie też prawie zjedli...! – Znowu musiałem na chwilę przerwać, żeby się uspokoić. Nadal byłem o krok od wybuchnięcia gniewem. – Trzeba ci założyć szwy, Juniper.

– Żadnych lekarzy – powiedziała szybko, potrząsając głową. – Proszę. Proszę, żadnych lekarzy.

Nie ufała im, a ja nie mogłem mieć jej tego za złe. Ja też, kurwa, nie miałem do nich za grosz zaufania i nie chciałem jej oddawać w ich ręce. Zatrzasnąłem drzwi, usiadłem za kierownicą i uruchomiłem silnik. Jej oddechy były teraz głębsze, ale szybkie, zapach jej strachu był coraz bardziej intensywny.

– Żadnych lekarzy. – Chwyliła mnie za ramię i słabo ścisnęła. – Nie... nie zabieraj mnie do szpitala... ja nie mogę...

– Nie zabieram cię do doktora – powiedziałem szorstko, podczas gdy samochód, ślizgając się, wyjechał na drogę. – Zabieram cię do domu.

Nie miałem w domu żadnych lekarstw ani środków opatrunkowych, żeby o nią zadbać, więc po drodze podjechałem do całodobowej apteki. Juniper miała zamknięte oczy, głowa jej opadła, jednak jej oddech nadal był przyspieszony. Bała się, nawet we śnie. Im dłużej na nią patrzyłem, tym mocniej zaciskałem rękę na kierownicy.

Nie powinienem był jej tam zostawiać. Chrzanić jej dumę, pieprzyć jej determinację, żeby pochować brata całkiem samodzielnie.

Była moja, a ja troszczyć się o to, co moje.

Farmaceuta obrzucił mnie długim, ostrożnym spojrzeniem, kiedy podszedłem do kasy z górą bandażu i środków dezynfekujących. Wcześniej zdążyłem się wślizgnąć za ladę i podkraść kilka buteleczek leków, które powinny pomóc rannemu człowiekowi. Aptekarzowi drżały ręce, kiedy kasował moje zakupy, nie mógł przestać się na mnie gapić.

– Dobrze panu mija... yyy... wieczór? – zagadał. Niecierpliwie kiwnąłem głową. – Chyba coś pan ma na... yyy... twarzy.

Rzuciłem okiem na ekran monitoringu, żeby zobaczyć, o co mu chodzi. Od stóp do głów byłem wysmarowany krwią. Uśmiechnąłem się cierpko i ponownie zwróciłem wzrok na wybałuszającego oczy farmaceutę.

– Lepiej niech pan po prostu zapomni, że w ogóle tu byłem.

Szybko kiwnął głową, wpychając moje zakupy do reklamówki.
– Tak, tak. To się rozumie samo przez się. Jasna sprawa!

Juniper

Zanim straciłam przytomność, przemknęło mi przez myśl, że to taka głupia, bezsensowna śmierć.

Zachowałam się lekkomyślnie, dałam się ponieść emocjom. Dziwne, jak w obliczu zbliżającej się śmierci człowiek nagle widzi wszystko z taką jasnością. Złość, żal, rozpacz – do niczego ich już nie potrzebowałam. Nie miałyby żadnego znaczenia, jeśli bym umarła.

Pławiłam się w bólu, otoczona przerażającymi wrzaskami Eldów. Wydawane przez nich odgłosy były coraz gorsze, zamieniły się w niekończącą się kakofonię krzyków, wycia i warczenia. Jednak nagle...

Nagle usłyszałam głos Zane'a. Poczułam wokół siebie jego ramiona. Ból był coraz gorszy, ale wycie umilkło. Było mi ciepło. Zrobiło się cicho. Zapadłam się jeszcze głębiej w nieświadomości, żeby uciec przed bólem.

Śmierć nie mogła być aż tak bolesna, a przynajmniej... przynajmniej rozpaczliwie chciałam w to wierzyć.

Poczułam szarpnięcie, coś nacisnęło na mój niemożliwie obolały bok. Próbowałam to odepchnąć, choć byłam słaba, a moje ręce były jak kamienie zwisające z ramion. Wzrok mi się mącił, a głowa opadała, kiedy usiłowałam się skupić.

– Spokojnie, spokojnie. To tylko ja. – Znowu Zane. Jego głęboki głos był jak ciepły ogień w kominku, jak miękki koc, jak parujący kubek cydru. Miałam ochotę się w nim zanurzyć i całkowicie zatracić. Nagle przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie będzie świetnie czytał bajki na dobranoc.

Boże, chyba straciłam za dużo krwi i dlatego przychodzą mi do głowy takie rzeczy...!

Podniósł mnie, pewnie chwycił i mocno przytulił do piersi. Był taki ciepły...! Ciepły, cieputki. Wtuliłam twarz w jego pierś, choć koszula wydawała się brudna. Nie przeszkadzało mi, że śmierdzi krwią – jego zapach nadal tam był, głęboko schowany, bogaty i przyjemny.

Chciałabym mieć świecę o takim zapachu.

Jednak nawet ciepło jego ciała nie mogło zwyciężyć chłodu. Co chwila odpływałam w mrok, powieki miałam zbyt ciężkie, aby je otworzyć. Zadrzałam, a wtedy, jakby z oddali, dobiegł mnie jego zaniepokojony głos:

– Co się dzieje? Dlaczego drżysz?

Zaśmiałam się cichutko, a przynajmniej spróbowałam to zrobić. Prawdopodobnie bardziej przypominało to obrzydliwy charkot. Jednak on wydawał się taki zmartwiony, taki... taki zatroskany. Z mojego powodu. Ale dlaczego miałby się o mnie martwić? Gdybym zginęła, miałby z głowy wypełnianie swojej strony umowy, a ja i tak trafiłabym do Piekła. Wreszcie udało mi się otworzyć oczy. Okazało się, że już jesteśmy w domu, w salonie. Wszystkie zasłony były zaciągnięte, lampy włączone, a on tulił mnie w ramionach.

Spojrzałam na niego, a on zmarszczył brwi.

– Wyglądasz okropnie – powiedziałam cicho. Chciałam się napić wody. Gardło miałam tak suche, że aż bolało. – Jesteś... jesteś brudny.

Potrząsnął głową.

– I kto to mówi...! Ty wyglądasz jak resztki na targu mięsnym.

Znowu zakręciło mi się w głowie i musiałam zamknąć oczy. Gdy ponownie zdołałam je otworzyć, leżałam na kanapie, z głową opartą na poduszce. Zane pochylał się nade mną, wpatrując się we mnie w skupieniu.

Poczułam ukłucie igły zanurzającej się w mojej skórze, a następnie szarpnięcie, gdy brzegi rany zbliżyły się do siebie.

Przez dłuższą chwilę obserwowałam go w milczeniu. Koncentrował się na otwartej ranie w moim ramieniu, pozostawionej tam przez pazury Eldów. Ból powodowany przez igłę był niczym w porównaniu do pozostałych katuszy, które w tym momencie przechodziło moje ciało.

– Pewnie w tym stanie nie jestem... nie jestem bardzo seksowna, co? – zapytałam głosem przypominającym skrzeczenie. Spojrzał na mnie gniewnie swoimi jasnymi oczami, po czym powrócił do zakładania szwów.
– Czy ty... czy ty usłyszałeś, że krzyczę?

Twarz mu drgnęła, nie do końca potrafiłam odczytać jej wyraz. Odłożył igłę i wziął do ręki wilgotną chusteczkę, którą ostrożnie zmył krew i brud z mojej twarzy.

– Tak. Usłyszałem twój krzyk.

Wilgotna ściereczka była przyjemnie ciepła. Dotyk jego rąk był tak miły, że miałam ochotę jęknąć, i to nie w seksowny sposób. Chodziło o to, że dosłownie wszystko mnie bolało – z wyjątkiem jego łagodnego dotyku.

– Dlaczego... dlaczego wróciłeś?

– Nigdy w życiu nie chcę już słyszeć tego dźwięku, Juniper. – Mocno chwycił ściereczkę, jego ręka powoli zwarła się w pięść. Potrząsał głową, a zęby zacisnął z taką siłą, że żyła na jego skroni pomału stawała się czarna.
– Nigdy w życiu nie chcę słyszeć, jak krzyczysz z bólu... albo ze strachu. – Odwrócił ode mnie wzrok i wbił spojrzenie swoich rozżarzonych oczu w przeciwległą ścianę. – Wymordowałem je wszystkie, Juniper. Każdego z nich. Obiecuję ci, że żadna istota, która ośmieli się cię zranić, nie ujdzie z życiem. Żadna. – Jego głos przeszedł w groźny pomruk, zamknął oczy i wziął kilka głębszych wdechów.

Był tak wściekły, że czułam, jak jego ramię drży, kiedy ponownie zaczął przecierać moją skórę. Nie rozumiałam tego i znowu się przestraszyłam. Serce zabiło mi mocniej, znowu pojawił się ten okropny niepokój.

– Nie bój się, proszę – powiedział miękko. – Po prostu... nie... – Westchnął ciężko. – Muszę cię wykąpać. Położyć do łóżka. I dać ci lekarstwa.

Miałam wrażenie, że ma w głowie listę rzeczy, które musi zrobić, żeby utrzymać mnie przy życiu. To było... słodkie. To było miłe. Zbyt miłe. Troszczył się o mnie o wiele bardziej, niż powinien. Krzywiąc się, podniosłam głowę z poduszki i oparłam się na ramieniu. Okazało się to o wiele trudniejsze, niż się spodziewałam. Nawet nie chciałam sobie wyobrazić, jak trudno będzie mi wstać.

A jednak musiałam to zrobić. Musiałam wziąć się w garść. Gdybym była sama, jakoś musiałabym sobie poradzić, a dobrze wiedziałam, że nie można polegać na innych.

– Sama się wykąpię – oznajmiłam. – Tylko muszę się napić. Przyniesiesz mi piwo?

– Przyniosę ci wodę. Musisz się nawadniać. Nie wstawaj. – Wycelował we mnie palec, zatrzymując się w połowie drogi do kuchni. – Jak Lucyfera kocham, nie próbuj wstawać z tej pierdolonej kanapy.

Oparłam się o poduchy. Boże, zwykłe podniesienie się do pozycji siedzącej, a mnie zabrakło tchu! Nie miałam jednak zamiaru słuchać demona wmawiającego mi, że nie mogę pić.

– W takim razie sama sobie przyniosę! – powiedziałam podniesionym głosem, od czego natychmiast zakręciło mi się w głowie. Jęknęłam, zaciskając ręce na kocu.

– A ja ci mówię, że nie. – Już był z powrotem, podawał mi szklanek wody i dwie małe buteleczki z lekarstwami. – Nie możesz pić alkoholu,

kiedy przyjmujesz lekarstwa na receptę.

Wcale mi się nie podobało, że ręce mi się trzęsły, kiedy sięgałam po wodę i lekarstwa. Każda buteleczka była podpisana innym nazwiskiem – w jednej była penicylina, a w drugiej oksykodon. Na ten widok wybałuszyłam oczy.

– Ukradłeś te leki?

Wzruszył ramionami, stojąc nade mną, jakby obawiał się, że pobiegnę do drzwi. A przecież wystarczyłby jeden krok, żebym padła na twarz. Zwykle unikałam gównianych preparatów typu oksy; przyzwyczajanie się do życia bez bólu tylko pogarszało sprawę, kiedy lekarstwa się kończyły, a ja przecież nigdy nie miałam pieniędzy na lekarzy. Jednak, Boże, wszystko mnie bolało! Wysypałam na dłoń po jednej tabletkę i popiłam połową szklanki wody. Naprawdę potrzebowałam się nawodnić, o wiele bardziej, niż zdawałam sobie z tego sprawę. Niemal natychmiast dopiłam wodę.

– No dobrze. Teraz musimy cię umyć.

Nawet mi nie zaproponował, żebym szła na nogach. Podniósł mnie z kanapy, jakbym była lekka jak piórko, i ponownie oparł mi głowę o swoją pierś. Jego serce biło w dziwny sposób, czasem powoli, a czasem w szaleńczym tempie, jakby nie było pewne, jak powinno funkcjonować w ciele demona.

– Strasznie nierówno bije ci serce – wymamrotałam, a on parsknął cichym śmiechem.

– Demony nie zostały stworzone do życia na Ziemi – wyjaśnił. – Jesteśmy tutaj trochę rozregulowani.

Postawił mnie na podłodze łazienki i odkręcił prysznic, żeby woda zrobiła się gorąca. Czułam się jak szmaciana lalka, ręce i nogi bezwładnie

mi zwisały, poziom siły wynosił zero. Bywałam już poważnie ranna, ale to... zdecydowanie, w tak złym stanie jeszcze nie byłam.

A i tak miałam kolosalne szczęście. Ta przygoda mogła się skończyć o wiele gorzej.

– Dziękuję ci.

Odwrócił się w moją stronę, rozpinając dzinsy.

– Słucham?

– Słyszałeś – mruknęłam pod nosem. Jego sarkastyczny uśmiech potwierdził, że miałam rację. – Nie wiem, dlaczego wróciłeś. Nie wiem, dlaczego ci... zależy. Jeżeli ci zależy. Ja po prostu...

Przykucnął obok mnie, opierając łokcie na kolanach.

– Dbam o to, co moje. – Wyciągnął rękę i założył mi za ucho niesforny kosmyk włosów, przy okazji muskając mnie pazurami po policzku. – To naprawdę takie proste. Pamiętaj, że już nie jesteś sama, Juniper. Wbij to sobie w końcu do głowy.

Kiedy wstał i skończył się rozbierać, poczułam coś dziwnego w piersi. Poczułam tam... coś ciepłego. Ciepłego i miękkiego, otulającego moje serce, jak chroniąca je poduszka.

– Co robisz? – zapytałam, próbując oderwać myśli od tego raczej-przyjemnego-ale-zdecydowanie-przerażającego miękkiego uczucia. – Dlaczego jesteś nagi?

– Pytanie powinno brzmieć: dlaczego ty nie jesteś naga? – odpowiedział enigmatycznie. – Jestem brudny, a ty jeszcze bardziej. Musimy się umyć.

Trudno było nie przyznać mu racji, więc zaczęłam się rozbierać. Jednak kiedy byłam w trakcie zdejmowania koszulki przez głowę, moje ramiona znowu zaczęły się zachowywać, jakby były z galaretki. Nie byłam w stanie przełożyć głowy przez dekolt, więc utknęłam z koszulką nałożoną jak torba na twarz. Moje ręce po prostu odmówiły dalszej współpracy.

– Kurwa mać! Ta głupia, pierdolona... – Koszulka gładko przeszła przez głowę, po czym Zane rzucił ją do kąta.

– Tym razem nie piorę tych ciuchów – ostrzegł. – Po prostu je wyrzucimy.

Pomógł mi zdjąć buty, a następnie dzinsy. Był ostrożny, zwalniał za każdym razem, kiedy syczałam z bólu. Już wcześniej mnie rozbierał, ale tym razem było inaczej. Nie miało to w sobie nic seksualnego, za to wydawało się bardzo intymne. Znowu wziął mnie na ręce i zaniósł do ogromnej kabiny prysznicowej, a ja wcale nie chciałam, żeby wypuszczał mnie z ramion.

Dotyk jego skóry – nie w trakcie pieprzenia się, ale zwykłej czynności – doprowadził mnie prawie do łez.

– Możesz stać? – zapytał. Woda była ciepła, jej strumienie zmywały ze mnie krew i brud, które znikwały w odpływie.

Powoli pokiwałam głową.

– Tak jeżeli mi pozwolisz się o ciebie oprzeć.

Nienawidziłam korzystać z pomocy prawie tak samo, jak nienawidziłam o nią prosić. Sama wpakowałam się w kłopoty przez swoje lekkomyślne zachowanie, więc wydawało mi się, że nie zasługuję na pomoc. Zawaliłam, więc zasłużyłam na ból. Może dzięki temu zapamiętam na przyszłość, że muszę być ostrożniejsza.

Jednak byłam zmęczona. Zmęczona i bezbronna, jak krab wyrwany ze swojej skorupy. Oparłam się ciężko o niego, a on powoli mnie postawił. Nogi mi się trzęsły, dopóki nie złapałam równowagi. Położyłam policzek na jego ramieniu i stałam tak z półprzymkniętymi oczami, podczas gdy strumień gorącej wody przyjemnie masował moje obolałe plecy.

– Masz krew we włosach – zauważył. Podtrzymał mnie za ramiona, żebym nie upadła, a jego skóra nawet w zaparowanej kabinie wydawała się

niezwykle gorąca.

Zamknęłam oczy. Byłam zbyt zmęczona, aby je trzymać otwarte.

– Powinnam je po prostu zgolić. Są brudne.

– Na jaja Lucyfera, przestań odgrywać taką pieprzoną męczenniczkę. Siadaj.

Pomógł mi osunąć się na podłogę. Kabina była na tyle przestronna, że mógł za mną uklęknąć, kiedy siedziałam po turecku na kafelkach, próbując nie zasnąć. Zmoczył moje długie włosy, przechylając mi głowę pod strumień wody. Wycisnął na dłoń odrobinę szamponu i zaczął masować mi skórę głowy.

Przygryzłam dolną wargę. Boże, jakie to wspaniałe uczucie...! Jego pazury delikatnie drapały skórę, kiedy okrężnymi ruchami rozprowadzał szampon po włosach, od nasady aż po same końce. Nie spieszył się, powoli poruszał dłońmi, a moje ciało z każdą minutą bardziej się rozluźniało.

– Nie zasypiaj mi teraz...! – poprosił. – Muszę zmyć szampon.

Skierował na mnie strumień prysznica, a ja zamknęłam oczy. Z moich włosów spływały brud, krew i inne paskudztwa, podczas gdy on delikatnie masował moją głowę. Ciepło złagodziło ból mięśni, a oksy wreszcie zaczęło działać.

– Jestem śpiąca – wymamrotałam, a głowa opadła mi na pierś, kiedy on wyciskał wodę z moich włosów. Nie chciałam zasypiać, ale moje ciało miało inne plany. Nie byłam nawet pewna, czy dotrwam do chwili, kiedy znajdę się w łóżku.

– Wiem. Prawie skończyliśmy.

Wstał na kilka minut. Mogłam się tylko domyślać, że się mył, ale nie byłam w stanie dłużej opierać się senności. Odpłynęłam; już prawie spałam, kiedy Zane zakręcił wodę i obudziła mnie nagła cisza. Wszystko było zamazane, jak we śnie. Środki przeciwbólowe i wycieńczenie nie pozwoliły

mi otworzyć oczu, kiedy otulił mnie ręcznikiem, a drugi zawiązał mi na głowie.

Położył mnie do łóżka nagą i przykrył świeżą pościelą. Kiedy mnie okrywał, lekko musnął moje ramię, choć ja pragnęłam czegoś więcej niż delikatnego dotyku. Myśl o zadrapaniach na plecach i opowieściach na dobranoc kołatała się po mojej oszołomionej, pozbawionej snu głowie i wydawała mi się nad wyraz atrakcyjna.

Zane powiedział coś o bandażach, ale byłam zbyt zmęczona, by go słuchać. Nie minęło kilka sekund, a już spałam.

Juniper

Następnego dnia słońce jasno świeciło na czystym niebie w odcieniu chłodnego błękitu. Zane wrócił ze mną do chatki, niosąc mnie przez większość drogi. Duma podpowiadała mi, że powinnam była kuśtykać po zboczu wzgórza, ale może raz – tylko ten jeden raz – mogłam schować dumę do kieszeni i przyjąć pomoc.

Gdybym szła na nogach, dotarcie do chatki zajęłoby nam dobrych kilka godzin. Eldowie spuścili mi niezły wpierdol – bolało mnie całe ciało, jakby mi ktoś przywalił młotem. Im bardziej zbliżaliśmy się do domu, tym bardziej mnie mdliło. Nadal wyczuwałam smród śmierci.

Gdy dotarliśmy na skraj podwórka, Zane postawił mnie na ziemi.

– Poczekaj tutaj – powiedział. – A ja pochowam twojego brata.

– Mogę pomóc...

Podniósł zakończoną pazurami dłoń.

– Nie, nie możesz. Nie musisz po raz kolejny oglądać jego ciała. Miej dla siebie trochę litości, Juniper.

Nie sprzeczałam się z nim. Miał rację, nie zniosłabym ponownie tego widoku. Przez te wszystkie lata widziałam mnóstwo martwych ludzi, sama odbierałam życie, zadawałam i otrzymywałam ciężkie rany. Jednak to był mój brat, a on nie chciałby, żebym zobaczyła go w takim stanie.

„Miej dla siebie trochę litości”. Łatwo powiedzieć.

Minęło zaledwie kilka minut, a Zane już wrócił i gestem dał mi znać, żebym poszła za nim. Na podwórku prawie nie było śladu wczorajszej jatki,

ale połamane drzewa na skraju przypominały, że przedzierało się między nimi stworzenie o ogromnej mocy. Zadrżałam na wspomnienie walki Zane'a z Golumami i brutalnej, nieposkromionej siły, którą potrafił w sobie wyzwolić. Nie pamiętałam, co zrobił Eldom, ale skoro twierdził, że żaden z nich nie uszedł z życiem, to musiała tu mieć miejsce prawdziwa masakra.

Grób już nie stał pusty – Marcus po raz kolejny został złożony na wieczny spoczynek. Jednak tym razem masywna kłoda, obok której go pochowałam, została przesunięta na grób, broniąc go przed każdym, kto chciałby go ponownie wykopać.

Książę spoczął w krypcie pod zamkiem, tutaj będzie wreszcie bezpieczny.

– Proszę. – Odwróciłam się, za mną stał Zane z moją strzelbą w ręce. – Znalazłem to między drzewami.

Ostrożnie wzięłam ją od niego; od razu poczułam się lepiej, czując jej ciężar. Jednak broń nie mogła mnie ochronić przez własną bezmyślnością. Wczorajszej nocy pod wpływem emocji naraziłam się na niebezpieczeństwo i mało brakowało, a zapłaciłabym za to życiem. Nie popełnię ponownie tego błędu.

– Będę w pobliżu – powiedział Zane i oddalił się, żeby dać mi trochę prywatności. Uklękałam przy grobie i położyłam rękę na ziemi. Wypłakałam już wszystkie łzy, gwałtowne cierpienie przerodziło się w tępy, zimny ból. To nieistotne, co zrobię, to nieistotne, jak zażarcie będę walczyć – Marcusowi już nic nie wróci życia.

Jednak nie zostanie zapomniany. Nie pozwolę im zapomnieć. Ludzie, którzy mu to zrobili – ludzie, którzy mnie to zrobili – zginą z naszymi imionami na ustach.

– Dopadnę was, skurwiele – mruknęłam pod nosem. Ucałowałam dłoń i położyłam na ziemi, w ten sposób żegnając się na zawsze. Następnie

wróciłam do chatki i zebrałam te kilka rzeczy, które miałam. Gdy wyszłam z domu i zamykałam drzwi na klucz, zerwał się wiatr, a drzewa zaszumiały. Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz.

– Juniper.

Odwróciłam się. Nawet w słoneczny dzień, taki jak ten, pod drzewami kryły się cienie. W tych lasach zawsze będą miejsca pełne mroku.

– Znajdę cię.

Głos dotarł do mnie z szumem wiatru, ale był również szeptem w moim uchu. Bóg kiedyś prawie mnie już miał; nigdy nie wybaczy mi ucieczki. Nieważne, jak daleko ucieknę, nieważne, gdzie się skryję – to bez znaczenia. Zawsze będzie mnie szukał, zawsze będzie wyciągał po mnie swoje macki, próbując mnie wciągnąć z powrotem w ciemność.

– Znajdź mnie – odparłam cicho, wpatrując się gniewnie w drzewa i w cienie, w których kryło się tyle nikczemnych rzeczy. – Jeśli ci się to uda, będę pławić się we krwi twoich służących. Nie powstrzymasz mnie. – Podmuchy były teraz silniejsze, zimniejsze. Drzewa jęknęły, targane wiatrem. – A ty będziesz mógł jedynie obserwować swój upadek.

Ze względu na obrażenia przez kolejne dni niewiele się ruszałam. Oprócz rozległych ran dokuczało mi również niewyspanie. Po południu padłam i spałam aż do rana. Obudziłam się, tylko żeby zjeść, zażyć antybiotyk i kolejne oksy, po czym zapadłam w sen na następne dwanaście godzin.

To niebywałe, ale nie dręczyły mnie koszmary senne. Moje sny były chaotyczne i dziwne; w długich, zapętłających się sekwencjach spacerowałam po lesie w zapadającym mroku. W ciemności jednak nie czyhało na mnie nic niebezpiecznego, a przynajmniej nie próbowało mnie zaatakować.

Trzeciego dnia miałam już dość. Gdybym była sama, już bym umarła albo byłabym bliska śmierci, nie mogłam tego zaakceptować. Z trudem wstałam z łóżka, usmażyłam jajka i zrobiłam tosty na śniadanie, zażyłam antybiotyk, ale nie wzięłam już tabletki na ból. Wszystko bolało mnie jak diabli, ale to żadne usprawiedliwienie. Nie mogłam ciągle się obijać.

Zrobiłam sobie przebieżkę wokół jeziora, trzymając się blisko brzegu. Musiałam się zatrzymywać o wiele częściej, niżbym chciała. Ryzykowałam, że świeże szwy puszczą, ale im dłużej odpoczywałam, tym większy ogarniał mnie niepokój. Właśnie byłam w trakcie drugiej serii burpees, kiedy w pobliżu domu zauważyłam Zane'a.

Próbowałam nie zwracać na niego uwagi, ale mi nie pozwolił.

– Co ty, kurwa, wyrabiasz? – Ze zmarszczonym czołem i wyrazem kompletnego niezrozumienia na twarzy przyglądał się, jak wykonuję kolejne padnij i powstań. – Twoje opatrunki przesiąkają krwią. Czuję jej zapach.

– Będę się... o to... martwić... później... – wysapałam. W głowie zaczęło mi się trochę kręcić, ale nic sobie z tego nie robiłam. Zerwałam się i próbowałam kolejny raz podskoczyć, ale Zane mnie powstrzymał, chwytając mnie za ramię.

– Juniper, ludzie w zasadzie są niezwykle delikatni – powiedział. – Cechuje was wręcz irytująca kruchość. Uderz jednego ze swoich śmiertelników w nieodpowiedni sposób, a on nagle ma połamane kości. Jednak nie pokonasz własnej śmiertelności, ponownie narażając się na niebezpieczeństwo. Otwierając swoje blizny, nie sprawisz, że znikną.

– Daruj sobie to filozofowanie. – Próbowałam złapać oddech, ale, cholera, teraz, kiedy straciłam impet, nagle ogarnęło mnie straszliwe zmęczenie. – Nie zasługuję na to, żeby tylko siedzieć w domu.

– Mówisz, żeby nie filozofować, a sama wymyślasz jakieś dyrdymały, zamiast pozwolić sobie spokojnie wyzdrowieć. – Prychnął. – Wiesz, co robią ranne demony? Śpią. Przesypiamy nawet całe lata, jeśli tego właśnie potrzebujemy. – Potrzęsnał głową. – I co, do diabła, masz na myśli, mówiąc, że na to nie zasługujesz? Co tu w ogóle ma do rzeczy zasługiwanie?

Za bardzo kręciło mi się w głowie, żeby stać. Usiadłam na pomoście, ciężko oddychając, i zauważyłam, że Zane miał rację co do krwawiących ran – na bandażu owiniętym wokół mojego prawego przedramienia pojawiła się ogromna czerwona plama. Tymczasem on przykucnął naprzeciwko mnie, więc już wiedziałam, że nie zadał tych pytań tak sobie, żeby się wygadać. Chciał odpowiedzi.

– Ale co cię to właściwie obchodzi? – Pomacałam krwawą plamę. Zamiast się martwić o szwy, które puściły, patrzyłam na krew i widziałam tylko własną słabość.

– Musisz przestać zadawać mi to pytanie.

Spojrzałam na niego z rozdrażnieniem.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ ani ty, ani ja nie jesteśmy gotowi usłyszeć odpowiedzi.

Nie spodziewałam się takiego wyjaśnienia. Jednak gdy patrzyłam na niego, gdy spoglądałam w te złote oczy z czarnymi żyłkami poruszającymi się w kącikach, musiałam mu przyznać rację.

– Znasz tę historię? – zapytałam cicho. – Zaginionej dziewczyny? Dziewczyny, która postradała zmysły? – Spojrzałam w dół, na pomost, utkwiałam wzrok w zawijasach, którymi upstrzone były stare sękate deski. – Którą wersję tej opowieści znasz, tę, która krąży wśród ludzi, czy tę prawdziwą? Przyjaźnisz się z Leonem, więc... może usłyszałeś ją od niego.

– To twoja historia – powiedział. – Historia dziewczyny, która została zwabiona do lasu, porwana, torturowana, a następnie wrzucona do nieczynnego szybu na pewną śmierć. – Kiwnął głową. Po raz pierwszy słyszałam, jak ktoś inny potwierdza, co się zdarzyło. Co się naprawdę zdarzyło. Po tylu latach słuchania wyłącznie kłamstw cudownie było wreszcie usłyszeć prawdę. – Ale ty nie umarłaś. Wydostałaś się. Wiem tylko tyle, ponieważ Leon wiedział właśnie tyle. – Zachichotał. – Nigdy nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób się wydostałaś. Ani jak udało ci się przed nim uciec. Ja zresztą też tego nie pojmuję.

– Nie zatrzymywałam się – wyznałam cicho. – Wszystko mnie bolało. Cholernie się bałam. Ale...

Musiałam się wydostać.

Nie wiem, jak długo krzyczałam, ale gardło miałam zdarte, a głos odmówił mi posłuszeństwa. Wszystko, co nastąpiło po tym, jak Victoria otworzyła drzwi do katedry, było zniekształcone przez LSD, zamglone i zamazane przez panikę i ból.

Ci wszyscy ludzie, bezimienni, schowani za maskami. Kent Hadleigh z nożem. Victoria trzymająca mnie za rękę, jak Judasz zdradziecko całujący Jezusa. Jeremiah, zimny i obojętny. Meredith Hadleigh, obserwująca mnie z niesmakiem. Heidi Laverne, pytająca o moje imię. Everly, schowana w cieniu, będąca świadkiem tego, jak krwawię.

Znałam ich. Ufałam im.

Zatopiłam palce w błocie i podciągnęłam się w górę na drżących ramionach. Każdy mój oddech był panicznym szlochem, adrenalina pulsowała w każdym moim nerwie, w każdym mięśniu. Kolejny paznokieć się oderwał, ból przeszył mnie od palca aż po ramię. Moi oprawcy zabili wejście do szybu deskami, słyszałam dźwięk przybijanych gwoździ, kiedy

krzyczałam. Część mnie pogodziła się z myślą, że już nie żyję i właściwie powinnam się położyć i czekać, aż to, co krąży w ciemności – czymkolwiek jest – przyjdzie tu po mnie.

Nie zatrzymywałam się.

Odnalazłam małe korzonki w błocie i kurczowo się ich chwyciłam. Płasko przylgnęłam do ściany i z policzkiem ślizgającym się po błocie, drżąc z bólu, z trudem pięłam się coraz wyżej... i wyżej. Nie mogłam ponownie się ześlizgnąć na sam dół. Nie byłabym w stanie z powrotem tu się wspiąć. Opadałam z sił.

Jeśli znowu spadnę, to będzie koniec.

– Juniper Kynes... Chodź do mnie...

– Nie – jęknęłam z rozpaczą, szukając kolejnego punktu podparcia. – Nie, nie, nie, zostaw mnie w spokoju!

Nie wiedziałam, czy ten głos jest prawdziwy. Kwas nadal zniekształcał moje postrzeganie rzeczywistości, tworząc w ciemności fraktale i dziwaczne plamy kolorów. To wszystko wydawało się nierealne. To był zwykły koszmar senny, z którego lada chwila się obudzę.

Muszę się obudzić.

Szloch wstrząsnął moją pierś, kiedy dotarłam do desek zagrządzających wejście do szybu. Kurczowo się ich chwyciłam, było to pierwsze ciało stałe, z jakim miałam do czynienia po długiej, męczącej wspinaczce. Między deskami były szpary, wystarczająco szerokie, żebym wysunęła na zewnątrz rękę i słabo pomachała nią w deszczu.

– Pomocy! – Z mojego gardła wydobył się zaledwie pisk, choć próbowałam krzyknąć. – Proszę... błagam... niech ktoś mi pomoże... – Naparłam ramieniem na deski, stopy ślizgały mi się w błocie, gdy usiłowałam znaleźć jakiś punkt podparcia. Deski nawet nie drgnęły. Nie

mogłam się między nimi precyzyjnie. W akcie desperacji zanurzyłam palce w ziemi poniżej. Mogę wykopać dziurę. W ten sposób się wydostanę.

Nagle dostrzegłam, że w ciemności zbliża się postać w białej pelerynie.

Kaptur miała naciągnięty na głowę, jej twarz spowijał mrok. Mocno chwyciłam się desek, serce waliło mi jak szalone. Powinnam się była domyślić, że będą na mnie czekać, że upewnią się, czy nie uciekłam. Jednak nie wrócę do tej mrocznej otchłani. Nie zmuszą mnie do tego. Muszą mnie zabić, jeśli chcą ponownie mnie tam wrzucić.

Czułam się jak osaczone zwierzę, wymachując pięścią przez szparę między deskami w stronę zakapturzonej postaci i warcząc:

– Wynoś się stąd! Nie podchodź, kurwa, bliżej!

– Nie krzycz.

Głos był znajomy, ale nie mogłam go z nikim skojarzyć. Był cichy i spokojny, ale wzbudził we mnie głęboką, dławiącą panikę, szczególnie że postać położyła ręce na deskach, uniemożliwiając mi wyjście. Myślałam, że sprawdza ich wytrzymałość, żeby się upewnić, że nie ucieknę.

Gdy deski opadły, zupełnie jakby przytrzymujące je gwoździe zniknęły, zamarłam w całkowitym niedowierzaniu.

Ale nie dłużej niż na sekundę. Z trudem się podniosłam, z całej siły odepchnęłam deski z drogi i próbowałam uciec...

Jednak tajemnicza osoba chwyciła mnie za ramię, wbijając mi palce w skórę. Rzuciłam się na nią, chciałam jej podrapać twarz, uniosłam pięści. Gdy się szamotałyśmy, kaptur spadł jej z głowy i zdałam sobie sprawę, kogo mam przed sobą.

Heidi Laverne.

Na moment zamarłam, przejęta grozą, ale szybko ponownie ją zaatakowałam, jeszcze bardziej zaciekle, warcząc jak zwierzę. Była jedną z nich. To ona stała koło Kenta; to ona patrzyła na wszystko i nie powiedziała

ani słowa; to ona pozwoliła im mnie skrzywdzić! Jednak wokół moich ramion owinęło się coś dziwnego, jakaś niewidzialna siła powstrzymała moje pięści i unieruchomiła stopy. Plunęłam na tę kobietę. Zaczęłam ją przeklinać. Zagroziłam jej każdym rodzajem przemocy, jaki przyszedł mi do głowy.

– Daj mi chwilę – szepnęła z rozpaczą, zerkając nerwowo przez ramię rozszerzonymi oczami. – Proszę cię, dziecko, tylko chwilę...!

Wyciągnęła w moją stronę ręce i położyła mi je na czole. Nie byłam w stanie się poruszyć. Nie mogłam z nią walczyć. Przez jedną przedziwną chwilę ogarnął mnie idealny spokój, zapomniałam o strachu, a moje zaciśnięte pięści się rozluźniły. Jej dłoń była ciepła. Pachniała lawendą i bzem.

– Będą cię ścigać – wyszeptała szybko, ciągle rozglądając się dookoła, jakby się bała, że ktoś nas nakryje. – Wyślą za tobą potwora, żeby zabrał cię z powrotem do kopalni. Jednak on cię nie zobaczy, dziecko, pod warunkiem że będziesz biegła.

Puściła mnie, a krępujące mnie dziwne więzy opadły. Zatoczyłam się do tyłu, poczucie spokoju natychmiast zniknęło, jego miejsce zajął zimny strach.

– Uciekaj – powiedziała. – Biegnij. Nie zatrzymuj się. Cokolwiek zobaczysz, nie przestawaj biec.

– Biegłam przez całą noc. Słyszałam, że ludzie pod wpływem przerażenia stają się supermocni, na przykład matki podnoszące samochód, żeby wyciągnąć spod nich swoje dzieci. Cokolwiek to było... szalony zastrzyk adrenaliny czy coś innego... tak właśnie się czułam. Wszystko mnie bolało, a ja nie przestawałam biec.

Przerwałam. Ostatnim razem, kiedy komuś o tym opowiedziałam, zostałam wyśmiana. Kiedy opowiedziałam o tym jeszcze raz, usłyszałam, że miałam halucynacje. Powiedzieli mi nawet, że Heidi nie było wtedy w stanie Waszyngton, że pojechała w odwiedziny do przyjaciół na Alasce, więc nie mogła być w lesie.

Ja jednak wiedziałam, co mi się przydarzyło. Nawet jeśli tego nie rozumiałam, nawet jeśli wydawało się to nie mieć żadnego sensu. Nie wyobraziłam sobie tego.

Zane nie patrzył na mnie z niedowierzaniem. Powoli kiwał głową, coraz bardziej mrużąc oczy. Nie czułam się komfortowo, opowiadając mu o tym. Ale kiedy wreszcie wyrzuciłam to z siebie, nadeszła ulga.

– Miała rację, wysłali za mną potwora. Widziałam go... w ciemności widziałam jego oczy. Wyglądał przerażająco. – Z trudem przełknęłam ślinę. Przede mną siedział demon z pazurami, rozżarzonymi oczami i ostrymi zębami; ale wtedy, w ciemności, nie miałam pojęcia, że takie istoty istnieją. Stworzenie, które mnie ścigało, było potworem rodem z moich koszmarów sennych. – Powinnam była umrzeć. Tak było zaplanowane. A jednak jestem tutaj. Żyję, choć zawałam kolejne sprawy. Dlatego uważam, że na to nie zasługuję. Ponieważ od tamtej pory każdego dnia musiałam wywalczyć sobie przetrwanie. Wywalczyłam sobie życie. Kiedy nic nie robię... kiedy pozwalam komuś sobie pomóc... kiedy dostaję coś, zamiast o to walczyć... czuję się, jakbym na to nie zasługiwała.

Nie chciałam, żeby patrzył na mnie ze współczuciem. Nie potrzebowałam litości. Po prostu chciałam mu o tym powiedzieć. Chciałam, żeby zrozumiał. Mój umysł działał na kompletnie popieprzonych zasadach, a ja nie wiedziałam, jak to naprawić. Stwierdziłam jednak, że skoro mam się przed nim odsłonić, to pójdę na całego.

Nadal odrobinę się bałam, że mnie wyśmieje, a to, Boże!, byłoby gorsze niż litość.

– Niepotrzebnie ci to opowiedziałam – dodałam szybko. – Nie sądzę, żeby dla demona takie pierdoły miały jakikolwiek sens. Pewnie myślisz, że to śmieszne.

Wreszcie podniosłam wzrok i spojrzałam na niego twardo, bo jeżeli miałby się ze mnie śmiać, to przynajmniej nie zorientuje się, że mnie rani. Jednak on się nie śmiał. Nie umiałam określić, jaką miał minę, ale pomimo rozżarzonych oczu i ostrych zębów na jego twarzy malowała się łagodność.

– Żyję już prawie tysiąc lat... – zaczął mówić. Ta informacja całkowicie zbiła mnie z tropu, wpatrywałam się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć. – ...czyli o wiele krócej niż niektórzy. Jednak wystarczająco długo, żeby być świadkiem początku i końca setek tysięcy ludzkich istnień. Królestwa upadają, armie zostają zmiecione z powierzchni ziemi... sam maczałem palce w kilku takich wydarzeniach. – Uśmiechnął się na samo wspomnienie, ale szybko spowaźniał. – Zasługiwanie na cokolwiek nie ma z tym nic wspólnego. Siła, która powołała mnie do życia, czymkolwiek by nie była, obdarzyła życiem również ciebie. Co ja takiego, kurwa, zrobiłem, że zasłużyłem sobie na wieczność, podczas gdy twoje ludzkie życie jest tak krótkie? – Potrząsnął głową. – To nie jest kwestia tego, na co zasługujesz. Życie samo w sobie prawdopodobnie jest przypadkową anomalią w tym pełnym chaosu wszechświecie, ale jest, jak jest. Mimo wszystko żyjemy. Wiem, że wy, ludzie, lubicie szukać sensu; niektóre demony koniec końców też zaczynają się tym zajmować. W jakimś momencie życia każdy chce poznać odpowiedź na pytanie: dlaczego?

Wpatrywał się w przeciwległy brzeg jeziora, a jego jasne oczy wydawały się łagodniejsze w blasku słońca.

– Nie wierzę w przeznaczenie ani w wyższy cel. Wierzę, że mamy do dyspozycji niezwykle, jedyne w swoim rodzaju, bezsensowne życie i możemy z nim zrobić, co tylko chcemy. Nie marnuj życia, karząc sama siebie! – Spojrzał na mnie z szelmowskim uśmieszkiem. – Masz przed sobą wieczność, kiedy to wszystko dobiegnie końca. Twoje śmiertelne życie się skończy, ale Piekło czeka. Przeżyjesz i Hadleighów, i Libiri. Pomimo całej krzywdy, którą ci wyrządzili, to ty zobaczysz więcej niż oni. Może to cię przeraża. Nie daj się ogarnąć temu lękowi. Chcę zobaczyć, kim się staniesz, Juniper Kynes. Człowiek taki jak ty może zdobyć w Piekle wielką władzę.

Uśmiechnęłam się, zanim zdołałam się powstrzymać.

– Booże, w Piekle nadal będę musiała się z tobą użerać, co?

– O tak! – Parsknął śmiechem. – Utknęłaś ze mną na dobre. Będę cię dręczył i męczył przez całą wieczność.

Mijały sekundy, a jedynymi dźwiękami, jakie dobiegały naszych uszu, był odgłosy jeziora i ptaków w koronach drzew. Musiałam zmienić opatrunek i poprawić kilka szwów, ale nie chciało mi się wstawać. Nie chciałam go opuszczać.

Czułam się tutaj swobodnie. Ogarnął mnie spokój.

Od dawna nie czułam się tak spokojnie.

– Czyli... stara z ciebie dupa, co? – odezwałam się wreszcie, przerywając swobodną ciszę. Roześmiał się.

– Można powiedzieć, że w świecie demonów dopiero przekroczyłem trzydziestkę – powiedział. – Zresztą przedstawiciele mojego gatunku na zawsze pozostają młodzi i gniewni duchem.

– Mówiłeś, że zawierałeś pakt z królami?

– O tak! Z królami, cesarzami, mnichami, kapłanami, dowódcami. Nie interesują mnie nudne układy.

– Opowiedz mi o jednym z nich. Opowiedz o najbardziej niewiarygodnym, szalonym układzie, który zawarłeś.

– Cholera, ale mam dla ciebie historię...! To było w Japonii w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym siódmym...

Położyłam się, rozciągając się wygodnie na pomoście. Przyjemnie było tak leżeć. Zamknęłam oczy i wreszcie swobodnie odetchnęłam.

Zane

Był środek nocy, a Leon wałęsał się po lesie.

Wyczułem go, gdy tylko zbliżył się do domu. Juniper spała, wyciągnięta pod kocem na kanapie, telewizor cicho mruczał, więc poszedłem na spotkanie z przyjacielem. Nie chciałem, żeby wkradł się do domu i zaskoczył ją zniecacka. Rozpętałoby się pierdolone piekło...!

Znalazłem go nad wodą.

– Wybrałeś się na spacer? – zawołałem z szerokim uśmiechem, podchodząc do niego. – Ognia?

Skinął głową, więc podпалиłem skręta, którego trzymał w ustach. Kilka razy zaciągnął się głęboko, niespokojnie uderzając stopą o podłogę. Wzrok uciekał mu na drugą stronę jeziora.

– Pozwolił mi odejść, Zane. Jestem wolny.

Myślałem, że się przesłyszałem.

– Jesteś... on... Co?

– Kent Hadleigh pozwolił mi odejść. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, a był to uśmiech, jakiego od bardzo dawna nie widziałem na jego twarzy. Zabójczy uśmiech. Ten sam, który sprawił, że moje serce szybciej zabiło, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Leona. – Powiedziałem mu, że zmiażdżę czaszkę jego drogiego Jeremiaha, jeśli tego nie zrobi. Podjął słuszną decyzję i w ten sposób odzyskałem wolność.

– Cholera jasna! – Wziąłem skręta, którego mi podał. – Musiało minąć całe stulecie, żebyś wreszcie... mógł wrócić do domu!

– Żałuj, że nie widziałeś miny Jeremiaha – powiedział. – Żałosny szczurek prawie narobił w gacie! – Nagle spoważniał. – Jednak mam problem. Grymuar. Moje imię. Kent go zgubił.

Kent był w stanie zmusić Leona do uległości tylko dzięki tej starej książeczce. To z niej dowiedział się, jak przywołać i podporządkować sobie demona takiego jak Leon – kontrolować go za pomocą bólu i tortur. Teraz, kiedy nie był już właścicielem grymuaru, stał się bezsilny.

Tyle że Leon również stał się bezsilny. Jego imię znowu krążyło po świecie i jeżeli ponownie wpadnie w niewłaściwe ręce, Leon znowu będzie musiał służyć jakiemuś magowi.

– Pamiętasz tę kobietę z baru? – Leon ściszył głos. – Raelynn?

– Tę, na której punkcie masz, hmm, obsesję? Jasne, że pamiętam.

Myślałem, że zaprotestuje, kiedy użyję słowa „obsesja”, ale on nie zareagował.

– Kent chce ją złożyć w ofierze.

– Jest jedną z trojga. – Powoli pokiwałem głową. – No jasne. Nic dziwnego, że gówniarze Hadleigha tak się jej uczepliły.

– Nie zgodziłem się jej porwać – wyznał jeszcze cichszym głosem, jakby musiał wyrzucić z siebie te słowa, ale wcale nie chciał, żeby zostały usłyszane. – I nie zamierzam pozwolić, żeby on to, kurwa, zrobił... – Gwałtownie urwał. Potrzasnął głową, mięśnie mu nerwowo zadrgały. – To ona ma teraz grymuar, Zane. Nie wiem, jakim cudem go dorwała.

– W takim razie nie powinno być trudno go odzyskać.

– Owszem. Być może najpierw trochę się z nią zabawię. – Uśmiechnął się znacząco. – A skoro mowa o zabawkach... Masz w domu człowieka.

– Tym razem nie mogę się z tobą podzielić – powiedziałem. – Jest trochę nieufna w stosunku do... w zasadzie w stosunku do każdego.

Parsknął śmiechem.

– Jak długo na nią polowałeś?

– Mniej więcej cztery lata.

Wywrócił oczami.

– Zawsze byłeś wzorem cierpliwości.

– To dar. Zawsze miałem niezwykły talent do... – Przyjaciół walnął mnie w ramię, żebym się zamknął. – Kurwa, do zdobywania tego, czego chcę. Palancie.

– Może i jestem palantem, ale przynajmniej wolnym palantem. – Przeciągnął się. – Hmm, w takim razie zostawię cię z twoją nową zabaweczką. Jeśli kiedyś zrobi się mniej nieufna, możemy się umówić na czworokąt.

Rewelacje Leona wiele zmieniły. Kent stracił posiadaną nad nim władzę i nie miał już grymuaru. Stał się więc o wiele łatwiejszym celem, co ja i Juniper zamierzaliśmy wykorzystać.

– Czyli nie może już używać magii – myślała na głos Juniper, szczypiąc swoją górną wargę kciukiem i palcem wskazującym. – Skoro nie ma już swojego demona, upolowanie go będzie jak bułka z masłem. – Zmrużyła oczy, spoglądając na znajdujący się przed nią ekran komputera. – Boże, Victoria jest taka męcząca...! Na co drugim zdjęciu pozuje w bikini na jachcie!

– Widziałem twoje konto na Instagramie, Juni. Połowa ludzi, których obserwujesz, to gorące kobiety w bikini.

Spojrzała na mnie gniewnie nad swoim laptopem.

– Ale żadna z nich nie próbowała mnie zabić.

– Każdy kochanek i każda kochanka próbowali mnie zabić – zauważyłem. – Właśnie dzięki temu było tak ekscytująco...!

Od kilku dni przeszukiwała media społecznościowe Hadleighów. Jej najcięższe rany już się zagoiły, więc nie mogła się doczekać, kiedy znowu znajdzie się w centrum wydarzeń i wykona kolejny ruch w wojnie przeciwko rodzinie Hadleighów. Jednak podjęcie decyzji, gdzie zadamy kolejny cios, nie było łatwe. Kenta, nawet pozbawionego grymuaru, trudno było nazwać bezbronnym.

Nadal stanowił duży problem.

– Jeśli najpierw zlikwidujemy Kenta, Libiri będą w rozsypce – argumentowała Juniper. – Zapanuje u nich totalny chaos. Zaczniemy śledzić ruchy Kenta, w ten sposób zorientujemy się...

– Najpierw musimy zająć się czymś innym. – Choć wcale mi się to nie uśmiechało. – Kent Hadleigh nadal ma dostęp do magii, nawet bez tej książeczki.

– W takim razie od tego zaczniemy – stwierdziła po prostu, odsuwając laptopa na bok.

Prychnąłem śmiechem, potrząsając głową.

– Co właściwie wiesz na temat wiedźm, Juniper?

Wzruszyła ramionami.

– Latające miotły, spiczaste kapelusze, „Deszczyk pada, słońce świeci, czarownica masło kleci”. – Nagle przerwała i spojrzała na mnie podejrzliwie. – Czy ty... czy ty sugerujesz, że Kent Hadleigh jest wiedźmą?

– On nie. Ale jego kochanka i córka są wiedźmami.

Oczy jej się powoli rozszerzyły, kiedy to do niej dotarło.

– Heidi i Everly? Są wiedźmami?

– A jak myślisz? – zacząłem. – Przypomnij sobie tę noc, kiedy wyczołgałaś się z kopalni. Od lat łamałem sobie głowę, jak to możliwe, że zdołałaś wymknąć się Leonowi. Jednak kiedy powiedziałaś, że Heidi cię dotknęła, to wszystko nabrało sensu. Ukryła cię przed nim. Dała ci szansę.

Juniper zmarszczyła brwi, jej napięte mięśnie zadrżały. Kiedy wracała myślami do tamtych zdarzeń, wspomnienia przenikały całe jej ciało. Przygotowywała się na nie, tak jak człowiek przygotowuje się na ból.

– Heidi była w kościele. Stała obok Kenta, kiedy on... – Przerwała na chwilę. Wzięła powolny, głęboki wdech. – Stała obok Kenta, kiedy mnie ciął. Nie zrobiła nic, żeby go powstrzymać. Dlaczego miałyby później mnie chronić?

Wzruszyłem ramionami.

– Wyrzuty sumienia? A może wendeta przeciwko Kentowi? Z tego, co wcześniej mówił mi Leon, Kent nigdy nie traktował dobrze ani jej, ani Everly. Żadna zemsta wiedźma to niebezpieczna sprawa. Wiedźmy w ogóle są bardzo niebezpieczne. Nie podróżują na latających miotłach, nie noszą spiczastych kapeluszy i nie używają kotłów. Za to dysponują bardzo silną magią. Taką magią, z jaką żaden rozsądny demon nie będzie sobie pogrywać. – Westchnąłem ciężko. – Niestety, ja nie jestem rozsądny, i ty też nie.

Uśmiechnęła się szeroko.

– I tu masz rację! Everly również tam była tamtej nocy. Przyglądała się wszystkiemu.

– Mogę tylko zgadywać, że dysponuje mocą równie potężną, co jej matka. A choć Heidi może pałać żądzą zemsty na Kencie, nie mamy gwarancji, że Everly zwróci się przeciwko ojcu. Obie stanowią dla nas ryzyko. Obie są niebezpieczne.

– W takim razie zlikwidujemy i jedną, i drugą. – Juniper rozparła się wygodnie na krześle. – Jak bardzo są potężne?

Podrapałem się po głowie, tłumiąc westchnienie.

– Posłuchaj. Jest bardzo niewiele rzeczy, z którymi demony wolą nie pogrywać. Na szczycie listy „Tych, których lepiej nie wkurwiać” są

Bogowie. Fakt, chwilowo odsunąłem tę zasadę na bok, ale, ogólnie mówiąc, każdy demon unika zadzierania z Bogiem. Numer dwa to Żniwiarze: piekielni oprawcy. Żniwiarzy należy za wszelką cenę unikać, chyba że życie nie jest ci miłe. Na miejscu trzecim są wiedźmy. Wiedźmy mają moc, która pozwala im odkryć nasze prawdziwe imiona, a co za tym idzie, kontrolować nas za pomocą magii.

Spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jeśli zmierzymy się z wiedźmami, a sprawy nie pójdą po naszej myśli, one mogą spróbować poznać moje prawdziwe imię i napuścić mnie na ciebie. Jasne, musiałyby dysponować niezwykłą mocą, żeby uczynić mnie swoim sługą... Ale jest taka możliwość.

Gwałtownie zastukała palcami w udo, zacisnęła usta i intensywnie nad czymś myślała.

– Jakie mają słabości?

– Takie same jak inni śmiertelnicy: broń, ogień, noże. Można je zaatakować zniecka. Można je zranić.

– W takim razie to właśnie zrobimy.

Najpierw jednak musieliśmy je odnaleźć, a to okazało się o wiele trudniejsze niż zlokalizowanie pozostałych Hadleighów.

– Ostatni raz Heidi Laverne pojawiła się na zdjęciu któregoś z Hadleighów sześć lat temu – powiedziała Juniper. Siedzieliśmy w moim samochodzie, na parkingu dla studentów Uniwersytetu w Abelaum. – To było zdjęcie grupowe zrobione przed siedzibą Towarzystwa Historycznego. Heidi tam pracowała, pamiętam, jak oprowadzała nas po muzeum, kiedy byłam tam z klasą w podstawówce. Ale nie jest wymieniona na ich stronie internetowej. Nie znalazłam też nekrologu.

– Wczoraj w nocy nie było po niej nawet śladu w domu Hadleighów – uzupełniłem. Obserwowałem ich dom od wczorajszego wieczora do wczesnego popołudnia dzisiaj, kiedy to udałem się na spotkanie z Juniper. Wczoraj była niezmiernie podekscytowana perspektywą prowadzenia mojego samochodu. W baku prawie nie było benzyny, z czego można wysnuć wniosek, że zrobiła sobie małą wycieczkę, zamiast po prostu przejechać z domu na uczelnię. – Nie widziałem też Everly.

– Dziwne. – Juniper zabębniła palcami w kierownicę. Bacznie przyglądała się każdej mijającej nas grupie studentów, wypatrując znajomych twarzy. – Profile Everly w mediach społecznościowych są zablokowane, więc nic tam nie znajdę. Jest tylko jedna fotografia rodzinna, ale zrobiona lata temu. Była natomiast wymieniona jako wystawca na Festiwalu Sztuki Ulicy na Main Street, czyli nadal mieszka w okolicy.

– Kent nie pozwoli jej wyjechać, jest dla niego zbyt cenna – powiedziałem. – Jeśli ją znajdziemy, mamy szansę odnaleźć również jej matkę.

Juniper skinęła głową, po czym nagle stężała na widok grupki studentów przecinających dziedziniec.

– To Jeremiah. Nie spuszczaaj go z oka. Musimy wszystko o nim wiedzieć: dokąd chodzi, z kim się trzyma. Ja biorę na siebie Victorię.

– Dlaczego dostałem Jeremiaha? – Nie to, żeby nigdy nie miał z nim do czynienia, ale... – To kawał skurwysyna.

Leon opowiedział mi o nim wystarczająco dużo. Wiedziałem, że mówi prawdę.

Juniper westchnęła.

– Victoria zauważy, jeśli zaczniesz się koło niej kręcić. Ja się przyczaję, żeby nie wzbudzić jej podejrzliwości.

– Na zdrowy rozum powinniśmy się zamienić. Przecież byliście przyjaciółkami.

– Zaufaj mi – nalegałam. – Victoria na sto procent zauważy, jeśli taki...
– Ugryzła się w język. – Po prostu masz śledzić Jeremiaha.

– Nie, nie...! Dokończ, proszę. Victoria zauważy...? – Żałowała, że prawie jej się to wyrwało, a to oznaczało, że muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Zacisnęła zęby.

– Victoria zauważy... – Zniżyła głos prawie do szeptu, jakby wołała tego nie mówić. – ...jeśli nagle zaczniesz się koło niej kręcić taki gorący facet.

– Ja? Gorący facet? Wow, Juniper, pochlebiasz mi...

– Jezu Chryste, po prostu nie zgub Jeremiaha!

Zane

Śledzenie Jeremiaha było dokładnie tak nieprzyjemne, jak się tego spodziewałem.

Obrzydliwie śmierdział. Próbował to zamaskować jakąś ohydną tanią wodą kolońską, ale w rezultacie otaczał go zapach będący mieszanką chemicznych substancji zapachowych, naturalnej woni ciała i spoconych jaj. Byłem przekonany, że nie tylko ja wyczuwam ten odór, ale najwyraźniej ludzie mieli naprawdę przytępiony zmysł powonienia. Obrzydliwy skurwiel spotkał się w ciągu tego dnia z czterema różnymi kobietami, a wszystkie one zareagowały natychmiastowym podnieceniem na jego widok.

Odpychający. Nie zerznąłbym gnoja, nawet gdybym przy okazji mógł się na nim ostro wyżyć.

Nie było trudno go śledzić. Facet zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Stawiał głośne kroki, mówił podniesionym głosem. Całkiem jakbym miał śledzić byka w sklepie z porcelaną.

Towarzystwo mu wymagało ode mnie tak niewiele koncentracji, że mogłem swobodnie myśleć o Juniper i o tym, o ile bardziej interesująco byłoby spędzić ten dzień w jej towarzystwie: słuchać, jak wypowiada na głos każdą myśl, która jej wpadnie do głowy. Sądzę, że przez te wszystkie lata nauczyła się rozmawiać sama ze sobą; przedstawiała cały tok swojego rozumowania, kiedy miała do rozgryzienia jakiś problem. Nawet nie myślałem o pieprzeniu się, po prostu chciałem spędzić z nią trochę czasu.

To znaczy myślenie o pieprzeniu z nią też było miłe, ale nie o to teraz chodziło.

Zmarszczyłem brwi. Znowu to samo – ta dziewczyna stała się moją słabością.

Zwykle po zawarciu układu zostawiałem ludzi samym sobie. Kiedy zrobiłem, co do mnie należało, nie miałem potrzeby ich więcej widzieć, przynajmniej dopóki nie umarli. Wtedy eskortowałem ich do Piekła, szybko tłumaczyłem, co i jak, a resztę musieli wykombinować we własnym zakresie. Jestem łowcą, nie niańką.

Jednak tym razem nie czułem tej nieprzepartej chęci, żeby wyruszyć na kolejne łowy, żeby domknąć ten układ i zająć się następnym. I to było, kurwa, przedziwne. Czy straciłem zapał? Czy straciłem pazur? Byłem jednym z najbardziej znanych łowców dusz w Piekło, bo byłem efektywny – zawierałem dobre układy, szybko je finalizowałem i pilnowałem, żeby duszyczki jedna za drugą w stałym tempie maszerowały do bram Piekła.

Nie sądziłem, że spotkam człowieka, który sprawi, że będę miał ochotę to zmienić. Człowieka, który tak mnie zainteresuje, że nie wystarczy mi samo zdobycie jego duszy.

Dlaczego, do kurwy nędzy, nie wystarczała mi jej dusza? Czego więcej chciałem?

Na szczęście kiedy zapadł zmrok i ostatnie zajęcia dobiegły końca, zaczęło się robić trochę bardziej ciekawie.

Jeremiah wskoczył do swojego dodge challenger i z rykiem silnika opuścił kampus. Pojechał w stronę zatoki, zatrzymał się na parkingu niedaleko oceanu i ruszył przed siebie wzdłuż wybrzeża. Na odludnej plaży ukrytej za gęstym zagajnikiem płonęło ognisko. Wokół niego zgromadziło się już pięć osób, piły piwa i słuchały głośnej muzyki płynącej

z wsadzonego do piasku głośnika. Obserwowałem je, ukryty przed ich wzrokiem w cieniu drzew.

– Hej, szefie, czekaliśmy na ciebie! – wrzasnął jeden z chłopaków do Jeremiaha, podając mu piwo. Ten przywitał się z wszystkimi i otworzył puszkę, po czym nastąpiła nudna jak flaki z olejem pogawędka o wszystkim i o niczym. Wreszcie Jeremiah zajął miejsce na potężnej starej kłodzie w pobliżu ogniska. Najwyraźniej w oczach pozostałych był kimś ważnym, bo gdy zaczął mówić, natychmiast zamilkli.

– No dobrze, zacznijmy od początku – oznajmił, wyrzucając pustą puszkę. – Nick, masz to pudełko?

– Taaak, pszepana – odparł przeciągle Nick. Wyjął kartonowe pudełko, brudne i poplamione, jakby wcześniej było zakopane. – Wszystko nadal tu jest.

– Na pewno powinieneś to zabierać, Jay? – odezwała się kobieta o blond włosach, marszcząc nos, kiedy Jeremiah przejął karton. – Czy to dla ciebie nie, eee, ryzykowne?

Jeremiah parsknął śmiechem, otwierając pudełko.

– Nie martw się, te świny nie szukają zabójcy Marcusa Kynesa. Teraz, kiedy dziennikarze olali sprawę, im też przestało zależeć. Mogę spokojnie zabrać z powrotem swoje pamiętki.

Jeremiah wyjął przedmiot, który zalśnił w świetle płomieni – ogromny nóż zawinięty w plastik, ostrze nadal było poplamione krwią.

– Powiniennem wystawić to cholerstwo w witrynce – zauważył. – Obok trofeów piłkarskich.

Krew była na tyle stara, że już nie czułem jej zapachu. Nagle zrozumiałem... jeden z mężczyzn roześmiał się trochę nerwowo.

– Chłopie, to trochę obrzydliwe. Tak tylko mówię. Trzeba było tego nie odkopywać...

– Słucham? – Jeremiaś zerwał się na równe nogi, a nerwowy śmiech natychmiast ucichł. – Co mówiłeś, Tommy? Mógłbyś to powtórzyć?

Tommy rozejrzył się, powoli mrugając oczami. Kobieta stojąca obok niego cofnęła się o kilka kroków, kiedy Jeremiaś rzucił mu prosto w twarz:

– Uważasz, że powinienem to zakopać, Tommy? Po prostu zakopać i pozwolić wszystkim zapomnieć, czego udało mi się dokonać?

Tommy pospiesznie potrząsnął głową.

– Nie, nie... Jasne, że nie, chłopie!

– Dopilnuję, żeby nikt o tym nie zapomniał – oznajmił Jeremiaś z szerokim uśmiechem, wyjmując nóż z plastiku. – Nikt z Libiri nie zapomni, że zrobiłem to, czego nie potrafił zrobić tata. Czego nie potrafiła zrobić Victoria. – Podniósł nóż do gardła Tommy'ego. – Złożyłem pierwszą ofiarę. Zupełnie sam. Marcus wykrwawił się jak baranek ofiarny. – Odwrócił się powoli, po kolei wskazując ostrzem noża na każdą osobę. – Zabiję kolejnego baranka, a potem również ostatniego. Bóg zażyczył sobie, żeby jeden Hadleigh przeżył, jeden zaś zginął, a ja zapewniam was, że nie będę tym, który umrze. Będę Mu służył swoim życiem.

– I właśnie tak ma być – dodała szybko blondynka. – Victoria ciągle powtarza, że ma sny, w których słyszy głos Boga. – Uśmiechnęła się triumfująco, kiedy Jeremiaś do niej podszedł. – Victoria zdaje sobie sprawę, że to jej pisana jest śmierć. A przeznaczeniem Jaya jest zostać przywódcą.

– Dokładnie tak, serduszko – przytaknął Jeremiaś, chwytając dziewczynę za twarz, jakby chwalił szczeniaka. – Victoria wie, co ją czeka. Tata jeszcze tego nie pojmuje, ale wkrótce i do niego to dotrze. To kwestia woli Boga.

Kurwa, jedli mu z ręki...! Czyli to on ma na sumieniu Marcusa – zamordował go, żeby udowodnić, że nie powinien składać w ofierze

samego siebie. A teraz planował śmierć własnej siostry. Oraz tamtej dziewczyny, Raelynn, ona też miała zostać złożona w ofierze.

To wszystko znaczyło, że kolejne ofiary grzecznie czekały na swoją kolej, nawet nie próbując umknąć swojemu losowi. W ten sposób Libiri znaleźli się o wiele za blisko osiągnięcia swojego ostatecznego celu.

Jeśli wszystkie trzy ofiary zostaną złożone, a pradawny Bóg zostanie uwolniony, zemsta Juniper nie będzie miała racji bytu. Ludzkość nie będzie miała racji bytu. Ziemia zostanie całkowicie utracona.

Zegar tykał o wiele szybciej, niż się spodziewałem.

– Dobrze, a co z Everly? – Na dźwięk jej imienia z powrotem nadstawiłem uszu. Jeremiaś znowu siedział, obok niego była blondynka, opierała głowę na jego ramieniu. – Czy ktoś z was coś słyszał? Coś widział?

Młodzi ludzie wymienili niepewne spojrzenia, po czym zgodnie zaprzeczyli. Kobieta wyjaśniła:

– Jej telefon jest wyłączony. Zablokowała mnie, gdzie się dało.

Jeremiaś posłał jej ostre spojrzenie.

– Dlaczego cię zablokowała? Rozpuściłaś jęzor i powiedziałaś jej coś?

– Nie! – Kobieta potrząsnęła głową. – Oczywiście, że nie! Nie zrobiłabym tego! Po prostu jest paranoiczną świruską... Zawsze taka była...

– No tak, w tym cały problem – mruknął Jeremiaś. – Musiała odejść i olać wszystko, co dla niej zrobiliśmy, choć byliśmy dla niej kurewsko mili. – Również potrząsnął głową. – Everly należy do Libiri. Jeśli coś zobaczycie albo usłyszycie, walcie z tym bezpośrednio do mnie. Nie do mojego taty. Nie do Victorii. Do mnie. Zrozumiano?

Wszyscy pokiwali głowami. A ja usłyszałem już wszystko, czego potrzebowałem.

Juniper

– Mogłam się domyślić, że to Jeremiaś! Przecież to oczywiste, co za popaprany skurwiel!

Wściekałam się, nie byłam w stanie się uspokoić. Chodziłam tam i z powrotem po salonie, z pięściami zaciśniętymi tak mocno, że aż bolało. To, że Jeremiaś nie tylko zabił Marcusa, ale również chełpił się tym przed znajomymi, zachował pamiątki i uważał, że to coś, z czego może być dumny – Boże, na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze!

Zane usadowił się na oparciu kanapy z nogami w rozkroku i czekał, aż to z siebie wyrzucę. Wydawał się zbyt duży, żeby tam siedzieć, miałam wrażenie, że kanapa zaraz się przewróci do tyłu. Jednak przypuszczałam, że grawitacja rządzi się innymi prawami w przypadku demonów.

– To głupiec, który na dodatek bez przerwy mieli ozorem – powiedział.
– Kontroluje innych za pomocą strachu i fałszywej brawury. To żalosne.

Przystanęłam i zmusiłam się do zaczerpnięcia kilku głębokich oddechów, żeby serce przestało mi tak walić.

– Teraz to martwy głupiec. Kurwa mać. – Przykucnęłam, przecierając rękami oczy. – Okej, muszę się skupić. Po całym dniu łożenia za Victorią nie jestem mądrzejsza niż przedtem. Za to Jeremiaś najwyraźniej się wygadał. Teraz wiemy, że Everly zniknęła.

– Wygląda na to, że uciekła. Mówiłaś, że nigdy nie dogadywała się z Hadleighami. Może wreszcie miała dość.

– Równie dobrze może teraz być w Australii. – Pokręciłam głową. – Nie mamy też żadnych informacji na temat jej matki. Wcale mi się to nie

podoba.

Mogłam zaryzykować i zaatakować Hadleighów, chociaż nie wiedzieliśmy, gdzie są wiedźmy. Jednak pośpiech nie jest dobrym doradcą. Musiałam wyhamować. Musiałam się upewnić, że sprawa jest dograna z każdej strony.

Jeśli spróbuję zabić Kenta, a on będzie miał ze sobą choć jedną wiedźmę, gra może być skończona.

Tyle że Hadleighowie mieli już w swoich szponach kolejną ofiarę. Tego tylko brakowało, żeby pradawny Bóg stał się jeszcze potężniejszy. Golumy się obudziły, a Zane ostrzegł mnie, że wkrótce wypełzną z kopalni. Lasy były pełne Eldów, prawie co noc słyszałam ich wycie. Co jeszcze mogło wyłonić się z ciemności, kiedy zostanie złożona kolejna ofiara?

– Spróbuję wytropić tę wiedźmę – oznajmił Zane. – Wiedźmy i ich magia mają specyficzny zapach. Łatwiej będzie namierzyć Everly, bo jest młodsza i mniej doświadczona. Ale to zajmie trochę czasu. Będę musiał pokreć się po okolicy, sprawdzić, czy gdzieś unosi się choćby ślad jej zapachu. Jeśli znajdziemy córkę, prawdopodobnie znajdziemy też matkę.

Kiwnęłam głową.

– A ja będę mieć na oku Victorię i Jeremiaha. Ta dziewczyna, Raelynn... Spróbuję się dowiedzieć, jak wygląda jej sytuacja. Mam nadzieję, że jest ostrożna. Tylko tego nam brakuje, żeby jakaś pozbawiona instynktu samozachowawczego, lekkomyślna dziewczyna kręciła się koło Hadleighów.

Zane zachichotał.

– Pamiętaj, że wpadł jej w oko Leon...! A to oznacza, że jej instynkt samozachowawczy poważnie szwankuje albo wręcz nie istnieje.

– Hmmm, skoro on też jest nią zainteresowany, to może mógłby się do czegoś przydać i trzymać ją z daleka od Hadleighów? – Mieliśmy plan,

więc poczułam się odrobinę lepiej. Wstałam, wyłamując palce, aż stawy strzelały. – Kiedy już skończymy z wiedźmami, trzeba się będzie wziąć do Hadleighów, i to ostro. Przysięgam, że w dniu, kiedy wypatroszę Jeremiaha, zafunduję sobie butelkę szampana...!

– Lubię, kiedy nie ukrywasz swoich morderczych instynktów – powiedział Zane, intensywnie się we mnie wpatrując, ze znajomym pożądaniem w oczach.

– Och, to będzie coś więcej niż morderstwo. – Podeszłam do kanapy i pochyliłam się, opierając ręce po obu jego stronach. Tym razem ciągle miał na sobie koszulę. Szczerze mówiąc, było to trochę irytujące. – To będzie masakra. To będzie dzieło pierdolonej krwawej sztuki.

W tych jego ostrych zębach, które prezentował, uśmiechając się, było coś takiego, że temperatura mi rosła, a serce zaczynało bić jak szalone.

– Taaa...? Powiedz mi coś więcej, mała wilczyco.

Nadal miałam wrażenie, że to niebezpieczne znajdować się tak blisko niego. W końcu był bestią, która mogła ugryźć z byle powodu. Ja jednak nie bałam się jego ugryzień. Było mi na rękę, że może być zagrożeniem. Mógł to wykorzystać, realizując moje fantazje albo chroniąc moje życie.

Ten odmieniec walnął pięścią prosto w mur, który wokół siebie zbudowałam, i zaproponował mi wyjście na zewnątrz; przebił się przez mój niepokonany mur, chroniący mnie przed ciosami. Czy mu ufałam? Nie byłam pewna. Jednak jeśli miałabym komuś powierzyć własne życie, to właśnie jemu.

– Użyję tego noża, z którego jest taki dumny, żeby wypruć mu flaki – powiedziałam, a Zane niecierpliwie oblizał usta. – Miałam zamiar na końcu zabić Victorię, ale zmieniłam zdanie. Ostatni zginie Jeremiah. Nie chcę się przy nim spieszyć.

– I nie powinnaś, kochanie. – Przesunął pazurami po moim policzku, zakładając mi niesforny kosmyk włosów za ucho. Nie cofnął ręki, tylko objął nią moją głowę. – Już słyszę jego krzyki.

– Na krzykach się nie skończy – oznajmiłam. – Chcę, żeby błagał. Będzie wrzeszczał, żebym się nad nim zlitowała.

Zane wykonał ruch tak szybki jak atak drapieżnika. Jedną ręką nadal obejmował mnie za głowę, a drugą zacisnął z boku mojej szyi, jednocześnie wstając z kanapy i popychając mnie kilka kroków do tyłu.

– Taaa...? I zlitujesz się nad nim? – Trzymał mnie, górując nade mną wzrostem.

Sięgnęłam w dół i ścisnęłam wypukłość na jego dzinsach.

– Nigdy. Chcę tylko słyszeć, jak krzyczy, kiedy będzie wykrwawiał się na śmierć.

Moje słowa wreszcie uwolniły w nim tę pierwotną energię. Zaatakował moje usta głębokim i zachłannym pocałunkiem, ścisnął mnie mocniej i napierał na mnie, zmuszając mnie do cofania się, aż przycisnął mnie do wielkiego okna z widokiem na jezioro. Przejechałam mu paznokciami po plecach, po czym zerwałam z niego koszulę. Teraz drapałam go po gołej kłacie, następnie objęłam go za szyję, a on mnie podniósł. Oplotłam nogami jego biodra, a on chwycił mnie za tyłek.

Całował mnie w szyję, dokładnie tam, gdzie pulsuje żyłka, i jęknął głośno, kiedy go ugryzłam. Nie byłam w stanie tak naprawdę go zranić, ale lubił, kiedy próbowałam. Ugryzłam mocniej, zostawiając na jego skórze ślady zębów, a on odchylił mi do tyłu głowę.

– Och, czyżby moja mała wilczyca miała ochotę na ostro...? – mruknął, a ledwo zdążyłam kiwnąć głową, wymierzył mi tak silny policzek, że aż zabrakło mi tchu. Rozkoszne pieczenie rozeszło się po mojej skórze,

mrowiąc i budząc we mnie zdesperowaną ochotę na więcej – więcej bólu, więcej rozkoszy, więcej jego wszechogarniającego pożądania.

Jeszcze nikt nie zareagował w ten sposób na buzującą we mnie wściekłość – zwykle ludzie odsuwali się, kiedy zorientowali się, co we mnie drzemie. Byłam postrzegana jako onieśmielająca, groźna, nieprzyjemna. Mówiąc wprost, wściekła suka. Jednak dzięki temu czułam się bezpieczna, bo nikt nie odważył się do mnie zbliżyć.

Z wyjątkiem Zane'a. On się nigdy nie odsuwał, wręcz odwrotnie, parł do przodu, nawet kiedy ja próbowałam się wycofać. Jakim trzeba być szaleńcem, żeby widzieć mój morderczy szal i chcieć więcej? Jakim trzeba być świrem, żeby nie przestraszyć się buchającej ze mnie nienawiści?

Moja wściekłość była moim pancerzem. Moja nienawiść była dla mnie jak żelazne kraty – zapewniała mi bezpieczeństwo, ale jednocześnie stanowiła więzienie, klatkę, z której nawet nie wiedziałam, czy chcę się wydostać.

Zane rozbierał tę klatkę, kawałek po kawałku. Wcześniej długo stał na zewnątrz, spoglądając na miotającego się wewnątrz człowieka, jednak zamiast potrząsnąć głową i odejść, on chciał wejść do środka.

– Mocniej – wyszeptałam, a Zane wymierzył mi kolejny policzek, jednocześnie zaciskając palce na moim gardle.

– Powtórz to – powiedział. – Powiedz mi, czego chcesz.

– Wypieprz mnie. – Uśmiechnęłam się. – Zerznij mnie do nieprzytomności.

Brutalnie mnie odepchnął, przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że upadnę, ale mnie złapał. Popchnął mnie jeszcze raz, tym razem w stronę ściany, tak mocno, że zabrakło mi tchu. Znowu mnie chwycił, ratując przed

bolesnym zderzeniem ze ścianą. Chichocząc, objął mnie ręką za twarz. Pazury drapały mnie po policzkach, a dłoń zakrywała mi usta.

– Jak łatwo jest tobą pomiatać! – powiedział, szczerząc zęby zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy. Rzucił mną ponownie, ale tym razem nie chwycił mnie, tylko pozwolił mi upaść na kanapę. Poduchy zamortyzowały uderzenie, ale i tak przez moment nie mogłam złapać tchu, a on natychmiast rzucił się na mnie i zerwał ze mnie koszulkę. Po prostu rozdarł ją pazurami, od dekoltu aż po brzeg. Nie miałam na sobie stanika, a on unieruchomił mnie jedną ręką, po czym ostrym pazurem zatoczył kółko wokół mojego sutka.

– Posłuchajmy, jak krzyczysz. – Jego głos był niezwykle łagodny, ale pazury już takie nie były, kiedy zagłębiły się w moją skórę.

Krzyknęłam, choć usta zasłaniała jego ręka, częściowo z bólu, a częściowo z podniecenia, efekt gwałtownego wzrostu dopaminy. Drżałam, gdy jego pazury wędrowały po moim ciele, zostawiając czerwone ślady na moim brzuchu. Wiłam się pod nim i próbowałam uwolnić, a on warczał i napinał się jak pies, któremu ktoś próbuje zabrać kość. Nagle poczułam coś nowego, jakby więzy krępujące moje kończyny. Zaciskały się coraz bardziej, aż wreszcie prawie nie byłam w stanie się poruszyć.

Uśmiechnął się do mnie, przesuwając językiem po obnażonych zębach.

– Mały człowieczek nigdy nie wymknie się demonowi – powiedział. – Mogę pozwolić ci uciec, możesz trochę pobiegać i powalczyć, żeby mnie zabawić, ale jeśli naprawdę chcesz cię unieruchomić, chcę, żebyś była bezbronna... – Puścił moją twarz i wyprostował się. Choć mnie nie dotykał, nadal nie byłam w stanie się poruszyć. – Mogę to zrobić. Mogę zrobić wszystko, co zechcę.

Kurwa, dlaczego tak mnie to podniecało? Jego moc była cholernie seksowna. Poza tym jeden z warunków naszej umowy mówił o tym, że nie

skrzywdzi mnie bardziej, niż będę tego chciała. Mogłam z nim walczyć ile dusza zapagnie, mogłam podjąć tę grę i udawać ofiarę, ale koniec końców to ja decydowałam, jak daleko się posuniemy.

Leżałam skrępowana niewidzialnymi więzami, a on zdjął mi spodnie, drapiąc mnie pazurami po udach. Zahaczył palcem o gumkę moich majtek i po prostu je rozerwał, uśmiechając się do mnie szeroko. Pochylił głowę i oblizał usta.

– Mokrusieńka – wymamrotał. – Mała dziwka...!

Bezceremonialnie rozłożył mi nogi i szarpnął mnie w swoim kierunku. Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy, przesuwając językiem po wewnętrznej stronie mojego uda i kęsając mnie. Najpierw był delikatny, czułam tylko lekkie pieczenie na wrażliwej skórze ud. Jednak ukąszenia były coraz mocniejsze, aż wreszcie przebił skórę i wessał między zęby moje ciało. Będę miała całe uda w siniakach i malinkach... Przez cały czas spoglądał na mnie, jakby rzucał mi wyzwanie, żebym się broniła.

Oczywiście, że próbowałam się bronić, niezależnie od tego, jak bardzo byłam unieruchomiona. A przynajmniej tak myślałam, dopóki jego usta nie powędrowały w dół. Kiedy dotknął mnie językiem, poruszając nim wokół łechtaczki, wszystkie myśli wyparowały mi z głowy.

Trzymał mnie za uda, kiedy mnie konsumował, nie pozwalając mi ich zamknąć. Wsunął we mnie język, a dotyk chłodnego piercingu w moim wnętrzu sprawił, że gwałtownie zadrżałam. Wydał z siebie pomruk, którego wibracje doprowadziły mnie do utraty tchu. Już prawie szczytowałam, kiedy on niespodziewanie uniósł głowę i uderzył mnie otwartą dłonią w udo tak mocno, że aż krzyknęłam.

– Potrafisz dojść dzięki bólowi, mała dziwko? – wymamrotał, nadal trzymając mnie rozwartą, a jednocześnie wodząc palcem po czerwonym śladzie w kształcie swojej ręki na moim udzie. – Chcesz spróbować?

Przytaknęłam, w głowie mi się zakręciło na myśl o bólu, ale był to najprzyjemniejszy rodzaj wirowania. Wzdrygnęłam się, kiedy ponownie uderzył mnie w udo, dokładnie tam, gdzie nadal mnie piekło, po czym znienacka uderzył mnie w drugie. Napięłam uda, ale nie mogłam ich zamknąć, więc z całej siły zacisnęłam palce na poduchach, a moje pojękiwanie zmieniło się w bolesny skowyt. Tymczasem on wymierzył mi kolejnego klapsa.

– Jesteś mokrusieńka. – Roześmiał się i zamiast ponownie uderzyć mnie w udo, dał klapsa mojej łechtaczce.

Kurwa, jak to możliwe, że coś tak bardzo bolało, a jednocześnie było takie przyjemne...? Moje plecy wygięły się w łuk, walcząc z niewidzialnymi więzami, a on znowu uderzył, aż poczułam gorące pulsowanie w dole brzucha. Kurwa, byłam coraz bliżej orgazmu...! To nie powinno być aż tak przyjemne, zdecydowanie nie powinnam być coraz bardziej mokra i gorąca tam na dole. Ból był przeszywający, jednak pobudzał wszystkie nadwrażliwe, postawione w stan gotowości komórki nerwowe.

– Zobaczymy, jak intensywnie dojdiesz z moim kutasem w tyłku i po paru klapsach w cipkę.

Kutas w tyłku – o cholera!

Sięgnął do szuflady po tubę lubrykantu i wycisnął porcję na palec. Jeszcze raz mnie pocałował, wciskając mi kutasa między nogi, podczas gdy jego język dominującym ruchem przykrył mój. Wsunął we mnie palec, przeciskając go przez pierwszy ciasny pierścień mięśniowy i wkładając mi go do tyłka, podczas gdy ja ciężko dyszałam do jego ust. Zaczął mnie pieprzyć palcem, potem dołożył drugi, a w międzyczasie ponownie wymierzył klapsa mojej łechtaczce. Z jękiem zacisnęłam się wokół jego

palców; włożył dopiero dwa, a ja już czułam się całkowicie pełna. Powoli wkładał je i wyjmował, nachylając się nade mną z uśmiechem.

– Trzymaj nogi szeroko otwarte, suko – powiedział słodko.

Kiedy mnie uderzył, w pierwszym odruchu miałam ochotę zacisnąć uda. Jednak opanowałam się i z głośnym jękiem zacisnęłam dłonie na poduchach. Uderzył ponownie, a jego palce nadal mnie rozciągały. Krzyknęłam, waląc pięścią w kanapę.

– Mam nie przestawać? – zachichotał. – Wygląda na to, że całkiem ci się to spodobało.

– Tak, Boże, tak... – wydusiłam z siebie, kiedy cofnął palce. Wycisnął na kutasa kolejną porcję lubrykantu i przycisnął śliską i niebezpiecznie grubą główkę do mojej dziurki.

– Co ci mówiłem – przypomniał złowrogo – o wzywaniu Boga? Powinienem cię za to ukarać.

– Kurwa... kurwa, kurwa, kurwa – wymamrotałam, traktując to słowo jak mantrę, kiedy się we mnie wciskał... Czułam każdą koronę, każdą wypukłość jego monstrualnego penisa, który wsuwał się we mnie coraz głębiej. Nogi mi się trzęsły, a kiedy był mniej więcej w połowie, znowu podniósł rękę.

– Jesteś gotowa, dziwko?

Boże, kiedy tak mnie nazywał, wszystko we mnie drżało w najprzyjemniejszy sposób. Zabiłabym każdego, kto by ośmielił się tak mnie nazwać, ale on? Kiedy to mówił, czułam się niegrzeczna, czułam się napalona. Przytaknęłam, zagryzając usta i przygotowując się na ból, na pulsującą, wypełnioną udręką rozkosz. Gdy nadeszła, krzyknęłam, moje mięśnie zacisnęły się wokół niego tak mocno, że aż jęknął, powieki mu zatrzepotały i na moment zamknął oczy.

– Kurwa mać... – Gdy ponownie otworzył oczy, jego źrenice się powiększyły, czerń rozlała się, zagarniając prawie całe rozjarzone, złote tęczy. – Jak dobrze mi w tobie...!

Wszedł we mnie cały, pochylając się nade mną, a mnie trzęsły się nogi i z trudem łapałam oddech, bo był taki wielki.

– Moja dziewczynka – mruknął mi do ucha z nagłym, mocnym, brutalnym pchnięciem. – Cholernie dobrze znosisz ból.

Byłam całkowicie pełna, ale moja cipka nadal go pragnęła, nabrzmiała i ociekająca podnieceniem. Tymczasem on szepnął słodko:

– Rozchyl dla mnie nogi, kochanie. Doprowadzę cię na sam szczyt.

Oddech mi się rwał, ale go posłuchałam. Musiałam przytrzymać szeroko rozchylone nogi, bo gdybym tego nie zrobiła, nie udałoby mi się utrzymać ich w powietrzu samą siłą woli. Uderzył mnie otwartą dłonią w uda, a kiedy zaczęłam drżeć, wymierzył klapsa mojej cipce, a potem kolejnego i kolejnego. Rosnący ból przeplatał się z ogarniającą mnie rozkoszą. Te dwa doznania były nierozłączne, pod wpływem każdego mocnego klapsa coraz bardziej i bardziej się zaciskałam, aż wreszcie...

Od stóp do głów wstrząsana drgawkami doszłam, a on pieprzył mój tyłek i wymierzył ostatniego, trudnego do wytrzymania klapsa pulsującej z podniecenia cipce. Orgazm ogarnął mnie z taką siłą, że prawie nie mogłam oddychać, a Zane zaczął się poruszać szybciej. Nogi miałam unieruchomione, gwałtownie drżały, a on nieprzerwanie pieprzył mój tyłek, aż poczułam, że jego kutas pęcznieje.

– Czy mała dziwka chce mieć moje nasienie w dupce? – zapytał, z szerokim uśmiechem chwytając mnie za twarz i potrząsając nią mocno. – Wyrzuc to z siebie, dziwko. Powiedz, czego chcesz.

Byłam oszołomiona bólem, a jednocześnie pławiłam się w rozkoszy. Było mi łatwiej warknąć na niego i ugryźć go w rękę, jakbym była dzikim

zwierzątkiem, niż wyartykułować kilka słów. Jednak on uchylił się przed moimi zębami i z uśmiechem włożył mi do ust dwa palce.

– No dalej, ugryź mnie – mruknął. – Ugryź mnie, kurwa, tak jak zamierzałaś.

Boże, jak te słowa mnie rozpałały...! Zacisnęłam zęby na jego palcach, i to z taką siłą, że każdemu śmiertelnikowi bym je złamała. Ale Zane'a to tylko bardziej pobudziło, jęczał z rozkoszy, pieprząc mnie za karę jeszcze mocniej.

– Ta dupa jest moja – mruknął, ciągnąc do przodu moją głowę. Zraniłam go zębami, jego krew kapiała mi na usta. – Tylko moja. Nigdy o tym, kurwa, nie zapomnij!

Puściłam jego palce i plunęłam mu w twarz jego krwią. Roześmiał się – dzikim, pożądlivym śmiechem – i nadal broczącą ręką rozsmarował sobie ślinę z krwią po twarzy.

To mu wystarczyło, żeby osiągnąć szczyt.

Jego kutas zaczął rytmicznie pulsować, a subtelna zmiana jego objętości sprawiła, że oczy mi się wywróciły białkami do góry. Spuścił się we mnie, wypełniając mnie po brzegi gorącym nasieniem. Opuścił mnie w dół, przekładając mi do tyłu włosy, a ja zamknęłam oczy, próbując wreszcie złapać oddech. Pieścił moje uda, ostrożnie dotykając obolałych miejsc i obsypując delikatnymi pocałunkami moją rozpaloną skórę.

– Cholernie piękna – mruknął pod nosem. – Jesteś taka piękna.

I, faktycznie, tak właśnie się czułam.

Juniper

Spacerowanie po centrum Abelaum było jak próba bezgłośnego przejścia na bosaka po podłodze wysypanej pinezkami. Każda uśmiechnięta twarz budziła mój niepokój. Śmiech mijających mnie ludzi wydawał mi się złowieszczy. Nawet najbardziej niewinne gesty były podejrzane.

Czułam na sobie ich spojrzenia, mrowiły mnie plecy i bolała głowa. Miałam szczęście, że pogoda była deszczowa, bo mogłam się przechadzać z nasuniętym na czoło kapturem. Tylko ukrywając twarz, byłam w stanie zachować spokój.

Wolałabym mieć przy sobie Zane'a, ale on był zajęty tropieniem wiedźm. W każdej chwili mogłam do niego zadzwonić na komórkę – dzięki Bogu demony nie miały nic przeciwko nowoczesnej technologii – jednak sam fakt, że nie było go przy mnie, sprawiał, że czułam się, jakbym zostawiła pistolet w domu i chodziła nieuzbrojona.

Nie bez powodu wyjechałam z tego miejsca. Abelaum nie było dla mnie bezpieczne. Wiedziałam, że kiedy jestem poza granicami stanu Waszyngton, szanse na natknięcie się na członka Libiri są niewielkie. Z kolei tutaj byli wszędzie, nawet nie potrzebowali się kryć.

A dopóki nie mogłam ich zabić, nie chciałam ich spotykać.

Miałam jednak zadanie do wykonania. Tak jak podejrzewałam, życie towarzyskie Victorii toczyło się teraz wokół Raelynn – dziewczyny, o której powiedział mi Zane.

Bez problemu ją rozpoznałam; Zane trafił w dziesiątkę z opisem. Drobną kobietką, mierzącą niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów,

w wielkich okularach i ze ściętymi na boba czarnymi włosami. Zupełnie nie pasowała do Victorii, która siedziała z markową torebką, w zgrabnej białej pelerynce i z idealnym manikiurem. Z kolei mała panna Raelynn miała na sobie o dwa numery za dużą dzinsową kurtkę, której klapy pokryte były przypinkami z różnymi zespołami, a z tyłu miała wielką naszywkę z punkrockową grupą Bad Religion.

Nie kojarzyłam jej. Zastanawiałam się, skąd się tu wzięła i jakim cudem Hadleighom udało się ją wciągnąć do swojego kręgu. Prawdopodobnie tak samo jak kiedyś mnie. Victoria użyła swojego czaru i dziewczyna poczuła się kimś wyjątkowym. Potrafiła sprawić, że wydawało ci się, że masz ogromne szczęście, że zwróciła na ciebie uwagę. Ja też uważałam się za szczęściarę, kiedy w szkole średniej udało mi się zdobyć jej przyjaźń. Nikt inny mnie nie lubił, tylko ona.

Kawa, którą właśnie wypiałam, przelewała mi się w żołądku. Obserwowałam obie kobiety z drugiego końca kawiarni; siedziałam za plecami Victorii, wciśnięta w kąt, żeby mnie nie zauważyła. Kobieta, która próbowała mnie zabić, znajdowała się może dwa metry ode mnie. Słyszałam tylko jej głos. Był czas, kiedy byłyśmy sobie naprawdę bliskie. A przynajmniej... ja czułam, że jesteśmy blisko. Wszystko jej mówiłam. Powiedziałam jej o rodzicach, o odejściu taty, o bólu po jego śmierci. Powiedziałam jej o nienawiści mamy do taty, jej chłopakach, jej picciu – wszystko.

A ona opowiedziała mi o romansie swojego taty. O tym, że Everly urodziła się zaledwie kilka miesięcy wcześniej niż ona i Jeremiah. Opowiadała, że widywała płaczącą w ogrodzie matkę. Mówiła, że ma wrażenie, że jej tata cały czas nastawia ją i Jeremiaha przeciwko sobie, powtarza im obojgu, że „tatuś chce być z nich dumny”, jakby to była gra, w której nagrodą jest jego miłość.

Teraz wiedziałam, że rywalizacja między nimi była jak najbardziej prawdziwa. To, kurwa, chory plan, poświęcić jedno ze swoich dzieci w imię obietnicy złożonej jakiemuś nikczemnemu Bogu.

Zacisnęłam palce na porcelanowym kubku. Nie współczułam Victorii. Podtrzymywała tę samą morderczą tradycję, co pozostali członkowie sekty. Zwabiała ludzi, zdobywała ich zaufanie, a potem manipulowała nimi dla swojej korzyści. A wszystko po to, żeby ocalić własne życie.

Pieprzyć ją. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Z tego, co słyszał Zane, jej własny brat już kombinował, jak ją ukatrupić.

A ta Bogu ducha winna Raelynn wydawała się zupełnie tego wszystkiego nieświadoma. Biedne dziewczątko...! Ciągłe zerkąła przez okno, kręciła się na krześle i pochłaniała mrożoną czarną kawę w takim tempie, że ja na jej miejscu już bym miała atak serca. Uśmiechała się i uprzejmie kiwała głową, kiedy Victoria raczyła ją jakąś głupkowatą historyjką. Czy Raelynn miała tutaj rodzinę? A może przyjaciół?

Czy byli ludzie, którzy się zaniepokoją, kiedy zniknie bez śladu?

Tak się na nich skupiłam, że przez dłuższą chwilę nie zauważyłam stojącej przed kawiarnią kobiety z długimi jasnymi włosami. Jednak wreszcie spojrzałam w jej stronę. Deszcz spływał po jej kapturze, zwilżając kosmyki rozwianych przez wiatr włosów. Jasnoniebieskie oczy, długa czarna spódnica...

Minęło wiele lat, ale znałam tę twarz.

Everly.

Obserwowała Victorię i Raelynn, jednak w chwili, gdy ją rozpoznałam, popatrzyła w moim kierunku.

Oczy jej się rozszerzyły. Na twarzy odmalował się strach.

Odwróciła się i zaczęła uciekać.

Natychmiast ruszyłam za nią. Nie chciałam robić zamieszania, ale kiedy tylko znalazłam się za drzwiami, puściłam się biegiem po chodniku. W ostatniej chwili zauważyłam jej kurtkę znikającą za rogiem. Deszcz lał teraz jak z cebra, większość ludzi schroniła się pod dach, więc miałam wolną drogę, co ułatwiało pościg. Everly była o jedną przecznicę przede mną, skręcała w wąskie boczne uliczki i coraz bardziej kluczyła, próbując mnie zgubić. Ale ja byłam szybsza, z każdym krokiem przybliżałam się do niej.

Znowu się odwróciła, znajdowałam się zaledwie parę kroków za nią. Jednak gdy skręciłam za róg, stanęłam jak wryta. Ślepa uliczka.

Everly zniknęła.

Zmarszczyłam brwi. Wąska uliczka była okolona trzema budynkami, nie było stąd wyjścia, chyba że do góry. Stare budynki z kamienia i cegły były zaopatrzone w schody pożarowe, które jednak były podniesione, zresztą od razu bym ją zauważyła, gdyby jakimś cudem zdołała się tam wdrapać. Stało tam kilka niewielkich kubłów na śmieci oraz sterta kartonowych pudeł – lecz nie było miejsca, w którym mogłaby się schować dorosła kobieta.

Co, u diabła...?

Wędrowałam uliczką, zaglądnąjąc nawet tam, gdzie nie mogłaby się zmieścić. Żadnych drzwi, przejść, kratki wentylacyjnych. Podniosłam głowę i przyjrzałam się budynkowi na końcu ulicy. Nie ma mowy, żeby zdążyła wspiąć się na dach w ciągu kilku sekund. To po prostu niemożliwe.

W powietrzu unosił się mocny zapach borówek. Borówek z cukrem. Był obezwładniająco słodki, a mnie stanęły włoski na karku.

Cegły przede mną wyglądały dziwnie. Były trochę niedopasowane, ich krawędzie nie układały się, jak należy, w prostą linię, a powierzchnia

niektórych była zaskakująco gładka. Wyciągnęłam w ich stronę rękę, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia. Kurwa, nie ma takiej opcji, żeby...

Nagle, jakby zza zasłony, ponownie pojawiła się Everly, przyciśnięta plecami do ściany. Poczułam uderzenie; jakby potężne pchnięcie w klatkę piersiową, aż na moment zabrakło mi tchu, i zatoczyłam się do tyłu, robiąc jej miejsce, żeby mogła przebiec obok mnie. Wyciągnęłam rękę i złapałam ją za pasek torebki. Mocno szarpnęła, spoglądając na mnie wielkimi ze strachu oczami. Torebka się otworzyła, a jej zawartość rozsypała się po wilgotnej ziemi, ale Everly uwolniła się ode mnie.

Tym razem, kiedy dotarłam do wylotu uliczki, nie wiedziałam, w którą stronę się udała.

– Cholera jasna! – Uważnie prześledziłam wzrokiem całą ulicę, ale nigdzie nie było ani śladu Everly. Mogła być nawet tuż przede mną, niewidzialna, a ja nie miałabym o tym pierdolonego pojęcia.

Nie to, żeby jeszcze mnie zaskakiwały te dziwaczne, magiczne, paranormalne pierdoły... Jednak jeśli te wiedźmy potrafiły stać się niewidzialne, to mieliśmy poważny problem. Everly zawsze była taka cicha, bojaźliwa – przynajmniej w szkole średniej. Ale to nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Tamtej nocy była w kościele. Przyglądała się razem z wszystkimi. Tak jak jej rodzice, nauczyła się przymykać oko na ból i tortury, jeśli tylko miało się to przysłużyć jej Bogu.

Wróciłam do ślepej uliczki i przejrzałam drobiazgi, które wypadły z torebki Everly, po czym sięgnęłam po komórkę, żeby zadzwonić do Zane'a. Jednak zanim zdążyłam odblokować ekran, poczułam, że ktoś za mną stoi.

Już tu był.

– Co ci mówiłam o podkradaniu się do mnie? – zapytałam.

– Ajajaj, wy śmiertelnicy nie słyszycie nawet głośnych kroków na mokrej ulicy. – Próbowałam trzepnąć go w jaja, ale on odwrócił się i moja ręka wylądowała na jego tyłku. – O tak...! Następnym razem poproszę mocniej.

– Właśnie minąłeś się z wiedźmą – powiedziałam z głębokim westchnieniem. – Przed chwilą tu była.

– A jak myślisz, co tu robię? – Podniósł pomadkę ochronną, powąchał i niedbale wyrzucił. – Użyła magii. Wyczułem ją z odległości kilku kilometrów. – Przerwał, a ja wzięłam z ziemi wilgotny złożony kawałek papieru. – Zraniła cię?

– Nie. Wyglądała na przestraszona. – Rozłożyłam papier najostrożniej, jak umiałam, ale był przesiąknięty wodą i rwał się przy najlżejszym dotyku. Położyłam kartkę na metalowej pokrywie kosza na śmieci, a kiedy dotarło do mnie, na co właśnie patrzę, oczy mi się rozszerzyły.

Mapa zachodniej części stanu Waszyngton, pokryta gryzmołami nakreślonymi piórem. Niebieski atrament rozmywał się pod wpływem deszczu, ale dostrzegłam notatki, iksy i strzałki prowadzące w głąb lasu.

– Trafiony zatopiony – skwitowałam cicho. – Myślę, że już nie musisz jej szukać, Zane.

Juniper

Na mapie był znaczek, malutki „x”, od którego biegła wykropkowana linia prowadząca głęboko w bezkresne lasy znajdujące się kilka godzin na północny zachód od Abelaum. Drzewa miały potężne pnie, ich korzenie były splątane i pokryte ciernistymi krzewami jeżyn. Minęliśmy kilka górskich szlaków, koło których były utwardzane parkingi, gdzie turyści mogli zostawić samochody przed wyruszeniem w trasę, jednak Zane za każdym razem stwierdzał, że to nie miejsce, którego szukamy.

– To nie będzie takie proste – wyjaśnił, lustrując wzrokiem drzewa. – Musimy znaleźć właściwe wejście.

Nie byłam pewna, co właściwie miał na myśli, jednak mieliśmy do czynienia z wiedźmami i magią, dlatego mogłam założyć, że wie na ten temat o wiele więcej niż ja.

Kiedy wreszcie zatrzymał samochód, nie miałam wątpliwości, że to właśnie jest miejsce, którego szukaliśmy.

Drzewa rozrosły się i zdziczały. Wiele z nich przechylało się, jakby w czasie, kiedy rosły, wiał mocny wiatr. Niektóre splatały się razem, a ich konary opadały tak nisko, że dotykały ziemi. O tej porze roku było już za późno na kwiaty, a jednak teren pod drzewami usiany był dużymi kępami kwiatów polnych: fioletowych, białych, żółtych i różowych. Te kwiaty nie powinny kwitnąć nie tylko w tym samym czasie, ale nawet w tym samym miejscu. Każdy centymetr podłoża – każdy kamień, konar, każde przewrócone drzewo – pokryty był grubym kobiercem mchu.

Czułam się, jakbym obserwowała terrarium – wszystko było zbyt bujne, zbyt intensywne. Jakby las intencjonalnie się zagęścił, żeby utworzyć kokon wokół tego, co znajdowało się w środku.

Zane z ciężkim westchnieniem potrząsnął głową.

– To jest cholernie zły pomysł.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić.

– Prawdopodobnie tak.

W głąb lasu wiodła wąska, kręta ścieżka. Grube powyginane konary klonów zakrzywiały się nad nią, tworząc coś w rodzaju zadaszienia; były pokryte mchem i ociekały deszczem. Dostałam gęsiej skórki na ramionach, nerwowo położyłam rękę na przymocowanym do uda nożu. Nad naszymi głowami na liściach zbierały się ciężkie krople, które powoli opadały na ziemię. Nie rozlegał się tutaj żaden inny dźwięk, tylko kapanie deszczu. Drzewa nie skrzypiały, ich gałęzie nie poruszały się na wietrze, ptaki nie śpiewały. Tylko niespieszny, miarowy odgłos spadających kropli.

Zane mnie wyprzedził.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedział. – I zachowaj czujność. Nie wszystko, co widzisz, jest tym, czym się wydaje.

Wspaniale. Właśnie to chciałam usłyszeć.

Maszerowaliśmy przez godzinę. Potem następną. Żadne z nas się nie odzywało – nie dlatego, że nie mieliśmy nic do powiedzenia, ale po prostu nie odważyliśmy się wydać jakiegokolwiek dźwięku. Było tu zbyt cicho i przerwanie tej ciszy wydawało się profanacją – albo narażaniem się na niebezpieczeństwo.

Nie widziałam ani nie słyszałam nic podejrzanego, ale i tak ciągle miałam wrażenie, że jesteśmy obserwowani.

W powietrzu unosił się zapach leśnych kwiatów, najpierw wydawał się przyjemny, ale teraz nieznośnie ciężki. Zatykał mi nos, bolała mnie od

niego głowa. Wibrująca wokół zieleń przyprawiała o zawroty głowy. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy wszystko wyglądało tu tak samo?

Szliśmy już od dwóch godzin, ale las wokół wydawał się... znajomy.

– Musieliśmy już tędy przechodzić – odezwałam się wreszcie cicho i zatrzymałam się, żeby wyjąć z plecaka mapę. Zane nie zwolnił kroku.

– Nie zatrzymuj się – rzucił ostro. – Trzymaj się blisko mnie.

Wyglądał na poważnie zaniepokojonego, więc prędko go dogoniłam i otworzyłam kaburę, żeby mieć szybszy dostęp do pistoletu. Zane się wzdrygnął, słysząc ten dźwięk, i zerknął na mnie przez ramię rozszerzonymi oczami.

– Cokolwiek się stanie – ostrzegł – nie wyjmuj tego pieprzonego pistoletu.

Zamrugałam, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam.

– Mam... mam nie wyjmować broni?

Stanowczo potrząsnął głową.

– Za nic. Nie rób tego, Juniper. Nie rób nic groźnego.

– Dlaczego?

– Bo jesteśmy obserwowani.

Jak dla mnie był to właśnie powód, żeby wyciągnąć broń. Palce aż mi drżały z chęci sięgnięcia po pistolet, ale zagryzłam zęby i się powstrzymałam.

– Co to, do cholery, znaczy, Zane?

Nie odpowiedział. Wysunął pazury, szedł przed siebie pospiesznym krokiem, a jego ruchy były nerwowe. Nie poruszaliśmy się nawet w przybliżeniu tak szybko, jakby chciał, a to przestraszyło mnie bardziej niż cokolwiek innego. Skoro Zane uważał, że powinniśmy biec, w takim razie dlaczego, do cholery...

Gwałtownie przystanął. Ogromne wygięte w kształt łuku drzewo pochylało się nad dróżką przed nami. Wszędzie były kwiaty, ich nieznośnie ciężki zapach wisiał w powietrzu, ale dało się też wyczuć coś innego: jakby żelazo i węgiel.

Z piersi Zane'a wydobył się cichy pomruk, a ja w ślad za nim spojrzałam w górę, na zakrzywione drzewo. Ktoś – a raczej coś – przyczaił się na pokrytym mchem pniu. Długie kończyny, blada skóra poprzecinana siecią czarnych jak atrament żył i czarne oczy. Nieprzeniknione czarne oczy i ostre zęby.

Zane zdołał wydusić z siebie jedno słowo:

– Kurwa.

Stworzenie poruszyło się. Mrugnęłam oczami, a jego już nie było, za to Zane'a nagle odrzuciło do tyłu. Wpadł na pień znajdującego się ponad czterdzieści metrów dalej drzewa, rozłupując je na dwie części, a głośny dźwięk roztrzaskiwanego drewna przeszył upiorną ciszę lasu.

Sięgnęłam po broń, ale nie byłam wystarczająco szybka. Stworzenie natarło na mnie całym ciałem, przewracając mnie na wznak i wytrącając mi pistolet z rąk. Niezdarnie wstałam, z trudem nabierając powietrza w obolałe płuca, i sięgnęłam po broń. W lesie zapadła całkowita ciemność, a ja, osłupiała, próbowałam iść przed siebie, potykając się. Rozległ się wrzask – zachrypnięty, zbolący wrzask – i wtedy coś zaatakowało mnie od tyłu.

Jedną ręką chwyciło mnie za głowę. Drugą za szczękę. Pazury zanurzyły się w mojej skórze. W głowie mi huczało, jakby ktoś puścił na cały regulator muzykę, dodatkowo podkręcając basy. Chichot, który rozległ się w moim uchu, był tak głęboki i mroczny, że nie mógł należeć do człowieka.

– Światła zgasły, dziewczynko – wychrypiał głos.

Zaraz zginę.

Stworzenie złamie mi kark.

Poczułam kolejne uderzenie, tym razem zmiotło ze mnie agresora. Upadłam na brzuch, w ciemności nie mogłam dostrzec pistoletu, za to zauważyłam Zane'a splecionego w uścisku z tym stworzeniem. Nie jakimś tam stworzeniem – ale demonem, i to takim, jakiego jeszcze w życiu nie widziałam.

Zrzucił z siebie Zane'a i z całej siły nastąpił mu na twarz, aż rozległ się paskudny trzask. Las wypełnił się zwielokrotnionym przez echo śmiechem, zimnym i okrutnym. Nagle demon znalazł się tuż przede mną, wbił we mnie spojrzenie swoich czarnych oczu, a jego zęby były tak długie i ostre, że nie mógł całkiem zamknąć ust.

Na jego plecach rozpościerały się sztywne czarne skrzydła, zamykając mnie w kokonie całkowitej ciemności. Wokół unosił się zapach płonących kwiatów.

– Trzeba mu przyznać, że miał rację. Przychodzenie tutaj było bardzo złym pomysłem.

Poczułam mocne uderzenie i pochłonęła mnie ciemność.

Juniper

Ptaki śpiewały.

Wierciłam się niespokojnie, świadoma, że pod głową mam coś miękkiego, ale reszta mojego ciała leżała na czymś chłodnym i twardym. Nie znajdowałam się już na zewnątrz. Nie czułam pod sobą mchu, a na skórze – powiewu wiatru. Mój plecak zniknął. W pomieszczeniu unosił się słodki zapach, jakby karmelu, borówek i świeżej trawy. I jeszcze jakaś woń, znajoma, ale odległa... herbata. To była herbata earl grey.

Ktoś grał na fortepianie. Dźwięki muzyki splatały się ze śpiewem ptaków, tworząc symfonię niepodobną do niczego. Nie przywoływała wspomnień, przywoływała uczucia. Wtulenie się w bok taty przy kominku. Przymulas z Marcusem. Mama czytająca nam bajki na dobranoc.

Zane. Spoglądający na mnie. Całujący mnie. Trzymający mnie w objęciach.

No właśnie, Zane. Gdzie, do cholery, jest Zane?

Muzyka ucichła. Rozległo się ciche stuknięcie i miękkie westchnienie. Nie byłam sama.

Otworzyłam oczy. Musiałam kilka razy mrugnąć, żeby wyostrzył mi się wzrok, ale wreszcie zorientowałam się, że leżę na podłodze wyłożonej bladymi płytkami. Pod głową miałam, zamiast poduszki, złożony w kostkę wełniany sweter. Nade mną kołysały się pędy winorośli, a ja byłam otoczona przez rośliny w doniczkach i skrzynie ogrodowe. Były tam drzewa, kwiaty, krzewy – a wszystko pachnące i pełne życia. Znajdowałam się w wielkiej szklarni zwieńczonej wysoką szklaną kopułą, pod którą

unosily się, trzepocząc skrzydełkami, ptaki. Ciagle oszołomiona, potrzęsnałam głowa, próbując się podnieść.

– Bądź ostrożna. Nie obszedł się z tobą delikatnie.

Zesztywniałam. Bez trudu rozpoznałam ten głos, choć minęło tyle lat.

– Everly Hadleigh? – Wyglądała prawie tak samo jak w szkole średniej. Jej jasne włosy były teraz dłuższe, opadały na plecach aż do pasa. Miała na sobie długą czarną suknię, której górna część była ozdobiona koronką i dokładnie przylegała do ciała. Była bosa.

– Everly Laverne, jeśli można – poprosiła cicho. Siedziała przy metalowym stole, na którym stała porcelanowa filiżanka. Powoli upiła z niej łyk, a ręka jej lekko drżała. – Zresztą mój ojciec nigdy nie chciał, żebym nosiła jego nazwisko.

Powoli usiadłam, krzywiąc się, bo głowa mi pękała. Kiedy okryła mnie ciemność tych skrzydeł, naprawdę myślałam, że umrę. Szczególnie że wcześniej widziałam, jak to stworzenie rzucało Zane'em...

– Gdzie jest mój demon? – zapytałam ostro. Przypomniałam sobie, jak istota zmiażdżyła stopą jego twarz, z jaką siłą go sponiewierała, i poczułam, że robi mi się słabo ze strachu. – Gdzie on, do cholery, jest?

– Jest z Callumem. Żyje – uspokoiła mnie szybko. – Callum nie pozwoli mu się do mnie zbliżyć, więc...

– Kim, do kurwy nędzy, jest Callum?! – Zerwałam się na równe nogi i od razu skrzywiłam, bo przeszył mnie ból. Musiałam spędzić skulona na podłodze dłuższą chwilę, bo wszystkie mięśnie mi zesztywniały. Everly wyglądała na o wiele bardziej podenerwowaną, kiedy przed nią stałam.

– On jest... on... – Lekko zmarszczyła brwi, jakby próbowała znaleźć właściwe słowa. – On jest moim demonem. Jest opiekunem tego miejsca. Moim... opiekunem. Nie chciałam, żeby tak brutalnie cię potraktował. Ani ciebie, ani jego. – Zacisnęła spoczywające na kolanach ręce. – Jednak twój

demon... Zane... nic mu nie jest. To znaczy... – Wzruszyła ramionami. – Oni dochodzą do siebie naprawdę szybko.

– Nie mów o nim, kurwa, tak, jakby to nie był żaden problem, że twój demon zmiotł twój twarz! – wysyczałam. Tamta chwila pochłaniała każdą moją myśl, podsycala moją wściekłość. Nieważne, kim był jej demon, w tym momencie chciałam go, kurwa, ukatrupić za to, że w ten sposób potraktował Zane’a.

Everly zrobiła surową minę i zacisnęła usta w wąską twardą linię.

– Czy pojawiłaś się tutaj, żeby mnie zabić, Juniper Kynes?

Śpiew ptaków umilkł. W szklarni zapanowała śmiertelna cisza i nagle powiało chłodem. Wiedziała, kim jestem – ale przecież to oczywiste. Nie był to bezpieczny moment na mówienie prawdy, ale zdążyłam już się zorientować, że rzadko który był na to dobry.

– Pamiętasz mnie – powiedziałam. – Byłaś przerażona, kiedy mnie zobaczyłaś w Abelaum. Wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha.

– Wspomnienia są o wiele bardziej przerażające niż duchy. – Powoli powiodła palcem po obwodzie talerzyka od filiżanki, podążając za delikatnymi zaokrągleniami porcelany. Odwróciła oczy, przygryzając dolną wargę.

– Wspomnienia – powtórzyłam z goryczą w głosie. – O tak, wiem coś o tym, jak przerażające potrafią być. Chcesz porozmawiać o mroźnych krew w żyłach wspomnieniach? Jedno z nich dzielimy: ty, ja... i twoja matka. Czy ona tutaj jest? Czy Heidi Laverne tu jest? – Podniosłam głos, a moje słowa odbiły się echem w upiornej ciszy szklarni.

Everly jakby się skurczyła pod wpływem moich słów.

– Moja matka nie żyje – powiedziała cicho. – Jej błędy... – Przerwała i odchrząknęła. – Nie mogę przeproszać w jej imieniu. Zresztą ty pewnie

nawet nie chcesz przeprosin. Żałowała wszystkiego. Próbowała to naprawić.

– Próbowała to naprawić? – Parsknęłam śmiechem. Potrzebowałam broni. Musiałam odzyskać swoją splotkę, swój nóż, cokolwiek. Jednak nawet gdybym była uzbrojona, nawet gdyby mi się udało ją zabić, za cholere nie dałabym rady wymknąć się jej demonowi. – A co ty zrobiłaś, żeby wszystko naprawić, Everly? Ty też tam byłaś, kryłaś się w cieniu jak jakiś pieprzony tchórz!

Rzuciłam się w jej kierunku, tak wściekła, że nie byłam w stanie jasno myśleć. Jednak w moją stronę poszybowało coś gładkiego i chłodnego, owinęło się wokół mojego nadgarstka i szarpnęło mnie do tyłu. Spojrzałam w dół i zobaczyłam pęd winorośli owinięty dokoła mojego przedramienia.

– Co to, kurwa, ma być? – Szarpnęłam za winorośl i zanim się obejrzałam, mój drugi nadgarstek również został unieruchomiony. Zostałam gwałtownie pociągnięta do tyłu; ta szokująco silna winorośl najwyraźniej nie chciała, żebym się zbliżyła do Everly.

– Proszę, nie uciekaj się do przemocy – poprosiła.

Uświadomiłam sobie, że znalazłam się w pułapce, i na tę myśl żołądek mi się wywrócił. Uwięziona, pozbawiona kontaktu z Zane'em – i choć Everly twierdziła, że jest cały i zdrowy, nie wierzyłam jej. Ani przez sekundę. Równie dobrze mógł być ciężko ranny, mógł...

Mógł nie żyć. Z trudem przełknęłam ślinę; ta myśl uderzyła we mnie z taką siłą, że przez chwilę zabrakło mi tchu. Być może Zane był już martwy. Ta kobieta mogła mi zabrać jedyne, co mi pozostało, maleńką iskierkę radości, która rozświecała mi mrok.

Jego ciepło, jego troskliwość, jego absurdalnie sarkastyczne żarty, jego kurewsko przerośnięte ego – jeżeli mi to zabrała, jeżeli ona albo jej demon zrobili mu krzywdę...

Zacisnęłam pięści, żeby ręce mi nie drżały, i skupiłam się na głębokim oddechu. Musiałam wziąć się w garść.

Jednak aż kipiałam z wściekłości. Byłam wściekła nie tylko na Heidi, na Everly, na rodzinę Hadleighów czy na Libiri. Byłam wściekła, że każdego dnia muszę żyć z tymi wspomnieniami. Że pewną część mnie bezpowrotnie zniszczono. Mogłam stanąć na głowie, a i tak nie ucieknę przed tym, co się stało. Nawet najbardziej wyrafinowana zemsta nie przywróci życia mojemu bratu. Żadna ilość przelanej krwi nie zagłuszy moich wspomnień.

– Nie używaj siły? Nie używaj siły?! Słuchałaś, jak wołam o pomoc, i nic nie zrobiłaś! – krzyczałam. Everly się wzdrygnęła, wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. – Dobrze się bawiłaś, Everly? Byłaś zadowolona, przyglądając się, jak niewinna dziewczyna cierpi dla twojego Boga? Czy ty...

– Nie służę temu Bogu!

Gdzieś nad nami pękło szkło, a Everly zadrżała na ten dźwięk. Jej oddech gwałtownie przyspieszył, szybko odwróciła ode mnie wzrok i kurczowo chwyciła się brzegu stołu. Jakby walczyła sama ze sobą, jakby próbowała się przed czymś powstrzymać.

– Tyle lat spędziłam z twoją rodziną, Everly. Victoria była moją najlepszą przyjaciółką. – Wyplułam z siebie te słowa, choć robiło mi się od nich niedobrze. – Ufałam twojemu ojcu. Ufałam twojej matce. Ufałam tobie. Nie ostrzegłaś mnie, nie powiedziałaś, żebym trzymała się od was z daleka. Nigdy nawet nie próbowałaś, i twoja matka też nie. Obie jesteście, kurwa, chore. Obie zasługujecie na śmierć za to, co pozwoliłyście mi zrobić!

– Nie cofnę czasu – oznajmiła. – Myślałam, że to będzie inspirujące doświadczenie, bo tak mi powiedzieli. Miałam być świadkiem czegoś

pięknego, czegoś, co wzbudzi we mnie zachwyt nad mocą Boga. Ale zobaczyłam tylko tortury. Po tym, co się tam stało, nie było dnia, żebym mogła spojrzeć na matkę i nie myśleć o tym. – W jej oczach na moment rozblęły łzy, ale szybko je przełknęła. – Jednak ona nie żyje. A ja nie jestem swoją matką.

Miałam ochotę coś zniszczyć, walnąć w coś pięścią. Chciałam krzyczeć. Zakrawało na ironię, że Everly była świadkiem najgorszej rzeczy, jaka mnie w życiu spotkała, a jednocześnie uważała, że może się od tego odsunąć, że może zachować dystans od wydarzeń tamtej nocy. To były również jej wspomnienia, ale ona nie musiała tkwić w ich pułapce. Nie musiała każdego dnia oglądać swoich blizn.

Skrzywiłam się z obrzydzeniem.

– Niemniej jednak jesteś córką swojego ojca.

– Nie wychował mnie tak jak tamtych – wyjaśniła. – Wychował mnie, ale inaczej niż tamtych. – Wstała, a podłoga zadrżała, jakby grom w nią strzelił. – Zawsze stawiał sprawę jasno: nie byłam córką, której chciał, tylko tą, której potrzebował. Chciałabym cofnąć czas. Żałuję, że tak się bałam. Żałuję, że tyle lat spędziłam w strachu.

Porcelanowa filiżanka rozprysnęła się w kawałki, herbata się wylała. Kapała ze stołu, tworząc na podłodze kałużę, a Everly ciężko westchnęła. Puściła blat stołu, z gorzką rezygnacją wpatrując się w rozbitą w drobny mak porcelanę.

Nie miałam pojęcia, czego jeszcze się spodziewać. Jedno było pewne – stojąca przede mną kobieta nie była nieczułą, wyznającą nikczemnego Boga wiedźmą, za jaką ją uważałam. Nie była nawet pozbawioną serca Hadleighówną, o co ją podejrzewałam. Była kimś zupełnie innym.

Była burzą. Zupełnie jak ja. Była bombą, która w każdej chwili mogła wybuchnąć.

– Co zamierzasz zrobić, Everly? – zapytałam cicho. – Nasłać na mnie swojego demona? A może sama mnie zabijesz?

– Nie chcę twojej śmierci, Juniper. Potrzebuję cię żywej. Chcę, żebyś zrealizowała swój cel.

Jeszcze raz szarpnęłam za pędy winorośli, ale nadal ani drgnęły.

– A co dokładnie uważasz za mój cel?

– Zabić Hadleighów. Zniszczyć Libiri. Uniemożliwić im złożenie kolejnej ofiary. – Podeszła bliżej, a ja dostałam gęsiej skórki na ramionach. Było w niej coś szczególnego, coś, co dostrzegłam, dopiero kiedy znalazła się tak blisko. Powietrze wokół niej było naładowane elektrycznością, jakby przepływał przez nie prąd. – To dlatego nadal jesteś w Abelaum, prawda? Mogę tylko zgadywać, że przywiodła cię tu śmierć brata... ale zatrzymałaś się na dłużej, żeby się zemścić. To dlatego jesteś tutaj, tak? Przyszłaś mnie zabić.

– No cóż, powiem tak, na pewno nie wpadłam na cholerny podwieczorek – powiedziałam. – Próbujesz przeciągnąć mnie na swoją stronę?

Potrząsnęła głową.

– Próbuję cię przekonać, że nie jestem twoim wrogiem.

Zmarszczyłam brwi.

– Chcesz mi powiedzieć, że zwróciłaś się przeciwko Libiri? Przeciwko własnej rodzinie?

– Nie są moją rodziną – odparła. – Nigdy nią nie byli. Krew czarownic jest gęstsza niż woda pokrewieństwa, a ja jestem ostatnia z mojego zgromadzenia więdźm. Nasze cele są powiązane, Juniper; twój i mój.

– W takim razie jaki jest twój cel?

– Zakończyć to wszystko – wyjaśniła. – Zabić Boga.

Przez chwilę myślałam, że się przesłyszałam.

– To w ogóle możliwe? – chciałam wiedzieć. – Przecież to Bóg. To... Nawet nie wiem, czy On ma jakąś formę fizyczną... a ty uważasz, że możesz Go zabić?

– Zamierzam to zrobić – powiedziała stanowczo. – Muszę. Z wszystkich, którzy mogliby to zrobić, zostałam tylko ja. Jednak jeśli Libiri złożą wszystkie ofiary i Bóg odzyska wolność, nawet ja nic nie zdziałam. Nadejdzie kres Ziemi, którą znamy. Nadejdzie kres ludzkości.

Machnęła ręką, a winorośl, która mnie trzymała w niewoli, cofnęła się do swojej donicy. Roztarłam nadgarstki, tłumiąc chęć rzucenia się na Everly.

– Matka zbyt późno zorientowała się, że popełniła błąd – mówiła dalej. – Zbyt długo bardziej ufała gadaniu Kenta niż własnej wiedzy. Krzywdziła ludzi. Skrzywdziła ciebie. Nie mam do ciebie żalu, że jej nienawidzisz ani że nienawidzisz mnie. Tamtej nocy wróciła po ciebie, bo chciała spróbować cię uratować. – Odwróciła się do mnie plecami, była teraz zupełnie bezbronna. Czy był to wyraz zaufania, czy pułapka? Czy próbowała mnie sprowokować, żebym ją zaatakowała, żeby w odwecie mogła mnie skrzywdzić?

Ale przecież gdyby chciała wyrządzić mi krzywdę, z łatwością już by to zrobiła.

– Matka nie była w stanie unieść ciężaru swoich błędów. Nie umiała się z nimi zmierzyć. – Ramiona Everly się uniosły, a potem gwałtownie opadły. Dziewczyna ciężko westchnęła. – Nie mogę naprawić popełnionych przez nią krzywd. Ale mogę skorzystać z jej doświadczenia i nie popełnić tych samych błędów.

Wydawała się mówić prawdę. Gdy spojrzała na mnie przez ramię, na jej twarzy malował się szczerzy ból.

– Ja nie próbuję ocalić świata, Everly – wyjaśniłam. – Nie jestem bohaterką. Jestem... wściekła. Jestem tylko wściekła. Nie kierują mną głębokie, altruistyczne czy odważne pobudki. Robię to z goryczy. Z egoizmu. Niczego nie naprawię ani nie przywrócę nikomu życia. – Potrząsnęłam głową. – Posłuchaj, próbujesz zrobić coś szlachetnego. I, prawdopodobnie, niemożliwego. Nie mogę ci pomóc.

– Owszem, możesz – powiedziała. – Ponieważ musisz zrobić tylko to, co i tak planowałeś: zabić ich wszystkich. Zabić ich wszystkich, zanim jeszcze komuś zniszczą życie. Mają teraz w planach złożenie kolejnej ofiary, Juniper. Zresztą już o tym wiesz. Sama widziałas.

– Raelynn Lawson – wymamrotałam. – To nie mój problem.

– Jednak powstrzymanie Hadleighów przed złożeniem jej w ofierze jest w twoim interesie – zauważyła z nutą desperacji w głosie. – Jeśli to zrobią, Bóg stanie się silniejszy. Wtedy będzie ci jeszcze trudniej zabić Kenta, zabić kogokolwiek z nich.

Miała rację. Jednak zamierzałam to zrobić tylko dla siebie; nie mogłam udawać, że robię to z innego powodu. To nie była misja ocalenia ludzkości, nie byłam bohaterką. Chodziło wyłącznie o mnie. To była jedyna droga, którą przed sobą widziałam, jedyna ścieżka, którą mogłam pójść. Nie mogłam tak po prostu zostawić za sobą tego bólu. Nie mogłam zacząć od nowa, nie mogłam żyć, ponieważ nade mną zawsze unosił się cień Libiri.

W tym popieprzonym świecie zależało mi tylko na jednym – na samej sobie. Przetrwałam tylko dlatego, że sama sobie to wywalczyłam.

Tyle że... to już nie była tak do końca prawda, co? Na dole w kopalni, kiedy próbowałam wydobyć Marcusa, mogłam zginąć. Na górze w chatce, kiedy walczyłam z Eldami, mogłam zostać rozszarpana na strzępy.

Już nie byłam samotną wojowniczką. Owszem, to przerażające... ale już nie zależało mi tylko na sobie.

Zależało mi również na Zanie.

To o nim pomyślałam najpierw, kiedy się ocknęłam. To jego obawiałam się stracić. Nawet teraz wbiłam paznokcie w ręce, ponieważ czułam niepokój, kiedy nie było go przy mnie. Nadal nie wiedziałam, czy nic mu nie jest.

Może i zmiana była na razie niewielka, ale moje działania nie dotyczyły już wyłącznie mnie.

– Nie próbuję cię namówić, żebyś walczyła ze mną o tę sprawę, Juniper – odezwała się Everly. – Nie proszę, żebyś przebaczyła mnie albo mojej matce. Ale nie możesz mnie zabić. – Jej głos stwardniał, zabrzmiał w nim władczy ton, którego się po niej nie spodziewałam. – Jeśli spróbujesz to zrobić, Callum cię zniszczy. Zniszczy też twojego demona. Uwierz mi, nie chcesz mnie mieć za wroga.

Przyjrzałam się jej uważnie spod półprzymkniętych powiek. Raczej nie zamierzałam jej zaufać, ale z drugiej strony co tak naprawdę by zyskała, okłamując mnie teraz? Co by jej to dało, gdyby zmyśliła tę całą historyjkę, zamiast po prostu mnie zabić?

Miała okazję, a jej demon też mógł to z łatwością zrobić. Jedynym sensownym wyjaśnieniem było to, że jednak mówiła prawdę.

– Czyli ja zabijam Hadleighów – powiedziałam. – Dokładnie tak jak planowałam. Niszczę Libiri, a ty pokonujesz Boga. Tak się umawiamy?

Skinęła głową.

– Zabij ich. Dopilnuj, żeby cierpieli. – Podniosła z ziemi odłamek porcelany, przy okazji raniąc się w palec. Patrzyła na kapiącą krew i cichutko się zaśmiała.

– Callum wyczuje moją krew. Będzie się martwił. Przejdźmy się.

Dom wiedźmy był ogromny. Gdy podążałyśmy długimi korytarzami, czułam się, jakbym cofnęła się w czasie. Na niektórych ścianach była ciemna tapeta bogato zdobiona złotem, inne były wyłożone drewnianą boazerią. Jednak były też ściany, które wyglądały na jeszcze starsze, zbudowane z rzeźbionego kamienia. Był to ten rodzaj miejsca, które powinno być zaniedbane, ale nie było tu żadnego kurzu, żadnych pajęczyn. Podłogi lśniły, a dywany i arrasy mieniły się żywymi kolorami, jakby były nowe.

– Jeśli chcesz zabić Kenta, trzydziestego pierwszego października będziesz miała okazję – powiedziała. Na zmianę to ssała, to przyciskała do sukni zraniony palec, żeby zatamować krwawienie.

– Halloween. Idealnie.

– Victoria nadal co roku urządza imprezę halloweenową – wyjaśniła Everly. – Pamiętam, że kilka razy na nich byłam.

Imprezy Hadleighów były niezapomnianym przeżyciem. Pierwszy raz wzięłam w niej udział, kiedy miałam trzynaście lat. Ogromny dom Hadleighów był pełen ludzi, alkohol płynął szerokim strumieniem, narkotyki krążyły. W takim tłumie trudno było zauważyć, gdy ktoś zniknął.

– Zawsze twierdzą, że ich rodzice wyjeżdżają wtedy za miasto – wyjaśniła Everly. – Ale to nieprawda. Kent będzie na miejscu, żeby mieć na wszystko oko, szczególnie jeśli mają zamiar porwać Raelynn. A myślę, że taki właśnie jest plan. Dziewczyna nie ma rodziny w tym stanie. Tylko bliską przyjaciółkę, która nie ma nic wspólnego z Libiri, ale ona jej nie ochroni. – Gryzła kciuka, wyraźnie zmartwiona. Westchnęłam.

– Spróbuję ją trzymać z dala od nich – powiedziałam. – Jeżeli ją zobaczę. Ale nie będę zmieniać swoich planów, żeby ratować Raelynn.

Everly uśmiechnęła się z ulgą i skinęła głową.

– Dziękuję. Uwierz mi, ta impreza to dla ciebie świetna okazja. Jeśli uda ci się odnaleźć Kenta, najprawdopodobniej będzie sam. Wokół będzie panował hałas, a wszyscy będą pijani.

– Nikt nie zauważy kilku strzałów – dokończyłam.

– Dokładnie. Jest coś jeszcze... – Przystanęła na środku korytarza, mrużąc oczy, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiała. – Jeśli miałabym wskazać jedną rzecz, na której punkcie Kent ma paranoję, są to demony. Przez przetrzymywanie Leona wbrew jego woli zrobił się nerwowy: zawsze podejrzewał, że Leon przy pierwszej lepszej okazji będzie próbował go zabić. Oczywiście miał rację. Jednak skończyło się na tym, że demon zaatakował Jeremiaha, skoro nie mógł dorwać Kenta.

– Czyli Kent zadbał o swoją ochronę – stwierdziłam. – Czy Zane będzie w stanie się do niego zbliżyć?

– Kent zawsze ma przy sobie amulet, który chroni go przed istotami i przedmiotami nie z tego świata, które mogłyby go skrzywdzić – wyjaśniła.

– Ale jeśli uda ci się zerwać mu go z szyi, twój demon nie będzie miał z tym problemu. Kent ma również inne magiczne przedmioty, te najstarsze jego dziadek sto lat temu znalazł w kopalni, inne dostał od mojej matki. Nie wiem, do czego większość z nich służy, i nie sądzę, żeby Kent to wiedział. Ta rodzina ma do dyspozycji mnóstwo magii, pod warunkiem że odkryją, jak z niej korzystać.

– Rozumiem. Czyli wbijamy na imprezę, uniemożliwiamy złożenie ofiary z ludzi, zabijamy Kenta. Zapowiada się ciekawa noc.

– Gdy mój ojciec zginie, Libiri będą w rozsypce. Staną się łatwym celem. – Przerwała, a ja zastanawiałam się, czy nie czuje się dziwnie, planując zamordowanie własnego ojca. Nie wyrażała się o nim ciepło, no, ale jednak. Gwałtownie zamrugła oczami, odwróciła się i spojrzała na koniec korytarza.

– Callum nadchodzi. Nie przestrasz się.

Zane

– Dokąd ją zabrałeś? Powtarzam, dokąd ją, kurwa, zabrałeś?

Arcydemon przyglądał mi się spod drzwi zwężonymi oczami. Jego oczy były czarne, mroczne jak pusty bezmiar nocnego nieba. Zajął się dłubaniem pazurem między długimi zębami, jakby już się znudził moim widokiem.

– Nie warcz na mnie, diable. To niegrzeczne.

– Niegrzeczne? Ty mi, kurwa, będziesz mówił o dobrym wychowaniu? Zabrałeś mojego człowieka!

Zazwyczaj potrafiłem sięgnąć umysłem i wyczuć obecność Juniper – coś jak wyciągnięcie ręki w stronę ognia, żeby poczuć jego ciepło. Jej dusza była przywiązana do mnie srebrną nicią – kiedy zamykałem oczy, od razu ją rozpoznawałem, bo była najjaśniejsza ze wszystkich nici. Jednak tutaj nie mogłem tego zrobić. W tym miejscu wszystko było jakby stłumione, a jej dusza była ukryta przede mną.

Uświadomiłem to sobie z prawdziwym przerażeniem. Nie byłem przyzwyczajony do wymykających się spod kontroli uczuć, do uczuć miotających mną z taką siłą, że nie byłem w stanie nawet jasno myśleć. Jednak oni ją zabrali. Oni ją, kurwa, zabrali...!

Szarpałem łańcuchami, którymi przymocował mnie do podłogi, ale nawet nie drgnęły. Pomieszczenie było zimne, miało kamienne ściany i posadzkę z rzeźbionego kamienia. Płaskorzeźby były ogromne, ale łatwo można było rozpoznać w nich krąg uroku. I to nie były jakie, a wyjątkowo potężny – jego użycie wymagałoby wielkiej ilości magii.

Takiej magii, za pomocą której można wezwać arcydemonów.

Stworzenia takie jak on żyły od tak dawna i zdobyły już tyle dusz, że w piekielnej hierarchii wzniosły się tak wysoko, że stały się kimś w rodzaju rodziny królewskiej. W Radzie Piekła zasiadały same arcydemony, ogólnie było ich kilkaset, o ile nie kilka tysięcy.

Rzadko się je widywało, a już na Ziemi – prawie nigdy.

Wpadliśmy jak śliwka w gówno.

– Przysięgam na Lucyfera, jeśli ją skrzywdzisz... – Znowu szarpnąłem za łańcuchy, żyły wyszły mi na wierzch i szerniały, kiedy próbowałem zerwać okowy. Cholerne ustrojstwo było jednak stare jak świat, kajdany z czasem stały się gładkie jak wyszlifowane. Ani nie drgnęły, nie dało się ich nawet wygiąć. Nie wiem, jaką magią zostały wzmocnione, ale pokonanie ich było ponad moje siły. – Jeżeli wróci z choćby małym, kurwa, zadrapaniem na...

Arcydemon w mgnieniu oka przemierzył pomieszczenie. Przykucnął nade mną, opierając podbródek na rękę.

– Uderzyłem ją w głowę tak mocno, że zemdląła – poinformował oziębłe. – I zrobię to jeszcze raz, jeśli takie będzie życzenie mojej pani. Zmuszę cię, żebyś się przyglądał, jak ją żywcem rozdzieram, kawałek po kawałku, jeśli takie będzie życzenie mojej pani.

Nie miałem zbyt dużego doświadczenia w byciu zdany na łaskę innej istoty. Stanowiłem poważne – jeśli nie śmiertelne – zagrożenie dla większości stworzeń, które spotykałem, więc odwrotna sytuacja doprowadzała mnie wręcz do szaleństwa. Na usta cisnęły mi się niezliczone groźby, ale wiedziałem, że nie ma sensu nimi miotać. Im więcej będę na niego wrzeszczeć, tym więcej zmarnuję energii, a powinienem wykorzystać ją na dojście do siebie po łomocie, jaki mi spuścił.

Myślałem wtedy, że umrę. Nadal myślałem, że umrę. Jednak, kurwa mać, mogłem przynajmniej nie tracić nadziei, że „pani” tego skurwiela

okaże się mniej bezlitosna niż on. Łudzenie się, że może wiedźma daruje mi – i Juniper – życie, było marną pociechą, ale też, w tej sytuacji, jedyną, jaka mi pozostała.

Usiadłem spokojnie, łańcuchy z brzękiem opadły na podłogę, a arcydemon uśmiechnął się szeroko.

– Grzeczny chłopiec! Naprawdę nie chciałbym wprowadzać dalszych ograniczeń... – Przerwał na moment, po czym pstryknął palcami, jakby właśnie przypomniał sobie coś ważnego. – Ajajaj, czekaj, wcale nie...! Tak naprawdę nie miałbym nic przeciwko nowym ograniczeniom. To nawet zabawniejsze, kiedy próbujesz walczyć. Mogę się wtedy przyglądać, jak przegrywasz... i znowu przegrywasz... i jeszcze raz.

Nie połykać przynęty. Tylko, kurwa, nie połykać tej przynęty. Arcydemon niecierpliwie bębnił pazurami po podłodze, obserwując mnie z tak superskumulowaną energią, że wydawało mi się, że zaraz zacznę wibrować. Westchnąłem ciężko.

– Po prostu jej nie krzywdź – powiedziałem. – Powiedz swojej pani... kimkolwiek, do cholery, jest... żeby nie robiła jej krzywdy.

– Dlaczego? – Wyczarował opalizującą kulkę z eteru, która to pojawiała się, to znikała, a on przerzucał ją z ręki do ręki. Cholera, ja poczułem się taki wyjątkowy, kiedy wreszcie zdobyłem tyle mocy, żeby stworzyć coś z eteru, a dla tego skurwiela to bułka z masłem! – Przecież już oddała ci duszę, prawda? Zakładam, że to dlatego wszędzie się za nią włóczysz. Jedyne życie, o które powinieneś się teraz martwić, to twoje własne.

Nie miałem zamiaru tłumaczyć się przed tym dupkiem. Próbowałem na niego nie patrzeć, kiedy spacerował po pomieszczeniu, podrzucając swoją kuleczkę. Miał na sobie szyty na miarę czarny garnitur, a obcasy zgrabnych butów ze lśniącej skóry stukały po podłodze.

– Jeśli o mnie chodzi, to mam nadzieję, że będzie chciała śmierci was obojga.

Zwiesiłem głowę i zacisnąłem zęby. Chce mnie sprowokować, to tylko pieprzona prowokacja.

– Zabijanie takich uparciuchów to świetna zabawa. Ciekawe, po jakim czasie zaczniesz krzyczeć...?

Nie. Ani słowa, Zane. Gęba na kłódkę. To nie jest tego warte.

– Skoro już wiem, że twoim słabym punktem jest ta mała śmiertelniczka, mam przeczucie, że stanie się to raczej szybko.

Podszedł bliżej – bardzo blisko. Na tyle, że wiedziałem, że to kolejna przynęta, którą macha mi prosto przed nosem z nadzieją, że się skuszę.

No i się skusiłem. Jak ostatni idiota.

Kolejną godzinę spędziłem, zwijając się z bólu, a to na własne życzenie. Arcydemon miażdżył mi teraz butem twarz, co było o niebo gorsze niż zwykłe skucie łańcuchami. Przyniósł sobie nawet krzesło, żeby mu było wygodniej.

– Wiesz, kolego, na tym etapie już do mnie dotarło, że z tobą nie wygram – wymamrotałem, co nie było proste, biorąc pod uwagę, że podeszwa jego buta wciskała mi się w policzek. – Może w związku z tym mógłbyś zdjąć ze mnie stopę, hmmm? Wydaje mi się, że chcesz w ten sposób zaznaczyć swoją wyższość.

Parsknął śmiechem. Nie był to przyjemny dźwięk – przejmujący do szpiku kości i odbijający się echem od kamiennych ścian.

– Właściwie to całkiem mi wygodnie z tobą w charakterze podnóżka. Nie mam ochoty się stąd ruszać.

W kącie znajdował się stary gramofon, z którego dochodziła muzyka. Arcydemon od czasu do czasu pstrykał palcami, ale zupełnie nie potrafił

utrafić w rytm. Funkcjonował w jakiejś innej czasoprzestrzeni, w innej rzeczywistości i, szczerze mówiąc, było to wkurzające.

– Masz jakieś imię? – zapytałem. – To znaczy skoro zamierzamy spędzić tutaj trochę czasu razem, poznając się nawzajem... to równie dobrze możemy zacząć... od przedstawienia się. – Wiedziałem, że powinienem siedzieć cicho, ale roznosiła mnie energia, a wraz z nią – nerwy. Z każdą minutą spędzoną bez Juniper robiłem się bardziej niespokojny. Musiałem zająć myśli czymś innym. – Więc... yyy... ja jestem Zane.

Nawet nie raczył chrząknąć w odpowiedzi. W porządku, Panie Niemiły. Skoro już kogoś torturujesz, to miej chociaż na tyle przyzwoitości, żeby jednocześnie z nim pogawędzić. Zabierz mnie najpierw na kolację. Wolałbym, żebyś się postarał trochę mnie poznać, zanim przejdziemy do tortur.

– Od dawna tu jesteś? Dziwne miejsce z tego Abelaum. Trochę przypomina Piekło, nie? – Pstryk. Pstryk. Pstryk. To jego palce. Wywróciłem oczami. – A gdzie się podziewa ta twoja wiedźma? To znaczy zakładam, że jest twoja... Nie sądzę, żeby jakaś początkująca czarownica potrafiła przywołać tak uroczą istotę jak ty. – Poruszył się i choć go nie widziałem, poczułem, że spogląda na mnie ze złością. – Zawarliście pakt, prawda? Szczęściarz z ciebie, dostanie ci się dusza czarownicy. Słyszałem, że są słodkie jak samo Niebo...

Przycisnął trochę mocniej, prawie gruchocząc mi kości.

– Nic nie wiesz o wiedźmach, diable. I za dużo gadasz.

– Już to słyszałem. Przyznaję, to jedna z moich wad. A właściwie ile masz lat? Doszły mnie plotki, że niektórzy z was, arystokratów, istnieli, zanim na Ziemi pojawili się ludzie. Czy to prawda? Ja osobiście uważam, że to ściema, ale...

Nagle zeszywniał, a mnie przemknęło przez myśl, że tym razem naprawdę go wkurzyłem. Jednak on pospiesznie uwolnił mnie z kajdan i postawił na nogi; skóra mnie mrowiła w każdym miejscu, gdzie mnie dotknął.

Następnie, mocno trzymając mnie za ramię, zmusił mnie do teleportacji.

Nigdy nie przepadałem za tą formą podróżowania; robiło mi się od niej niedobrze. Rozbić na cząsteczki ciężkie fizyczne ciało, przerzucić swoją postać duchową w inne miejsce, a następnie w pośpiechu ponownie złączyć cząsteczki w całość? Bardzo nieprzyjemne. Jednak teleportowanie się z kimś innym, kto bezceremonialnie cię za sobą ciągnie – to dopiero okazało się paskudne!

Gdy dotarliśmy do celu, a moje fizyczne ciało znowu było w jednym kawałku, zgiąłem się wpół i zwymiotowałem.

– Uwolnij go, Callum. Oni nic nam nie zrobią.

Głos należał do wysokiej zamazanej postaci stojącej nieopodal. Miałem mroczki przed oczami, więc na moment zacisnąłem powieki. Poczułem słodki jak cukier zapach magii, ale nie należał tylko do tej wiedźmy.

Wiciokrzew i sosna. Zapach wilka.

Ktoś mnie dotknął, a ja nie miałem wątpliwości, że to Juniper. Kiedy poczułem na plecach jej ręce, tak bardzo mi ulżyło, że zacząłem się śmiać. Juniper żyła. Jej umysł pulsował niepewnością i niepokojem. Czułem jej słodki zapach i cieszyłem się dotykiem jej miękkiej skóry.

Przytuliłem się do niej, a ona mocno objęła mnie ramionami.

– Co ty mu, kurwa, zrobiłeś? – Jej głos kipiał wściekłością. – Powiedziałaś, że nic mu nie będzie, Everly!

– Bo nic mu nie jest. – Po głosie arcydemonia poznałem, że wywraca oczami. – Dramatyzuje.

Owszem, trochę przesadzałem. Jednak w rezultacie Juniper szczerze się o mnie martwiła, a właśnie o to mi chodziło. Tej małej złoźnicy naprawdę na mnie zależało. Jeśli przeżyjemy, całą wieczność będę jej to wypowiadał.

Wreszcie odzyskałem wzrok. Znajdowaliśmy się w korytarzu; z jednej strony były ogromne okna wychodzące na las, a z drugiej – ściana wypełniona obrazami. Wstałem, bardzo powoli, żeby nie stracić równowagi. Jednocześnie przyciągnąłem Juniper jeszcze bliżej i objąłem ją ramionami. Zimna bryła w mojej piersi zaczęła topnieć tylko dlatego, że Juniper była tak blisko.

Cholera, ale mnie wzięło...! Skurwiele musieliby mnie zabić, żeby ponownie mi ją odebrać. Miałem szczęście, że Juniper nie lubiła gadać o uczuciach, bo za cholere nie wiedziałem, jak mógłbym jej to wytłumaczyć.

Choć nie, nie tak... Wiedziałem, jakich słów użyć, wiedziałem, co to za uczucie. A jednak, do cholery, nie miałem zamiaru się do tego przyznać.

– Jesteś ranny? – odezwała się stłumionym głosem, bo twarz ukryła w mojej piersi.

– Tylko kilka strzaskanych kości – odparłem z nonszalanckim uśmiechem. – Nic wielkiego.

Wypuściłem ją z ramion, ale trzymała się blisko mnie. Mogłem teraz dokładnie przyjrzeć się wiedźmie, choć częściowo zasłaniał ją Callum. Robiła wrażenie spłoszonej, zerkąca na mnie, jakby się obawiała, że w każdej chwili mogę się na nią rzucić. Zapach jej magii wypełniał całe pomieszczenie, powietrze pulsowało każdym uderzeniem jej serca. To była dzika magia, nieokiełznana i chaotyczna, pękająca w szwach.

– W takim razie doszliśmy do porozumienia – powiedziała cicho, opierając głowę na ramieniu Calluma. – Prawda, Juniper?

– Ja zabijam Libiri, ty zabijasz Boga – potwierdziła Juniper, a mnie prawie oczy wyskoczyły z głowy. – I nie wchodzimy sobie nawzajem w drogę.

– Zabójca Bogów, co? – zwróciłem się do Calluma, który wydawał się śmiertelnie znużony naszą obecnością. – Brałeś udział w wojnach?

Uśmiechnął się z wyższością.

– Tak. Zabiłem wielu Bogów.

– Ale z armią u boku – przypominałem. – Nadal będziesz tak pewny siebie, choć do pomocy będziesz miał tylko niedoświadczoną wiedźmę?

Everly spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, kładąc dłoń na jego piersi. To było ostrzeżenie – przypomnienie. Miałem wrażenie, że ten jeden gest wystarczył, żeby ulotniła się z niego cała brutalność. Spojrzał na nią tymi swoimi czarnymi oczami i złożył na jej czole pocałunek, a ja o mało nie parsknąłem śmiechem.

Nikt w całym Piekłe nigdy, przenigdy nie uwierzy mi, że na własne oczy widziałem, jak arcydemon niewinnie całuje śmiertelniczkę. To jakiś absurd!

– Nie potrzebuję armii, diable – powiedział po prostu. Lekko trącił Everly głową, szepcząc cicho: – Każ im odejść.

Skinęła głową.

– Na pewno oboje chętnie nas opuścicie. Życzę powodzenia... wam obojgu. Jeśli się ponownie spotkamy, to być może w lepszym świecie.

Juniper

Droga powrotna była o wiele krótsza niż podróż w głąb lasu. Ścieżka wydawała się szersza, a drzewa nie były już tak przytłaczająco bujne. Całkiem jakby las się otworzył, jakby drzewa wypuściły wstrzymywany wcześniej oddech i zdecydowały, że pozwolą nam przejść.

Zanim wyruszyliśmy, zwrócono mi plecak i broń. Zane nie odstępował mnie na krok, kroczyliśmy ramię w ramię, a on ciągle się rozglądał, jakby spodziewał się kolejnego ataku.

Gdy byłam małą dziewczynką, nie marzyłam o księciu z bajki, który skradnie moje serce. Po tym wszystkim, czego się naoglądałam we własnej popieprzonej rodzinie, nigdy nie marzyłam o własnej rodzinie czy partnerze. Zawsze uważałam, że najlepiej mi będzie samej wędrować przez świat, nawet zanim Victoria mnie zdradziła, w ten sposób udowadniając, że miałam rację. Nie potrzebowałam nikogo. Nie chciałam nikogo. Nie życzyłam sobie ani romansu, ani uczuć.

Nie potrzebowałam miłości. Samo myślenie o tym wydawało mi się głupie, szczególnie teraz, kiedy sama się skazałam na wieczne potępienie. Byłam morderczynią i planowałam kolejne zabójstwa. Sprzedałam duszę. Byłam rozbita na tyle różnych sposobów, że nie byłam w stanie ich zliczyć i nie sądziłam, żeby dało się mnie jeszcze naprawić. Marzenia o przyszłości, o partnerstwie, o... o świętym spokoju – były bezużyteczne. To po prostu nie miało sensu.

Szczególnie że wszystko to przychodziło mi do głowy, kiedy patrzyłam na demona. Ale ze mnie idiotka...!

Jednak, Boże, kiedy go zobaczyłam w tym korytarzu, ciągniętego przez tego ześwirowanego arcydemoną, chciałam tylko znowu przy nim być. Nie potrzebowałam wybawcy, nie potrzebowałam opiekuna – a on żadnym z nich nie był.

Był moim oparciem. Był ostoją w tym szalonym świecie. Był jedyną istotą, która widziała mnie w chwili słabości, widziała mnie w chwili załamania, widziała mnie bezbronną – i nigdy nie próbowała tego wykorzystać.

Był demonem. Wykorzystywanie powinno być dla niego chlebem powszednim, prawda?

Milczeliśmy przez całą drogę do samochodu. Właśnie sięgałam do klamki, kiedy Zane oparł się ręką o drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytał cichym głosem, intensywnie mi się przypatrując. Świat zawirował mi przed oczami.

– Nic mi nie jest – odparłam szybko. – Inaczej to sobie wyobrażałam, ale... Everly powiedziała mi parę rzeczy na temat Kenta, które mogą nam pomóc.

Kiwnął głową.

– To dobrze. Bardzo dobrze.

– No tak, przynajmniej będziemy wiedzieli, jak się przygotować do następnego...

– Mam w dupie, co powiedziała wiedźma. Dobrze, że nic ci nie jest. O to mi chodziło. Cieszę się, że cię nie skrzywdzili. To... – Przerwał i skrzywił się, jakby go coś zabolalo. – To dobrze, że jesteś cała. Gdyby zrobili ci krzywdę, nie wiem, co bym, kurwa, zrobił...!

On się... cieszył... że ja...

Och.

Nie byłam specjalnie wylewna, ale teraz zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

Gardło mi się zacisnęło, serce przyspieszyło, a ręce zaczęły się pocić. Przysunął się do mnie, a ja zestresowałam się jak nastolatka. Potrzebowałam drinka. Kilka bardzo dużych drinków, ponieważ z moją głową coś było nie tak.

Jego słowa nie powinny zrobić na mnie aż takiego wrażenia.

– Ale... ale przecież... to chyba nie ma większego znaczenia, czy umrę, prawda? – Wpatrywałam się w kłamkę, jakbym dzięki temu mogła uciec od słów, które niespodziewanie mi się wymknęły. – Oddałam ci duszę, więc... nic nie stracisz... jeżeli ja...

Objął mnie za szyję, wsuwając swoje długie palce w moje włosy, żeby dotknąć mojej głowy – i pocałował mnie.

Miałam otwarte oczy, ale nic nie widziałam. Jego usta były miękkie, ale trzymał mnie mocno. Jego dotyk był gorący, drugą ręką objął mnie w pasie, przyciągnął bliżej, a ja zamknęłam oczy, otaczając go ramionami.

Nie wiedziałam, co to, do diabła, miało być. Było to zbyt przerażające, żeby się nad tym zastanawiać, zbyt skomplikowane, żeby próbować to pojąć. Dlaczego ciągle musiał burzyć mur, który z taki trudem wokół siebie wzniosłam, chroniący moje chwiejne poczucie bezpieczeństwa? Ten mur był wszystkim, co miałam, zapewniał mi ochronę. Bronił mnie przed bólem, rozczarowaniem, zdradą.

Nie chciałam myśleć, co oznaczają te nowe uczucia.

Mogłam jednak myśleć tylko o tym pocałunku. Mogłam się zatracić w jego twardej kłacie, w mięśniach jego pleców, kiedy obejmowałam go za szyję, a moje paznokcie przesuwaly się po jego skórze. Jego rozdwojony język owijał się wokół mojego, a on całował mnie, jakby od tego zależało jego życie.

Z mojego muru pozostały tylko gruzy, w których ukryły się miękkie, delikatne uczucia. Były poranione i zmalretowane, drżały w świetle, które na nie padało, próbowały wpełznąć z powrotem w ciemność. Od tak dawna były ignorowane i omijane, że wzdragały się przed wolnością.

A Zane nieustępliwie pchał je w stronę wolności.

Nie powinnam się tak przy nim czuć. Nie powinnam chcieć, żeby rozerwał mnie na strzępy, a następnie czule przygarnął. W ogóle nie powinnam chcieć, żeby mnie przytulał. To nie mogło skończyć się inaczej, jak tylko spektakularną katastrofą. On był potworem, a ja widziałam wystarczająco wiele potworów, żeby wiedzieć, że kontakt z nimi może przynieść jedynie ból.

Przerwał pocałunek, ale odsunął się od moich ust zaledwie o kilka centymetrów. Opierałam się o samochód, a on obejmował mnie, głaskał, przytulał do siebie. Jak miałam odbudować ten mur? Byłam całkowicie bezbronna. Drżałam.

– Czego się boisz? – zapytał cicho. Potrząsnęłam głową, a on ujął mnie pod brodę i zmusił, żebym na niego spojrzała. – Czego się boisz, kochanie?

Kochanie. Nazywał mnie tak już wcześniej. Nie zwracałam na to szczególnej uwagi. Jednak teraz brzmiało to inaczej, miało inną wagę. Ciężko oddychałam, nawet nie wiedziałam dlaczego. To przypominało atak paniki, tyle że bez bólu. Podniósł moją rękę, spojrzał na drżące palce – i pocałował wierzch mojej dłoni, potem jej wewnętrzną część, a wreszcie nadgarstek, i jego palce już tam zostały.

– Co budzi twój lęk?

– Właśnie to – wyszeptałam, a on uśmiechnął się do mojej ręki. – Boję się właśnie tego... cokolwiek... cokolwiek to jest.

Popatrzył na mnie, ale głowę nadal miał pochyloną i nadal trzymał mnie za rękę. To dziwne, że potwór może wyglądać tak delikatnie, szczególnie

uśmiechając się do mnie ustami pełnymi zębów tak ostrych, że mógłby mnie nimi rozszarpać.

– A jak myślisz, co to jest?

Zwykle w tym momencie kończyłam rozmowę. Na przestrzeni lat spotkałam wystarczająco wielu ludzi, którzy się do mnie zbliżyli – mężczyzn i kobiet, którzy, z jakiegoś powodu, zapragnęli ode mnie czegoś więcej. I właśnie takie pytania zawsze były dla mnie sygnałem, że czas uciekać.

Jednak Zane i ja byliśmy ze sobą związani. Na zawsze. Nie dało się tego ominąć. Przeklęty interes, tylko tym powinno to być.

– Układ – powiedziałam cicho. – To tylko... układ.

Wziął do rąk obie moje dłonie i pocałował tę drugą tak samo jak wcześniej pierwszą, po czym położył je na swojej piersi.

– Juniper Kynes, burza w ludzkiej postaci, boi się układu? – Pochylił się i pocałował mnie w szyję, nieruchomiejąc, kiedy jego usta znalazły się tuż pod moim uchem. – Nie, to nieprawda. Boisz się czegoś o wiele większego niż to. Powiem ci coś, Juniper, łączy nas o wiele więcej niż tylko układ. Nie będę się bawił w pierdolone podchody. Nigdy tego nie robię, kiedy znajdę coś, czego chcę.

– Ale przecież już mnie masz. – Mój głos brzmiał rozpaczliwie. Jakbym błagała go, żeby był okrutny, żeby mi powiedział, że tylko żartuje.

– Twoje ciało i duszę. Ale zrozumiałem, że chcę czegoś jeszcze. – Objął ręką moją szyję i przycisnął kciukiem pulsującą żyłkę. Każde uderzenie serca było bardziej zdecydowane niż zwykle, krew pulsowała pod jego palcem mocno i szybko. – Chcę właśnie tego. – Ściszył głos i wyszeptał mi do ucha budzące dreszcz słowa: – I dostanę to. Zobaczysz.

Na tym skończył. Puścił mnie, zostawił drżącą, a sam usiadł za kierownicą. A kiedy i ja zajęłam miejsce, włączył silnik i pogłośnił muzykę,

po czym kiwał głową w jej rytm, jakby na niczym mu nie zależało.

Tyle że mu zależało, nawet za bardzo. Tak samo jak mnie.

Juniper

Gdy tej nocy zatrzymaliśmy się na podwórku, ogarnęło mnie przedziwne uczucie, że właśnie wróciłam do domu.

Włączyliśmy światła, powitało nas przyjemne ciepło. Było cicho – czułam się tu bezpiecznie, znałam każdy kąt. Kiedy zatrzasnęły się za mną drzwi, zabezpieczyłam je dodatkowo zasuwką i westchnęłam. Napięcie w moich plecach zaczęło ustępować.

– Cholera... – powiedziałam cicho, nawet nie zdając sobie do końca sprawy, że mówię to na głos. Jednak Zane z zaciekawieniem odwrócił się w moją stronę.

– O co chodzi?

– Tylko o to, że... dobrze jest tu być z powrotem – wyznałam. Podszedł trochę bliżej, uśmiechając się z szelmowskim zaciekawieniem jednym kącikiem ust.

– Serio? – Założył niesforny kosmyk włosów za moje ucho i przesunął palcami po króciutkich włosach z boku mojej głowy. – A to dlaczego?

Zmrużyłam oczy, z trudem powstrzymując dreszcz, bo tak na mnie podziałał ten delikatny dotyk.

– Wiesz dlaczego.

– Och, naprawdę wiem? – Zmusił mnie, żebym się jeszcze trochę cofnęła, napierając na mnie ciałem. – Wolałbym, żebyś mi wyjaśniła.

– A ja bym wolała, żebyś się zamknął. – Nie byłam nawet w stanie powiedzieć tego ostrym tonem. Cholera, straciłam pazur. Zane zachichotał.

– Jak będę ci dokuczać, jeśli się teraz zamknę, hmmm?

– Och, na pewno znajdziesz sposób. – Poglądził mnie palcami po twarzy i pod brodą, a ja chwyciłam go za nadgarstek. Dopiero teraz zauważyłam siniaki, których tam wcześniej nie było – biegnące w poprzek fioletowe pręgi, w niektórych miejscach już żółtawe, ale w innych nadal rozognione.

Poczułam ścisk w żołądku. Wiedziałam, że niebezpieczeństwo minęło, ale i tak na widok tych śladów ogarnęła mnie wściekłość.

– Nie pierwszy raz zostałem zakuty w kajdany, mała wilczyco – wyjaśnił z szerokim uśmiechem, kiedy wreszcie na niego spojrzałam. – Ale wolałbym, żebyś to ty mnie skrupowała, a nie ten skrzydlaty pacan.

Z niedowierzaniem pokręciłam głową.

– Właśnie to chodziło ci po głowie, kiedy nas rozdzielono? Zakuli cię w kajdany, a ty żałowałaś, że to nie ja tobą pomiatam?

– Coś w tym stylu. – Pochylił głowę i wpatrywał się w moje palce wokół swojego posiniaczonego nadgarstka. – Co byś na to powiedziała, hmmm? Kiedy zawieraliśmy układ, zażądałem twojego ciała i duszy. Zażądałem twojej uległości. – Roześmiał się, jakby właśnie zdał sobie sprawę, jak absurdalne było to żądanie. – A co, gdybym chciał również twojej dominacji?

Spojrzałam na niego sceptycznie, przekonana, że się ze mnie nabija.

– Chcesz, żebym to ja rozkazywała tobie? Ciężko mi w to uwierzyć.

– Dlaczego? My, demony, potrzebujemy różnych rodzajów stymulacji. Pragniemy tego, co nowe, niezwykle, kręci nas zarówno ból, jak i przyjemność. Wiesz, że lubię ból, Juniper. Myślę, że potrafisz zrozumieć, dlaczego ból może się przerodzić w ekstazę... albo przynieść ulgę. Dlaczego powierzenie komuś kontroli może być wyzwalające.

Ujął w słowa to, czego ja nie potrafiłam wyrazić. Po tylu latach wręcz obsesyjnej potrzeby kontrolowania wszystkiego, natrętnego przymusu panowania nad sytuacją – jakby to był konieczny warunek przetrwania – poddanie się Zane’owi było jak głębokie westchnienie, jak rozluźnienie ciała po długim dniu. Dziwnie było myśleć, że on to rozumie.

Być może częściowo właśnie dlatego nauczyłam się mu ufać. Rozumiał to, co robił. Wiedział, jak to jest, dogłębnie rozumiał moje niewypowiedziane pragnienia, ponieważ sam przeżywał to samo.

– Nie mogę cię kontrolować – powiedziałam. – Jestem tylko człowiekiem.

– W kontrolowaniu nie chodzi tylko o siłę fizyczną. – Wycofał się, a ja podążyłam za nim do salonu. Wypełniające pokój ciepłe światło sprawiło, że ciemność na zewnątrz wydawała się czarna jak atrament. Zane nacisnął przycisk na ścianie i żaluzje zasłoniły ogromne okna. Odwrócił się w moją stronę, w blasku lampy dostrzegłam jeszcze więcej śladów na jego ciele. Nie tylko nadgarstki miał posiniaczone, jego szyję i twarz również przecinały fioletowe pręgi.

– Kontrolowanie polega na użyciu siły woli – wyjaśnił. – Chodzi o twoją wolę i moją wolę, o to, czego wspólnie pragniemy. Jesteś waleczna, Juniper. Nawet pradawny Bóg nie mógł cię zmusić do uległości, więc z całą pewnością mnie też się to nie uda. – Parsknął cichym śmiechem. – Nie o to chodzi. Pozwoliłaś mi się kontrolować, ponieważ tego chciałaś. Teraz ja mogę oddać kontrolę tobie. – Uśmiech na chwilę zniknął z jego twarzy. – Zakuli mnie w kajdany, żeby trzymać mnie z dala od ciebie. To mi się wcale nie podobało. Nadal niedobrze się z tym czuję. – Przesunął palcem po fioletowych pręgach na swoich nadgarstkach z zaciekawieniem, ale i zmarszczką na czole. – Wolalbym zamienić to uczucie na inne. Chciałbym, żebyś mi w tym pomogła.

Nagle znowu do mnie przyłgął. Wziął moją głowę w ręce i uśmiechnął się, obnażając ostre zęby.

– Powiedz mi, dlaczego westchnęłaś z ulgą, przechodząc przez te drzwi, a ja dzisiejszej nocy pozwolę ci przejąć kontrolę. Myślę, że oboje na tym skorzystamy.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że zaproponuje mi coś takiego. W przeszłości występowałam w obu rolach – byłam uległa, kiedy czułam, że tak trzeba, i dominowałam, kiedy mogłam. W ten sposób zaspokajałam różne potrzeby – inne, ale uzupełniające się nawzajem jak dwie strony tej samej monety, dwa aspekty tej samej, głęboko ukrytej potrzeby. Dobrze to ujął – w naszych zabawach nie chodziło o przewagę fizyczną, jakkolwiek to mogło mieć znaczenie. Chodziło w nich o chęć i pożądanie. O ulgę i wyzwolenie.

Jednak on, oczywiście, musiał wszystko komplikować. Musiał zażądać, żebym dała mu odrobinę swojej cennej intymności, którą tak chroniałam, zanim od dopuścił mnie do swojej.

– Czuję się tu jak w domu – wyjaśniłam, dumnie unosząc podbródek. – Pierwszy raz od bardzo dawna. Dlatego westchnęłam. Ponieważ czuję się dobrze. Czuję się szczęśliwa. – Ostatnie zdanie rzuciłam mu prosto w twarz, jak wyzwanie. Minęło cholernie dużo czasu, odkąd ostatnio ośmieliłam się powiedzieć coś takiego, więc skoro już się na to zdobyłam, byłam gotowa się bronić. Będę używać swojego szczęścia jak broni i atakować nim każdego, kto będzie próbował mi je odebrać. – Jestem szczęśliwa, bo żyjemy. Jestem szczęśliwa, bo nam się udało. Jestem szczęśliwa, bo... bo wreszcie... – Z trudem przełknęłam ślinę. – ...bo wreszcie czuję, że nie bez powodu udało mi się przetrwać.

Z aprobatą kiwnął głową, a im dłużej na mnie patrzył, tym większe stawały się jego źrenice.

– Moja mała wilczyca każdego dnia staje się odważniejsza – zauważył.
– Jesteś teraz wystarczająco odważna, żeby być tak bezkompromisowo szczęśliwą, jak byłaś wściekła. A teraz... – Oczy mu ściemniały, a mnie aż ścisnęło z pożądania. Stał za mną, tuż poza zasięgiem mojego wzroku, a jego słowa były oddechem, który owionął mój kark. – Nadal chcesz, żebym się zamknął?

Uśmiechnęłam się szeroko, coraz bardziej zaintrygowana.

– Zawsze.

Oddalił się i wrócił tak szybko, że nawet się nie zorientowałam, że go nie ma. Rzucił coś ciężkiego na stolik i zwrócił się do mnie z próżnym uśmiechem.

– W takim razie możesz zaczynać.

Szeroko otwartymi oczami gapiłam się na przedmiot, który przyniósł – dwa paski z czarnej skóry przymocowane do lśniącej srebrnej kuli.

– Czy to knebel z metalową kulką?

– Nie ty pierwsza doszłaś do wniosku, że za dużo gadam – wyjaśnił.

– Chcesz połamać sobie zęby? – Podniosłam zabawkę i z zaciekawieniem obracałam ją w rękach. Była piękna, ale nigdy nie wzięłabym czegoś takiego do ust. Zaciskać zęby na metalu? Nie, dziękuję. Rachunek za dentystę by mnie zrujnował.

Zane zachichotał.

– Kochanie, zapomniałaś, że jestem demonem? Zjadłem pierwsze zęby na metalowych smoczkach...

– Serio?

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Ale mógłbym.

Na myśl o tym gadzecie w jego ustach zrobiło mi się niedorzecznie ciepło. Zatkanie tych pyskatych, sarkastycznych ust będzie cholernie

satysfakcjonujące. A perspektywa przejęcia władzy nad tak potężną istotą – w jakikolwiek sposób – sprawiła, że poczułam lekkie mrowienie w krzyżu.

– Przez cały czas miałeś to w domu? Jakie jeszcze zabawki ukrywasz przede mną?

Spojrzał na mnie w taki sposób, że zorientowałam się, że czeka mnie jeszcze niejedna niespodzianka. Poszłam za nim na górę, do głównej sypialni. Podszedł do wielkiej czarnej skrzyni przy łóżku i trącił ją butem.

– Sama zobacz.

Przykucnęłam przed skrzynią i otworzyłam wieko. Były tam bicz, kajdanki, pałki, packi do klapsów i łańcuchy. Przedmioty były metalowe, skórzane i drewniane. Niektóre naszpikowane metalowymi kolcami, inne miały kolce. Z niedowierzaniem pokręciłam głową, podnosząc masywne metalowe kajdanki. Odwróciłam się w jego stronę z kajdankami w jednej ręce i kneblem w drugiej.

– Żadna z tych zabawek nie wydaje się szczególnie komfortowa dla człowieka.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i zachłannie przesunął rozdwojonym językiem po roześmianych ustach.

– Większość z nich nie powstała z myślą o ludziach.

– Szkoda, że wcześniej się nie przyznałeś, że masz tu takie skarby – zauważyłam, ruszając w jego stronę. – Mogłam cię zakneblować już kilka tygodni temu i oszczędzić sobie bólu głowy.

Pociągnął nosem i pochylił swoją wielką postać, tak że jego twarz znajdowała się teraz trochę bliżej mojej twarzy.

– Tak jak wspominałem, kochanie... Droga wolna.

Sam pomyśl, że w ogóle mogłabym go zmusić do czegokolwiek, był śmieszny. Żadna ilość biczów i łańcuchów nie była w stanie zmienić faktu, że absolutnie nie dorównywałam mu siłą. Ale nie o to tu chodziło. Ta

dysponująca absurdalną siłą istota zdecydowała się złożyć swoją moc u moich stóp, a ja natychmiast poczułam się jak na haju. Uporczywy stres i obezwładniający lęk po spotkaniu twarzą twarz ze śmiercią natychmiast odpuściły.

Jedyne, co się liczyło, było tutaj, w tym domu. Jedyne, co się liczyło, to że on i ja – znowu razem – byliśmy gotowi stawić czoła kolejnemu dniowi.

– Na kolana – powiedziałam. – Teraz.

Uklęknął przede mną, a na widok tych rozjarzonych oczu wpatrzonych we mnie, oczekujących na rozkazy, serce mi przyspieszyło. Cholera jasna, był demonem, gdyby chciał, mógłby mnie w sekundę zabić, a tymczasem on klęczał przede mną z widoczną erekcją w dżinsach.

– Zdejmij koszulę.

Żartobliwie poruszył brwią.

– Będzie na czym oprzeć wzrok, hę?

Zmrużyłam oczy.

– To rozkaz, nie sugestia.

Ściągnął koszulkę i cisnął ją na bok, posyłając mi bezczelny uśmieszek. Wiedział, że wygląda cholernie dobrze. Podobnie jak był świadom, że cieniutka warstwa potu na jego umięśnionej kłacie doprowadza mnie do szaleństwa. I że kiedy ściąga ramiona i napina ręce, żeby podkreślić grube żyły, ślinka mi cieknie.

– Jeszcze coś mam zdjąć? – zapytał niewinnie.

– Nie. Otwórz usta.

Zobaczyłam garnitur przerażająco ostrych, zabójczych kłów. Nie mogłam opanować ciekawości i dotknęłam palcem jego zębów, a dokładnie ich krawędzi, tak jak się sprawdza ostrze noża. Prowokująco trącił mnie swoim rozdwojonym językiem, a ja na moment zapomniałam o oddychaniu, bo wziął mojego palca do ust i zaczął ssać.

Kiedy otworzył usta, zrobił to tylko po to, żeby powiedzieć:

– Rumienisz się, Juniper.

Spojrzałam na niego gniewnie.

– Zamknij się.

Włożyłam mu do ust knebel i zapięłam paski. Metalowa kula między jego zębami stanowiła dziwaczny widok, choć przecież wiedziałam, że nie może go zranić. Kajdanki nie miały zamka, trzeba je było zabezpieczyć za pomocą nakrętki i śruby. Okrążyłam go, żeby nacieszyć oczy jego widokiem, po czym powiedziałam:

– Ręce za plecy.

Posłusznie przesunął ramiona do tyłu, a ja przez moment rozkoszowałam się jego naprężonymi mięskami, zwiększającymi objętość, kiedy się poruszał. Przykucnęłam i zamocowałam kajdanki na jego nadgarstkach.

– Podejrzewam, że z łatwością mógłbyś je zerwać, gdybyś tylko chciał, mam rację? – Roześmiałam się miękko. – Och, nareszcie jesteś cicho! Grzeczny chłopiec.

Spojrzał na mnie z ukosa, kiedy wstałam po sprawdzeniu, czy kajdanki są odpowiednio zabezpieczone. Zakneblowany, skrępowany, na kolanach – cholera, co za seksowny widok...! Ponownie stanęłam przed nim i delikatnie przejechałam paznokciami po jego policzku. Żrenice mu się rozszerzyły, lekko szarpnął za kajdanki, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Zobaczmy, jak ci pójdzie zachowanie milczenia, hmmm?

Wymamrotał coś, a ja skierowałam się z powrotem w stronę skrzyni. Potrząsnęłam głową, choć zduszone dźwięki, które wydawał z siebie, sprawiły, że poczułam przyjemne ciepło i podniecenie w dole brzucha.

– Już wymiękasz? Tak trudno jest powstrzymać się od przemądrzałych uwag? – Nie miałam pojęcia, co próbował powiedzieć; mogłam tylko

zgadywać, że coś sarkastycznego, bo... No cóż, Zane to Zane.

Kiedy odwróciłam się w jego kierunku z nową zabawką w rękach, udało mu się uśmiechnąć zza knebla.

– I jak ci się podoba? – Podeszłam do niego, od niechcienia kołysząc biczem, który wybrałam. Rączka była obita skórą, ale zamiast sznurków przyczepione do niej były wąskie metalowe łańcuchy. Było to narzędzie, którym z pewnością można było kogoś poważnie zranić, jeśli uderzyłoby się wystarczająco mocno. Ale już mi przecież wyjaśnił, że te zabawki nie powstały z myślą o człowieku. Przesunęłam łańcuchami po jego rękę, po ramionach... po czym smagnęłam go.

Zabrakło mu tchu, ale tylko na moment. Łańcuchy zostawiły piękne czerwone ślady, które z każdą sekundą przybierały bardziej intensywnej barwę. Mruknęłam z aprobatą i smagnęłam go ponownie. Napiął ramiona, a ja przejechałam paznokciami po świeżych pręgach.

– Jaki cichutki... – zadrwiłam. – Nie jest tak trudno zachować milczenie, jeśli potraktuje się to jako wyzwanie, co?

W kolejne smgnięcie włożyłam całą siłę. Głęboko odetchnął, poprawiając się i lekko rozsuwając nogi.

– Uuuu, czyżby dzinsy zrobiły się nieco za ciasne? – Przysunęłam usta do jego szyi, tak aby mój oddech drażnił go tuż pod uchem. – Biedaczysko... Wygląda na to, że nie jest ci za wygodnie. – Jego biodra drgnęły, jakby próbował wyrzucić je do przodu, po czym powoli i głęboko zaczerpnął tchu, podczas gdy ja wyprostowałam się i ponownie uniosłam bicz. – Staje ci, kiedy to robię?

Uderzyłam, a on jęknął, gdy na jego skórze rozkwitły nowe czerwone pręgi. Każdy kolejny krok uświadamiał mi, że jestem mokrusieńka. Już wcześniej przejmowałam kontrolę w czasie seksu z innymi partnerami, ale było coś niezwykle ekscytującego, kiedy ktoś tak silny jak Zane tak po

prostu mi się poddawał. Wiedziałam, że jest masochistą, ale nie byłam przygotowana na to, że naprawdę się przede mną ugnie.

Owinęłam łańcuchy wokół jego szyi i przycisnęłam stopę do jego krocza. Jego gruby, twardy kutas zadrżał, a ja, chichocząc, przycisnęłam trochę mocniej.

– Powinam uwolnić tego napalonego kutasa? – Docisnęłam stopę z całej siły, a on jęknął przeciągle. Żyłki na jego przedramionach zaczęły zmieniać kolor na czarny. – Chyba tak właśnie zrobię. Nie wiem tylko, czy po to, żeby ci ulżyć, czy też żeby... cię skrzywdzić.

Przykucnęłam i odpięłam guzik przy jego dżinsach. Wyglądająca zza gumki bokserek główka jego penisa lśniła od preejakulatu. Powoli okręcałam palcem śliską, czerwoną jak wiśnia główkę, rozkoszując się każdym jego drgnieniem.

– Wyglądasz na trochę spiętego, Zane. – Spoglądał na mnie spod zmrużonych powiek z taką intensywnością, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie straci cierpliwości i nie zerwie kajdanek. Na widok jego kłów wokół grubego srebrnego knebla poczułam w dole brzucha skurcz podniecenia.

Zupełnie sama ujarzmiłam potwora. Potwora, który przede mną klęknął z czystego pożądania.

Rozpięłam mu rozporek i szarpnięciem zsunęłam bokserki, a jego kutas wyskoczył na wolność, prężąc się w moją stronę. Chwyciłam go, choć był zbyt gruby, żeby go mogła objąć palcami. Zaczęłam go powoli pieścić, podziwiając korony i zgrubienia na tym nieprzyzwoicie wielkim sprzęcie. Z koniuszka wypłynęła kolejna kropla preejakulatu, a ja złapałam ją kciukiem i wzięłam do ust.

Na ten widok wstrząsnął nim dreszcz, a biodra znowu chciały się wyrwać do przodu.

– No co...? – zapytałam niewinnie, zaciskając łańcuchy owinięte wokół jego szyi. – Chcesz więcej?

Stałam za nim, wymierzyłam mu kolejny raz, po czym zdjęłam swoją koszulkę i rzuciłam mu nad głowę tak, żeby upadła tuż przed nim. Kolejne smagnięcie – i do koszulki dołączył biustonosz. Jeszcze jedno – zrzuciłam z siebie dzinsy. Zostałam w samych majtkach, mokra z podniecenia. Jego plecy były pięknie zaczerwienione, pręgi wkomponowały się między tatuaże.

– Jesteś taki milczący, Zane – zauważyłam cicho. – Czyli jednak potrafisz się zamknąć... Myślę, że powinnam wejść na kolejny poziom trudności.

Zsunęłam majtki i pomachałam mu nimi przed nosem. Gdy zobaczył lśniąca na nich wilgoć, wydał z siebie kolejny jęk.

– Masz ochotę skosztować? – Okrążyłam go, naga, i przesunęłam palcem po swojej klatce piersiowej aż do miękkich włosów między nogami. – Powinnam pozwolić ci spróbować?

Z zapalem pokiwał głową, każdy mięsień w jego ciele był napięty, nozdrza mu falowały z wysiłku, żeby posłusznie zostać na kolanach. Nie stracić kontroli nad sobą – to musiało być dla niego prawdziwą udręką. Uderzenia łańcuchami nie miały tu nic do rzeczy; tak naprawdę w miejscu trzymało go mistrzowskie panowanie nad sobą.

Było w tym coś oczyszczającego. Moje lęki ustąpiły, kiedy zaufałam mu na tyle, żeby się całkowicie poddać – kiedy dominowałam, uczucie było inne, ale nie mniej intensywne. Podziwiałam jego samokontrolę i byłam zakochana we własnej sile. Tutaj nie potrzebowałam broni, żeby mieć władzę.

Wsunęłam palec między swoje nogi i zaczęłam masować lechtaczkę, cichutko jęcząc. Zane nie spuszczał ze mnie wzroku, wpatrywał się w moje

błyszczące pożądaniem dłonie, kiedy wyjęłam je spomiędzy nóg. Przykucnęłam i przesunęłam palcem po jego ustach. Zane praktycznie trząsał się z wysiłku, żeby powstrzymać się przed rozerwaniem kajdanek.

Usiadłam na nim okrakiem, ocierając się cipką o grubą główkę jego kutasa i przesuważając biczem po jego plecach.

– Szkoda, że masz w ustach ten knebel, chłopcze, bo nie możesz mnie skosztować.

Ponownie jęknął – choć tym razem bardziej przypominało to pomruk – próbując coś powiedzieć. Smagnęłam go biczem, uśmiechając się szeroko, gdy po jego twarzy przemknął grymas bólu.

– Co to, próbujemy narzekać? Zachowuj się albo nic więcej nie dostaniesz!

Wsunęłam w siebie jego główkę – tylko główkę, a i tak mnie rozciągnęła. Przygryzłam wargę, rozkoszując się jego rozmiarem. Nie było mi łatwo nie wziąć go w siebie całego. Dokuczałam mu, że jest taki napalony, ale ja nie byłam lepsza. Jego kutas drgał we mnie ochoczo, pulsując tuż przy moim wejściu, a ja roześmiałam się cichutko.

– Chcesz tę cipkę, Zane? Chcesz więcej?

Nie mógł poruszyć rękami, żeby mnie dotknąć; zamiast tego użył tej swojej magicznej sztuczki. Poczułam palce gładzące mnie po włosach, a następnie przesuważające się w dół, żeby złapać mnie mocno za szyję. Ponownie smagnęłam go po plecach, a on zachichotał triumfalnie, choć knebel stłumił śmiech.

– Nie próbuj mi tu, kurwa, cwaniakować! – syknęłam. – Wysmagam cię po kutasie, jeśli nie potrafisz się zachować.

Oczy mu się lekko rozszerzyły, rozjaśnił je błysk masochistycznej radości. Oczywiście, że spodobał mu się ten pomysł...! To jasne jak słońce.

Kto jak kto, ale ja świetnie to rozumiałam – w końcu ja też uważałam, że groźba wymierzenia kary to tak naprawdę obietnica dobrej zabawy.

Chwilami byliśmy do siebie aż nazbyt podobni; nigdy nie sądziłam, że znajdę kogoś, z kim tyle będzie mnie łączyć.

Wstałam, zostawiając jego kutasa wyprężonego i lśniącego z pożądania. Szarpnął się w moim kierunku – napalony, prawie zdesperowany. Potrząsnęłam głową, choć odwleknięcie chwili, kiedy mnie wypełni, dla mnie również było potworną torturą.

– Wiesz co, Zane, pozwoliłam ci wyciąć na moim ciele twoje imię. – Przechadzałam się wokół niego, leniwie machając biczem, a łańcuchy cichutko brzęczały, kiedy lekko trącałam go nimi po ramionach. – A teraz mam ochotę zrobić ci to samo.

Wyjęłam nóż z pochwy na udzie, pochyliłam się nad jego ramieniem i pokazałam mu nóż. Oczy mu rozblęły z podekscytowania, a szczęki mocniej zacisnęły się na kneblu. Na myśl o tym, że naznaczę go w ten sam sposób, w jaki on naznaczył mnie – wycinając swoje imię na jego skórze, pozostawiając mu bliznę, dzięki której każdy demon, który stanie mu na drodze, będzie wiedział, że należy do śmiertelniczki – poczułam przyjemny dreszczyk podniecenia w każdej części ciała.

– Czy powinnam to zrobić? – szepnęłam mu prosto do ucha. Nie wahał się ani sekundy. Pokiwał głową z takim zapalem, że aż parsknęłam śmiechem. – Cholera, ty naprawdę chcesz, żebym cię pocięła, co? – Okrążyłam go, stanęłam przed nim i dotknęłam nożem jego podbródka. – Siedź, kurwa, prosto. I ani mi się waż dojść, dopóki ci na to nie pozwolę.

Oparłam się rękami na jego ramionach i opuściłam się w dół, wsuwając go w siebie. Jęknął, gdy moja cipka zacisnęła się wokół niego, jak zawsze ciasna, choć starałam się rozluźnić, żeby łatwiej go wziąć. Wsunęłam go w siebie całego, choć ostatnie centymetry z trudem. Nie mogłam złapać

tchu, bo pomieszczenie w sobie takiego potwora wcale nie stawało się łatwiejsze.

Przyglądał mi się, a dosłownie każdy jego mięsień był napięty. Nigdy nie sądziłam, że zobaczę, jak demon tak bardzo się stara dobrze zachowywać. Jednak, oczywiście, był taki grzeczny, tylko kiedy robił coś naprawdę niegrzecznego.

Leciutko powiodłam nożem po jego skórze, tuż pod obojczykiem. Właśnie w tym miejscu znajdowała się wolna przestrzeń między tatuażami, luka pomiędzy mrocznymi, wijącymi się wzorami na jego ramionach a skomplikowanym obrazem zdobiącym jego pierś.

Właśnie tutaj będzie moje imię.

Postanowiłam ucałować jego skórę, zanim zacznę ciąć. Całowałam ją powoli, nigdzie się nie spiesząc, wdychając jego zapach za każdym razem, kiedy dotknęłam go ustami. Podniosłam wzrok i zauważyłam, że przypatruje mi się tęsknie, a jego oczy błyszczą, oczekując na kolejną porcję bólu.

– Zawarłeś ze mną układ, żebym była twoja – powiedziałam cicho, z ustami tuż przy jego ustach. Jego zatopiony we mnie kutas drgnął, a ja z trudem powstrzymałam jęk. – Ale ty również jesteś mój.

Zrobiłam pierwsze nacięcie. Zane’owi brakło tchu, odchylił głowę do tyłu i z zamkniętymi oczami rozkoszował się piekącymi nacięciami, które ostrożnie nanosiłam na jego skórę. Skończyłam pierwszą literę swojego imienia, potem drugą, co chwila zerkając w jego stronę. Jego kutas drgał, a ja powoli poruszałam biodrami, ujeżdżając go, jednocześnie wycinając kolejne litery.

– Cholera, jak dobrze mieć cię w sobie... – wymamrotałam.

– Kurwa, jak dobrze z tobą być... – mruknęłam. Przerwałam nacinanie w połowie swojego imienia i przyglądałam się, jak krew powoli skapuje. Jednocześnie robiłam sobie dobrze i podskakiwałam na jego chuju, jednym ramieniem obejmując go za szyję, żeby utrzymać równowagę. – Robisz się jeszcze twardszy, kiedy cię tnę. – Znieruchomiałam z jego kutasem głęboko w sobie i wymierzyłam mu siarczysty policzek. Otworzył oczy i wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Nie zamykaj oczu – powiedziałam, przykładając nóż z powrotem do jego skóry. – Patrz na mnie.

Nie spuszczał ze mnie oka, kutas pulsował wraz z każdym nowym nacięciem. Trząśł się, jakby mu było zimno, ale jego ciało było rozpalone. Zaczął ciężiej oddychać, a wtedy nie tylko w pokoju zrobiło się ciemniej, lecz i jego oczy pociemniały. Kiedy kończyłam ostatnią literę imienia, pieprzył mnie jak szalony. Tak dzikiej żądz nie da się długo tłumić.

Zbyt bardzo tego pragnęłam, żeby nadal się powstrzymywać. Gdy moje dzieło było już gotowe, z uśmiechem spojrzałam na spływające krwią imię wycięte na jego piersi. Jednak nie było mi dane długo się cieszyć tym widokiem. Rozległ się głośny trzask i nagle leżałam na plecach, przyparta do podłogi, a Zane zaciskał ręce na moich udach, wchodząc we mnie głęboko.

Rozerwał kajdanki. Poradził sobie z nimi tak łatwo, jakby były z kruchego szkła.

Mój okrzyk zdziwienia szybko zamienił się w jęk rozkoszy. Pieprzył mnie, nadal zakneblowany, z resztkami kajdanek zwisających z nadgarstków. Podniósł mi nawet nogi, żeby zerznąć mnie jeszcze ostrzej. Podrapałam go w szyję, zostawiając na pokrytej tatuażami skórze czerwone pręgi, a on tak mocno zaciskał ręce na moich udach, że mogłam się tam spodziewać siniaków.

Każdy centymetr jego ciała był spięty, drżący, doprowadzony do niekontrolowanej żądy przez moje powolne drażnienie się z nim. Krzyknęłam, zaciskając się wokół niego, bo nagła eksplozja rozkoszy rozerwała mnie na milion kawałków. Na mojej twarzy odmalowało się czyste szczęście, a on przyglądał mi się z podziwem i tęsknotą, jakby właśnie był świadkiem czegoś nieskończenie świętego.

– Zane! – Głos mi się trząsnął, a ciało pławiło się w tej idealnej ekstazie. Zacisnęłam palce u stóp, w głowie najpierw mi się zakręciło, a po chwili zapanowała tam całkowita pustka. On tymczasem nadal mnie pieprzył z nienasyconym pośpiechem. Na widok zadrapań, które moje paznokcie zostawiły na jego szyi, oraz śladów po uderzeniach bicia na jego ramionach o mało znowu nie doszłam, tu i teraz. Sunęłam na nieskończonej fali euforii, unosząc się coraz wyżej i wyżej, a jego kutas niezmordowanie we mnie pulsował.

Wydał z siebie zduszony przez knebel pomruk, walnął pięścią w podłogę, aż pazury rozerwały dywan, po czym doszedł, wypełniając mnie swoim nasieniem. Przywarł rozpalonym czołem do mojego ramienia, gwałtownie nabierając tchu z każdym drgnieniem zanurzonego we mnie kutasa.

Przez kilka minut leżeliśmy nieruchomo, ciężko dysząc, połączeni ze sobą, aż wreszcie udało nam się trochę dojść do siebie. Odpięłam knebel i wyjęłam mu z ust. Zaśmiał się cicho, ponownie opierając głowę na moim ramieniu. Przez chwilę ruszał na boki szczęką, żeby pozbyć się napięcia.

– No i co ty na to? – zapytałam półgłosem. – Teraz ty też nosisz na sobie mój znak.

Usiadł i z uśmiechem spojrzął na świeże nacięcia na ramieniu. Krwawienie już ustało, rany zdążyły się nieco zasklepić.

– Dopilnuję, żeby zostały blizny – zapewnił. – To honor być naznaczonym przez wilczycę.

Przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Nie sądziłam, że mój znak na zawsze pozostanie na jego ciele. Myślałam, że będę się nim cieszyć przez kilka chwil, ale nie więcej.

Czułam jednak, że podjął dobrą decyzję. Cieszyłam się, że nosi na sobie moje imię.

Nie wiedziałam, co się, do cholery, z nami stanie. Nie wiedziałam nawet, czy uda nam się przetrwać kilka kolejnych dni, czy może zginiemy. Lecz w tym momencie to nie miało znaczenia.

Jeszcze nie wiedziałam, co to dokładnie oznaczało, ale – niezależnie od miotających mną pokręconych i zagmatwanych emocji – ja oddałam się demonowi, a on w zamian oddał mi siebie.

Juniper

Trzydziestego pierwszego października zdarzało mi się robić różne dziwaczne rzeczy, ale jeszcze nigdy nie planowałam wbicia na halloweenową imprezę w celu zabicia gospodarza. Codziennie rano budziłam się z tykającym zegarem w głowie. Im bardziej ta data się zbliżała, tym bardziej włókł się czas.

Tak długo na to czekałam. Kent Hadleigh miał wreszcie zginąć.

Nie miałam pojęcia, czy nam się uda. Tyle rzeczy mogło pójść niezgodnie z planem, że z tyłu głowy przez cały czas tłukła mi się myśl, że być może nic z tego nie wyjdzie. Ale wreszcie, po tylu latach byłam o krok od celu. Byłam tak spięta, że budziłam się ze ściśniętym żołądkiem i tak samo zasypiałam.

Jednak mimo zdenerwowania trudno było dobrze się nie bawić, kiedy Zane był tak cholernie podekscytowany czekającą nas przygodą.

– Wszystkie najlepsze imprezy kończą się morderstwem – oznajmił, idąc za mną, kiedy kręciliśmy się po sklepie z halloweenowymi dekoracjami, przeglądając kolejne rzędy porozrzucanych i wymieszanych kostiumów. – Dlatego ludzie ciągle o nich rozmawiają.

– Tak dobrze znasz się na imprezach? – Dzięki jego paplaninie zapomniałam, jak irytującym zajęciem są zakupy: wszędzie biegały rozkrzyczane dzieci, alejki były zbyt tłoczne, a wszystkie kostiumy za małe.

– Właściwie to tak. W ciągu prawie dziesięciu wieków wziąłem udział w setkach imprez. Dlatego możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że wszystkie najlepsze kończą się morderstwem.

– Myślę, że uważasz tak tylko dlatego, że lubisz morderstwa.

– Wszystkie halloweenowe sklepy takie są? – Zrobił szybki unik przed dwójką pędzących dzieci, które prawie na niego wpadły. Rzucił im szybkie spojrzenie i dziecko, które było z przodu, potknęło się i upadło tak gwałtownie, że drugie dziecko na nie wpadło i w rezultacie oboje znaleźli się na ziemi. Zane spojrzał na mnie z zadowolonym uśmiechem.

– Podcinasz dzieci? – zapytałam kpiąco. – Serio? Dumny jesteś z siebie?

– Tak. To było prześmieszne.

Wywróciłam oczami, po czym odwróciłam wzrok, żeby nie zobaczył, że się śmieję. Nie to, żeby tak naprawdę mogła to przed nim ukryć; prawdopodobnie potrafił to wyczuć czy coś takiego, skoro potrafił wyczuć wszystko inne.

– A odpowiadając na twoje pytanie, tak, witaj w dwudziestopierwszowiecznym kapitalizmie, edycja Halloween. Przez cały rok nie ma żadnych halloweenowych sklepów, a potem przychodzi październik i nagle w każdym pustym budynku jest taki sklep.

– Tyle plastikowych szkieletów... – powiedział, trącając ramieniem kilka wywieszonych egzemplarzy. Podniósł kostium francuskiej pokojówki w plastikowym opakowaniu. – A te kostiumy wyglądają jak bielizna.

– No tak. O to właśnie chodzi.

Uśmiechnął się szeroko.

– Powinnaś go kupić.

Prychnęłam drwiąco.

– Ty powinieneś. Ja bym wyglądała w tym śmiesznie.

– Ja za to wyglądałbym cholernie gorąco – powiedział. – No i nawet w tym wdzianku porządnie bym cię zerznął. Demoniczna pokojówka do

usług. – Wyrzucił do przodu biodra, a kiedy sobie wyobraziłam, jak by wyglądał, robiąc to w kostiumie pokojówki, nie mogłam wytrzymać.

– Boże, przestań...! – Musiałam się odwrócić, bo nie mogłam już dłużej powstrzymać śmiechu. Jednak szybko dodałam: – Kup ten kostium w swoim rozmiarze, ale nie włożysz go na imprezę.

Im bardziej byłam zdenerwowana, tym trudniej mi było zasnąć. Już wcześniej zabijałam; wiedziałam, jakie to uczucie odebrać komuś życie. Jednak zabicie Kenta Hadleigha miało znaczenie. Ponownie znaleźć się z nim twarzą w twarz, stanąć przed nim z własnej woli – to naprawdę miało dla mnie znaczenie.

Mój niepokój był jak otwarte drzwi, luka w moim systemie obronnym, przez którą mogło się wślizgnąć mnóstwo paskudnych rzeczy. Jeśli nie zaplanuję wszystkiego wystarczająco dokładnie, jeśli nie będę wystarczająco ostrożna albo jeśli będę zbyt ostrożna – wszystko może spalić na panewce.

Te otwarte drzwi były zaproszeniem. Były sygnałem naprowadzającym. Tyle że nie od razu zdałam sobie z tego sprawę.

Powtarzałam kolejne serie ćwiczeń koło pomostu. Niebo było szare, a deszcz przypominał bardziej delikatną mgiełkę, zwilżającą moją spoconą skórę. Wiał zimny wietrzyk, a fale jeziora pluskały, tworząc medytacyjny rytm, z którym zsynchronizowałam oddech.

Wdech – cios pięścią – wydech – wyrzut nogi – wdech...

– Juniper.

– Co? – wrzasnęłam w stronę domu, nie odwracając się. Jedną z ulubionych rozrywek Zane'a było nieustanne dokuczanie mi, gdy tylko próbowałam poćwiczyć. Twierdził, że w ten sposób pomaga mi podnieść tętno.

Jednak tym razem nie doczekałam się odpowiedzi.

Zrobiłam sobie przerwę, ciężko sapiąc między seriami, i spojrzałam w kierunku domu. Ani śladu Zane'a. Wyprostowałam się, starając się uspokoić oddech, żeby lepiej słyszeć, co się dzieje wokół. Wiatr się wzmógł, fale w szybszym tempie uderzały o brzeg, zalewając kamienistą plażę. Przebiegłam wzrokiem drzewa, ale jedynym ruchem, który zwrócił moją uwagę, było niewielkie stado ptaków trzepoczących skrzydłami między gałęziami i podłożem.

Nic tam nie było, zupełnie nic. Jednak nadal miałam ciarki na plecach. Nagle poczułam, że o wiele bezpieczniejsza będę w domu.

Zostawiłam butelkę z wodą na pomoście, więc pobiegłam po nią. Woda jeziora podniosła się tak wysoko, że ją porwała; butelka unosiła się kilka metrów od brzegu.

– Niech to... – Westchnęłam ciężko, wchodząc do jeziora. Woda była zimna, ale nawet miło było się ochłodzić po wyciskającym siódme poty treningu. Kamyczki pod moimi stopami były gładkie. Kiedy zanurzyłam się już do pasa, chwyciłam butelkę, zanim odpłynęła dalej.

Nagle znieruchomiałam, ściskając butelkę w ręce. Zauważyłam coś na środku jeziora, wyłaniało się z wody.

Czerwona jak krew twarz. Idealnie okrągła, z szeroko otwartymi, wpatrującymi się we mnie oczami.

Patrzyła na mnie. Wpatrywała się właśnie we mnie.

Z najcichszym pluskiem schowała się z powrotem pod wodą. Wiatr ustał. Fale wokół mnie uspokoiły się; tafla jeziora była upiornie gładka, jak lustro. Zaczęłam się wycofywać w stronę brzegu, bacznie przyglądając się wodzie wokół mnie i ciągle zerkając w miejsce, w którym zniknęła głowa.

Kiedy wyszłam na brzeg, kamyczki chrzęściły mi pod stopami. Zrobiło się zimno, a ja trzęsłam się w mokrym ubraniu. Miałam na tyle rozumu

w głowie, żeby wiedzieć, że nie mogę wierzyć we wszystko, co widzę, nawet na jawie. Koszmary senne pojawiały się, nawet kiedy nie spałam.

Jednak teraz nic nie słyszałam, nie czułam żadnego zapachu... Dlatego się odwróciłam.

Znalazłam się twarzą w twarz z czerwoną jak krew istotą.

Nie miała powiek ani warg. Całą skórę miała naciągniętą do tyłu, wisiała nade mną jak pajak nad muchą. Wyciągnęła w moją stronę trzy długie, guzowate, czerwone palce...

Z trudem łapiąc oddech, poderwałam się i rozejrzałam dookoła. Nie byłam już na brzegu; właściwie to nigdzie w zasięgu wzroku nie było jeziora. Podobnie jak pomostu i domu.

Znajdowałam się pod ziemią, w wąskim, oświetlonym przyćmionym światłem tunelu. Gdzieś z góry powoli kapła woda, a powietrze było ciężkie od zapachu mokrej ziemi i grzybów. Byłam w kopalni.

Potrząsnęłam głową, mocno zaciskając powieki. Nie, nie, nie, to niemożliwe...!

– Juniper...

Najpierw rozległ się ten szept, a potem śmiech. Otworzyłam oczy. Z każdej strony otaczała mnie nieprzenikniona ciemność. To tylko sen. Koszmar senny, nic więcej. Pewnie zemdlałam. To stworzenie musiało pozbawić mnie przytomności.

Ale jak? I dlaczego? Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam...

Człap... człap... człap...

Wbiłam wzrok w ciemność. Coś nadchodziło. Coś powoli i ciężko kroczyło przez błoto. Nie miałam broni. Nie miałam światła.

– Obudź się – szepnęłam cicho, zanurzając paznokcie w przedramieniu.

– No dalej, Juniper. Obudź się. Obudź się.

– Nie ma... przebudzenia...– wysyczał ukryty w mroku głos. Nie był już tylko echem szeptu ani cichym tchnieniem wiatru. Miał kształt, miał wagę. Był prawdziwy. Był tutaj.

Z głębokiej ciemności wyłonił się przedziwny kształt i zmierzał w moją stronę chwiejnym krokiem. Wydawał przy tym dźwięk, jakby coś śliskiego sunęło po mokrej ziemi. Zrobiłam krok do tyłu, potem kolejny, ponieważ bałam się wbiec w ciemność za mną, ale byłam również zbyt przerażona, żeby pozostać w miejscu.

Z mroku wynurzyły się grube, szare macki. Wiły się w moim kierunku, a wychodziły z dziwnego kształtu, który powoli się zmieniał przed moimi oczami. Kurczył się i powiększał, rozdymał się, a potem zapadał w sobie, jakby nie był ciałem stałym. Lodowate palce zacisnęły się na moim sercu, bolesny chłód sięgnął moich żeber.

– Znalazłem cię, Juniper. Wreszcie cię znalazłem.

Zaczęłam się dusić. Nie mogłam się obudzić. Dlaczego, do cholery, nie byłam w stanie wyrwać się z tego snu? To wszystko było w mojej głowie, musiałam o tym pamiętać. To tylko wytwór mojego umysłu.

Macki przybliżyły się do mnie coraz szybciej. Już prawie sięgały moich kostek. Kształt wyłonił się z ciemności, teraz oświetlało go szare, przyćmione światło.

To był człowiek, ale jednocześnie... To coś nie było człowiekiem. Było więcej niż piękne, tak przerażająco olśniewające, że jedna fizyczna postać nie mogła zawierać w sobie takiej urody. Utkane było ze światła i ciemności, ciała i krwi, pozostającego w ciągłym ruchu połączenia powietrza i energii. Jego macki były tak długie, że oplotły ściany kopalni, zmierzając wijącym ruchem w moją stronę.

Jego skórę pokrywały mrugające gałki oczne, a wszystkie wpatrywały się we mnie.

Powoli potrząsnęłam głową.

– Nie jesteś prawdziwy – wyszeptałam drżącym głosem. – To sen. To tylko sen. Nie jesteś prawdziwy.

Gdy Bóg ponownie się odezwał, mówił tysiącem głosów naraz. Tysiąc głosów z trudem maskujących tysiąc krzyków.

– Uważasz, że to nie dzieje się naprawdę, a jednak nie wiesz, gdzie jesteś. – Istota uśmiechnęła się. Jej usta odsłoniły kolejne rzędy zębów. Nadal się cofałam, choć nie miałam pewności, co się czai w ciemności za mną. – Gdzie jesteś, Juniper? Gdzie leży twoje ciało? W lesie? W ziemi? Na brzegu? – Uśmiechnęła się szerzej. – A może jesteś w wodzie, Juniper? Toniesz?

Bóg miał rację. Gdzie było moje ciało? Gdzie ja, do cholery, byłam? Czy udało mi się wrócić na brzeg, czy... czy ta czerwona istota wciągnęła mnie pod powierzchnię wody?

A co, jeżeli nie budziłam się, ponieważ... nie mogłam się obudzić?

Ogarnęła mnie panika. Musiałam uciekać. Musiałam...

Uderzyłam plecami w ścianę z ubitej ziemi. Znajdowałam się na końcu tunelu. Nie miałam już dokąd iść.

– Nie możesz mnie zabrać – wyszeptałam z rozpaczą. – Moja dusza nie należy do ciebie. Nigdy nie była twoja.

Macki owinęły mi się wokół kostek i zaczęły się wspinać po mnie w górę, krępując moje ciało. Bóg przystanął, Jego twarz częściowo kryła się w cieniu, a niezliczone oczy mrugały w moją stronę.

– Nie mogę zabrać twojej duszy... ale mogę zabrać twój umysł.

Macki owijały się teraz wokół mojej klatki piersiowej, zaciskając się coraz mocniej i mocniej. Chwyciłam je, wbiłam paznokcie w śliskie, pokryte śluzem ciało, ale one ani drgnęły. Okręciły się wokół moich

ramion... wokół mojego gardła. Zaciskały się, aż wreszcie nie mogłam oddychać.

– Niepotrzebnie Mi się sprzeciwiłaś. Okradłaś Mnie z siebie. Jednak ja dostanę to, co Moje.

Macki owinięły się wokół mojej twarzy. Zacisnęłam powieki, bo próbowały dostać się do moich oczu, do moich ust. Nie mogłam oddychać...

Nie mogłam oddychać...

– Juniper!

Rzucałam się, krzyczałam, waliłam na oślep pięściami, kopałam, szamotałam się, aż wreszcie gwałtownie otworzyłam oczy pod wpływem lodowatej wody. Kuciałam na brzegu, opierając ręce na kamyczkach, którymi usłana była plaża. Nade mną stał Zane, wpatrując się we mnie z zakłopotaniem zmrużonymi oczami. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam się obracać, rozglądając się dookoła. Serce waliło mi jak młotem.

– Co się, do cholery, stało? – zapytał ostrym, poważnym tonem. Na dźwięk jego głosu wreszcie sobie przypomniałam, że powinnam oddychać.

– Ja, yyy... Ja... – Głos mi uwiązł w gardle. Trzęsłam się gwałtownie z zimna. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć. Wreszcie wydusiłam z siebie:

– Bóg mnie znalazł. Odnalazł mnie.

Wiedziałam, że Zane mi uwierzy, ale i tak się bałam – paraliżował mnie strach przed tym, że mnie wyśmieje, że zarzuci mi kłamstwo. Nawet gdy wylewnie opowiadałam mu, co widziałam, w duchu sama kwestionowałam swoje słowa. Czy przesadziłam z ćwiczeniami i zemdlałam? Czy miałam halucynacje? Czy w ogóle widziałam tę czerwoną istotę?

Jednak kiedy skończyłam, twarz Zane'a była ściągnięta z niepokoju.

– To był Czatownik – wyjaśnił. – Pasożytniczy potwór żerujący na ofiarach innych stworzeń.

Zmarszczyłam brwi, drżąc pod kocem, który miałam na ramionach.

– Dlaczego? Czego, do cholery, chce?

– Pożywienia. Czatownicy wypatrują ofiar większych, bardziej niebezpiecznych stworzeń. W Piekło są znani z tego, że kręcą się wokół Żniwiarzy, żeby żywić się strachem ich ofiar. Właśnie to ich utrzymuje przy życiu: strach. Pomagają temu, kto cię ściga, potęgując twój lęk, twoją panikę. Same w sobie nie mogą zrobić wiele, żeby cię skrzywdzić. Ale mogą cię osłabić. Mogą cię przytłoczyć, rozproszyć – w ten sposób polują.

Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. Widok tych szerokich, pozbawionych powiek oczu wpatrujących się we mnie beznamiętnie na zawsze zostanie w mojej głowie.

– Co mogę zrobić? – chciałam wiedzieć. – Jak mogę to zabić?

– Nie wiem, czy możesz. – Zane w zamyśleniu podrapał się po głowie.

– Najlepszym sposobem obrony, jeśli znowu go zobaczysz, będzie zignorowanie go. Udawaj, że go tam nie ma; nie ulegaj swojemu lękowi.

Łatwo powiedzieć. Obecność strachu w moim życiu była faktem. Nauczyłam się działać pomimo lęku, jednak całkowite wymazanie go nie było możliwe.

– Kiedy byłam nieprzytomna, Bóg powiedział, że mnie znalazł. – Przygryzłam dolną wargę, bo to pytanie nie chciało mi przejść przez gardło.

– Czy to... czy to znaczy, że On wie, gdzie jestem? Czy to znaczy, że On może mnie... zabrać?

Zane przysunął się bliżej, przyciągając mnie do swego ciepłego ciała. Wtuliłam się w jego bok, nadal drżąc, próbując opanować nieustępującą panikę.

– Kiedy Libiri pocięli cię i wrzucili do ciemnej kopalni, Bóg głęboko wpłynął na twój umysł – powiedział. – Demony dysponują podobną mocą: potrafię sprawić, że poczujesz fantomowy dotyk, albo stworzyć iluzję, że jesteś związana. – Mówiąc to, głaskał mnie po szyi niewidzialnymi palcami. Zdażyłam już przywyknąć do tych jego sztuczek, choć nadal nie do końca rozumiałam, na czym polegają. – Bogowie również to potrafią, tyle że, oczywiście, ich moc jest zazwyczaj o wiele silniejsza niż demona. Umieją stworzyć o wiele potężniejsze i bardziej przerażające doznania.

Nie chciałam zamykać oczu. Bałam się, że jeśli się na to odważę – choćby na moment – znowu znajdę się w ciemności, owinięta tymi mackami.

– To iluzja, Juniper – wyjaśnił Zane. – Wiem, że wydaje ci się to prawdziwe, ale to tylko Bóg wywiera wpływ na twój umysł i zmusza cię, żebyś czuła rzeczy, które nie są rzeczywiste. To dlatego czeka, aż będziesz najbardziej bezbronna, dlatego przychodzi do ciebie we śnie. Czatownik będzie próbował zapewnić Bogu więcej okazji, żeby dotrzeć do ciebie. Jeśli uda mu się wywołać w tobie panikę, jeśli znajdzie sposób, żeby cię przerazić, będzie to robił. Jednak Bóg nadal tkwi w pułapce, Juniper. Nie może do ciebie dotrzeć. Zapamiętaj: bez względu na to, co będzie mówił, bez względu na okropne rzeczy, które ci będzie pokazywał, Bóg nie może cię dotknąć.

Zane

Gdybym musiał wskazać swoją ulubioną aktywność na Ziemi – poza kolekcjonowaniem dusz śmiertelników – byłoby to imprezowanie.

Nie zrozumcie mnie źle, ziemską impreza w żaden sposób nie może się równać z piekielną. Śmiertelnik nie miałby szans nawet przetrwać imprezy w Piekło; nawet gdyby substancje rekreacyjne od razu go nie zabiły, zmarłby z czystego wyczerpania. Piekło potrafiło imprezować przez całe dni, a nawet miesiące, jeśli towarzystwo było dobre.

Jednak ludzkie imprezy są na swój sposób niewinne, tak słodko zdesperowane. Ostra woń alkoholu, potu, napalonych śmiertelników, z których każdy ma nadzieję, że zarucha. Trzeba też zaznaczyć, że ludzie nie umieją pić. Po kilku godzinach wszyscy zataczają się jak stawiające pierwsze kroki szkraby, stopniowo tracąc kontrolę zarówno nad emocjami, jak i nad funkcjami życiowymi.

To urocze! Tak bardzo pragną podniety, a kiedy ją wreszcie otrzymują, ich małe ludzkie mózdzki nie potrafią sobie z nią poradzić.

Powiedzieć, że nie mogłem się doczekać imprezy u Hadleighów, to nic nie powiedzieć. Ja szalałem z entuzjazmu!

Z kolei Juniper była prawdziwym kłębkim nerwów, ale porządnie ją wypieprzyłem, wlałem w nią kieliszek whiskey i w końcu trochę wyluzowała. Jednak jej podekscytowanie nadal przejawiało się drżeniem rąk, pocieraniem palców, zaciskaniem pięści, nerwowym przeczesywaniem włosów.

Czatownik porządnie ją wystraszył, a ja nie mogłem ją za to winić. Według demonicznych standardów Czatownicy byli, ogólnie mówiąc, nieszkodliwymi istotami, jakkolwiek niezbyt miło się na nie patrzyło. Jednak Juniper była dokładnie tego rodzaju istotą, na jakie chcieli polować. Owszem, była cholernie odważna, ale odwaga nie oznaczała, że się nie bała.

Miała w sobie głęboką, mroczną studnię lęku i przez cały czas balansowała na jej krawędzi, próbując uniknąć upadku.

Za każdym razem, kiedy świtał mi w głowie kolejny pomysł, jak jej pomóc się uspokoić, czułem się, jakbym wygrał cholerny medal.

Byłem z nią szczery – pragnąłem więcej. Jej ciało i dusza mogły mi zapewnić dużo dobrej zabawy, ale posiąść jej umysł, jej serce, to coś zupełnie innego. To sięgało poza śmiertelność, poza układy. To było coś więcej niż interesy.

Chciałem zdobyć jej uśmiech, jej radość, chciałem mieć ją na własność, kiedy wzdychała po długim dniu i odchyłała głowę z zamkniętymi oczami. To były rzeczy, których nie dało się posiąść – nie miały nazwy, nie mogły mi przynieść potęgi ani chwały. Jak burza, która w niej szalała, jak nerwowe drżenie jej długich palców, jak sposób, w jaki przygryzała dolną wargę, kiedy była zamyślona.

Ludzie próbowali wypełnić tak wiele różnych potrzeb za pomocą swoich partnerów, podczas gdy demony wybierały partnerów, biorąc pod uwagę oddanie i fascynację. Juniper była porywcza, egoistyczna, oszczędna w słowach, uparta, niespokojna i agresywna.

A ja pragnęłam tego wszystkiego. Całej jej nieprzewidywalności, ostrych krawędzi i rozbitych kawałków. Pragnąłem jej ostrości. Chciałem się nią kaleczyć, i jeszcze raz, i ponownie. Chciałem przekładać kawałki tej układanki, aż obraz nabierze sensu.

Musiała tylko wyjrzeć zza muru, który wokół siebie zbudowała. Musiała być tak zwichrowana, jak tylko chciała, nie obawiając się, że zostanie sama.

– Dlaczego te tutoriale muszą być takie szybkie? – narzekała, cofając prawie o minutę filmik, który oglądała na swoim laptopie. – Całkiem jak jeden z tych durnych tutoriali *Jak narysować...?*: krok pierwszy to kółko, a krok drugi to idealnie dopracowany rysunek przedstawiający konia.

Parsknąłem śmiechem i jeszcze przez kilka sekund pozwoliłem jej zмагаć się z makijażem. Nasze kostiumy na imprezę były proste – dopasowane czarne garnitury, muszki i wymalowane na twarzy czaszki. Przebrania były na tyle subtelne, żeby nie przyciągać niczyjej uwagi, a jednocześnie dzięki grubej warstwie farby do twarzy Juniper będzie mogła ukryć swoją tożsamość. Marynarki ułatwiały sprawę schowania broni, a Juniper zamierzała pojawić się na imprezie w pełni uzbrojona.

– Dosyć tego, wystarczająco już się namęczyłaś – powiedziałem. – Siadaj na tyłku, a ja się zajmę makijażem.

Spojrzała na mnie sceptycznie.

– Serio?

– Tak, serio. – Zamknąłem laptopa, przerywając filmik. – Miałem setki lat, żeby robić wszystko, na co miałem ochotę. Myślisz, że przez ten czas nie odkryłem w sobie artystycznych ciągotek?

Usiadła na desce klozetowej, żebym mógł pomalować jej twarz czarną i białą farbą. Nie mogła spokojnie usiedzieć w miejscu, więc celowo przeciągałem tę czynność, żeby zaczęła się wiercić.

– Dam ci klapsa, jeśli się nie uspokoisz.

– Tylko, kurwa, spróbuj – odgryzła się, ale poczułem, że jej skóra staje się gorętsza. Uśmiechnąłem się szeroko.

– Rozplączesz się i makijaż ci spłynie, a ja będę musiał malować cię od początku.

– Ha! No tak, chciałbyś...

– Zamknij dziób. Muszę skończyć malować zęby.

Zamiast zamknąć buzię, ugryzła mnie w palce. Nie rzucałem słów na wiatr, a ona sama się prosiła, ale i tak próbowała się bronić, kiedy ją poderwałem do góry i wrzuciłem sobie pod ramię.

– Czy to był dobry pomysł, Juniper? – Jeszcze się nie ubrała, miała na sobie tylko parę obcisłych spodenek gimnastycznych. Jej pośladki przyjemnie podskoczyły, kiedy wymierzyłem jej klapsa, co było niezwykle satysfakcjonujące.

– Zrobiłabym jeszcze raz to samo, a następnym razem naprawdę cię ugryzę! – krzyknęła, depcząc mi palce u nóg, ale ja nie ruszyłem się ani na krok. Jeszcze kilka klapsów i już była cholernie rozpalona, a w jej wściekłych wrzaskach zaczęła pobrzmiwać wyraźna nuta pożądania. Poczekalem, aż będzie odpowiednio rozgrzana, i dopiero wtedy ją uwolniłem, sadzając z powrotem na miejscu.

– A teraz siedź spokojnie. – Pochyliłem się nad nią z pędzlem w ręku. – Albo będę musiał znaleźć rodzaj kary, która cię nie podnieci.

Nie przestała się wiercić.

– Taaa, powodzenia...

– Wymyślę coś – zapewniłem. – Musi być coś, czego nienawidzisz. Może packa do klapsów zamiast mojej ręki...?

– Takim gadaniem tylko jeszcze bardziej mnie nakręcasz.

– Mmmm, w takim razie może cię przyduszę.

– Przyduszanie mnie kręci, a ty dobrze o tym wiesz. Próbuj dalej.

– Igły.

Oczy jej się rozszerzyły, a ja przesunąłem pędzlem po jej podbródku.

– Co...?

Uśmiechnąłem się.

– Powinienem być bardziej precyzyjny: piercing. Chciałbym nakłuć tę delikatną skórę kilkoma igłami, żeby przekonać się, czy to również cię podnieci.

Znieruchomiała, choć jej umysł pracował na wysokich obrotach. Nadal była podniecona. Właściwie to nawet...

– A co mi tam, wchodzę w to!

Roześmiałem się.

– Może trochę więcej entuzjazmu... Ja nie mogę się doczekać! Poza tym już skończyłem, więc możesz się kręcić, ile dusza zapagnie.

– Cholera, jestem nieźle popieprzona... – mruknęła pod nosem, wstając, żeby się przyjrzeć swojej pomalowanej twarzy w lustrze. Ja z kolei zająłem się swoim makijażem, ukrywając twarz za kolejnymi warstwami farby.

– W świecie demonów nie ma w tym nic popieprzonego, kochanie – wyjaśniłem. – Dla nas piercing jest symbolem lojalności i oddania. Kiedy znajdujemy sobie partnera, obdarowujemy go metalem na znak, że należy do nas. W Piekło to powszechna praktyka.

– Zaczyna mi się podobać to całe Piekło. – Spoglądała na mnie w lustrze. Gruba warstwa farby na jej twarzy sprawiała, że kolor jej brązowych oczu wydawał się jeszcze cieplejszy. – Właściwie to nie mogę się doczekać, kiedy znajdę się w całkiem innym wymiarze. – Zamilkła na moment. – Bo to jest inny wymiar, prawda?

– Inna rzeczywistość. W naszych bibliotekach są książki, które wyjaśnią ci to o wiele lepiej niż ja.

Przez chwilę stała u mojego boku. Wybraliśmy nierzucające się w oczy kostiumy, ale o jej twarzy, o jej ciele, można było powiedzieć wszystko,

tylko nie to, że nie rzucało się w oczy. Jej uroda była uderzająca, nawet ukryta za grubą warstwą farby.

Zmarszczyła brwi.

– Co się szczerzysz?

– Myślę o przekłuciu twojego języka – wyjaśniłem. – Wyglądałabyś cholernie dobrze z moim metalem w sobie. Poza tym, kurwa, wspaniale byłoby go poczuć na kutasie.

Popchnęła mnie.

– Przecież już pozwoliłam ci pociąć klatkę piersiową. Naprawdę chcesz znowu upuścić mi trochę krwi?

– Ty też mnie pocięłaś – przypomniałem. – Więc jesteśmy kwita. – Odkąd wycięła mi na piersi swoje imię, nie było dnia, żebym nie przyłapał się na podziwianiu tego widoku w każdej szybie i w każdym lustrze, koło których przechodziłem. Mógłbym pozwolić tym ranom całkowicie się wygoić, zniknąć z mojej skóry – jednak, tak samo jak piercing i tatuaże, one stały się teraz częścią mnie. – Wrócimy do tej rozmowy, kiedy zabijemy Kenta. W ten sposób będziesz miała czas, żeby to przemyśleć.

– Zobaczymy. Pospiesz się, Panie Artysto! Wbijamy na imprezę.

W drodze do drzwi wymierzyła mi klapsa. Powoli wypuściłem powietrze przez usta, potrząsając głową, bo nie było łatwo powstrzymać się, żeby jej ponownie nie złapać na kolejne ruchanko. Może myślała, że żartuję, ale ja naprawdę chciałem, żeby mój metal znalazł się w niej. Zapytam jeszcze raz.

Kiedy dotarliśmy do domu Hadleighów, długi, wysypany żwirem podjazd był już całkowicie zapełniony. Samochody stały na trawie przy drodze, ale my zaparkowaliśmy jeszcze dalej – na wąskiej polnej drodze niecałe dwa kilometry za domem, gdzie drzewa zasłaniały jeepa Juniper.

Chciałem wziąć swoją hondę, ale Juniper się nie zgodziła.

– Twój samochód za bardzo rzuca się w oczy. Wypucowany, z wyższej półki... A my nie chcemy zwracać na siebie uwagi. Nie potrzebujemy wejścia smoka. Wchodzimy po cichu.

Uwielbiałem wchodzić na scenę z przytupem, więc ten „dyskretny” scenariusz nie do końca mi odpowiadał. Niemniej to urocze, że zdaniem Juniper mogliśmy tak po prostu wślizgnąć się na przyjęcie, nie skupiając na sobie uwagi.

Wyglądała dziś cholernie seksownie. Długie włosy spięła w wysokiego kucyka, w którym było jej bardzo do twarzy. Jej chłodne, obojętne spojrzenie nie powstrzymywało ludzi przed gapieniem się na nią. Gdy zmierzaliśmy w stronę domu Hadleighów, połowa mijanych osób oglądała się za nią.

Ja jednak potrafiłem zadbać o to, żeby przede wszystkim zobaczyli mnie. Dopilnowałem, żeby wiedzieli.

Nie dotykać.

Posiadłość była otoczona ogromnym kamiennym murem, jednak żelazna brama na końcu podjazdu była otwarta, żeby samochody i imprezowicze, którzy przyszli pieszo, mogli się dostać do środka. Dom był ze szkła i stali, stanowił nowoczesną, kanciastą konstrukcję, wznoszącą się nad idealnie przystrzyżonym trawnikiem. Nie licząc trawnika, większość posiadłości była porośnięta drzewami – wysokimi, bujnymi sosnami, które zakrywały dom gałęziami i w ten sposób zapewniały jego mieszkańcom odrobinę prywatności.

– Kurwa, to ona...! – Juniper gwałtownie się zatrzymała. Podążyłem oczami za jej wzrokiem, spodziewając się, że zobaczę Victorię. Jednak zauważyłem tylko drobną kobietkę z krótkimi czarnymi włosami, ubraną

w pomarańczową spódniczkę i sweter, która, chichocząc, właśnie wchodziła, trzymając pod ramię przyjaciółkę.

– Raelynn – szepnąłem.

– Twój mały kumpel, Leon, raczej już nie jest zainteresowany zapewnieniem jej ochrony, co? – powiedziała. – Z pewnością zaoszczędziłby nam wiele fatygi, gdyby miał ją na oku.

– No tak, nie jestem pewien, czy możemy dzisiaj liczyć na jego pomoc. – Widziałem się z Leonem kilka dni temu, ale ciężko mi było wyciągnąć z niego nawet najbardziej podstawowe informacje, a co dopiero wyznanie, co myśli na temat otaczania opieką śmiertelniczki, na której punkcie miał obsesję. Miał swoje problemy, i to takie, że zacząłem się martwić, czy nie wpakował się w jeszcze gorszą sytuację, niż kiedy był niewolnikiem Kenta.

Leon nie wiedział, kiedy odpuścić. I w drugą stronę też – często nie zdawał sobie sprawy, kiedy nie należy pozostawiać spraw samych sobie.

– No dobra. – Juniper odetchnęła głęboko i po raz setny poprawiła marynarkę. Objąłem ją ramieniem, przyciągając do boku. Na moment zeszywniała, ale potem wtuliła się we mnie. – Miejmy to z głowy.

– Puk, puk, Hadleighowie. – Uśmiechnąłem się szeroko, kiedy dołączyliśmy do pchającego się do środka tłumu. – Wróg już stoi u bram.

Zane

Powietrze w salonie było ciężkie od zapachu alkoholu, potu i wielu sztucznych zapachów. Impreza już się rozkręciła, a hormony tworzyły ostry koktajl woni, dzięki któremu wiedziałem, kto jest podniecony, kto się boi, a kto jest wściekły. Muzyka dudniła, aż ściany drżały, z aparatury nagłaśniającej na drugim końcu pomieszczenia dochodziły wibrujące ciężko basy. W powietrzu unosił się zapach marihuany i tytoniu, wyczułem też intensywną woń kokainy. W kącie dwie kobiety popijały pastylki szotami tequili. Nasze oczy się spotkały – wpatrywały się we mnie ciężkim spojrzeniem, nawet nie próbując ukryć, o co im chodzi.

– Wszyscy się na ciebie gapią – stwierdziła Juniper, która ze skrzyżowanymi na piersiach rękami rozglądała się po kłębiącym się wokół tłumie.

– Masz z tym problem? – Stałem przed nią, opierając się ręką o ścianę. – Gdybym postanowił zabić każdego, kto za długo na ciebie patrzy, połowa z tych ludzi już by nie żyła, a ja szykowałbym się do zamordowania reszty.

Posłała mi figlarny uśmiech, dokładnie taki, jakim mnie obdarowała, zanim wycięła mi na piersi swoje imię.

– Szczerze, to nawet mi się to podoba. Kręci mnie, że tak wielu ludzi nie może oderwać od ciebie wzroku.

Pochyliłem się i musnąłem ustami jej szyję. Wciągnęła gwałtownie powietrze i zacisnęła palce na moim nadgarstku.

– Fajnie, że gapią się na nas. Każdy z nich mógłby się uważać za szczęściarza, gdyby jedno z nas chciało go przelecieć. Ale ja i ty? Razem...? – Odsunąłem się, żeby na nią spojrzeć, a ona z trudem powstrzymywała uśmiech. – Zajechalibyśmy towarzystwo na śmierć.

Znacząco poruszyłem brwią.

– Dosłownie czy w przenośni?

– Zależy od okoliczności. – Pociągnęła mnie za nadgarstek, żebyśmy zamienili się miejscami; teraz ja opierałem się o ścianę, a ona ocierała się o mnie całym ciałem. – W innej sytuacji przyprowadziłabym tutaj te dwie kobiety i kazała im klęknąć przede mną. Może nawet pozwoliłabym im błagać o pozwolenie, żeby cię dotknąć.

– Niech to. Teraz będzie mi naprawdę trudno ukryć erekcję, Juniper...!

Zachichotała sadystycznie, łapiąc mnie przez spodnie za krocze.

– Wyluzuj, demoniczny chłopczyku. Jesteśmy tu z całkiem innego powodu. Potem możemy kogoś przelecieć.

– Trzymam cię za słowo. Tak, tak, masz rację. Mordować dziwki, brać kawę... czy coś w ten deseń.

Posłała mi długie zniecierpliwione spojrzenie.

– Chodzi ci o: pieprzyć dziwki, brać kasę, Zane.

– No tak, właśnie to powiedziałem.

Wokół nas obmacywały się pary, inni młodzi ludzie zebrali się na dużym balkonie, okalającym cały dom, wokół stołów, na których toczyły się gry alkoholowe. Na blacie kuchennym rozłożone były przekąski, a wyspa była zastawiona butelkami alkoholu w każdym możliwym kształcie i rozmiarze.

Nigdzie nie było ani śladu Kenta, w związku z czym przeczuwałem, że będziemy musieli poczekać na okazję, żeby się stąd wymknąć i go

odnaleźć. Kiedy znajdzie słońce i towarzystwo będzie zbyt pijane, by cokolwiek kojarzyć, pomyszkujemy trochę po domu.

Pochyliłem się, żeby przekrzyczeć hałas.

– Napijesz się czegoś?

Kiwnęła głową.

– Tak, chętnie. Tylko mnie nie otruj.

– Och, bez ryzyka nie ma zabawy, kochanie.

W kuchni szybko przejrzałem butelki na blacie, po czym wybrałem kilka. Stojąca obok kobieta gapiła się na mnie znad swojego drinka, a kiedy z roztargnieniem na nią zerknąłem, zachwiała się i posłała mi zbyt szeroki uśmiech. Nietrudno było zauważyć, że jest zupełnie pijana.

– Jezu, Steph, cholernie dobrze dziś wyglądasz! – zainteresował się nią jakiś facet, uszczypnął ją w tyłek, a ona pisnęła. Nie musiałem widzieć jego twarzy, żeby zorientować się, że to Jeremiah – jego zapach go zdradził. Przysunął usta do ucha pijanej dziewczyny, ale odezwał się na tyle głośno, żeby mieć pewność, że wszyscy wokół go usłyszą:

– Urządzam prywatną imprezę w mojej sypialni, może dołączysz?

Dziewczyna uśmiechnęła się i odeszła chwiejnym krokiem, a ja zacząłem potrząsać przyrządzanym drinkiem. Niektórzy ludzie – tacy jak Jeremiah – również uważali się za łowców. Jednak szukali tylko słabych i bezbronnych ofiar. Nie byli łowcami, byli traperami: nęcili, wabili, a wreszcie brali, ile się dało. Wiedzieli, że są niewarci swoich ofiar, ale i tak ich pragnęli.

To było żałosne.

Jeremiah nadal pochylał się nad blatem, przypatrując się, jak efektownie obracam shakerem w dłoni.

– Jesteś barmanem czy coś takiego? Pewnie możesz przebierać w cipkach, co? Wszyscy barmani, których znam, mają niesamowite

wzięcie. – Wlał sok i wódkę do plastikowego kubka. Ciągłe trącał mnie ramieniem, a ja miałem cholerną ochotę, żeby mu wybić bark. Był głośny i pijany; kozaczył, bo alkohol dodał mu pewności siebie. – Ale wiesz, ja też znam kilka sztuczek.

Spojrzałem w jego stronę, ponieważ podniósł rękę tak, jakby chciał mi coś pokazać.

Miał na dłoni małą, białą tabletkę, ale tylko przez chwilę, bo wrzucił ją do shakera i zaczął ją rozgniatać razem z wisienkami do drinków. Mrugnął porozumiewawczo, przelał zawartość shakera do kubeczka i wyszedł z kuchni.

Skurwysyn.

Patrzyłem, jak wchodzi do salonu i podaje drinka drobnej kobiecie z obciętymi na boba włosami i z wielkimi okularami na nosie. Raelynn Lawson.

Przelałem napój do kubeczka, przyglądając się, jak dziewczyna przyjmuje od Jeremiaha drinka, uśmiecha się i upija pierwszy łyk. Kurwa mać, gdzie się podziewał Leon? Co prawda sam mu mówiłem, żeby odpuścił, ale, cholera, ten uparty drań chyba jeszcze nigdy mnie nie posłuchał...!

Rae beztróska piła. Nie miała pojęcia, co się wydarzy, kiedy pigułka zacznie działać, a coś mi mówiło, że Jeremiah nie robi tego, żeby ją zaprosić na swoją „prywatna imprezę”. Jego plan był o wiele bardziej złowieszczy.

Juniper opierała się o ścianę po drugiej stronie pokoju, wpatrując się w tłum. Wręczyłem jej kubek i oznajmiłem:

– Mamy mały problem.

– Widziałam. – Nie spuszczała oka z Rae, która znowu podniosła do ust kubek. Ta dziewczyna nie miała pojęcia, że właśnie wlewa w siebie własną

śmierć. – Dlaczego ona pije cokolwiek, co od niego dostała? Musimy ją powstrzymać.

– Przecież nie wywlecziemy ją stąd siłą – mruknąłem. Jeremiah chwilowo dał jej spokój, ale wiedziałem, że będzie wypatrywał odpowiedniego momentu i śledził każdy jej krok. Nienawidziłem takich żalosnych małych skurwieli jak on.

Wolna wola była nieodłącznym elementem egzystencji, była to jedyna zasada moralna, którą my, demony, uznawaliśmy. Nie mogliśmy pojąć duszy, jeśli człowiek nie zgodził się nam jej oddać. Nie robiliśmy nic ani ze śmiertelnikami, ani z innymi demonami, czego nie chcieliby wszyscy zainteresowani. Narzucanie innym swojej woli było przez nas uważane za godne pożałowania.

Naszym celem na tę noc był Kent, a ja szczerze żałowałem, że nie Jeremiah.

– Musimy ją skłonić, żeby do nas podeszła – stwierdziła Juniper. Dziewczyna tymczasem zaczęła zerkać w naszą stronę, jakby wyczuła, że ją obserwujemy. Nie potrafiła ukryć zainteresowania i gapiała się trochę za długo, a Juniper się do niej uśmiechnęła. – Ja się tym zajmę.

Juniper była obdarzona naturalnym talentem. Widziałem już, jak flirtuje – w ciągu tych lat, kiedy za nią podążałem, nieraz byłem świadkiem, jak szybko potrafi włączyć swój czar, żeby dostać dokładnie to, czego chce. Sam siebie skazywałem na rozkoszne tortury, wślizgując się za nią do klubów i przyglądając się, jak tańczy albo zabiera nieznajomych do toalety na szybki numerek. Nigdy nie byłem typem zazdrośnika, to niezwykle rzadkie wśród demonów. Jestem zaborczy, ale lubię patrzeć.

Niewielka kobietka najwyraźniej była speszona nagłym zainteresowaniem Jupiter. Gdy Juniper szepnęła jej coś do ucha, lekko dotykając jej ramienia, policzki Raelynn się zaróżowiły. Obie spojrzały

w moją stronę, a ja wziąłem do rąk pilota do telewizora, żeby zmienić muzykę.

Wracały, Juniper prowadziła Rae za rękę. Rae z aprobatą zmierzyła mnie wzrokiem, ale to Juniper przykuła jej uwagę. Gdy z głośników zaczął lecieć kawałek, który wybrałem, Juniper wzięła Rae między nas, otoczyła jej szyję ramionami, przysunęła się do niej i w ten sposób tańczyliśmy w trójkę. Trzeba przyznać, że moja kobieta potrafiła się ruszać. Kołysała biodrami, a jej ciało kusząco zbliżało się do Rae, kiedy ta przybliżyła się do mnie.

Juniper szepnęła Rae do ucha, tak cicho, żeby nikt inny tego nie usłyszał, co w panującym hałasie wcale nie było trudne:

– Nie pij tego, kotku.

Jednak Rae ani myślała wziąć sobie do serca jej słowa, ponieważ podniosła kubek do ust i upiła kolejny potężny łyk. Juniper rzuciła mi krótkie spojrzenie. Kiwnąłem głową, a ona chwyciła Rae za rękę i, zręcznie klucząc, poprowadziła ją przez tłum, podczas gdy ja szedłem zaraz za nimi. Za rogiem znaleźliśmy łazienkę; zablokowałem ciałem drzwi, a Juniper popchnęła zupełnie skołowaną Rae do kabiny.

Co... co ty...?

Powiedziałam ci, żebyś tego nie piła – syknęła Juniper, chwytając Rae za kark.

Dziewczyna patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, nic z tego nie rozumiejąc. Juniper zdecydowanym ruchem wyjęła jej z rąk kubek i postawiła go na umywalce.

– Sorry, kotku, ale to dla twojego dobra.

Następnie bezceremonialnie wepchnęła jej palce do gardła, i nawet ja się skrzywiłem, kiedy dziewczyna zaczęła się dławić, a następnie wymiotowała do toalety. Broniła się niezdarnie, ale Juniper bez trudu

przytrzymała ją zgiętą wpół nad toaletą i ponownie wywołała wymioty. Przestała, dopiero gdy Rae nie miała już nic w żołądku. Juniper ją puściła, a dziewczyna powoli osunęła się po ścianie, wodząc między nami przerażonymi oczami.

– Co... co jest z tobą, do cholery, nie tak? – wydusiła z siebie, chwytając się za gardło. Prawdopodobnie będzie obolałe dobrych parę dni, Juniper nie była delikatna. Swoją drogą to było cholernie gorące obserwować, jak moja dziewczyna dusi inną kobietę, aż tamta się dławi. To było zbyt wiele; spod ludzkiego przebrania zaczęła wyzierać moja prawdziwa natura.

Juniper przepłukała kubek w umywalce, po czym napełniła go wodą.

– Jeśli chcesz przeżyć, musisz bardziej myśleć o tym, co robisz, Raelynn – oznajmiła, potrząsając głową. – Nigdy, ale to nigdy nie bierz do ust niczego, co dostaniesz od Jeremiaha Hadleigha.

Rae powoli piła wodę, którą podała jej Juniper, jednocześnie ostrożnie się nam przyglądając, jakby obawiała się, że ją zniemacka zaatakujemy. Trzeba z tym skończyć. Jeśli Hadleighowie zauważą, że kręcimy się wokół ich następnej ofiary, zaczną coś podejrzewać i nasz cały plan runie.

Rae wbijała we mnie wzrok i nagle doznała olśnienia.

– Zane – powiedziała cicho.

– Długo ci zajęło, żeby mnie rozpoznać – powiedziałem, robiąc obrażoną minę. – Kurwa mać, Leon nie kłamał, kiedy mówił, że zachować się przy życiu to prawdziwe wyzwanie. Wciągałaś pigułki gwałtu, jakby życie nie było ci miłe.

– Pigułki gwałtu? – Głos jej się łamał, musiała się przestraszyć. – Co...

– Dosypał ci narkotyków do drinka, kotku – westchnęła Juniper. – Nie będę owijać w bawełnę, Hadleighowie nie zamierzali cię wypuścić z tej imprezy żywej. Posłuchaj, mam tu coś do załatwienia, więc pij tę wodę

i zacznij trzeźwo myśleć, bo musisz wziąć się w garść i jak najszybciej stąd spadać.

Oszołomiona Rae pospiesznie dopiła wodę, a ja nagle wyczułem znajomy zapach. Leon wreszcie zdecydował się pojawić. Gdyby nie my, dziewczyna już by była nieprzytomna. Jednak Leon był stworzony do zabijania; ciężko by mu było utrzymać przy życiu nawet kamienne zwierzątko, a co dopiero kobietę, która najwyraźniej robiła, co mogła, żeby narazić się na niebezpieczeństwo.

Był coraz bliżej, nadchodził naprawdę szybko. Szukał jej. Najlepiej będzie ich nie rozdzielać.

Rae też coś musiała wyczuć, bo nagle podniosła na mnie wzrok i zapytała:

– Czy Leon tu jest?

– Gdzieś tu krąży – odparłem wymijająco, trącając Juniper łokciem. – Ale nie pilnuje cię wystarczająco dobrze, to na pewno. – Pochyliłem się w stronę Juniper i szepnąłem: – Musimy się zbierać. Leon tu jest. Szuka jej.

Nagle ogarnięta wściekłością, spojrzała mi w oczy twardym wzrokiem. Naprawdę miałem nadzieję, że uda mi się nie dopuścić do jej spotkania z Leonem, ale wszystko wskazywało na to, że mi nie wyszło. Leon stał pod drzwiami.

Och, czeka nas niezła jazda...!

Juniper pochyliła się i chwyciła Rae za przedramię, stawiając ją na nogi.

– Posłuchaj, wezwiemy ci Ubera i wracasz do cholernego domu. A najlepiej wyjeżdżaj z tego pieprzonego miasteczka. Nie mam zamiaru patrzeć, jak cały plan kończy się fiaskiem, bo kolejna ofiara Hadleighów zamierza po prostu grzecznie położyć się na ołtarzu.

Juniper nie wiedziała, że Leon jest w pobliżu. Być może powinienem był ją ostrzec. Skinęła głową w moją stronę, a ja otworzyłem drzwi – tylko

po to, żeby zobaczyć, jak jej pokryta farbą twarz wykrzywia się z wściekłości.

Juniper

Natychmiast go poznałam. Na twarzy miał czarną kominiarkę, ale to nic nie zmieniało. Ja nie zapomniałam. Nie potrafiłam zapomnieć.

Leon. Potwór z głębi lasu. To on mnie ścigał w mroku. Miałam przed sobą żywy koszmar z moich snów.

Raelynn podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do jego piersi. Nie znałam jej, ale czułam się, jakbym przyglądała się dziecku, które zbyt blisko podchodzi do ognia – instynkt podpowiadał mi, żebym ich natychmiast rozdzieliła. Chciałam ją szarpnąć, chciałam na nią wrzasnąć, że to niebezpieczne. W końcu kto by chciał się zbliżyć do takiego potwora?

Jednak Zane również był potworem. Dowiedziałam się o tym już pierwszej nocy, kiedy go poznałam, potem za pierwszym razem, kiedy się z nim pieprzyłam, a także kiedy pozwoliłam mu się pociąć. Mimo starań nie mogłam wyrzucić z pamięci słów Zane'a o Leonie: „więziony od prawie stu lat”... „nie miał wyboru”.

– Zaczęłam już podejrzewać, że o mnie zapomniałaś, laleczko – powiedział Leon, obejmując ją ramieniem i opiekuńczym gestem przygarniając do siebie. – Uroczo wyglądałaś, ocierając się o tych dwoje, ale chyba muszę ci przypomnieć, do kogo należysz. – Posłał Zane'owi ciężkie spojrzenie, a ja nie byłam pewna, czy to wściekłość, czy przepaszające podziękowanie. Tak czy siak, Zane zachichotał i potrząsnął głową.

– Może nie byłoby to konieczne, gdybyś trochę bardziej na nią uważał – warknęłam. Zane twierdził, że Leon miał obsesję na punkcie tej

dziewczyny, że dla niej sprzeciwił się swemu panu – a jednak pozwolił jej beztrąsko wkroczyć prosto w gniazdo żmij.

Leon skupił się teraz na mnie. Miał oczy tego samego koloru, co Zane, ale w jakiś sposób inne, trudno ująć to w słowa. Był w nich jakiś chłód, podejrzliwość, śmiertelna nienawiść.

– Juniper Kynes... ale wyrosłaś!

Nie spodziewałam się, że stanę przed nim bez broni. Z drugiej strony przez myśl by mi nie przyszło, że będzie we mnie wzbudzał inne uczucia niż nienawiść i strach. Jednak potwór, który ścigał mnie przez las, miał teraz imię, poznałam jego historię. Był w nim ból, był w nim strach, było w nim... to, przez co tulił teraz do siebie w ten sposób Raelynn.

Wspomnienia jednak nie dawały o sobie zapomnieć, nieproszone wtargnęły do mojego umysłu. Las. Piekący ból w płucach przy każdym oddechu. Obolałe stopy, poranione od biegania w ciemności. I te oczy – wypatrujące mnie, czujne, bezwzględne.

– Już nie jestem przestraszona małą dziewczynką – uświadomiłam mu.
– Jestem o wiele lepiej uzbrojona niż w wieku piętnastu lat.

Leon ostrożnie zmierzył wzrokiem korytarz, lekko mrużąc oczy. Zane przysunął się trochę bliżej, jego dotyk odrobinę podniósł mnie na duchu. Leon spojrział na mnie, uśmiechając się ironicznie.

– Cieszę się, że mnie pamiętasz. Podsycaj ten gniew. To dzięki niemu jesteś silna.

Zrobiło mi się czarno przed oczami. Ogarnęły mnie jednocześnie wściekłość i panika, zadziałałam instynktownie. Błyskawicznie chwyciłam schowany pod kurtką nóż i przycisnęłam do niewyparzonej gęby Leona, drugą ręką łapiąc go za fraki. Zane coś mamrotał, ale w tym momencie miałam głęboko w dupie, co ma do powiedzenia.

Miałam ochotę użyć tego noża, żeby pociąć nim twarz Leona. Chciałam wyłupać te paskudne rozżarzone oczy. Rae wbiła we mnie wściekłe spojrzenie, jakby zaraz miała mnie walnąć, ale ją też z chęcią załatwię.

Ale prawie natychmiast zrozumiałam, że nie mam racji. To nie oni są moimi wrogami. Nawet Leon, choć tak bardzo go nienawidzę.

– Masz szczęście, że Zane ma do ciebie słabość – syknęłam, zaciskając palce na jego kurtce i przyciskając ostrze do jego ust – bo byłeś pierwszy na mojej liście.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, żeby odpuścić. Jednak była też we inna część, przerażona i mroczna, i to przez nią serce mi waliło, płuca się skurczyły, a żołądek boleśnie ścisnął.

Leon stał sobie spokojnie, jakbym właśnie zaprosiła go na drinka, kurewsko wyluzowany, z wkurzającym błyskiem w oku.

– Spokojnie, dziewczyno – powiedział przeciągle. – Wygląda na to, że ominął mnie kawał niezłej zabawy.

Rozchylił usta i przesunął rozdwojonym językiem po ostrzu, aż krew pociekła mu na wargi i poplamiała zęby. Cofnął się, uśmiechając się szeroko, z nadal wtuloną w siebie Rae.

– Miłej imprezy! – Mrugnął okiem, odwrócił się i odszedł z Rae w stronę spokojnej części domu. Patrzyłam, jak odchodzą, i cała drżałam, bo schodziła ze mnie adrenalina.

Zane objął mnie ręką w pasie. Bez słowa poprowadził mnie w stronę wyjścia, a ja się nie opierałam. Rozsunął szklane drzwi i wyszliśmy do ogrodu pod domem. Wysypane żwirkiem ścieżki wiły się między schludnie przyciętymi żywopłotami, krzewami róż, łukami ozdobionymi kwitnącą winoroślą, wiodąc do rosnącej w środku ogrodu rozłożystej czereśni.

Byliśmy sami. Dźwięki imprezy docierały tu stłumione, za to słychać było szemranie znajdującej się w pobliżu fontanny i szum wiatru

przemykającego się między sosnami.

– Nienawidzę, kiedy sprawy wymykają mi się spod kontroli – mruknęłam. – Po prostu tego nienawidzę! Kiedy tak się dzieje, wszystko traci sens. Tak jakby nagle zapadła ciemność i odezwał się dźwięk alarmu...

Znieruchomiałam; w piersi uwiązł mi zimny, ciężki oddech. Między żywopłotami, za plecami Zane'a przyczaiło się to ohydne, czerwone jak krew stworzenie z szeroko otwartymi oczami.

Przełknęłam ślinę. Wpatrywało się prosto we mnie, bębniąc długimi palcami po kościstych kolanach, przykurczone w cieniu. Ciało stworzenia było czerwone, ponieważ nie miało skóry, tylko czerwono-różową sieć splątanych żył.

Poczułam zbliżający się atak paniki. W głowie mi szumiało, mięśnie napięły się do granicy bólu. Nie mogłam pozwolić, żeby to się stało teraz. Nie tutaj. Jednak nie byłam w stanie odwrócić wzroku, a im dłużej patrzyłam, tym bardziej ogarniała mnie ciemność, jak gwałtownie zwężający się tunel.

– Czatownik – wyszeptałam. Widziałam tylko te pozbawione powiek oczy. Czułam tylko zimne, obezwładniające przerażenie. – Jest tutaj. On... on...

Nagle poczułam wokół siebie ramiona Zane'a.

Zrobiło mi się ciepło, kiedy przygarnął mnie do piersi. Każdy oddech pozwalał mi się cieszyć jego zapachem. Oparł podbródek na czubku mojej głowy, jeszcze mocniej mnie przytulając. Skrzyżowałam ramiona na piersi, bo serce waliło mi tak mocno, jakby chciało się wyrwać na wolność. Czatownik nadal tam był, cierpliwie czekał, ale kiedy nie wbijał bez mnie spojrzenia, szum w mojej głowie trochę się zmniejszył.

– Chce twojej uwagi – cicho przypomniał Zane. – Nie dawaj mu tego, czego pragnie.

Nie śmiałam zamknąć oczu, bo bałam się, że kiedy je otworzę, będę w zupełnie innym miejscu, uwięziona w koszmarze sennym. Jednak cisza przedłużała się, a Zane nadal trzymał mnie w ramionach, więc udało mi się wziąć długi, głęboki oddech.

– Jestem w rozsypce – powiedziałam cicho. – Jestem popieprzona. I mam wrażenie, że jest coraz gorzej.

Kiedy przemówił, jego głos wydobywał się z głębi klatki piersiowej.

– Przez wiele lat podążałem za tobą krok w krok, Juniper. Widziałem, jak rozpadasz się na kawałki. Widziałem, jak ostre są ich krawędzie. Byłaś jak rozbite szkło. – Przesunął rękę w górę, objął mnie nią za szyję, a kciukiem podniósł mój podbródek. – Widziałaś kiedyś, jak rozbite szkło odbija promienie słońca? Widziałaś, jak mieni się kolorami, których nie znajdziesz w nieskazitelnej tafli szkła? Lśni wtedy jak słońce.

Milczałam, ale po policzkach popłynęły mi łzy, zanim zdołałam je powstrzymać. Jeśli tak dalej pójdzie, całkiem zniszczę makijaż. Nienawidziałam płakać przy kimś, zawsze tak miałam. Jednak w tym momencie czułam ulgę.

– Nie wydaje mi się, żeby trzeba było cię naprawiać, Juniper. Myślę, że musisz wreszcie złapać trochę światła.

Opuściłam głowę, znowu wtulając twarz w jego pierś, żeby mnie nie widział. Zaczęłam się obwiniać, w głowie rozbrzmiewało mi echem: „Przestań się mazać, jesteś słaba, jesteś żałosna, ogarnij się!”. Ale jego ramiona, nadal nieruchome, powstrzymywały te dołujące myśli jak mur, którego już nie musiałam wokół siebie budować. Jego słowa wypędzały z mojej głowy kotłujące się tam kłamstwa.

Ten demon dostał już ode mnie wszystko, czego powinien był chcieć. Nie miał powodu, żeby coś takiego mówić, chyba że naprawdę tak uważał. Jak dobrze, że mój umysł nie mógł tego przeinaczyć. A skoro tak było, musiałam to zaakceptować.

Musiałam w to uwierzyć.

– Ja... chciałam cię przeprosić. – Zdobyłam się tylko na szept, ale dobrze, że te słowa w ogóle przeszły mi przez gardło.

– Za co?

– Jest twoim przyjacielem – wyjaśniłam. – Rozumiem to. Wiem... – Ciężko westchnęłam. Nienawidziłam słów. Nienawidziłam męczyć się z przekładaniem kłębiących mi się w głowie myśli na zwykły język. Nienawidziłam podejmować kolejnych prób, żeby mnie zrozumiano, i dlatego już wiele lat temu dałam sobie z tym spokój.

Jednak Zane w jakiś sposób zdołał to zmienić. Przy nim zapragnęłam ponownie spróbować, choć nie było łatwo.

Zane uśmiechnął się lekko.

– Nie przepraszaj. On się ciebie nie bał, a ja wiedziałem, że nic mu nie będzie. Martwiłem się tylko, że mała Raelynn naskoczy na ciebie, a wtedy mielibyśmy niezły bajzel. Jak chihuahua walczący z dobermanem.

Parsknęłam śmiechem.

– Cholera, marnie by się to skończyło... Mała nie miałaby żadnych szans.

– To na pewno. Ale przecież wiesz, że Leon nie pozwoliłby ci skrzywdzić swojej zabaweczki.

Potrząsnęłam głową.

– Prawdopodobnie nie. Ale jego też bym pokonała.

Nie wiedziałam, ile minut minęło. Przestałam je liczyć, uciszyłam niestrudzenie tykające zegary w mojej głowie. Tak naprawdę nie chodziło o Leona. Nie chodziło nawet o Czatownika, który usunął się tymczasem z pola widzenia. Chodziło o brak kontroli. O lęk związany z odpuszczeniem lęku. To właśnie strach zawsze popychał mnie do przodu, nienawiść była moją motywacją. Gdybym jedno i drugie odpuściła, chociaż troszeczkę, to jakbym pozbawiała się schronienia.

Tyle że moje schronienie właśnie waliło mi się na głowę, było zarówno zagrożeniem, jak ochroną. Może nic mi się nie stanie, jeśli pozbędę się tego schronienia. Przecież czeka na mnie inne, lepsze i bezpieczniejsze. Takie, w którym wreszcie złapię trochę światła.

Dziwne, że piekielne światło może być tak jasne.

Chociaż miałam u boku swoje światło, nadal czałam się w mroku, w oczekiwaniu na coś jeszcze mroczniejszego. Impreza się przeciągała. Nie wróciliśmy do środka, ale czekaliśmy w ogrodzie, a kiedy zbyt wielu ludzi zaczęło wychodzić na zewnątrz, wycofaliśmy się między drzewa. Obserwowaliśmy dom z daleka, wpatrując się w ogromne okna.

– Może go tu nie ma. – Zane nabrał wątpliwości, ale ja potrząsnęłam głową. Obserwowanie imprezy z zewnątrz było jak przyglądanie się mechanizmowi przedziwnego zegara, w którym wszystkie postaci poruszają się bez celu, a mocny bit zastąpił dźwięk wybijania godziny. Alkohol, taniec, śmiech. Idealne uśmiechy i pozory stopniowo opadały.

– Jeśli zamierzali dziś w nocy porwać Rae, Kent na pewno tu jest – powiedziałam. – Musi tu gdzieś być.

Jednak czas mijał, a ja przestałam być już tak pewna.

Minęła północ, było coraz chłodniej. Tłum w środku wyraźnie się przerzedził, za to imprezowicze, który wytrwali aż do teraz, byli nawaleni

do nieprzytomności. Słyszałam, że pod domem ktoś wymiotuje, i poprawiłam leżącą mi na kolanie broń. Zerknęłam na Zane'a, ale on nie obserwował już domu.

Wpatrywał się za nas, między drzewa.

– Co jest? – Podążyłam za jego wzrokiem, próbując wypatrzeć coś w ciemności.

– Prawdopodobnie nic takiego – wyjaśnił, ale oczy nadal miał zmrużone. – Wydawało mi się, że czuję... – Potrząsnął głową. – Nieważne. Nic tam nie ma.

Już miałam domagać się, żeby mi powiedział, co, do cholery, wydawało mu się, że widział, ale moją uwagę przykuł nagły ruch w pobliżu domu. Uniosłam broń, przyglądając się dwóm postaciom wspinającym się na balustradę wokół tarasu. Duża postać najpierw ostrożnie opuściła małą, a potem zeskoczyła za nią, chwyciła ją za rękę i razem pobiegły w stronę drzew.

– Leon – stwierdził stojący za mną Zane.

– I Rae – wyszeptałam. – Przed czym uciekają?

Mijały kolejne minuty, a ja obserwowałam taras. Nagle drzwi otworzyły się ponownie i znajoma postać przeszła przez taras. Mężczyzna podszedł do balustrady i wbił spojrzenie w mrok.

Był to ubrany w szary garnitur Kent Hadleigh. Powoli ćmił cygaro, wodząc oczami po lesie. Drugą rękę opuścił, ale ścisnął w niej pistolet. Wzrok mi się wyostrzył, wszystko inne się rozmyło. Był tak blisko. Mogłam go zastrzelić.

Zane stuknął mnie w ramię, dokładnie w chwili, kiedy zamierzałam unieść broń.

– Wstrzymaj się. Nie teraz.

Kent powoli zszedł po schodach z tarasu, zostawiając za sobą wiszący w powietrzu dym. Poczułam jego zapach, intensywna woń tytoniu i wanilia, kiedy mijał miejsce, w którym się ukryliśmy. Zatrzymał się dokładnie na linii drzew i cmoknął językiem, jakby dając wyraz rozczarowaniu.

Każdy centymetr mojego ciała był napięty do granic możliwości, mrowiło mnie całe ciało. Ogarnęło mnie takie podekscytowanie, że nie mogłam usiedzieć w miejscu, czułam się jak na haju. Udało się. Był tutaj, dokładnie tak, jak powiedziała Everly. Zaledwie kilka metrów od nas.

Dzisiejszej nocy Kent Hadleigh zginie.

Zane zerknął w moją stronę, w jego pomalowanej twarzy błysnęły ostre zęby.

– Teraz...?

Kiwnęłam głową.

– Odwróć jego uwagę. A ja go zdejmę.

Zane'owi nie trzeba było powtarzać, błyskawicznie zniknął w ciemności. Ja nadal się czaiłam, czekając, aż odwróci uwagę Kenta. Z miejsca, w którym się kuliłam, widziałam jego twarz, choć tonęła w mroku. Wyglądał starzej, robił wrażenie zmęczonego. Włosy miał całkiem siwe, a nie przetykane siwizną jak... wtedy. Rozumiałam, dlaczego ludzie mu ufają – dlaczego ja mu zaufałam. Był szczodry, a kiedy chciał, jego głos brzmiał łagodnie. Spoglądał na swoje dzieci z miłością i mówił dokładnie to, co trzeba.

Tyle że to wszystko było kłamstwem.

Był człowiekiem gotowym na wszystko, byle zdobyć to, czego chciał. W jego oczach okrucieństwo i cierpienie były drogą do chwały. Patrzył na swoje dzieci, wiedząc, że jedno z nich trzeba będzie poświęcić.

A ja patrzyłam na niego i widziałam trupa.

Odwrócił się ze złośliwym uśmieszkiem i pogwizdując, ruszył w stronę domu. Jednak nie uszedł więcej niż kilka kroków, kiedy dostrzegł Zane'a. Zatrzymał się, a ja zauważyłam, że przez jego twarz przemknęło zdziwienie, zanim przybrała swój zwykły, chłodny i wyrachowany wyraz. Podniósł do ust cygaro i niespiesznie pociągnął, jednak nie umknęło mojej uwagi, że ręka mu drżała.

– Dobry wieczór, panie Hadleigh – powiedział Zane, zniżając głos do barytonu, na którego dźwięk zawsze przechodził mnie dreszcz. – Piękna noc, czyż nie?

Kent wyjął cygaro z ust i strzepnął popiół na trawę.

– Kim jesteś? – W jego głosie nie było nawet cienia lęku. Boże, tak chciałam, żeby drżał...! Chciałam, żeby poczuł ścisk żołądka. Żeby poczuł dokładnie to, co ja wtedy czułam.

Poczuj. Wkrótce to poczuj.

– Znajomym znajomego – odparł Zane, nie przestając się uśmiechać. Nie próbował ukryć, kim naprawdę jest: jego złote oczy i ostre zęby robiły nawet bardziej przerażające wrażenie na wymalowanej twarzy. – Ma pan czas na pogawędkę, panie Hadleigh? Jest tu ktoś, kto chętnie się z panem ponownie spotka.

Kent zmrużył oczy, gwałtownie odwracając głowę w stronę drzew. Nie mógł mnie widzieć, bo byłam ukryta w mroku, jednak jego wzrok przesunął się po miejscu, w którym byłam, a mnie przeszedł zimny dreszcz. Musiałam być cierpliwa. Był zbyt blisko domu.

– Nie możesz mnie tknąć, demonie – powiedział. – A ja nic do ciebie nie mam.

– Nie muszę cię dotykać – wyjaśnił Zane – ponieważ teraz odwrócisz się i z własnej woli ruszysz z powrotem w kierunku drzew.

– A jeśli nie? – zapytał ostro Kent. Mogłabym pomyśleć, że jest po prostu zirytowany, gdybym wcześniej nie zauważyła, że ręka mu drży.

Zane przechylił głowę.

– Naprawdę chcesz się przekonać?

Odbezpieczyłam broń, a Kent drgnął. Znał ten dźwięk, nie sposób go było pomylić z żadnym innym.

– Jaki uroczy talizman nosi pan na szyi, panie Hadleigh! – zauważył Zane. – Proszę mi powiedzieć, czy pańskie dzieci też takie mają? A żona? Jak szybko jest pan w stanie wrócić do domu? – Zane przysunął się o krok, a Kent zrobił krok do tyłu.

– Jesteś przyjacielem Leona, tak? – dopytywał, cofając się chwiejnym krokiem w stronę lasu. – Przyszedłeś, żeby wziąć odwet za tę zmiję?

Zane uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Owszem, chodzi mi między innymi o to. Narobiłeś sobie sporo wrogów, Kent. – Zrobił kolejny krok w jego kierunku, a Kent się znowu cofnął. Był już prawie pod drzewami. – Zadawałeś ból, którego nie sposób zapomnieć. Posłuchaj teraz uważnie. Uwielbiam chaos i destrukcję. – Kolejny krok. Kent był już pod drzewami. Zaczęłam się przekradać w jego stronę. – Uwielbiam od czasu do czasu porządnie namieszać. Jednak między tobą a mną jest ogromna różnica, Kent.

– Jesteś demonem – warknął Kent. – Twoim przeznaczeniem jest nagać się do woli swojego pana...

– Różnica jest ogromna, Hadleigh. – Twarz Zane'a nagle stała się przeraźliwie chuda i to nie była kwestia makijażu ani przyćmionego światła. Wyglądał na naprawdę udręczonego. – Ty krzywdzisz słabych i bezbronnych. Ścigasz dzieci. Polujesz na tych, którzy ci ufają. Zmieniłeś własne potomstwo w nikczemne, małe potwory. Zabierasz wolność.

Zmuszasz innych, żeby naginali się do twojej woli za pomocą bólu i przemocy.

Znajdowałam się teraz tuż za Kentem. Uniosłam broń. Ale on był za bardzo skupiony na Kencie, żeby to zauważyć.

– Jesteś tchórzem, Kencie Hadleighu. – Zane wydał z siebie groźny pomruk. – I dzisiejszej nocy zginiesz śmiercią tchórza.

Opuściłam broń, po czym walnęłam go kolbą w potylicę. Kent jęknął, kolana się pod nim ugięły i przewrócił się na trawę. Pospiesznie go odwróciłam, po omacku sięgnęłam w stronę jego szyi i wymacałam metalowy amulet na łańcuszku. Miał kształt miecza skrzyżowanego z różdżką, a jego powierzchnia była poplamiona jak pokryte nalotem srebro.

– Och, to plugawa rzecz – mruknął Zane, kiedy zerwałam amulet z szyi Kenta.

Z ciekawością przyjrzałam się przedmiotowi. Nie wyglądał jakoś wyjątkowo, tyle że był stary. Jednak kiedy go dotknęłam, okazał się zdumiewająco zimny.

– I to naprawdę ochroniłoby go przed tobą...?

– Jest o wiele potężniejszy, niż się wydaje – wyjaśnił Zane, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Im bliżej demona się znajduje, tym więcej siły mu zabiera.

– W takim razie będę go trzymać z daleka od ciebie. – Szybko wykopałam dołek w ziemi, wrzuciłam do niego amulet i zakopałam. Musiałam zapamiętać to miejsce, żeby później po niego wrócić, ale zamierzałam trzymać amulet z dala od Zane'a.

Demon z ciekawością trącił Kenta nogą, po czym zmarszczył brwi.

– Nie uderzyłaś wystarczająco silnie. On nadal żyje.

– Właśnie o to mi chodziło. – Wstałam, napędzana buzującą we mnie adrenaliną. Opętała mnie żądza, której nie potrafiłam wyjaśnić, niepodobne do niczego pragnienie.

– Przeniesiemy go. Między drzewami jest szopa na narzędzia. Tam się nim zajmiemy.

Juniper

Kent poruszył się ostrożnie i jęknął. Uderzyłam go w głowę na tyle mocno, że przecięłam skórę, więc pasemka jego siwych włosów posklejały się od krwi. W starej szopie nie było wiele – jedyne źródło światła stanowiła goła żarówka na suficie. Na ścianach wisiało kilka zardzewiałych narzędzi ogrodowych, była też stara półka wypełniona doniczkami i torbami z nawozem. Szopa znajdowała się w znacznej odległości od domu, a jeśli dodać do tego dobiegającą z tamtej strony głośną muzykę, można było mieć pewność, że nikt nie usłyszy krzyku.

Nikt nie usłyszy, jeśli ktoś będzie tutaj wrzeszczał.

Kent zaczął się wiercić, jednak znieruchomiał, kiedy dotarło do niego, że ma związane ręce. Otworzył oczy i gwałtownie zamrugał, a ja zastanawiałam się, co do niego najpierw dotarło. Czy rozpoznał kamienną podłogę, czy rozpoznał te ściany na tyle, żeby zorientować się, gdzie jest? A może nigdy wcześniej nawet nie zajrzał do tej szopy, może to by było poniżej jego godności? Co pomyślał, kiedy jego wzrok padł na moje buty? Co poczuł, kiedy powoli podniósł głowę i spojrzał mi w oczy – kobiety w czarnym garniturze z twarzą kościotrupa, mierzącej go z wysoka wzrokiem?

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, zmarszczki wokół jego oczu i na czole się pogłębiły.

– Kim jesteś?

Zane chodził w tę i z powrotem za moimi plecami jak rozwścieczony pies, gotowy w każdej chwili ugryźć. Zarażaliśmy się nawzajem żądzą

krwi. Im bardziej byłam podekscytowana, tym szybciej Zane chodził, na zmianę ściskając i rozluźniając pięści.

– Wiesz, kim jestem, Kent. – Wróciłam myślami do przeszłości. Tym razem zrobiłam to celowo, z własnej woli. Postarałam się, żeby mój głos brzmiał bardziej dziecinnie, i powiedziałam: – Proszę, niech pan tego nie robi! Prastary Bóg nie jest prawdziwy. To tylko legenda.

Nagle mnie rozpoznał.

– Juniper Kynes. Dobry Boże...

– Minęło sporo czasu. – Przykucnęłam i z przedramionami opartymi na udach spojrzałam mu prosto w twarz. Z bliska wyglądał jeszcze starzej. Potrafił to ukryć, ale powoli tracił siły. Potwór z moich koszmarów sennych; człowiek, który pochylał się nade mną z sadystyczną radością – był teraz tylko związanym staruszkiem, leżącym u moich stóp.

Ogarnęła mnie euforia – nie wyobrażałam sobie wspanialszego uczucia!

– Tęskniłeś za mną? – zapytałam. – Szukałeś mnie. Tak bardzo się starałeś, żeby mnie dorwać. – Nachyliłam się nad nim, a jego oczy rozszerzyły się ze strachu. – A jednak stałam się twoją największą porażką, Kent.

Błyskawicznie wyciągnęłam rękę, palce miałam zaciśnięte na nożu. Zraniłam go w poprzek twarzy, a do niego w pierwszej chwili jakby nie dotarło, co się właśnie stało. Gwałtownie zamrugał, spoglądając na mnie z zaskoczeniem, a wtedy rana biegnąca przez jego policzek i usta zaczęła krwawić.

– Boże... – wyszeptał drżącym głosem. – Dobry, litościwy Boże...

– Do jakiego dokładnie Boga się zwracasz, Kent? – syknęłam. – Bo z pewnością nie do Istoty z głębin. Uważasz, że potwór w kopalni jest litościwy? Myślisz, że Mu zależy? Słyszałam go, Kent. Słyszę go od wielu, kurwa, lat, bo Jego głos jest w mojej głowie. Widuję go w koszmarach

sennych. Twój prastary Bóg pragnie bólu i cierpienia. On się w nich pławi. Ale ty dobrze o tym wiesz. Wiesz, czego On pragnie. I dlatego mi to zrobiłeś. – Zdjęłam marynarkę i z taką siłą szarpnęłam za koszulę, że guziki odpadły. W przyćmionym świetle głębokie, poszarpane blizny na mojej klatce piersiowej wyglądały jeszcze gorzej. Zgromadziły się w nich cienie i ani tatuaże, ani znak Zane’a nie były w stanie ich ukryć. – Pamiętasz, Kent? Krzyczałam. Błagałam cię. Byłam tylko dzieckiem.

– Musiałem to zrobić – jęknął, a Zane warknął gniewnie za moimi plecami. – Musiałem, Juniper. Nie rozumiesz. Nie wiesz, jak to jest służyć Istocie z głębin. My... my tylko... my robimy tylko to, co nam rozkaże...

Zraniłam go jeszcze raz, tym razem poczuł ból i zaczął krzyczeć. Krew pociekła z rany na drugim policzku. Zadrżał, z trudem łapiąc oddech i próbując pluć krwią, która dostała mu się do ust.

– Powinieneś się czuć zaszczycony – zauważyłam. – Będiesz męczennikiem. Umrzesz dla swojego Boga.

Zaczął gorączkowo potrząsać głową, ciężko sapiąc.

– Nie... nie, nie, nie, Juniper, ty nic nie rozumiesz! Nie rozumiesz. Robię tylko to, co muszę. Tylko... tylko to, co mi kazał zrobić. Two... twoje cierpienie miało być piękne...

Oczy mi się rozszerzyły.

– Och, teraz rozumiem. Cierpienie jest piękne. – Powoli pokiwałam głową, odsuwając się od niego. – Zane, czy cierpienie jest piękne?

Zerknęłam na niego przez ramię. Nie spuszczał oczu z Kenta, złote tęczęwki okolone były czernią. Jego oczy wydawały się z każdym dniem ciemniejsze.

– O tak – odparł. – Cierpienie jest piękne, wręcz wykwintne. Cierpienie to niezwykle wysmakowany ból. – Szybko przeniósł na mnie wzrok. Niewielka szopa wydawała się zbyt mała, żeby pomieścić całą jego energię,

jakby miała zaraz wybuchnąć, roznosząc wszystko na strzępy. – Mam zademonstrować?

– Tak, poproszę.

Mój demon wziął się do roboty i faktycznie, to było piękne. Wrzaski, odgłos łamanych kości, rozdierane ciało. Niewiele się to różniło od oprawiania jelenia. Jednak nawet w tej chwili, nawet w natłoku myśli, poczułam się przestraszona, jak obojętna jestem wobec tego, co właśnie rozgrywało się przed moimi oczami. Nie uważałam, że przyglądam się zwijającemu się z bólu człowiekowi.

Dla mnie był to po prostu jeden z potworów z moich koszmarów, krzyczący w obliczu własnej klęski.

W powietrzu zawisł ciężki zapach żelaza. Krew obryzgała kamienne ściany, a wrzask osiągnął taki poziom, że przestał przypominać odgłos wydawany przez człowieka. Był to krzyk zwierzęcia, godny pożałowania w swojej pierwotności, żałośnie rozpaczliwy, przesiąknięty cierpieniem.

Piękny.

– Wystarczy.

Zane natychmiast przestał, jednak nie wypuszczał z rąk nogi Kenta. Mężczyzna łkał; miał wybity bark, a drugą nogę złamaną w kostce, aż kość przebiła skórę.

– No nie bądź taka... – powiedział Zane, oglądając się w moją stronę wygłodzonymi oczami. – Pozwól mi złamać chociaż kość udową...!

Westchnęłam.

– Jak mogłabym odmówić tej pięknej buźce? Działaj.

Kent próbował krzyczeć, ale dźwięk łamania kolejnej kości odebrał mu głos. Dławił się, odgłosy wydobywające się z jego gardła przypominały zdławione jęki, aż wreszcie wymiotował na siebie.

– A fuj... Opamiętaj się, Kent – powiedziałam, a Zane się wyprostował, zlizując kropelki krwi ze swoich ust. – Przynajmniej spróbuj zachować odrobinę godności.

– Proszę... – Głos mężczyzny drżał, przypominał skamlenie. – Proszę, po prostu mnie... po prostu mnie zabij... zabij mnie...

– Cierpienie jest piękne, Kent! – Chwyciłam go za szczękę i zmusiłam, żeby zwrócił w moją stronę swoją zaczerwienioną, zakrwawioną, umazaną łzami i wymiotami twarz. Roześmiałam się. – Nie rozumiesz tego, Kent? Nie rozumiesz? Podaruj cierpienie swojemu Bogu!

Tak długo na to czekałam. Cholernie długo. Całe ciało mnie mrowiło, poza tym kręciło mi się w głowie. Każda długa, bezsenna noc, którą spędziłam, drżąc z zimna i bojąc się choć na moment zamknąć oczy, ponieważ wiedziałam, że wtedy otoczą mnie potwory – prowadziła mnie do tej chwili. Każdy dzień, który spędziłam, idąc przed siebie, aż moje stopy krwawiły, bez jedzenia i bez dachu nad głową – prowadził mnie do tej chwili. Każde bolesne wspomnienie, każda chwila, kiedy kuliłam się, drżąc na całym ciele, każdy moment, kiedy patrzyłam w lustro i szlochałam, ponieważ tak mnie oszpecił swoim nożem – prowadziły mnie do tej chwili.

Z całej siły nadepnęłam na pokiereszowaną nogę Kenta, a kiedy wrzasnął z bólu, Zane parsknął śmiechem. Kent Hadleigh porwał dziewczynkę i zrobił z niej potwora. Teraz nie miałam już wątpliwości – jestem potworem, tak samo jak Zane i Leon. Składałam się z nierównych krawędzi i rozbitych kawałków złożonych razem w coś ostrego i brzydkiego.

Zane podniósł do ust moją rękę i złożył pocałunek na nadgarstku. Pocałował wnętrze mojej dłoni, brudząc sobie krwią wargi, a potem przesunął językiem po mojej skórze, a sztangi w jego języku delikatnie mnie łaskotały.

– Jak dobrze widzieć twój uśmiech – powiedział, podnosząc na mnie wzrok i oblizując usta. – Jest cholernie seksowny.

Przysunęłam się do niego. Wszystkie zmysły miałam wyostrzone, każda komórka nerwowa w moim ciele płonęła. Byłam spragniona – spragniona jego, gorąca i twardości jego ciała, kiedy pieściłam jego pierś i obejmowałam go za szyję. Przesunęłam palcami po jego ustach, po srebrnych kółeczkach piercingu, a on chwycił mój palec i ssał, jego język poruszał się wokół niego tak delikatnie, że aż jęknęłam.

– Jesteś twardy – powiedziałam z szerokim uśmiechem, kiedy wypuścił mojego palca z ust. Kent jęczał cicho na podłodze, zmuszony do oglądania tego wszystkiego. Musiał patrzeć, jak się uśmiecham, dobrze czuję, a przede wszystkim – żyję.

Miałam nadzieję, że to jest dla niego nawet gorsze niż fizyczna śmierć.

W słabym świetle zwisającej z sufitu żarówki Zane wyglądał naprawdę jak potwór ze swoją pomalowaną twarzą obryzganą krwią i czerwonymi plamami na zębach.

– Jak mógłbym nie być twardy, przyglądając ci się teraz? Cholernie ci do twarzy we krwi.

Przesunął pazurami po moim policzku aż do gardła, za które mnie złapał, zanim mnie pocałował. Smak krwi wymieszał się w naszych ustach, nasze języki splątały się ze sobą. Pragnęłam go wziąć właśnie tutaj, na oczach Kenta. Chciałam, żeby ten podły starzec umarł ze świadomością, że na wszystkich frontach poniósł sromotną porażkę. Chciał, żebym cierpiała dla jego Boga, chciał mi odebrać życie.

A jednak nadal żyłam i nie miałam zamiaru już cierpieć ani przez chwilę.

Zanim umrze, zobaczy mnie szczęśliwą. Zobaczy mnie cieszącą się życiem. Jego Bóg już dostał wystarczająco dużo mojego bólu.

Odwróciłam się do jego krwawiącego, pokierszowanego ciała na podłodze. Zane obejmował mnie od tyłu, jego usta spoczywały na moim karku, a ciało ochoczo ocierało się o mnie. Podniosłam nóż, żeby w jego ostrzu zamigotało przyćmione żółte światło.

– Twój Bóg lubi krew, prawda, Kent? – Mężczyzna się rozszochał, a Zane, za bardzo napalony, żeby nad sobą panować, przycisnął kutasa do mojego tyłka. – Jeśli naprawdę chcesz być dobrym i lojalnym sługą, to myślę, że musisz wykrwawić się dla Niego.

Nie sądzę, żeby Kent zrozumiał, co powiedziałam. Szlochał i pociągał nosem, z nosa płynęły mu smarki i krew, gwałtownie potrząsał głową.

– Nie... nie... nie tak... nie tak miało być! Ty pieprzona... pieprzona suko! – Splunął, patrząc na mnie, najwyraźniej adrenalina zmobilizowała go do ostatniego zrywu. – Nie zatrzymasz tego! Ty nigdy... przenigdy tego nie zatrzymasz! – Ciężko oddychał, miotając się bezsensownie. – Bóg cię dostanie! Nie zatrzymasz tego...

– Chcę cię przerznąć nad jego ciałem – jęknął Zane z ustami na moim karku, zatapiając pazury w moich biodrach, podczas gdy Kent nie przestawał wygrażać. – Jest zbyt głośny. Niech się wykrwawi jak świnia.

Pochyliłam się. Kent nie mógł przestać gadać, przeklinał mnie na czym świat stoi, ale głos mu się łamał i był coraz słabszy. Patrzył na mnie z nienawiścią, z pogardą – ze strachem. Wreszcie, po tak długim czasie, patrzył na mnie i był przerażony. Zawsze marzyłam, że zobaczę, jak jego twarz przybiera ten wyraz. Pozwoliłam, żeby ten widok wyrzył się w moim umyśle, zastępując wspomnienie jego uśmiechu, kiedy lata temu mnie ciął.

Pochyliłam się jeszcze niżej i jeszcze niżej, aż mogłam wyszeptać mu prosto do ucha:

– Wszystko jest tak, jak powinno być.

Podciąłem mu gardło. Wbiłem nóż głęboko, a krew trysnęła, plamiąc moją białą koszulę i spływając mi po piersi. Kent wydał z siebie bulgotanie, jego ciałem wstrząsnęły drgawki i zaczął opadać z sił. Nadal się we mnie wpatrywał, jakby nie mógł odwrócić wzroku. Umarł, przeklinając mnie od najgorszych.

Zane chwycił mnie i szarpnął guzik przy moich spodniach. Gwałtownym ruchem spuścił je w dół, podczas gdy ja nadal stałam nad Kentem, przyglądając mu się z zimnym zainteresowaniem. Nie byłam pewna, gdzie mój umysł zabłąkał się w tamtej chwili. Było w tym coś surrealistycznego. Wykraczało to poza radość, nie nazwałabym swojego stanu również szczęściem. Nie byłam smutna. Nie żałowałam tego, co zrobiłam.

To była satysfakcja. Czysta, niezmacona niczym satysfakcja.

To była zemsta. Zimna, wykalkulowana, bezduszna zemsta.

I, dobry Boże, tak dobrze się z tym czułam.

Zane pieścił moją lechtaczkę, kiedy w oczach Kenta gasło życie.

– Przegrałeś, Kent – wyszeptałam. – Przegrałeś i twoje dzieci też przegrają, tak samo jak członkowie twojej sekty. – Poczulałam kutasa Zane’a między pośladkami, był ostry i napalony. Uśmiechnęłam się szeroko. – Powinieneś być, kurwa, dopilnować, żebym naprawdę umarła, Kent.

Zane wszedł we mnie jednym zdecydowanym pchnięciem, a ja jęknęłam, gdy tak gwałtownie mnie rozciągnął. Byłam już cholernie mokra i gotowa, więc wygięłam do tyłu biodra i wzięłam go głęboko w siebie. Oczy Kenta zaszyły mgłą. Krew tryskała z jego szyi coraz wolniej. Zane przylgnął do moich pleców, gryzł mnie w kark, a potem całował w te same miejsca, pieprząc mnie z jakąś pierwotną żądzą. Byłam już tak blisko, że każde pchnięcie wywoływało u mnie dreszcz, a oddech mi się rwał.

Chwycił mnie za podbródek, pocałował w kark i wyszeptał:

– Uwielbiam, kiedy moja mała wilczyca ma krew na zębach.

Oparłam głowę o kamienną ścianę, ciężko dysząc, kiedy on podkręcił tempo. U moich stóp leżał martwy Kent, krew w nim stygła, podczas gdy ja coraz bardziej się rozgrzewałam. Na to właśnie czekałam. To był cel, który trzymał mnie przy życiu. Dlatego oddychałam.

Zniszczyć tych, którzy ośmielili się ze mną pogrywać. Odzyskać swoje życie nad ich martwymi, zimnymi ciałami.

Moje mięśnie się napięły, westchnęłam przeciągle, kiedy Zane przesunął pazurami po moich plecach, zostawiając na mojej skórze piekące pręgi. Ugryzł mnie w ramię, szarpiąc mnie za biodra, żeby wejść we mnie jeszcze głębiej. Gwałtownie zamrugałam, po czym zamknęłam oczy, moja cipka pulsowała na jego kutasie, a ja byłam coraz bliżej i bliżej...

– Kurwa, jak mi dobrze – wymamrotał mi do ucha Zane. Czułam na sobie ciężar jego ciepłego ciała i jęczałam coraz głośniejsze, kiedy pieścił moją łechtaczkę, jednocześnie pieprząc mnie ostro. – Moja piękna zabójczyni. Mój mały, chory popapraniec.

Jego słowa doprowadziły mnie na sam szczyt. Krzyknęłam, nie przejmując się hałasem. Skoro nikt nie usłyszał wrzasków Kenta, nie usłyszą też moich jęków. Doszłam, a Zane zaraz za mną. Jego kutas we mnie zadrżał, po czym napełnił mnie nasieniem. Polało się po moich udach, prosto do kałuży krwi Kenta, a ja mruknęłam:

– Pieprzyć twojego Boga, Kent. Nie może mnie zabić.

Zane

Moja mała wilczyca zerwała się z łańcucha i teraz biegła wolno.

Truchtała przede mną pod osłoną drzew. Zmierzaaliśmy z powrotem w stronę rzadko uczęszczanej bocznej drogi, przy której zostawiliśmy jej jeepa. Nocne powietrze było rześkie i chłodne, bezchmurne nocne niebo było usiane gwiazdami, między którymi srebrzył się rożek księżyca. Co kilka kroków zerkała na mnie z uśmiechem na wymalowanej twarzy; marynarkę miała opryskaną krwią. Jej koszula była rozchełstana, a na widok jej tatuaży i blizn miałem ochotę ją chwycić i pieścić językiem tę miękką, piękną skórę.

Była wyjątkowa, pod każdym względem była wręcz stworzona do życia w Piekło. Większość ludzi, których na przestrzeni wieków zabrałem do Piekła, potrzebowała czasu, żeby przywyknąć do piekielnych osobliwości – przejście w inny wymiar było dla nich dziwnym i oszalamiającym doświadczeniem. Ale Juniper...? Ona tam rozkwitnie. Wiem, że tak będzie. Kiedy jej śmiertelne życie dobiegnie końca, a jej dusza dotrze do Piekła, nie będę się mógł doczekać, aż zobaczę wyraz jej twarzy, kiedy po raz pierwszy ujrzy te cudowne widoki.

Chciałem jej towarzyszyć na każdym kroku. Chciałem wprowadzić ją w nowe życie, kiedy ziemskie się skończy.

Ale nie chciałem czekać. Pragnąłem dać jej przedsmak tego, co ją czeka.

– I jak się z tym czujesz, mała wilczyco? – zapytałem, kiedy zauważyłem w oddali jej jeepa. Nie mogła złapać tchu, w mroku widziałem

jej szeroko otwarte oczy. Pachniała krwią, potem i tym jedynym w swoim rodzaju słodkim, dzikim aromatem.

– Usatysfakcjonowana – odparła, ale zaraz pokręciła głową z niepewnym uśmiechem. – Choć nie, to coś więcej. Chyba nie potrafię tego opisać jednym słowem. Oczyszczona. Uszczęśliwiona. Skołowana. – Stanęliśmy obok samochodu, a ona odwróciła się w moją stronę. Uśmiechała się z nadzieją, ale również ze strachem. Jakby się bała, że ktoś jej zabierze to zwycięstwo. – Czekałam na to tyle lat. Tyle lat, żeby zabić jednego człowieka, Zane. – Spojrzała na swoje ręce, zakrwawione i drżące, bo zaczęła z niej schodzić adrenalina. – A teraz to zrobiłam. Razem to zrobiliśmy.

– Ty to zrobiłaś, kochanie. I byłaś przy tym piekielnie seksowna. – Chciałem dotknąć jej twarzy, ale ona żartobliwie odskoczyła z szelmowskim uśmiechem na ustach.

– Taaak? Myślisz, że mnie dogonisz?

Pozwoliłem jej odbiec kilka kroków, zanim ją złapałem, podniosłem i przerzuciłem sobie przez ramię, tak że jej głowa kołysała się przy moich plecach. Dziewczyna chciała się wyrwać, waliła w moje plecy, a kiedy odwróciłem głowę i za karę ugryzłem ją w tyłek – głośno wrzasnęła.

Roześmiała się, kiedy postawiłem ją na ziemi, tym razem obejmując ją za plecy, żeby mi znowu nie uciekła. Pogłaskałem ją pazurami po twarzy.

– Już nigdy nie powiem „ugryź mnie w dupę”, żeby kogoś spławić – oznajmiła.

Zachichotałam.

– A ja zawsze myślałem, że to zaproszenie. – Zamilkłem i podziwiałem ją w mroku. Musieliśmy pokonać spory dystans, żeby dostać się na tę imprezę, ale nie chciałem wracać do domu. Nie, Juniper zdecydowanie zasługiwała na coś więcej. To była jej noc, jej chwila. Chciałem ją zabrać

w miejsce, gdzie będzie mogła świętować, gdzie będzie mogła poczuć się bezpiecznie.

Pragnąłem podarować jej noc, podczas której nie będzie musiała bezustannie zerkać przez ramię. Noc, kiedy będzie mogła poczuć się wolna.

– Chciałbym cię zabrać w pewne miejsce – zacząłem. Pytająco uniosła brew. – Ufasz mi?

Gwałtownie zamruwała oczami. Nie przepadała za takimi pytaniami – nie lubiła pytań, które wymagały od niej, żeby zastanowiła się nad swoimi uczuciami. Jednak musiałem wiedzieć, zanim ją tam zabiorę. Musiałem mieć pewność, że czuje się przy mnie bezpieczna. Bo jeśli nie... no cóż, tam, dokąd planowałem ją zabrać, były wilki o wiele większe niż ona.

Wilki, które potrafiły ugryźć o wiele mocniej.

Wreszcie podniosła na mnie wzrok.

– Tak. Ufam ci.

Nie spodziewałem się, że te słowa aż tak mnie wzruszą. Szczerze, to nigdy specjalnie nie przejmowałem się, czy ktoś mnie obdarza zaufaniem, czy też nie. Po prostu nigdy nie miało to dla mnie większego znaczenia. Zależało mi, żeby ludzie ufali mi na tyle, żeby zawrzeć ze mną pakt, choć nawet wtedy rzadko naprawdę mi ufali. No bo czemu by mieli?

Jednak gdy wypowiedziała te słowa, poczułem się zaszczycony. Jakbym zdobył coś cennego albo dostał prezent. Przyciągnąłem ją bliżej i założyłem jej za ucho kosmyk włosów.

– Przyjemnie było dzisiaj na ciebie patrzeć. Byłaś drapieżna. Bezwzględna. Jesteś silna, Juniper. Jesteś wyjątkową duszą.

– Och, przestań...! – Próbowwała odwrócić wzrok, ale przytrzymałem ją za podbródek. Nie widziałem jej ukrytej za makijażem skóry, ale była gorąca, jakby się zarumieniła. Szeroko się uśmiechnąłem. – Nie bawmy się w tanie sentymenty.

– Przepraszam, ale nic na to nie poradzę, że robię się trochę poetycki. W końcu właśnie byłem świadkiem najpiękniejszego morderstwa, jakie widziałem od lat. Moja kobieta jest artystką.

– Twoja kobieta? – Wymierzyła mi klapsa, ale znowu się uśmiechała.

– Tak, moja kobieta. – Mocno ją trzymałem, a ona żartobliwie próbowała się mi wyrwać, więc ugryzłem ją lekko koło ucha. – Tak, tylko moja. Każdy piękny, morderczy, idealny fragment ciebie. – Uśmiechnąłem się do niej. Na myśl o tym, dokąd ją zaraz zabiorę, byłem tak podekscytowany, że moje nieobliczalne serce zaczęło bić trochę szybciej. – Chcę cię zabrać do miejsca z Piekła rodem.

Potrząsnęła głową, uśmiechnięta, ale skołowana.

– Czy Abelaum nie ma wystarczająco dużo wspólnego z Piekłem?

– Nie, mam na myśli prawdziwe Piekło – wyjaśniłem. – Piekło, które znam; Piekło, do którego zmierzasz. Nie to, które ludzie wymyślili, żeby straszyć nim dzieci. Taka Piekielność oznacza wolność i deprawację.

– Okej, wystarczy tego owijania w bawełnę! – Oparła się o jeepa ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek. – Co to za miejsce z Piekła rodem? I czy mają tam alkohol?

– Tylko najlepszy.

– Czy zakrwawiony garnitur będzie odpowiednim strojem...?

– Wszyscy będą ci zazdrościć.

– W takim razie nie ma na co czekać! – Sięgnęła do klamki, ale ja chwyciłem ją za nadgarstek. Byłem podekscytowany, ale nie chciałem niedomówień.

– Będą tam demony. Wiele demonów.

Zatrzymała się w pół ruchu, a jej twarz spoważniała.

– Co to... co to dokładnie za miejsce?

– Demony przebywający na Ziemi potrzebują czasem upuścić trochę pary – wyjaśniłem. – Potrzebujemy miejsc, gdzie możemy być sobą, wrzucić na całkowity luz i nie przejmować się, że ktoś nas zobaczy. Potrzebujemy miejsc, gdzie możemy prowadzić życie towarzyskie i poznać nowych partnerów, o których nie będziemy musieli się martwić, że ich przez przypadek zabijemy.

– A gdzie znajduje się to miejsce?

– Lokalizacje ciągle się zmieniają. Nie byłoby dobrze zbyt długo trzymać się jednego miejsca i w efekcie ściągnąć na siebie niepotrzebną uwagę. Jednak kilka dni temu skontaktował się ze mną stary znajomy i dał mi znać, że w pobliżu właśnie otworzyła się jedna.

– Jedna...?

– Nazywamy je Dziuplami – wyjaśniłem. – To miejsca potajemnych spotkań. Coś w rodzaju nocnego klubu, tyle że nie obowiązują tam żadne zasady, żadne ograniczenia. Każda Dziupla ma gospodarza, który pilnuje, żeby alkohol lał się strumieniami i nikt nie migał się od pieprzenia.

Oczy jej się rozszerzyły, lekko rozchyliła usta. Była zaintrygowana.

– Jesteś pewien... to znaczy... jesteś pewien, że będę tam bezpieczna?

– Oczywiście. Demony mają na tyle rozumu w głowie, żeby nie pieprzyć się z własnością innego demona. – Puściłem do niej oko, zanim zdążyła się obrazić. – Poza tym nie będziesz tam jedyną śmiertelniczką. Będziesz mogła się rozluźnić. Nie będziesz musiała tam niczego ukrywać. – Jej spojrzenie ciągle uciekało w bok. Zastanawiała się, co może pójść nie tak, analizowała potencjalne zagrożenia. To było dokładnie to, od czego zamierzałem ją uwolnić. Nie chciałem, żeby czuła się zastraszona.

Chciałem, żeby czuła się wolna.

– To tylko pomysł – podkreśliłem. – Ty decydujesz. Proponuję ci to, bo wydaje mi się, że będziesz się tam dobrze bawić. Myślę, że chciałabyś się

znaleźć w miejscu, w którym nie musisz się martwić ukrywaniem czegokolwiek. Gdzie możesz otwarcie mówić. Będziesz otoczona przez istoty, które rozumieją dziwną stronę życia.

Przełknęła ślinę i zagryzła wewnętrzną stronę policzka. To jej noc, jeśli się nie zgodzi, wymyślimy inny sposób na świętowanie. Jednak naprawdę chciałem ją tam zabrać. Chciałem, żeby odkryła, że są miejsca, gdzie może się całkowicie otworzyć nie tylko przede mną.

Wreszcie głęboko odetchnęła, podniosła podbródek i oznajmiła:

– No dobrze. W drogę.

Ja prowadziłem, a ona siedziała obok, z nogami na desce rozdzielczej, kiwając stopami w rytm wydobywającego się z głośników kawałka *Friend of the Devil* Adama Jensena. Kilka dni wcześniej stary przyjaciel przysłał mi współrzędne Dziupli, a ja nie potrzebowałem mapy, żeby znaleźć drogę. Większość demonów ma świetną, instynktowną orientację w terenie, a ja już tyle czasu podróżowałem po Ziemi, że radziłem sobie lepiej niż inni.

Kierowałem się na południowy wschód, aż znaleźliśmy się głęboko w lesie. Byłem czujny, ostrożnie obwąchiwałem powietrze wpadające przez otwarte okno, na wypadek gdyby kręciły się tu jakieś niebezpieczne stworzenia.

Wyczułem jednak tylko zapach kilkudziesięciu demonów. Zjechałem z drogi, dziękując w duchu, że jedziemy jeepem. Mój samochód był szybki, ale nie powstał z myślą o przedzieraniu się przez leśne ścieżki. Jechałem w dół wijącą się, zarośniętą leśną drogą, aż dotarliśmy do ogrodzenia z metalowej siatki wzmocnionej na górze drutem kolczastym z wielkim napisem: „Wstęp wzbroniony – własność rządu” na zamkniętej na cztery spusty bramie.

Wyłączyłem silnik i wyskoczyłem z samochodu.

– Resztę drogi przemierzemy na piechotę. Dasz radę przejść przez ogrodzenie czy mam cię przerzucić?

Przyjrzała się ogrodzeniu z rękami na biodrach, po czym zdjęła marynarkę i wrzuciła ją do jeepa.

– Nawet nie jest pod napięciem. Dam radę.

Z łatwością przeskoczyłem przez ogrodzenie, lądując na zgiętych kolanach. Gdy się odwróciłem, ona już była w połowie drogi.

– Nieźle – pochwaliłem ją, kiedy ostrożnie przechodziła przez drut kolczasty, chwytając go między kolcami, a potem odwróciła się, żeby skoczyć. – Całkiem nieźle, mała wilczyco. Ale nadal uważam, że byłoby zabawnie, gdybyś pozwoliła się przerzucić.

– W to nie wątpię – parsknęła krótkim śmiechem, potrząsając głową. Razem weszliśmy między drzewa, a demoniczny zapach był coraz mocniejszy. Zimne powietrze pachniało dymem z drewna, słodką krwią demonów, marihuaną i alkoholem.

Pachniało domem.

Juniper gwałtownie przystanęła, spoglądając w górę szeroko otwartymi oczami. Uśmiechnąłem się, widząc, że jest pod wrażeniem wznoszącej się przed nami ogromnej konstrukcji.

– Witaj w Piekło na Ziemi, kochanie – powiedziałem.

Juniper

Schowana wśród drzew olbrzymia konstrukcja musiała być starą elektrownią gazową. Część zewnętrzna wykonana była z zardzewiałego metalu i betonu, dlatego miała czerwony odcień. Jedną stronę budynku okalały masywne kominy gazowe, które powoli zaczął zagarniać las; ich ściany były pokryte winoroślą i mchem. Z okien błyskały światła, a przez metal przebijało się ciężkie brzmienie basów.

– Cieszę się, że chciałaś przyjechać – powiedział Zane, obejmując mnie za ramiona. Gdy podeszliśmy bliżej, ręce zaczęły mi drżeć, bo nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Broń zostawiłam w samochodzie i miałam nadzieję, że to nie był błąd. Nóż miałam przy sobie.

Ufałam Zane'owi, ale nie ufałam innym demonom. Powtarzałam sobie w myślach, że jeśli ktoś będzie próbował mnie skrzywdzić, Zane natychmiast zareaguje. Nie miałam cienia wątpliwości, że rzuci się jak bestia na każdego – człowieka czy potwora – kto ośmieli się mieć wobec mnie złe zamiary.

Po raz pierwszy postanowiłam tak całkowicie mu się zawierzyć. Właśnie wkraczałam do miejsca, w którym absolutnie każda istota mogła mnie zgnieść jak robaka. Wybierałam się na imprezę pełną drapieżników, podczas gdy ja byłam ich ulubioną ofiarą. Dlatego odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić, i wcisnęłam drżące ręce do kieszeni spodni, kiedy Zane otwierał ciężkie metalowe drzwi.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, uderzyły w nas nieokiełznane dźwięki i zapachy imprezy.

Wnętrze gazowni było olbrzymie, miało kilka pięter. Górne poziomy składały się z chodników z metalowej kratki, a wokół walały się porzucone maszyny – ogromne generatory i turbiny.

Dosłownie każdy wolny skrawek podłogi był wypełniony demonami, były wszędzie.

Ich ciała wirowały w rytm muzyki, tańczyły, ocierały się o siebie. Złote oczy lśniły w ciemności, ostre zęby błyszczały w oświetleniu ultrafioletowym. Większość z nich była częściowo, jeśli nie całkiem, rozebrana. Gdzie nie spojrzałam, widziałam nagą skórę, zwykle ozdobioną piercingiem, tatuażami i bliznami.

Pary, grupki trzyosobowe i nie tylko pieprzyły się przy maszynach, na skórzanych fotelach i kanapach oraz na parkiecie. Z sufitu zwisały łańcuchy, na których kołysali się imprezowicze; niektórzy z nich byli skrępowani i tak powykręceni, że ich pozycje wydawały się wręcz niemożliwe. W powietrzu unosił się zapach seksu, piżmowy i ostry. Pachniało też alkoholem, tytoniem i ziołem.

Przypominało mi to jednocześnie najbardziej obskurne podziemne kluby, w których byłam, jak i te z klasą, najbardziej luksusowe.

Zagłębiliśmy się w morze ciał, Zane trzymał mnie blisko siebie. Myślałam, że przebiec się przez ten gąszcz będzie drogą przez mękę, jednak imprezowicze rozstępowali się, nawet nie patrząc w naszą stronę, jakby instynktownie. Muzyka dudniła ze wszystkich stron; z wielkich, upchniętych między zardzewiałymi maszynami głośników wydobywał się ciężki, mroczny beat. Im głębiej wchodziliśmy w tłum, tym więcej par oczu zwracało się w naszym kierunku. Najpierw patrzyli na mnie, potem zerkali na Zane'a, a wreszcie szybko odwracali wzrok.

– Boją się ciebie – zauważyłam. Zane zachichotał.

– Szanują mnie – wyjaśnił. – Jakkolwiek akurat w tym miejscu to na jedno wychodzi.

Niewidzialne palce gładziły mnie lekko po plecach i po głowie. Pospiesznie i ostrożnie – jakby z ciekawości. Nie miałam pojęcia, kto to robi, ale w tłumie migały mi pożądliwe uśmiechy.

Zane musiał wyczuć, że się spięłam.

– Nie przejmuj się. Po prostu są ciekawi.

– Zaczynają się trochę za bardzo do mnie lepić – stwierdziłam, po czym zacisnęłam zęby, bo jakaś wyjątkowo bezczelna niewidzialna ręka pogładziła mnie po krzyżu. – Ktokolwiek to, kurwa, zrobił, zaraz dostanie po ryju.

– Och, nieźle! Twoja mała nie da sobie w kaszę dmuchać, Z!

Nad nami rozległ się śmiech, więc podniosłam wzrok. Między łopatami ogromnej turbiny siedziała kobieta demon, beztrosko machając nogami. Miała krótko przystrzyżone brązowe włosy, a w uszach tyle srebrnych kolczyków, że nie sposób ich było zliczyć. Uśmiechała się szeroko, a szczególnie natarczywa niewidzialna ręka powróciła, wędrując w górę po moich plecach.

– Boisz się tutaj do mnie zejść? – wrzasnęłam w jej stronę, a ona mocno zacisnęła niewidzialne pazury na moim karku.

Zane potrząsał głową.

– Nie drażnij się z nią, Hano. Rzuci czymś w ciebie.

Kobieta demon zeskoczyła, lądując tuż obok mnie.

– Chętnie pobawię się jej ostrymi zabawkami, jeśli tylko będzie miała ochotę wycelować je we mnie.

Nie cofnęłam się. Była mojego wzrostu, pomalowane pazury emanowały zielonym blaskiem w świetle ultrafioletowym. Była ubrana w skórzaną kurtkę, pod którą nic nie miała, a tuż pod obojczykiem

błyszczał microdermal piercing – kryształki w tym świetle wydawały się ciemnofioletowe. Miała na sobie obcisłe, króciutkie džinsowe szorty i wysokie, sznurowane buty.

Trochę za długo jej się przyglądałam.

– Wpadłam ci w oko? – zapytała. Już otwierałam usta, żeby jej się odgryźć, kiedy z tłumu wyłoniła się w podskokach kobieta z długimi, rozczochranymi blond włosami i rozmazaną szminką. Na ustach miała szeroki uśmiech, a w każdej ręce – drinka.

– Hana, ktoś nas właśnie zaprosił na... Och! – Zerkała to na mnie, to na Zane'a, a Hana przezornie wyjęła jej z dłoni drinki. Zdążyła na czas, bo kobieta podskoczyła z podekscytowaniem i powiedziała: – Och, witajcie! Miło was poznać! Jestem Sadie!

Była człowiekiem. Miała wielkie błękitne oczy i sympatyczny uśmiech, a zanim zdążyłam odpowiedzieć, już mnie mocno ścisnęła. Było w niej tyle energii, że nie mogłam powstrzymać śmiechu, kiedy wzięła od Hany swojego drinka i zaczęła zachłannie pić.

Zane również się śmiał.

– Jest urocza, Hana! Naprawdę słodka. – Hana wywróciła oczami, przyciągając Sadie trochę bliżej.

– Taaa, słodki, mały głuptasek, taka właśnie jest. – Potrząsnęła głową, a Sadie zaczęła tańczyć, nadal sącząc drinka. Spojrzała na mnie trochę poważniejszym wzrokiem i dodała: – Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. Jestem Sathanas, ale to trudne do wymówienia, więc mów do mnie po prostu: Hana.

– Juniper – przedstawiłam się. – Przepraszam, że chciałam dać ci po ryju.

Wzruszyła ramionami.

– Nie byłyby to pierwszy i, mam nadzieję, ostatni raz. Dobrze cię tu widzieć, Z. Kupa lat!

– Byłem zajęty – wyjaśnił Zane.

– Właśnie widzę. – Hana zdrapała pazurem odrobinę zaschniętej krwi z mojej koszuli. – Fajne kostiumy. Naprawdę autentyczne.

– Bardzo. – Uśmiechnęłam się.

– Zaraz wracamy – powiedział Zane, ściskając mnie za ramię. – Jeszcze się nie przywitaliśmy z Azzim.

Hana wywróciła oczami.

– Bawcie się dobrze! Będziemy na górze na kanapach. Przyłączcie się do nas. – Puściła do mnie oko, po czym obie z Sadie odwróciły się i zniknęły w tłumie.

– Przyjaciółka? – chciałam wiedzieć. Zane postukał palcem obok piercingu w jednej z brwi.

– Ona to zrobiła – wyjaśnił. – Dawno temu. To ona zwerbowała mnie do łowienia dusz.

– Cholera, masz słabość do dupków, co? – powiedziałam. Poznałam już ją i Leona, potrafiłam też krytycznym okiem spojrzeć na siebie i zaczynało mi się to wszystko układać w pewien wzór. Zane roześmiał się głośno.

– Do dupków i do ciasnych dupek też, kochanie.

Przepychaliśmy się przez tłum na drugą stronę hali, gdzie z maszyn i powyginanych metalowych belek wzniesiono olbrzymią platformę. Mimo głośnej muzyki słyszałam jęki rozkoszy i przenikliwe okrzyki bólu.

– Właśnie tak wygląda Piekło? – Wyjątkowo wysoki demon przemknął obok, zerkając na mnie złotymi oczami. Jego białe włosy były tak długie, że sięgały mu ud. – Czy on miał ze sobą bicz z drutu kolczastego...?

– Zobaczysz tutaj każdy rodzaj rozkoszy i bólu – wyjaśnił Zane. – Niezależnie od tego, czy masz ochotę na coś romantycznego, czy pokręconego, niebezpiecznego, dziwaczного, czy obrzydliwego, tutaj zawsze znajdziesz chętnych, dokładnie tak jak w Piekle. A teraz posłuchaj. – Mówił teraz poważnym tonem. – Azriel jest gospodarzem Dziupli. Dogląda tu wszystkiego i pilnuje, żeby obyło się bez kłopotów. Bez jego pozwolenia nikt tu nie zostanie, więc pilnuj się przy nim.

Dotarliśmy do podnóża metalowej platformy. Wokół niej były ustawione głośniki, a we mnie uderzyła mocno fala muzyki, kiedy zatrzymałam się przed jednym z nich. Nad nami w fotelu bujanym skonstruowanym z grubych łańcuchów siedziała postać z opadającymi na ramiona długimi dreadami i wbijała w nas spojrzenie. Jego ciemnobrązowa skóra była ozdobiona tatuażami, a pod cienkim materiałem czarnej koszulki odznaczały się absurdalnie mocno zarysowane mięśnie.

– Lucyferze Wszechmocny, czy to nie Zane? – Uśmiechnął się do nas, a łańcuchy zadźwięczały, gdy się poruszył. – Na dodatek przyprowadził ze sobą małą śmiertelną duszyczkę, co? – W jednej chwili siedział wśród łańcuchów, a w kolejnej – już był pod platformą, koło nas, przeszedł między nami, mierząc nas wzrokiem od stóp do głów. – Kupa lat, Z. Gdzie jest Leon? Nadal uwięziony przez tego cholernego magika?

– Neeee, teraz zмага się z innymi problemami – wyjaśnił Zane. – Juniper i ja szukamy miejsca, gdzie moglibyśmy się zabawić. Przygarniesz nas?

– Zawsze, przecież wiesz – powiedział, ale wpatrywał się we mnie. – Och, nietuzinkowa z ciebie istota, co? Twoja dusza krwawiła. – Przesunął wzrok na moją koszulę i uśmiechnął się jeszcze szerzej na widok krwawych plam. Jednak później uważnie przyjrzał się mojej klatce piersiowej, a ja dostałam gęsiej skórki, kiedy gapił się na moje blizny. – O tak. Krwawiłaś.

Twoje ciało i dusza. Pachniesz, jakbyś była trochę zdenerwowana, śmiertelniczko. Boisz się?

Cała zeszywniałam, plecy miałam tak spięte, że aż bolało. Jednak Zane dał mi lekkiego kuksańca, więc zmusiłam się, żeby wypuścić wstrzymywane powietrze z płuc.

– Przepraszam. Ja... Tak, jestem trochę zdenerwowana. Dziwne uczucie, nie być najbardziej przerażającą osobą w klubie. – Przerwałam. – Dziwnie być jednym z niewielu... ludzi... w klubie.

Pokiwał ze zrozumieniem głową, okrążając mnie i badając wzrokiem każdy fragment mojego ciała.

– My drapieżniki lubimy polowanie, ale nigdy nie polujemy na własność innego demona. Zane wziął cię w posiadanie i nie ma tu ani jednej istoty, która by tego nie uszanowała. Jesteśmy tu z jednego i tylko jednego powodu... – Szeroko rozłożył ramiona. – ...żeby przeżyć najbardziej, kurwa, zdeprawowaną noc na świecie! – Skoczył na platformę i z powrotem rozsiadł się wśród łańcuchów. Kobieta demon ochoczo podpełzła do niego i przyłgnęła głową do jego nóg, jakby błagała go o chwilę uwagi. Azriel pomachał do nas ręką, a drugą chwycił za włosy demona u swych stóp. – Bawcie się dobrze! Jeśli ktoś będzie ci się naprzykrzał, śmiertelniczko, przyjdź do mnie. Zajmę się tym.

Zane

Nic na Ziemi nie może się równać z demonicznym alkoholem, który lał się tutaj strumieniami. Jego ostry zapach można było wyczuć w oddechu każdego mijanego demona, więc ja też nabrałem ochoty na drinka. Ludzki alkohol w ogóle na mnie nie działał – jednak piekielnemu z pewnością się to uda.

– No i jak ci się podoba? – szepnąłem wprost do ucha Juniper, kiedy kluczyliśmy wśród tłumu, próbując dotrzeć do wielkiego, okrągłego baru znajdującego się w centrum hali. Na jego środku piętrzyła się olbrzymia, lśniąca piramida szklanych butelek, chwiejąca się niebezpiecznie nad nami. Barmani, niektórzy z opaskami na oczach, manipulowali wieloma butelkami naraz, przerzucając je zręcznie między sobą i wlewając alkohole do srebrnych shakerów.

Zanim zacząłem polować na dusze, pół życia spędzałem w takich miejscach – chciałem przyrządzać drinki w Dziuplach rozsianych po całym świecie. Dokładnie takie miejsca lubiłem – tłoczne i chaotyczne, bezwstydne i brudne. Pragnąłem dojść do perfekcji w trudnej sztuce obsługiwania tak wielu demonów naraz, jednocześnie pozostając w doskonałej formie i przyrządzając drinki w ilości wręcz hurtowej.

– To szalone miejsce – odparła Juniper. – Ale czuję się... czuję się tu dobrze! Tak wiele się tu dzieje. – Roześmiała się, potrząsając głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Ominęliśmy pieprzącą się ostro na podłodze parę, oboje krwawili i ciężko dyszeli, a tłum wokół zachęcał ich okrzykami, żeby kontynuowali. Nie umknęło mi, że policzki Juniper się

zaróżowiły, a jej temperatura wzrosła. Poczułem również zapach jej podniecenia.

Lubiła patrzeć. Być może będzie też lubiła występować.

Podeszliśmy do baru, podniosłem dwa palce w stronę barmana.

– Co bierzemy? – Juniper próbowała przekrzyczeć muzykę. Nie musiała, bo dobrze ją słyszałem. – Mają tu whiskey?

– Barman poda ci dokładnie to, czego potrzebujesz – wyjaśniłem. – Nie wybierasz, oni robią to za ciebie. – Nawet dla demonów była to trudna sztuka: rzucić na kogoś okiem i zdecydować, czego mu w tej chwili trzeba, po czym skomponować indywidualnego drinka. Po barze prześlizgnęły się w naszym kierunku dwie szklanki, złapałem je i tę lżejszą podałem Juniper. Z zapalem podniosła ją do ust, a ja w ostatniej chwili uniemożliwiłem jej wypicie drinka duszkiem.

– To piekielny alkohol, Juniper – przypomniałam. – Uważaj! Daje naprawdę ostrego kopa.

Skrzywiła się sceptycznie.

– Radzę sobie z alkoholem, Zane.

– Takiego alkoholu jeszcze nie piłaś.

Wręczyłem jej szklankę, a ona wzięła solidny łyk. Barman przyglądał się jej z zainteresowaniem, podobnie jak kilka innych demonów zgromadzonych wokół baru. Oczy Juniper się rozszerzyły i natychmiast zaczęły łzawić; dziewczyna zaczęła kaszleć, w szoku wpatrując się w drinka.

– Co... co, do kurwy nę... – Rozkaszała się na dobre, prawie rozlewając zawartość szklanki. Nie mogłem przestać się śmiać, a barman potrząsnął głową, uśmiechając się od ucha do ucha.

– I jak? – krzyknął do niej, już przygotowując trzy kolejne napoje. Juniper otarła łzy i spojrzała na drinka, jakby myślała, że próbujemy ją

otruć. Jednak i tak upiła kolejny łyk.

– Jezu pierdolony Chryste, to mnie może zabić! – Zachichotała, po czym z uśmiechem podniosła szklankę w stronę barmana. – Smakuje mi!

Znowu zachichotała, alkohol już zdążył namieszać jej w głowie. Kurwa, lubiłem, kiedy była taka wesoła...! Rzadko słyszałem jej śmiech, ale był tak cholernie uroczy, że natychmiast przysłała mi do głowy niegrzeczna myśl – dobrze by było zamienić ten chichot w jęk.

Wziąłem ją za nadgarstek i pociągnąłem za sobą w tłum. Trzymała się blisko mnie, z wszystkich stron napierali na nas imprezowicze, a ona wraz z nimi kołysała się w rytm muzyki. Zdjąłem jej gumkę z włosów, pozwalając im opaść swobodnie na plecy. Potrząsnęła głową, włosy znalazły się na jej twarzy, a ona z półprzymkniętymi oczami poruszała się rytmicznie. W tłumie było gorąco, tyle zebranych w jednym miejscu demonicznych ciał potrafiło rozgrzać atmosferę nawet w tak zimną noc. Zerwałem z siebie koszulę, uśmiechając się, gdy poczułem orzeźwiający powiew chłodnego powietrza. Juniper stała teraz tyłem do mnie, ale nadal była blisko, ocierała się o mnie biodrami, popijając drinka.

Poruszała się w piękny sposób. Rytmicznie i zmysłowo, każdy jej ruch był miękki i w idealnej harmonii z moimi ruchami. W zaledwie kilka sekund zrobiłem się twardy jak skała, ale tutaj nikogo to nie dziwiło. Każdy w tym tłumie był cholernie napalony i nikt nie zamierzał tego ukrywać.

Juniper odwróciła się i przesunęła palcami po mojej nagiej kłacie, obniżając się i przybliżając do mnie, żeby delikatnie mnie ugryźć, jednocześnie zanurzając paznokcie w moich biodrach. Oczy wszystkich znajdujących się wokół nas demonów zwróciły się w jej stronę, pożerali ją wzrokiem, oblizując usta rozdwojonymi językami. Ale ona była moja i tylko moja; dzisiejszej nocy nie zamierzałem się dzielić.

Mogli patrzeć, ile chcieli, i miałem nadzieję, że tak właśnie zrobią. Pożądali jej, a mnie to przyprawiło o zawrót głowy. Objęła mnie rękami za szyję, a ja zacisnąłem dłoń na jej gardle. Z uśmiechem upiła kolejny łyk, a kropelki alkoholu zalśniły apetycznie na jej pełnych ustach.

– Wyglądasz, jakbyś chciał mnie zjeść – szepnęła zachrypniętym głosem.

– Uwierz mi, kochanie, że chcę. Chcę cię rozerwać na strzępy.

Pocałowałem ją w usta, te słodkie, poplamione alkoholem usta. Wsunąłem rękę w jej włosy, żeby podkreślić, że jest moja, a mój język tańczył wokół jej języka, tak jak jej ciało tańczyło tuż przy moim. Dobrze wiedziała, co robi, poruszając w ten sposób biodrami – potwierdził to figlarny uśmieszek na jej twarzy, kiedy nasze usta oderwały się od siebie.

– Cieszę się, że mnie tutaj zabrałeś – powiedziała, spoglądając na mnie rozpromienionymi oczami.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz, kochanie. – Nadal trzymałem ją za gardło. Lubilem to, czułem wtedy pod palcami jej przyspieszony puls. – Lubisz tak się ze mną drażnić na oczach wszystkich? Ten twój tyłeczek jest naprawdę kuszący.

Uśmiechnęła się przebiegle.

– Kuszący? Co ty nie powiesz... Ale byłby wstyd, gdybyś na oczach wszystkich stracił panowanie nad sobą...!

Już nie kusiła, tylko domagała się, a ja nie zamierzałem jej odmawiać. Gwałtownie ją odwróciłem, tak żeby znowu stała do mnie tyłem, a ona natychmiast zaczęła ocierać się o mnie tyłkiem. Demony wokół nas przypatrywały się nam z rosnącym zainteresowaniem, ewidentnie coraz bardziej podekscytowane. Pochyliłem się i szepnąłem jej do ucha:

– Mam zamiar dopilnować, żebyś ty pierwsza straciła panowanie nad sobą. Dojdiesz na moich palcach, właśnie tu, na oczach wszystkich.

Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz, ale nie przestała tańczyć, kiedy przesunąłem ręką po jej ciele. Schowałem pazury, po czym moje palce wślizgnęły się do jej majtek. Cichutko westchnęła, gdy delikatnie musnąłem ją między nogami, żeby podkreślić atmosferę, a kiedy zaczęła się skupiać na moich palcach, jej ruchy stały się wolniejsze.

– Wszyscy patrzą – szepnęła. Ugryzłem ją w miękkie zagłębienie na szyi, na tyle mocno, że cicho krzyknęła.

– Owszem, patrzą. Chcą zobaczyć, jak pięknie wyglądasz, kiedy szczytujesz.

Wsunąłem palce między jej nogi i jęknąłem, bo już była mokra. Była tak miękka, tak apetycznie ciepła...! Kiedy zacząłem pieścić jej łechtaczkę, zadrżała. Ocierała się o mnie biodrami, rozpaczliwie szukając stymulacji.

Byłem za bardzo napalony. Mogłem zwolnić tempo, ale nie chciałem. Chciałem dać jej rozkosz, szybko i ostro. Chciałem zobaczyć, jak ogarnia ją obezwładniająca ekstaza.

Podniosła ręce, wczepiła się paznokciami w moją szyję i wygięła plecy. Na zmianę to pieściłem jej łechtaczkę, to wciskałem jej w cipkę dwa palce, z każdym pchnięciem rozciągając jej pulsujące wnętrze.

– Kurwa, Zane... – wyrzuciła z siebie bez tchu, drżąc na całym ciele. Wyglądała cholernie dobrze, a ja wydałem z siebie pomruk, ponownie ją gryząc. Krzyknęła z bólu, a kilka obserwujących nas osób wzniosło radosny okrzyk. Kilka par poczuło się nawet na tyle zainspirowanych, że zajęło się własną ostrą zabawą. Wokół nas zabrzmiały okrzyki rozkoszy i bólu, a Juniper rozejrzała się wkoło rozszerzonymi oczami.

– Kurwa, lubisz się przyglądać, co? – wymamrotałem pożądliwie, pieprząc ją palcami, podczas gdy znajdujący się przed nią demon został brutalnie popchnięty na kolana, a jego partner zajął się ostro jego kutasem.

Oddech Juniper przyspieszył, drżała, podtrzymując się mnie. – Jesteś taka mokra, kochanie. Lubisz też, kiedy nam się przyglądają?

Szybko kiwnęła głową, oczy miała półprzymknięte z gorąca i pożądania. Kusiło mnie, żeby ją tu zerznąć, pośrodku tłumu, ale postanowiłem poczekać. Skoro już wiedziałem, jak bardzo jej się to podoba, nie było mowy, żebyśmy stąd wyszli, dopóki nie zerznę jej do nieprzytomności na oczach każdego obecnego tu demona. Jej cipka zacisnęła się na moich palcach, a ja przycisnąłem dłoń do jej łechtaczki, ciesząc się każdym cichutkim skamleniem, który wydobywał się z jej ust.

Jęknęła, zadrżała i ciężko oparła się o mnie ze słowami:

– Kurwa, kurwa, zaraz dojdę...

– Moja grzeczna dziewczynka – mruknąłem, pieprząc ją w stałym tempie i przyciskając do siebie, gdy zaczęła dyszeć. – Zrób to dla mnie, maleńka.

Te słowa wystarczyły, musiałem ją podtrzymać, bo ugięły się pod nią kolana. Jej zapach doprowadził naszych widzów do szaleństwa, a dobiegające zewsząd odgłosy rozkoszy zagęściły atmosferę jak narkotyk. W głowie mi szumiało, ciało mnie mrowiło z pożądania. Pocałowałem ją w policzek, kiedy napięcie z niej opadło, po czym podniosłem palce do jej ust. Wyssała je do czysta, zlizując z nich własny smak, nadal chwiejąc się na nogach.

Chciałem ją zaprowadzić w spokojniejsze miejsce.

– Zróbmy sobie przerwę, kochanie. Powinnaś odetchnąć.

Juniper

Czułam mrowienie w całym ciele, kiedy Zane wyprowadzał mnie z tłumu. Nogi mi się trzęsły, orgazm pozostawił mnie rozgrzaną i rozluźnioną. W głowie mi się lekko kręciło – demoniczny alkohol zadziałał naprawdę błyskawicznie – i widziałam wszystko w nieco jaśniejszych barwach niż zwykle. Czułam się jak na haju – spokojna, ale pełna energii, zaspokojona, a jednak chętna na więcej.

Fantazjowałam o seksie w miejscu publicznym, ale jeszcze nigdy tego nie robiłam. Całkowicie odsłoniłam się na oczach tłumu. Przyglądałam się, jak otaczające nas istoty oszalały na punkcie mojej rozkoszy, skupiły się wyłącznie na mojej przyjemności. Miałam wrażenie, że właśnie zburzyłam kolejny mur, pokonałam kolejny lęk, i to mimochodem, nie zdając sobie z tego sprawy.

Odpuszczenie sobie było dobrym uczuciem, nawet lepszym, niż sobie wyobrażałam. To miejsce było jak odizolowana od pełnego niebezpieczeństw świata bańka. Prawdziwe małe Piekło na Ziemi – rzut oka do innej rzeczywistości, gdzie nie było zasad, za którymi należało podążać, a ja nie musiałam się bać, że zostanę wyśmiana albo odrzucona za to, kim jestem.

Zane zaprowadził mnie metalowymi schodami na wyższy poziom. Było tu jeszcze więcej kanap i coś w rodzaju tarasu widokowego, z którego można było zobaczyć parkiet i obserwować pulsujący tłum. Właśnie tutaj ponownie spotkaliśmy Hanę i Sadie, przytulone do siebie na kanapie.

– Na pierdolone jaja Szatana, to było gorące! – wykrzyknęła Hana, kiedy Zane opadł na kanapę, pociągając mnie za sobą i sadzając sobie na kolanach. Byłam w stanie tylko szeroko się uśmiechnąć, a Hana parsknęła śmiechem.

– Cholera, wypieprzyłeś z niej tymi paluchami całą bezczelność!

– To jedyny sposób – drażnił się ze mną Zane, ściskając moje policzki.
– Nie martw się, szybko jej przejdzie. Będzie jeszcze bardziej pyskata niż przedtem.

– To na pewno! – powiedziałam, nadal z trudem łapiąc oddech. – Jeden orgazm nie zamknie mi na długo ust. Po prostu... muszę trochę odetchnąć.

Hana potrząsnęła głową, ale nadal się uśmiechała, przyglądając się, jak Sadie tańczy na siedząco. Nie dało się nie zauważyć łączącego je uczucia – Hana wpatrywała się w przyjaciółkę troskliwie, ale z zaborczością.

Miło było przez chwilę po prostu siedzieć i przyglądać się, co się dzieje dookoła. Orgiom na dole, tańcom, cichym rozmowom prowadzonym przez zgromadzone tu demony. Nieważne, że noc chyliła się ku końcowi – impreza ani trochę nie zwalniała.

Chciałam się jednak dowiedzieć czegoś więcej o Sadie. Była jedynym znanym mi człowiekiem, który również sprzedał duszę. Kiedy się odwróciła, dostrzegłam znaki na jej ramieniu, blizny ostrożnie wycięte w jej skórze. Zauważyła, że się na nią gapię, i posłała mi szeroki uśmiech, więc pomyślałam, że po prostu ją zapytam.

– No więc... yyy... dlaczego sprzedałaś duszę?

– Musiałam usunąć kogoś ze swojego życia – wyjaśniła rzeczowo. – To była moja najlepsza decyzja.

Hana pochyliła się nad nią, szybko pocałowała w policzek i dodała:

– Zabiłam dla niej jej pierdolonego męża. Chory skurwiel ciągle ją bił, więc zatłukłam go na śmierć. – Ich spojrzenia się spotkały, a policzki Sadie

delikatnie się zaróżowiły. Hana jeszcze raz ją pocałowała, tym razem w usta.

– Myślałam, że za karę będę cierpieć po śmierci – mówiła dalej Sadie. – Sądziłam, że sprzedanie duszy oznacza, że skazuję się na wieczne potępienie, że będę się smażyć w Piekło. – Potrząsnęła głową, rozglądając się dookoła. – A jednak to mnie wyzwoliło. Uratowało mnie. – Na chwilę spuściła wzrok, ale wyraz jej twarzy nie był zasmucony. To było ciche, napełniające oczy łzami szczęście. Uśmiechnęła się i podniosła na mnie wzrok. – A ty?

– Cholera, no cóż... – Z trudem przełknęłam ślinę. Poczułam rękę Zane'a na moich plecach; nic nie powiedział, nie musiał. Jego dotyk dodał mi odwagi, delikatnie naciskał, żebym mówiła. Natychmiast poczułam znajomy niepokój, ale odpowiedziałam: – Byłam ofiarą sekty. Lata temu próbowali mnie zabić. Zawarłam układ, żeby się zemścić.

Sadie pokiwała głową, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, ale bez niedowierzania, jakby sekty i handel duszami były na porządku dziennym. Jednak Hana nagle się wyprostowała i pstryknęła palcami.

– Mogłam się domyślić! No jasne. Dziewczyna od sekty. Cholera, niejeden łowca dusz ruszył twoim tropem! Słyszałam, że Zane nieźle ich pogonił i szybko oznajmił, że należysz do niego. Nikt nie ośmielił się do ciebie nawet zbliżyć.

– On... co? – Spoglądałam na nią w osłupieniu, po czym szybko przeniosłam wzrok na Zane'a, który zaczął się niespokojnie kręcić. – Inni też chcieli zawrzeć ze mną pakt?

– Tylko przez chwilę – wyjaśnił. – Postawiłem sprawę jasno: nikt nie ma prawa cię tknąć.

– Dlaczego? – To pytanie wymknęło mi się, choć nawet nie wiedziałam dlaczego. Wiedziałam, że podążał za mną przez całe lata, odkąd

opuściłam Abelaum. Przez wszystkie te miesiące, kiedy czułam się tak bardzo samotną, on obserwował mnie z ukrycia i cierpliwie czekał. Jednak myślałam, że robił to z czystej ciekawości, że chciał się zorientować, czy jestem warta tego całego zachodu.

– Wiedziałem, czego chcę – powiedział. – Chociaż okazało się, że nie chcesz zawrzeć ze mną paktu, cholera... – Wzruszył ramionami. – I tak nie miałem zamiaru dopuścić, żebyś dostała się innemu demonowi.

Hana zachichotała.

– Ajajaj, Zane odnalazł swój czuły punkt!

– Co to znaczy? Chciałam wiedzieć.

Zane wydał z siebie cichy pomruk, ale Hana i tak mi odpowiedziała:

– To znaczy, że twardy demon odnalazł człowieka, przy którym całkiem mięknie. Człowieka, dla którego chce się oddawać różnym słodkim pierdołom, jak długie romantyczne spacery po Piekło. Sadie jest moim słabym punktem. – Sadie znowu się zarumieniła. – Uwielbia róże i teraz zastanawiam się, jak to zrobić, żeby kwitły również w Piekło, tylko dla niej. – Zachichotała, potrząsając głową, po czym przygarnęła Sadie bliżej siebie. – Nie sądziłam, że ten dzień nadejdzie, Zane! Cholera, nawet pozwoliłeś jej trochę się ponacinać.

Spojrzałam na niego, spodziewając się, że będzie protestował albo chociaż potrząśnie głową. Ale on tylko odwzajemnił moje spojrzenie i dotknął blizn układających się w moje imię na ramieniu.

– Wiedziałem, czego chcę – powtórzył – i od tamtej pory każdego dnia robiłem wszystko, żeby to zdobyć.

Gdy usłyszałam te słowa, poczułam, jakby na moim sercu powoli zacisnęła się ręka. To nie było bolesne – o nie! – tylko przyjemne, jakby ktoś przytulił moje serce. Na moment przestałam oddychać. Szalony chaos wokół zwolnił, aż całkowicie się rozmazał.

To było jak wejście do znajomego domu i zanurzenie się w panującym w nim cieple, jak westchnienie, jak uświadomienie sobie, że nadszedł czas odpoczynku po długim dniu. Odrobina światła na moich nierównych krawędziach.

– Czy już ją naznaczyłeś? – Pytanie Hany wytrąciło mnie z tych słodkich rozmyślań, dudnienie muzyki i okrzyki ekstazy ponownie zdominowały moją świadomość.

– Jeszcze nie – odparł Zane. Pamiętałam, jak mówił, że znaki – piercing – w świecie demonów oznaczały lojalność i oddanie. Miały inny wydźwięk niż blizny, które mi zrobił – blizny były częścią paktu, ale metal, no cóż...

Metal był czymś więcej.

– To idealne miejsce, żeby się tym zająć! – zauważyła z podekscytowaniem w głosie Hana. – Vian tutaj jest. Chętnie da ci metal. Wiesz, że jego materiały są najwyższej jakości.

– Dopiero kiedy będzie gotowa – powiedział Zane, zaborczo ściskając ręką moje udo i sącząc drinka. Pod wpływem jego mocnego uścisku poczułam się dobrze, a nawet więcej – poczułam się odważna. Cały lęk, który budziła we mnie sama koncepcja oddania się komuś, nagle wyparował.

Blizny to jedno, jednak zgodzić się na inny znak, pozwolić się naznaczyć metalem – to znaczyło o wiele więcej. Rozmawiali o tym swobodnie, a jednak w ich słowach można było wyczuć nutę powagi. Temat był intymny, prawie mroczny.

To było jak moje imię wyryte na jego piersi. Mógł pozwolić ranom się zagoić, mógł zapomnieć, że w ogóle tam były. Ale on zachował je, bo tak wybrał. Chciał mieć na sobie moje imię.

– Jestem gotowa – oznajmiłam. Zane uniósł brwi, a Hana klasnęła w ręce i zerwała się na równe nogi.

– I o to, kurwa, chodzi! Idę poszukać Viana. – Chwyła Sadie za rękę i pociągnęła ją w dół po schodach.

Zane zmarszczył brwi.

– Nie poddawaj się presji – powiedział. – Nic na siłę. Wiem, że Hana potrafi zarazić swoim entuzjazmem, ale...

– Nic mnie nie obchodzi entuzjazm Hany – odparłam. Przesunęłam palcem po jego uchu, po wszystkich zdobiących je kółeczkach i diamentkach. – Chodzi o nas. Kurwa, chodzi o... – Wzięłam głęboki wdech. Mogłam to powiedzieć tylko dlatego, że Hany i Sadie tutaj nie było, może też płonący w mojej piersi demoniczny alkohol dodał mi trochę odwagi. – Nie wiem, co mi zrobiłeś. Nie wiem, dlaczego przy tobie czuję się taka... czuję się bezpieczna. Przy tobie czuję, że być może nie wszystko jest takim gównem. – Boże, szło mi jak po grudzie. Ubieranie w słowa tak delikatnych rzeczy jak emocje było prawie niemożliwe. – Nigdy się nie spodziewałam, że to się kiedyś stanie, Zane. Nie sądziłam, że znowu poczuje się bezpieczna. Nie myślałam też, że kiedykolwiek nawiążę jakąś relację...

Gwałtownie przerwałam, żałując, że ujęłam to akurat w ten sposób. Jednak Zane odwrócił moją twarz z powrotem w swoją stronę i oznajmił:

– Nie wstydz się tego, co chcesz powiedzieć. Nie ucieknę.

I to właśnie była ta rzecz, prawda? Ta iskra, która rozświetliła moją mroczną, martwą, złamaną duszę – on widział wszystkie jej nierówne krawędzie, a mimo to nie odszedł. Widział mnie całkowicie złamaną, a i tak mnie chciał.

Zawsze sobie powtarzałam, że nigdy nie będę na nikim polegać. Nie potrzebowałam aprobaty, miłości czy wsparcia. Dobrze mi było samej. A jednak siedziałam tutaj, otoczona przez demony i najbardziej wyuzdaną rozwiązłość, i po raz pierwszy od lat czułam się jak w domu.

Czułam się akceptowana. Mówiłam swoją prawdę, a oni mnie słuchali.

Zane wysłuchał mnie jako pierwszy. Przed wszystkimi innymi.

– Chcę nosić twój znak – oznajmiłam stanowczo. – Jestem gotowa.

Widziałam, że ma ochotę się uśmiechnąć.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie.

Wreszcie pozwolił sobie na pełen ostrych zębów szeroki uśmiech.

– W takim razie zaraz poznasz Viana.

Juniper

Viana nie trzeba było przedstawiać – wiedziałam, że to on, gdy tylko go zobaczyłam.

Łatwo go było dostrzec w tłumie: ponad dwa metry wzrostu, szerokie ramiona, odziany w strój ze srebrnych łańcuszków, misternie zaplecionych i utkanych z delikatnych ogniwi. Na jego twarzy było zaledwie kilka miejsc, które nie były przebite, piękne metalowe ozdoby i diamentyki dekorowały każdy fragment jego skóry. Rozparł się wygodnie w otwartej paszczy jakiejś starej maszyny; ten niezgrabny kawał metalu został rozerwany, a następnie zgnieciony, żeby przypominał kształtem fotel. Otaczał go tuzin innych demonów, wszystkie ubrane w podobne stroje z łańcuszków i starannie wykonane metalowe ozdoby. Niektórzy byli skrupowani kajdankami, które same w sobie stanowiły dzieło sztuki, tak jak biżuteria.

– No, no, czyżby Zane przyprowadził słodką małą duszyczkę, żeby ją oznaczyć? – powiedział, bębniąc pomalowanymi na biało pazurami w znajdującą się pod nim maszynę. Posłał mi długie spojrzenie, a jego jasne oczy przyglądały się po kolei każdemu fragmentowi mojej skóry. Szczególne zainteresowanie wzbudziły w nim moje blizny i krwawe plamy na koszuli.

– Muszę cię rozczarować, wcale nie słodka – odezwałam się. – Raczej kwaśna.

– Wiesz, że nie pociągają mnie te słodkie, Vian – oznajmił przeciągle Zane z dumą w głosie.

Vian wstał, górował wzrostem nad nami obojgiem. Machinalnie cofnęłam się o krok, podnosząc na niego wzrok, a on pochylił się i z zaciekawieniem przyjrzał się mojej twarzy.

– No dobrze, kwaśna mała duszyczko – zachichotał Vian. – Gdzie chcesz mieć kolczyk?

– W języku – odparłam. Chciałam powiedzieć to spokojnym tonem, ale końcówka i tak zabrzmiała piskliwie. Chciałam tego, nie miałam żadnych wątpliwości. Jednak na myśl o igle przebijającej mi język ścisnął mi się żołądek.

– Myślę, że wystarczy coś niewyszukanego – powiedział Zane. – W kolorze czarnym, dla jej mrocznej, małej duszyczki.

– Mmmm, no tak, no tak... – Vian pokiwał głową i sięgnął po małe metalowe pudełko wiszące na jednym łańcuchu owiniętym wokół jego szyi. Otworzył je i zaczął grzebać w środku w poszukiwaniu odpowiedniego kolczyka, od czasu do czasu zerkając na mnie, jakby chciał ocenić, co będzie do mnie pasować. Spojrzałam na znajdujące się za nim demony i zauważyłam, że kilka tych skrepowanych ma igły w ustach i uszach: świeży piercing. Jednak nie wyglądały na obolałe. Oddychały powoli i głęboko, niektóre miały zamknięte oczy, były bezwładne, jak w transie.

– Sam robisz tę biżuterię? – zapytałam, próbując odgonić coraz bardziej niespokojne myśli. Wokół nas zaczął gromadzić się tłum, demony przepychały się, żeby być bliżej, i obserwowały mnie z zaciekawieniem. Zane objął mnie w talii, delikatnie głaskając mnie po skórze.

– Każdą sztukę – odparł z lekkim uśmiechem. – Wyszukuję materiały, klejnoty i metale i sam nadaję im kształt. To moja pasja. – Zerknął przez ramię, a spojrzenie mu zmiękło na widok siedzących za nim demonów. – Moje piękne dzieła zdobią jeszcze piękniejsze istoty. Wzmacniają więzi. Przynoszą ból... rozkosz... oczyszczenie.

Zajął się ponownie zawartością pudełka i wreszcie podniósł czarną metalową sztangę, wystarczająco długą, żeby zmieściła się w moim języku.

– Onyks z Morza Czarnego, metal wykuty w ogniu smoka. Pasuje ci?

Oczy mi się rozszerzyły, spojrzałam na sztangę i kiwnęłam głową.

– Ogień smoka? Masz na myśli... masz na myśli prawdziwego...?

Vian przytaknął, Zane również. Z jakiegoś powodu informacja, że smoki naprawdę istnieją, porządnie mną wstrząsnęła, choć przecież niejedno już w życiu widziałam.

– Jest idealny – skwitowałam.

Vian uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym zwrócił się do zgromadzonych demonów i oznajmił z podekscytowaniem w głosie:

– Zane przyprowadził człowieka, żeby założyć mu metal!

Wszystkie demony natychmiast się ożywiły. Te zakute ochoczo napięły swoje łańcuchy, przygotowując się na przedstawienie, a te zebrane wokół przysunęły się nieco bliżej. Wcześniej, kiedy tańczyliśmy, byłam zachwycona, że jestem w centrum uwagi i imprezowicze przyglądają się, jak Zane robi mi dobrze. Ale teraz miałam przed sobą tłum oczekujący bólu i niecierpliwie wypatrujący, kiedy spektakl się zacznie. Ponad nami, na wyższych poziomach, jeszcze więcej demonów wychylało się, żeby mieć lepszy widok.

– Nie musimy tego robić tutaj – powiedział cicho Zane, przytulając mnie do siebie od tyłu. – Jeśli chcesz, możemy to zrobić na osobności.

Odetchnęłam głęboko i odwróciłam się w jego stronę.

– Nie. Chcę, żeby to zobaczyli. Chcę, żeby wiedzieli.

Objęłam go za szyję i przysunęłam się jeszcze bliżej.

– Chcę, żeby wszyscy się dowiedzieli, że należę do ciebie.

Uśmiechnął się szeroko, a ja poczułam przyjemnie pulsującą twardość w jego spodniach.

– Taaa? Urządzimy dla nich show, kochanie?

– Taki, którego nigdy nie zapomną.

Vian zwrócił się z powrotem do nas, tym razem podał skórzaną sakiewkę.

– Twój sprzęt. – Wręczył sakiewkę Zane’owi i puścił do mnie oko. W woreczku znajdowały się wysterylizowane igły w różnych rozmiarach oraz metalowe klamerki.

– Wszyscy wydają się tacy podekscytowani – wyszeptałam.

Vian pokiwał głową.

– Naznaczanie, podarowanie komuś metalu jest uznawane za uroczyste wydarzenie, nawet jeśli odbywa się prywatnie – wyjaśnił. – Ale publicznie...? Szalejemy za tym! Napięcie, krew, ból, ekstaza... – Zachichotał cichutko. – Po to właśnie żyjemy!

Ekscytacja była zaraźliwa. Rozchodziła się w powietrzu, aż mnie ciarki przechodziły. Tłum zaczął mamrotać, a z głośników płynął niski, pulsujący beat, który na wskroś przenikał moje ciało. Zane objął moją twarz, na kilka chwil odgradzając mnie od tego wszystkiego.

– Pamiętaj, żeby ze mną rozmawiać – przypomniał. – Jeśli poczujesz się przytłoczona, jeśli to będzie dla ciebie zbyt wiele, powiedz mi o tym.

– Powiem ci – obiecałam. – Jeśli mnie wkurzysz, na pewno nie zacisnę zębów i nie będę udawać, że wszystko jest w porządku. – Nie wiedziałam, które uczucie jest silniejsze: strach czy ekscytacja. Zniżyłam głos i dodałam: – Ufam ci, Zane.

Pocałował mnie mocno i namiętnie. W trakcie pocałunku poczułam metal w jego języku i żołądek mi się ścisnął z niecierpliwości. Zane

chwycił mnie za tyłek, ścisnął, po czym odwrócił w stronę tłumu i zmusił, żebym uklękła.

Klękając, odetchnęłam głęboko. Zane pochylił się i pocałował mnie w skroń, po czym pożądliwie kłapnął zębami tuż przy moim uchu. Następnie powoli rozsunał moją pozbawioną guzików koszulę. Zsuwając ją w dół, całował moje ramiona i plecy, kawałek po kawałku.

Nigdy wcześniej nie pozwoliłam tak wielu ludziom patrzeć na swoje blizny. Nawet kiedy zakryłam je tatuażami, rzadko nosiłam ubrania z dekoltem.

Tak długo wstydziałam się tych blizn. Tak długo musiałam nosić na sobie znaki brutalności i okrucieństwa innej osoby. Za każdym razem, kiedy spoglądałam w lustro, przypominały mi, co mi zrobiono, przypominały mi, że moja wola została zlekceważona, że zostałam wykorzystana, że moje życie zostało uznane za pozbawione wartości.

Jednak Kent Hadleigh nie żył. Blizny należały teraz do mnie. Nie czułam już takiego przerażenia, kiedy na nie patrzyłam. Nie czułam nienawiści do samej siebie.

Nie musiałam się wstydzić tego, co się stało. Byłam odważna. Przetrwałam. Zaszłam tak kurewsko daleko.

Wzięłam głęboki wdech i spróbowałam się rozluźnić. Miałam ochotę natychmiast się zakryć, ale zmusiłam się, żeby tego nie robić; w pierwszym odruchu chciałam się schować, ale tego również nie zrobiłam. W oczach wpatrujących się we mnie demonów nie zobaczyłam obrzydzenia, tylko pożądanie, podziw, żądzę, zazdrość. A kiedy Zane mnie okrążył, by przede mną stanąć, w jego oczach ujrzałam czyste uwielbienie.

Przykucnął i odgarnął mi włosy z twarzy. Przesunął pazurami po mojej klatce piersiowej, wodząc nimi po konturach moich tatuaży, a następnie pochylił się, żeby ucałować moje blizny, i szepnął:

– Jesteś cholernie piękna.

Drżałam za każdym razem, kiedy mnie dotykał; gwałtownie nabierałam tchu, gdy znajdował kolejne miejsce, którego się wstydziłam. Tuż pod uchem, w zagłębieniu obojczyka, po wewnętrznej stronie nadgarstka – każde całował, lizał i kąsał. Każdy jego dotyk, choćby najdelikatniejszy, działał na moje ciało elektryzująco. Twarz mi płonęła, a tymczasem zatrzymało się na mnie jeszcze więcej par oczu, bo kolejne demony zatrzymywały się, żeby na mnie popatrzeć. W tłumie zauważyłam też kolejnych ludzi – nie tylko Sadie, stojąca obok Hany, ale mężczyzn i kobiety, którzy obserwowali mnie z szeroko otwartymi oczami, zafascynowani i przestraszeni, zazdrośni i stęsknieni.

– Widzisz, jak na ciebie patrzą, Juni? – Głos Zane’a łaskotał mnie w ucho, kiedy przesunął się za mnie, chwycił mnie za włosy tuż przy głowie i podniósł z pięt na kolana. – Pragną cię. Niektórzy z nich pragnęliby być tobą. A ja jestem zaszczycony, że przede mną uklękłaś.

Odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć, i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć mojego imienia na jego piersi. Poszarpana, nieładna blizna – podobna do moich. Podobna do mnie.

– Zanim cię zranię, kochanie, dam ci rozkosz. – Szarpnął mnie za włosy, żebym przechyliła do tyłu głowę, i przesunął pazurami po odsłoniętej szyi. Potem popchnął mnie do przodu, twarz miałam teraz na ziemi, a tyłek – w powietrzu. Ściągnął mi spodnie, a ja pozostałam w tej samej pozycji. Twarz mnie paliła – byłam zawstydzona, ale podniecona. Zdenerwowana, ale podekscytowana.

Miałam na sobie tylko majtki. Zane zaczął je pocierać, szczególnie w tym miejscu, gdzie zmoczyło je moje podniecenie. Następnie przesunął palcami po moich udach, ściskając je z aprobatą, aż dostałam gęsiej skórki.

– Kurwa, tak ładnie pachniesz...!

Tłum zamruczał na znak, że podziela jego zdanie, a moja twarz stanęła w płomieniach. Boże, przywykłam już do tego, że Zane mówi, że czuje zapach mojego podniecenia – ale teraz oni wszyscy to czuli. Nie mogłam się schować, nie mogłam udawać, że nie jestem absolutnie mokrusieńka na samą myśl o tym, co się wydarzy.

Zane schylił głowę i rozerwał zębami moje majtki. Kiedy zerwał ze mnie resztki bielizny i odrzucił na bok, a ja zostałam naga, w tłumie rozległy się głośniejsze pomruki. Chłodne powietrze całowało moją skórę. Oddech zaczął mi się rwać, zerkałam nerwowo na otaczające mnie twarze. Już się zastanawiałam, jak wyglądam, jakie odgłosy wydaję, jak pachnę...

To wszystko jednak przestało się liczyć, kiedy usta Zane'a znalazły się na mnie.

Jego rozdwojony język lizał moją łechtaczkę, zataczał koła wokół niej, drażnił i trącał najczulsze miejsca, aż wreszcie każdy dotyk wysyłał fale obehwładniającej rozkoszy przez wszystkie zakończenia komórek nerwowych. Używał również swojego piercingu, masując łechtaczkę gładką okrągłą główką sztang. Każdy dotyk ciepłego metalu sprawiał, że wydawałam z siebie cichy krzyk, aż w końcu poczułam napięcie w dole brzucha i ochoczo wygięłam plecy.

– Jak dobrze... – wydusiłam z siebie drżącym głosem. – Zerznij mnie, proszę...

– Mmmm, uwielbiam, kiedy błagasz – wymamrotał prosto we mnie, zadrżałam, czując wibrowanie jego słów. Mocniej chwycił mnie za uda i wbił we mnie pazury, jednocześnie wciskając we mnie język. Przysięgam, że potrafił wydłużyć język, kiedy tego chciał – teraz włożył go naprawdę głęboko, pieścił moje ścianki, fundując mi zupełnie inne doznania, niż kiedy działał palcami albo kutasem. Potrafił manipulować językiem

w zupełnie niesamowity sposób, każdy koniuszek poruszał się niezależnie, pieszcząc mnie, aż drżałam na całym ciele i krzyczałam bez opamiętania.

Nie mogłam się już dłużej powstrzymać. Nie mogłam się martwić o wygląd, przejmować się wstydem albo dumą. Byłam pijana rozkoszą; bałam się, a jednocześnie nie mogłam się doczekać tego, co tak mnie przerażało – igły przebijającej mój język. Tak bardzo tego pragnęłam, że ani strach, ani ból nie mogły mnie przed tym powstrzymać.

Przerażenie i pragnienie splatały się w najmroczniejszych zakamarkach mojego umysłu, strach zmieniał się w pożądanie. Ból był częścią przyjemności – nieuchronny moment zniszczenia był nierozzerwalnie związany z żądzą.

Zane i ja krwawiliśmy ze sobą oraz dla siebie. Ciało i krew były obietnicami, których nie umieliśmy ująć w słowa – były emocjami, których język nie potrafił w pełni wyrazić.

Moje ciało się naprężyło, nie byłam w stanie spokojnie odetchnąć. Muzyka, obserwujące mnie oczy, trzaskające wyładowania elektryczne w napiętej atmosferze pomieszczenia – wszystko to zniknęło w głębokich zakamarkach mojego umysłu. Utknęłam na skraju orgazmu, prowadzona ostrożnie po jego krawędzi; nie mogłam spaść, ale również oddalić się na bezpieczną odległość.

Usta Zane'a oderwały się ode mnie, a ja jęknęłam; wstrząsały mną drgawki, przed oczami miałam mroczki od nadmiernej stymulacji.

– Otwórz usta, kochanie.

Zrobiłam to. Wstał, zostawiając mnie na kolanach, i przyglądał się, jak zostałam w tej samej pozycji. Zwrócone na mnie oczy tłumy i ich podekscytowane uśmiechy nie miały dla mnie żadnego znaczenia, kiedy stał przede mną, uśmiechając się z metalowymi klamerkami w ręce. Przykucnął przede mną i zapytał cicho:

– Jesteś gotowa, kochanie?

Przytaknęłam, nadal z otwartymi ustami. Łechtaczka pulsowała, ciało pragnęło więcej i więcej. Zane unieruchomił klamerkami mój język i ustawił go we właściwej pozycji, spokojnie wybierając takie miejsce na kolczyk, żebym się z nim czuła komfortowo. Kręciło mi się w głowie i byłam tak zdenerwowana, że chciało mi się śmiać. Z trudem wytrzymywałam bez ruchu.

Zane podniósł igłę, metal zaśnił w ultrafiolecie. Z bliska wydawała się okropnie gruba, ale Zane klasnął cicho językiem, żebym się skupiła na jego twarzy.

– Nie bój się – powiedział cicho. – Ze mną jesteś bezpieczna.

Miałam ochotę zamknąć oczy, ale zmusiłam się, żeby zostawić je otwarte. Patrzyłam w jego twarz zamiast w igłę. Z absolutnie spokojnym, ostrożnym opanowaniem zbliżył igłę do mojego języka.

Być może to była rozkosz nadal zalewająca moje ciało, być może raczej adrenalina. Tak czy siak, kiedy igła przekłuła mój język na wylot, poczułam tylko uszczypnięcie. Demony wokół nas wyły, wznosiły radosne okrzyki i wrzeszczały, żeby wyrazić swój entuzjazm. Jednak ja widziałam jedynie Zane'a. Poczułam lekkie szarpnięcie, kiedy włożył mi kolczyk do języka, zabezpieczył i zdjął klamerki. Następnie wziął w ręce moją twarz, uśmiechnął się, a ze mnie wreszcie trochę opadły emocje i również parsknęłam słabym, oszołomionym śmiechem.

– Jak się czujesz, kochanie? – Tylko kiwnęłam głową, ponieważ czułabym się dziwnie, odzywając się z metalem w języku. Pocałował mnie w czoło i przeniósł ręce z twarzy na gardło. – Dobrze ci poszło. Byłaś cholernie odważna.

Przesunął mnie do przodu, a sam się położył. Usiadłam mu na głowie, a on chwycił mnie za biodra i zsunął na twarz. Czułam w ustach krew, język

bolał mnie od tego dziwnego, nowego metalu. Jednak te doznania przestały się liczyć, kiedy jego nienasycone usta zaczęły mnie pożerać. Ekstaza popłynęła moimi żyłami jak narkotyk, każdy ruch jego języka wznosił mnie wyżej i wyżej.

A on mruczał i spoglądał na mnie spomiędzy moich nóg, niecierpliwie ssąc moją łechtaczkę. Orgazm uderzył we mnie z taką siłą, że aż krzyknęłam, choć mój głos drżał. Zacisnęłam uda na jego głowie, ale on nie przestawał. Choć orgazm ścisnął mnie tak bardzo, że nie mogłam złapać tchu, on nadal ssał i lizał, przytrzymując mnie w miejscu. Nie przestał, dopóki nie doprowadził mnie do szału; dopóki drżącym głosem nie wykrzykiwałam jego imienia.

Byłam zbyt wyczerpana, zbyt oszołomiona, żeby pamiętać wiele z tego, co się działo dalej. Pamiętam, że żegnałam się z kilkoma osobami, a Hana i Sadie uściskały mnie na do widzenia. Jednak przede wszystkim pamiętam, że Zane wziął mnie na ręce, bo ciało ma swoje limity, a ja praktycznie przy każdym kroku potykałam się o swoje stopy. Pamiętam, że siedział ze mną w jeepie, trzymał mnie na kolana, a ja oparłam głowę na jego ramieniu.

Czułam się bezpieczna. Boże, po tak długim czasie wreszcie znalazłam dom.

Juniper

– Nie po to zmiądzylem pół ciała tego starego skurczybyka, żeby teraz tak mnie dyskredytować! Kurwa mać.

Zamknęłam stronę z wiadomościami na telefonie, podśmiechując się z oburzenia Zane'a. Minęło kilka dni od imprezy halloweenowej, a lokalna gazeta dopiero teraz zapodała bombę: *PREZES LOKALNEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO ZNALEZIONY MARTWY, WSZYSTKO WSKAZUJE NA SAMOBÓJSTWO*. Była to pierwsza i jedyna publiczna wzmianka na temat losu Kenta, którą widziałam, i nie miałam cienia wątpliwości, że za wyciszeniem sprawy stali pozostali Hadleighowie.

– Tym lepiej dla nas – stwierdziłam. – Tylko tego nam jeszcze brakowało, żeby wszyscy w Abelaum zaczęli świrować, bojąc się grasującego na wolności zabójcy. Hadleighowie nigdy nie lubili, kiedy policja za bardzo węszyła. Mogę się założyć, że zapłacili komuś, żeby śmierć Kenta wyglądała dokładnie tak, jak sobie życzyli.

Zane prychnął.

– A ja nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zapanuje chaos! Przerażeni ludzie pędzący do domu, gdy tylko słońce zaczyna zachodzić, ryglujący drzwi, nieufający sobie nawzajem. To by była zabawa!

– Przecież to się i tak dzieje! – zauważyłam. – W Abelaum wszyscy wiedzą, że między nimi krążą potwory, tylko nie potrafią ich nazwać. A teraz jeden z tych potworów wreszcie nie żyje.

– Ciekawe, czy rodzina wie, że to my za tym stoimy. – Zane oparł się o ladę. Miał na sobie tylko obcisłe czarne slipy. – Nie zauważyłem

monitoringu.

Podobał mi się jego zwyczaj chodzenia po domu prawie nago. Rozpraszało mnie to, ale w przyjemny sposób. Za każdym razem, gdy zaciskał swoje wielkie ręce na kuchennym blacie, we mnie też coś się zaciskało. Demon doprowadził mnie do tego, że podniecał mnie widok jego rąk.

Silnych, żyłastych, zdolnych do uduszenia.

– Kent w pierwszej chwili wziął cię za Leona. – Wzruszyłam ramionami. – Coś mi mówi, że to właśnie jego obwiniają. Prawdopodobnie dlatego też nie chcą, żeby ktoś za bardzo grzebał w tej sprawie. Boją się, że jakiś wścibski dziennikarz odkryje, że ulubiona rodzinka całego Abelaum bawi się w przywoływanie demonów, składanie ofiar z ludzi, a na dodatek ma własną sektę.

Zane zachichotał.

– Leon będzie cholernie zazdrosny, że to ty zabiłaś Kenta. Od lat gada o zabiciu tego skurwiela.

– Ma ręce pełne roboty z Rae. Wątpię, czy potrzebuje jeszcze zawracać sobie głowę zabijaniem Hadleighów – powiedziałam, rozciągając ręce nad głową. – Hej, zamierzam wziąć samochód i skoczyć na śniadanie. Umieram z głodu.

Złapał mnie, kiedy wstawałam od stołu, przyciągnął do siebie i przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Tylko się pospiesz. Chcę sprawdzić, jak ten metal w twoim języku sprawdzi się na moim kutasie.

Wysunęłam język, żeby się z nim podrażnić. Nadal był obolały, ale opuchlizna już zeszła i wyglądało na to, że będzie się ładnie goić.

– Mam czekać od sześciu do ośmiu tygodni, Zane. Tygodni. A to oznacza, że w najbliższym czasie nie zrobię ci laski.

– Piekielnie szkoda... – jęknął teatralnie. – Wy ludzie tak wolno dochodzicie do siebie...! Dzięki Lucyferowi jestem na tyle elastyczny, że mogę sobie wyssać sam.

Parsknęłam śmiechem, wyplątałam się z jego objęć i zgarnęłam kluczyki z blatu.

– Okej, teraz na pewno się pospieszę, bo za nic nie chciałabym przegapić takiego widowiska!

Dzień był szary, padał delikatny deszcz, a ja jechałam Main Street. Nie byłam pewna, o co dokładnie chodzi, ale od halloweenowej nocy czułam się inaczej. Zabicie Kenta i co za tym idzie, odzyskanie wiary w siebie, imprezowanie z demonami, poznanie tak wielu istot, które nie wzdrygały się, słysząc o mojej przeszłości, wreszcie zgodzenie się, żeby Zane przekłuł mój język – to wszystko obdarzyło mnie całkiem inną siłą niż ta, którą znałam.

Jak dotąd siła oznaczała dla mnie jedną prostą rzecz – przetrwanie. Czy byłam wystarczająco silna, żeby przebrnąć przez kolejny dzień? Czy byłam wystarczająco silna, żeby pokonać kolejnego potwora, który próbował mnie zabić? Jednak ta nieznana siła... siła, którą poczułam, kiedy poddałam się Zane'owi i pozwoliłam mu przekłuć sobie język... to było coś zupełnie innego. Powiedziałam prawdę i mi uwierzono, zdjęłam maskę, nie obawiając się, że zostanę odrzucona. To było coś naprawdę nowego. Coś zupełnie innego niż siła, którą czułam, trzymając broń albo odbierając życie.

Ta siła była spokojna i cicha. Jak wschodzące o poranku słońce, jak ocean wygładzający kamień, jak moc drzemiąca w najstarszych, najwyższych drzewach. To nie była siła, którą można było wykorzystać

w walce, którą można było mi odebrać. Była naturalna, stanowiła nieodłączną część mnie.

Zatrzymałam się przy niewielkiej kafejce w mieście. Kanapki były tu cholernie drogie, ale było to jedyne miejsce w Abelaum, gdzie można było dostać sandwicha z chrupiącym bekonem na słodko. Zapłaciłabym każdą cenę za pieprzony bekon na słodko! Z sandwichem i kubkiem gorącej czarnej herbaty usiadłam w zaparkowanym przy drodze samochodzie, ciesząc się łagodnym szmerem deszczu.

Dobrze wiedziałam, dlaczego Abelaum przyciągało tak wiele osób. Uniwersytet to jedno, oczywiście, że ciągle przybywali tutaj młodzi ludzie. Jednak miasteczko miało w sobie spokojny czar, którego nie dało się nie zauważyć, obietnicę, że będzie się tu mile widzianym gościem. Inna sprawa, że to ciepłe przyjęcie zamieniało się w śmiertelną pułapkę, gdy tylko gość zdecydował się zostać.

Chciałam wyjechać z Abelaum, gdy tylko zakończę swoją misję, ale nie miałam pojęcia, dokąd miałabym się udać. Nigdy nie uważałam się za osobę, która jest w stanie osiąść gdzieś na stałe – mieć własny dom, założyć rodzinę, zapaść korzenie. Lecz niewykluczone, że kiedy to wszystko się skończy, może i na mnie będzie czekała gdzieś bezpieczna przystań.

Może będzie to miejsce, które spodoba się również Zane'owi.

Prawie zakrztusiłam się herbatą, gwałtownie nurkując w fotelu. W moją stronę zmierzała Victoria Hadleigh w pelerynie z kapturem naciągniętym głęboko na twarz. Miała w ręku telefon, mówiła szybko, co kilka kroków zerkając nerwowo przez ramię. Pod zaczerwienionymi oczami miała wory, a jej twarz była blada.

Im była bliżej, tym dokładniej widziałam, jak źle wygląda. Gdy wrzuciła telefon do kieszeni, zauważyłam, że kilka z jej długich

akrylowych paznokci jest połamanych. Z kolei wory pod oczami nie były tylko oznaką niewyspania.

Victoria miała podbite oczy.

Co się, kurwa mać, wydarzyło?

Dochodziła już do samochodu, kiedy mnie zauważyła. Przystanęła, powoli mrugając oczami, a po chwili jej zmieszanie zamieniło się w czyste przerażenie.

Rzuciła się do ucieczki, ale za cholere nie miałam zamiaru stracić jej z oczu.

Pojechałam za nią samochodem, utrzymując dystans, ale nie dając jej szansy się schować. Spodziewałam się, że wróci do swojego auta, ale ona nadal szła na nogach. Skręciła z Main Street w krętą uliczkę, która okalała nowe osiedle mieszkalne nad zatoką, i popędziła przed siebie. Dotarła do parku i przebiegła przez trawnik, więc nie mogłam dalej podążać za nią samochodem.

Musiałam podjąć decyzję – zaryzykować, że powie rodzinie, że mnie widziała, albo...

Albo ją zabić. Tutaj. Teraz. Miałam ze sobą tylko nóż, a kiedy zaczęłam się gorączkowo rozglądać za telefonem, bo chciałam zadzwonić do Zane'a, zorientowałam się, że zostawiłam go w domu.

Cholera. W takim razie byłam zdana na siebie i swój nóż.

Jednak w momencie, gdy miałam wysiadać z auta, a Victoria dotarła do przeciwległego końca parku i właśnie miała przebiec przez ulicę i popędzić w stronę plaży, obok niej zatrzymał się czarny SUV.

Zamknęłam drzwi i patrzyłam, jak Victoria się zatrzymuje i wbija wzrok w samochód. Gdy otworzyły się drzwi od strony pasażera, natychmiast zaczęła się wycofywać, bo pojawił się w nich nie kto inny jak Jeremia i ruszył w jej kierunku.

To by było na tyle, jeśli chodzi o dopilnowanie, żeby się nie wygadała, że mnie widziała.

Jednak Jeremiaś nie wydawał się zainteresowany tym, co miała mu do powiedzenia, gorączkowo wskazując stronę, z której przybiegła. Machała rękami jak szalona, w miarę jak Jeremiaś się do niej zbliżał, cofała się coraz szybciej. Tyłne drzwi SUV-a otworzyły się i z pojazdu wysiadło jeszcze dwóch mężczyzn. Na ich widok Victoria próbowała uciekać, ale nie dotarła daleko.

Jeremiaś chwycił ją brutalnie; udało jej się wydobyć z siebie zaledwie krótki krzyk, zanim zatkał jej usta ręką. Pozostali mężczyźni pospieszyli mu z pomocą, a ona zaciekle walczyła – walczyła z nimi, jakby bała się o życie.

Co się, do kurwy nędzy, powyrabiało z Libiri, odkąd zabrakło Kenta?

Zawlekli ją do SUV-a i wrzucili na tylne siedzenie, gdzie załadowali się również dwaj mężczyźni, a Jeremiaś usiadł z przodu. Ruszyli, a ja włączyłam silnik. Musiałam zobaczyć, dokąd ją zabierają. Jednak kiedy za nimi jechałam, próbując utrzymać się w odpowiedniej odległości, poczułam twardą, zimną kulę w żołądku.

SUV opuścił Abelaum i jechał na północ, wzdłuż zatoki, a ja zrozumiałam, dokąd ją wiozą.

Kierowali się do White Pine.

Powinłam wrócić do domu. To nie była historia, w jaką powinłam się pakować bez Zane'a przy boku. A jednak nie chciałam ryzykować, że ich zgubię. Podejrzewałam, co zamierzają zrobić, a jeśli miałam rację...

Jeśli miałam rację, bardzo szybko zrobi się naprawdę nieciekawie.

Trzy ocalone życia w zamian za trzy dusze, a jedną z tych dusz miał być Jeremiaś albo Victoria. Jeremiaś nie ukrywał, że nie ma zamiaru poświęcać swojego życia.

Byłam coraz bardziej niespokojna, zwiększyłam dystans między naszymi samochodami. Zane niedługo zacznie się zastanawiać, gdzie jestem, a jeśli będę miała szczęście, wytropi mnie po zapachu. Jeśli Libiri złoży Victorię w ofierze, nie chciałam nawet myśleć, jak bardzo Bóg urośnie w siłę, a co za tym idzie, jak wielka władza znajdzie się w rękach sekty.

Nie sądziłam, że do tego dojdzie, ale nie mogłam pozwolić Victorii umrzeć. Nie w ten sposób.

Gdy dotarłam do końca wąskiej, wijącej się leśnej drogi gruntowej, SUV był już zaparkowany i pusty. I nie był tu jedynym pojazdem. Wzdłuż drogi stało przynajmniej dwanaście innych samochodów, a wszystkie puste.

Wcisnęłam plecy w oparcie fotela, zaciskając palce na kierownicy. Musiałam zachować spokój. Nie mogłam stracić zimnej krwi. Moje wspomnienia – te pojawiające się znikąd, natrętne, bolesne migawki – zdecydowanie musiały zostać w miejscu, do którego należały. W przeszłości.

Poruszając się na tyle szybko, na ile starczyło mi odwagi, ruszyłam w górę ścieżką prowadzącą do katedry pod wezwaniem Świętego Tadeusza.

Juniper

Powietrze było ciężkie od dymu z ogniska i zapachu mokrej, zamienionej przez deszcz w błoto ziemi. Woń dymu sprawiła, że poczułam ostre ukłucie strachu w sercu – strachu, który przytłoczył mnie jak ciężki głaz. Jednak nie mogłam się już wycofać, nie teraz. Nie mogłam pozwolić, żeby złożyli kolejną ofiarę.

Stare drewniane schody wiodące do wysokich drzwi katedry były pokryte błotnistymi śladami, a łańcuch, który zazwyczaj bronił do nich dostępu, był odsunięty na bok. Ze środka dochodził szmer głosów, jednak nie śmiałam za bardzo zbliżyć się do drzwi. Musiałam znaleźć inny sposób, żeby się tam dostać.

Jako nastolatki ja i Victoria wślizgiwałyśmy się do środka tylnymi drzwiami, które prowadziły przez zakrystię. Jeśli byłeś młodym wykolejencem dorastającym w Abelaum, wcześniej czy później musiałeś wylądować w Świętym Tadeuszu. Przychodziłyśmy tutaj, żeby palić, pić i pieprzyć się z naszymi aktualnymi wielkimi miłościami w ciemnych zakamarkach za amboną. Czułyśmy, że popełniamy świętokradztwo, że przekraczamy granice, a jednocześnie te chwile miały dla nas smak wykradzonej wolności. Byłyśmy tu dziesiątki razy, zanim Victoria przeprowadziła mnie przez te drzwi, a ja zrozumiałam, że nasze sekretne miejsce wcale nie było sekretne.

Stara zakrystia miała zapach kurzu i pleśni. Na zniszczonej drewnianej posadzce były kałuże pełne zastanej wody, a puste półki pokrywał kurz. Za kolejnymi drzwiami znajdowała się nawa – od czekającej tam sekty dzieliły

mnie tylko jedne drzwi. Serce mi waliło, zrobiło mi się niedobrze. Im więcej myślałam o tym, gdzie się znalazłam, tym mocniej kręciło mi się w głowie.

To nie było wspomnienie, to była rzeczywistość. To było moje tu i teraz. Jednak, Boże, tak bym chciała, żeby był ze mną Zane...! Jego obecność by mnie uspokoiła, rozkładał nade mną parasol ochronny, którego tak bardzo potrzebowałam.

Stare deski zaskrzypiały pod moimi nogami, a ja zadrżałam. Z trudem przełknęłam ślinę, na moment zaciskając oczy. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że Czatownik już tam jest. Podążał za mną krok w krok, czekał na swoją okazję. Czekał na moment, kiedy przytłoczy mnie strach, żeby pchnąć mnie w tą głęboką, mroczną, niebezpieczną otchłań moich koszmarów sennych.

Zane powiedział, że mam go ignorować. Dlatego nie zamierzałam nawet obdarzyć go choćby jednym spojrzeniem.

Zrobiłam mocny wydech. Panowałam nad sytuacją. Musiałam tylko zachować spokój.

Podkradłam się pod drzwi i powoli je uchyliłam. Nawę wypełniał drgający blask ognia, rzucając upiorne cienie na stare ściany oraz stromy, zniszczony strop. Nie mogłam dojrzeć, co się dzieje z przodu kościoła, ale widziałam ambonę. Otaczały ją zapalone świece przycupnięte na górze wosku, który się z nich wytopił na przestrzeni lat. Z nawy dobiegał szmer głosów i szuranie butów, jednak tłum zgromadzonych znajdował się poza zasięgiem mojego wzroku.

Jeremiah, odziany w nieskazitelnie biały garnitur, opierał się o ambonę, spoglądając na swoje zgromadzenie. Teraz to on stał na ich czele, co do tego nie było wątpliwości. Wiedziałam, że po śmierci Kenta wśród Libiri

zapanuje chaos, ale nie sądziłam, że Jeremiaś zareaguje tak szybko i tak... brutalnie.

Całkiem jakby był na to gotowy. Jakby tylko na to czekał. Nie tego się spodziewałam. Myślałam, że przez kilka tygodni Libiri będą między sobą walczyć, bo żaden pretendent do roli przywódcy nie będzie chciał ustąpić.

Jednak Jeremiaś już stał się ich przywódcą. Miał swoich ludzi, młodych mężczyzn, prawdopodobnie kolegów ze studiów, którzy nabrali się na jego kłamstwa i pragnęli takiego rodzaju władzy, jaką im oferował. Władzę, która pozwalała im bez żadnych konsekwencji porwać z ulicy kobietę.

Nienawidziłam Victorii, ale gdy zobaczyłam ją związaną u stóp brata, zrobiło mi się niedobrze. Jej peleryna zniknęła, bluzkę miała podartą i była cała w błocie, jakby ją tutaj przywleczono. W ustach miała brudną szmatę, a jej usta krwawiły. Stała za amboną, otoczona przez ludzi. Nie miałam żadnych szans, żeby do niej dotrzeć.

– Bracia i siostry – odezwał się nagle Jeremiaś, a jego głos odbijał się echem w katedrze. Tłum zamilkł. – Już czas.

Nie miałam szans, żeby to powstrzymać. Gdyby był tu Zane, moglibyśmy ich wszystkich zabić, moglibyśmy raz na zawsze zrobić z tym syfem porządek.

Jednak byłam sama ze swoim nożem, a to nie wystarczyło. Do cholery, to nie wystarczyło!

W kościele zapadła cisza. Słyszeć było jedynie szum deszczu i cichutkie, rozpaczliwe pochlipywanie Victorii. Jeremiaś powoli powiódł wzrokiem po tłumie, którego nie widziałam, pochylił się i mocno zacisnął palce na pulpicie. Ciągle miałam przed oczami stojącego w tym samym miejscu jego ojca, aż za dobrze to pamiętałam. Wciąż brzmiały mi w uszach słowa, którymi zwrócił się do wyznawców. Brzmiało to tak szczerze, przemawiał jak człowiek, który wierzy, że czyni słuszną rzecz.

To właśnie było najbardziej przerażające – oni szczerze wierzyli, że postępują słusznie.

– Kilka dni temu – zaczął Jeremiaś – wszyscy ponieśliśmy ogromną stratę: straciliśmy naszego ojca, naszego przewodnika, naszego pasterza. Ludzie z zewnątrz dowiedzą się, że popełnił samobójstwo. Nie możemy postąpić inaczej, bo musimy chronić to, co mamy. Jednak my znamy prawdę, czyż nie? – W tłumie ponownie rozległ się szmer. – Wiemy, że Kent Hadleigh został zamordowany przez swoje oddanie Bogu!

W tłumie rozległy się okrzyki gniewu i wołanie o sprawiedliwość. Zacisnęłam palce na drewnianej framudze, aż stare deski skrzypnęły, a ja natychmiast wstrzymałam oddech, kuląc się w sobie. Lecz Jeremiaś był zbyt zaabsorbowany swoją przemową, żeby mnie zauważyć.

– Jednak to my zatriumfujemy, bracia i siostry! – oznajmił. – Poprowadzę was. Dopilnuję, żeby nasze obietnice zostały dotrzymane. Dopilnuję też, żeby śmierć mojego ojca została pomszczona. Jego mordercy zostaną srogo ukarani za świętokradztwo, którego dokonali, bo taka jest wola Boga.

– Taka jest wola Boga – wymamrotał tłum. Musiałam stąd wyjść. Nic nie mogłam zrobić. Nie było sposobu, żeby to zatrzymać bez narażania się na niebezpieczeństwo. Jednak w tym momencie Jeremiaś kucnął, chwycił siostrę za ramię i przywłókł ją na ambonę.

– Zgodnie z wolą Boga moja droga siostra Victoria dołączy do Istoty z głębin – powiedział, podczas gdy Victoria rozpaczliwie próbowała mu się wyrwać. – Trzy ocalone życia w zamian za trzy dusze. Teraz wyślemy do Boga drugą duszę w podziękowaniu za Jego litość i z nadzieją na nadejście nowego świata.

– Trzy ocalone życia w zamian za trzy dusze – powtórzyli wyznawcy. Victoria nie patrzyła na nich; spoglądała na Jeremiaśa rozszerzonymi

oczami, w których malowało się oskarżenie, przerażenie i nienawiść. Ściskając ją tak bardzo, że aż jego palce zagłębiły się w jej skórę, Jeremiaś pochylił się i pocałował ją w czoło, mamrocząc coś, czego nie mogłam usłyszeć. Victoria zaczęła gorączkowo potrząsać głową. Następnie ją puścił, a dwóch jego ludzi podeszło, żeby ją skrępować, zanim zdołała się odczołgać. Znowu krzyczała, choć jej krzyki były stłumione przez knebel. Jeremiaś wrócił do pulpitu i podniósł nóż, aby w ostrzu odbiły się płomienie ogniska.

Znałam ten nóż. Ciemna rzeźbiona rączka była ozdobiona małymi wypustkami, przypominającymi macki ośmiornicy. Chciałam się wycofać, chciałam stąd odejść – ale nie mogłam ruszyć się z miejsca. Wpatrywałam się w ten nóż jak zahipnotyzowana, a Jeremiaś stał przed Victorią i mówił:

– Nasza siostra Victoria się boi, ale czy wszyscy nie boimy się potęgi naszego Boga? Czy wszyscy nie boimy się tego, czego może od nas zażądać? Jednak to nie czyni nas mniej oddanymi. To nie czyni nas mniej zdeterminowanymi. Jest tak, jak powinno być.

– Jest tak, jak powinno być.

– Nie pozwolimy, żeby strach Victorii powstrzymał ją przed okazaniem posłuszeństwa Istocie z głębin. Będziemy dla niej silni. Dopilnujemy, żeby wypełniła swój obowiązek.

Tak bardzo przypominał swojego ojca – po prostu skóra zdjęta z Kenta.

Deski za mną ponownie skrzypnęły. Owiał mnie zimny oddech. Kątem oka widziałam czerwoną jak krew postać, ale postanowiłam, że nie spojrzę w tamtą stronę. Z trudem przełknęłam ślinę, po plecach spływał mi zimny pot, kiedy te sztywne, pozbawione skóry palce musnęły moje ramię.

– Nie – szepnęłam. – To nie jest koszmar senny. Wiem, gdzie jestem.

Jeremiaś pochylił się z nożem, a ja ujrzałam na miejscu Victorii samą siebie. Widziałam siebie krzyczącą, szlochającą, szamoczącą się, błagającą.

Widziałam otaczające mnie zamaskowane twarze, obserwujące mnie w milczeniu, odmawiające mi pomocy.

Czułam żółć w ustach, kiedy patrzyłam, jak ją tną.

Krzyczała, ale dźwięki wychodzące z jej ust były stłumione. Wszystko wydawało się zamazane. Skupiłam się na fakturze starej framugi pod moimi palcami. Próbowałam zatracić się w zapachu dymu i szumie deszczu. Spadałam, znajdowałam się coraz bliżej tego niebezpiecznego miejsca, w którym byłam całkowicie bezbronna.

Czatownik wpatrywał się zimnym wzrokiem w moją potylicę. Jego obrzydliwe palce nadal dotykały mojego ramienia. Nie mogłam pozwolić, żeby wciągnął mnie z powrotem w ciemność. Mocno przygryzłam wargę, gryzłam ją, aż zaczęła krwawić. Ból pomagał mi zachować rozsądek, ale i tak przychodziło mi to z wielkim trudem.

Wydawało mi się, że czas się zatrzymał. A gdy Jeremiaś się wyprostował, zostawiając na posadzce zakrwawiony nóż, czas nagle pognął do przodu, ja zaś widziałam wszystko z przerażającą jasnością.

– Zanieśmy ją na wzgórze – powiedział Jeremiaś, a ja miałam wrażenie, że w jego oczach zgasło światło, zostawiając jedynie bezkresną, zimną ciemność. – Zabierzmy ją do Boga.

Powoli wstałam. Cofałam się jak najostrożniej, aż dotarłam do drzwi, przez które tu weszłam. Wtedy, dopiero wtedy zerknęłam za siebie. I dopiero wtedy spojrzałam w twarz Czatownikowi, który teraz przykucnął w cieniu i wybałuszał na mnie oczy.

Palce mu zadrżały. Ani na moment nie spuścił wzroku z mojej twarzy.

Pragnął mnie. Pragnął mojego przerażenia, mojego bólu. Pragnął tego niekończącego się krzyku z moich koszmarów.

Potrząsnęłam głową. Nie tym razem. Nie tym, kurwa, razem.

Wyślizgnęłam się przez drzwi i pobiegłam przed siebie w chłodnym deszczu.

Byłam już w połowie drogi do samochodu, kiedy mój żołądek się zbuntował. Zgięłam się wół i zwymiotowałam na ziemię. Stłumione krzyki Victorii nadal dzwoniły mi w uszach. Brzmiały całkiem jak moje. To straszne miejsce, ten nóż, ten zapach, ten chłód...

Stałam i przyglądałam się w milczeniu. Nic nie zrobiłam – ale przecież nic nie mogłam zrobić. Victoria zasłużyła na śmierć, zrobiła mi to samo. Przeprowadziła mnie na rzeź. Rzuciła mnie na pastwę ludzi, którzy mnie torturowali.

Splunęłam i wytarłam usta wierzchem dłoni. Musiałam stąd spadać. Musiałam wrócić do Zane'a, w bezpieczne miejsce. Podmuch wiatru uderzył w drzewa, przynosząc ze sobą stęchły zapach śmierci.

Gdy spojrzałam przed siebie, na ścieżkę, którą miałam wrócić do samochodu, zauważyłam coś, czego wcześniej nie widziałam: liczne skupiska białych grzybów. Były wszędzie, wyrastały z ziemi, przywarły do pni drzew, kryły się między korzeniami. Setki... tysiące... były wszędzie.

Popatrzyłam na swoje drżące dłonie. Dłonie, które w przeszłości były ubrudzone krwią, które zabijały, które pomagały mi przetrwać. Dłonie, dzięki którym wydostałam się z tej samej kopalni, do której Jeremia i Libiri mieli właśnie wrzucić Victorię.

Mnie wrzucili żywą. Victorię też wrzucą żywą. Nadal miałam czas, by zapobiec złożeniu kolejnej ofiary.

Juniper

Zeszłam ze ścieżki i puściłam się pędem wśród drzew. Miałam w ręku nóż, byłam gotowa – Boże, ale ze mnie idiotka, że nie wzięłam ze sobą broni! Jednak nie planowałam się wychylać. Wiedziałam, co muszę zrobić. Kiedy wrzucą Victorię do szybu, poczekam, aż się oddalą, a potem wyciągnę ją na zewnątrz. Co z nią później zrobię? Tego za cholere nie wiedziałam. Zawsze myślałam, że zabiję ją bez mrugnięcia okiem. Próbowałam ją zabić, lata temu, i zostałam za to zamknięta. Chciałam jej śmierci.

Ale nie takiej. Nie po tym, jak zachowałam się w taki sam gówniany, haniebnym sposobem, co reszta tych załganych tchórzy. Patrzyłam, jak ją tną, i nic nie zrobiłam. Owszem, nienawidziłam jej, owszem, chciałam przyłożyć nóż do jej gardła i obserwować, jak wykrwawia się na śmierć, ale to nie znaczyło, że pozwolę, żeby nikczemny Bóg dostał to, czego chciał.

Nie byłam jak oni. Byłam lepsza. Nie zamierzałam w milczeniu przyglądać się temu horrorowi.

Nie zamierzałam dopuścić do tego, żeby Libiri triumfowali. Ani mi było w głowie spokojnie patrzeć, jak dogadzali Istocie z głębin, dając jej jeszcze więcej cierpienia.

Byłam przemoczona do suchej nitki, ale powoli zbliżałam się do celu – nad moją głową kołysały się niezliczone talizmany, zawieszane na zasupłanych sznureczkach i wirujące przy każdym powiewie wiatru. Nadchodziła burza. Deszcz lał się strumieniami, z oddali dochodziły pomruki grzmotów. Między drzewami już widziałam białe peleryny.

Grzyby pokrywały tu niemal każdy wolny skrawek gruntu. Schyliłam się i powoli skradałam, depcząc je przy każdym kroku. Wydzielały ostry zapach zgnilizny i obrzydliwie mlaskały pod moimi butami.

– Pospiesz się, Zane – szepnęłam do siebie. – Odszukaj mnie. Znajdź mnie, żebyśmy mogli razem załatwić tych skurwieli.

Gdyby udało mu się dotrzeć na czas, mieliśmy ich wszystkich zgromadzonych w jednym miejscu. Moglibyśmy ich zdjąć wszystkich naraz i zakończyć moją misję.

Nie wychylając się z cienia, próbowałam znaleźć miejsce, z którego uda mi się zerknąć poza morze białych peleryn. Wszyscy mieli na twarzach maski – kościste czaszki jeleni z czarnymi dziurami oczu. Wyglądało to upiornie, że stali tak bez ruchu, tak spokojnie, zebrani wokół miejsca tak przesiąkniętego złem, że od samego przebywania w jego pobliżu dostałam gęziej skórki. Czy naprawdę udało im się przekonać samych siebie, że to poczucie obrzydzenia jest piękne, tak samo jak wmówili sobie, że cierpienie jest szlachetne?

Na szczęście deszcz i dobiegające z oddali grzmoty zagłuszyły moje kroki, kiedy skradałam się przez zarośla. Smród zgnilizny i śmierci był nie do zniesienia, zalegał w moim nosie i zatykał mi gardło. Wreszcie dostrzegłam Jeremiaha stojącego przed otwartą dziurą prowadzącą do kopalni. On również miał na twarzy maskę, a u jego stóp klęczała Victoria. Była zakrwawiona, jej bluzka była w strzępach, żeby zrobić miejsce dla potwornych, poszarpanych znaków wyciętych w jej skórze. Wyjęli jej knebel, a choć głos miała zachrypnięty, nadal na nich krzyczała.

– Nie możecie mi tego zrobić! Znam was, znam, kurwa, każdego z was! Popelniacie błąd! Bardzo się, kurwa, pomyliliście!

– Mów tak dalej, siostró, a zaczniemy myśleć, że się sprzeciwiasz Bogu – ostrzegł ją Jeremiah.

– Pieprzyć to! Pieprzyć was wszystkich! Tata by nigdy do tego nie dopuścił...

– Och, tak uważasz? – Klęknął, a Victoria odsunęła się gwałtownie od jego ręki. – Tata powtarzał nam, odkąd byliśmy w kołysce, że pewnego dnia jedno z nas czeka ten los. Jesteś błogosławiona, Victorio. – Ze względu maskę, którą miał na twarzy, oraz szum deszczu nie mogłam być tego pewna, ale wydawało mi się, że w jego głosie słyszę śmiech.

Wiedział, że to wszystko jest kłamstwem, ale brnął w to, ponieważ w ten sposób zdobywał władzę. Pozwalało mu to stać dumnie nad ubłoconą siostrą. Mógł się poczuć nietykalny. Zacisnęłam palce na nożu. Nieważne, jakiemu Bogu służył. Nieważne, czy uważał się za błogosławionego, wybranego, czy jakie tam jeszcze bzdury sobie wymyślił.

Umrze jak jego ojciec.

– Czy ona nie jest błogosławiona? – wrzasnął w stronę tłumu, wstając. – Kto z was nie wahałby się ofiarować życia Istocie z głębin? Kto z was nie jest tchórzem w obliczu Boga?

Chwila wahania, potem druga. Przez moment myślałam, że nikt się nie zgłosi. Miałam nadzieję, że zobaczę, jak wszyscy się wycofują. Ale wtedy...

– Ja! – Biała peleryna wystąpiła z szeregu. Bezimienna, pozbawiona twarzy. – Ja w mgnieniu oka oddałbym się Bogu. Czułbym się zaszczycony, gdyby mnie wybrał...

Nie udało mu się skończyć. Jeremiaś zatopił w jego piersi nóż aż po sam trzonek. Złapał go, kiedy tamten osunął się na kolana, i przycisnął do piersi.

– W takim razie zostałeś wybrany. Istota z głębin cię wybrała. Istota z głębin da ci życie wieczne.

Nikt nawet nie drgnął. Rozległo się kilka żarliwych szeptów: „Jest tak, jak powinno być”, kiedy Jeremiaś ciągnął krwawiącego akolitę w stronę kopalni. Stał przed szybem i zdjął maskę, po czym zacisnął palce na pelerynie swojej ofiary, żeby ją przytrzymać.

– Boże! Wysłuchaj mnie! – Głos mu się załamał, kiedy wrzasnął. – Ofiaruję ci duszę, choć o to nie prosiłeś! Ofiaruję ci duszę, żeby pokazać, jak jestem ci oddany, jak cię wielbię! W zamian nie proszę o nic prócz błogosławieństwa.

Wrzucił swoją ofiarę w ciemność. Nie rozległ się nawet krzyk, a deszcz zagłuszył odgłos ciała uderzającego o wodę. Całkiem jakby ten człowiek został wrzucony w otchłań i miał tak spadać całą wieczność.

Victoria tymczasem rozszlochała się na dobre, potrząsając głową. Kolesie Jeremiaha pilnowali, żeby nie próbowała się odczołgać.

Jeremiaś rozłożył ramiona nad mrocznym otworem. Ciężko oddychał, a jego biały garnitur był poplamiony krwią. Zamknął oczy, odchylił do tyłu głowę i krzyknął:

– Istoto z głębin! Pobłogosław mnie!

Miałam wrażenie, że wszyscy naraz wstrzymali oddech. Czekali... obserwowali. Przyczałam się blisko jakiegoś pniaka, a teraz spojrzałam w dół, bo kątem oka dostrzegłam tam jakiś ruch.

Wokół moich stóp wystrzeliły w górę grzyby. Ciarki mnie przeszły po plecach, jakby ktoś przesunął zimnym palcem po moim kręgosłupie. Wiatr hulał wokół mnie, a wraz z jego wyciem doszedł mnie dźwięk czegoś przerażająco znajomego, głos, który słyszałam już zbyt wiele razy.

Jednak tym razem On nie wzywał mnie.

Wzywał Jeremiaha.

Wierni szeptali między sobą. Nagle ziemia pod naszymi nogami zadrżała i wszyscy zaczęli krzyczeć. Jeremiaś odwrócił się w ich stronę,

nadał z rozłożonymi ramionami.

– Widzicie? Czy wszyscy to widzicie? Bóg tu jest! Bóg nas usłyszał! Przyjął nasz dar! – Z szalonym uśmiechem na ustach spojrział na Victorię rozszerzonymi oczami. – A teraz przyjmie kolejny.

Potem wszystko potoczyło się tak szybko, że mój umysł przestał nadążać. Jeremiaś brutalnie podniósł krzyczącą i szarpiącą się Victorię – po czym podciął jej gardło.

Musiałam przełknąć wymioty, które znowu podeszły mi do gardła. Krew Victorii rozlała się po ziemi, a Jeremiaś wrzucił ją w ciemność, niedbale i szorstko. Poleciała na dół jak szmaciana lalka.

Cholera jasna, myliłam się. Tak bardzo się myliłam. Dla niej już nie było ratunku.

Ziemia znowu zadrżała, pod stopami wyczułam pulsowanie. Powietrze zgęstniało i tak ciężko zalegało mi w płucach, że z trudem powstrzymałam kaszel. Oblał mnie zimny pot, bo uświadomiłam sobie, że coś porusza się w szybie górniczym. To coś zmieniało kształt, ulegało nieustannej przemianie – sama ciemność się poruszała, jakby ktoś zamieszał atrament. Atrament się rozlewał, wyciekał z kopalni. Czarne macki ostrożnie macały drewniane wejście do szybu i podnosiły się do góry, jakby chciały coś złapać. Jedna z postaci w białych pelerynach głośno westchnęła, a następnie wydała z siebie krzyk.

Przez tłum przeszedł szmer:

– Bóg tu jest. Bóg tu jest...

Zaczęli padać na kolana. Jeremiaś spojrział na nich, żyłki w białkach jego oczu stały się czerwone, jak krew wydobywająca się przez szpary na powierzchni. Ponownie zwrócił się w stronę mrocznej otchłani, jego pierś ciężko opadała i się wznosiła, kiedy próbował oddychać powietrzem, które tak nagle zgęstniało.

– Pobłogosław mnie, Boże – powtórzył. – Pobłogosław mnie.

Macki wystrzeliły w jego kierunku. Zasłoniłam ręką usta, bo zaczęły w błyskawicznym tempie owijać się wokół jego nóg i rąk, jak węże. Oplatały każdy fragment jego ciała, jakby chciały zawinąć go w kokon. Jeremiaś obserwował, co się dzieje, z miną wyrażającą coś pomiędzy przerażeniem a fascynacją, gdy tymczasem kolejne osoby padły na kolana, wyrzuciły w górę ręce i głośno krzyczały:

– Bóg tu jest! Istota z głębin powstaje!

Ale przecież Bóg nie mógł wyjść na powierzchnię ziemi... Nie mógł...? Na pewno nie mógł...

Macki dosięgły głowy Jeremiaha. Szarpnął się, jego usta nagle się rozwarły i macki wepchnęły się do jego wnętrza, przez gardło, na którym zarysowała się ruchliwa wypukłość, a mężczyzna zaczął się krztusić. Odchylił się do tyłu, jego kręgosłup wygiął się pod takim kątem, że mógł widzieć zgromadzenie do góry nogami, gdyby nie to, że oczy wywróciły mu się białkami do góry.

Zaczął się unosić nad ziemię, a ja nie byłam w stanie pojąć, co właśnie rozgrywa się przed moimi oczami.

Czarne macki podtrzymywały go zawieszony w powietrzu, wpychając się w niego z taką brutalnością, że klatka piersiowa mu się powiększyła, a gardło nabrzmiało. Jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki, potem zadrżał, a czarna maź wylała się z jego ust... i uszu... i oczu...

Dobiegające z oddali odgłosy grzmotów ustały, a Jeremiaś opadł ciężko na ziemię. Pozostał tylko lejący się strugami deszcz. Macki zniknęły, były teraz w Jeremiahu. Nikt się nie odzywał, nikt nie wstawał. Wierni wyciągnęli tylko drżące ręce w kierunku bezwładnego ciała Jeremiaha.

Nagle ktoś mnie chwycił od tyłu, jedną ręką zasłaniając mi usta, a drugą łapiąc za nadgarstek. Spanikowałam i zaczęłam się rzucać, dopóki nie

usłyszałam głębokiego, szorstkiego głosu szepczącego mi wprost do ucha:

– Tym razem nie atakuj mnie nożem, mała wilczyco. Musimy stąd spierdalać. Teraz.

Zane. Pociągnął mnie za sobą, nie dając mi czasu na protesty czy wyjaśnienia. Był cholernie spięty, ciężko oddychał.

Jeremiah zaczął się podnosić. Najpierw uniósł głowę, dziwacznie skręcając się przy każdym ruchu. Przypominał mi tamte stwory – Gollumy, które zabrały ciało Marcusa. Jednak Zane się nie zatrzymał, wręcz odwrotnie, przyspieszył kroku. Kiedy ostatni raz obejrzałam się na Jeremiaha, ten zdążył już wstać w tych swoich nienaturalnych podrygach, z ust sączyło mu się czarne ohydztwo. Powiedział coś, czego nie usłyszałam, ale z ruchu jego ust odgadłam, że to było:

– Ktoś tu jest.

Zane

Och, to było *popierdolone*.

Abelaum było popierdolone. Ziemia była popierdolona. My byliśmy absolutnie popierdoleni. Jednak nie miałem zamiaru stać z założonymi rękami i czekać, aż wszystko popierdoli się na dobre. Co to to nie! Zamierzałem zgarnąć stąd Juniper i uciec gdzie pieprz rośnie, byle dalej od tego czegoś.

Mogłem zacząć jej szukać wcześniej, ale, do cholery, dziewczyna lubiła spędzać czas w samotności, a ja nie chciałem, kurwa, jej tłamsić. Mój błąd – zostawiłem ją samą na kilka godzin, po czym odnalazłem w samym środku zgromadzenia Libiri, przyglądającą się, jak pieprzony Jeremiah Hadleigh zostaje opętany przez pradawnego Boga. Od tej pory nie zostawię jej nawet na sekundę, choćbym ją miał do siebie przykuć.

Dotarliśmy do samochodu, a ja pospiesznie przeszukałem jej kieszenie.

– Wskakuj do środka. Natychmiast.

Była wyraźnie wstrząśnięta, oczy miała okrągłe jak spodki. Wydawała się jednak bardziej oszołomiona niż przestraszona, a ja musiałem jej uświadomić, czego właśnie była świadkiem. Musiała zrozumieć, dlaczego uciekamy.

– Nie mogłam jej ocalić – powiedziała płaskim głosem, pozornie wypranym z emocji. – Nie mogłam... choć chciałam...

– Kogo nie mogłaś ocalić? – Gdy tylko zjechaliśmy z drogi gruntowej, wcisnąłem gaz do dechy. Byłem za bardzo spięty, żeby prowadzić. Samochód nie był wystarczająco szybki. Boże, ten smród unoszący się

w lesie... Zgnilizna i żółć, krew i przerażenie – głębokie, pradawne przerażenie, które rosło przez stulecia, pozostałość setek, jeśli nie tysięcy cierpiących dusz.

– Victorii – wyjaśniła. – Jeremiah ją zabił. Złożył drugą ofiarę.

Walnąłem dłonią w kierownicę i od razu się skrzywiłem, bo pękła pod siłą uderzenia. Bóg był za blisko, żeby mu się wymknąć, o wiele za blisko.

Juniper wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi, zaniepokojonymi oczami.

– Co tam się, do cholery, stało? Co się stało z Jeremiahem? Widziałeś to?

Owszem, widziałem to. Widziałem, jak energia Boga wypełza z mroku i wsącza się w Jeremiaha. A był to zaledwie *kawałek* Istoty z głębin, jej mały fragment, nic więcej. Nie było takiej opcji, żeby śmiertelne ciało pomieściło w sobie Boga. Jeremiah prawdopodobnie już gnął od środka. Jednak moc Boga nada mu pozory życia, będzie się ruszał, mówił, zabijał. Był jak całkiem poddany woli Istoty z głębin zombie, obdarzony nadnaturalną siłą, choć martwy.

Miałem nadzieję, że Leon zdążył wywieźć Raelynn daleko stąd i dobrze ukryć. Jeśli miał w głowie choć odrobinę zdrowego rozsądku, to zamknął ją na cztery spusty w jakimś bunkrze. Jedyne, czego potrzebowali Libiri, żeby uwolnić swojego Boga, to ostatnia ofiara – Raelynn.

– Zane... – Głos Juniper był już pewniejszy. Wstrząs minął, jego miejsce zajęła determinacja. – Co się, kurwa mać, właśnie stało?

– Bóg opętał Jeremiaha – wyjaśniłem. – Ofiary dały mu wystarczająco dużo siły, żeby wysłać część swojej energii na powierzchnię i umieścić ją w Jeremiahu. Może teraz żyć w jego ciele i w ten sposób poruszać się po świecie. Organizm Jeremiaha jednak nie wytrzyma długo, bo śmiertelnik nie jest w stanie pomieścić w sobie tak potężnej mocy. Ale dopóki jest, jak

jest, młody Hadleigh będzie bardzo, bardzo niebezpieczny. Kto wie, jak długo Bóg zdoła utrzymać go przy życiu?

Przełknęła ślinę.

– Będzie ścigał Raelynn.

– Skupi się na tym, żeby złożyć trzecią ofiarę – przyznałem. – Ale ja nie zamierzam mu na to pozwolić.

– Jak, do cholery, mamy go pokonać? Jakie są jego słabe strony?

– Nie *my*, Juniper. Ja.

Przez chwilę milczała, po czym spojrzała na mnie ciskającym gromy wzrokiem.

– O co ci, kurwa, chodzi?

– Nie będziesz ścigać Jeremiaha, nie w tej sytuacji. Ja to zrobię. Ja to zakończę.

Szok... a potem wściekłość. Więź łącząca nasze istnienia aż zadrżała pod wpływem jej gniewu.

– Po moim, kurwa, trupie. Nigdzie się beze mnie nie wybierasz.

– Nie postawisz na swoim, Juniper. Nie tym razem.

Zaparkowałem na podwórku przed domem. Lało jak z cebra, a ja zatrzymałem się na widok skupiska bladych grzybów przed drzwiami. Rozdeptałem je, zanim wpuściłem Juniper do środka.

Zajęła się przygotowaniem broni, sprawdzała amunicję. Potrząsnąłem głową.

– Juniper, nie żartuję. Zostajesz w domu.

– Nie ma mowy – odparła stanowczo, przeładowując pistolet. Wyjąłem jej broń z rąk, odłożyłem i chwyciłem ją za ramiona, zmuszając, żeby na mnie spojrzała. Zacisnęła szczęki, jej wzrok był twardy.

– Jeremiaś już nie jest śmiertelnikiem – powiedziałem. – Posiadł moc Boga. Jest wystarczająco silny, by stawić mi czoła.

– Tym bardziej nie powinienes iść sam.

– Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo, Juniper...

– A kiedy ja nie byłam w niebezpieczeństwie?! – krzyknęła, wyrывая mi się. – Załapałam, ryzyko jest wyższe! Nic mnie to nie obchodzi, jestem silna! Nie jestem... nie jestem jakimś pieprzonym ciężarem! – Pięści miała zaciśnięte, ale głos jej drżał. – Nie pozwolę ci tak po prostu dać nogę i zrobić to samemu. Mogę pomóc. Nie jestem słaba. – W jej oczach lśniły łzy, którym nie chciała pozwolić popłynąć, z groźnym pomrukiem otarła je dłonią. – Nie pozwolę ci walczyć samemu, Zane.

Wziąłem jej twarz w ręce, a ona tym razem mnie nie odepchnęła, co za ulga! Zamknęła oczy i drżała w moich objęciach, a ja pocałowałem ją w czoło i powiedziałem:

– Nie jesteś słaba, mała wilczyco. Nie jesteś ciężarem ani brzemieniem, ani co tam jeszcze dołującego podsuwa ci twój umysł! Jednak posłuchaj mnie, proszę. Kiedy jesteś ze mną, zawsze skupiam się przede wszystkim na zapewnieniu ci bezpieczeństwa, zawsze. Wiem, że potrafisz sama o siebie zadbać. Wiem, że jesteś silna. Wiem, że przez wiele lat radziłaś sobie bez mojej pomocy. Ale to nie zmienia faktu, że twoje bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze.

Pociągnęła nosem, potrząsając głową, a ja przyciągnąłem ją do siebie i objąłem ramieniem. Chciałem jej to wyjaśnić. Chciałem, żeby zrozumiała. Szanowałem jej siłę, ale nie miałem zamiaru tak jej narażać, nawet gdyby miała na tym ucierpieć jej duma. Nie zamierzałem pozwolić, żeby stała się ze śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem.

– A jeśli nawet mnie zabije...? – wymamrotała. – Moja dusza należy do ciebie. Zabierzesz ją do piekła. Śmierć tylko zakończy to całe popierdalone

szaleństwo...

– Pieprzyć to. – Mocniej ją objąłem. – Nie mów tak! Nie zmarnujemy twojego życia.

Przycisnęła twarz do mojej piersi, zanurzyła się w nią, tak że jej nie widziałem, a jej słowa dobiegały do mnie stłumione.

– Moje życie nie jest w żaden sposób wyjątkowe, Zane. Nie udawaj, że tak jest. Cudem przetrwałam tak długo. Nie miałam nic, nie miałam, kurwa, nic... – Wzięła głęboki oddech. – ...dopóki nie zawarłam z tobą paktu.

– Juniper...

– Mówię serio! – Podniosła na mnie wzrok, tym razem nie ukrywała łez. Kurwa, ten widok był rozdzierający...! Fizyczny ból w porównaniu z tym był niczym. – Dzięki tobie poczułam, że warto próbować! Obdarowałeś mnie życiem wiecznym. Dałeś mi nadzieję, że mam szansę na nowy początek. Szansę na życie, które nie jest takie popieprzone... nawet jeśli tak naprawdę to nie będzie prawdziwe życie. Pokazałeś mi miejsca, w których czułam się mile widziana, gdzie nie miałam wrażenia, że wszyscy patrzą na mnie jak na jakiś wybryk natury. Ty... ty mnie chciałeś. Mam gdzieś nasz pakt, Zane, zależy mi na tobie. Nie mogę cię stracić. Po prostu nie mogę. Przy tobie poczułam się, jakbym znalazła dom. – Pociągnęła nosem i znowu mocno przetarła oczy. – Kocham cię, rozumiesz? Zrobiłeś to, naprawdę to, kurwa, zrobiłeś. Zburzyłeś mur, którym się otoczyłam, rozpieprzyłeś go w drobny mak. Mówiłeś, że chcesz mnie całą, więc proszę bardzo...! Jestem twoja. Jak, do cholery, mogłabym zaryzykować, że to stracę?

Czułem się, jakby rozpałała ogień w mojej piersi, a z każdym jej słowem płomienie strzelały wyżej. Jednak zanim zdołałem odpowiedzieć, dodała szybko:

– Nie musisz tego mówić. Nie mów tego tylko dlatego, że ja to powiedziałam. Wyrwało mi się, ja... – Potrząsnęła głową. – Nie musisz. Nie oczekuję, że to zrobisz.

Odgarnąłem jej włosy i otarłem łzę, zanim potoczyła się po policzku.

– Juniper Kynes, mam szczerzy zamiar każdego dnia przez całą wieczność pokazywać ci, jak bardzo cię kocham. Już zawsze będę tańczył na gruzach tego pieprzonego muru. Demon nie używa tego słowa, jeśli naprawdę nie ma tego na myśli. – Mocno przygryzła dolną wargę, ale ja uwolniłem ją kciukiem. – Posłuchaj, na świecie są rzeczy, które mogą mi cię odebrać. Potwory i magia, które mogą nas rozdzielić. – Wziąłem głęboki oddech, próbując się uspokoić, żeby jej nie zgnieść w objęciach. – Przez całe życie dzielnie walczyłaś, żeby przetrwać. Tym razem to ja o cię zawalczę. Złożyłem przysięgę, że będziesz moja. Dałem ci swój znak. Dałem ci metal. Nie stracisz mnie. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, rozumiesz?

Kiwnęła głową, ale wiedziałem, że nie do końca mi wierzy. Zbyt wiele zniszczeń widziała. Zbyt wiele jej odebrano, żeby mogła zaakceptować, że mnie ma, że zawsze mnie będzie mieć, że mogą jej odebrać wszystko, ale nie mnie.

Bo na to nie pozwolę.

– Już nie jesteś sama – zapewniłem ją cicho. – Pozwól mi to zrobić. Pozwól mi zadbać o swoje bezpieczeństwo. A kiedy to zamieszanie dobiegnie końca, opuścimy to cholerne miasto i będziemy robić, co ci się tylko podoba. Od tak dawna walczysz o życie, Juniper. Zasługujesz na to, żeby odpocząć.

Oparła policzek o moją rękę. Wzięcie w posiadanie jej duszy było ekstazą, ale to...? Tego momentu nie da się opisać słowami. Magia, która nas połączyła, nie mogła się równać z tym uczuciem; żaden pakt nie

umywał się do wyznania miłości. Żadne słowo nie było w stanie opisać tego, co do niej czułem – tej niezachwianej pewności, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Tej dzikiej energii, która sprawiała, że przyciągaliśmy się nawzajem jak magnesy i nic nie mogło nas rozdzielić.

Byłem już na tym świecie kilkaset lat, więc wiedziałem, jakie to rzadkie.

Ukląknęłam i pocałowałam jej rękę.

– Tylko ten jeden raz, Juniper. Odłóż swoją broń i pozwól mi działać.

Wzięła głęboki wdech, po czym z drzeniem wypuściła go z płuc. Spojrzała na mnie, jakby chciała dopatrzeć się kłamstwa, jakby próbowała znaleźć powód, żeby się mi sprzeciwić. Ja jednak nie zamierzałem ustępować. Nie było, kurwa, takiej opcji. Dbałem o to, co moje.

– Pozwolę ci walczyć – powiedziała wreszcie – ale nie pójdziesz sam. Idę z tobą. Będę się trzymać z tyłu, schowam się. Ale muszę wiedzieć, jeśli coś pójdzie nie tak. Muszę tam być. – Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem, a w jej oczach była rozpacz. – Nie będę się zbliżać. Nie boję się ich, Zane. Boję się tylko jednej rzeczy: że cię stracę.

Wiedziałem, że dotrzyma słowa. Jej plan miał również dobre strony – jeśli coś pójdzie nie tak, od razu się o tym dowie. To jej da przewagę, bo będzie mogła od razu rzucić się do ucieczki.

Powoli pokiwałam głową.

– Nie zbliżasz się. Pozostajesz w ukryciu, choćby nie wiem co. Zgoda?

Kiwnęła głową.

– Nie umieraj, Zane – powiedziała. – Nawet się, kurwa, nie waż...!

Uśmiechnęłam się.

– Przecież wiesz, że nigdy bym ci się nie sprzeciwił.

Zane

Słońce już zaszło, wokół pachniało dymem. Coś w Abelaum płonęło; dostrzegłem dym unoszący się nad drzewami po południowej stronie miasteczka. Powietrze było jakieś dziwne, wydawało się naładowane. Jak przewód pod napięciem rozsiewający iskry w basenie pełnym wody.

Wjechaliśmy do Abelaum z wyłączonymi światłami, a kiedy dotarliśmy do centrum, zauważyłem, nad czym unosi się dym – Food Mart, sklep spożywczy na rogu Main Street i Pierwszej ulicy, doszczętnie spłonął. Kiedy przejeżdżaliśmy koło niego, zauważyłem, że parking został otoczony żółtymi taśmami.

Wszędzie była policja, a powietrze przenikał ostry zapach krwi i benzyny. Widziałem, jak worek ze zwłokami pakowany jest na tył vana.

– Gównu szybko się rozprzestrzenia – zauważyła ściszym głosem Juniper.

– Bóg nie traci czasu – stwierdziłem ponuro. – Jest zbyt blisko odzyskania władzy, żeby teraz odpuścić. Będzie coraz bardziej zawzięty. Bardziej brutalny. Na dodatek ma teraz Jeremiaha, który będzie spełniać jego polecenia.

– Już niedługo – wymamrotała. Wiedziałem, jak bardzo chciała się tym zająć osobiście: chciała zakończyć życie Jeremiaha własnymi rękami, a ja doskonale ją rozumiałem. Jednak sytuacja się zmieniła, niebezpieczeństwo było większe i o wiele bardziej naglące.

Musiałem położyć temu kres, i to szybko.

Jeremiah miał w sobie tylko część mocy Istoty z głębin, ale to wystarczyło, żeby był poważnym zagrożeniem. Posiadał ogromną siłę, zobaczyłem to już w lesie, jednak była ona również chaotyczna, trudno więc było oszacować jej prawdziwy rozmiar.

Nie byłem do końca pewien, z czym właściwie będę się mierzył.

Moja własna siła nieustannie rosła, było to typowe dla łowców dusz. Każda dusza nas wzmacniała, a dusza Juniper dodała mi tyle siły, że nadal nie wiedziałem, na co mnie teraz stać. Rzadko trafiała się sytuacja, która zmuszała mnie do użycia całej siły, więc ciężko było powiedzieć, jaka w tym momencie jest granica moich możliwości. Jednak wyczuwałem w sobie zmiany. Manipulowanie otaczającą mnie energią i eterem było łatwiejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Białka moich oczu również stawały się coraz ciemniejsze. Żółte tęczęwki miały teraz głębszy kolor. Gdy demon zdobył odpowiednią siłę, jego oczy stawały się całkiem czarne.

Jak oczy arcydemonów. Jak oczy Calluma.

Jeszcze nie mogłem się równać z takimi jak oni. Jednak, cholera, miałem nadzieję, że niewiele mi już brakuje, bo wkrótce miałem potrzebować tej siły.

Wszędzie unosił się smród, a im bliżej domu Hadleighów się znajdowaliśmy, tym było gorzej. Strumienie deszczu spływały po szybie, a drogę od czasu do czasu oświetlała błyskawica. Byłem zadowolony, że pada; deszcz ochłodzi rozszalałą temperaturę mojego ciała oraz pomoże lepiej ukryć Juniper.

Gdy dotarliśmy do posiadłości, podkradając się pod osłoną ciemności między drzewami, okazało się, że sporo się tu zmieniło od naszej ostatniej wizyty.

Ogromny trawnik, zazwyczaj schludnie przystrzyżony, teraz stał się bujny i dziki. Wszędzie rosły białe grzyby.

Podjazd był zawalony samochodami, przez oświetlone okna zauważyłem tłum ludzi w salonie. Byli to młodzi mężczyźni i kobiety ze zmęczonymi twarzami i szeroko otwartymi oczami. Dostrzegłem broń na blacie, ale towarzystwo nie wydawało się gotowe do odparcia ataku. Pili piwo i rozmawiali ściszone głosami.

Nigdzie nie było śladu Jeremiaha.

– Pójdę go poszukać – oznajmiłem. Juniper kiwnęła głową, mocno ściskając w rękach strzelbę. – Jeśli sprawy pójdą źle, uciekasz. Zrozumiano?

Ściągnęła brwi.

– Jeśli będziesz potrzebował mojej pomocy, daj mi...

– Nie – odparłem krótko. Pochyliłem się nad nią, gardło miałem ściśnięte, bo rozpaczliwie pragnąłem, żeby to do niej dotarło. – Juniper, sytuacja jest o wiele gorsza, niż sądziłem. Jeśli nie będę mógł go zabić, musisz uciekać z Abelaum. Wyjechać z kraju. Oddalić się od tego miejsca tak daleko, jak to możliwe.

Odwróciła wzrok, potrząsając głową.

– Nie będę nic obiecywać, Zane.

Musiałem się tym zadowolić. Była bystra, znała swoje możliwości. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie wiedziała, kiedy ma uciekać.

Nawet jeśli miałyby to boleć.

Nawet jeśli miałyby mnie zostawić na pewną śmierć.

– Zostań w ukryciu i czekaj na mnie – powiedziałem. Pochyliłem się i błyskawicznie przebyłem dystans pomiędzy drzewami a domem.

Wewnątrz śmierdziało jeszcze gorzej.

Na ścianach pokazały się plamy czarnej pleśni, a biały dywan stał się brudny i żółtawy. Przemierzyłem korytarz, węsząc w powietrzu, żeby się zorientować, kogo mogę się spodziewać. W salonie było ośmioro ludzi, połowa z nich zupełnie pijana.

– Po co ten Tommy z nim poszedł? – odezwał się ktoś drżącym głosem, wyraźnie pochlipując. – Próbowałam mu powiedzieć...

– Zamknij się wreszcie! – warknął ktoś inny. – Lepiej, żeby nie usłyszała, że opowiadasz takie rzeczy. To nie najlepszy moment na rozpamiętywanie, prawda? Wiedzieliśmy, że część z nas zginie. Od początku nam to mówili.

Łapczywie oblizałem usta. Owszem, stracą życie – do tego wszyscy. Nadal nie wyczuwałem Jeremiaha. Za to aż kręciło mnie w nosie od duszącego smrodu pleśni i zgnilizny. Może go nie było. To by mi dało czas na przygotowanie dla niego uroczego prezenciku powitalnego.

Tych osiem istot ludzkich nie miało ze mną szans. To było aż za proste! Kiedy pojawiłem się w drzwiach salonu, ich puste twarze odwróciły się w moją stronę z wyrazem całkowitego zaskoczenia, po czym znieruchomiały. Ich ciała stężały, a szeroko otwarte oczy gwałtownie zamrugały.

Żadne z nich nie miało broni w zasięgu ręki. I to mieli być najbardziej zaufani ludzie Jeremiaha? Żenada!

Jeden z mężczyzn powoli wstał.

– Kim, do cholery, jesteś?

Rozciągnąłem ramiona, ziewając swobodnie, po czym odparłem:

– Kto, ja? Och, jestem posłańcem.

Popatrzyli po sobie ze zmarszczonymi brwiami, nie wiedzieli, co o tym myśleć. Niektórzy zerkali nerwowo w stronę swojej broni. Kolejne osoby podnosiły się z miejsca.

– Posłaniec? – powtórzył mężczyzna. – Jaką... jaką przynosisz wiadomość?

Odchrząknąłem, uprzejmie splatając ręce za plecami.

– Ach, dajcie mi chwilę... Muszę wyrecytować z pamięci. Jak to szło... „Do podłych, składających ofiary z ludzi cip, które same siebie nazywają Libiri...” – Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, przeszedłem przez pokój, złapałem za głowę jakiegoś mężczyznę, przekręciłem ją, po czym oderwałem od ciała. – „...pierdolcie się”.

Zapanował chaos. Młodzi ludzie próbowali sięgnąć po broń, ale – co typowe dla tego gatunku – byli wręcz żałośnie powolni. Złapałem następnego, rozerwałem mu gardło i rzuciłem ciałem na drugi koniec pokoju, przewracając kolejnego, który zmierzał w kierunku drzwi. Krew bryzgała na ściany, okna oraz idealnie czyste białe kanapy.

Było coś naprawdę satysfakcjonującego w widoku świeżej krwi na białym obiciu. Czysta poezja.

W ciągu zaledwie kilku minut pod moimi stopami leżało osiem ciał. Strzeliłem stawami i pomachałem przez okno w kierunku miejsca, z którego, jak wiedziałem, przyglądała się wszystkiemu Juniper. Miałem nadzieję, że przedstawienie jej się podobało, ponieważ dopiero się rozkręcałem.

Postanowiłem trochę posprzątać. Przeniosłem ciała na kanapę, a na ścianie rozsmarowałem krew, tworząc uroczy napis: „Witaj w domu, J”. Następnie usiadłem i w oczekiwaniu na gościa honorowego zająłem się wydobywaniem kawałków ciała z pazurów.

Nie musiałem długo czekać.

Po kilku minutach usłyszałem chrzęst opon na wysypanym żwirze podjeździe. Instynktownie napiąłem mięśnie, żądny konfrontacji. Niecierpliwie stuknąłem stopą o podłogę, a otaczający mnie zapach krwi

sprawiał, że ślinka mi ciekła. Przed drzwiami rozległy się kroki – Jeremiah nie był sam. Towarzyszyły mu co najmniej trzy osoby.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Jeremiah w obstawie trzech mężczyzn. Na mój widok zamarł.

Uśmiechnąłem się, otaczając ramieniem siedzące obok ciało pozbawione głowy.

– Witaj, przyjacielu! Impreza właśnie się rozkręca.

Zane

Obecność Jeremiaha zdawała się wypełniać całą przestrzeń, aż rozpierała ściany. Śmierdziało od niego zgnilizną i podłością – ten zapach już nawet w przybliżeniu nie przypominał ludzkiego. Ruchy gałek ocznych były zbyt szybkie. Gwałtownie przenosił spojrzenie z jednej rzeczy na drugą, jakby nie był w stanie objąć wzrokiem wszystkich rzeczy naraz.

– A coś ty taki niespokojny, Jeremiahu? – zagadnąłem. – Czyżbyś czuł się przytłoczony?

Mężczyźni za jego plecami mieli na sobie stroje militarne – kamizelki kuloodporne, hełmy, przyłbice – a ze sobą, oczywiście, broń. Nie spuszczała ze mnie wzroku, niewzruszeni i o wiele lepiej przygotowani niż ich pechowi towarzysze.

Jeremiah rozejrzał się dookoła – spojrzał na krew na ścianach, czerwone kałuże posoki wsiąkające w dywan, wnętrzności rozwieszane na żyrandolu jak radosne serpentyny. Przyjrzał się temu wszystkiemu, powoli kiwając głową.

A następnie się uśmiechnął.

– Jak dużo wiesz, demonie? – Intonacja jego głosu drastycznie się zmieniła, co bez trudu zauważyłem, bo niedawno chodziłem za nim krok w krok przez cały pieprzony dzień. – Od jak dawna tu węszysz?

– Wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że postradałeś zmysły.

Przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. Nagle go olśniło.

– Byłeś na imprezie. Udawałeś barmana – stwierdził.

– Taaa. Tego, który zalicza wszystkie cipki. – Odepchnąłem znajdujące się obok mnie ciało, bo krew stygła i robiła się lepka. – Powiedz mi, Jeremiahu... Jak tam u ciebie z reflekssem?

Zbudowałem już przed sobą mur z zagęszczonej energii. Dokładnie w momencie, w którym poznałem po jego minie, że zaczyna coś podejrzewać, pchnąłem mur z całej siły w kierunku jego i obstawy. Polecieli prosto na ścianę z takim impetem, że ją przebili i wylądowali bezwładnie na trawniku wśród połamanego drewna.

Wstałem, chichocząc, i podszedłem do zniszczonej ściany. Jeremiah leżał na wznak, a dwaj jego ludzie niezdarnie próbowali obrócić się na bok. Trzeci wyglądał na nieprzytomnego. Cholera, a tak się martwiłem...! Zderzenie ze ścianą prawdopodobnie pogruchootało Jeremiahowi żebra.

A przynajmniej... powinno było.

Być może zrobiłem się trochę zbyt pewny siebie. Może za wcześnie straciłem czujność. Przeszedłem przez trawnik z zamiarem zmiżdżenia Jeremiaha jak małego robaka, którym zresztą był.

On jednak, poruszając się w nieprawdopodobnym tempie, skoczył na równe nogi. Ludzkie ciało nie jest zdolne tak szybko się poruszać! Walnął mnie pięścią w twarz, aż głowa odskoczyła mi do tyłu z nieprzyjemnym trzaskiem, po czym chwycił mnie za ramiona, powalił na ziemię i próbował znokautować kolaniem. Ja jednak błyskawicznie się obróciłem, złapałem go za nogę i szarpnąłem, w efekcie czego znalazł się na ziemi.

Był szokująco silny. Zaatakował mnie w ułamku sekundy, a jego uderzenie było tak mocne, że na pewno coś mi złamał. Chciałem szybko zmienić pozycję, żeby się znaleźć na nim, ale on mocował się ze mną, skutecznie mnie blokując.

– Jesteś... jakimś pieprzonym... wybrykiem natury czy jak? – warknąłem, obnażając zęby i ściskając go za gardło, podczas gdy on

napierał na moją twarz. Szczyrzył zęby i spoglądał na mnie dziko przekrwionym wzrokiem. Z nosa kapało mu coś czarnego i gęstego, prychnął i przekręcił się, próbując odwrócić nasze pozycje. Szarpnąłem się, wyrywając się z jego chwytu, i odskoczyłem do tyłu, żeby się od niego oddalić.

Jeremiah wstał i poruszył głową na boki, aż trzasnęło. Nie oddychał ciężko, nie wyczuwałem też od niego strachu. Cały się spiał, mięśnie mu się wybrzuszyły, a żyły uwidoczniły pod skórą. Wypluł na ziemię olbrzymi kłęb czarnej flegmy, na co ja zmarszczyłem nos.

– Czyli nie przeszkadza ci, że praktycznie gnijesz od środka? – zapytałem. – To obrzydliwe, stary. Śmierdzisz.

Zachichotał, potrząsając głową.

– Ale ci wesoło, co? Szkoda, że ostatniemu demonowi, którego spotkałem, wcale nie było do śmiechu. Szczerze... Spodziewałem się, że to on będzie się tu kręcić. Ale ty... w co ty, do cholery, pogrywasz?

– Mój plan jest bardzo prosty: zabić Gnijącego Chłopca, wrócić do domu, zapalić. Jak na razie całkiem nieźle mi idzie.

Ponownie zaatakowałem, ale on był na to przygotowany. Uniknął mojego ciosu, chwycił mnie za ramię i odepchnął, przy okazji wykręcając mi rękę. Ledwo udało mi się uniknąć paskudnej kontuzji...! Muszę stąd uciec i pomyśleć, co dalej.

Rozległ się odgłos szybkich wystrzałów, więc znowu zrobiłem unik, błyskawicznie się poruszając, żeby uniknąć pocisków. Dwóch ludzi Jeremiaha stanęło na własnych nogach i mierzyło do mnie z broni. Potrzebowaliby cholernie dużo kul, żeby mnie zabić, o wiele więcej, niż mieli. Jednak mogli mnie osłabić, a akurat to było mi teraz wyjątkowo nie na rękę.

Jeremiah był szybszy, niż myślałem. Silniejszy, niż myślałem.

Dałem nogę do przylegającego do domu ogrodu i przyczałem się w cieniu. Usłyszałem tupot przebiegających obok mnie stóp, po czym kolejne – tym razem kroczące wolno.

– Minęliście go, pacany!

Cholera.

Jeremiah dopadł mnie, zanim zdążyłem rzucić się do ucieczki. Przydusiłem go ramieniem, ścisnąłem mocno, on zaś miotał się jak szalony i próbował podrapać mi twarz. Docisnąłem jeszcze mocniej, aż zaczął ciężko dyszeć, a jego ruchy zaczęły przypominać drgawki. Kurwa, nie było łatwo utrzymać go w ryzach. Ścisnąłem go z taką siłą, że normalnemu człowiekowi już dawno zmiażdżyłbym tchawicę, a jeśli, jakimś cudem, to by go nie zabiło, wykończyłby go brak dopływu tlenu do mózgu. Jednak Jeremiah nie przestawał się wyrywać. Uderzał we mnie całym ciałem, aż straciłem równowagę i upadłem na kolana...

Rozległy się kolejne strzały, tym razem nie udało mi się ich uniknąć. Podziurawiły mi plecy i kark. Wzdrygnąłem się, czując ich ukłucia, Jeremiah natychmiast to wykorzystał. Przekreślił się, wyślizgnął mi z rąk i rzucił do tyłu, akurat kiedy jego ludzie wypuścili w moją stronę kolejną serię.

W mgnieniu oka poradziłem sobie z tymi dwoma bandytami, ale Jeremiah...

Nie dał mi na to szansy.

Wymierzył mi kopniaka w klatkę piersiową, tak mocno i tak szybko, że poleciałem do tyłu i uderzyłem w mur otaczający ogród. Wokół mnie posypały się cegły, uniknąłem jego pięści, złapałem go za nadgarstek i złamałem go. Jednak nie rozległ się przyjemny dla ucha okrzyk bólu, Jeremiah nawet nie drgnął. Zupełnie jakby przestał odczuwać ból, co kompletnie mnie zaskoczyło.

Zaskoczyło mnie to na tyle, że poczułem na sobie jego kolejny cios.

Ponownie walnął mnie pięścią w plecy, dokładnie tam, gdzie wbił się jeden z pocisków. Było to o wiele bardziej bolesne, niż się spodziewałem.

Próbowałem się wycofać, żeby znaleźć się poza zasięgiem jego rąk, jednak nagle poczułem się, jakbym w żyłach miał ołów, a każda kończyna stała się niemożliwie ciężka. Odepchnąłem Jeremiaha, zachwiałem się i chwyciłem za miejsce, gdzie mnie uderzył. Okazało się, że to nie było zwykłe uderzenie. Wymacałem niewielki metalowy przedmiot tkwiący głęboko pod skórą. Kurwa, ale to paliło!

– Zawsze wiedziałem, że mój ojciec używał tego w nieodpowiedni sposób. – Jeremiah się roześmiał. Przypatrywał się spokojnie, jak zwijam się z bólu, usiłując wygrzebać cholerny metal. Ale palce ślizgały mi się po mojej własnej krwi. Cokolwiek to było, wysysało ze mnie całą siłę w tak szybkim tempie, że robiło mi się już ciemno przed oczami. Kurwa... kurwa, źle ze mną... co on mi, do cholery, zrobił?

– Powiedz mi, demonie, nie zapomniałeś czegoś, kiedy tu byłeś w Halloween? Jakiegoś drobiazgu? Czegoś, co ukradłeś i zakopałeś, zanim zabiłeś mojego ojca?

Ukradłem... zakopałem... kurwa. Amulet, który nosił Kent. Od tamtej pory nawet o nim nie pomyślałem. Wszystko działo się tak szybko – Juniper go wtedy zakopała, a później żadne z nas nie pomyślało, żeby po niego wrócić.

– Aaaa, czyli to jednak byłeś ty... – powiedział Jeremiah, zauważając błysk zrozumienia w moich oczach. Spojrzałem na niego z wściekłością i z trudem przełknąłem ślinę. Chciałem wziąć się w garść i jeszcze raz przypuścić na niego atak. Jednak przez pieprzony amulecik chciało mi się rzygać i nie byłem w stanie jasno myśleć.

– Chłopcy, dołóżcie mu jeszcze trochę.

Strzały dzwoniły mi w uszach, tym razem kule przeszły moją klatkę piersiową, a jedna trafiła mnie w twarz. Zupełnie nie potrafili celować i właśnie miałem im to powiedzieć, ale sarkastyczny komentarz uwiązał mi w gardle. Zachwiałem się, zakaszlałam i splunąłem krwią.

Och, było ze mną źle. Bardzo, bardzo źle.

Rany się nie zasklepiały. Proces samouzdrawiania, kurwa, przestał działać.

Ponownie spróbowałem wydobyć z pleców amulet, ale tym razem wyczułem tylko jego krawędź. Zagłębił się jeszcze bardziej – wsuwał się w moje ciało jak pieprzona pijawka. Ten cholerny przedmiot został stworzony po to, żeby kraść siłę nadprzyrodzonym istotom, a teraz był zachłanny jak głodujące zwierzę.

Jeremiah chwycił mnie za gardło i przyciągnął do siebie. Wpiłem się pazurami w jego przedramię, zostawiając głębokie, postrzępione rany, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Zacisnął obie pięści na mojej koszuli, podniósł mnie i pchnął na drzewo.

– Pomyśleć, że przez cały czas obwinałem nie tego demona... – zamyślił się. Zachichotał, przyglądając się, jak próbuję się uwolnić, a ja zauważyłem, że zęby ma poplamione gęstą, czarną mazią. – Myślałem, że to Leon zabił ojca, ale on jest zbyt zajęty pukaniem naszego baranka ofiarnego, co nie?

Popchnął mnie, tak że ponownie uderzyłem o pień drzewa, a amulet wcisnął mi się jeszcze głębiej.

Na moment odpłynąłem. Miałem wrażenie, że spadam. Gdy oszołomiony odzyskałem przytomność, Jeremiah wpatrywał się we mnie gniewnie, a jego spojrzenie było zdecydowanie za inteligentne, zdecydowanie za sprytne.

– Komu służysz? – zapytał cicho. – Z kim zawarłeś układ, który właśnie wypełniasz?

Naplułem mu w twarz i uśmiechnąłem się szeroko, bo trafiłem w policzek.

– Pierdol się. Jesteś żalonym chłopczykiem, który chowa się za równie żalonym Bogiem. Nie potrafisz się nawet ze mną zmierzyć bez wisiorka jakiejś starej wiedźmy.

Puścił mnie, a ja opadłem na kolana. Tym razem nie usłyszałem, żeby wydawał rozkaz – kule dosięgły mnie znienacka.

– Wyznaj mi swoje imię – powiedział spokojnie, kiedy ogień ustał. – Oraz imię osoby, której służysz.

Poczułem, że Bóg próbuje wywrzeć wpływ na mój umysł, wrzeszczy, żeby się dostać do środka. Jednak mimo że byłem tak bardzo osłabiony, nie był w stanie siłą wyszarpać ze mnie odpowiedzi. Bogowie nie mogą wdrzeć się do umysłu demona, tak jak to robią z umysłem człowieka. Zaśmiałem się, zamykając się przed nim.

– Jak długo będziesz to ciągnął, Gnijący Chłopczyku? – zapytałem. – Twoje ciało nie będzie w stanie bez końca utrzymywać emanującego taką siłą pasożytniczego Boga. – Pochylił się nade mną z wykrzywioną z wściekłości twarzą. – Sam się przekonaj. Twoje ciało pęknie, zanim zdołasz mnie zabić.

Jego twarz przybrała zimny wyraz. Pochylił głowę, przykucnął i wyciągnął rękę, żeby szarpnąć brzeg dziury, którą kule jego ochroniarzy wyrwały w mojej koszuli. Wpatrywał się w nią twardo, jak gdyby na moim ciele mógł znaleźć odpowiedzi, których szukał.

Zesztywniałem. Cholera. O cholera!

Złapałem go za nadgarstki, ale on ponownie rzucił mnie na ziemię, a następnie unieruchomił. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, palący ból

był tym gorszy, im bardziej próbowałem walczyć. Oczy Jeremiaha zasły mgłą, kiedy odepchnął moje ręce w dół i rozerwał mi koszulę.

Roześmiał się, a był to najwstrętniejszy, najbardziej nienaturalny dźwięk, jaki kiedykolwiek wydał z siebie człowiek. Kiedy Bóg się śmiał, można było usłyszeć krzyki wszystkich zabranych przez niego dusz, wyrażające ból tak ogromny, że robiło się słabo od samego słuchania. W śmiechu Jeremiaha również było słychać te krzyki.

Powiódł szerniałymi w wyniku procesu gnilnego palcami po moim ramieniu – po bliznach w kształcie liter, które układały się w imię Juniper.

– Czyli jednak wróciła – powiedział cicho. – Victoria miała rację. Droga Juniper wróciła do Abelaum... I sprawiła sobie demona.

– Nie ma jej tu – warknąłem. – Nie ma jej nawet w Abelaum. Dlaczego miałyby w ogóle zbliżać się do tego miejsca?

– Dlaczego, pytasz? – Wziął zamach i po chwili jego pięść wylądowała na mojej twarzy. Potrząsnąłem głową, oszołomiony, a Jeremiahszedł ze mnie, zostawiając mnie na ziemi. Spacerował teraz wokół mnie, podnosząc głos. – No właśnie, dlaczego Juniper Kynes miałyby wrócić do Abelaum? Może dlatego, że jest mściwą małą dziwką, która nie wie, kiedy powinna po prostu położyć się i umrzeć? – Ostatnie słowa wykrzyczał. Uważnie wpatrywał się w drzewa, skanował wzrokiem obrzeża podwórka.

Kurwa, lepiej, żeby Juniper zwiewała. Wiedziałem, że widzi wszystko, co się dzieje, i mogłem tylko mieć nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy żaden śmiały pomysł.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłem, podnosząc się na kolana. – Robisz się nudny. Może jeszcze raz przywal mi w twarz, żeby ożywić atmosferę.

Jednak on już się mną nie interesował. Jego palce dziwacznie drżały, gdy nie przestawał wpatrywać się w ciemność, głośno sapiąc.

– Czuję jej zapach. Och, Juniper, Juniper. – Roześmiał się. – Wiem, kurwa, że tu jesteś!

Moje ciało było ciężkie. Cholernie ciężkie i słabe. Musiałem znaleźć sposób, żeby stanąć na nogi i wygrzebać z siebie amulet.

– Ona tam jest – oznajmił zimno Jeremiaś. – Znajdźcie ją. Znajdźcie ją i przyprowadźcie do mnie.

– Mamy ją zabić? – zapytał jeden ze strzelców.

– Nie. – Jeremiaś potrząsnął głową. – Przyprowadźcie ją żywą. Trzeba ją nauczyć, że sprzeciwianie się Bogu nikomu nie uchodzi na sucho.

Juniper

Na niebie gromadziły się gęste chmury, w ciemności prawie nic nie widziałam. Tylko dzięki reflektorom umieszczonym dookoła domu mogłam zobaczyć, jak Jeremiah i jego kumple wylecieli przez ścianę razem z odłamkami szkła i kawałkami drewna. Jednak późniejsza walka miała miejsce po drugiej, niewidocznej dla mnie stronie domu. Słyszałam tylko odgłosy zniszczenia – rozwalana cegła, rozłupywane drewno... i strzały.

Zane był odporny na rany zadawane z broni palnej. To nie strzały mnie niepokoiły. Martwiłam się, dlaczego to tak długo trwa. Widziałam, jak Zane w dwie minuty rozprawił się z ośmioma osobami w salonie. Ludzie nie byli trudnym celem.

Lecz jeśli Jeremiah naprawdę dorównywał Zane'owi siłą... jeśli Jeremiah był silniejszy niż on... to nie miałam pojęcia, co zrobić.

Mocniej przycisnęłam do siebie broń, a serce biło mi coraz szybciej. Mijały kolejne, nieznośnie dłużące się minuty. Absolutnie mi się nie podobało, że muszę kryć się w ciemności jak tchórz. Ale sama się zgodziłam, żeby Zane się tym zajął. Musiałam być cierpliwa. Musiałam być mądra.

Reflektor na tyłach domu się wyłączył. Usiadłam i wyteżyłam wzrok, bo na otwartej przestrzeni pojawiło się kilku ludzi.

Dwóch uzbrojonych po zęby zbirów zmierzało prosto w moją stronę z bronią gotową do strzału. A za nimi...

Za nimi szedł Jeremiah, wlokąc za sobą Zane'a.

Poczułam się, jakby ktoś wylał mi na głowę wiadro lodowatej wody. Wstrzymałam oddech, poczułam bolesny skurcz żołądka. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– Och, Juniper! – wrzasnął Jeremiah głosem piskliwym od szalonego, niepohamowanego podekscytowania. – Chodź się przywitać, Juni! Kopa lat!

Cholera, cholera, cholera! Zaczęłam się ostrożnie wycofywać w kierunku drzew, w głębszą ciemność i bujne zarośla. Z takiej odległości nie potrafiłam ocenić obrażeń Zane'a, ale widziałam krew na jego ciele. Nie miałam pojęcia, jak bardzo ucierpiał.

Zane był jedną z najsilniejszych istot, jakie znałam. Jedynym, który zdołał go pokonać, był tamten arcydemon, Callum. Nie mogłam uwierzyć, że Jeremiah jest taki silny. Jeśli naprawdę był...

Jeśli naprawdę był tym, kim podejrzewałam, to jak, do cholery, miałam go pokonać?

Bandyci szybko zbliżali się do drzew. Nie widziałam teraz Jeremiaha, ale nadal słyszałam, jak krzyczy:

– Znajdę cię, Juniper. Wiem, że tam jesteś. Może wyjdiesz, żebyśmy się mogli zabawić? Twój demon nie dał mi rady. Może mu pomożesz?

Nagle rozległ się zachrypnięty okrzyk bólu, a ja poczułam szarpnięcie w piersi. Kurwa, co ten Jeremiah mu zrobił? Pochyliłam się i wycofałam jeszcze dalej. Bandyci włączyli latarki przymocowane z przodu kamizelek. Ich broń też wyglądała profesjonalnie. Jeremiah zadbał, żeby byli dobrze uzbrojeni i wyposażeni.

Zarośla nie były wystarczająco gęste, żeby mnie ukryć przed światłem latarek. Dałam susa za drzewo, przylgnęłam plecami do pnia i czekałam z gotową do strzału strzelbą. Wzięłam kilka wolnych, głębokich oddechów.

Jeremiah wołał mnie po imieniu, jego głos z każdą sekundą stawał się głośniejszy i wyczuwałam w nim coraz więcej szaleństwa.

– Juniper! Istota z głębin za tobą tęskni, Juni!

Roześmiał się, a mnie przeszedł zimny dreszcz. W ustach mi zaschło, a zimne ręce drżały, ściskając strzelbę. Kroki były coraz bliżej, słyszałam, jak pod ciężkimi butami pękają gałązki i szeleszczą liście. Zaraz odkryją moją kryjówkę.

Zane chciałby, żebym uciekała. Żądał tego ode mnie, nalegał, że gdyby Jeremiah jakimś cudem go pokonał, muszę uciekać. Jednak nie mogłam tego zrobić. Sam pomysł był odstręczający. Mogłam stąd uciec, ale co dalej? Wrócę do punktu wyjścia – będę ciągle uciekać, rzadko odpoczywać i cały czas oglądać się przez ramię. Będę musiała przedzierać się pazurami przez każdy kolejny dzień, a przetrwanie stanie się sztuką dla sztuki, bo w moim życiu nie będzie ani nadziei, ani przyszłości, ani światła.

W ciemności przede mną mignęło coś czerwonego. Wpatrzona we mnie szeroko otwarte oczy. Czatownik czekał na mój strach. Czekał, aż się posypię. Nie ulegało wątpliwości, że słyszy walenie mojego serca i wyczuwa w powietrzu nagły przypływ adrenaliny.

Na pewno chętnie by zobaczył, jak uciekam.

Zacisnęłam zęby. Obiecałam sobie, że z tym skończyłam. Zane po mnie wrócił, kiedy moje życie było w niebezpieczeństwie, a ja nie miałam zamiaru go zostawiać. Nie teraz, nie kiedy zaszliśmy razem tak daleko.

Dom to nie tylko miejsce – czasami dom może osobą, dom może być z krwi i kości.

A ja będę do ostatniego tchu bronić domu, który wreszcie znalazłam.

Powoli i ostrożnie odłożyłam strzelbę do kabury na plecach i wyjęłam nóż z pochwy. To nie był dobry moment na strzelanie. Wystarczy jeden

niecelny strzał, a oni już będą wiedzieli, gdzie jestem. Muszę zdjąć tych dwóch tak cicho, jak to tylko możliwe, a potem...

Potem zastanowię się, jak sobie poradzić z Jeremiahem.

Skuliłam się nisko nad ziemią, plecami nadal przyciskając się do drzewa. Jeden ze zbirów był jakieś sto metrów ode mnie, odwrócony tyłem, oświetlał latarką wyjątkowo bujny krzak. Za to drugi właśnie mijał moją kryjówkę. Głowę i twarz miał zabezpieczone, ale zauważyłam, że pod jego hełmem jest niewielka luka. W przyćmionym świetle błysnął mi kawałek nagiej skóry, co oznaczało, że ma odsłonięty kark.

Podniosłam się, stanęłam za nim i z ukosa wbiłam mu nóż w gardło.

Wydał z siebie cichy dźwięk, jękliwy bulgot, i osunął się na mnie. Boże, był cięższy, niż się spodziewałam, ledwo mogłam go utrzymać. Powoli opuściłam go na ziemię i zaciągnęłam go pod krzaki tak szybko, jak tylko mogłam.

– Hej, słyszałeś to? – krzyknął drugi facet. Przykucnęłam za drzewem, z zakrwawionym mężczyzną u stóp i zastygłam w bezruchu. – Hej, Anthony! Anthony?

Kroki szybko się przybliżały. Strumień światła przesunął się niebezpiecznie blisko mojego buta, ale przylgnęłam do jednej strony drzewa, podczas gdy on podszedł od drugiej.

– O cholera... cholera! – Światło latarki padło na trupa, mężczyzna chciał bezpiecznie się wycofać. – Hej, Je...

Wszedł prosto na mnie.

Próbowałam trafić w to samo miejsce, ale nie do końca mi się udało. Nóż ześlizgnął się po hełmie, a mężczyzna zaczął wymachiwać bronią, usiłując mnie uderzyć. Jednak ja uczepliłam się ciasno jego pleców, zacisnęłam ramiona na jego szyi, a on stracił równowagę pod moim ciężarem. Przewróciliśmy się do tyłu, on był na górze, na moment straciłam

oddech, gdy mnie przygniół. Rozpaczliwie łąpałam oddech, nadal kurczowo się go trzymając. Zaczęłam uderzać na oślep nożem, jednak nie byłam w stanie przebić jego kurtki, a facet zaczął się wydzierać.

– Jeremia! Ona tu jest! Ona, ja pierdołę, aghhh...

– Po prostu, kurwa, umieraj! – syknęłam, wbijając mu nóż głęboko w szyję, bo wreszcie odnalazłam jego słaby punkt. Ciepła krew trysnęła mi na rękę i ochlapała twarz. Odepchnęłam go i pochyliłam się, próbując się zorientować, co, do cholery, robi teraz Jeremia.

Nie widziałam go.

Rozejrzałam się nerwowo, przebiegając wzrokiem drzewa. Czatownik podszedł bliżej. Nie zauważyłam, żeby ta cholerna istota się ruszała, a tymczasem już tu był, tuż za mną, stał nad umierającym mężczyzną. Jego wielkie oczy poruszały się powoli między nim a mną, jakby próbował ocenić, które z nas będzie lepszą ofiarą.

Kuląc się przy blisko ziemi, wyciągnęłam w jego stronę zakrwawiony nóż.

– I żebyś mi niczego nie próbował, skurwielu! – wyszeptałam. – Dzisiejszej nocy najesz się strachu do syta. Ale to nie będzie mój strach.

Stworzenie nie spuszczało ze mnie upiornego spojrzenia. Od samego patrzenia na nie zaczęło mi się mienić w oczach. Panika nadymała się w mojej piersi jak balon. Jednak nie przestawałam się cofać. Czatownik się pochylił, jego długie czerwone palce owinęły się wokół czaszki umierającego mężczyzny, który z przerażeniem przyglądał się stworowi. Czatownik powoli przybliżył się do niego i – wydając dziwny, trzaskający dźwięk – otworzył paszczę, która stawała się szersza i jeszcze szersza... i jeszcze szersza...

Włożył do niej całą głowę mężczyzny.

Pobiegłam pędem na skraj lasu. Miałam nadzieję, że potwór przez chwilę nie będzie mnie niepokoił. Zaczęłam się czołgać, aż dotarłam do trawnika, skąd próbowałam wypatrzeć Jeremiaha na podwórku. Nie było go trudno zauważyć – pochylał się nad Zane'em, zaciskając palce na gardle mojego demona.

Zagotowało się we mnie. Wstałam, schowałam nóż do pochwy i sięgnęłam po strzelbę. Była naładowana, a w plecaku miałam zapas amunicji. Jeśli żeby uśmiercić Jeremiaha, będę musiała wpakować wszystkie kule prosto w jego czaszkę, to z miłą chęcią.

Jednak on wstał i spojrzał mi prosto w oczy dokładnie w momencie, gdy zamierzałam strzelić. Uśmiechnął się od ucha do ucha i uniósł rękę – krew kapała z niej na trawę.

Krew Zane'a. Mój demon miał szeroko otwarte oczy, ich złote światło przygasło, a usta się rozchyliły, jakby walczył o każdy oddech. W uszach zaczęło mi szumieć, byłam przerażona tym widokiem.

Jeremiah wymamrotał kilka słów, ale nic nie zrozumiałam. Wycelowałam strzelbę prosto w jego głowę.

– Co mu, kurwa, zrobiłeś? – wrzasnęłam. – Co mu zrobiłeś?

– Spokojnie, Juniper. – Wysmarował sobie krwią twarz, od niechcenia oblizując do czysta palec. – Twój demon wreszcie na coś się przydał.

Spojrzałam w dół. Po raz pierwszy zauważyłam wokół Zane'a dziwny okrąg z wypalanej trawy. W obrębie kręgu wypalone były linie, wszystko razem tworzyło przedziwny kształt otaczający jego ciało.

Trawa nadal się tliła. Właściwie to dymu było coraz więcej, choć jego źródłem nie wydawały się płomienie. Dym unosił się z ziemi.

– Co, do kurwy... – Z ziemi podniosły się kłęby czarnego dymu; miał ostry zapach, wirowały w nim drobinki popiołu, o czym przekonałam się, kiedy wciągnęłam go do płuc. Jeremiah się odsunął, a gdy powoli

pochłaniał go dym, nadal miał na ustach szalony uśmiech. Kaszlałam, gardło mnie paliło. Właśnie miałam zacząć strzelać na oślep w dym, kiedy Zane odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Próbował unieść rękę.

– Uciekaj, Juniper. – Głos miał zachrypnięty, napięty z bólu. – To Żniwiarz... on wzywa Żniwiarza... uciekaj...

Dym zasłonił także jego. Nagle w ciemnym kłębiącym się dymie coś się poruszyło.

Coś wielkiego.

Zane

Ból był coraz bardziej dotkliwy.

Moje ciało pulsowało, każdy mięsień był napięty, a kończyny – jak ciężkie kamienie. Ostry, palący ból w miejscu, gdzie amulet zanurzył się w moją skórę, był jak rozżarzony do czerwoności nóż wbity w plecy – i to wcale nie w trakcie igraszek. W tym bólu nie było nic przyjemnego.

Robiłem, co mogłem, żeby poczuć się lepiej, ale nie wracałem do zdrowia. Odplynęła ze mnie cała siła, a wraz z nią wypływała ze mnie krew. Jeremiah wysłał swoich ludzi za Juniper – szli na pewną śmierć, jeśli dziewczyna nadal się tam kryła. Przykucnął nade mną, a choć mieniło mi się przed oczami, widziałem jego uśmiechniętą twarz i poplamione czarną zgnilizną zęby.

– Pociski są drogie – powiedział kurewsko swobodnym tonem, spoglądając na moje zmaltretowane ciało. Mamrotał pod nosem, nie tyle do mnie, co do siebie. – A, do cholery, potrzeba ich naprawdę wiele, żebyście, skurwysyny, choćby się skrzywiły. Za to amulet zadziałał lepiej, niż się spodziewałem... choć to jednak ryzykowne...

– Pieprz się – warknąłem. – Pieprz się razem ze swoimi monologami.

Byś może miałem szczęście, że nie zwrócił uwagi na moje słowa.

– Ale wiesz, co jest lepsze niż pociski i małe amuleciki? Żniwiarz.

Równie dobrze mógłby kopnąć mnie prosto w głowę; czułem się tak ogłuszony, jakby to zrobił. Jeremiah nie powinien nawet wiedzieć, że Żniwiarze istnieją. Pełnili funkcję piekielnych katów – potężne, inteligentne potwory, z którymi demony zawarły tymczasowy pakt. Jeśli demon

okazywał takie nieposłuszeństwo, że Rada Piekła zdecydowała, żeby go zniszczyć, wzywano Żniwiarza, by się tym zajął.

Parsknąłem śmiechem, choć dźwięk był stłumiony przez ból.

– Jesteś... kurwa... chory psychicznie... jeśli myślisz... że uda ci się tu ściągnąć Żniwiarza.

– Sądzisz, że mi się nie uda? – Z całej siły nadepnałem mi na pierś. – A jak myślisz, kim jestem, demonie?

– Jesteś tylko żalonym... – Boli czy nie boli, nie miałem zamiaru się zamknąć. Jednak to, co nastąpiło, nie było bólem. Niezupełnie. Poczulem, jakby coś otworzyło mi czaszkę, wślizgnęło się przez szczeliny, owinęło wokół mózgu i zaczęło zaciskać.

W głowie migały mi obrazy długiego, ciemnego tunelu. W tych wizjach była krew... wnętrzności... dźwięk tysiąca głosów krzyczących zgodnym chórem w cierpieniu. Na końcu tunelu była twarz... postać... odziana w światło i kolor, pokryta tysiącem mrugających oczu, nieustannie się zmieniająca, płynna... ściskająca coraz mocniej...

Zmusiłem Go, żeby opuścił mój umysł, ale zrozumiałem, co chciał mi przekazać. To nie Jeremiah wiedział cokolwiek na temat Żniwiarzy.

To był Bóg.

Wtykał paluch do moich ran, grzebał w nich, rozsmarował mi krew na piersi.

– Krew demona wzywa Żniwiarza do wypełnienia obowiązku. Jestem pewien, że nie zrobi mu różnicy, gdy krew nie będzie należała do przyszłej ofiary. Zresztą ciebie też może dostać, w ramach bonusu, kiedy już skończy z Leonem.

Byłem tylko środkiem do celu. To Leon stał pomiędzy Jeremiahem i Raelynn, ale już niedługo. Leon nie miał szans w starciu ze Żniwiarzem.

Jeremiah planował skazać go na śmierć. Zamierzał zabić Leona, a mnie wykorzystać do osiągnięcia tego celu. Bezradnie zanurzyłem paznokcie w trawie, drapałem ziemię. Wolałbym umrzeć. Wolałbym, żeby mnie zniszczył, niż wykorzystał, żeby przyspieszyć śmierć Leona.

Tyle że nic nie mogłem zrobić. Nic.

Mgła zasnuwająca mi oczy zamieniła się w ciemność. Byłem zbyt słaby nawet na to, żeby się teleportować do Piekła. Nie miałem siły, żeby otworzyć bramę i stąd uciec. Wokół mnie zbierała się energia, mamrotane przez Jeremiaha słowa zamieniały się w eter, sięgały poza ziemię, w najgłębsze otchłanie Piekła.

Nie powinien znać tych słów. One powinny być poza zasięgiem ludzi.

Nagle, pomimo otaczającej mnie ciemności i bólu, usłyszałem ją. Czułem, że jest blisko. Poznałem jej zapach.

Juniper.

– Co mu, kurwa, zrobiłeś? Co mu zrobiłeś?

Mogłem się domyślić, że nie ucieknie. Moja mała wilczyca nie uciekała. Choć, kurwa, powinna. Jednak na pewno nie rozumiała, co tu się dzieje.

– Spokojnie, Juniper. – Jeremiah zachichotał. – Twój demon wreszcie na coś się przydał.

Wyczułem zapach ostrego gęstego dymu. Miałem wrażenie, jakby niewidzialna ręka sięgnęła mi między żebra i ścisnęła moje wnętrzności, szarpiąc je i zawiązując w supły. Gęstniejąca wokół mnie ciemność emanowała błyskami światła i nieludzkimi jękami, a mnie udało się przekręcić głowę. Zobaczyłem Juniper. Stała tam, umazana krwią, z szeroko otwartymi oczami i strzelbą gotową do strzału.

Kurwa, bolało, nawet gdy próbowałem wydusić z siebie parę słów.

– Uciekaj, Juniper. – Głos z trudem wydobywał się z obolałego gardła, język miałem nabrzmiąły. – To Żniwiarz... on wzywa Żniwiarza... uciekaj...

W tym momencie zasłoniła ją ciemność, a jakiś ogromny kształt ruszył na mnie prosto z wiszącego nade mną dymu.

Zabawne. Przez wszystkie te lata pilnowałem się, żeby nie wkurzyć Rady, a i tak koniec końców wylądowałem pod pazurami Żniwiarza.

Kurwa piekielna mać.

W ciemności rozległo się krakanie kruków, a temperatura gwałtownie spadła, aż z moich ust zaczęły się wydobywać obłoczki pary. Robaki i żuki wypełzły z ziemi, uciekając w pośpiechu, bo trawę ścinał mróz. Nad głową zobaczyłem zarys ogromnych skrzydeł, przypominających skrzydła nietoperza.

Pięć mrugających oczu błyszczało dziwnym, srebrzystym światłem zza ciemnego całunu, którym zakryta była jego twarz; oczy spojrzały prosto na mnie. Jego głos był zimny i głęboki, wibrował w moich kościach jak grzmot.

– Witaj, mały demonku! Poddasz się dobrowolnie śmierci?

Cieężko westchnąłem.

– Niestety nie. Właściwie to chciałbym złożyć skargę. Zabicie mnie jest... yyy... wysoce niewskazane.

Żniwiarz zachichotał, a ten dźwięk był tak nieprzyjemny, że aż przeszedł mnie dreszcz. Na jego szyi kołysały się, jak klejnoty w naszyjniku, setki ostrych zębów: jego trofea, pozostałości po ofiarach. Zagrzechotały, kiedy się śmiał, a jego zbroja z kamienia i czarnego metalu zaskrzypiała, kiedy się poruszał.

– Czyżby? A jednak Pradawny Pan wezwał mnie, używając twojego ciała i krwi.

– Nie wezwałem cię, żebyś przelewał jego krew – wtrącił się Jeremiah głosem o wiele zbyt głośnym jak na małego, nic nieznaczącego śmiertelnika. Przynajmniej miał tyle rozumu w głowie, żeby się bać, niezależnie od tego, co zrobił w imieniu Boga.

– Nie jego? – warknął Żniwiarz. – W takim razie, Pradawny Panie, dlaczego mnie wezwałeś? Żniwiarz nie lubi, kiedy lekkomyślnie marnuje się jego czas.

– Chodzi o innego demona – pospieszył z wyjaśnieniem Jeremiah. – Ma na imię Leon. Stoi na straży pewnej osoby, śmiertelnej kobiety. Trzeba go od niej odsunąć. Trzeba go złamać.

Żniwiarz ponownie zadudnił – nie umiałem ocenić, czy chichocze, czy po prostu oddycha. Jedno albo drugie, ale nie miałem pewności.

– Złamać go? A dlaczego miałbym go nie zabijać, Pradawny Panie? Żniwiarz przybywa, żeby odebrać życie. Nie pozwolę, żeby mi tego odmówiono.

Jeremiah uśmiechnął się, wykrzywiając twarz.

– Ależ nie mam takiego zamiaru. Możesz wziąć demona, który tutaj leży. To podarunek. A co do tego drugiego, to kiedy już zostanie złamany, sam się nim zajmę. Ale tego możesz sobie zabrać, kiedy wykonasz zadanie.

Wspaniale. Byłem pierdoloną kartą przetargową między Żniwiarzem a Bogiem. Jeśli chodzi o moją prywatną listę nowych doświadczeń do przeżycia, to by było zdecydowanie na ostatnim miejscu.

Przynajmniej Juniper tu nie było. Uciekła, kiedy pojawił się Żniwiarz, i to była moja jedyna pociecha w tym całym gównie. Broń i noże nie zabijają Żniwiarza. Nie miałyby żadnych szans.

Gdy Żniwiarz pozbawi mnie życia, więź między naszymi duszami, Juniper i moją, zostanie przerwana. Jej dusza odzyska wolność. Może znajdzie inną istotę, która zabierze ją do Piekła; miałem nadzieję, że tak się

stanie. Kobieta taka jak ona zasługiwała na coś więcej niż ten świat, zasługiwała na coś więcej niż jedno śmiertelne życie. Potrzebowała czegoś więcej. Potrzebowała wolności, jaką można znaleźć tylko poza Ziemią.

Kurwa, to bolało bardziej, niż się spodziewałem: ta melancholia, to... to poczucie straty. Nie bałem się śmierci – po prostu nie chciałem zostawiać Juniper. Nie chciałem, żeby Leon albo zginął, walcząc ze Żniwiarzem, albo został złamany i w efekcie dostał się z powrotem w niewolę Hadleighów. Nienawidziłem poczucia, że nie udało mi się ochronić tych, na których najbardziej mi zależało.

Juniper przetrwa; moja mała wilczyca znajdzie sposób. To moja jedyna pociecha.

– My Żniwiarze nie jesteśmy sługami, którym można wyznaczać zadania – warknął Żniwiarz. – Jednak z szacunku dla Pradawnego Pana spełnię twoją prośbę. Leon, tamten demon, zostanie złamany, a ja powrócę po tego. – Pochylił się, żeby na mnie spojrzeć swoimi srebrzystymi oczami. – Mówisz, że nie poddasz się dobrowolnie śmierci, demonie. Lecz twoje ciało jest zatrute. Szkoda, że nie będziesz w stanie walczyć, ale przynajmniej będziesz łatwą zdobyczą.

Wokół mnie zawirował zimny wiatr, rozwiewając zalegający dym, a wraz z nim Żniwiarza. Noc była upiornie cicha – świerszcze milczały, nawet wiatr ustał. Jeremiaś podszedł do mnie, jak gdyby nigdy nic grzebiąc sobie w zębach.

– Szkoda, że ta mała dziwka uciekła. – Spojrzał na mnie z okrutnym uśmiechem. – Myślałeś, że cię ocali? Uciekanie zawsze było jej najmocniejszą stroną. Będzie biec i biec... – Wzrok mu stwardniał. – Ale ty nie wymkniesz się Bogu.

Zaczął się oddalać. Byłem tak cholernie słaby, że z trudem podniosłem głowę, żeby za nim spojrzeć. Nie mogłem uciec. Mogłem tylko leżeć

i czekać na powrót swojego oprawcy.

– Szczerze mówiąc – powiedział Jeremiaś, nadal maszerując przed siebie – mam nadzieję, że ona wróci. Może spróbuje powalczyć o ciebie ze Żniwiarzem. Zostałbym, żeby zobaczyć, jak robi z niej sieczkę, ale... mam na głowie złożenie kolejnej ofiary. – Odwrócił się, żeby na mnie popatrzeć. Oczy miał zamglone, a kiedy się odezwał, jego głos nawet nie przypominał głosu Jeremiaha.

– Kiedy tu wrócę, demonie, będę wolny. A świat będzie całkiem innym miejscem. Juniper Kynes będzie mogła biegać do woli, ale już nigdy mi nie ucieknie.

Juniper

Juniper Kynes będzie mogła biegać do woli, ale już nigdy mi nie ucieknie.

Żebyś się nie zdziwił, skurwielu.

Obserwowałam wszystko z bezpiecznej odległości, schowana za kamienną szopą, w której zabiliśmy Kenta. Na drzwiach był teraz łańcuch, więc nie mogłam wejść do środka, jednak potrzebowałam czegoś pomiędzy mną a olbrzymim potworem, którego przywołał Jeremiah. Eldowie, Czatownik, Golumowie – wszyscy byli wystarczająco źli. Jednak ta istota nie była po prostu potworem, nie była zwyczajną bestią.

Żniwiarz był inteligentny i cholernie niebezpieczny, skoro polecenie Boga mógł traktować jako zwykłą „prośbę”.

Niecierpliwiłam się w swojej kryjówce, ale pozostałam w niej, nawet po odejściu Jeremiaha. Nie byłam pewna, czy skurwysyn nie przyczaił się gdzieś w pobliżu albo czy nie postawił na straży kolejnych zbirów. Zane przez kilka minut leżał w bezruchu, potem zaczął się niezdarnie poruszać, jakby próbował wstać. Ciągłe sięgał w stronę pleców i drapał je pazurami, jakby było tam coś, co sprawia mu ból.

Gdy na to patrzyłam, ręce mi się trzęsły, a gardło miałam zupełnie ściśnięte. Robiło mi się słabo na jego widok w takim stanie. Jeremiah miał nadzieję, że wrócę, żeby się zmierzyć ze Żniwiarzem – jego pieprzone życzenie miało się spełnić. Skoro Żniwiarz ma krew i oddycha, to znaczy, że mogę go zabić.

Znajdę sposób.

Wreszcie minęło tyle czasu, że byłam prawie absolutnie pewna, że podwórko nie jest obserwowane, dlatego przemknęłam się do Zane'a.

Miał zamknięte oczy, jego oddech był słaby i o wiele zbyt wolny. Był podziurawiony kulami, a rany nadal krwawiły. Żadna z nich nawet nie zaczęła się goić. Moje ręce niepewnie się nad nim zatrzymały, oczy piekły mnie od łez wściekłości.

– Co on ci zrobił? Kurwa... – Pogłodziłam go po twarzy, po zastygającej na niej krwi, a on zamrugał, po czym otworzył oczy.

– Mogłem się domyślić. – Próbował się uśmiechnąć, ale usta wykrzywił mu grymas bólu. Podniósł rękę, a ja ją chwyciłam i dotknęłam jego zakrwawionymi palcami swojej twarzy. – Nie mogłaś po prostu zachować się rozsądnie i trzymać z daleka, co?

– Jasne, że nie – syknęłam. – Tak jakbym mogła cię zostawić...! Nie bądź śmieszny.

Potrząsnął głową.

– Nie możesz stanąć do walki sama przeciwko Żniwiarzowi, Juniper.

– Poczekaj, a sam się przekonasz! I ani mi się waż znowu mi mówić, żebym sobie poszła. Nie zrobię tego! A teraz powiedz, jak mogę ci pomóc.

Kilka słów, które powiedział, pozbawiło mnie tchu. Milczał przez chwilę, po czym wydusił z siebie:

– Ten amulet... który miał Kent. Pamiętasz?

Przytaknęłam, po czym ogarnęła mnie groza.

– Tak. Zakopałam go... Zostawiłam w lesie...

Kurwa. Nie, nie, nie.

– Jeremiaś go użył. – Powoli, z wysiłkiem zacisnął zęby i przewrócił się na bok. Na plecach obok łopatki pod skórą rysowało się wybrzuszenie

otoczone paskudnymi siniakami. – Ugodził mnie... Rany się nie goją. – Spuścił głowę i zamknął oczy. – Wyciągnij to... Tnij głęboko...

Popełniłam błąd. To mój błąd doprowadził do tej sytuacji. Zostawiłam amulet w lesie. Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Wyjęłam nóż, potrząsając głową. Ogarnęło mnie lodowate poczucie winy.

– Zane, przepraszam cię. Zapomniałam.... Zupełnie o tym zapomniałam.

– Ja też. – Tym razem udało mu się uśmiechnąć. – Nieważne, Juni. Nie... nie obwiniaj się. Zrób to, kochanie. Wytnij to ze mnie.

Zacisnęłam zęby, przyłożyłam ostrze do nabrzmiałej skóry – i nacięłam.

Zane zadrżał, ale to była jego jedyna reakcja na przecięcie rany. Przeklęty amulecik tkwił głęboko; ze ściśniętym sercem musiałam wbić nóż jeszcze głębiej, aż ostrze dotknęło metalu. Zane jęknął, przyciskając czoło do murawy.

– Kurwa, to takie... ekstremalnie... nieprzyjemne...

– Aaaa, kurwa – syknął Zane, kiedy wreszcie chwyciłam amulet w palce i wydobyłam go z rany. Gdy tylko magiczny przedmiot opuścił jego ciało, skóra Zane'a pokryła się gęsią skórką, a rany postrzałowe zaczęły pulsować jak małe serduszka.

– Czy to działa również na inne istoty, Zane?

Podniósł się z ziemi, chwiejąc się, jakby miał zawroty głowy.

– Tak. Można tego użyć przeciwko innym potworom... szczególnie teraz. – Krzywiąc się, rozprostował ramiona i sięgnął w stronę pleców. – Cholerstwo wyssało ze mnie prawie całą siłę i dodało ją do własnej. Jest kurewsko niebezpieczne.

Kiwnęłam głową, intensywnie się nad tym zastanawiając.

– Dobrze. Idealnie. Posłuchaj, wiem, że to będzie boleć, ale... –
Podałam mu amulet. – Potrzebuję, żebyś go zmiażdżył.

Spojrzał na moją rękę, jakby była na niej parująca kupa gówna.

– Po co?

Poklepałam lufę przewieszoną przez plecy strzelby.

– Kawałki muszą być na tyle małe, żeby zmieściły się tutaj. Jeremiaś jest tak cholernie zadufany w sobie, że nawet się nie połapał, że zostawia nam potężną broń. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Kiedy wróci Żniwiarz, na dzień dobry nafaszeruję mu bużkę odłamkami magicznego metalu.

Spojrzał na mnie poważnie.

– To nie będzie łatwe, Juniper. Nie słyszałem, żeby ktoś oprócz arcydemonów kiedykolwiek zabił Żniwiarza, a i arcydemonom udało się to tylko w czasie wojen.

– Nie musi być łatwe. Wystarczy, żeby zadziało.

– Kurwa... no tak. – Wyciągnął dłoń, połamane pazury powoli zaczęły odrastać. – Miejmy to już z głowy.

Upuściłam amulet na jego dłoń, a jego oczy natychmiast wywróciły się białkami do góry. Zacisnął zęby, gwałtownie nabrał tchu i zacisnął drżące palce na amulecie. Czułam się podle, że go o to poprosiłam i naraziłam na kolejny ból, choć już tyle wycierpiał.

Jednak wiedziałam, że kiedy Żniwiarz wróci, prawdopodobnie zginiemy. Jeśli mogłam coś zrobić, żeby tego uniknąć, musiałam działać. Nie miałam zamiaru poddać się bez walki.

W głębi duszy obawiałam się, że jest już za późno. Jeremiaś nasłał Żniwiarza na Leona. Planował dzisiejszej nocy porwać Raelynn i złożyć ostatnią ofiarę. Kto go teraz zatrzyma? Wiedźma i jej arcydemon? Czy będą mieć choć cień szansy?

Może i gra była już skończona. Może właśnie byliśmy świadkami ostatnich tchnień świata, nad którym lada chwila przejmie panowanie pradawny Bóg. Może koniec końców Libiri dostaną to, czego tak bardzo pragną.

Nie miałam jednak zamiaru siedzieć z założonymi rękami i czekać na śmierć. Wolę jej wyjść naprzeciw z otwartymi ramionami, niż kulić się w mroku i czekać, aż mnie zabiją.

– Gotowe. – Zane rzucił amulet w moją stronę, po czym potrząsnął ręką, jakby się oparzył. – Miejmy nadzieję, że zadziała.

Wygrzebałam z trawy kawałki metalu, które były teraz wystarczająco małe, żeby się zmieścić do strzelby.

– Musi zadziałać. W tym momencie nie mam innego pomysłu.

– Gdyby Żniwiarz zechciał poczekać parę dni ze swoim powrotem, moglibyśmy stoczyć z nim prawdziwą bitwę – zauważył Zane. Z rozdrażnieniem wpatrywał się w swoje drżące dłonie. – Jaki ja jestem, kurwa, słaby...! Dobrze by mi teraz zrobiło...

Przerwał i utkwiał wzrok za mną. Obejrzałam się, serce waliło mi jak młotem, podnosząc strzelbę do strzału.

Ale zobaczyłam jedynie światło w jednym z okien na piętrze w domu Hadleighów. Przed szybą przesunął się cień, zmarszczyłam brwi, ale Zane już ruszał w tamtą stronę.

– Dusza – powiedział. – Dobrze by mi teraz zrobiło, gdybym zdobył kolejną duszę.

Zane

Juniper trzymała się blisko mnie, kiedy pokuśtykałem do domu, zabezpieczała mnie, trzymając broń w gotowości. Na widok makabrycznego dzieła sztuki, na jakie przerobiłem salon – zaschnięta krew na meblach, na ścianach i na dywanie – wyrwał jej się cichy okrzyk.

– Cholera, to jest... wow... – Przerwała, bo wdepnęła w coś, co wyglądało jak wątroba. Prawdopodobnie to była wątroba.

– Zazdrosna o moje talenty artystyczne? – zapytałem. – Powiedziałbym, że jestem kolejnym Jamesem Pollockiem.

Potrząsnęła głową.

– Może gdyby Pollock miał dziecko z Charlesem Mansonem.

Podkradliśmy się na tyły domu, gdzie widziałem kogoś w oknie. Słyszałem bicie jej serca; wyczuwałem jej strach – musiała się tam kryć od wielu godzin. Kiedy pozbyłem się amuletu, mój organizm pracował na pełnych obrotach, żeby się uleczyć, przez co kręciło mi się w głowie. Moje ciało było jak balon, a głowa wydawała się być z żelaza, przez co zrobienie każdego kolejnego kroku przychodziło mi z trudem. Jednak nie było czasu na odpoczynek, nie było czasu na sen. W oddali zagrzmiało, a o szyby w korytarzu zaczął bębnić deszcz.

Skoro nie mogłem odpocząć, żeby odzyskać siłę, potrzebowałem czegoś innego. Natychmiast.

Potrzebowałem duszy i, szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie, w jaki sposób ją zdobędę. Rada ten jeden jedyny raz będzie musiała mi przebaczyć nagięcie zasad.

Próbowałem nie myśleć o Leonie. Próbowałem nie myśleć o tym, co to dokładnie znaczy być „złamanym” przez Żniwiarza. Przyjaciel raczej umrze, niż się komuś podporządkuje, z czego wniosek, że upór nie zawsze popłaca.

Dom zadrżał w posadach, ale tym razem to nie był grzmot. Znieruchomiałem, a Juniper spojrzała na mnie, nic z tego nie rozumiejąc. W tym momencie nocną ciszę przeszył okropny, nienaturalny krzyk.

– Wraca – stwierdziłem. – Żniwiarz wraca.

Lampy w korytarzu zaczęły szybko mrugać, a szyby w oknach pokryły się warstwą lodu. Nagle wszystkie żarówki w korytarzu pękły z głośnym trzaskiem, obsypując nas okruchami szkła.

– Skończył z Leonem. – Te słowa nie chciały mi przejść przez gardło. Były trucizną tak gorzką, że miałem ochotę je wypluć. – Skończył z nim. Kurwa.

– Poszukamy go, Zane – powiedziała Juniper. – Wypierdalamy stąd i idziemy go szukać. Jego i Raelynn. Nie pozwolimy, żeby Libiri ich dorwali.

– Podziwiam twój optymizm, Juniper.

Warstwa lodu na szybach zaczęła się kruszyć. Chciałem rozwalić te okna, chciałem zrównać to miejsce z ziemią. Gdzieś tam był Leon, pewnie walczył o życie. Musiałem do niego dotrzeć, ale w tym momencie byłem cholernie słaby, prawie zupełnie bezradny. Na myśl o tym, że w przyjacielu gaśnie życie, a wraz z nim zniknie łącząca nas od tak dawna więź, ogarnęła mnie wściekłość granicząca z szaleństwem.

Chwyciłem ozdobną wazę i cisnąłem nią w ścianę z rykiem tak głośnym, że szyby zabrzęczały.

Juniper ścisnęła mnie za ramię i z całej siły szarpnęła, żebym na nią spojrzał.

– Nie tracę nadziei tylko dlatego, że ty mi ją dałeś – oświadczyła gorąco. – Dałeś mi nadzieję, kiedy wcale jej nie miałam. Jeremiaś powiedział Żniwiarzowi, żeby nie zabijać Leona. Znajdziemy go. Jest silny.

Pogładziłem ją pazurami po twarzy, odgarniając jej do tyłu włosy. Były rozczochrane i splątane, wokół twarzy miała prawdziwą grzywę. Była piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ale ja nie jestem. Nie jestem wystarczająco silny, żeby cię ochronić, Juniper. Przepraszam.

Chwyciła moją rękę i przycisnęła ją sobie do twarzy, a spojrzenie jej ciemnych oczu stwardniało.

– Nie potrzebuję twojej siły, Zane. Potrzebuję tylko ciebie. Nie opuszczaj mnie.

Nadal była jak burza; nie straciła nic ze swojej siły, nawet teraz, kiedy śmierć zaglądała nam w oczy. Przycisnąłem czoło do jej czoła, a ona mimo ciemności spojrzała mi w twarz.

– Nigdy.

Kolejny ryk rozerwał noc, Juniper wzięła głęboki wdech.

– Ruszajmy. Musimy zdobyć dla ciebie tę duszę.

Na tyłach domu odkryliśmy drzwi zamknięte na klucz – nietrudna do sforsowania przeszkoda. W znajdującej się za nimi sypialni wszystkie światła były wyłączone. Ktokolwiek się tam ukrywał, najwyraźniej domyślił się, że nie jest sam, i zadbał, żeby w pokoju zapanowała całkowita ciemność.

– Wychodź, Meredith. – Juniper zatrasnęła za nami drzwi. Po drugiej stronie łóżka kulił się cień, który gwałtownie nabrał tchu, słysząc słowa Juniper. – Wiemy, że tu jesteś.

Zza łóżka powoli wyłoniła się kobieta. Białą bluzkę i spódnicę miała w nieładzie, jej jasne włosy były rozczochrane, a twarz miała dziwny wyraz

– coś pomiędzy przerażeniem a wściekłością. Przenosiła wzrok ze mnie na Zane'a i z powrotem, nerwowo ocierając ręce o spódnicę.

– Odejdźcie – syknęła. – Jesteście... jesteście potworami! – Wymierzyła oskarżycielski palec, ale nie we mnie, tylko w kierunku stojącej obok Juniper. – Wszystko zniszczyłaś, *suko!* Victoria złożyła ofiarę. – Głos jej się podniósł, zarówno jeśli o głośność, jak i rejestr; za chwilę ta kobieta wpadnie w histerię. – Moja córka... moja piękna córka... spełniła swój obowiązek. – Nagle krzyknęła, chwyciła kubek stojący na stoliku nocnym i cisnęła nim w naszą stronę. Rozbił się na ścianie, stłuczona porcelana rozprysnęła się po podłodze.

– Twoja córka nie żyje – oznajmiła chłodno Juniper. – Wkrótce twoje syn również zginie. Naprawdę wszyscy uważaliście, że nie będzie konsekwencji? Myśleliście, że nikt was nigdy nie spróbuje powstrzymać?

Meredith prychnęła szyderczo, spoglądając na Juniper z obrzydzeniem.

– I pomyśleć, że takie żalosne dziewczyszko jak ty próbuje wykręcić się od swojego przeznaczenia...! Nie miałaś przed sobą żadnej przyszłości. Zwykła miernota z patologicznej rodziny. – Potrząsnęła głową. – A teraz stoisz tutaj, podczas gdy moja córka... podczas gdy moja córka...

Nie miałem zamiaru stać z założonymi rękami i słuchać, jak babsko w ten sposób zwraca się do Juniper. Chętnie wyrwałbym jej język, tyle że jeszcze go potrzebowała.

Potrzebowała go, żeby zawrzeć ze mną pakt.

Przemknąłem przez pokój, chwyciłem ją za gardło i przycisnąłem do ściany. Wrzasnęła i przeklinała, atakując mnie paznokciami, co, oczywiście, nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Dom znowu zadrżał, zatrzęsł się w posadach na dźwięk nadnaturalnego krzyku Żniwiarza. Czasu było coraz mniej.

Żniwiarz będzie tu dosłownie za chwilę. Musiałem się pospieszyć.

– Wkrótce i ty będziesz musiała stawić czoła śmierci, Meredith – warknąłem, szczerząc zęby tuż przy jej twarzy. – Z którą morderczą bestią wolisz mieć do czynienia? Z potworem, którego twój syn uwolnił, czy z potworem, którym twój syn się stał? A może... wolisz raczej mnie?

Oczy jej wyszły na wierzch, bezradnie spoglądała to na Juniper, to na mnie, niewiele z tego rozumiejąc. Uśmiechnąłem się szeroko, pozwalając jej się dobrze przyjrzeć moim kłom.

– Potrzebuję tylko twojej zgody. Oddaj mi duszę, a daruję ci życie.

– Co jest warte słowo demona? – warknęła, ale w jej oczach dostrzegłem desperację.

– Obiecuję ci to – powiedziałem, kładąc rękę na sercu, choć ten gest głównie dla mnie znaczył. – Oddaj mi duszę, tu i teraz. Zapewnisz sobie spokój po śmierci. A na razie cię wypuszczę.

Moje pazury zawisły nad jej skórą, gotowe w każdej chwili się w niej zanurzyć. Potrzebowałem tylko jednego słowa. Niech wyrazi zgodę, a potem...

– No dobrze – wyrzuciła z siebie. – Dobrze, zabierz ją. Ja... – Wrzasnęła, gdy moje pazury zanurzyły się w jej skórze. Pospiesznie i byle jak wyciąłem na niej swój znak. Prawie natychmiast poczułem, jak jej dusza dołącza do mnie. Minęło sporo czasu, odkąd przyjąłem duszę, bo nie miałem innego wyjścia, szczególnie tak nikczemną jak jej. Okrutne dusze wydawały się takie lepkie. Jakby były pokryte szlamem, którego nie da się zmyć.

Jednak zdobycie jej duszy dało mi to, czego potrzebowałem. Poczułem przepływającą przeze mnie energię, na moment mnie oślepiło, kiedy moje ciało się uzdrawiało, a pociski były wypychane z dziur i lądowały na podłodze. Działo się to tak szybko, że na chwilę straciłem oddech, jednak

wkrótce poczułem, że odzyskuję siły. Był to proces nie tyle przyjemny, co przynoszący ogromną ulgę.

Gdy otworzyłem oczy, znów poczułem, że żyję.

Meredith wpatrywała się we mnie z przerażeniem.

– Czarne oczy... – wyszeptała. – Litościwy Boże... Istoto z głębin, wybaw mnie...

Odsunąłem się na bok, robiąc gest w stronę drzwi.

– Uciekaj, dopóki możesz. Twój boski syn niedługo wróci.

Najwyraźniej ta perspektywa była dla niej tak przerażająca, że ruszyła w kierunku drzwi. Jednak nie uszła daleko. Juniper zaszła ją od tyłu i podcięła jej gardło.

Obiecałem, że ja jej nie zabiję. Nic nie mówiłem o Juniper.

– Do zobaczenia w Piekło – powiedziała Juniper, przewracając ją stopą na plecy i stając nad nią, kiedy kobieta wykrwawiała się na białym dywanie. Gdy w oczach żony Hadleigha zgasło światło, Juniper spojrzała na mnie, a na jej twarzy odmalowały się niepewność i zdumienie.

– Miała rację, Zane. Twoje oczy są czarne. Są całkowicie czarne.

Nie miałem czasu zastanawiać się, co to dla mnie oznacza. Juniper zrzędnęła mina, podniosła rękę i wskazała gdzieś za mnie. Otworzyła szeroko oczy i krzyknęła:

– Zane! On wrócił!

Okno za mną rozprysło się na tysiąc kawałków, dookoła spadł szklany deszcz. Wokół mnie zamknęła się potężna ręka, miażdżąc mnie w swoim uścisku, i porwała mnie w ciemną noc.

Zane

Palce Żniwiarza zacisnęły się na mnie, aż zebra mi jęknęły. Cisnął mnie w ciemność, na szczęście udało mi się skulić, zanim walnąłem plecami w drzewo. Pień rozłupał się na dwie części, a ja przetoczyłem się kawałek, kiedy spadłem na ziemię, bo sosna przewróciła się i roztrzaskała.

Wokół mnie hulał wiatr, deszcz zamienił się w ulewę. Wzięcie w posiadanie duszy tej kobiety pozostawiło gorzki posmak w moich ustach, ale jeśli Rada będzie mi wytykać złamanie zasad w takich okolicznościach, to z radością rzucę im „Odpierdolcie się” prosto w te ich zadowolone gęby.

Nie chodziło tylko o mnie. Skoro dzięki temu mogłem ochronić Juniper, skoro dzięki temu mogłem walczyć u jej boku, to było mi obojętne, jakie zasady złamię. Nie cofnę się przed niczym. Będę kręcił, niszczył i manipulował wszystkie istoty, które spotkam na drodze do niej.

Arcydemon zawisł nade mną, a jego upiornie jarzące się oczy wpatrywały się we mnie, mrugając. Uśmiechnąłem się.

– Wyglądasz na trochę sfatygowanego – krzyknąłem do niego. Jedno z ramion bestii zwisało bezwładnie, z nadgarstka wystawały jej kości, a szara skóra była poszarpana. Z dumą pomyślałem, że to dzieło Leona. Ten groźny sukinkot nie poddał się bez walki, nawet mając za przeciwnika Żniwiarza.

Demony nie kładły się, żeby, kurwa, grzecznie oczekiwać na śmierć. Jeśli to miał być koniec, ten Żniwiarz wróci do Piekła tak pokiereszowany, że nikt nie będzie wątpił, że walczyłem.

– Czyli jednak odzyskałeś siłę, demonie – zadudniła bestia. – Chętnie zmierzę się z przeciwnikiem, z którym nie będę musiał obchodzić się jak z jajkiem.

Nagle rozległ się odgłos wystrzału, a Żniwiarz się wzdrygnął i ze zdumieniem odwrócił okrytą całunem głowę w stronę domu. W rozbitym oknie była Juniper, przyklękła na jedno kolano i ponownie mierzyła z broni. Zabrzmiały kolejne wystrzały, kule trafiły w niezliczone mrugające oczy, a ja natychmiast skorzystałem z okazji.

Wystrzeliłem w górę jak z procy, kierując się prosto do zranionego ramienia. Ugryzłem go, szarpiąc napięte mięśnie i ścięgna, aż dotarłem do kości, którą zmiażdżyłem zębami. Bestia ryknęła, biorąc na mnie zamach drugim ramieniem, podczas gdy Juniper nadal zasypywała go gradem kul. Pociski prawdopodobnie odczuwał jako dokuczliwe kłucie, ale w końcu nawet mała osa może sprawić, że dorosły mężczyzna rzuci się do ucieczki.

Udało mi się uniknąć jego ciosu i poturlałem się pod jego opancerzone nogi. Jednak jego ramię mnie odnalazło, mocno uderzyło, a następnie cisnęło mną o ziemię. Wściekła bestia wypatrywała również Juniper, ale dziewczyna już opuściła dom i pędziła w stronę drzew.

– Głupi człowieku! – warknął potwór. – Nie masz pojęcia, co zrobiłeś.

Znowu się na niego rzuciłem, jednak tym razem nie dał się zaskoczyć. Przeorał mi pazurami twarz, potwornie raniąc policzek. To mnie na moment oszołomiło, a Żniwiarz wykorzystał szansę, zrzucił mnie na ziemię i przygniótł ręką.

Walczyłem, gryzłem go w palce i wyrywałam całe kawałki ciała. Lecz ogromne stworzenie zerwało z twarzy całun i otworzyło wielkie usta. Zobaczyłem nad sobą nieskończone rzędy długich i ostrych jak igły zębów. Mogło mi złamać kark i połknąć moją głowę za jednym...

Rozległ się głośny wystrzał i jedno z jarzących się oczu Żniwiarza eksplodowało, a jego krew opryskała mi twarz. Bestia ryknęła i zatoczyła się do tyłu, uwalniając mnie. Od razu zorientowałem się, że twarzy Żniwiarza nie przebił zwykły pocisk – to był amulet, teraz zatopiony głęboko w głowie bestii.

Wyglądało na to, że Żniwiarz nie przesadzał, kiedy nazwał amulet „trucizną”.

Bestia rzucała się, wpadała na drzewa i na dom, łamała konary i rozbijała okna, przez cały czas nie przestając wrzeszczeć. Juniper podbiegła do mnie z rozszerzonymi oczami, w których odbijało się coś pomiędzy przerażeniem i euforią.

– To działa – wysapała. – Cholera jasna, to działa!

Stworzenie rzuciło się w naszą stronę i zanim zdołałem zasłonić dziewczynę własnym ciałem, chwyciło Juniper i uniosło do góry.

– Głupi, żałosny człowieczku...! – Jego głos wibrował w powietrzu, wprawiając drzewa w drżenie i rozbijając jeszcze więcej szkła swoim natężeniem. Juniper walczyła, ale ramię miała unieruchomione przy boku i nie mogła sięgnąć po broń. Żniwiarz machnął w dół potężnymi skrzydłami z zamiarem smagnięcia mnie ostrymi ostrogami na ich krawędziach. Zrobiłem unik i przyskoczyłem do boku Żniwiarza, używając jego zbroi i ciała jako uchwytów, kiedy wspinałem się coraz wyżej, aż dotarłem na jego plecy i prawie na kark. W jedynej ręce, którą mógł poruszać, trzymał Juniper, a ja dzięki temu miałem możliwość przeczołgać się w stronę gardła bestii, po czym zatopić w niej zęby i pazury.

Stwór zaniósł się rykiem, a Juniper krzyknęła, bo bezceremonialnie upuścił ją na ziemię, próbując mnie z siebie zrzucić. Ja jednak mocno się go uczepiłem, a choć magia amuletu nie działała na niego tak mocno jak na mnie, to taka rana nigdy nie miała się zagoić.

Strząsnął mnie z siebie, a mnie udało się przekreślić w locie i wylądować na ugiętych nogach. Usta miałem całe we krwi, kapłała mi z podbródka, ale przyglądałem się z satysfakcją, jak bestia zatacza się do tyłu, rycząc z wściekłości.

– Nie zapomnę twojej twarzy – wrzeszczał Żniwiarz. – Miej się na baczności, kiedy będziesz się przechadzał po Piekło, demonie...! Każdy Żniwiarz, na którego się natkniesz, będzie znał twoje imię!

Otoczająca go ciemność zgęstniała, zasłaniając go, kiedy zniknął. Poświęcił swoje fizyczne ciało i stanął w płomieniach, pozostawiając po sobie unoszący się w powietrzu popiół. Wróci teraz do Pieła i może faktycznie się wylizę, a potem opowie innym, co mu zrobiłem. Nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Niech na mnie polują. Niech mnie nienawidzą.

Niecałe piętnaście metrów dalej leżało bezwładne ciało Juniper. Popędziłem do niej i od razu zauważyłem, że z ziejącej rany na jej głowie sączy się strużka krwi. Kucnąłem przy niej i szybko nakryłem ranę dłonią.

– Juniper? – Ostrożnie zbadałem palcami jej kręgosłup, zanim odważyłem się jej dotknąć. Jęknęła cichutko, a ja podniosłem ją i przytuliłem do piersi.

Zaczęła się kręcić, powoli zamrugła oczami, po czym ponownie jęknęła.

– Kurwa... – Przycisnęła ręce do serca, zaciskając powieki. – Boże... jak to... jak to cholernie boli...

– Co cię boli? – Każda zadana jej rana oznaczała, że zadam ranę innej osobie. Ktoś za to zapłaci – ktoś za to słono zapłaci.

Potrząsnęła głową.

– Myślę, że... że nic mi nie jest... tylko na chwilę straciłam oddech, kiedy upadłam. – Wyprostowała się nieco i nadal ciężko oddychając,

rozejrzała się dookoła. Można by pomyśleć, że właśnie wybuchła tu bomba – trawnik był pokiereszowany, drzewa rozerwane na kawałki, spokojny wcześniej ogród ze schludnie przyciętym żywopłotem teraz był zrównany z ziemią. Dom był prawie rozerwany na pół, ze zniszczonych rur ciekła woda, a w powietrzu unosił się ostry zapach metanu.

– Już go nie ma? – zapytała cichym głosem. – Zadziało...?

– Jesteś genialna, kochanie. – Wziąłem jej twarz w dłonie i pocałowałem ją. Kurwa, te usta nigdy mi się nie znudzą. Za każdym razem, gdy jej wargi dotykały moich, czułem się, jakby nasze serca były trochę bardziej ze sobą związane. – Ten amulet użyty jako amunicja... rzuciłaś go na kolana!

Uśmiechnęła się szeroko.

– Dobrze wiedzieć, że nie jesteś jedynym potworem, który pada przede mną na kolana.

Pocałowałem ją jeszcze raz, niespiesznie, ciesząc się jej smakiem. Dopiero kiedy drugi raz odsuwałem ją od siebie, zauważyłem, że rozsmarowuję jej na twarzy krew. Ale ona i tak ciągle się do mnie uśmiechała.

– Masz coś na ustach – zauważyła beczelnie. Niczego tak nie pragnąłem, jak wziąć ją na ręce i jak najszybciej stąd wypierdalać. Moglibyśmy odnaleźć Leona, a następnie zostawić to miejsce za sobą i już nigdy więcej nie postawić stopy w Abelaum – jednak moją uwagę przykuł chrzęst opon na żwirze.

– Wrócił – mruknąłem. – Jeremiah tu jest.

Juniper

Ukrywanie się nie miało sensu. Nie było potrzeby bawić się w podchody, nie na tym etapie. Przeszliśmy przez trawnik w kierunku domu – poturbowani, posiniaczeni i cali we krwi. Wysoko nad nami błysnęło na moment, oświetlając Jeremiaha i jego przyodzianych w białe peleryny wyznawców, kiedy wysiadali z samochodów.

Jeremiah spojrzał na mnie, a ja wyczułam w jego wzroku zimną nienawiść Istoty z głębin. Zacisnął zęby i pięści, a zgromadzeni za nim wyznawcy przyglądali się nam niepewnie. Zastanawiałam się, ilu z nich mnie pamięta. Ja ich pamiętałam. Oczywiście byli wśród nich nowi członkowie, ale wielu ze stojących za Jeremiahem ludzi było tam tamtej nocy.

Stali wtedy w kościele i pochwalali pomysł zabicia młodej dziewczyny, która błagała ich o pomoc. Patrzyli w milczeniu. A potem obserwowali, jak zostałam wrzucona w ciemną otchłań.

Teraz kilku z nich wybałuszało na mnie oczy, jakby zobaczyli ducha. Grzechów przeszłości nie da się wymazać.

Jeremiah trząśł się z wściekłości. Jego biały garnitur był w plamach, marynarka upstrzona plamkami krwi. Z nosa ciekł mu czarny płyn i gromadził się nad górną wargą.

– Jakim, kurwa, cudem jeszcze żyjecie? – warknął. – Gdzie jest mój Żniwiarz?

Zane uśmiechnął się szeroko. Dziwnie było go widzieć takiego – złoty kolor jego gałek zupełnie zniknął. Jego oczy były teraz całkiem czarne, jak

oczy arcydemonu. Powietrze wokół niego stało się gorące.

– A gdzie twój nowy świat, Jeremiahu? – odpowiedział pytaniem na pytanie Zane, z zaciekawieniem przekrzywiając głowę. – Mógłbym przysiąc, że zapewniałeś, że będziesz wolny, kiedy wrócisz. – Twarz Jeremiaha wykrzywiła się z wściekłości.

– Złożyliśmy ostatnią ofiarę – syknął. – To już koniec! Raelynn Lawson odeszła do Boga, i to dzięki mnie! Ja tego wszystkiego dokonałem. – Zaśmiał się przeraźliwie, w tym dźwięku nie było ani cienia radości. – Zrobiłem to, czego nie potrafił zrobić mój ojciec. To, z czym nie mogła dać sobie rady moja siostra! Ja! Ja, ja, ja!

– Coś mi się wydaje, że ktoś tu jest rozpuszczonym bachorem... – mruknęłam pod nosem. Jeremiah gwałtownie zrobił krok w moją stronę, ale jego ruchy były dziwne. Zbyt sztywne, jakby coś próbowało przeszkodzić mu poruszać się po swojemu.

– Mówisz, że ofiara została złożona... – zauważył przeciągle Zane – ... a jednak nadal tu jesteś, uwięziony w podupadającym ciele żalosnego śmiertelnika.

Jeremiah warknął jak zwierzę. Jego głowa gwałtownie drgnęła, ramiona napięły się i zaokrągliły. Zgromadzeni za nim wyznawcy zaczęli się wycofywać; oczy mieli szeroko otwarte ze strachu, a peleryny całkowicie przemoczone rzez deszcz.

Stałam przed nimi i każdemu po kolei spoglądałam w twarz. Młodzi i starzy, niektórzy znajomi, inni nie. Rozpoznałam swoich nauczycieli i sąsiadów. Niektórzy pojawili się na pogrzebie mojego brata i pocieszali matkę, kiedy płakała. A inni wcale mnie nie znali.

Czy robili to, bo się bali? Bo byli pełni nadziei? A może zdesperowani albo okrutni?

Zresztą, co za różnica.

Podniosłam broń.

– To wasza jedyna szansa. Macie trzy sekundy. Uciekajcie. Raz...

Chwila wahania. Białe peleryny spojrzęły po sobie, naradzając się szeptem.

– Dwa...

Niektórzy zerwali się do ucieczki, pędzili z powrotem do samochodów. Inni pozostali na miejscu, wpatrzeni w Jeremiaha, jakby ten mógł ich ochronić. Uśmiechnęłam się z przekąsem, naciskając spust.

– Trzy.

Huk wystrzału pozbawił białe peleryny resztek odwagi. Gdy mężczyzna, którego zastrzeliłam, padł na ziemię, pozostali rzucili się do ucieczki. Popychali się nawzajem w pośpiechu, próbując zepchnąć współwyznawcę na linię ognia, żeby ocalić życie. Zdejmowałam jednego po drugim, dopóki Zane nie wskoczył w sam środek tego chaosu.

Nie zwracając uwagi na rozlegające się za nim rozpaczliwe krzyki, Jeremiah nadal wpatrywał się we mnie z wykrzywionymi w grymasie obrzydzenia ustami. Potrzęsnał głową.

– Nieudacznicy. Wszyscy. Banda tchórzliwych drani!

Jego głos obniżył się do monstrualnego ryku. Zagrzało, a ziemia za nim się otworzyła. Wystrzeliła z niej masywna szara macka, błyskawicznie wysunęła się do przodu i owinęła wokół jednej białej peleryny, umykającej właśnie przed Zane'em. Zane odskoczył, a zaatakowany mężczyzna wrzasnął, gdy macka zacisnęła się wokół niego. Zaciskała się coraz bardziej, aż wreszcie rozległ się obrzydliwy trzask łamanych kości, a połamane ciało padło bezwładnie na ziemię.

– Nikt nie będzie mi się sprzeciwiał! – ryknął Jeremiah. Ścisnął rękami swoją głowę, a jego oczy stały się całkiem białe, jakby wypełniła je mgła. – Nie będziesz mi się sprzeciwiała, Juniper Kynes! Należysz do mnie!

Zgarbił się, a następnie jego ciało zaczęło się wykrzywiać. Wymierzyłam i strzeliłam, raz po raz naciskając na spust. Kule go dosięgły, wyrwały dziury w jego ciele i odsłoniły ziejące rany pełne czarnej mazi. Jeremiah krzyknął i zaczął rosnać, kończyny mu się wydłużały, a z żeber wyskakiwały nowe wypustki. Z jego ciała wyrastały grube macki, a z oczu i ust sączyła się czarna ciecz.

Wystrzeliłam ponownie, tym razem pocisk trafił w twarz. Bok czaszki eksplodował, ale oczy wywróciły się w głowie, po czym znowu na mnie spojrzały. Język wystrzelił z ust, zachłannie oblizując wargi.

– Próbuje dalej, Juniper! – Zachichotał. Czarna maź wezbrała, żeby wypełnić dziurę po pocisku, a ja byłam w takim szoku, że mogłam się tylko gapić.

– Juniper, ruchy!

Zane zepchnął mnie na bok dokładnie w momencie, gdy w moją stronę wystrzeliła ogromna macka. Złapała Zane'a, owinęła się błyskawicznie wokół niego i ścisnęła, jednocześnie unosząc w powietrze. Zane napiął się, walczył zawzięcie, wreszcie udało mu się uwolnić z uścisku jedno ramię. Zanurzył pazury w oślizgłym ciele, prawie rozrywając mackę na dwie części. W efekcie puściła go, pospiesznie się oddalając, ale do ataku ruszyły kolejne.

Jeremiah stracił resztki człowieczeństwa. Nie miał już rąk ani nóg, jego ciało podtrzymywały teraz niezliczone grube, wijące się macki. Twarz mu się wykręcała, jakby w jego głowie siedziało coś, co desperacko próbowało wydostać się na zewnątrz. Rzucił się w naszym kierunku, macki wystrzeliły we wszystkie strony. Pospiesznie wypaliłam, trafiając w pierwszą z nich, potem drugą, ale trzecia...

Trzecia owinęła mi się wokół klatki piersiowej. Pociągnęła mnie w dół, unieruchamiając wyciągnięte wzdłuż tułowia ręce. Napięłam wszystkie

kończyny, próbując wymknąć się z miażdżącego uścisku, zanim macka połamie mi żebra. Jednak była za silna, a mnie ramiona zaczęły się trząść. Zaciskała się coraz mocniej i mocniej, a wielkie przyssawki przyciśnięte do moich ramion przesuwały się niebezpiecznie w stronę gardła.

Jeremiah stanął nade mną z szerokim uśmiechem.

– Koniec uciekania, Juniper. – Z jego ust wydobywało się tysiąc głosów naraz, niektóre zachrypnięte i okrutne, inne krzyczące z bólu. Miałam wrażenie, że mój umysł też został ściśnięty, jakby czaszka mi się zapadała. Nie przestawałam walczyć, cały wysiłek skupiając na tym, żeby uniemożliwić tym obrzydliwym szarym mackom zmiażdżenie mojej klatki piersiowej. Ale jednocześnie w moim umyśle wyświetlały się niechciane obrazy.

Szyb górniczy. Ciemność. Tunel. Golomy przyczajone cicho w pieczarze. Macki wyłaniające się z ciemności i wijące się w moją stronę...

– Tak naprawdę nigdy nie uciekłaś z tej ciemności. – Jeremiah parsknął śmiechem, a jego powykęciana twarz wdarła się do mojego umysłu. – Minęło tyle lat, a ty nadal jesteś tamtą małą dziewczynką, która zgubiła się pod ziemią.

Nagle coś walnęło w niego z wielką siłą, aż wpadł w poślizg i zatrzymał się dopiero na bocznej ścianie domu. Nabrałam gwałtownie tchu i zerwałam się na równe nogi, podczas gdy Zane ustawił się między mną a Jeremiahem. W każdym miejscu, w którym dotykały mnie przyssawki, pozostały zasinione kółka popękanych naczynek. Nieznośnie mnie piekły. Ramiona mi drżały, miałam bolesne skurcze mięśni, jednak mimo bólu wydałam z siebie bojowy pomruk i pospiesznie przeładowałam broń. Celowałam kolejno w wijące się po ziemi macki, a tymczasem Jeremiah ponownie się podniósł.

Zane spoglądał na niego groźnie swoimi czarnymi oczami. Lekko wstał, po czym ponownie zaatakował, poruszając się tak szybko, że moje oczy za nim nie nadążały. Na monstrualnym, rozlanym ciele Jeremiaha otwierały się kolejne ziejące rany, a zęby i pazury Zane'a zostawiały za sobą krwawe ślady, kiedy przemykał, zgrabnie unikając wijących się macek.

Jeremiah wydał z siebie ryk, a Zane odskoczył, nie dopuszczając do potężnego uderzenia macką w swoją pierś. Potężne odnóża były teraz grube jak pnie drzew, a kiedy biły w ściany domu, beton drżał, rury pękały, aż woda pryskała na ziemię. Przebiegłam przez błoto, wymierzyłam i wypaliłam, trafiając Jeremiaha prosto w głowę.

Ponownie ryknął, zaczął się skręcać i miotać na ziemi. Uskoczyłam na bok, zanim jedna z macek zdołała mnie dosięgnąć.

– Nie! – Twarz Jeremiaha podlegała gwałtownej przemianie: w jednej chwili była ludzka, w kolejnej stawała się twarzą bestii. Niektóre odnóża kurczyły się, skręcały i opadały bezwładnie jak suche liście. – To nie koniec! To nie... aaa... – Zadrżał i wypłynęło z niego jeszcze więcej czarnej mazi. – Boże... dlaczego... nie... nie opuszczaj mnie...

– Twój Bóg nie ma nic do roboty na tonącym okręcie. – Podniosłam wzrok, Jeremiah również. Zane wskoczył na dach i stanął na krawędzi zniszczonej ściany. Powietrze wokół niego iskrzyło się energią i drżało od gorąca. Zane uśmiechnął się do Jeremiaha zakrwawionymi ustami. – Jesteś skończony, Jeremiahu, a Istota z głębin jest okrutna i bezlitosna.

– Nie! – zaprotestował ostro Jeremiah, chwiejąc się na znowu ludzkich nogach. Wszystkie jego rany były widoczne, wypływało z nich gęste, czarne błoto. Ponownie wymierzyłam, zbliżając się do niego.

– Myślałeś, że Istota z głębin okaże ci litość? – powiedziałam, kiedy on oparł się ciężko o ścianę domu, dysząc i zerkając w lewo i prawo, jakby obmyślał drogę ucieczki. – Ty i twoja rodzina myśleliście, że dojdziecie do

władzy za cenę życia innych. Twoja własna siostra, Jeremiahu! Czekales na śmierć ojca, żeby zająć jego miejsce. Zamordowales mojego brata!

Uśmiechnal się do mnie z okrucieństwem, przesuwal się chwiejnym krokiem w stronę wnętrza domu.

– Twój brat błagał mnie o litość. – Parsknął śmiechem, choć ledwo trzymał się na nogach. – Nigdy nie zapomnę, jak światło w jego oczach gasło.

– Ufał ci! – Strzeliłam, a kula przebiła mu gardło. Jeremiah zaczął się dławić, wydał z siebie bulgoczący dźwięk, ale wycofał się do zrujnowanego domu jak ranny robak do swojej norki. – Wmówiles mu, że jesteście przyjaciółmi. Widziałam wasze wspólne zdjęcia! Był dobrym człowiekiem! Marcus nie zasłużył na to!

Po mojej twarzy płynęły gorące łzy wściekłości. Jeremiah zniknął w mroku domu, pojękując i zostawiając za sobą ślady czarnej krwi, Zane zeskoczył do mnie z dachu.

– Stracił całą pierdoloną moc. Skończmy to!

Juniper

Wnętrze domu było kompletnie zalane, zarówno przez deszcz, jak i zniszczone rury. Gdy znalazłam się w zrujnowanym korytarzu, jedynym źródłem światła były krótkie rozbłyski błyskawic. Zane szedł tuż za mną; w pobliżu rozlegało się bulgotanie i pokasływanie Jeremiaha.

– Dlaczego... – mamrotał pod nosem, przyczajony w ciemności. – Zrobiłem wszystko, o co prosiłeś... wszystko... Złożyłem ofiary... Wywiązałem się ze wszystkiego...

Rozległ się pełen cierpienia zniekształcony krzyk. Zauważyłam go, kulił się w mroku otoczony przez ciała wiernych, których Zane zabił wcześniej. Podniósł na mnie wzrok; patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami i potrząsał głową.

– Juniper... Juniper, nie rób tego...

– Ty jeszcze, kurwa, śmiesz... – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Śmiesz mnie błagać? Jesteś pierdolonym tchórzem, Jeremiahu!

Znowu się roześmiał, a Zane mruknął za mną:

– On już nie żyje, Juni. Rozpada się.

Miał rację. Jeremiah z trudem poruszał rękami i nogami, otaczała go kałuża czarnej zgnilizny. Wstrząsały nim drgawki, a ona wlepiła we mnie wzrok, najpierw z wściekłością, a po chwili z przerażeniem. Nad naszymi głowami zagrzmiało, nagłemu rozbłyskowi błyskawicy towarzyszył przerażający trzask...

A potem huk. I kolejny.

Trzymałam Jeremiaha na muszce, kiedy Zane nagle zniknął mi z oczu, lecz po chwili ponownie się pojawił.

– Piorun uderzył w dom – wyjaśnił. – Przerwał przewody gazowe. Kiedy ogień się rozprzestrzeni, zrobi się naprawdę gorąco, i to bardzo szybko.

Kiwnęłam głową i spojrzałam z powrotem na Jeremiaha, który właśnie próbował się odczołgać ode mnie, z trudem sunąc po podłodze. Poszłam za nim, kręcąc głową, podczas gdy on w ślimaczym tempie oddalał się korytarzem.

– Nie chcę ci strzelać w plecy, Jeremiahu – powiedziałam. – To koniec. Odwróć się do mnie.

Jego głos zamienił się w żalony pisk.

– Nieee! To nie... Jestem wybranym... Bóg mnie... Bóg...

Położyłam stopę na jego plecach, przyciskając jego słabe ciało do podłogi.

– Libiri ponieśli klęskę na całej linii – powiedziałam. – Tobie nie udało się mnie zabić. Twój Bóg nie mógł mnie osiąść. Śmierć twojej siostry poszła na marne. Może i pozbawiłeś życia mojego brata, ale jego ciało jest pochowane w bezpiecznym miejscu.

Zane stanął za mną. Poczułam na plecach bijący od niego żar. Odetchnęłam głęboko i stopą przewróciłam Jeremiaha na bok. Wpatrywał się we mnie, ale w jego oczach nie było już ani światła, ani świadomości.

– Twój Bóg nigdy nie zwycięży, Jeremiahu. A to nie musiało się w ten sposób skończyć. – Wycelowałam. Palec na spuście drgnął. – Myślałeś, że wrzuciłeś w mroczną otchłań owieczkę. Myliłeś się. Wrzuciłeś tam wilczycę, a ja wróciłam i gryzę.

Nacisnęłam spust.

Pożar rozprzestrzenił się szybko i gwałtownie. Zane ledwo zdążył wrzucić do środka zmasakrowane ciała w białych pelerynach, zanim dom spłonął. Wybuchy wstrząsały ścianami, kiedy płomienie natrafiały na ulatniający się gaz.

Zane i ja przyglądaliśmy się temu wszystkiemu z oddali, w milczeniu siedząc na trawie. Powietrze było ciężkie od dymu, ale dzięki ulewie ogień nie rozprzestrzenił się aż tak bardzo.

– To koniec – powiedziałam cicho. – To naprawdę koniec.

Upłynęło tyle lat. Tyle lat zagrożenia z ich strony nieustannie wisiało mi nad głową, tyle lat przeżytych w strachu. Lat nienawiści, wściekłości i bólu. Te uczucia nie znikają tak po prostu, szczególnie gdy tak długo mi towarzyszyły. Nawet jeśli oni wszyscy nie żyją.

Przynajmniej znowu mogłam swobodnie oddychać. Niewyobrażalny ciężar, który przygniatał mnie od tak dawna, nareszcie zniknął.

Nie czułam, że to koniec. Miałam wrażenie, że to początek. Początek historii, która nie będzie rozwijać się w cieniu bólu, której nie zniekształci przerażenie. To była historia, której nawet nie potrafiłam zacząć; życie, którego nie umiałam przeżyć.

Zane pochylił się nade mną, odgarniając mi włosy. Oboje byliśmy poobijani, zakrwawieni, z umorusanymi twarzami. Usta i szyja Zane’a były przesiąknięte krwią. Jednak całe napięcie z niego uszło. A oczy znowu miał jasne i złote.

– Waleczna jak wilczyca – powiedział, a ja położyłam mu głowę na ramieniu. – Teraz możesz odpocząć, kochanie. Możesz odpocząć.

Kurwa, to wystarczyło... Płakałam na jego ramieniu, serce mi się ścisnęło, a łzy piekły. To było przytłaczające. To było uwalniające. Oparłam głowę na czubku mojej, a kiedy wylałam już prawie wszystkie łzy i mogłam wytrzeć twarz, odezwał się:

– Prowadź, dokąd chcesz, a ja pójdę za tobą. A jeśli nie wiesz, dokąd chcesz iść, to ja cię poprowadzę.

Potrząsnęłam głową, śmiejąc się cichutko, choć z oczu płynęły mi jeszcze ostatnie łzy.

– Jestem w rozsypce, Zane.

– Przeszłaś wystarczająco dużo, starczy tego i na to życie, i na następne. Każdy jasny, ostry kawałek ciebie... – Pocałował mnie w zakrwawioną rękę, a potem w drugą. – Twoje polowanie dobiegło końca, ale moje nie. Nigdy się nie skończy. Będę cię chronił.

Przysunęłam się jeszcze bliżej, jakby te słowa były zbyt delikatne, by wypowiadać je głośno, zbyt intymne, aby ktoś je usłyszał.

– Kocham cię.

– A ja kocham każdy twój rozedrgany kawałek, Juniper. Nie będę cię zapewniał, że to prawda. Po prostu będę ci to każdego dnia udowadniał, aż wreszcie mi uwierzysz.

Ogień przygasał. Z rezydencji niewiele zostało.

– Powinniśmy już iść – zauważyłam cicho. – Ktoś w końcu zobaczy dym i zadzwoni po straż pożarną.

Zane skinął głową, po czym wstał i podał mi rękę. Lecz kiedy już stałam, jego wzrok błyskawicznie przesunął się w bok, a mnie natychmiast ogarnęła panika. Podniosłam broń, odwróciłam się i wymierzyłam...

Jednak po drugiej stronie trawnika, tuż pod drzewami stał Leon.

Tylko Leon, sam. Czyli Raelynn... Raelynn była...

Zane położył mi rękę na ramieniu.

– Spokojnie, Juni. – Jego głos był łagodny. – Wiesz, że on cię nie skrzywdzi.

Zmusiłam się, żeby opuścić broń. Miał rację, wiedziałam, że ma rację. Nie chciałam ciągle się bać. Nie chciałam trzymać się kurczowo okropnych wspomnień. Pragnęłam zacząć wszystko od nowa, choć na razie nie wiedziałam, jak to zrobić.

Na twarzy Zane'a pojawił się wyraz ulgi. On i Leon naznaczyli się nawzajem, obiecali sobie wspólną wieczność.

Skoro chodzi o Zane'a, to mogę się zastanowić, jak zrobić jeden mały krok.

Mogę się zastanowić, jak przebaczyć.

Leon podniósł ręce, zmierzając w naszym kierunku. Ubranie miał w strzępach, a na ramieniu, klatce piersiowej i twarzy paskudne fioletowe siniaki.

– Ubiegliście mnie – zauważył. – Wy się zabawiliście, a ja co, hę?

Podeszłam bliżej, oddalając się od Zane'a. Przyglądał mi się ostrożnie, ale wcale nie tak chłodno, jak się spodziewałam. Patrzył na mnie z chłodnym szacunkiem – a gdzieś w głębi jego jasnych oczu spostrzegłam nawet odrobinę smutku.

Kiedyś zapytam go o tamtą noc. Kiedyś spróbuję zrozumieć rzeczy, które powiedział mi o nim Zane. Spróbuję spojrzeć na sprawy z jego punktu widzenia, pojąć jego ból i jego lęki. Nie byłam jedyną ofiarą w tym wszystkim. Nie tylko mnie nocą nawiedzały koszmary.

„Kiedyś” – mogłoby się wydawać, że to niewiele... ale to już coś. Kolejny mały krok wiodący mnie ku zrozumieniu, jak mam żyć.

– Gdzie jest Raelynn? – zapytałam.

– Niedaleko. Ukryta. Jest bezpieczna. – W jego głosie wyczułam czujność, ale i tak odetchnęłam z ulgą. Była z nim. Libiri naprawdę ponieśli klęskę. Ich ostatnia ofiara żyła, a kto, do cholery, odważyłby się teraz

podnieść na nią rękę? Nie znałam dobrze Leona, ale co do tego nie miałam cienia wątpliwości – zabije każdego, kto spróbuje mu ją odebrać.

– Nikogo nie pozostawiliśmy przy życiu – powiedziałam. – Rodziny Hadleighów już nie ma. Libiri również.

Spojrzał w kierunku domu i przez chwilę milczał, obserwując przygasające płomienie.

– Jeremiaha też?

– Umierał jak tchórz. Szkoda, że tego nie widziałeś, spodobałoby ci się.

– Szkoda, że tego nie zrobiłem.

Parsknęłam cichym śmiechem, ale w gruncie rzeczy dobrze go rozumiałam. Prawdopodobnie od bardzo dawna czuł dokładnie to, co ja, tyle że jemu zemsta przeszła koło nosa. Na jego miejscu czułabym się nawet bardziej zagubiona niż teraz.

– Sprzedałam duszę, żeby się zemścić. Wzięłam, co moje. Ale to już koniec. – Z namysłem pokiwałam głową. – To koniec.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się razem w dogasające płomienie. Lata spędzone w bólu właśnie dobiegały końca, został z nich tylko popiół. Spłonęły łańcuchy, które więziły i jego, i mnie. Z dala rozległo się stłumione wycie syren.

– Zbierajmy się. – Zane podszedł i delikatnie pociągnął mnie za kosmyk włosów. – Niedługo będzie tu pełno ludzi.

Skinęłam głową i odwróciłam się – ale poczułam, że to jeszcze nie wszystko. Wzięłam głęboki oddech, po czym z powrotem zwróciłam się w jego stronę i wyciągnęłam rękę.

Leon przez chwilę gapił się na moją dłoń, jakby nie bardzo wiedział, co ma z nią zrobić, jakby się obawiał, że to pułapka, i próbował się domyślić, w jaki sposób zaatakuję. Jednak powoli, mrużąc oczy, podał mi swoją rękę.

– Przebaczam ci – powiedziałam. – Wcale mi się to nie podoba, ale tak właśnie jest.

Jego oczy na moment się rozszerzyły, zakłopotanie mieszało się w nich z niepewnością. Prawie nie uścisnął mojej ręki, jakby się bał, że zrobi to za mocno, jakby uważał, że musi być gotowy, żeby się błyskawicznie wycofać. Nic nie odpowiedział, ale też nie spodziewałam się, że coś powie.

Puściłam jego dłoń, kiwnęłam na pożegnanie głową, a Zane znowu objął mnie ramieniem. Gdy byliśmy już na skraju lasu, syreny brzmiały coraz głośniej. Zane przystanął, żeby po raz ostatni rzucić okiem na scenę dzisiejszych wydarzeń.

– Nic mu nie powiedziałaś – zauważyłam. – Dlaczego?

– Nie musiałem. Leon... no cóż... – Parsknął cichym śmiechem. – Gadanie o emocjach nie jest jego najmocniejszą stroną. A właściwie to go przeraża. – Weszliśmy między drzewa, coraz głębiej i głębiej zanurzaliśmy się w ciemność. – To zabawne, prawda? Tak niebezpieczna istota najbardziej boi się własnych uczuć. Boi się dopuścić kogoś do siebie, boi się odsłonić. Leon potrzebuje czasu, żeby sobie to wszystko poukładać.

Rozumiałam to. Poukładanie sobie tego, co zaszło, zajmie mi dni, miesiące, a najprawdopodobniej lata. Nie wiedziałam dokładnie, przez co przeszedł Leon, ale prawdopodobnie czuł to samo, co ja. A ja czułam się bezbronna, jakby mój kokon nagle się otworzył, wystawiając mnie na oczy świata. Miałam skrzydła, ale nie miałam pojęcia, jak się lata.

– Niemniej jednak... Kurwa, jak ja się cieszę, że widzę go żywego! – Oczy mu się rozpromieniły, a po ustach błąkał się uśmiezek. – Tak się, kurwa, cieszę, że dał radę. – Ścisnął mnie za ramię i pochylił się, żeby pocałować mnie w czubek głowy. – Dokąd teraz, mała wilczyco?

Przychodziło mi na myśl tylko jedno miejsce. Miejsce, które mnie wzywało.

– Nad ocean – powiedziałam. – Chcę jechać nad ocean.

Juniper

Kiedy dotarliśmy na wybrzeże, już zaczynało świtać, ale deszcz nie przestawał lać. Przede mną rozciągał się ocean, obmywając wybrzeże w przyćmionym szarym świetle. Woda rozciągała się daleko, pozornie nieskończona, dopóki nie spotkała się z niebem. Ogromna przestrzeń nieznanego, rozległa i wzburzona.

Brnęłam po piasku w stronę wody. Fale moczyły moje stopy, a zimna piana zbierała mi się wokół kostek.

Dokonałam tego. Gdy tak stałam wśród fal, chmury rozchyliły się na tyle, żeby poranne słońce mogło musnąć promieniami moje plecy, choć nadal padał deszcz. Zaczynał się nowy dzień, a ja... sama nie wiem, jak... przeżyłam.

Weszłam głębiej w ocean. Szłam i szłam, aż woda sięgała mi prawie do pasa. Zanurzyłam ręce i patrzyłam, jak spływa z nich krew. Słuchałam wiatru i rozbijających się o brzeg fal. Słuchałam krzyku morskich ptaków krążących mi nad głową.

W lesie nie było już nic, co mogłoby mnie zawołać. Ciemność czająca się na obrzeżach mojej świadomości zniknęła. Został tylko ból – ból niepewności i ból niezrozumienia.

Zza pleców dochodził mnie odgłos kroków Zane'a na plaży. Nie przestawałam zmywać krwi i brudu z rąk. Zanurzyłam nawet głowę i wyszorowałam włosy morską wodą. Zmyłam wszystko, woda zabrała brud.

Plamy zniknęły. Co pozostało...?

– Nie sądziłam, że będę żyć – powiedziałam cicho, ale wiedziałam, że Zane mnie usłyszy. – Nigdy nie sądziłam, że to przetrwam. Dlatego zawarłam pakt. – Roześmiałam się, potrząsając głową. – Po śmierci Marcusa moim jedynym celem w życiu była zemsta. A teraz... to już za mną. – Odwróciłam się do niego, obejmując się ramionami, bo drżałam z zimna. – To już koniec, Zane.

Kiwnął głową. Tęczówki jego oczu znowu były złote, ale w miejscu, gdzie przedtem widniały białka, zagościła czerń. Zmienił się, od kiedy go poznałam; nieodwracalnie się zmienił.

Ja też się zmieniłam. Tyle że nie wiedziałam, co te zmiany oznaczają.

Nie wiedziałam, kim jestem. Kim jest mi pisane być.

– Co teraz? – wyszeptałam. Płakałam, łzy płynęły mi po twarzy, a ja nie byłam pewna, dlaczego tak się dzieje.

Zane wszedł do wody. Objął mnie, przygarnął do swojego ciepłego ciała i odgonił chłód.

– Co tylko chcesz, kochanie. Co sobie wymarzysz. To twoje życie.

Otoczył dłońmi moją twarz i otarł mi łzy. Mój starannie skonstruowany mur zniknął. Otworzyłam drzwi swojej kryjówki, ale okazało się, że boję się z niej wyjść. Światło było za jasne, świat za zewnątrz zbyt duży, a ja byłam po prostu bezpieczniejsza w swoim schronieniu.

Jednak na zewnątrz stał Zane, wyciągał do mnie rękę, jakby chciał mnie poprowadzić, jakby chciał, żeby ta podróż była trochę mniej przerażająca.

– Nie wiem, jakie ma być moje życie – przyznałam, zamykając oczy, ponieważ tego wszystkiego było za dużo. W ciemności za zamkniętymi powiekami byłam tylko ja i on. W ciemności mogłam udawać, że nie boję się przyszłości. Mogłam sobie wyobrazić, że nie czuję się nadal skazana na ból, jakby to była kotwica, którą próbowałam wszędzie za sobą wlec, choć

jednocześnie pragnęłam ją zostawić. – Ten świat nie jest dla mnie odpowiednim miejscem. Myślę, że nigdy nie był.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, nie wypuszczając mnie z objęć.

– Nie jesteś stworzona dla tego świata, kochanie. Zbyt wiele w tobie jest. Podobnie jak we mnie. Ale możesz sprawić, że ten świat stanie się twoim miejscem. – Przycisnął czoło do mojego. – Zaslługujesz na to, żeby przeżyć swoje życie. Wieczność będzie należeć do ciebie, ale do tego czasu będę ci towarzyszył w takim życiu, jakie wybierzesz.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– A jeśli jestem zbyt rozwalona? Jeśli... nie będę potrafić... – A jeśli nie będę potrafiła się z tego otrząsnąć? Nie będę w stanie na tyle się pozbierać, żeby żyć? A jeśli wiem tylko, jak przetrwać, jak z trudem brnąć przez każdy kolejny dzień? Co wtedy?

Co, jeśli zemsta była wszystkim, co miałam, a teraz, kiedy już jej dokonałam, nie będę wiedzieć, co, do cholery, ze sobą zrobić?

– Możesz być w rozsypce – powiedział. – Dla mnie nigdy nie będziesz zbyt rozwalona. Możemy być potworami, ty i ja. Możemy być popieprzonymi, zagubionymi, dziwacznymi istotami. Skoro się boisz, to się boisz. Kiedy zgubisz swoje światło, wrócę po ciebie w ciemności. Nie jesteś sama. – Pocałował mnie w czoło. – Już nigdy nie będziesz sama.

Patrzył na mnie, jakbym była czymś niezwykle cennym, jakbym była czymś niezwykle pięknym, czymś wyjątkowym. W jego oczach widziałam rzeczy, których nigdy w sobie nie dostrzegłam.

– Zaslługujesz na to, żeby żyć, Juniper Kynes. Zaslługujesz na szczęście. Zaslługujesz na to, żeby wyjść z ciemności, kiedy będziesz już gotowa. To normalne, że na razie nie wiesz, w którą stronę iść. Jestem z tobą. Kocham cię, Juniper Kynes, dokładnie taką, jaka jesteś.

Kurwa, nienawidzę płakać. Jednak jemu udało się całkowicie zburzyć mój mur. Pozwoliłam mu przytulać się w wodzie i płakałam z ulgą, z nadzieją, z lękiem.

Ale to normalne, żeby się bać. Żeby czuć się zagubionym.

Już nie byłam sama. Już nie byłam pozbawiona nadziei. Nieważne, jak wielki był świat – wystarczyło, że potrafiłam oświetlić swoją ścieżkę. Mogłam zebrać swoje rozwalone kawałki i zacząć powoli układać je w całość.

Mogłam znaleźć swoją drogę, z nim przy boku, już na zawsze.

Epilog

Zane

Kilka miesięcy później

Lubiłem Vermont wiosną. Zielone pola, żółte kwiaty, śpiew ptaków – zwykle to nie była moja bajka. Preferowałem brud, chaos i huk, ale to również można było tutaj znaleźć, o ile się wiedziało, gdzie szukać. Juniper z kolei potrzebowała ciszy i otwartych przestrzeni. Próbowałem ją trzymać z daleka od zbyt przerażających rzeczy – przynajmniej na razie.

Zmiana otoczenia jej posłuży, przynajmniej tak powiedziała terapeutka. Nie wiedziałem wiele na temat psychiatrii i tego typu spraw, a Juniper cholernie się opierała – co jest całkowicie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę jej doświadczenie z lekarzami. Jednak Hana upierała się, że ta kobieta może pomóc. Muszę przyznać, że faktycznie miała wszelkie kwalifikacje, żeby pomóc Juniper.

Hana zdobyła jej duszę już wiele lat temu. Jeśli jakaś terapeutka była przygotowana, żeby zmierzyć się z pokręconą historią Juniper, to właśnie ona.

Jej gabinet znajdował się przy cichej uliczce okolonej drzewami. Nigdy zbyt daleko się nie oddalałem, kiedy Juniper miała sesję, tym razem również stałem w pobliskiej alejce i paliłem papierosa.

Poczułem, że nadchodzi, zanim ją zobaczyłem. Obecność Juniper wibrowała we mnie w prawie niepowstrzymany sposób, szczególnie jeśli

była pod wpływem emocji. Zeszła po schodkach i rozejrzała się za mną. Nadal dziwnie się czułem, widząc, jak chodzi po ulicach nieuzbrojona.

– Jak było? – Odwróciła się i uśmiechnęła na mój widok. Podeszła, a ja wyrzuciłem peta, żeby móc ją objąć. – Masz zaczerwienione oczy, kochanie.

– No taaaak... – Chciała udawać twardzielkę, ale nadal pociągała nosem. – Być może przepłakałam większość dzisiejszej sesji. Znowu. – Jęknęła. – Doktor Pierce mówi, że tłumię w sobie emocje. Więc to chyba... oczyszczające... czy coś takiego.

Zachichotałem, bo wydawała się szczerze zdegustowana.

– Ty miałabyś tłumić emocje? Co za pomysł!

Spojrzała na mnie ze złością, a ja żartobliwie trąciłem ją w podbródek, idąc koło niej w głąb alejki.

– Dobrze ci to zrobi. W ten sposób nauczysz się dawać ujście emocjom. Zmarszczyła nos.

– Tym razem nie waliłam pięścią w ścianę. Prawdopodobnie to... dobrze.

– To z pewnością krok w dobrą stronę. – Przerwałem i odwróciłem ją, opierając ją plecami o ścianę. Pogłaskałem ją pazurami po szyi i uśmiechnąłem się, bo natychmiast dostała gęsiej skórki.

– Tutaj? – zapytała cicho. – W biały dzień?

Wzruszyłem ramionami.

– Usłyszę, jeśli ktoś będzie nadchodził, zanim nas zobaczy. Chcę ci pomóc znaleźć sposób na danie ujścia emocjom. Na wyrażenie samej siebie.

– Wyrażenie samej siebie, co? Tak się to teraz nazywa... ach... – Przerwała, bo nagle zabrakło jej tchu. Może dlatego, że zdążyłem już

wsunąć jej w dżinsy rękę i zająłem się jej łechtaczką. Uwielbiałem, kiedy jej nogi zaczynały drżeć. Uwielbiałem robić jej dobrze, żeby mogła się rozluźnić. Uwielbiałem, kiedy stawała się mokra, czując moje palce.

– Zane... – Objęła mnie za szyję, wbijając mi paznokcie w plecy. Palce miałem śliskie od jej pożądanego, więc powoli wsunąłem jeden do środka, chichocząc jej cicho w szyję, bo znów nie mogła złapać tchu.

– O co chodzi, kochanie? – zachęciłem ją. – No dalej, wyduś to z siebie...!

Westchnęła, mocniej wbijając we mnie paznokcie, a ja dołożyłam drugi palec.

– Tak mi dobrze... Cholera...

Próbowała zacisnąć nogi, ale ja wsunąłem między nie kolano, żeby zostały rozsunięte.

– Mmmm, nie tłum teraz emocji – powiedziałem, kęsając ją w delikatną skórę na szyi, żeby każdy na widok malinek zrozumiał, że jest moja. To mi się nigdy nie znudzi – naznaczanie jej w każdym możliwym miejscu i czasie. Na sam widok mojego metalu w jej języku, kiedy rozchyliła usta, kutas mi drgnął. – Chcę usłyszeć te śliczne dźwięki, które wydajesz.

Sama palcówka mi nie wystarczała. Gwałtownie opuściłem jej dżinsy, tylko na tyle, żeby mieć dostęp, po czym ukląknąłem, żeby zrobić jej dobrze językiem.

– O kurwa...! – Drapała mnie po głowie, a jej biodra poruszały się ochoczo przy moich ustach. Podniosłem ją z łatwością, opierając jej nogi na swoich ramionach i przytrzymując ją za tyłek, podczas gdy plecami nadal opierała się o ścianę. Wcisnąłem w nią język i jęknąłem, gdy jej mięśnie zaczęły pulsować.

– Chcę, żebyś dla mnie doszła, kochanie. – Powiedziałem to do jej miękkiej skóry, rozkoszując się każdą kroplą jej pożądanego na języku.

Zesztywniała, nie była już w stanie powstrzymać głośnych jęków. Była coraz głośniejsza, a ja ścisnąłem ją za tyłek.

Krzyknęła, zaciskając uda na mojej głowie, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. Zerknąłem na nią spomiędzy jej ud, uśmiechając się szeroko na widok jej wniebowziętej miny.

– To tylko mała terapia po twojej terapii... Żeby ci pomóc się rozluźnić.

– Cholera... jasna... – westchnęła, a ja postawiłem ją z powrotem na ziemi. Musiała się o mnie na chwilę oprzeć, ale zaraz uniosła głowę, pieszcząc przez dzinsy mojego kutasa.

– Moja kolej – oznajmiła z absolutnie szatańskim błyskiem w brązowych oczach. Podniosłem ją i zarzuciłem sobie na ramię, a ona wrzasnęła.

– Możesz użyć języczka w samochodzie, kochanie – wyjaśniłem. – Trochę mi się spieszy, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu i zrobić o wiele więcej, niż tylko wypieścić językiem tę słodką cipeczkę.

Roześmiała się, co było dla mnie najlepszą nagrodą. Jej radość, bezpieczeństwo, wolność, życie bez lęku – do tego teraz dążyłem. To były łowy, na których punkcie miałem obsesję. Posiąść jej duszę – to zawsze było i zawsze będzie za mało. Chciałem o wiele więcej.

Moja mała wilczyca z ostrymi ząbkami i oczami, w których kryje się burza. Rozbite kawałki z ostrymi krawędziami, które świecą jaśniej niż słońce. Dusza tak mroczna i dziwna jak moja.

Była moja, a ja byłem jej – na całą wieczność.

KONIEC

Pozostała jeszcze jedna opowieść.

**Kobieta, w której żyłach płynie krew wiedźm,
i księżę demonów, który pragnie jej ręki,
zanim światem zawładnie Bóg Ciemności.**

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję mężowi. Dziękuję, że pilnowałeś, żebym (na tyle, na ile to było możliwe) nie zwariowała podczas pisania tej książki. Dziękuję, że wyciągałeś mnie z domu, kiedy kolejny weekend chciałam przeznaczyć na pracę. Dziękuję za niesamowite posiłki, za wysłuchiwanie mojej gadaniny na temat problemów związanych z książką i, jak zwykle, za bycie głosem rozsądku, kiedy wydawało mi się, że wszystko się wali. Bez ciebie nie zdołałabym skończyć tej książki.

Dziękuję Zainab, mojej uroczej redaktorce, za ciężką pracę i determinację, żeby ta książka była jak najlepsza. Zazwyczaj mam pomysły na milion poprawek, ale twoje uwagi pomagają mi skupić się na tych, które są naprawdę konieczne, zamiast w kółko pisać od nowa. Wiesz, że zawsze nie mogę się doczekać twoich zajawek!

Dziękuję Shimairze za fantastyczną korektę tej długiej książki. Jesteś niezwykle życzliwa i uważna, pomogłaś mi nie tylko w wyłapywaniu literówek. Dziękuję za wszystko!

Dziękuję grupie Czytelniczek i Czytelników na FB oraz Czytelnikom egzemplarzy okazowych, KOCHAM WAS WSZYSTKICH! Kiedy mam ciężki dzień, nasza mała szalona grupa dodaje mi sił, żeby iść naprzód. Dajecie mi tyle radości, Wicked Dark Desires jest moją internetową przystanią.

Dziękuję każdej Czytelniczce i każdemu Czytelnikowi. Niezależnie od tego, czy to pierwsza moja książka, którą przeczytaliście, czy kolejna, dziękuję, że ją wybraliście. Miło, że postanowiliście na chwilę wpaść do mojego małego, pokręconego świata! Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy przy okazji kolejnej przygody.

Do kolejnego razu!

Harley